

Michael Judith

Dziedzictwo t.2

CZESC 4

Rozdział osiemnasty

Ojej —zachwycała się Rosa, spoglądając na gości w holu hotelu Beacon Hill, kiedy Laura podeszła ją powitać. — Co za imponujący sposób świętowania otwarcia hotelu. Muszę przyznać, że Salingerowie nigdy nie organizowali czegoś takiego.

Witaj, moja panno. Wspaniale cię znowu widzieć.

Laura ucałowała jej miękki policzek i na moment zamknęła oczy, kiedy objęły ją pulchne ramiona Rosy.

— Nadal pachniesz jak świeży chleb — powiedziała z uśmiechem, ale jednocześnie ze smutkiem. — Tak bardzo, bardzo się cieszę, że tutaj jesteś.

— I ja również. Nie chciałabym opuścić tak eleganckiego przyjęcia. — Cofnęła się o krok i krytycznie zmierzyła Laurę wzrokiem.—Zmieniłaś się. Wydoroślałaś. Stałaś się taka doświadczona i radosna.

— To tylko z zewnątrz tak wygląda — odparła Laura. — Nadal mam kłopoty ze swoim wnętrzem.

— To dobrze. W moim wieku tracę orientację przy zbyt wielu zmianach jednocześnie. — Poklepała dłoń Laury. — Ogromnie ci dziękuję, że napisałaś do mnie. Tak bardzo chciałam z tobą

porozmawiać, ale muszę przyznać, że nie miałam odwagi. Po tym, jak ten podstępny prawnik sprowokował mnie, żebym była taka podła w sądzie, ciągle myślałam, żeby zadzwonić do ciebie i powiedzieć, jak za tobą tęsknię, ale nie byłam pewna, czy zechcesz ze mną rozmawiać. Młoda para przerwała rozmowę, jakby Rosy w ogóle nie było.

— Wspaniała robota, Lauro. Nasze pokoje są doskonałe. Taki weekend to cudowny pomysł. Z niecierpliwością czekamy na dalsze atrakcje.

— Dziękuję — powiedziała Laura. — Pozwólcie, że wam przedstawię...

— Urządzamy wigilijne przyjęcie u nas w Lake Forest. Czy to nie za późno, żeby cię zaprosić? Przyjedź na pewno. Będzie bardzo wielu ludzi, których polubisz, a jeśli chcesz stać się częścią Chicago, to nie ma lepszego sposobu na dobry początek. W przeciwnym razie zmarnujesz miesiące, poznając nieodpowiednich ludzi. Wyślemy naszego szofera, żeby cię przywiózł, jeśli chcesz. Porozmawiamy o tym za kilka dni. Uroczy weekend...

Odeszli. Laura i Rosa spojrzały na siebie.

— Karmiłam tych dwoje wiele razy na przyjęciach organizowanych przez Feliksa i Leni — powiedziała Rosa w zamyśleniu. — Prawdę mówiąc, karmiłam połowę tych ludzi tutaj. Obawiam się, że moje miejsce jest po drugiej stronie kuchennych drzwi, moja panno.

— Twoje miejsce jest tutaj. To moje przyjęcie i zaprosiłam na nie moich szczególnych przyjaciół. Reszta to goście Wesa Curriera.

— W gruncie rzeczy oni wszyscy są wspaniałymi ludźmi, po prostu doskonałymi. To był dobry pomysł, żeby ich zaprosić — powiedziała Rosa. — Jestem z ciebie dumna, wiesz? Sprowadziłaś tu ich wszystkich na weekend w grudniu — miesiącu tak zajęтым pod względem towarzyskim. I masz też fotografów. Wszyscy z pewnością pomyślą, że będzie to jeden z ważniejszych hoteli. A ty jesteś jego dyrektorem. To wspaniała praca dla ciebie!

Laura kiwnęła głową i poczuła się winna, bo znów kłamała. Znowu nie mówiła prawdy Rosie. Ale nadal musiała trzymać w sekrecie to, że jest właścicielką hotelu, zwłaszcza przed Feliksem. I utrzyma tę tajemnicę tak długo, jak to możliwe.

— Więc kiedy przysłałaś mi zaproszenie — podjęła Rosa przerwana rozmowę — powiedziałam sobie — ona jednak chce się ze mną widzieć. Przebaczyła mi, że pogmatwałam jej sprawę

w sędzie. Ale nie chcę rozmawiać, jeśli masz zamiar zaczynać od wyjaśnień. Nigdy nie zrobiłaś mi żadnej krzywdy, moja panno. Kochałaś mnie i wiedziałam o tym. Okropnie mi cię brakowało. Nawet jeśli nigdy nie poznam całej prawdy, to nie ma już znaczenia. To było tak dawno. Od pierwszego dnia wiedziałam, że mówisz trochę kłamstw i trochę prawdy, a skoro prawie wszyscy ludzie tak robią, dlaczego nie miałabym nadal kochać cię tak, jak zawsze kochałam?

— Dziękuję — szepnęła Laura ochryplym głosem. Rozejrzała się. Z tyłu nadszedł Clay.

— Mamy mały problem z miejscami przy stole. Czy mogłabyś pomóc?

Skinęła głową i przytuliła Rosę, która odniosła wrażenie, jakby Laura do niej przylgnęła. Ponownie się ucałowały.

— Koktajle w kawiarni i kolacja o ósmej. Postaram się do ciebie wrócić, ale tyle jest do zrobienia.

— Idź, idź — powiedziała Rosa. — Robiłam to w swoim czasie. Wiem, że drobiazgi mogą zrujnować przyjęcie albo uczynić je doskonałym. Dam sobie radę. Rozejrzę się i pozachwykam.

To jest zachwycające, myślała, kiedy Laura i Clay odeszli. I oni oboje również. Clay zapuścił wasy i wyglądał bardzo atrakcyjnie z jasnymi, falującymi włosami. Laura promieniała wytwornym pięknem, jak nigdy dotąd. Idąc przez hol, Rosa zastanawiała się, co się za tym kryje: Laura była szczęśliwa, czy miała przyjaciół i nowego kochanka, czy zapomniała już o tym, co się wydarzyło? Być może, pomyślała Rosa. Z całą pewnością ma wspaniałą pracę, a jeśli pomagała w udekorowaniu tego hotelu, to ma więcej talentu, niż się spodziewałam.

W kawiarni Rosa znalazła fotel obok kominka. To miejsce stało się jej punktem obserwacyjnym na weekend. Przypatrywała się gościom i zerknęła na Laurę, która spieszyła od jednego obowiązku do drugiego, nie siadając i nie odpoczywając ani chwili. Nie wyglądała na podnieconą lub zaniepokojoną, ale nie odprężyła się nawet na kolacji w piątek wieczorem. Podczas gdy dwustu gości ucztowało przy kawiorze, bażantach i sosie malinowym przygotowanym przez Enrico Garibaldiego — szefa kuchni w Beacon Hill, Laura była obecna wszędzie, dopilnowując setek drobiazgów. W sobotę było jeszcze więcej atrakcji. Na obiad podano smakołyki z północnych Włoch. Rosa, doświadczona kucharka, oceniła

potrawy bardzo wysoko. Następnie wszystkich gości zawieziono limuzynami przez Michigan Avenue do Instytutu Sztuki w Chicago na prywatną prezentację najbardziej sensacyjnej wystawy roku: cennej kolekcji skarbów ze złota, srebra i diamentów, odnalezionej we włoskim statku handlowym, który zatonął niedaleko wybrzeży Hiszpanii czterysta lat temu. Currier był głównym sponsorem ekspedycji poszukiwawczej, która odnalazła okręt i wydobyła zatopiony skarb. Uzgodnił też z Instytutem Sztuki, że odbędzie się tam prywatny pokaz na dzień przed otwarciem wystawy dla zwiedzających. Reporterzy przygotowujący reportaże z weekendu w Beacon Hill dla magazynów Town, Country, Vogue, Eye i wielu innych pism poświęconych wytwornym przyjęciom ludzi bogatych i sławnych byli tam również, fotografując gwiazdy telewizyjne, przedstawiciele arystokracji i potentatów przemysłowych obok gablot lśniących blaskiem kielichów, monet i bajecznych diademów. Absolutnie nikt nie zwracał uwagi na Rosę, która została osobiście zaproszona przez Laurę Fairchild, ale to nie robiło na nikim wrażenia. Zauważono tylko, że jest ona niska i korpulentna oraz że ma praktyczne buty i że nigdy wcześniej jej nie widziano.

Kelly Darnton obdarzono takimi samymi obojętnymi spojrzeniami. Przyjechała w sobotę rano i kiedy goście wrócili z Instytutu Sztuki do kawiarni Beacon Hill na herbatę i koktajle, Kelly przyłączyła się do Rosy na jej posterunku przy trzaskających w kominku płomieniach.

— To oczywiście, że obie jesteśmy tu niezauważalne — powiedziała i wyciągnęła rękę. — Kelly Darnton.

— Rosa Curren. — Rosa uściśnęła silną dłoń Kelly. Spodobało jej się bezpośrednie spojrzenie ciemnych oczu. — Laura opowiadała mi o tobie i twoim pensjonacie. Mówiła same wspaniałe rzeczy.

— Możliwe, że to wszystko prawda. Ja też słyszałam o tobie wiele dobrego. Gdy Laura kogoś lubi, nie szczędzi pochwał.

— A jeśli kogoś nie lubi?

— Staje się bardzo cicha — odparła Kelly. — Czy nie tak było, kiedy ją poznałaś?

— Była wtedy bardzo młoda, ale ona nigdy nie miała zwyczaju okazywać swoich uczuć.

— Bóg jeden wie, że Laura nadal taka jest... — Witaj — przerwała sobie Kelly, spoglądając na Ginny Starrett, która dołączyła do nich.

— Chciałam poznać kogoś nowego — rzekła Ginny, siadając

bez zaproszenia w trzecim fotelu przy palisandrowym stoliku. — Jestem już naprawdę zmęczona widokiem tych samych ludzi na każdym przyjęciu. — Przedstawiła się, ściskając twardą rękę Kelly i miękką dłoń Rosy. — Jaka nadal jest Laura? — zapytała, usłyszawszy ostatnie słowa Kelly.

— Skryta — odparła Kelly. — Nie opowiada o swoich uczuciach ani o uczuciach innych ludzi. Nikomu.

— Ale z pewnością z kimś się zaprzyjaźniła — stwierdziła Rosa. Wszystkie trzy panie spojrzały na siebie. Każda z nich uważała się za przyjaciółkę Laury. Ginny i Kelly zwierzały się jej, Rosa swobodnie rozmawiała z nią o Salingerach i jej uczuciach w stosunku do nich, ale to one mówiły. Laura nigdy tak naprawdę nie była z nimi szczerą. Kochały ją, wiedziały, że wiele dla niej znaczą, ale żadna z nich nie знаła Laury bliżej. Rosa westchnęła.

— Zastanawiam się, czy ona jest szczęśliwa. Ma tutaj dobrą pracę. To takie piękne miejsce...

Hostessa stanęła przy ich stoliku.

— Poproszę sherry — powiedziała Ginny. — Kelly, Roso? Kelly skinęła głową.

— Proszę herbatę — rzekła Rosa, a potem powiodła wzrokiem po sali, — Laura zawsze uwielbiała piękne rzeczy. Wiedziałam, że pewnego dnia znajdzie sposób, żeby stworzyć coś pięknego i własnego.

— Własnego — powtórzyła Ginny cicho, jak echo i pojęła, co szczególnego krył w sobie hotel Beacon Hill. Jego piękno było bardzo osobiste. Siedziały w ogromnej kawiarni o pastelowym kolorycie z delikatnymi światłami, które czyniły z tego miejsca oazę spokoju podczas ponurej pogody w ten chicagowski weekend. W lustrach rozwieszonych wzdłuż ściany odbijały się dywany z motywem irysa i wielkie francuskie gobeliny. Błękitny jak niebo sufit z połączoną wolutą rozciągał się ponad gośćmi siedzącymi w jasnobłękitnych fotelach i sofach. Na podwyższeniu harfistka grała muzykę barokową. Delikatna melodia wiła się wokół okrągłych stoliczków. Hostessy serwowały drinki ze szklanych i srebrnych wózków. Laura poruszała się między stolikami jak smukły płomień w swej długiej, złotej sukni, lśniącej na tle delikatnych kolorów sali.

Ginny westchnęła z zazdrością, przypominając sobie czasy, kiedy jej twarz była świeża, gładka i zarumieniona, a ogromne oczy

nie potrzebowały makijażu. Biodra miały zgrabny kształt, a wąska talia nie wymagała nieludzkiej diety i sprzętu do gimnastyki. Zazdrość szybko minęła. To absurd, by pięćdziesięcioletnia kobieta zazdrościła dwudziestopięcioletniej dziewczynie. Ginny przyznała jednak, że nawet w najlepszych czasach nie wyglądałaby w tej sukni tak pięknie jak Laura. Nie miała tej kociej gracji, która sprawiała, że materiał wydawał się płynnym złotem przy każdym ruchu Laury. Hostessa przyniosła ich drinki, a dla Rosy porcelanowy czajniczek, filiżankę i talerzyk. Obok nich postawiła srebrne sitko do herbaty w zgrabnym srebrnym naczynku. Otworzyła wypolerowane, drewniane pudełko, podzielone na przegródki wypełnione liśćmi herbaty. Kiedy Rosa wybrała odpowiedni rodzaj, hostessa nasypała mieszankę do czajniczka i nakryła go pikowaną nakrywką, żeby herbata się zaparzyła. Wreszcie na środku ustawiła tacę z ciasteczkami i koszyk owoców. Położyła talerze i perłowe noże. Rosa westchnęła.

— Niewiele jest miejsc, gdzie podaje się tak elegancko. Laura pamięta wszystko, czego ją nauczyłam.

Zaszczekał pies. Dźwięk był tak zaskakujący, że zamilkły wszystkie rozmowy. Ludzie podnosili głowy i rozglądali się. Szczekanie przybierało na sile. Nagle wszyscy zdali sobie sprawę, że to nie pies, tylko człowiek siedzący na otomanie. Odchylił głowę do tyłu i otworzył szeroko usta. Mięśnie jego szyi były napięte. Warczał, szczekał i skamlał, podczas gdy jego towarzyszka, młoda, zapłakana dziewczyna, próbowała go uciszyć.

— To ten łajdak Britt Farley — mruknęła Ginny. — Naćpany po uszy. Nigdy nie może się powstrzymać, zwłaszcza kiedy jeszcze wypije.

— Kto? — zapytała głośno Kelly, przekrzykując szczekanie i wycie.

— Piosenkarz country-rocka. Zrobił karierę w serialach telewizyjnych. — Ginny wstała. — Chodził do szkoły średniej z moim byłym mężem. Obaj lubili pić i uprawiać seks. Może uda mi się go stąd zabrać, zanim zepsuje weekend Laury. Kiedy Ginny ruszyła do stolika Farleya, zobaczyła, że Laura już tam jest. Goście podjęli rozmawy. Wszyscy starali się udawać, że nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło. Laura siedziała obok Farleya, obejmowała go ramieniem i szeptała mu coś do ucha. Mówiła spokojnie. Młoda dziewczyna ciągle szlochała:

— Prosiłam go, żeby więcej nie brał kokainy. Wszyscy myślą, że przestał. Tak im powiedział, kiedy zagrozili, że skreślą go ze scenariusza i jego bohatera rozjedzie samochód czy coś w tym stylu. Nie mógł znieść tej myśli i obiecał im, że przestanie brać. Mnie też obiecał, ale on się ze mną za bardzo nie liczy. Uważa mnie za dziewczynkę. Tak mnie nazywa — małą dziewczynką, która jest na tyle głupia, że go nie opuszcza... — Jej głos załamał się.

Ginny pochyliła się nad Laurą i słuchała.

— ...dobry, jesteś bardzo dobry — mówiła Laura spokojnym, hipnotyzującym głosem. — Świetny dźwięk, wspaniały, mocny ton. Jednak nikt tego nie docenia. W telewizji nie ma popytu na psy śpiewające country-rock...

Ginny parsknęła śmiechem. Laura posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. Ginny zamilkła.

— ... ani na romantyków. Ty jesteś taki dobry w muzyce country i romantyczny. Nie pozwoliliby ci się zmienić, nawet gdyby cię doceniali. Może któregoś dnia ktoś rozpozna twoje liczne talenty, ale na razie jesteś wielki, taki jaki jesteś. Tak dobry i ważny dla sieci telewizyjnej, że nie pozwoliliby ci być nikim więcej, tylko ich bohaterem...

Mówiąc, Laura uspokajała go. Nadal obejmowała go ramieniem i szeptała do jego ucha. Był wyższy od niej, więc musiała wspiąć się na palce, gdy wyprowadzała go z sali. Szedł jak w transie, z półprzymkniętymi oczami.

Laura zerknęła na Ginny i dała jej znak głową, żeby została z młodą dziewczyną. Niektórzy goście odwrócili się, a inni patrzyli, jak wyprowadza Britta Farleya z kawiarni do holu, w stronę windy.

— Zabieram pana do pokoju — powiedziała lodowatym głosem. Na tę gwałtowną zmianę Britt otworzył szerzej oczy. — Każę zanieść panu kolację i nie chcę pana widzieć na dole, dopóki pan nie wytrzeźwieje, co prawdopodobnie nastąpi dopiero jutro. Nie chcę więc pana widzieć do jutrzejszego obiado-śniadania.

Stali blisko siebie w wyłożonej boazerią windzie. Laura próbowała pohamować złość. To jej pierwszy, prawdziwy dom. Przyjmuje gości, a ten głupiec śmie się upijać! I szczekać! Za kogo on się ma, że przychodzi do jej domu i wprawia w zakłopotanie jej gości? Winda dojechała do dziesiątego piętra. Laura trzymała go pod ramię i prowadziła krótkim korytarzem do pokoju.

— Chwileczkę — powiedział, próbując się zatrzymać. — Nie możesz wyprosić mnie z przyjęcia... zapłaciłem...

— Tym razem nie płaciłeś. Jesteś moim gościem i zrobisz, co ci każe. Daj mi kartę pokoju. — Zawahał się. — Daj mi ją, Britt, bo inaczej będziesz miał kłopoty. Zmrużył oczy.

— Britt nie miewa kłopotów, tylko je stwarza.

— Nazwij to, jak chcesz. Jeśli nie otworzysz tych drzwi albo nie pozwolisz mi tego zrobić, wezwę policję i zamkną cię za zakłócanie porządku publicznego.

— O, nie. Wes nie pozwoliłby ci tego zrobić. Zna mnie od dawna. Byłby niezdrowy rozgłos wokół hotelu.

Spojrzała na niego z pogardą.

— Spróbuj, to się przekonasz.

Chciał wytrzymać jej spojrzenie, ale jego oczy były rozbiegane. Po chwili opuścił ramiona.

— Cholera. — Wyciągnął z kieszeni plastikową kartę kodową i włożył ją do szczeliny w drzwiach, otwierając zamek. Laura wepchnęła go do środka. Pokój wyglądał tak, jakby przeszło po nim tornado. W ciągu godziny między powrotem z Instytutu Sztuki a koktajlami Farley i jego dziewczyna rozrzućili ubrania i buty. Butelki szkockiej i burbona były na stole i wały się w stłamszonej pościeli. Białe proszek pozostał na toalecie razem z talią kart, damską i męską biżuterią oraz kosmetykami dziewczyny.

— A ja się zastanawiałam, jaki styl pokoju będzie wam najlepiej odpowiadał—mruknęła Laura. — Rozbieraj się, Britt—rozkazała bez ogródek. — Idź do łóżka i wyśpij się. Zadzwoń później i upewnię się, czy chcesz zjeść kolację na górze. Nie martw się o swoją przyjaciółkę. Zajmiemy się nią.

— Głupia dziewczyna — mamrotał sennie, próbując odpiąć koszulę. Trzyma się mnie nawet wtedy, gdy nikogo innego nie obchodzi. Jest przy mnie nawet, kiedy szczekam. Miałaś rację. Jestem w tym dobry. Wszyscy zwracają na mnie uwagę. Widziałaś ich twarze?

Laura delikatnie odsunęła jego niezręczne ręce i odpięła mu koszulę. Stał cicho. Jego wielkie ciało było wiotkie, kiedy go rozbierała. Odruchowo objął dłonią pierś Laury. Bez gniewu odsunęła jego rękę, jakby odganiała muchę. Nie protestował. Działał z przyzwyczajenia, nie z podniecenia. Laura poprawiła skotłowaną pościel.

— Śpij dobrze, Britt — powiedziała cicho i wyszła z pokoju. Jego ciężki oddech wypełnił ciszę, zanim zamknęła drzwi.

Nasz amerykański bohater, pomyślała złośliwie, idąc do windy. Choć jej gniew minął, Laura była nadal roztrzęsiona. To, co się stało, przyniesie więcej szkody reputacji Britta niż hotelowi. Najbardziej wstrząsnęło nią jednak to, że ujrzała prawdziwe oblicze Britta Farleya. Widziała go wcześniej, gdy była z Currierem w Nowym Jorku. Patrzyła wtedy na niego jak na osobę publiczną. Był surowym, śmiałym mężczyzną, który uczynił z siebie mitycznego bohatera. Jego piosenki opowiadały o marzeniach zwykłych ludzi i sposobach, jakimi dążą oni do spełnienia tych marzeń mimo wielu przeciwności losu.

Nagle kładła do łóżka słabego, wystraszonego człowieka, który jest na najlepszej drodze do degrengolady.

Każdy ma podwójną twarz, westchnęła, jadąc windą z powrotem do holu.

Pomyślała o fotografii Paula, na której były dzieci i zamek z piasku. Spokojna scena, ale dzieci się kłóciły. Gdyby Paul fotografował Britta, wiedziałby, jak ukazać jego prawdziwą twarz ukrytą za publicznym wizerunkiem.

Paul. Zapragnęła go, stojąc samotnie w pustej przestrzeni holu. Przypomniała sobie momenty z minionych miesięcy, kiedy tęskniła do dzielenia się z nim anegdotami o ludziach pracujących przy odnawianiu hotelu, o okolicach odkrywanych podczas spacerów po Chicago. Była zajęta codziennymi sprawami, kochała to, co robiła, ale jej życie nie było tak bogate, jak mogłoby być, bo nie dzieliła go z Paulem.

Pragnęła go, aż do bólu. Czuła jego dłonie na swoim ciele. W głębi duszy słyszała jego głos tak wyraźnie, jak gdyby Paul stał obok niej. Poczowała się tak cudownie bezpieczna i pełna szczęścia, jak zawsze, kiedy byli razem.

Skrzyżowała ramiona na piersiach, chcąc stłumić ból. To już koniec. On jest żonaty. Ja mam przed sobą całe życie. Do diabła, romanse zawsze się kończą. Dlaczego nie mogę pogodzić się z myślą, że nasz też się skończył?

Jeden z gości wpadł na nią, a drugi zręcznie ją ominął.

— Przepraszam — mruknęła i odsunęła się od windy.

— Nic nie szkodzi — powiedział wysoki, brodaty mężczyzna — jeden z czołowych producentów na Broadwayu. — Cieszę się,

że mam okazję pani powiedzieć, jaką świetną pracę pani tutaj wykonała.

Laura uśmiechnęła się z wdzięcznością za to, że przywrócił ją do rzeczywistości. Jej miejsce jest tu, w tym hotelu, nie we wspomnieniach.

Przeszła przez hol i ujrzała czekającego na nią Curriera.

— Dobra robota. — Objął ramieniem jej talię. — Ginny wszystko mi opowiedziała. Przykro mi, że nie było mnie tam, żeby ci pomóc.

— A gdzie byłeś?

— Mieliśmy mały kłopot w kuchni. Nic poważnego.

— Jaki kłopot?

— Powiedziałem ci, że nic poważnego. Kucharz miał napad złego humoru. Zająłem się tym. Zaprowadziłaś Farleya do jego pokoju?

— Tak, śpi. Będę musiała zmienić plan miejsc na dzisiejszym przedstawieniu. Nie chcę, żeby jego dziewczyna musiała siedzieć obok kogoś, kto chciałby rozszarpać Britta.

Weszli po schodkach do kawiarni. Laura uśmiechnęła się do młodej kobiety stojącej za długim stołem i pakującej świąteczne prezenty, które goście kupili na Michigan Avenue. To była jedna z usług zaoferowanych gościom hotelowym, aż do świąt Bożego Narodzenia. Laura zerknęła na rolki ozdobnego, błyszczącego papieru.

— Chyba będziesz potrzebowała więcej papieru i wstążek, Mary. Dopilnuję, żeby dostarczono to do rana.

W kawiarni goście zatrzymywali ją, pytając o Farleya i chwalili, że tak spokojnie go wyprowadziła. Inni zapraszali ją na kolacje w swoich domach. „Razem z Wesem, oczywiście, jeśli będzie wmieście” — dodawali. Rozmawiała z każdym z nich przez chwilę, podążając w stronę kominka. Kiedy tam dotarła, usiadła na poręczu fotela Rosy.

— Jak to cudownie, że trzy moje najlepsze przyjaciółki zapoznały się ze sobą.

— Zaczynamy się zaprzyjaźniać — rzekła Kelly. — A Ginny opowiada nam wszystkie plotki. Nie była zaskoczona twoim szczekającym artystą. Zdarzało mu się to już wcześniej.

— Szkoda, że o tym nie wiedziałam — odparła Laura. — Kupiłabym smycz i kaganiec.

— Świetnie sobie poradziłaś — przyznała Ginny. — On jest

znany z takich improwizacji. — Przyjrzała się Laurze. — Dobrze się bawisz?

— Oczywiście — Laura lekko uniosła brwi. — Czy nie wygląda na to?

— Wyglądasz pięknie i spokojnie, a powinnaś wyglądać pięknie i tryumfująco. Sprawiałaś, że ten tłum uśmiecha się jak radosna dzieciarnia. Czy ty masz pojęcie, jak trudno uszczęśliwić tych ludzi?

— Będę wyglądała tryumfująco, kiedy przekonam się, że naprawdę tryumfuję. Ginny, jest dopiero sobotnie popołudnie. Musimy jeszcze przebrnąć przez dzisiejszą kolację, występ Jacquesa Brela w Chez Fromage i jutrzejsze obiado-śniadanie.

— Wszystko ci się uda. Wspaniale sobie radzisz. Wierz mi, na tym się znam. A kiedy ci zbyt bogaci, wymuskani goście dojdą do wniosku, że dobrze się bawią, to przestaną szukać rzeczy, na które mogliby ponarzekać. Wczorajsza kolacja była urocza, tak samo jak ta oszałamiająca wystawa dzisiejszego popołudnia. Robisz wszystko znakomicie, kochanie. Rozjaśniłaś ich oblicza. Świecą jak neony w Las Vegas.

Laura uśmiechnęła się i rozejrzała po sali. Ginny obserwowała ją, wiedząc, że jest jeszcze coś niewytłumaczalnego w tym, jak oczarowała swoich gości. Tych dwustu wymagających światowców przyjechało tu z powodu Curriera, ze względu na przyjaciół przyjaciół i z ciekawości, której iskierka czasem błysnie w popiele nudy.

Ginny jednak wiedziała, że zjawili się tu także po to, by oceniać i krytykować.

Tymczasem, zanim zdolali rozejrzeć się w najnowszym hotelu, Laura sprawiła, że poczuli się częścią jej świata i sukcesu. Nie chodziło o to, że podano im smaczne posiłki i rozpieszczano drobnymi innowacjami, których nie widzieli nigdzie indziej, zdecydowała Ginny. Chodziło o Laurę. Patrzą na nią i widzą idealną piękność, a jednocześnie dziewczynkę, która nie należy i nie będzie należeć do ich świata. Jest oddzielona od tłumu ludzi towarzyszących innym ludziom. Możliwe, że oni nie rozumieją tego, co widzą, ale tak czy inaczej, chcą pomóc jej osiągnąć sukces, odnaleźć swoje miejsce i nie przypatrywać się z zewnątrz. Laura była świetna w tym, co robiła.

— Powiedz mi — zapytała Ginny — jak zapamiętujesz ich imiona, imiona ich dzieci, ulubione miejsca ich urlopów i inne rzeczy, które sączysz jak kropelki perfum, kiedy z nimi rozmawiasz?

Laura uśmiechnęła się.

— Kropelki perfum — powtórzyła.

— No, nie dosłownie, ale to działa jak perfumy. Sprawia, że drgają im nozdrza. Są zainteresowani i czują się dobrze. Obserwowałam ich w takich chwilach. Najpierw zaskoczenie, a potem jaśnieją im oczy i wyglądają jak małe dzieci, które mama właśnie pocałowała za to, że zrobiły siusiu do nocniczka w samą porę.

— Ginny — roześmiała się Laura. — Jeśli powiesz moim gościom, że tak wyglądają w hotelu Beacon Hill, to będę zrujnowana.

Niespodziewanie Ginny poczuła radość. Skłoniła Laurę Fairchild do śmiechu i sprawiła, że z tej pięknej twarzy zniknęła chłodna rezerwa, a na moment pojawiły się uczuciowość i ciepło, które pamiętała sprzed czterech lat. Ginny była zaskoczona, jak dobrze dzięki temu się poczuła. Ta dziewczyna potrzebuje opieki, pomyślała. Potrzebuje przyjaciółki, która byłaby dla niej jak matka; kogoś, kto pomógłby jej zrelaksować się i pokonywać trudności bez kontuzji. Potrzebuje jej, Ginny. Nigdy nie miała córki, tylko synów, ale dlaczego to miałyby ją zniechęcić? Nigdy przedtem również się nie rozwodziła, a przecież wreszcie zrobiła to i czuje się o wiele lepiej.

Rozmyślenia zajęły jej kilka sekund.

— Kochanie — rzekła natychmiast — będę wszystkim mówić, że wyglądają jak monarchowie na zjeździe królów. Czy sądzisz, że to sprowadzi ich tu z powrotem dostatecznie szybko?

— Jestem tego pewna. — Gdy rozmawiały, Laura dyskretnie obserwowała drzwi. Po chwili wstała. — Przyszedł Carlos Serrano. Zażyczy sobie tequilę. Będzie też chciał porozmawiać z kimś o cenach ropy, a ktoś inny będzie mu potrzebny w łóżku. Myślę, że mogę zapewnić mu pierwsze dwie rzeczy. Przepraszam na moment.

— Mogłabyś odprężyć się przez chwilę — stwierdziła Rosa. — Twój szef nie zwolni cię z pracy. Nigdzie nie znajdzie tak dobrego dyrektora jak ty.

Laura uśmiechnęła się odruchowo, ponownie żałując, że nie może powiedzieć Rosie prawdy.

— Nie boję się, że mnie zwolni — zapewniła i pochyliła się, by pocałować Rosę w policzek. — Po prostu chcę dobrze pracować, tak jak mnie nauczyłaś. Wkrótce wrócę.

Patrzyły, jak Laura zbliżyła się do Serrano. Pocałował ją w rękę i z ożywieniem zaczął rozmowę, kiedy prowadziła go do stolika,

przy którym siedzieli Sid i Amelia Laughton. Ginny skinęła głową z aprobatą. — Sid Laughton zainwestował w przedsiębiorstwa sprzętu wiertniczego. Ma sześć banków w Oklahomie i Teksasie — poinformowała Rosę i Kelly. — Carlos będzie miał z kim pogadać o ropie, OPEC, Waszyngtonie i spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia. Sid ożywi go o wiele bardziej niż ktoś, kto, tak jak on, jest nafciarzem. Bardzo rozsądnie. — Ginny była dumna z Laury jak matka. Widziała Curriera podchodzącego do Laury i pomyślała, że stanowią frapującą parę. Oboje byli na swój sposób imponujący. Przyjrzała się Currierowi. Łagodny, uprzejmy, bogaty i wpływowy. Uosobienie marzeń niejednej kobiety. Nie moich, pomyślała. Ale gdyby chciała być zdominowana i otoczona opieką przez mężczyznę, który jest miły, mimo że lubi panować nad sytuacją i jest anielsko cierpliwy, co oznacza, że musi mieć dobre serce, to zainteresowałaby się nim właśnie.

Laura prawdopodobnie tak zrobiła. Ginny w zaufaniu dowiedziała się od znajomych, że Laura przeżyła ciężki okres i niewykluczone, że pragnie znaleźć ukojenie w czyichś silnych ramionach. Miała poczucie lojalności. Imponowało to Ginny, która żyła w świecie, gdzie lojalność i wierność często przegrywały z interesami i chęcią zrobienia fortuny. A tutaj siedziały Rosa i Kelly, które nie należały do międzynarodowej socjety, ale zostały zaproszone po prostu dlatego, że panna Fairchild je lubi, jest im wdzięczna i chce, żeby stały się częścią jej nowego życia. To imponujące, pomyślała Ginny. Tylko że ta lojalność może Laurę jeszcze bardziej związać z Currierem. Nie ma wątpliwości, postanowiła Ginny, że ta dziewczyna potrzebuje kobiety, która się nią zaopiekuje. Wygląda na to, że będę bywać w Chicago o wiele częściej, niż planowałam.

Laura i Currier podeszli do stolika Farleya, przy którym młoda dziewczyna zwierzała się jakiejś kobiecie. O dziwo, Ginny jej nie знаła. Patrzyła, jak rozmawiają z nią, sprawiając, że jej twarz zaczyna się rozjaśniać. Obserwowała, jak podchodzą do innych stolików i prowadzą pogawędkę z gośćmi. Kiedy byli blisko jej stolika, podszedł do nich recepcjonista. Ginny nadstawiła ucha, żeby nie uronić ani słowa.

— Przepraszam, że państwa niepokoję... próbowałem, ale... personel kuchni... kucharz... to delikatna sprawa...

Laura podążyła w kierunku drzwi, zanim skończył mówić. Currier i recepcjonista poszli za nią.

— Myślałem, że to już załatwione — tłumaczył Currier. — On jest bardziej uparty, niż sądziłem. Nie martw się. Załatwię to raz na zawsze.

Laura pokręciła głową.

— Ja to zrobię, Wes. Szkoda, że nie wiedziałam o tym od samego początku. — Zerknęła na recepcjonistę, który skłonił głowę. Następnym razem od razu przyjdzie do Laury. — Chciałabym porozmawiać z nim na osobności — dodała zdecydowanie. — Jest dużo zamieszania, jeśli personel nie wie, kto jest szefem, nie sądzisz?

Przyznał jej rację krótkim uśmiechem.

— Jeśli będziesz mnie potrzebować, przyjdę natychmiast.

— Dziękuję — mruknęła, po czym przeszła przez hol. Nie miał w sobie nic z bezosobowej hotelowej poczekalni, przypominał raczej hol w prywatnej rezydencji. W niszy przy ścianie stał mahoniowy kontuar recepcji, a naprzeciw antyczne biurko recepcjonisty. Pod złoto-kryształowym żyrandolem zadawała szyku Myrna Appleby w futrze z norek.

Wychodziła i nie zauważyła Laury,

— Cześć — Clay pojawił się niespodziewanie. Powiódł za wzrokiem Laury, patrząc, jak za Myrną zamykają się szerokie szklane drzwi, prowadzące na Walton Street. — To prezent gwiazdkowy — wyjaśnił. — Czyż nie wygląda szalowo?

— Ukradłeś je? — spytała ostro Laura. Cofnął się o krok.

— Cholera, jak ty się do mnie odzywasz? Jestem twoim bratem, pamiętasz? I kocham cię. Jestem także twoim zastępcą. Nie możesz mówić do mnie w ten sposób.

— Zadałam ci pytanie. Ukradłeś je?

— Psiakrew, Lauro, jeśli mi nie ufasz...

— Skąd wzięłeś pieniądze na to futro?

— Zarobiłem.

— Nie w tym hotelu. Nie u mnie.

— Nie wiesz przecież, ile oszczędzam.

— Znam twoje zarobki. Wiem, ile wynosi czynsz za mieszkanie, bo często pomagałam go zapłacić, dopóki Myrna nie znalazła pracy. Znam miejsca, w których kupujesz kosztowne ubrania. Gdzie zdobyłeś pieniądze na futro?

Po chwili wzruszył ramionami.

— Na poddaszu w Printer Row. Miałem szczęśliwy tydzień.

— Przy pokerze,

— Przeważnie. Czasem gramy w blackjacka, żeby się nie znudzić.

— I grasz o stawki wystarczająco wysokie, żeby kupić futro z norek.

— Potrzeba wysokiej stawki, żeby utrzymać zainteresowanie.

— Nie bądź śmieszny. Ona by cię nie opuściła. Od dwóch lat próbuje cię namówić na małżeństwo.

Wzruszył ramionami.

— Trzeba wysokiej stawki, żeby utrzymać moje zainteresowanie.

— Nie wiedziałam, że jesteś znudzony.

— Z tobą nie — odparł szybko. — Dużo się tu dzieje i podoba mi się, że jestem częścią tego hotelu, ale, do diabła, Lauro, musisz przyznać, że to tylko praca. Nawet jeśli jest to twój wspaniały hotel, każdy potrzebuje w życiu czegoś więcej, ryzyka, wolności, czegoś takiego. Wszystko wygląda zupełnie inaczej, jeśli wiele ryzykujesz i nie wiesz, jaki będzie rezultat. Rozumiesz, co mam na myśli?

Mam pięć milionów dolarów długu, a on mnie pyta, czy wiem co ma na myśli, zachnęła się w duchu.

Ale to nie to samo, pomyślała natychmiast. Ja ryzykuję, żeby odzyskać marzenie Owena i zbudować swoją przyszłość. Clay uprawia hazard dla emocji i pieniędzy.

No i co z tego? Ma dwadzieścia cztery lata, pracę, którą dobrze wykonuje. Mieszka z kobietą, jest lubiany przez przyjaciół, jest dla nich szczodry, jest dobry dla niej, a jeśli postępuje nie tak, jak ona, to jego sprawa. Clay ma własne życie. Nie jest jego matką.

— Rozumiem, ale nie wiesz, kto siedzi po drugiej stronie stołu — powiedziała łagodnie. — Niebezpiecznie jest grać z nieznanymi.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech ulgi.

— Za to, moja droga siostrze, ty również dostaniesz teraz świąteczny prezent. —

Sięgnął za kontuar recepcji i wyciągnął owalne pudełko zawinięte w srebrny papier.

— Otwórz teraz. Nie znoszę, kiedy kobieta otwiera prezent ode mnie, a ja nie mogę być przy tym, żeby widzieć jej twarz.

Laura odwinęła papier i podniosła wieczko. W środku leżał

owalnie ułożony pasek ze złotej siateczki. Sprzączka z tygrysięgo oka pasowała do kasztanowych włosów Laury. Był to dokładnie taki rodzaj dodatków, jakie zaczęła nosić, kiedy nauczyła się odpowiednio ubierać. Szczęśliwy tydzień na poddaszu w Printer Row! W co, do diabła, Clay się wpakował? Pocałowała go.

— Jest piękny, Clay. To najelegantszy pasek, jaki kiedykolwiek miałam. Dziękuję. Kocham cię.

— To rodzinne — powiedział i uśmiechnął się, tym razem z radości. — Ja też cię kocham. Jak przyjęcie?

— W porządku, tylko szef kuchni sprawia kłopoty. Właśnie tam idę. Sprawdź, czy wszystkie limuzyny są przygotowane na dzisiejszy wieczór. Mówiłam, żeby były gotowe za kwadrans dziesiąta. Recital w Chez Fromage zaczyna się o dziesiątej trzydzieści.

Clay zasalutował żartobliwie, po czym pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Jesteś prawdziwą damą — powiedział. Kiedy odchodziła, uśmiechała się, znowu pozytywnie nastawiona do Claya.

Łatwo jest kochać Claya, pomyślała, przechodząc przez restaurację w stronę kuchni. Co prawda, irytował Laurę tym, że był taki dziecinny, ale rozbrajał ją swym urokiem i przypominaniem, że jest jej rodziną i że ją kocha. Ten hazard nie będzie trwał wiecznie, uspokoiła samą siebie, otwierając zamasyżycie drzwi do kuchni. Nawet jego potrzeba przeżywania emocji będzie musiała znaleźć inny kierunek. Wkrótce Myraa dopnie swego. Pobiorą się i Clay się ustakuje. Żona tego dopilnuje.

— Nikt nie będzie pouczał Enrico Garibaldiego jak ma tworzyć! — grzmiał szef, kiedy Laura pojawiła się w lśniącej, idealnie czystej kuchni. — Enrico Garibaldi, kucharz papieży i królów, nie pozwoli się pouczać jakiemuś księgowemu, który myśli, że veau aux champignons to coś tak pospolitego jak jego obliczenia!

Laurze drgnęły usta, ale postarała się zachować powagę.

— Bankier — poprawiła łagodnie. — Pan Currier jest międzynarodowym bankierem, a nie księgowym, jak doskonale wiesz, Enrico. — Enrico nie był nigdy szefem kuchni papieży ani królów, ale Laura darowała sobie ten komentarz. — Nikt nie ma zamiaru cię pouczać. Podziwiamy cię i liczymy na ciebie. Powiedz mi, o co chodzi.

— O pieniądze! — wrzasnął wcale nie ułagodzony. — O cholerne, wszechmocne dolary! Dwie godziny temu odkryłem, że recepcjonista, ten cholerny Francuz, zarabia prawie tyle co ja — geniusz. Ten cholerny recepcjonista będzie dostawał napiwki, a ja nie, więc on będzie zarabiał więcej. Jestem oburzony!

— Widzę — powiedziała Laura. Była świadoma, że kucharze odpowiedzialni za sosy i wyroby cukiernicze stoją cichutko z boku, gotowi zażądać więcej pieniędzy, gdyby Enrico otrzymał podwyżkę. Oczywiście Enrico jej nie otrzyma. — Wybrałeś bardzo zły moment na dyskusję o zarobkach, Enrico. Jeśli zechcesz przyjść do mojego biura w poniedziałek, kiedy wyjadą goście...

— Ja wybieram czas na rozmowę i chcę rozmawiać teraz — oznajmił stanowczo.

— A ja nie pozwolę, żeby wywierano na mnie presję, korzystając z sytuacji! Możesz poprosić moją sekretarkę, żeby umówiła cię na poniedziałek. — Laura odwróciła się, by odejść.

— Nie, nie, nie! Nie odprawia się Enrica z kwitkiem. Ja też mogę odejść!

— Porozmawiamy o tym w poniedziałek — ucięła Laura oschle. — Być może dojdziemy do wniosku, że tak będzie najlepiej.

— Nie ma takiej potrzeby! To tylko sprawa pieniędzy. — Desperacka nuta w jego głosie przekonała Laurę, że chciał pozostać w Beacon Hill. Prawdopodobnie instynkt podpowiedział mu, że ten hotel będzie bardziej prestiżowy niż jego poprzednie miejsce pracy. — Możemy się dogadać w sprawie pieniędzy i będzie spokój! Możemy porozmawiać. Jesteśmy podobni, pani i ja. Tak, to prawda! Niech pani słucha! Enrico był biednym, głodnym chłopcem. Marzył o sławie i fortunie. Potrafi pani to zrozumieć lepiej od innych, bo też zaznała pani biedy i głodu, wiem o tym. Słyszałem od moich kolegów z innych hoteli. Wie pani, co to głód i bieda. Kradła pani i była pani w więzieniu. Okradła pani ludzi, u których pani mieszkała, bo była pani głodna i...

— Dosyć! Jak śmiesz! Jak śmiesz? — Twarz Laury płonęła. Paznokcie wbijały się w dłonie.

„Słyszałem od moich kolegów”. Kto jeszcze wiedział? Jak wiele pamiętali z relacji prasowych sprzed trzech lat? Jakie plotki ciągnęły się za nią niczym długie cienie, które mogą sprawić, że potężni ludzie odwrócą się od niej, zamiast dać jej szansę?

Kuchnię wypełnił krwawoczerwony blask. Twarz Enrica kołysała się przed oczami Laury, jak balon w wysokiej kucharskiej czapce. Mówił coś, czego Laura nie słyszała. Wyrzucić go stąd! Wszystko inne nie miało znaczenia. Wyrzucić go stąd! Nie pozwoli przeszłości zniszczyć życia, które buduje. Nikt tego nie zniszczy, ani naćpany piosenkarz, ani kucharz-szantażysta. Nic jej nie powstrzyma teraz, kiedy już zaczęła. Tu jest jej prawdziwy dom i zrobi wszystko, żeby uwolnić go od szponów przeszłości, które próbowały ją zdusić, kiedy najmniej się tego spodziewała.

— To wszystko nieprawda! Kłamstwa! Kłamstwa! Nieważne. Jesteś zwolniony! Wynos się!

— Ale... chwileczkę... Musi pani zrozumieć! Nikomu tego nie powiem! Zachowam pani sekret! Możemy się dogadać. Chodzi tylko o pieniądze! Ustalimy to, dotrzemy do swoich sekretów, zrozumiemy się...

— Nie! Ty cholerny, skamłający łajdaku, wynos się stąd! — Jej głos drżał z wściekłości. — Cokolwiek jesteśmy ci winni, zostanie odesłane. Jesteś zwolniony. Wynos się i trzymaj się z daleka!

— Nie może pani tego zrobić! Potrzebuje mnie pani! Beze mnie wszystko się zawali. Kolacja jest o ósmej. — Spojrzał w twarz Laury i cofnął się o krok. — W jadalni będą siedzieli głodni ludzie!

Prawie na oślep przeszła przez kuchnię i podniosła słuchawkę telefonu.

— Powiedziałam ci, żebyś się wynosił! Jeśli nie zrobisz tego za minutę, zadzwonię na policję i każę cię aresztować za usiłowanie szantażu.

Poruszał ustami, jakby próbował odgadnąć, czy Laura blefuje, ale nie potrafił, nie miał pewności. Minuta minęła. Laura zaczęła wykręcać numer. Suka! — zaklął. Zerkając na kucharzy, którzy stali w kącie, próbując być jak najmniej widoczni, obrócił się na pięcie, przemaszerował przez kuchnię i wyszedł przez tylne drzwi holu. Laura czekała, by usłyszeć otwierające i zamykające się drzwi wejściowe. Położyła słuchawkę.

— Zobaczcie, czy sobie poszedł — powiedziała do kucharzy. Pobiegli do holu i za chwilę powrócili, kiwając głowami.

Laura zaczęła spokojniej oddychać. Jej twarz nadal była ceglasta, ale kuchnia nie płonąła już jak piekło. Białe kafelki i nieskazitelna stal były znowu czyste i chłodne.

— Czy potraficie dokończyć jego dzieło? — zapytała Laura kucharzy.

— Ja przygotowuję tylko desery — odparł kucharz odpowiedzialny za wyroby cukiernicze.

— Ja też nie znam menu całego przyjęcia — rzekł kucharz zajmujący się sosami.

— Część potraw jest gotowa — stwierdził cukiernik. — Trzy pasztety na przekąskę i zupa z raków. Jest też sos... — Wzruszył ramionami. — Enrico lubi zachowywać swoje sekrety kulinarne dla siebie.

Zamiast gorąca, Laureę ogarnął chłód. Dwieście osób na kolacji. Osób, które mają z uśmiechem odjechać pod koniec weekendu i opowiedzieć swoim przyjaciołom na całym świecie o wspaniałym, świetnie prowadzonym hotelu Beacon Hill, gdzie wszystko urządzono doskonale, dla ich wygody i przyjemności.

Głodni ludzie w jadalni.

A Laureę Fairchild poniosły nerwy w kuchni.

— Przygotuj desery — powiedziała do cukiernika. — Ty możesz zrobić sałatki — rzekła do drugiego kucharza. — Potrafisz, prawda?

— Jasne.

— Czy wiecie, co miało być podane na początek?

— Cielęcina z grzybami. I mus z papryki... jak sądzę. Jeszcze ryż z czymś tam.

Laura kiwnęła głową. To wspaniale zaczynać od tak bogatych informacji.

— Wrócę tak szybko, jak będę mogła.

Prawie przebiegła przez hol. Musiała znaleźć Curriera. On będzie wiedział, do kogo zadzwonić. Czy istnieje jakaś agencja zatrudniająca dorywczo szefów kuchni, którzy mogliby wpaść na trzy godziny przed kolacją? A może Wes ma jakiegoś przyjaciela? On wszędzie ma przyjaciół. O Boże, zepsułam przyjęcie, pomyślała. Jak dotąd było doskonale. Goście bawili się wspaniale, a teraz będzie okropnie i wszyscy dowiedzą się, że Laura Fairchild nie potrafi prowadzić hotelu, że nadal jest dziewczyną ze slumsów w Nowym Jorku i ma paskudny charakter, ale próbuje nakłonić ludzi, żeby ją kochali i podziwiali. Przywłaszcza sobie ich miłość. Wciąż jest złodziejką i nieudacznicą.

Przystanąła obok stołu, gdzie Mary pakowała ostatni z zakupionych tego dnia prezentów gwiazdkowych. Spojrzała w głąb kawiarni. Dobiegły ją ciche rozmowy, przerywane od czasu do czasu wybuchem rubasznego śmiechu oraz brzękiem porcelany i srebra. Niektórzy goście już wychodzili, by przebrać się do kolacji. Obok lustrzanej ściany harfistka grała kompozycje Ja-cquesa Brela, niebawem goście mieli oklaskiwać samego barda. Przy małym stoliku koło kominka siedziały Rosa i Kelly, uśmiechając się do siebie, zadowolone z przyjaźni, którą nawiązały. Rosa spojrzała na twarz Laury i jej uśmiech zniknął. Kelly popatrzyła w tym samym kierunku. Obie wstały i natychmiast podeszły do Laury.

— Co się stało? — pytały jedna przez drugą.

Rosa! — Laura była pewna, że znalazła wybawienie. Po chwili pokręciła głową. Nie, to niedorzeczny pomysł. Dowodził tylko, jak rozpaczliwie szuka wyjścia z sytuacji. Nie może zatrudniać Rosy. Rosa jest jej gościem. Poza tym przygotowywała jedynie przyjęcia rodzinne, a nie kolacje dla dwustu osób.

— Co oznacza to kręcenie głową? — spytała Kelly. — Nikt nie umarł? Nic się nie stało?

— Właśnie zwolniłam szefa kuchni — powiedziała Laura. — Zrobiłam to w najbardziej nieodpowiednim momencie, ale on powiedział coś, co bardzo mnie zdenerwowało i... wywaliłam go.

— Znowu te nerwy — Rosa pokiwała głową. — Tyle razy cię ostrzegałam. — Zamyśliła się. — Podejrzewam, że kręciłaś głową, bo nie możesz zaufać jego personelowi. Tak?

— To nie jest kwestia zaufania. Oni niewiele wiedzą... albo udają, że nie wiedzą. Prawdopodobnie nie chcą brać na siebie odpowiedzialności. Szukam Wesa. Widziałyście go? Może on wie, do kogo mogłabym zadzwonić.

— No cóż — zaczęła Rosa powoli. Spojrzała na Kelly, potem znowu na Laurę. — Kolacja ma być o ósmej?

— Tak. Nie mogę przesunąć godziny. O dziesiątej wyjeżdżamy na recital.

Myślałam, że Wes jest tutaj. On na pewno wie, do kogo mogę zadzwonić. Sporo już przygotowano, ale potrzebny jest ktoś, kto wie, jak to wszystko połączyć i odpowiednio podać.

— Tak właśnie myślałam — powiedziała Rosa. Jej oczy jaśniały. Znow spojrzęła na Kelly z uśmiechem.

— Dziwne — wtręciła Kelly od niechcienia. — Ja też tak właśnie myślałam.

Oczywiście nie mam zamiaru dyktować ci, co powinnaś zrobić, ale potrzebujesz kogoś utalentowanego. Rosa mówiła mi, że jest kucharką wysokiej klasy. Ja jestem niezła w wydawaniu poleceń. Wspólnie sprawimy, że w okamgnieniu robota będzie wrzała w twojej kuchni. Zafundujemy ci obsługę, z której będziesz dumna.

— Nie jesteście tu po to, żeby kogokolwiek obsługiwać. — Laura dotknęła ramienia Kelly. — Dziękuję. Prawdę mówiąc, pomyślałam o Rosie, ale to nie w porządku. Jesteś tutaj, by się dobrze bawić, a nie pracować.

— Jeśli chcę pracować, moja panno — obruszyła się Rosa — to ty nie będziesz mi mówić, po co tutaj jestem.

Laura wybuchnęła śmiechem.

— Masz rację, ale jednak nie mogę cię prosić o pomoc. Jesteś przyzwyczajona do kuchni w domach, a nie do takiej, w której przygotowuje się posiłki dla dwustu osób. To nie jest posiadłość, to...

— Doskonale wiem, co to jest — Rosa wyprostowała się. Sięgała Laurze za ledwie do podbródka, ale podniosła wysoko głowę. — Mówiłam ci, że gotowałam dla wielu obecnych tu ludzi. Niektórzy mnie rozpoznali. Przygotowywałam kolacje dla dwustu osób pod namiotami. Jaki jest jadłospis?

— Nie sądzę...

— Pytałam tylko, jaki jest jadłospis, moja panno.

— Cielęcina z grzybami i mus z papryki.

— Trzeba przyznać, że nie jest skończonym gamoniem. To proste, a jednocześnie imponujące dania. Cielęcina ze smardzami i mus to potrawy, które każdy szanujący się kucharz zna na pamięć. Mogłabym to przyrządzić z jedną ręką zawiązaną na plecach i z zamkniętymi oczami. Przygotowywałam już takie potrawy, moja panno. Jeśli sądzisz, że goście, którzy jedli je przy stole pana Owena lub Feliksa i Leni, nie byli tak wybredni jak ci tutaj, to grubo się mylisz.

— Jeden warunek — zastrzegła Kelly. — Sprzątanie zostawiamy dla kogoś innego. Chcę zobaczyć Jacquesa Brela, pić szampana i dobrze się bawić. Jestem to winna Johnowi. Przyrzekłam mu, że

choć ja doskonale się rozerwę, skoro on musi zostać w domu i doglądać pensjonatu. Ale do czasu wyjazdu z radością ci pomogę. Lauro, skoro nikt inny ci tego nie proponuje, to jak, do diabła, możesz się opierać?

— Czemu opierać? — zapytał Currier, słysząc ostatnie słowo.

— Oddaniu nam kuchni we władanie — odparła Kelly, zanim Laura zdołała ją powstrzymać.

— Szef kuchni odszedł, a my zamierzamy dokończyć kolację, jeśli Laura nam pozwoli.

Wes utkwiał wzrok w Laurze.

— Odszedł? Pozwoliłaś mu rzucić pracę?

— Wyrzuciłam go z pracy. Przepraszam. Wes, on powiedział... Nieważne, co powiedział. Nie powinnam była tego zrobić, ale zrobiłam. Czy nie znasz kogoś, kto mógłby go zastąpić?

— Oczywiście, że znam. Chwileczkę. — Ukrywał swą złość. Widziały to. — Ostatnio zamknięto dwie restauracje. Znam szefów kuchni. Zadzwoń. Będziemy tu kogoś mieli w ciągu pół godziny.

— A jeśli nie? — spytała Kelly. — Może nie ma ich w mieście albo leżą w łóżku z grypą?

— Wtedy znajdę kogoś innego — warknął Wes. — To jest hotel, a nie klub gospodyń. Zatrudniamy profesjonalistów, na których można polegać.

— Chyba że posuną się do szantażu — mruknęła Laura.

— Jak to?

— Nieważne. Wes, zdecydowałam. Chcę, żeby Kelly i Rosa to zrobiły. Dzięki Darnton, Kelly zna się na rzeczy tak dobrze jak każda inna osoba, którą byśmy zatrudnili. Rosa potrafi dokończyć to, co zaczął Enrico. Wiem, że potrafi.

— Bez wątpienia — rzekła Rosa. — Mam siedemdziesiąt pięć lat i nie ma takiej kuchni na świecie, z którą bym sobie nie poradziła. Ale utrudniacie moje zadanie, wciągając mnie w pogawędkę, podczas gdy powinnam brać się do roboty. Mam zwyczaj pracować, a nie rozmawiać. Laura może to potwierdzić, panie Currier. Naprawdę umiem sobie radzić w kuchni. — Stała przed nimi korpulentna, zdecydowana i zarumieniona.

— To nie jest rozwiązanie — powiedział Currier. — Chodzi o ważną kolację. Nie będziemy ryzykować...

— Owszem, będziemy — przerwała Laura. — Daruj, Wes, ale chcę to zrobić. Wierzę w Rosę i Kelly tak jak one we mnie i mam zamiar im zaufać. Może się okazać, że są o wiele bardziej odpowiedzialne niż tak zwani profesjonaliści. — Wyciągnęła ręce do Rosy i Kelly. — Dziękuję. Dajcie mi znać, jeśli będziecie czegoś potrzebować. Roso, żałuję, że nie mogę ci pomóc. Byłoby tak, jak... Nie mogę. Będę zajęta tutaj. Powierzam wszystko tobie i Kelly. Nie wiem, jak mam wam obu dziękować.

— Zostaw to na później — odparła lekko Kelly. — To będzie bombowa kolacja. A co z Farleyem? Czy mamy przygotować dla niego jakąś psią potrawę?

— Nie ma z czego żartować — rzekła Rosa z dezaprobatą. — Zostawimy dla niego trochę cielęciny. Obudzi się zgłodniały i zawstydzony. Chodźmy. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wezmę się do pracy.

Currier i Laura obserwowali, jak szły razem przez korytarz i zniknęły za drzwiami restauracji. Stanowiły dziwaczną parę. Kelly była wysoka i potężna. Czarne włosy tworzyły rozedrganą aureolę wokół jej głowy. Szła, stawiając duże kroki. Rosa była niska i okrągłutka. Kołysała się, próbując dotrzymać Kelly kroku. Jej siwe włosy upięte były w elegancki lok. Podnosiła głowę, gdy mówiła do Kelly.

— To nie było rozsądne — stwierdził chłodno Currier. — To nie jest dobry interes. To nawet nie jest dobra przyjaźń. Jeśli one zrujną twój wieczór, przyjaźń również będzie zrujnowana.

— Podejmujemy ryzyko, ale one nie zrujną tej kolar'i, Wes.

— To ślepa wiara, nic więcej. Co, na miłość boską, w ciebie wstąpiło, że wyrzuciłaś Garibaldię?

— Powiedział mi, że słyszał o tym, że byłam złodziejką i siedziałam w więzieniu.

— Próbował cię szantażować? Skinęła głową.

— Cholerny dureń. Ale to nie powód, żeby zwalniać go na trzy godziny przed kolacją.

Laura nie odpowiedziała.

— Kiedy nalegałaś na nazwę OWL Development, mówiłem ci, że w interesach nie ma miejsca na sentymenty i na emocje. Jeśli nie potrafisz tego oddzielić, będziesz zgubiona.

— Nie, nie potrafię. — Spojrzała na niego. — Nie pozwalałam sobie ostatnio na sentymenty, Wes. Ale jeśli coś jest wystarczająco istotne, kieruję się nimi. Nie sądzę, aby mnie to zniszczyło. Musisz mi zaufać.

Spojrzał jej prosto w oczy. A jeśli nie, to co? — zastanowił się. Jeśli ci nie zaufam, powiesz mi, że nie ma dla mnie miejsca w twoim życiu? Nie możesz. Jesteś związana ze mną finansowo. Czy w decydującym momencie poddasz się?

Pomyślał o tym tylko przez chwilę. To nie czas i miejsce na konfrontację. Muszą poczekać, aż ten weekend się skończy. Aż skończy się kolacja Rosy. Chryste, co za hazard! Wes nie sądził, że Laura jest zdolna zrobić coś tak głupiego.

Goście przechodzili obok nich, opuszczając kawiarnię, by przebrać się na kolację. Przystawali, wyrażając swe opinie o umeblowaniu, obsłudze, jedzeniu i sprawnej organizacji. „To zadziwiające, jak na nowy hotel!” — wykrzyknęła Amelia Laughton, a jej mąż kiwnął głową. „Bardzo eleganckie wnętrza” — rzekł Carlos Serrano, całując dłoń Laury. „Wyśmienity gust” — skomentowała włoska projektantka mody Flavia Guarneri. Laura dziękowała im z uśmiechem, myśląc, że za trzy godziny albo wszystko się zawali, albo przeżyje następny tryumf. Wreszcie ostatni goście wyszli z kawiarni i Laura pozostała tam tylko z Currierem.

— Nie mieliśmy wolnej chwili dla siebie przez ostatnie trzy tygodnie — powiedział.

— W poniedziałek wyjedziemy na kilka dni. Zrobiłem rezerwację w jednym z moich ulubionych miejsc.

— Nie mogę, Wes. Jeszcze nie teraz. Mamy rezerwacje na następne trzy tygodnie, a Flavia powiedziała mi, że przyjedzie na pokaz w Ultimo i przywiezie ze sobą przyjaciół,

— Masz personel. Jest też twój brat. Nie możesz spędzać tutaj każdej minuty.

— Muszę być tutaj zawsze, kiedy jestem potrzebna. Czy kiedykolwiek porzuciłeś swoje przedsięwzięcie w pierwszym tygodniu funkcjonowania?

— Porzuciłem je przynajmniej na noc, żeby mieć trochę energii dla mojej partnerki. To prawda, pomyślała Laura. Ostatnio była zbyt zmęczona, by się kochać.

— Masz rację. Nie byłam ostatnio osobą, z którą można się

rozerwać. Potrzeba mi kilku dni, żeby się uspokoić. Przrzekam, że potem wszystko wróci do normy.

— Ale, jak sądzę, nie będziesz jeszcze gotowa do wyjazdu?

— Jeszcze nie. Może... Może wiosną.

Wes zaczął coś mówić, ale potem zmienił zdanie.

— Przebiorę się na kolację. Idziesz ze mną?

— Dołączę do ciebie za chwilę.

Odszedł do apartamentu, który wzięli dla siebie na ten weekend, a Laura samotnie chłoneła chwilę spokoju. Będzie musiała zmienić plany. Jest winna Currierowi trochę energii i uwagi. Nie byłoby między nimi tylu spieć, gdyby poświęciła mu więcej czasu, zamiast pozwalając, by hotel zabierał jej każdą minutę dnia.

Jednakże nie tylko Chicago Beacon Hill wypełniał teraz jej myśli. Zaczęła już wybiegać w przyszłość. Nie powiedziała o tym Currierowi ani nikomu innemu. Oczywiście niewiele będzie mogła zdziałać jeszcze przynajmniej przez rok, ale jej wyobraźnia ogarniała już trzy inne hotele Owena, jego plany i jej marzenia o ich przeobrażeniu. Nie wiedziała jeszcze dokładnie, jak tego dokona, skąd weźmie pieniądze i kiedy kupi wszystkie trzy hotele, jeśli w ogóle będzie to możliwe. Najbardziej niepokoiła ją myśl, że Feliks może sprzedać hotele, zanim uda jej się zdobyć pieniądze. Może się również zdarzyć, że Laura nigdy nie zdobędzie tych pieniędzy. Musiała jednak wierzyć, że jej się to uda. Zamierzała tego dokonać za wszelką cenę i jak najszybciej. Nie miała zamiaru pozwolić, aby ktokolwiek ją powstrzymał.

Nowy Jork Salinger, powiedziała sobie w myślach, a potem szybko poprawiła:

Nowy Jork Beacon Hill. Filadelfia Beacon Hill. Waszyngton Beacon Hill.

Feliksie, to dopiero początek. W najbliższych dniach ty i twoja rodzina dowiedziecie się, że tu jestem. Będę miała hotele, które mi ukradłeś, przrzekając, że nigdy ich nie dostanę. Wypełnię je sławnymi, zamożnymi i potężnymi ludźmi, jakich najbardziej podziwiasz. Sprawię, że będą płacić.

Odwróciła się i wyszła z kawiarni, żeby dołączyć do Curriera i zmienić strój do kolacji. Uśmiechała się do siebie. Wtedy, Feliksie, zdasz sobie sprawę, że ja i Owen jednak cię pokonaliśmy.

Rozdział dziewiętnasty

Może być wiceprezesem ochrony — warknął Feliks do swojej córki, która dzwoniła z Amsterdamu i do żony, która siedziała przy drugim aparacie w innym pokoju rezydencji. — Powiedziałem ci to już miesiąc temu i nie zmieniłem zdania.

Mówiłem też, że to tylko okres próbny. Nic o nim nie wiemy, poza tym co jest napisane w raportach kierownictwa hotelu.

— Powiedziałam wam o nim wszystko — rzekła Allison. — Od roku wam o nim mówię.

— Od roku słyszymy tylko twoją romantyczną paplaninę. Nie chciałaś, żebyśmy go poznali. Kiedy nas odwiedziłaś, przyjechałaś sama, twierdząc, że nie chcesz, abyśmy przyjeżdżali do ciebie. Twoja kuzynka Patrycja uważa, że on jest łowcą posagów. Wręcz nie powinienem mu obiecywać pracy. Zawężamy przedsiębiorstwo, nie rozszerzamy. Nie widzę powodu, żeby miał dostać kierowniczą funkcję, jeśli nie zaczynał od najniższego stanowiska.

— Zaczynał tak w Amsterdamie. Będzie twoim zięciem.

— To żaden powód. Thomas Janssen jest moim szwagrem, a nie pracuje już dla firmy.

— Odszedł z własnej woli — wtrąciła cicho Leni. — Zaraz po śmierci Owena. Nadal jednak jest udziałowcem i członkiem zarządu.

— Proszę cię o to—powiedziała Allison. — Czy to nic nie znaczy? Zapadła chwila ciszy. Jaka matka, taka córka, pomyślał Feliks, chłodna i niezależna. One nie proszą o miłość. Nic więc dziwnego, że ich nie kocham.

Nadal jednak był z nich tak dumny jak przez minione dwadzieścia cztery lata. Ta duma nigdy nie wygasła i obecnie była czymś w rodzaju miłości. Kiedy patrzył na nie i widział, jak ich uderzająca elegancja sprawia, że przechodnie odwracają się za nimi, ogarniała go satysfakcja posiadacza, jak w momencie kroczenia przez hol jego hotelu. Stawał się większy, bardziej widoczny i bardziej mu zazdrozczono. Feliks Salinger, który zdystansował swego ojca w rozbudowywaniu jego hotelowego imperium i przeobrażał przedsiębiorstwo, pozbywając się mniejszych nieruchomości, a koncentrując na ogromnych. Feliks, który przewyższał ojca nawet w życiu rodzinnym. Żona ojca umarła po dziesięciu latach małżeństwa, a Feliks nadal miał żonę.

Teraz, kiedy słyszał jak rozmawiają przez telefon, a ich wyraźny bostoński akcent dźwięczał mu w uszach, ponownie ogarnęło go poczucie spełnienia. To dzięki jego hojności one były tym, kim były: bogatymi, podróżującymi po świecie paniami Salinger. Nie były łagodne i uległe, ale stanowiły część jego imperium i istotę jego egzystencji. Ponieważ w ubiegłym roku Sieć Hoteli Salinger zaczęła przeżywać pewne kłopoty, Feliks potrzebował swej żony i córki jak nigdy dotąd. Stanowiły one dowód na to, że zawsze w końcu odnosił tryumf.

Patrzył na wirującą za oknem grudniową zamieć, przesłaniającą domy po przeciwnej stronie ulicy. Białe Boże Narodzenie, pomyślał. Biały, świąteczny ślub. Szkoda, że jego córka nie jest dziewczyną. To byłoby takie stosowne. Mało tego, że nie jest dziewczyną. Nie zachowuje nawet pozorów, aby wzbudzać powszechny szacunek. Otwarcie żyje z mężczyzną, o którym nikt nic nie wie. Zawiadania telefonicznie o zaręczynach w Święto Dziękczynienia. Planuje przyjazd do Bostonu na tydzień przed ślubem. Co ona ma do ukrycia?

— Co ty ukrywasz? — spytał gwałtownie.

— Ciągłe mnie o to pytasz. Niczego nie ukrywam. Ben jest wspaniały. Po prostu chciałam, żebyśmy mieli czas dla siebie i zaczęli wspólne życie bez tłumy obserwatorów. Tyle okropnych

rzeczy wydarzyło się w domu. Poślubienie Thada było straszliwym błędem. Potem umarł dziadek i wyniknęło to całe zamieszanie z... z jego testamentem... Nie mogłam znieść myśli, że coś jeszcze może się nie udać. Chciałam, żeby z Benem wszystko układało się jak najlepiej. — Zapadła cisza. — Czy nie możecie tego zrozumieć?

— Możemy — odparła Leni — ale byłoby nam znacznie milej, gdybyś powiedziała to kilka miesięcy wcześniej. Tak długo trzymałaś wszystko w sekrecie. Szkoda, że nie podzieliłaś się swoimi odczuciami ze mną... z nami.

— Wiem. — Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Feliks słyszał delikatny świst przypominający o dzielącym ich tysiącu mil. — Ale to przeszłość — rzekła Allison spokojnie. — Nie ma już żadnych tajemnic. Wracamy do domu, będziemy mieszkać w Bostonie i często was widywać. Chciałam się tylko upewnić, że Ben otrzyma pracę. Powiedział, że będzie szukał posady, kiedy przyjedziemy do Bostonu, ale po cóż miałby to robić? Mamy przecież przedsiębiorstwo i tam jest jego miejsce. Zadowolona go stanowisko wiceprezesa ochrony. Nie myśl sobie, że narzeka z tego powodu. To ja uważam, że powinien kierować czymś ważniejszym. Finansami lub czymś w tym rodzaju. Czymś istotniejszym i lepiej płatnym.

Feliks poruszył się niespokojnie na krześle.

— Nie było mowy o zarobkach i nie zmuszaj mnie, żebym teraz to omawiał.

— Nie zmuszam cię. Wspominam o tym, bo Ben na pewno tego nie zrobi. On nigdy by nie powiedział, ale wiem, że jest zakłopotany, mając o wiele mniej niż ja.

— Więc będzie musiał nauczyć się to akceptować albo znaleźć sposób, aby samodzielnie mógł się wzbogacić. Nie będę go traktował w szczególny sposób. Czy to jasne?

— Tak, oczywiście — odparła lakonicznie. — W naszej rodzinie liczą się tylko interesy. Nie ma miejsca na sentyment. Pewnie Ben przywyknie do tego. On nie jest zbyt sentymentalny. Prawdopodobnie będziecie się świetnie rozumieli.

— Chciałabym porozmawiać o ślubie — wtrąciła Leni, zanim Feliks zdążył odpowiedzieć. — W przeddzień zjemy u nas kolację, a po ceremonii wydamy uroczysty obiad. Oczywiście będzie tylko rodzina. Ostatnio nieczęsto spotykamy się wszyscy razem. A może chcesz, żebym zaprosiła niektórych twoich przyjaciół?

— Nie, tylko rodzinę — odparła Allison. — Ben upiera się, żeby urządzić małe przyjęcie, bez rozgłosu. On jest najbardziej skrytą osobą, jaką znam. Czy Rosa do ciebie dzwoniła? Napisałam do niej i poprosiłam, żeby zrezygnowała z emerytury i przygotowała nasz weselny obiad.

— Tak, dzwoniła. Jest uszczęśliwiona, że ją poprosiłaś. Feliks przysłuchiwał się rozmowie o jadłospisie, o skromnej ceremonii w ich salonie i o zakupach, które Allison chciała zrobić zaraz po powrocie. Zwykle odkładał słuchawkę w takich momentach, ale dziś słuchał. Był zakłopotany i trochę poruszony pewnością siebie i opanowaniem w głosie Allison. Tak długo była zagubiona. Zmieniała mężczyzn i zainteresowania. Podróżowała z jednego kraju do drugiego, a teraz wydawała się obca. Ta cała gadanina o zyskiwaniu syna to czyste brednie, pomyślał. Nic nie zyskiwał. Tracił córkę, którą, jak mu się zdawało, znał. Ogarnął go gniew na Bena Gardnera. Ona nawet przyjmie jego nazwisko, zirytował się tą myślą.

— Do widzenia, tatusiu — powiedziała Allison — Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Tatusiu — jej głos zmienił się. Stał się młodszy i łagodniejszy. — Proszę, bądź miły dla Bena, dla nas obojga. Przepraszam, że nie chciałam, abyście go poznali, ale to była wyjątkowa znajomość i pragnęłam, żeby tak pozostało. A Patrycja okazała się taką zmiją...

— Allison, to twoja kuzynka — powiedziała Leni

— Przepraszam. Ale była fałszywa i robiła obrzydliwe aluzje właśnie wtedy, gdy byłam najszczęśliwsza. Nie widziałam powodu, żeby bronić ukochanego mężczyznę przed ludźmi, którzy nic o nim nie wiedzą. Wolałam trzymać ich wszystkich z daleka. To wydawało się o wiele prostsze. Wiem, że zraniłam wasze uczucia. Przykro mi, ale mamy to już za sobą. Zaczynamy wszystko od nowa i mam nadzieję, że będziecie... mili.

— Zawsze jestem uprzejmy, Allison — odparł Feliks. Wiedział, że chciała go poprosić, by był kochający, ale prawdopodobnie przemyślała sprawę. — Wszyscy z radością zobaczymy cię w przyszłym tygodniu.

— Do przyszłego tygodnia — powtórzyła Allison łagodnym głosem. Feliks odwiesił słuchawkę, usatysfakcjonowany, że córka błagała go o pomoc, a on zastraszył ją, panując lepiej nad swymi emocjami niż ona. Zawsze panuje nad sytuacją, pomyślał, wracając do papierkowej roboty. Przyswajał sobie informacje, a potem

reagował bez zastanowienia i bez wahania. Zdolność podejmowania szybkich decyzji była jego siłą i polegał na niej, kiedy czasem czuł się osaczony trudnościami w przedsiębiorstwie, albo tą przekłątą aferą z Allison.

Jej nowe małżeństwo nie przyniesie mu żadnej korzyści. Nie doda mu prestiżu ani nie przysporzy rodzinie bogactwa. Nawet nie uczyni go teściem wspaniałego rodowodu, jak w przypadku Thada Wolcotta; co prawda, zadłużonego, ale jego rodowód sięgał Mayflower. Córka Feliksa wychodziła za mąż za nikogo, za zero, o które będą musieli się potykać w zarządzie przedsiębiorstwa, do czasu, aż Allison rzuci go tak jak Wolcotta i wtedy Feliks będzie mógł go zwolnić. Gdyby mógł to przyspieszyć, do diabła, zrobiłby to. Tymczasem, aby zadowolić Allison i jej matkę, będzie zachowywał się tak uprzejmie jak zawsze. Będzie nawet udawał dumnego ojca podczas ślubu. Nie zajmie mu to wiele czasu i nie potrwa długo.

Znałem kiedyś pewnego Gardnera, przypomniał sobie Feliks. Tamten też był nikim. Paul przyleciał do Bostonu na tydzień przed ślubem, mniej więcej w tym czasie, kiedy Ben i Allison mieli powrócić z Europy. Był w mieście po raz pierwszy od swego własnego ślubu osiem miesięcy wcześniej. Kiedy jego samolot przeleciał nad oceanem i zaczął się zniżać ku wysepkom, zatokom i nieregularnym pasmom wybrzeża Massachusetts, Paula ogarnęła refleksja, że prawie wszystko zmieniło się w jego życiu, odkąd ostatni raz przelatywał nad tą okolicą. Wtedy on i Emily byli o włos od szalonego sukcesu. Zdjęcie Emily pojawiło się dwa razy wmagazynie Eye, w formie małej rozkładówki. Potem Barry Marken zawiadomił ją, że kierownik działu mody magazynu Elle chciałby widzieć ją w Paryżu jako modelkę nowych, młodych projektantów. Portrety trzech powszechnie znanych hostess z Manhattanu, zrobione przez Paula, sprawiły, że urywały się telefony od przyjaciół i agentów reklamowych. Była to najprostsza droga do sławy. Kiedy tylko zamieszkali w apartamencie Paula w Sutton Place, natychmiast zostali „odkryci” i wkrótce stali się najznakomitszą parą w życiu towarzyskim miasta. Zapraszano ich na kolacje, bale dobroczynne i dyskoteki. Proponowano im udział w zarządach różnych fundacji. Zostali rzućeni w wir eleganckich, wieczornych przyjęć i codzien-

nej pracy, którą przerwali tylko na czas ślubu w maju. Gdy wrócili z Bostonu, wciągnięto ich znów w życie towarzyskie, a małżeństwo sprawiło, że stali się jeszcze bardziej pożądanymi, ponieważ każde spotkanie towarzyskie było okazją, żeby dowiedzieć się, kto kogo porzucił, kto się od kogo wyprowadził, a kto wprowadził, kto z kim śpi i kto kogo poślubił.

Paul stał się kronikarzem takich spotkań, fotografując zamożnych, wpływowych ludzi w pozach, które sprawiały, że każda dama wyglądała oszałamiająco, a każdy mężczyzna wydawał się tak potężnym, jak sobie wyobrażał. Emily stanowiła symbol, który wszyscy chcieli uważać za własny, ponieważ miała wszystko: bogactwo, doskonałe pochodzenie, młodość, urodę i sławę. Była uosobieniem marzeń dla tych, którzy jeszcze tyle nie osiągnęli.

Jednak jej sława opierała się przede wszystkim na fotografiach, które robił jej Paul. Te zdjęcia podsuwały Jasonowi d'Or i fotografom z innych magazynów pomysły wyzyskania jej piękna. W pozowaniu, tak jak w innych dziedzinach, panują chwilowe trendy, promowane przez szybkich i sprytnych ludzi. Niewinny urok Emily stał się krzykiem mody po obu stronach Atlantyku. Jej wygląd wnosił nowy element na pokazy i wybiegi. Wydawało się, że stroje przez nią prezentowane mogą nosić wszystkie panie, od skromnych dziewczyc po zapracowane kobiety z całego świata. Zanim, po letnim uśpieniu, rozpoczął się sezon towarzyski na Manhattanie, Paul i Emily Janssen byli w centrum zainteresowania, stanowiąc parę doskonałą: utalentowani, piękni, idealnie dobrani. Jeśli nawet się kłócili, to nigdy publicznie. Dopiero w Święto Dziękczynienia Paul miał wolny wieczór na samotne rozmyślenia. Emily była w Londynie na zlecenie konsorcjum brytyjskich projektantów mody, a on nie miał ochoty jechać do Bostonu. Allison zadzwoniła dzień wcześniej z Amsterdamu, żeby powiedzieć mu, że jej ślub z Benem odbędzie się w Boże Narodzenie w Bostonie. Paul poczuł wtedy wielką tęsknotę, taką samą jak rok wcześniej, kiedy zobaczył Leni i jej młodego przyjaciela przed Mayfair Regent. Pamiętał, co powiedziała Emily. „Ona powinna mieć to, co chce, nie to, co może otrzymać”.

Do czego ja doszedłem? — zastanawiał się. Siedział w swojej bibliotece i myślał o ostatnich, szaleńczych miesiącach pracy i rozrywki. Jego portrety ludzi ze świecznika high life'u wisiały

w apartamentach i mieszkaniach na Park Avenue, uświetniały ogłoszenia charytatywne w czasopismach wielu krajów, ale nie prezentowała ich żadna galeria fotografii artystycznej. Paul wiedział dlaczego. Wszystkie wyglądały tak samo i choć były doskonałe, nie były sztuką.

Od wielu miesięcy powtarzał sobie, że wkrótce przekroczy granice rzeczy oczywistych. Musi zmienić oświetlenie, żeby uwypuklić cienie, zamiast je ukrywać. Nie może wygładzać rysów, zmarszczek i worków pod oczami, które nadawały twarzy charakterystyczny wygląd. Musi wrócić do swej wizji. Jednak mijały miesiące, a on robił coraz więcej takich fotografii, jakich oczekiwali ludzie. Unikał kontrowersji, akceptując pochwały w coraz bardziej ponurym milczeniu, które było przyjmowane jako skromność, ożywcza, bo rzadka cecha.

To nie ma sensu, podsumował Paul to, co osiągnął. Przymilne pochlebstwa, szalone życie towarzyskie i więcej zobowiązań, niż poważny artysta jest w stanie przyjąć. Owen byłby pod wrażeniem, pomyślał. Przywołał w pamięci Owena, wysokiego, trochę przygarbionego, jego czarne oczy patrzące srogo, kiedy strofował Paula za niespokojne wędrówki po świecie. „Próbuję się odnaleźć” —mówił zawsze Paul, młody i pewny siebie, a Owen potrząsał głową. „Stracisz mnóstwo czasu, jeśli będziesz nadal bałaganił i nigdy już nie będziesz miał czasu na nic innego w swoim życiu prócz bałaganu.

Bałagan, pomyślał Paul. Cała jego ambicja, by wykonywać wspaniałe fotografie, utonęła w chaosie tworzenia pochlebnych obrazów ludzi żądnych rozgłosu. Zdjęcia te wisiały potem w srebrnych ramach w prywatnych gabinetach albo ukazywały się w rodzimych i zagranicznych czasopismach.

Następnego dnia poprosił sekretarkę, aby odwołała wszystkie jego sesje fotograficzne, tłumacząc, że jest chory.

To nic wielkiego, powiedział do siebie w ten niespodziewanie wolny dzień. Spacerował po Central Parku, pojechał do Klasztorów i siedział godzinami, wpatrując się w średniowieczne gobeliny przedstawiające zmagania armii i monarchii, przy których jego własne udreki stawały się niepozorne. Błąkał się po uliczkach Greenwich Village, SoHo i TriBeCa, spoglądając na twarze wokół niego i rozmyślając, kiedy wreszcie nabierze odwagi, żeby uwierzyć, że potrafi stworzyć sztukę.

Nie wierzę w siebie, cokolwiek to oznacza, stwierdził ponuro po tygodniu samotnego wałęsania się po Nowym Jorku, Powiedział to

do Larry'ego Goulda — przyjaciela z college'u, kiedy usiedli do obiadu w Los Angeles, dokąd Paul pojechał spotkać Emily. Paul i Larry mieszkali w jednym pokoju i przygotowywali razem prace semestralne. Robili wspólnie filmy, które z początku były amatorskie i naiwne, ale wreszcie poprowadziły Larry'ego na szczyt fenomenalnej kariery w dziedzinie reklamy telewizyjnej. Był studentem otrzymującym stypendium. Pochodził z hutniczej rodziny z Indiany. Nim ukończył trzydzieści lat, Goulg Films stało się czołowym studio reklamowym w kraju.

— Prawdopodobnie zdajesz sobie sprawę, co to oznacza. — Larry rozsiadł się w fotelu na zewnętrznym tarasie La Chaumiere. — Pamiętasz przecież wszystkie kursy filozofii w college'u, mówiące o tym kim jesteśmy i dokąd zmierzamy. A może już zapomniałeś?

— Chyba zapomniałem o wszystkim, oprócz tego jak uszczęśliwiać prominentne osoby. — Paul dotknął ciemnoczerwonego pnącza obok ich stolika. — Nie mogę się przyzwyczaić do widoku takich roślin w grudniu. Większość z nich wygląda sztucznie. Wracając do ludzi. Niektórzy pojawiają się w reklamach fundacji dla bezdomnych dzieci lub towarzystw do spraw badań i leczenia chorób serca. Są bardzo zaangażowani w to, co robią. Ale cała reszta to ci, których nic nie obchodzi. Chcieliby tylko widzieć siebie w lśniących kolorach. Pokazać całemu narodowi, jacy są dobrzy. A prawda jest taka, że nie kiwnęliby palcem w sprawie tych, którym rzekomo współczują.

— I co z tego? — Larry obserwował, jak kelner podaje sałatki z krabów. Jego rozjaśnione słońcem włosy były prawie białe, a twarz opalona i melancholijna. Przypominał Paulowi basseta w jasnej peruce. Larry spoglądał leniwie na Paula. — Co cię obchodzi, jak ludzie pozbywają się pieniędzy. Za dolary kupuje się domy dla sierot, instytuty badawcze i inne rzeczy, niezależnie od tego, czy w reklamie ktoś udaje współczucie, czy nie. Czym się tu przejmować?

Paul wzruszył ramionami.

— Nie lubię oszustów i kłamców. Jeżeli jest jakiś szczytny cel, to powinny znaleźć się przyzwoite sposoby zdobycia pieniędzy.

Larry westchnął.

— Prezydent powinien zawsze mówić prawdę, maklerzy powinni być uczciwi, a małżonkowie powinni się kochać. Manhattan cię otumaniał? A może chcesz powrócić do dzieciństwa, aby żyć długo i szczęśliwie w swoim kojcu?

Paul roześmiał się.

— Masz rację. Jestem osioł. — Wziął widelec i dłubał nim w sałatce. — Chodzi o to, że mam wszystkiego dosyć. Sam już nie wiem, jak się w to wplątałem. Jeszcze rok temu wierzyłem, że będę cholernie dobrym fotografem, ukazującym prawdziwe twarze, których świat na co dzień nie widzi. Chciałem pokazać, co kryje się za kulisami... tak jakby moje fotografie były teleskopami, dającymi ludziom nowe spojrzenie na świat, bardziej zrozumiałe i bardziej osobiste niż to, do którego są przyzwyczajeni... Nie wiem, czy coś z tego rozumiesz.

— Dobrze wiesz, że rozumiem. Jak myślisz, z czego ja żyję?

— Robisz reklamy, przyjacielu. To nie ma prawie nic wspólnego z fotografią.

— Czy do robienia filmu nie używa się obiektywu?

— Ale w filmie jest dźwięk i akcja. Film nie opiera się na impresji. Nie zmierza nawet do takiego samego celu jak fotografia.

— Mówisz, jakbyś zjadł wszystkie rozumy. Czy kiedykolwiek reżyserowałeś jakiś film, oprócz tych kilku, które robiliśmy razem w college'u?

— Nie.

— Więc robisz tylko wiele hałasu na temat, o którym zupełnie nie masz pojęcia.

Paul uśmiechnął się.

— Niewykluczone. Może przyłączę się do ciebie, gdy będziesz robił następny film i czegoś się nauczę.

— Czemu nie. W zasadzie — rzekł Larry od niechcienia — myślę, że powinieneś zacząć dla mnie pracować.

Paul uniósł brew.

— Czy wyglądam aż tak beznadziejnie?

— Bardziej beznadziejnie, niż powinieneś. Tutaj, na Zachodzie, ludzie wierzą w szczęście. Sądzę, że możesz znaleźć szczęście w tworzeniu filmów. Posłuchaj. — Larry pochylił się do przodu. Zniknął lekceważący ton w jego głosie. — Chodzi o to, co powiedziałeś o ukrytych twarzach i tym, co kryje się za kulisami. Cholera, Paul, o tym właśnie marzyliśmy, będąc w college'u, prawda? Ty robiłeś fotografie, a ja filmy. Ale potem wpadłem na pomysł, że życie nabrałoby większego uroku, gdybym był bogaty. I miałem rację. Ty o tym wiesz. Byłeś bogaty już w kołysce. Ale

gdzieś po drodze do bogactwa zagubiłem wizję wspaniałych filmów, które chciałem robić, żeby dać ludziom teleskop ukazujący świat w inny, osobisty i bezpośredni sposób. Rozumiesz, o co mi chodzi? Zapadła cisza.

— Chcesz założyć nowe przedsiębiorstwo?

— Zgadłeś. — Dając Paulowi czas do namysłu, Larry powoli smarował masłem kawałek francuskiego pieczywa. — Sądzę, że potrzebujesz czegoś nowego i wiem, że jesteś kimś, kogo ja potrzebuję. Kimś, kto ma mnóstwo pieniędzy i czasu. Kimś, kto nie musi zarabiać na życie i może poświęcić się pracy, bo ją kocha, a nie dla pieniędzy, których taka praca zazwyczaj nie przynosi.

— Czy mogę dowiedzieć się, o jaką pracę ci chodzi? Larry zachichotał.

— Fitmy dokumentalne. Zamierzam założyć firmę produkującą doskonałe filmy dokumentalne o ukrytych twarzach i o tym, co kryje się za kulisami wydarzeń. Chcę, żebyś ty nią kierował.

— Marzenia, przyjacielu. Nie mam pojęcia o filmach, jak sam zauważyłeś. Nie możesz tworzyć przedsiębiorstwa, którym zarządza amator. Chyba że... — przyszła mu do głowy pewna myśl. — Chyba że szukasz inwestora.

— Larry kiwnął głową.

— Między innymi. Ale ciebie wziąłbym nawet bez pieniędzy, bo uważam, że jesteś cholernie dobry. Zrobilibyśmy pierwszy film razem, na dobry początek. Mogę wziąć urlop w moim przedsiębiorstwie. Nie byłbyś długo amatorem. Widziałem cię już w akcji i wiem, jak szybko się uczysz. — Larry wyprostował się. — Pamiętasz, jak rozmawialiśmy w college'u? Mieliliśmy te same pomysły, te same marzenia. Tylko że ty byłeś zbyt bogaty. Nic cię nie skłaniało do tego, aby przekonać się, czy te marzenia mogłyby się spełnić. Teraz jesteś znudzony, znużony, czujesz, że się starzejesz i szukasz czegoś nowego, czegoś całkiem innego. Jeśli nie masz nic przeciwko ciężkiej pracy i wykonywaniu poleceń, to ja nie mam zastrzeżeń, aby zatrudnić cię na jakiś czas. Wiesz, że ja nie próżnuję. Kiedy wydaję polecenia, moi pracownicy skaczą na równe nogi. — Słuchaj, do cholery, ty masz wizję, przyjacielu, a we współczesnym świecie brakuje wizji. Chcę cię mieć z pieniędzmi, czy bez. Jeśli szukasz nowej pracy, masz ją. Zamilkł na ułamek sekundy. — Oczywiście pieniądze by się przydały.

Paul wybuchnął śmiechem.

— Ile?

— Kilkaset tysięcy powinno wystarczyć na początek... ale to nie byłaby inwestycja, Paul. To byłoby coś w rodzaju darowizny. Te pieniądze się nie zwrócą. Filmy dokumentalne nie przynoszą forsy. Mogą uczynić cię sławnym, ale sława nie zapewnia emerytury.

Paul patrzył w talerz. Niespodziewanie przypomniał sobie inną restaurację i inny talerz z czerwonymi szczypcami obok białego mięsa. „Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która potrafi rozłupać homara, nie zmieniając swojego talerza w pobojuwisko. Wspaniałe palce. Byłabyś dobrym magikiem albo kieszonkowcem”.

— ...tematy — mówił Larry. — To byłaby wspólna decyzja, kiedy tylko...

Paul odsunął swój talerz. Coś nowego, pomyślał. Coś innego, ale nie na tyle, aby było mi całkowicie obce. Coś z czego mógłbym być dumny. Emily nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby tutaj zamieszkać. Wszędzie może znaleźć pracę. Będzie im lepiej z dala od tej przekłętej karuzeli, na której się kręcili, nie mając wolnej chwili dla siebie, nie mając czasu, aby przekonać się, co razem osiągnęli. Zasłużyła na to, by uczynił ich małżeństwo najlepszym z możliwych. On zasługuje na życie, z którego będzie zadowolony. Jeśli tego wszystkiego dokona i zrobi to dobrze, nie będzie w jego myślach miejsca na przeszłość.

Dopił swoją kawę.

— Przepraszam Larry, nie dosłyszałem, o czym mówiłeś.

— Powiedziałem, że razem będziemy wybierać tematy filmów. Tak się składa, że mam już kilka pomysłów w zanadrzu, ale omówimy również to, co ty zechcesz zaproponować. Jestem otwarty na wszystko, co kontrowersyjne, prawdziwe i oczywiście genialne.

I tak, dzięki zamożnym sferom z Manhattanu i sałatce z krabów w Los Angeles, Paul Janssen został twórcą filmów dokumentalnych.

Podczas tygodniowego pobytu w Los Angeles Paul i Emily kupili dom w Bel Air z dala od centrum. Prawnicy zaczęli gromadzić dokumenty, które miały uprawomocnić istnienie spółki Gould--Janssen Productions. Dwa tygodnie później trwała już intensywna praca nad ogólnym zarysem działalności przedsiębiorstwa. Paul poleciał wtedy do Bostonu na ślub Allison z Benem Gardnerem. Zastał całą rodzinę oczekującą w terminalu lotniska Logan.

— Miłe powitanie — powiedział, kiedy całowała go matka. — Podejrzewam jednak, że jest zarezerwowane dla Allison i Bena.

— Głównie dla nich — potwierdził Thomas, obejmując syna. — Ale przyszliśmy wcześniej, żeby przywitać ciebie.

Paul policzył swoich krewnych, nie pomijając kilku kuzynów, których nie widział od lat.

— Jedenaście osób. To wygląda jak demonstracja siły.

— Propaganda rodzinnej atmosfery — odparł Thomas. — Twoja ciotka Leni uważała, że to konieczne, bo Feliks jest w niezbyt entuzjastycznym nastroju.

— A gdzie jest Feliks? — spytał Paul, szukając wzrokiem wuja.

— Telefonuje — powiedziała Leni. Uścisnęła Paula. — Tak się cieszę, że zostaniesz tu przez kilka dni. Będziemy mieli okazję porozmawiać. Kiedy przyjeżdża Emily?

— Za trzy, cztery dni.

— A gdzie jest teraz?

— W Scottsdale. Sesja wiosenna dla Vogue. To trwa już trzy tygodnie. Prawie skończyła.

— Dotarłeś w samą porę, jak widzę — rzekł Feliks, wróciwszy z budki telefonicznej. Przewodził całej rodzinie. — Zaczekamy w hali przylotów.

Powiedziałem Allison, że spotkamy się, jak tylko przejdą przez odprawę celną. — Gdy prowadził ich wszystkich przez korytarze, Paulowi wydawało się, że jest zdenerwowany i jakoś dziwnie zaniepokojony.

— Otrzymałeś złe wieści przez telefon? — zapytał Paul od niechcienia.

— Oczywiście, że nie. — Odpowiedź była automatyczna. — Chodzi o jakieś zamieszanie w biurze. Jesteśmy teraz w okresie przejściowym i czasem trudno nakłonić ludzi do wypełniania poleceń.

— W okresie przejściowym?

— Wszystko się zmienia — odparł niejasno Feliks. — Ci, którzy tego nie rozumieją, wypadają z gry. — Zatrzymał się przed nie oznaczonymi drzwiami i nacisnął małą, prawie niewidoczną kłamekę. Wprowadził wszystkich do środka i skierował do zakątka, gdzie stał stół w kształcie skrzydła samolotu, a wokół niego wyściełane krzesła.

— Czy ktoś życzy sobie drinka? — zapytał i przekazał wszystkie zamówienia hostessie, która obsługiwała gości w klubie lotniczym.

— Niezupełnie cię zrozumiałem — ciągnął Paul, kiedy inni zaczęli rozmawiać między sobą. — Czy to znaczy, że zmieniasz sposób funkcjonowania przedsiębiorstwa?

— Pozbywamy się staroci — stwierdził Feliks. — Starych nieruchomości, starych ludzi, starego personelu. Staniemy się sprawniejszą i większą firmą niż kiedykolwiek przedtem.

Paul wziął drinka.

— Ilu ludzi się pozbywasz?

— Ogółem dwudziestu procent, łącznie z...

— Dwudziestu?!

— ...tymi, którzy odchodzą na emeryturę. Czemuż by nie, jeśli tylko pomoże to usprawnić przedsiębiorstwo? Wartość twoich akcji wzrośnie, jeśli nasze bilanse wykażą wzrost efektywności.

— Ilu z tych ludzi było długoletnimi pracownikami? Feliks wzruszył ramionami.

— Realizujemy program dynamicznego rozwoju. Musimy ograniczać koszty.

Zawsze ktoś pada ofiarą postępu.

— Słyszałem o rozwoju — rzekł Paul w zamyśleniu, przypominając sobie listy od rodziców. — Burzysz stare budynki? A może je odnawiasz?

— Powiedziałem ci. Pozbywamy się ich. Tereny są za małe na to, co chcę zbudować. Nie mam zamiaru obarczać się budynkami, które zahipnotyzowały mojego ojca, a na mnie nie robią żadnego wrażenia. Rok temu sprzedaliśmy hotel w Chicago. Miałem już oferty w sprawie hoteli w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Pozostaje Filadelfia oraz kilka innych nieruchomości w Memphis i Fort Worth, które kiedyś zakupiło przedsiębiorstwo. Bóg wie od kogo. Są już chętni do kupna tych budynków. Powoli budujemy nowe. Planuję wybudowanie dziesięciu nowych hoteli w ciągu następnych pięciu lat.

— Jestem pod wrażeniem — mruknął Paul, słysząc wyzwanie w głosie Feliksa i kojarząc jego słowa z innymi, które wcześniej usłyszał: „okres przejściowy... efektywność... ograniczenie kosztów... dynamiczny rozwój”. Zastanawiał się, czy czekają ich burzliwe czasy. Ryzykował duże pieniądze. Jego dochody opierały się głównie na funduszu, który założył dla niego Owen, a duża część tego funduszu ulokowana była w akcjach Sieci Hoteli Salingera.

Drzwi klubu otworzyły się i Allison wpadła w ramiona rodziny.

Ucałowała Feliksa oraz Leni. Wyciągnęła ręce do Paula. Miał dość czasu, by zauważyć jej promienny uśmiech, zanim padli sobie w objęcia.

— Witaj w domu — powiedział łagodnie. Wszyscy krewni tłoczyli się wokół, a oni uśmiechali się do siebie pośród zgromadzonych. Leni jednak stała z boku. Zamarła w bezruchu, wpatrując się w mężczyznę, który wszedł za Allison i teraz stał opodal. Wysoki blondyn. Klasyczne rysy twarzy. Niebieskie oczy ukryte za okularami w rogowej oprawie. Wyraźnie zarysowane usta. Mężczyzna spoglądał na tłum otaczający Allison. Judd, westchnęła Leni. Ben spojrzął w jej zdziwione oczy. Allison objęta ramieniem przez Paula, wyciągnęła rękę. Ben podszedł i ujął jej dłoń, po czym uściśnął rękę Paula i innych członków rodziny. Następnie odwrócił się do Leni i ujął jej dłoń w swe ręce.

— Nareszcie — powiedział. — Tak się cieszę, że panią poznałem. Allison długo ukrywała nas przed sobą, jak niespodzianki.

— Tak — odparła Leni. Była pogrążona we wspomnieniach i nie mogła mówić. Ben na moment zmarszczył brwi.

— Allison nie chciała, żebyśmy spotkali się wcześniej. Ja na to przystałem, więc wina leży również po mojej stronie, ale wierzę, że nie będzie pani miała nam tego za złe. Mówiła, że jej ojciec nie cieszy się z naszego związku, ale mam nadzieję, że pani życzy nam szczęścia.

— Witam. — Feliks ostentacyjnie zmusił Bena do odwrócenia się od Leni.

Rozdrażniło go, że Ben podszedł najpierw do niej. Był zły, że Ben reprezentuje ten typ urody, jakiego najbardziej nienawidził, wściekał się w duchu, że jego córka wita wszystkich z taką dumą i radością, jakby przywiozła ze sobą członka europejskiego rodu panującego, a nie kogoś, kto zjawił się nie wiadomo skąd i zadowala go posada wiceprezesa ochrony. Za kogo on się ma, do cholery, by czuć się usatysfakcjonowanym wysokim stanowiskiem, po które musiałby się czołgać i którego by nie otrzymał, gdyby zdany był tylko na siebie.

— Witaj, Allison — powiedział Feliks, kiedy córka objęła jego sztywne ramiona i pocałowała go. — Jest tu jeden z moich pracowników. Zajmie się bagażem.

Pojedziemy naszym samochodem.

— Doskonale — odparła Allison. — Ben, nie poznałeś jeszcze moich kuzynów... — Przedstawiała ich, wymieniając mnóstwo imion, a potem stanęła w oczekiwaniu na opuszczenie lotniska.

Ben przyglądał się Leni ze zdziwieniem, marszcząc brwi.

— Mam nadzieję, że znajdziemy dziś trochę czasu, żeby porozmawiać i poznać się bliżej.

— Z całą pewnością. — Twarz Leni stała się znów spokojna. Splotła ręce z przodu. On wcale nie wyglądał jak Judd. Nie mogła zrozumieć, co w nią wstąpiło. Twarz Bena była bardziej nieregularna, kwadratowa i mniej delikatna niż twarz Judda. Jego czoło nie było tak wysokie, a włosy mniej falujące. W zasadzie, po głębszym zastanowieniu, podobieństwo było znikome. — Wybacz, że byłam nieuprzejma. W tłumie robię się nerwowa. W domu wypijemy herbatę i będziemy mieli sposobność, aby w ciszy i spokoju zostać przyjaciółmi.

Twarz Bena pojaśniała.

— Cieszę się. Bałem się, że zrobiłem coś, co panią obraziło, a tego bym nie przeboleał. Już czuję do pani taką przyjaźń, jakbym znał panią od lat.

Leni poczuła zawrót głowy. Wzięła Bena pod rękę, gdy szli szerokim korytarzem do garażu parkingowego. Oczywiście, że istnieje podobieństwo, pomyślała. Nie mogła już sobie tego wybić z głowy. To było prawdziwe. Jeśli to naprawdę syn Judda — a nie mogła sobie wyobrazić, że mógłby to być ktoś inny — Leni nie miała pojęcia, czy Judd opowiedział mu o niej. Nie rozumiała, jak to się stało, że Ben odnalazł ich rodzinę i co robi teraz. Czego on od nich chce?

Może absolutnie niczego, mówiła sobie w duchu, gdy szofer otwiera! im drzwi, a reszta rodziny poszła do swoich samochodów. Życie jest pełne zbiegów okoliczności, którym nadajemy jakieś ukryte znaczenie, podczas gdy nie ma żadnego. Jeśli chciał pracować w hotelu, to istniało duże prawdopodobieństwo, że się z nimi zetknie. Byłaby bardzo zdziwiona, gdyby coś o niej wiedział. Miał dziewięć lat, gdy ostatni raz widziała się z Juddem. Nie zapamiętałby, nawet gdyby Judd czuł się tak samotny, że opowiedziałby o nich swemu małemu synowi.

— Twoi rodzice — chrząknęła, zwracając się do Bena, który siedział naprzeciwko Allison. — Allison mówiła mi, że nie żyją.

Skinął głowę.

— Mój ojciec zmarł, gdy miałem trzynaście lat, a matka kilka lat później.

Judd, westchnęła Leni, próbując przypomnieć sobie jego spojrzenie, kiedy leżał na niej i mówił, że ją kocha. Nie żyje. Nigdy nie myślała o nim w ten sposób. Kiedy pozwalała sobie na wspomnienia o nim, przywoływała w pamięci słowa poezji, które zacytował, gdy Feliks spytał go, dokąd chciałby pojechać: „Tam, gdzie mógłbym zrywać złote jabłka słońca i srebrne jabłka księżycy”. Zawsze wyobrażała go sobie w mglistym raju przepelnionym świetlistymi, złotymi i srebrnymi jabłkami oraz spokojem.

Judd. Ogarnęła ją bolesna tęsknota, choć sądziła, że na zawsze pozbyła się tego uczucia. Wiedziała, że to co zdarzyło się między nimi nie było dobre ani dla niego, ani dla niej. Ta miłość nie mogła przetrwać, ale w dobrych momentach było tak wspaniale. Odczuwała pełnię szczęścia... Wydaje mi się, że od tamtej pory ciągle próbuję odnaleźć je na nowo, pomyślała.

Ben zarumienił się i Leni zdała sobie sprawę, że wpatruje się w niego. Żeby wypełnić ciszę, powiedziała szybko:

— Feliks i ja postanowiliśmy podarować wam dom Owena w prezencie ślubnym.

— Och, mamoo! — wykrzyknęła Allison. Wychyliła się, aby ucałować policzek matki, a potem pocałowała Feliksa. — Dziękuję, dziękuję! Ben, poczekaj tylko, aż zobaczysz ten dom. Jest przepiękny. Będziemy mieszkać w pokojach dziadka...

Oczywiście są nieco ponure. Stoją tam mahoniowe meble i wiszą ciemne, pluszowe zasłony. Będziemy musieli urządzić wszystko na nowo.

— Jak duży jest ten dom? — spytał Ben.

— Dwadzieścia dwa pokoje — odparł Feliks.

— Nie potrzebujemy tak ogromnego mieszkania.

— Jeszcze nie — powiedziała Allison spokojnie. — Ale to wymarzone miejsce dla dzieci.

— Nie będzie nas stać, aby utrzymać ten dom — mówił dalej Ben.

— Ależ będzie nas stać. To nie takie kosztów... — Przerwała. — Porozmawiamy o tym jeszcze, dobrze? Warto przedyskutować tę sprawę. Powinieneś obejrzeć dom, zanim podejmiemy decyzję. Pojedziemy tam jutro, dobrze?

Po chwili Ben wzruszył ramionami. Allison spojrzała w oczy Leni. Obydwie pomyślały, że porozmawiają z nim i przekonają go. Leni chciała, żeby mieszkali w tym domu i Allison pragnęła tam zamieszkać. Ben się zgodzi, myślała Leni. Allison jest bardzo zdecydowana, a on polubi ten dom. Leni nie wiedziała, dlaczego jest tego taka pewna, ale była przekonana, że Benowi Gardnerowi spodoba się dom Owena Salingera i będzie chciał w nim zamieszkać, tak bardzo jak jego przyszła żona.

Będzie im ze sobą dobrze, stwierdziła Leni i usiadła wygodnie, obserwując jak szare wybrzeże miga w oknie samochodu, gdy jechali na północ do Beverly. Nie wiadomo, czego chce Ben, ale na pewno nie zamierza skrzywdzić Allison. Widać, że ją kocha, a ona go uwielbia. Jego obecność dobrze wpłynie na nich wszystkich. Potrzebują w rodzinie i w przedsiębiorstwie kogoś nowego, kogoś z zewnątrz. Przywołała wspomnienia. Czy Owen też tak sądził, kiedy wprowadził Laurę do ich grona? Ktoś nowy. Ktoś z zewnątrz... Skutki okazały się katastrofalne.

Czego on naprawdę chce? Trudno było uwierzyć w to, że spotkał Allison przypadkowo. Wydawało się bardziej prawdopodobne, że odszukał ich rodzinę. To nic miało sensu i mogło okazać się zbiegiem okoliczności, ale w tym momencie nie przychodziło Leni do głowy inne wytłumaczenie tej tajemniczej sytuacji.

Nie mogę go o to zapytać, pomyślała. Mogę jedynie obserwować go i odgadnąć jego plany. Z pewnością nie stanie się nic strasznego. Oni się kochają. Są młodzi i szczęśliwi. Nie robi nic, co mogłoby zrujnować to szczęście. Ben nie jest zupełnie obcym człowiekiem. Allison długo z nim mieszkała i poznała go dobrze. Będą razem bardzo szczęśliwi i oni wszyscy również.

Samochód zatrzymał się na podjeździe. Ben otworzył drzwi, zanim szofer zdążył to zrobić. Wyciągnął rękę do Allison. Ciemne niebo rozjaśnione było srebrnym blaskiem księżyca. Światło z samochodu podkreślało kontury twarzy Bena. Leni nie mogła powstrzymać drżenia.

To był doprawdy bardzo dziwny zbieg okoliczności.

Rozdział dwudziesty

Pierwszej kradzieży dokonano w Nowym Jorku. Zainteresowało się nią niewielu ludzi, oprócz przyjaciół Flavii Guarneri, jej agencji ubezpieczeniowej i nowojorskiego wydziału policji. Zdarzyło się to tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Wszyscy byli zajęci, ale Flavia podjęła energiczne działania. Zwolniła swoją pokojówkę i lokaja. Fakt, że na czas swoich wojaży Flavia dała im miesiąc urlopu, niczego nie zmienił. Skoro nie było śladów włamania do apartamentu, to któż inny mógł być odpowiedzialny za rabunek? Tak więc, zwolniła ich oboje, po czym dostarczyła policji i agentowi ubezpieczeniowemu informacji na temat trzech skradzionych obrazów Toulouse-Lautreca. Następnie pojechała na aukcję do Sotheby'ego i kupiła sobie na gwiazdkę trzy nowe, żeby zapełnić puste miejsca na ścianach.

Tymczasem Clay dostarczył zrabowane obrazy pośrednikowi, który wynajął go do dokonania kradzieży. Otrzymał za to niezłą sumkę, pozwalającą na spłacenie kilku długów karcianych, kupno skórzanej kurtki, o jakiej marzył od roku i na sprezentowanie Myrnie i Laurze jakichś gwiazdkowych upominków.

Laura dowiedziała się o kradzieży od Curriera tego wieczora, kiedy przyjechali do Nowego Jorku na urlop. Był to pierwszy urlop, na jaki sobie pozwoliła od otwarcia Beacon Hill rok wcześniej.

— Rozmawiałem wczoraj z Flavią — powiedział Currier po przeczytaniu fragmentu artykułu w New York Timesie. — Mówi, że policja nie wpadła na żaden trop, a to były jej trzy ulubione obrazy. Sądzę jednak, że jest teraz bardziej zajęta znalezieniem nowej pokojówki i nowego lokaja.

Laura uśmiechnęła się odruchowo. Wzięła do ręki chicagowską gazetę ze stosu innych dzienników, które Currier przynosił każdego dnia do ich apartamentu i przeczytała fragment z kroniki towarzyskiej.

„Miejsce Godne Odwiedzin w najbliższych dniach to Chicago Beacon Hill, przytulny hotel z ekskluzywnym barem, który jest rajem dla sławnych ludzi. (Będąc tam, nie należy rozglądać się w osłupieniu, tylko chłonąć atmosferę potęgi i bogactwa). Jest też restauracja słynąca z doskonałej kuchni kontynentalnej. W hotelu tym zatrzymują się goście z wyżyn międzynarodowej socjety, przedstawiciele kultury i megakorporacji. Jeśli chcecie oczarować swoich teściów, wykupcie im tygodniowy pobyt w bajecznych apartamentach urządzonych pod nadzorem generalnego menedżera hotelu — Laury Fairchild. Zamówcie apartamenty przynajmniej dwa miesiące wcześniej. W przeciwnym razie nie macie żadnych szans.”

Laura podała gazetę Currierowi.

— Trochę za skromnie — skomentowała oschle. Wes rzucił okiem.

— Doskonale. Poprawnie napisała twoje nazwisko i nazwę hotelu. Umieściła informację o barze i restauracji. Trudno o lepszą reklamę.

— Zastanawiam się. — Lokaj nalał kawę i podał gorące bułeczki oraz aromatyczne gruszki. Laura spojrzała przez okno na iglice, kopuły i tarasy Manhattanu. Tu i ówdzie widać było pajęczynę rusztowań wskazujących na to, że wkrótce powstanie nowe biuro lub blok mieszkalny, który zostanie zasiedlony i stanie się integralną częścią miasta. Otaczać go będą coraz to nowe

budynki, powstające, zdawać by się mogło, z dnia na dzień, jak grzyby po deszczu. Takie jest całe to miasto, pomyślała Laura. Ożywione, niespokojne, rozrastające się wzwyż i wszcz. Przyciąga coraz to nowych przybyszów i zmusza ich, aby dorównywali kryjącej się w nim agresji, aby poznali jego intrygi i żeby stawali się potężni jak ono. Muszę się jeszcze tyle nauczyć, dumiała Laura. o hotelach, interesach i o Nowym Jorku. Tutaj się urodziła i dorosła, ale nigdy nie patrzyła na swoje miasto z tego punktu widzenia i wiedziała, że bardzo słabo je zna. — Zastanawiam się — powtórzyła, odwracając się do Curriera. — Nasi goście pragną prywatności. Gdybym ja musiała płacić pięćset dolarów za dobę, a dwa i pół tysiąca za apartament, to nie cieszyłabym się tymi luksusami.

Wes wzruszył ramionami.

— Gdybyś miała pieniądze, przyzwyczaiłabyś się nie zauważać tych kosztów. Tylko ci, którzy nie mają tyle pieniędzy, zwracają na to uwagę. Tacy nigdy nie zatrzymają się w Beacon Hill ani nie umieszczą tam swoich krewnych, ale będą dokładać wszelkich starań, żeby w nim bywać i otrzeć się o wielki świat. To oni zapełnią twój bar i restaurację poza sezonem. — Wes przełamał bułeczkę i posmarował ją miodem. — To tak pewne jak pieniądze w banku. Tak było od pierwszego weekendu.

Kiedy Rosa i Kelly przygotowały wspaniałą kolację, nikt nawet nie podejrzewał, że o mały włos tamten wieczór nie okazał się katastrofą, wspomniała Laura, ale nie powiedziała tego głośno. Currier dziękował im potem i chwalił, gdy wspólnie siedzieli w nocnym klubie, a one obie były tak z siebie zadowolone, jakby były dublerkami, które uratowały przedstawienie na Broadwayu. Laura nie musiała się więc martwić, czy dobrze się bawiły na otwarciu hotelu. Currier nigdy więcej do tego nie wracał i Laura też nie. Oboje wiedzieli, że to łut szczęścia, a nie profesjonalizm uratował ten wieczór.

— To był dobry początek wspaniałego roku — powiedziała Laura, pamiętając, że przyniósł jej również przyjaźń Ginny Starrett, która pojawiała się i znikła z Chicago, jak południowa bryza: niespodziewana, ciepła i opiekuńcza. Wciąż poznawały się nawzajem. Ginny nie potrafiła usiedzieć długo w jednym miejscu, ale teraz Laura już wiedziała, że Ginny wróci do niej po każdej

wyprawie do jakiegoś zakątka świata. Wkrótce przekonała się, że czeka na powrót Ginny z taką samą niecierpliwością jak na Curriera. Z nimi Laura była sobą. To najlepsze chwile, pomyślała. Kładła bułeczkę na swój talerzyk, gdy wszedł lokaj, oznajmiając, że jest do niej telefon z Chicago.

Jak tylko podniosła słuchawkę, Clay zaczął mówić wysokim z podniecenia głosem: — Posłuchaj. Mieliśmy właśnie telefon z biura Feliksa. Sądzą, że możemy być zainteresowani złożeniem oferty na kupno hotelu Nowy Jork Salinger. Z chęcią tu przyjdą i porozmawiają o tym.

Laura zamknęła oczy na krótką chwilę. On zwraca się do mnie z prośbą, bym kupiła hotel Owena. Uśmiechnęła się.

— O co chodzi? — zapytał Currier.

— Feliks ma nadzieję, że OWL Development zechce kupić Nowy Jork Salinger. — Odchyliła trochę słuchawkę, żeby Wes mógł słyszeć. — Czy wyznaczyłeś termin spotkania?

— Czwartek rano. Może być? Sądziłem, że nie możemy sprawiać wrażenia, że bardzo nam zależy.

— W porządku. Będę miała czas, żeby przyjrzeć się hotelowi i polecieć do Chicago w środę wieczorem.

Currier poruszył się niespokojnie i chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie, i zaczął podziwiać widok za oknem.

— Przepraszam — rzekła Laura, odwiesiwszy słuchawkę. — Wiem, że to miał być nasz urlop, ale nie mogę przepuścić takiej okazji. Ty też byś tego nie chciał, prawda? Wes, wiesz, od jak dawna o tym myślę.

— Od dnia otwarcia Chicago Beacon Hill.

— Nawet wcześniej. Nie robiłam z tego tajemnicy.

— Ale traktowałaś to jako odległą perspektywę. Miałaś wiele pracy i koncentrowałaś się na niej.

— Wykonałam ją.

— Skończyłaś już z Chicago. Nie masz tam już nic do zrobienia?

— Zawsze mogłabym znaleźć coś więcej, ale po co? — Na pół zdumiona i rozniewana, wskazała na chicagowską gazetę. — Tu jest napisane, że zrobiliśmy coś dobrego. Mogę zatrudnić świetnego dyrektora, który będzie nadal doskonale kierował hotelem. Dlaczegoż by nie? Widziałam, jak ty planowałeś już nowe przedsięwzięcia, podczas gdy kończyłeś poprzednie, a twoi pracownicy pracowali

nad tuzinem kolejnych interesów. Ty masz prawo szukać sposobów, by stać się większym i potężniejszym, a ja nie? Od samego początku wiedziałeś, że chcę mieć wszystkie cztery hotele, a teraz kiedy jeden z nich spada mi jak z nieba... — Zerknęła na jego zaciśnięte usta i poczuła, jak złość w niej wzbiera. — Myślałeś, że zadowolę się jednym. Zgadłam? Sądziłeś, że wycofam się ze swojego planu, wyjdę za ciebie, będę z tobą podróżować, poświęcając energię i czas Wesowi Currierowi, a nie czemuś tak nieistotnemu, jak hotelik w Chicago?

— Nigdy nie mówiłem, że jest nieistotny.

— Masz rację. Cofam to. Pomogłeś mi. Umożliwiłeś całe przedsięwzięcie. Ale teraz, gdy okazało się sukcesem, chcesz, żebym wszystko rzuciła i zapomniała o tym, czego jeszcze chcę dokonać. Dlaczego miałabym to zrobić? Ty nie zmieniasz swoich planów. Dlaczego ja mam zmieniać moje?

— Bo moje plany, jak ty to nazywasz, to solidny interes. Twoje opierają się na marzeniach i są bardzo ryzykowne. A ja mogę się tobą zaopiekować.

— Jeśli to marzenia, to wreszcie zaczęły się spełniać. Ja się nie boję ryzyka.

— Nie możesz budować życia na jednym sukcesie.

— Ty zbudowałeś. Mówiłeś mi, że dokonałeś jednej fuzji, a potem zaangażowałeś cały swój kapitał w założenie własnego przedsiębiorstwa.

— To było dawno temu i mam to za sobą. Wszystkie założenia, planowanie, obawy, trudne momenty podejmowania decyzji... to wszystko należy do przeszłości. Dlaczego ty miałabyś tracić całe lata, przechodząc przez to wszystko, jeśli nie musisz? Mogę się tobą zaopiekować. Mogę spędzać z tobą tyle czasu, ile zechcę. Moglibyśmy pojechać w każde miejsce na świecie, jakie nam się spodoba. Walka skończona. Nie chcę już więcej przez to przechodzić. Nie ma powodu.

— Nie ma powodu — powtórzyła jak echo Laura. — Nie chcesz już więcej przez to przechodzić. Tym gorzej, do cholery! — Odsunęła swoje krzesło. W nerwowym napięciu chodziła po pokoju, podnosząc przedmioty i stawiając je z powrotem. — Twoja walka jest skończona, więc ja nie potrzebuję mojej. Oczywiście nie potrzebuję też zwycięstw! Pomyślałeś sobie, że wystarczy mi jeden

sukces. Jaki jesteś wspaniałomyślny! Ale na tym koniec. Teraz powinnam pozwolić ci zaopiekować się sobą, a ty będziesz spędzał ze mną tyle czasu, ile zechcesz. Boże, jak mi to pochlebia! A jeśli ja nie chcę spędzać czasu z tobą? A jeśli chcę przeżywać walkę, obawy i trudne momenty podejmowania decyzji? A jeśli podobają mi się cele, które sobie wyznaczyłam? Masz mnie za przedsiębiorstwo, którego fuzji zamierzasz dokonać? Ułożysz harmonogram, ustalisz podział obowiązków, a potem w odpowiednim czasie to ogłosisz.

— Usiądź — powiedział spokojnie Currier. — Kiedy nauczysz się panować nad sobą? Jeśli będziesz nieostrożna, to zwolnisz mnie tak, jak zwolniłaś szefa kuchni i znajdziesz się w strasznych kłopotach.

— Doprawdy? Czemu jesteś tego taki pewny? — Stała prowokacyjnie przy oknie, z podniesioną wysoko głową. Oddychała szybko. Za nią widniało blade, zimowe słońce i dachy Nowego Jorku. Przed nią była elegancka jadalnia Curriera i on we własnej, władczej osobie. Laurze wydawało się, że stoi pomiędzy dwiema możliwościami wyboru: miastem, w którym chciała się wyróżnić, a mężczyzną, który chciał ją sobie przywłaszczyć.

— Jesteś niesamowicie niemądra — powiedział Currier. Jego głos nie był już tak spokojny jak przedtem. Laura wyczuwała w nim odrobinę zniecierpliwienia, a może niepokoju. — Nie mogę cię zmusić do niczego, nawet do tego, żebyś żyła w luksusie, nie borykając się z trudnościami. Nie układam dla ciebie harmonogramów. Wręcz przeciwnie. Dostosowuję się do twoich planów, odkąd powiedziałaś mi, że chcesz kupić ten hotel w Chicago. Nie wydaje mi się, żebym żądał wiele, oczekując, że dla odmiany ty dostosujesz się na jakiś czas do moich planów. Wspierałem cię od samego początku. Wierzyłem w ciebie. Dowiodłem tego i, do cholery, mam prawo, żeby prosić... — przerwał.

— Prawo? — powtórzyła oziębłe. — Prawo? Z powodu pieniędzy? Mówimy o pieniądzach, tak? Chociaż dawno temu zdecydowaliśmy, że nie będziemy mieszać spraw finansowych do naszych stosunków osobistych.

Currier rzucił serwetkę i podszedł do Laury.

— Przepraszam. — Objął ją ramieniem, ale Laura cofnęła się o krok. Wes westchnął z irytacją. — Do diabła, posłuchaj. Chodzi mi o to, że jestem teraz częścią twojego życia. Częścią wszystkiego, co robisz. Oczekuję więc, że będziesz uzgadniała ze mną swoje nowe

plany. Lauro, nie pozwolę, byś mnie ignorowała lub pomijała. Mówię to jako inwestor, twój kochanek i twój mąż...

— Nie jesteś moim mężem.

— Ale będę. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

— Nie. — Odruchowo cofnęła się jeszcze o krok. — Nie wyjdę za ciebie, Wes. Nigdy ci tego nie obiecywałam, ale ty udawałeś, że po prostu potrzebuję czasu.

— Wiedziałem, że potrzebujesz czasu i nie miałem nic przeciwko temu. Ale wiem też, jak brutalny jest biznes i byłem pewien, że kiedy się o tym przekonasz, będziesz gotowa zaakceptować życie, jakie mogę ci zaoferować.

Pokręciła głową.

— Nie potrafisz zrozumieć, że ja chcę stawić czoło brutalnym interesom. Chcę przeżyć to wszystko. Do diabła, mam do tego prawo. Dlaczego uważasz, że tylko mężczyźni mogą walczyć i wygrywać albo przegrać, a potem podnieść się i walczyć dalej? Przed czym ty chcesz mnie ochronić? Przed kilkoma ciosami? Już je przeżyłam. Potrafię znieść o wiele więcej, niż myślisz. To jest moje marzenie, Wes. Moje i Owena. Nie widzę powodu, aby machnąć na nie ręką, tylko dlatego, że ty oferujesz mi o wiele łatwiejsze życie. W środę lecę do Chicago, a w czwartek mam zamiar zrobić wszystko, aby kupić Nowy Jork Salinger. Jak tylko tego dokonam, wrócę tu natychmiast, aby zacząć pracę nad renowacją i znaleźć jakieś mieszkanie na Manhattanie, co będzie z pewnością najtrudniejszą rzeczą.

Roześmiał się niechętnie.

— Prawdopodobnie tak. Ale mogę ci pomóc. Znam kilku pośredników.

— Wes, próbuję ci powiedzieć, że nie proszę cię o pomoc. Nie chcę jej.

— To idiotyczne. Oczywiście, że chcesz. To nie ma nic wspólnego z małżeństwem lub nawet ze wspólnym mieszkaniem. Jesteśmy partnerami w OWL Development i mam zamiar troszczyć się o moje inwestycje. Jesteśmy też przyjaciółmi i chciałbym chronić tę przyjaźń. Mimo wszystko potrzebujesz mnie. Jak wyobrażasz sobie kupno Nowy Jork Salinger? To nie będzie już tak świetna okazja, jak w przypadku Chicago, a ty jesteś zadłużona. Nie zdobędziesz pieniędzy, żeby kupić ten hotel za każdą cenę.

— Nie, ale są ludzie, którzy chcą być inwestorami. — Spojrzała na niego odważnie.
— Wspominałeś mi o nich kilka miesięcy temu. Sądziś, że mnie to nie zainteresowało? To bankierzy i przedsiębiorcy. Powiedziałeś, że chcą wykupić udziały w sieci Beacon Hill.

Wes kiwnął głową.

— Ale oni zwracają się do mnie, nie do ciebie, bo ufają moim ocenom i wiedzą, że ja stoję za tą korporacją. Czy sądziś, że tobie zaoferowaliby tyle samo pieniędzy i na tych samych warunkach?

— Jeden z nich mógłby to zrobić, a inni poszliby za jego przykładem. Czuliiby się tak samo, jakby naśladowali ciebie. Nie rozmawiałam jeszcze z żadnym z nich, ale teraz, gdy Feliks zadzwonił, muszę zebrać się na odwagę. Myślę, że mi się powiedzie. Bilans jest dobry. Raport księgowego był znakomity. Przecież sam mówiłeś, że to dobry rok już od pierwszego weekendu.

Pokój pociemniał, gdy chmury zasłoniły słońce. Płatki śniegu wirowały za oknem w szaleńczym tańcu. Currier podszedł do ściany i włączył górne światła.

— Czy to ja nauczyłem cię takiej pewności siebie? — zapytał.

— Tak, w znacznym stopniu. Ale przede wszystkim sprawił to sukces, jaki odniósł mój hotel. Listy, które dostaję, komentarze, jakie słyszę od ludzi, kiedy z nimi rozmawiam w klubie lub w restauracji, i frekwencja. Kilka razy mieliśmy najwyższą w Chicago. Ci ludzie, którzy do nas wracają. To wszystko sprawia, że czuję się doceniana.

— Kochana — poprawił ją Wes.

— Doceniana. — Uśmiechnęła się. — To ty sprawiasz, że czuję się kochana.

Currier uniósł ręce i opuścił je z irytacją.

— Jesteś piekielną kobietą. Dlaczego tak się unosisz honorem i prowokujesz kłótnię? Mogłaś wyjść za mnie i mieć pięćdziesiąt hoteli. Dałbym ci wszystko, czego byś tylko zapragnęła.

— Nie chcę wyjść za ciebie — powiedziała uczciwie, za co Currier ją podziwiał i kochał, nawet jeśli czuł, że to dla niego źle rokuje. — Nie chcę, żebyś mi wszystko dawał. Naprawdę pragnę walczyć, Wes. Chcę wygrać. To nie byłoby to samo, gdybyś rzucił mi wszystko pod nogi.

Currier przyglądał jej się przez długą chwilę. Potem wrócił do stołu i podniósł dzbanek z kawą.

— Chcesz jeszcze?

— Tak, dziękuję.

— A co powiesz na taką propozycję? — spytał od niechcienia, nalewając kawę i nie patrząc na Laurę. — Kiedy przeniesiesz się do Nowego Jorku, będziesz mieszkała tutaj. Apartament jest przeważnie pusty i mogłabyś z niego korzystać. Pomogę ci w rozmowach z inwestorami. Zbierzemy fundusze na kupno nowojorskiego hotelu i uczynimy z niego lokatę kapitału na zakup następnych dwóch, jak tylko będzie to możliwe. Cała reszta będzie na twojej głowie. Oczekuję, że New York Beacon Hill okaże się takim samym sukcesem jak hotel w Chicago, Będziesz nam dostarczała comiesięczne raporty, jak do tej pory, i uwzględniała nasze rady w przypadku poważniejszych problemów, jak na przykład zwolnienie szefa kuchni, kłopoty z bezpieczeństwem lub nieprzychylnie opinie gości. Ty i ja moglibyśmy jadać wspólne kolacje albo wybrać się do teatru, jeśli przyjdzie nam na to ochota. — Podał jej pełną filiżankę. — Czy to cię satysfakcjonuje?

Laura powstrzymała się od tego, by podejść i zarzucić mu ramiona na szyję.

— Jesteś prawdziwym przyjacielem, Wes — powiedziała cicho. — Dziękuję. — Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. — Tak naprawdę, to nie chciałam rozmawiać z inwestorami bez ciebie. Jestem ci wdzięczna... — Podeszła do swojego krzesła przy stoliku. On też usiadł. — Ale nie mogę tutaj zamieszkać. Wiem, że to idiotyzm odrzucać apartament na Manhattanie, a co dopiero, takie mieszkanie jak to, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli zamieszkam sama. Z wielką ochotą będę jadła z tobą kolacje i chodziła do teatru. Chcę, żebyśmy nadal byli przyjaciółmi, ale nie kochankami.

Po chwili Wes położył rękę na stole, a Laura przykryła ją swoją dłonią.

— Zobaczmy, jak nam się to uda — powiedział i siedzieli dalej w ciszy, pijąc kawę i przyglądając się płątkom śniegu, które sypały coraz gęściej w szarym świetle dnia. To wystarczy, pomyślał Wes. Przetrwał najgorszy moment, kiedy była gotowa rzucić wszystko na jedną szalę i ciągnąć dalej sama. Nadal będą pracować razem, będą często się widywać i ona nadal będzie bardzo uzależniona od niego. Zaczną od punktu wyjścia.

Nie dziwiło go już tak jak kiedyś nieustające pożądanie, które czuł do niej, ale nie spodziewał się, że to pożądanie będzie rosło w miarę mnożenia się jego sukcesów. Na skomplikowanej arenie fuzji i nabytków kroczył od zwycięstwa do zwycięstwa, zręcznie zadowolając obie strony w każdych negocjacjach i uszczęśliwiając udziałowców. Leciał potem do domu, do Laury, pełen satysfakcjonujących wspomnień o nowym modelu przedsiębiorstwa, który stworzył z udziałem ludzi i ich pieniędzy. Jednak później, w apartamencie Laury, przekonywał się na nowo, że chociaż potrafi kierować innymi, nie umie kierować nią. Nie był nawet w stanie dopasować jej do jakiegoś przewidywalnego modelu. Jej czułość zmieniała się w oddalenie, ciepło w skrytość, beztroski śmiech — w determinację i upór. Currier, przyzwyczajony do odgrywania dominującej roli, zdał sobie sprawę, że jest jej posłuszny, bo właśnie jej upór i oddalenie kochał najbardziej, nawet jeśli chciał je poskromić lub przynajmniej osłabić.

Laura poruszyła się na krześle.

— Nadal myślisz, że zaniecham moich planów — mruknęła. Uśmiechnął się.

— Nie. Nie mogę, jeśli tak uparcie pozbawiasz mnie tych złudzeń.

— No więc o czym myślisz? — zapytała, tak jakby pytała o to, jak zakończy się książka.

— Myślę, że znajdziemy sposób, aby dawać sobie radość — powiedział. Uwierzył w to od razu, bo chciał wierzyć. — Ja nie będę cię prosił, żebyś zaniechała swoich planów, a ty nie będziesz mnie prosiła, żebym był przyjacielem, który traci urlop, bo ty zdecydowałaś się kupić hotel. Tak czy inaczej, poradzimy sobie.

Zerknęła na niego.

— Bardzo się spieszysz?

— Oczywiście, że nie — odparł natychmiast. Ty też się nie śpiesz. — Roześmiali się wspólnie, bardziej zrelaksowani niż przez cały ranek.

Oczywiście, dumął Currier. Pozostawała kwestia innych mężczyzn w jej życiu.

Oboje nie wspominali o tym. Ale jeśli miała mieszkać sama, nie zaręczona, nie zobowiązana żadną obietnicą, mogła spotykać się, z kim tylko chciała. Chyba że jakoś temu zaradzi, pomyślał Wes. Chyba że będzie bardzo zajęta i nie starczy

jej na to czasu. Chyba że będzie przebywać w jego towarzystwie częściej, niż się tego spodziewa.

— Co powiesz na inspekcję hotelu Nowy Jork Salinger. Możemy udawać, że jesteśmy kochankami szukającymi miejsca na poranne baraszkowanie.

Laura roześmiała się.

— Pomyślą raczej, że jesteśmy handlarzami narkotyków zachowującymi pozory. Ale bardzo chciałabym pójść. Do tej pory widziałam tylko hol główny.

Currier wstał.

— Jeszcze jedno — rzucił od niechcienia. — Chciałbym zaprosić Flavię na kolację któregoś wieczoru. Prawdopodobnie jest bardziej przygnębiona tą kradzieżą, niż przyznaje i chyba dobrze jej zrobi kontakt z przyjaciółmi. Nie będzie więcej niż dwudziestu, trzydziestu gości. Czy zgodzisz się być gospodynią tego przyjęcia? — Kiedy Laura zawahała się, Wes dodał: Wiem, że poszukasz własnego mieszkania i nie będę udawał przed nikim, że łączy nas coś więcej niż przyjaźń. Ale Flavia cię lubi. Proszę o to ze względu na nią, nie na siebie.

Laura roześmiała się znowu.

— Mój wspaniałomyślny przyjacielu. Oczywiście, że to zrobię dla Flavii i dla ciebie. — Wstała razem z nim. — Naprawdę bardzo lubię być z tobą, Wes.

Skinął głową i objął ją ramieniem. Liczył na to, co powiedziała.

Feliks od lat nie zaglądał do Nowy Jork Salinger. Nigdy nie lubił tego hotelu i kiedy zaczął budować gmachy ze szkła i stali w innych miastach, dręczyło go, że nazwisko Salingerów w dzielnicy Manhattan widnieje na starym, wąskim budynku z ciemnej cegły, wciśniętym pomiędzy dwa biurowce w cieniu hotelu Plaza. Owen zbudował go w zamierzchłej przeszłości. Budynek był wspaniałością w swoim czasie, ale po śmierci Iris, kiedy Owen pogrążył się w rozpacz, hotel starzał się jak kobieta, tracąc resztki dawnej świetności. W owym czasie architektura preferowała już proste fasady bez ornamentów i wysokie drapacze chmur, w których odbijały się płynące po niebie obłoki. Lansowano też hole wielkie jak stacje kolejowe. Nowy Jork Salinger popadł w zapomnienie.

Nawet wtedy, gdy Owen powrócił do przedsiębiorstwa, było zbyt wiele innych rzeczy do zrobienia.

Mimo to nigdy nie porzucił swych starych hoteli. Były utrzymywane bez zarzutu i po pewnym czasie Nowy Jork Salinger zajął stałe miejsce w przewodnikach po Manhattanie jako wygodny, względnie niedrogi hotel dla turystów i ludzi interesu, którzy musieli liczyć się z kosztami. Hotel nigdy nie przynosił strat. Dogodna lokalizacja pozwalała spacerkiem dotrzeć do teatrów, na zakupy i do głównych kompleksów biurowych. Zawsze znajdowali się ludzie, którzy szukali niedrogiego, przyjemnego pokoju w centrum miasta. Po śmierci Owena Feliks zredukował personel i usługi do minimum, tak żeby tylko hotel nie przynosił strat do czasu jego sprzedaży.

Ale niełatwo było go sprzedać. Feliks mógłby obniżyć swą cenę, ale zapłacił już ogromną sumę za ziemię na West Side i rada nadzorcza wyrażała zaniepokojenie tym, co niektórzy zaczęli nazywać nadmiernym rozwojem. Feliks był niechętnie nastawiony do obniżenia ceny, zważywszy na doskonałą lokalizację hotelu. Czekał więc, niecierpliwiąc się coraz bardziej, tym więcej, że rada nadzorcza mogła spowolnić dynamiczny rozwój, którego zamierzał dokonać zaraz po śmierci ojca. Wreszcie, pomijając swych agentów nieruchomości, polecił jednemu z pracowników zadzwonić do OWL Development w Chicago.

Było to małe przedsiębiorstwo posiadające tylko jeden hotel, dawny Boston Salinger, ale Feliks wiedział, że firmę finansuje Wes Currier, co oznaczało, że ich pieniądze są godne zaufania i prawdopodobnie mają na uwadze dalszy rozwój.

Wkrótce Feliks mógł sobie pogratulować dobrego instynktu. Oferta OWL Development była niższa, niż się spodziewał, ale w trakcie negocjacji skłonił ich do zaakceptowania wyższej stawki, ubijając zadowolający interes. W połowie lutego, o wiele wcześniej niż ktokolwiek przypuszczał, Nowy Jork Salinger zmienił właścicieli. Wzmianka w The Wall Street Journal informowała, że hotel, zwany teraz Nowy Jork Beacon Hill będzie poddany gruntownej renowacji i zostanie otwarty w grudniu. Feliks nie zwrócił na to uwagi. Pozbył się hotelu i uczcił to, zabierając Leni, Bena i Allison do Loch Ober na kolację. Stał się bardziej wylewny niż zazwyczaj, rozmawiając o interesach poza biurem.

— Zastanawiam się jednak — rzekł Ben w zamyśleniu. — Może to nie najlepszy pomysł, żeby pozbywać się tych hoteli i inwestować wszystko, co mamy w wielkie budynki. Może postępujemy wbrew nowej tendencji w tym kraju.

— Nowa tendencja — powtórzył Feliks pogardliwie. W wypełnionej po brzegi sali gwar rozmów zmuszał wszystkich do podniesienia głosu, co jeszcze bardziej zwiększało hałas. — Jesteś tu od czternastu miesięcy. To zbyt krótki okres, żeby stać się ekspertem w dziedzinie trendów panujących w tym kraju.

— Może Ben jest bardzo uważny — zasugerowała łagodnie Leni. — Jeśli jest się uważnym, można nauczyć się wiele o każdym miejscu w ciągu czternastu miesięcy.

— Jaka to tendencja? — spytała Allison.

— Małe i eleganckie — odparł Ben, nie zwracając uwagi na pogardliwy ton Feliksa.

— Ludzie odchodzą od masywnych obiektów. Zdaje się, że szukają takiego sposobu życia, który umożliwi im większy kontakt i kontrolę nad otaczającym ich światem. Kameralne kolacje, małe teatry i kina, małe butiki, może i małe hotele.

— Bardzo dziwaczne — ocenił Feliks. Otarł serwetką whisky z wąsów, które zapuścił wkrótce po śmierci Owena. — Kameralne przyjęcia i teatry mogą przetrwać, ale małe hotele — nie. Biorąc pod uwagę koszty budowy...

— Odnawianie jest tańsze. Dlatego uważam, że nie powinniśmy się tak spieszenie pozbywać...

— Biorąc pod uwagę koszty budowy — powtórzył Feliks, upewniając się, że nikt nie będzie mu więcej przerywał — musimy dbać o to, aby każdy jard przyczyniał się do zwrotu nakładów. Poza tym są i inne względy. Słyszałeś, co mówiłem na ten temat wcześniej. Ludzie nie chcą tego co małe i eleganckie. Większość z nich nie zauważyłaby elegancji, nawet jeśli kłubały ich w oczy. Chcą wielkich, przestronnych budynków, jasnych światel i hałasu, basenów, gier video, ogrzewanych garaży i pomieszczenia wystarczająco dużego, żeby spędzić w nim krótkie popołudnie z sekretarką.

— Tatusiu, na miłość boską — rzekła Allison. — Gdybyśmy liczyli tylko na takich ludzi, poszlibyśmy z torbami.

— Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Hotele są pełne mężczyzn i ośmielę się powiedzieć, że również kobiet, które oczekują

tylko szybkiego seksu między obiadem a powrotem do domu, do rodziny.

Leni obserwowała Feliksa bardzo uważnie.

— Czy to prawda? — zapytała.

— Powiedziałem, że tak.

— Nie lubisz ludzi i nie ufasz im — obruszyła się Allison.

— Rozumiem, czego chcą, a to, czego sobie życzą, musi być szybkie i łatwe. To nie ma nic wspólnego z elegancją.

Ben wzruszył ramionami.

— Sieć Hoteli Regent International nie zgodziłaby się z twoją opinią. Podobnie ten nowy hotel w Chicago — Beacon Hill. Kiedyś był nasz, prawda? Teraz osiąga najwyższą frekwencję przy najwyższych cenach. Komuś musi się podobać.

— A nikomu nie podoba się Marriott — spytał Feliks sarkastycznie — albo Hyatt czy Hilton?

— Nie powiedziałem, żebyśmy przestali budować wielkie hotele. Powiedziałem tylko, że moglibyśmy budować duże i małe.

Feliks przedłużył pełne dezaprobaty milczenie, kiedy kelner przyniósł zamówione dania. Potem Leni zmieniła temat.

Ben obserwował ją, kiedy mówiła o mieszkaniu, które ona i Feliks kupili wreszcie w Nowym Jorku po dwuletnich poszukiwaniach. Jej twarz i głos były spokojne, ale Ben miał wrażenie, że czuła się nieswojo. Trudno było poznać Leni. Ben wcale jej nie rozumiał. Kiedy tylko pytał o jej pochodzenie, zmieniała temat, a on zastanawiał się, dlaczego poślubiła Feliksa i jakie naprawdę było ich małżeństwo. Zastanawiał się też, co sądziła o jego małżeństwie z Allison. Był ciekaw, co Leni myśli o nim samym. Traktowała go serdecznie, ale często zauważał, że obserwuje go zdumionymi oczyma i patrzy tęsknym wzrokiem. Miał wrażenie, że zachowywałaby się inaczej, gdyby on coś zrobił. Nie wiedział, co ma zrobić i co ma powiedzieć. Zrobiłby to i powiedział, gdyby potrafił odgadnąć, o co jej chodzi. Chciał, żeby była po jego stronie. Ale miesiące mijały, a on nadal nie wiedział, czy Leni obserwuje go, bo z jakiegoś powodu mu nie ufa i czeka, aż on wpadnie w pułapkę, czy też dlatego, że chce go lepiej poznać. Ben nie mówił o sobie zbyt wiele. Z Feliksem było łatwiej, i trudniej zarazem. Jego pogarda była dokuczliwa i skłaniała Bena do odwetu, ale opanowywał swe

emocje. Zachowywał się nienagannie, przypominając sobie co dzień, że Feliks jest jego teściem oraz pracodawcą i nie można pozwolić sobie wobec niego na żaden nietakt, Mimo to, jego nienawiść do Feliksa musiała objawiać się w sposób dla niego samego niedostrzegalny, ponieważ od pierwszego dnia było jasne, że Feliks nienawidzi Bena i nie potrafi ukryć tego uczucia.

Może przypominam mu ojca, pomyślał Ben. Często zadawał sobie to pytanie, odkąd przybył do Bostonu. Jednak po głębszym zastanowieniu odrzucał tę myśl. Minęło ponad trzydzieści lat, odkąd Feliks ukraść Juddowi przedsiębiorstwo, a przecież Feliks nie poświęcał wiele uwagi ludziom, których wykorzystał. To mało prawdopodobne, aby myślał wiele o Juddzie, kiedy ten powrócił z wojny i przekonał się, że jego firmy już nie ma, a drzwi Feliksa są dla niego zamknięte.

Jednak głównym powodem niepewności Bena było to, że nie pamiętał dokładnie, jak wyglądał jego ojciec. Nie miał żadnych fotografii. Posiadał kilka zdjęć matki i wiedział, że jest do niej podobny. Ale jak bardzo przypominał wyglądem Judda? Za każdym razem, gdy zadawał sobie to pytanie, musiał się poddać. Nie miał pojęcia. W każdym razie, nawet jeśli przypominałby Feliksowi Judda, nic by to nie zmieniło. Poślubił Allison i teraz, kiedy była w ciąży, on stał się jeszcze bardziej częścią tej rodziny. Był też diabelnie dobry w pracy i wszyscy o tym wiedzieli.

Od momentu, kiedy po raz pierwszy się w niej pojawił, działał szybko i wiedział, że musi stworzyć sobie własne miejsce w przedsiębiorstwie, tak bezpieczne jak miejsce u boku Allison. Wtedy nie będą mogli go wyrzucić, jak Laurę. W ciągu roku, w tempie, które zadziwiło hotelowych ekspertów, ponad połowa hoteli Salingera miała nowe zamki do drzwi, sejfy w pokojach, komputerowy system kontroli pokojówek i personelu w holu głównym, kamery telewizyjne na korytarzach oraz zwiększoną liczbę cywilnych pracowników ochrony. Ben odwiedzał hotele i rozmawiał z poszerzonym personelem ochrony. Spędzał z nimi przerwy obiadowe. Sugerował, czego należy szukać i gdzie. Feliks dowiadywał się o tym z comiesięcznych raportów przysyłanych przez dyrektorów hoteli. Donosili oni, że dzięki Benowi Gardnerowi podniosło się morale personelu, ochrona jest skuteczniejsza, a oni mają coraz mniej kłopotów w tej dziedzinie.

Chcąc, nie chcąc, Feliks dał Benowi dwie podwyżki, dzięki czemu jego zarobki wzrosły do sześćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Ben skinął poważnie głową, usłyszawszy o drugiej podwyżce, a Feliks zirytowany rzekł:

— Mógłbyś to chociaż docenić.

— Doceniam. Mam nadzieję, że ty też. Sadziłem, że dobrze pracuję.

Feliks w duchu walczył ze swą niechęcią do chwalenia kogokolwiek.

— To prawda. Czytałeś raporty.

Ben uśmiechnął się lekko, zadowolony ze swego małego zwycięstwa.

— Pomyślałem sobie, że już czas, abym przestał zajmować się ochroną. Nie mamy wiceprezesa do spraw rozwoju. Chyba należałoby stworzyć takie stanowisko.

— Nie mamy takiej posady, bo sam się tym zajmuję. Jeśli masz jakieś sugestie na temat nowych przedsięwzięć, możesz przyjść z tym do mnie. Pozostaniesz w ochronie. Jak sam powiedziałeś, robisz tam dobrą robotę.

— Chciałbym, żebyś przemyślał sprawę nowego stanowiska. Może przedstawimy tę propozycję radzie?

Feliks wyczuł groźbę w tych słowach, ale podjął ryzyko.

— Przemyślałem to. Odrzucam tę propozycję. Mianowałem cię niedawno członkiem zarządu i na razie wystarczy. Sądzę, że już czas, abyś wrócił do pracy.

Siedząc w swoim gabinecie, Ben zastanawiał się nad następnym posunięciem.

Chciał zdobyć nową posadę, ponieważ dział rozwoju stanowił samo centrum wielkiej korporacji i zapewniłby mu najlepszą pozycję na przyszłość. Ponadto tam zarobki były większe niż w ochronie. Nie mógł rozmawiać o pieniądzach z Feliksem, ale nieustannie o nich myślał. Nie czuł się pewnie. Pieniądze były jedną z przyczyn, ale istniały też inne powody niepewności. Zwłaszcza jego troska o Laurę. Czuł w domu jej obecność. Czasami wchodził do pokoi, które kiedyś do niej należały i rozmyślał o niej. Allison opowiedziała mu całą historię, kiedy byli jeszcze w Europie. Wkrótce po przyjeździe do Bostonu przeczytał relacje z procesu. Ciągle myślał o tym, aby do niej zadzwonić, ale miał dość kłopotów z tym, jak zachowywać się wobec Allison i jej rodziny. Teraz i tak nie mógłby utrzymać

kontaktów z Laurą. Tak więc czas mijał, a on nie dzwonił. Wreszcie napisał długi list. Łatwiej było mówić do kartki papieru niż do siostry, słysząc gniew w jej głosie. Spróbował powiedzieć wszystko, co chciał powiedzieć, bez przerywania i konieczności bronięcia się. Więc napisał list i wysłał go do Chicago Beacon Hill. Przeczytał w biuletynie hotelowym, że Laura jest dyrektorem tego hotelu. Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Do diabła z nią, pomyślał i nie pisał już więcej. Jednak nadal wyczuwał jej obecność w domu i wydawało się, że nic nie może już tego zmienić.

Nawet jej pokoje pozostały nie zmienione. Mimo swojego gniewu na Laurę, Allison nie zmieniła dekoracji wewnątrz w jej dawnych apartamentach. Przemeblowała resztę domu, wydając niemałą sumę, chociaż Ben uważał, że mogło z powodzeniem zostać tak, jak było. Ale pokoi Laury nie ruszała. Pewnego dnia zapytała Bena:

— A może przeznaczymy te pokoje dla dziecka?

— Chcesz przerobić te apartamenty na pokoje dziecięce?

— Nie, niech tak zostanie. Jeśli urodzi się chłopiec, możemy go potem przenieść gdzieś indziej i zostawić to miejsce dla siostrzyczki. A jeśli będziemy mieli córkę, to może tutaj pozostać. Niania mogłaby korzystać z salonu. Bez kłopotu da się tam wstawić tapczan.

— Jasne — powiedział Ben od niechcienia i tak zostało postanowione.

On i Allison zgadzali się w większości kwestii, dopóki nie zaczęli rozmawiać o pieniądzach. Kiedy tylko Allison zaczynała mówić o planach na przyszłość, Ben stawał się zacięty i drażliwy. Ona chciała mieć więcej dzieci i chciała podróżować, więc potrzebna była niania. Allison miała też zamiar zapisać swój dziesięciodniowy pług do prywatnej szkoły w Stoddard, bo jeśli odłożą to na później, nie będzie już miejsc... i tak dalej, i tak dalej. A Ben wyliczał koszty i wiedział, że nie jest w stanie sprostować takim wydatkom.

Nawet po jego drugiej podwyżce dochody Allison z jej funduszu powierniczego dziesięciokrotnie przewyższały zarobki Bena. Mówił jej o tym, a ona sprzedawała mu nawet część swoich udziałów w Sieci Hoteli Salingera za symboliczną sumę, bo Feliks nie ofiarował mu jeszcze żadnych akcji. Allison natomiast uważała, że powinien mieć

choćby niewielką część udziałów. Ben wiedział, ile były warte i ile zapłacił. To był jeszcze jeden dowód na to, że Ben nie spełnia swojej roli i mimo że odsuwał od siebie tę myśl, nie dawała mu ona spokoju. Wiedział, że z biegiem lat sytuacja będzie wyglądała coraz gorzej, a wydatki będą wzrastały, podczas gdy jego zarobki będą nadal pozostawały w tyle. Nie chodziło tylko o dzieci, które będą mieli, ani o podróże, które będą odbywać jak tylko Feliks pozwoli im pojechać na jakiś przyzwoity urlop. Stali się częścią młodego pokolenia zamożnych światowców, a to oznaczało stroje, prezenty, opłaty klubowe i mnóstwo innych wydatków, o których nie miał pojęcia, kiedy leżeli w łóżku w Amsterdamie i rozmawiali o małżeństwie. Oczywiście wiedział, że pieniądze będą stanowiły problem i kiedy już zamieszkali w Bostonie, próbował jakoś temu zaradzić, ale kłopoty finansowe zaczęły pojawiać się szybciej niż rozwiązania, które przychodziły mu do głowy. Sprowadzało się to do bardzo prostego faktu: Ben wiedział, że nigdy nie będzie czuł się pewnie jako mąż Allison i jako członek rodziny Salingerów, jeśli nie znajdzie sposobu, aby zarabiać więcej pieniędzy.

Więc, choć nie zgadzał się z Feliksem co do sposobu zarządzania siecią hoteli, to rzadko się z nim spierał. Nie mógł sobie na to pozwolić. Nawet jeśli Leni i Allison były po jego stronie, tak jak w Loch Ober, gdy świętowali sprzedaż hotelu Nowy Jork Salinger, Ben przestawał dyskutować. Uważał, że nie powinni byli go sprzedawać, ale to już się stało. Miał ochotę powiedzieć, że powinni poważnie przemyśleć zatrzymanie hoteli w Filadelfii i Waszyngtonie, ale nie odezwał się i przez pozostałą część kolacji był bardziej milczący niż zwykle.

W tym samym czasie Laura również milczała, jedząc z Currierem kolację w Lutece. — Jesteś bardzo cicha — powiedział Wes, gdy kelner otwierał zamówionego burgunda.

Przewiewna sala podobna była do ogrodu. Kratki, białe kolumny i palmy w mosiężnych donicach sugerowały raczej lato, a nie zimowy wieczór. Goście rozmawiali cicho, kelnerzy poruszali się sprawnie i zniżonym głosem omawiali jadłospis. Mimo ogólnego wyciszenia w atmosferze restauracji, małomówność Laury była zauważalna.

— Gdzie się podział entuzjazm, którym byłaś przepelniona po kupnie hotelu w Chicago?

— Utonął w oceanie rzeczywistości. — Uśmiechnęła się blado. — Tym razem widzę, ile pracy przed nami. I ile wydatków.

— Myślałem o pracy — powiedział Currier. — Czeka mnie napięty rozkład zajęć i nie będę mógł zaangażować się w prace nad hotelem, tak jak bym sobie tego życzył. Będę w mieście tak często jak to możliwe, ale im więcej zrobimy w tym miesiącu, tym lepiej. Na przykład ci architekci, z którymi przeprowadziliśmy rozmowy... Jestem winna trzy miliony dolarów trzem inwestorom, którzy zjawili się w tym tygodniu.

— Najbardziej podobał mi się Simons, ale sądzę, że powinniśmy jeszcze raz spotkać się z nim i z Brewerem. Ciekawe, jak zareagują na twój pomysł, żeby cały hotel posiadał tylko apartamenty.

A Wesowi jestem już winna pięć milionów.

— Tego jeszcze nie było w samym sercu Manhattanu, ale jest to doskonałe miasto i prawdopodobnie dogodny czas. Teraz ludzie zwracają się ku starym budynkom. Żeby dostać trzy miliony w tym tygodniu, musiałam zrezygnować z kontroli nad OWL Development. Trzej inwestorzy mogą przegłosować Wesa i mnie. Użyłam swoich udziałów w OWL jako dodatkowej gwarancji za tę pożyczkę. Jeśli hotele nie będą przynosić zysku i jeśli spóźnię się ze spłatą pożyczki, to stracę wszystko.

— Jeśli wybierzemy architekta w miarę szybko, to możliwe, że dokonamy otwarcia przed Bożym Narodzeniem, tak jak w przypadku Chicago. Może to będzie początek tradycji. Częstka twojej dobrej passy.

Wes mnie ostrzegał. Mówił, żebym nie zaprzętała sobie głowy innymi hotelami, żebym nie przekazywała kontroli nad przedsiębiorstwem. Nie brnąłby w to dalej, gdybym nie nalegała. Teraz już nie mogę się zatrzymać. Ryzykuję wszystko. Więc tak chyba musi być. Jestem w połowie drogi i nic mnie nie powstrzyma przed zakończeniem tego, co zaczęłam.

— Z drugiej strony twoja dobra passa mogłaby ci pomóc w znalezieniu takiego kompana przy kolacji, który z chęcią będzie prowadził monolog, podczas gdy ty zatopisz się w swoich myślach, wcale go nie słuchając.

Laura skupiła na nim swój wzrok. Roześmiała się.

— Ależ ja cię shichałam. Chcesz jeszcze raz porozmawiać z Simonsem i Brewerem. Powraca moda na stare budynki. Chcesz, żebyśmy otwierali nowe hotele w każde święta Bożego Narodzenia.

— Broń Boże. A co z moim pomysłem urządzenia restauracji na najwyższym piętrze Nowy Jork Beacon Hill.

Zmarszczyła brwi.

— Ja nie... Mówiłeś o tym? Przepraszam, Wes, nie usłyszałam. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Nie mówiłem. — W zadziwiający sposób usłyszałaś wszystko, o czym wspominałem. Wziął ją pod brodę. — Co cię martwi?

— Pieniądze.

— To dobrze. Mądrzy ludzie interesu zawsze się niepokoją, kiedy liczby są duże, a szanse na sukces znacznie mniejsze. To ich nie powstrzymuje, tylko czyni realistami. Jesteś na dobrej drodze. — Podniósł swój kieliszek i czekał, aż ona zrobi to samo. — Za przeszłość i przyszłość — powiedział.

Trochę zdziwiona, Laura pokręciła głową.

— Ja nigdy nie wznoszę toastów za przeszłość. Myślałam, że o tym wiesz.

— Nie za odległą przeszłość, tylko za tę bliższą. Za Chicago Beacon Hill, za nasze partnerstwo, przyjaźń... — Uniósł brew. — Czy to nie jest warte toastu?

— Oczywiście — odparła i wypila trochę wina, a jej myśli ponownie zakłóciły tę chwilę. Kiedy kelner podawał im jadłospisy, wzięła swój bezwiednie, ledwie słysząc, jak Wes omawia specjalności szefa kuchni. Myślała o Benie.

Ben był odległą przeszłością, a także tą niedawną, bo napisał do niej kilka miesięcy temu, kilka miesięcy po przybyciu do Bostonu i ślubie z Allison.

„Szkoda, że cię tam nie było” — napisał w liście.

„Myślałem o tym, żeby cię zaprosić, ale z tego, co opowiedziała mi Allison wywnioskowałem, że nie chciałabyś uczestniczyć w kameralnym zgromadzeniu rodziny Salingerów i obawiam się, że nie byłabyś też mile widziana. Oni muszą zmienić zdanie o tobie. Postaram się o to, ale zajmie to trochę czasu. Muszę być ostrożny, bo oni nie wiedzą, że mam siostrę, a tym bardziej nie wiedzą, kto nią jest. Nie mogę wzbudzić ich podejrzeń. Mam nadzieję, że to

rozumiesz. Naprawdę nie mogę ryzykować, że będą mnie podejrzewać. Chciałbym móc działać szybciej i zrobić coś dla ciebie, Lauro, ale nie mogę. Jak dotąd wszyscy traktują mnie chłodno, ale uprzejmie. Wyjątkiem jest Leni, zazwyczaj przyjazna i serdeczna, oraz Feliks, który jest oziębłym łajdakiem, niegodnym odrobiny zaufania. Zachowuje się tak, jakby on też mi nie ufał, co stwarza napiętą atmosferę w biurze. Jestem wiceprezesem ochrony Hotelu Salinger. To chyba niezły początek? Mam przytulny gabinet w tym samym korytarzu, co Feliks. To dobra praca i lubię ją. Przedsiębiorstwo jest tak duże, że zawsze gdzieś wybucha kryzys. Każdego dnia rozwiązuję inną zagadkę i to trzyma mnie na nogach. Jedynym problemem są pieniądze, ale staram się jakoś temu zaradzić. Nie. Jest jeszcze jeden problem: Ty. Chcę się z tobą zobaczyć, Lauro. Bardzo mi cię brak. Wszystko zmieniło się w naszym życiu i my chyba też, ale nie wiem, jak bardzo. Kiedy przyleciałem tu w święta wraz z Allison i wprowadziliśmy się do Beacon Hill — prawdopodobnie poznałaś po papeterii, że tu mieszkamy. Feliks i Leni podarowali nam ten dom w prezencie ślubnym — i kiedy zobaczyłem twoje dawne pokoje, nie mogłem uwierzyć, jak pięknie je urządziłaś. Pamiętasz, jak mówiłaś, że chcesz mieć swoje własne miejsce z dala od Claya i ode mnie? Naprawdę je stworzyłaś. Gdy zobaczyłem te pokoje, zrozumiałem, dlaczego nie miałaś zamiaru wracać i mieszkać ze mną. Ale chciało mi się płakać, bo nie były to już twoje pokoje. Właśnie wtedy pomyślałem sobie, że jakoś sprowadzę cię tu z powrotem. Oczywiście nie po to, żebyś tu mieszkała. Stworzyłaś sobie nowe życie, tak jak ja przed kilkoma laty, i prawdopodobnie masz już inny, piękny dom. Ale powinnaś mieć możliwość odwiedzania Beacon Hill. Nie możesz żyć ze świadomością, że już nigdy nie zobaczysz tego domu wraz z ukrytymi tu wspomnieniami. Próbuję powiedzieć ci, że patrząc na te pokoje, domyśliłem się, jak bardzo się zmieniłaś i jak zmieniło się twoje życie. Nie mam jednak pojęcia, co teraz do mnie czujesz. Może jednak nie zmieniłaś się na tyle, aby zobaczyć się ze mną. Ja też się zmieniłem. Chciałbym z tobą o tym porozmawiać. Może zmieniliśmy się w ten sam sposób. Bardzo wiele chciałbym ci wyjaśnić i opowiedzieć. Czuję się tu bardzo dziwnie. Potrzebuję kogoś z zewnątrz, zwłaszcza kogoś, na kim mi zależy. Lauro, kiedyś się kochaliśmy i tak naprawdę to uczucie nigdy nie mija bezpowrot-

nie, prawda? Czy moglibyśmy się spotkać i przekonać się, czy nadal się kochamy albo czy jesteśmy w stanie pokochać się na nowo? Nie proszę cię, abyś przyjechała do Bostonu. Ja przyjechałbym do Chicago. (Czytałem o tobie w *Hotels Today*. Wygląda na to, że masz dobrą pracę. Chciałbym, żebyś mi o niej opowiedziała.) Proszę, napisz do mnie. Naprawdę chcę się z tobą zobaczyć. Oczywiście z Clayem też, jeśli będzie miał ochotę."

Beacon Hill. Laura spojrzała na pierwszą stronę listu. Na papeterii wydrukowany był adres Owena, a kiedyś również jej. Wpatrując się w niego, zaczęła drżeć. Ben zdobył wszystko to, co ona kochała, o czym marzyła i co straciła. On mieszkał w Beacon Hill. Ten dom należał teraz do niego. Poprzez małżeństwo związał się z rodziną Salingerów. Zajmował kierownicze stanowisko w Sieci Hoteli Salingera. Zniweczył jej szanse na zdobycie tego wszystkiego. Zagarnął to dla siebie. Mam się z tobą spotkać? Mam pozwolić, żebyś zapraszał mnie do swojego domu? To mój dom! Owen mnie go zostawił! Jeśli sądzisz, że kiedykolwiek pójde tam i pozwolę, abyś powitał mnie jako jego właściciel...

Wcisnęła list w zakamarek swojej teczki i nosiła go ze sobą, myśląc, że któregoś dnia przyjdzie jej do głowy, co ma odpisać. Ale za każdym razem, kiedy o tym pomyślała, przypominała jej się inna część listu. „Potrzebuję kogoś z zewnątrz...” Za kogo on się, do diabła, ma, żeby przypominać mi, że jestem z zewnątrz?

Wreszcie w złocisty, jesienny dzień wzięła sobie wolny weekend i wybrała się na wycieczkę do Starved Rock. Usiadła pod dębem i przeczytała list Bena po raz ostatni.

„Kiedyś się kochaliśmy i to uczucie nie mija bezpowrotnie, prawda?”

Oparła głowę o chropowaty pień dębu i przypomniała sobie czasy, kiedy uwielbiała Bena i Uczyła na jego opiekę w tym przerażającym świecie. Uświadomiła sobie, że niezależnie od tego, jak bardzo była na niego zła, w głębi duszy zawsze będzie go kochać, ponieważ stanowił jej część, mimo wielkiego muru, jaki wyrósł między nimi. Potem, tak łagodnie jak fala, jej myśl skierowała się

w stronę Paula. Słyszała jego głos i widziała jego uśmiech. Przypomniała sobie, jak ciemniały jego oczy, kiedy na nią patrzył. Pamiętała też poczucie przynależności, jakie zawsze ją ogarniało, gdy byli razem. Nie. To nigdy nie mija bezpowrotnie. Podarła list Bena na drobne kawałki. Wygrzebała dołek w wilgotnej ziemi i zakopała kawałki tak głęboko, jak tylko mogła. Czowała czarną ziemię pod paznokciami. Pomyślała o Clayu pracującym w cieplarni na Cape Cod i zastanawiała się, czy kiedykolwiek potrafi uciec od swoich wspomnień. Potem zakryła dołek ziemią, otrzepała ręce i wróciła do domu.

— Wypiję za przyszłość — powiedziała do Curriera. Był luty. Minął ponad rok od otwarcia Chicago Beacon Hill, ponad rok od ślubu Bena z Allison. Nadszedł czas, aby spojrzeć przed siebie. Kelner właśnie odszedł. Currier zamówił potrawy dla nich obojga. Lubił to robić. Laura podniosła swój kieliszek. — Za naszą przeszłość i za przyszłość.

Currier uśmiechnął się na widok poważnej twarzy Laury. Cokolwiek nagle ją zaabsorbowało, już minęło i ponownie zwróciła swe myśli ku niemu. Tak już pozostanie w ich wzajemnych stosunkach, pomyślał. Ona naprawdę nie miała nikogo oprócz niego. Ginny Starrett była tylko przyjaciółką, choć wydawało się, że ofiarowuje Laurze więcej serdeczności niż innym swoim przyjaciołom. Na Claya nie mogła uczyć. Miał wystarczająco dużo kłopotów związanych z dorastaniem.

— Za naszą przeszłość i za naszą przyszłość — powtórzył Currier, dodając jedno słowo. Ich kieliszki zadźwięczały śpiewnym tonem doskonałego kryształu.

— A propos przyszłości, Wes. Pomówmy o tych następnych hotelach w Waszyngtonie i Filadelfii...

Ulewna majowa burza szalała za oknami biura, kiedy Feliks dowiedział się, że Laura Fairchild jest głównym udziałowcem korporacji OWL Development. Doniósł mu o tym jego pośrednik z Filadelfii, który zadzwonił, by przedstawić ofertę OWL Development na kupno hotelu Filadelfia Salinger.

— To absolutnie wiarygodna informacja.

— Ona jest dyrektorem hotelu w Chicago — poprawił sztywno Feliks.

Wiedział o tym od ponad roku, odkąd opowieści na temat Chicago Beacon Hill zaczęły pojawiać się w hotelowych czasopismach. Mierziło go to, ale wiedział, że nie może zrobić nic więcej, jak tylko ignorować. Ta suka chciała za wszelką cenę utorować sobie drogę do hotelu Salingera, mimo że nie był już własnością rodziny. Ale to nie miało znaczenia dla Feliksa. Mogła tkwić w Chicago do końca życia. Nie spędzało mu to snu z powiek. Tak sobie myślał przez cały miniony rok.

— Była jego dyrektorem, kiedy został otwarty — mówił pośrednik. — Sądzę, że teraz kieruje nim ktoś inny. Ta Fairchild i Currier założyli OWL Development, a ona posiada większość udziałów. Czy to ma jakieś znaczenie? — zapytał, gdy Feliks zamilkł. — OWL złożyło jedyną, godną uwagi ofertę w ciągu dwóch ostatnich lat. Chciałbym uzyskać pana zgodę na wyjście od jedenastu milionów i opuszczenie do dziesięciu. To nie to, na co liczyliśmy, ale rynek w Filadelfii nie jest w tej chwili sprzyjający. Gwarantuję panu, że zapłacą dziesięć. Możemy załatwić całą sprawę w ciągu godziny.

— Znajdź innego kupca — Feliks ledwo mógł mówić z powodu złości, która aż tamowała mu oddech. Uważał, że Laura jest zerem. Prawie o niej zapomniał, a teraz słyszy, że jest głównym udziałowcem w korporacji, z którą robił interesy! Nie mógł tego znieść. To burzyło ład jego myśli. Czuł się tak, jakby osoba, o której wiedział, że nie żyje, nagle robiła zakupy na Copley Plaza. Feliks szczyił się tym, że zawsze posiadał najlepsze informacje i wiedział, jak je wykorzystać. Jego gniew był tym większy, że musiał przyznać się do pomyłki. — Przeanalizuj inne oferty i wynegocjuj najkorzystniejszą cenę. Nie dyskutuj — warknął Feliks, gdy pośrednik zaczął protestować. — Skontaktuj się ze mną za tydzień. Chcę, żeby hotel został sprzedany.

W sali konferencyjnej po drugiej stronie korytarza członkowie rady czekali na niego, aby rozpocząć comiesięczne posiedzenie. Niech czekają! Nie mógł jeszcze tam pójść. Musi ochłonać po tych rewelacjach. Siedział bez ruchu, chcąc się uspokoić. Coraz trudniej było mu hamować złość, zwłaszcza jeśli musiał ukrywać ją przed innymi. Teraz musi bronić swoich posunięć spokojnie i rozważnie, gdy będzie przedstawiał radzie ofertę na kupno hotelu Filadelfia.

— Od-d-d-d-rzucileś? — zapytał Asa pod koniec spotkania,

gdy Feliks doszedł do ostatniego punktu porządku obrad. — Odrzuciłeś d-d-d-dziesięciomilionową ofertę za tę r-r-ruinę?

— Nie złożyli jeszcze oferty.

— Ale twój pośrednik powiedział, że to zrobią — rzekł Cole Hatton. Był to jeden z członków rady, który nie należał do rodziny Salingerów. Mówił szczerze to, co myśli i najtrudniej było go zastraszyć. — Kto jeszcze zaoferował podobną sumę? Czy jest ktoś taki?

— Na razie nie ma — odparł Asa. — Prawda? — spytał Feliksa. — Nikt t-t-t-tyle nie zaoferował. W jednej z ofert proponowano tylko siedem milionów, zgadza się?

— Nie prowadzimy rozmów z tymi, którzy zaoferowali siedem milionów. — Feliks usiadł sztywno na swoim skórzanym fotelu i powiódł wzrokiem po zebranych: Asa po lewej stronie, Cole Hatton i dwóch innych członków rady spoza rodziny, wreszcie Thomas Janssen, który nadal zasiadał w radzie, choć nie pracował już dla firmy i Ben Gardner.

— Skłonimy innych do podwyższenia ofert i będziemy się starali osiągnąć dziesięć milionów.

— A po co zawracać sobie głowę? — zdumiał się Hatton. — Przecież mamy kupca.

— Nie powinniśmy pozbywać się tego budynku, jeśli nie dostaniemy przyzwoitej zapłaty — stwierdził mężczyzna siedzący obok.

Zaczęli rozmawiać między sobą, a Feliks popatrzył ponad nimi na szare strugi deszczu za oknami sali konferencyjnej. Odległy zarys Beacon Hill był zamazany i chwiejny.

Ta suka nigdy nie przywłaszczy sobie hotelu Salingera.

Pokręcił głową. Bzdura. Przecież ma już dwa. Dwa moje hotele. Wykorzystała jakichś bogatych facetów, pewnie starych — jak mój ojciec — i podstępnie zdobyła dwa moje hotele.

Ale już nigdy więcej nie dostanie niczego, co należy do mnie.

— Nie mam zamiaru oddać hotelu za darmo — powiedział chrapliwym głosem. — Ale nie podoba mi się OWL Development. Nie chcę mieć z nimi do czynienia — i to wystarczający powód.

— Nie dla mnie — sprzeciwił się Thomas Janssen. — Spoglądał zdumionymi oczami spoza swych okrągłych okularów. — Jeśli odrzucamy ofertę wiarygodnego kupca, chcę wiedzieć dlaczego.

— M-m-może nie są wiarygodni? — zasugerował Asa.

— Na miłość boską! — wybuchnął Hatton. — Niewiarygodni? Kupili od nas hotele w Chicago i Nowym Jorku, mają hipotekę i pożyczki budowlane, a hotel w Chicago ma konkurencję u swych stóp. Niewiarygodni? Zadzwoń jeszcze raz do pośrednika — rzekł gniewnie do Feliksa. — Powiedz mu, że przyjmujemy dziesięć milionów. Nie interesuje mnie, dlaczego masz na pieńku z OWL Development. Pozbądź się tego cholernego hotelu. Próbujemy go sprzedać od dwóch lat. Musimy zacząć budować w Nowym Jorku nowy obiekt. Jestem przekonany, że tak właśnie powinniśmy postąpić.

Feliks mocno zacisnął usta. Jego napięte mięśnie wskazywały na to, że próbuje powstrzymać swój gniew na Laure Fairchild, na członków rady, którzy mu się przeciwstawiali i przede wszystkim na ojca, który zbudował te przekłete hotele.

— Podjąłem już decyzję. Znajdziemy innego kupca.

— A co jest nie w porządku z OWL Development? — zapytał Ben. — Dziwna nazwa. Zastanawiałem się nad nią. Brzmi jak jakiś żart, prawda? Jakie są do nich zastrzeżenia?

— Nie podoba mi się sposób, w jaki prowadzą interesy — warknął Feliks, nie zadając sobie trudu, żeby odwrócić głowę. — Powiedziałem już, że decyzja została podjęta. Dyskutowaliśmy nad nią dostatecznie długo.

— Chciałbym jednak usłyszeć odpowiedź na to pytanie — nalegał Hatton. — Jakie są do nich zastrzeżenia? Nie było o tym mowy w przypadku Chicago i Nowego Jorku. Czy coś się zmieniło? Kto prowadzi tę firmę? Z kim konkretnie mamy do czynienia?

— Z Wesem C-C-Currierem — odparł Asa.

— To świetny facet — oświadczył Hatton. Przeprowadził dla mnie fuzję przedsiębiorstw. Są jakieś problemy z Currierem? — zapytał Feliksa.

— Nie — odparł krótko Feliks.

— No więc z kim? Z kimś, kogo nie lubisz. Z kimś, kogo nie lubisz tak bardzo, że nie chcesz ubić z nim dobrego interesu. Kto to jest?

Drzwi otworzyły się i weszła sekretarka. Podeszła do Bena i szepnęła mu coś do ucha. Ben natychmiast wstał.

— Przepraszam — powiedział z uśmiechem. — Moja żona jest

w drodze do szpitala. Chciałbym być przy niej, gdy dziecko się urodzi. Proszę mi wybaczyć.

Posypały się najlepsze życzenia. Thomas Janssen zerwał się z krzesła i objął Bena.

— Przekaż Allison nasze pozdrowienia. Dasz nam znać natychmiast...?

— Oczywiście. Dziękuję. — Ben odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

— A więc kto ci się tam nie podoba? — naciskał Hatton. — Jeśli myślisz, że pozwolę przepuścić dobry interes tylko dlatego, że ty masz jakieś uprzedzenia...

— Główny udziałowiec — wybuchnął Feliks, dając upust swojej wściekłości. —

Właśnie się dowiedziałem, że jest nim Laura Fairchild — przebiegła, podstępna...

Ben potknął się i upadając, uderzył o framugę drzwi.

— Mój Boże! — wykrzyknął Thomas i podbiegł do niego. Ale Ben już podnosił się z podłogi.

— Przewróciłem krzesło. Przepraszam.

— Ciężko jest być ojcem — zauważył Hatton żartobliwie. — Nawet jeśli się nim jeszcze nie zostało. Lepiej weź taksówkę. Na twoim miejscu nie odważyłbym się prowadzić,

Ben skinął głową. Spojrzał w stronę stołu konferencyjnego. Wszyscy stali, rzucając ukradkowe spojrzenia na Feliksa, który siedział sztywno, patrząc prosto przed siebie — upewnił się Thomas.

— Czy na pewno nic ci nie jest?

— Wszystko w porządku. — Ben zniżył głos. — Kiedy zadzwonię by powiadomić o dziecku, opowiesz mi o dalszym przebiegu posiedzenia?

— Oczywiście.

— Jednak Ben wychodząc nie był pewien, ile naprawdę usłyszy, zwłaszcza jeśli Thomas i Asa odbędą prywatną rozmowę z Feliksem.

— Co to za różnica, do cholery, kim ona jest? — stwierdził Hatton, podczas gdy inni zadawali różne pytania. — Pieniądz to pieniądz. Nieważne, skąd pochodzi.

Rozważasz, co jest lepsze dla przedsiębiorstwa, czy zżerają cię własne ambicje?

Pytania ucichły, gdy Ben zamknął za sobą drzwi i przemierzał korytarz. Jego myśli biegły w dwóch kierunkach. Laura Fairchild. OWL Development.

Allison powinna już być w szpitalu. Jak udało jej się zostać głównym udziałowcem? Nie będę prowadził. Hatton ma rację. Lepiej będzie, jak wezmę taksówkę. Zawsze była najsprytniejsza z nas trojga, ale jak to zrobiła? Skąd wzięła pieniądze? Lekarz powiedział, że wszystko jest w porządku, ale mogą być jakieś komplikacje. Mój Boże, jeśli coś stanie się Allison...

1 gdzie, do diabła, jest Clay?

Nic się nie stanie. Ona czuje się świetnie. Dziecko też będzie zdrowe.

Muszę zobaczyć się z Laurą. Muszę dowiedzieć się, co robi...

— Panie Gardner — powiedziała recepcjonistka. — Poleciałam sprowadzić taksówkę. Pomyślałam sobie, że może zechce pan z niej skorzystać.

— Skorzystam. Dziękuję — odparł. — Dziękuję, że pani o tym pomyślała.

Stojąc w windzie, czuł się tak, jakby wciągał go wir. Laura. Allison. Nasze dziecko. Feliks tracący panowanie nad sobą. A jeśli zdarzy mu się to o jeden raz za dużo... A ja pozostanę opanowany...

...to hotelowe imperium Salingerów będzie w zasięgu rąk Bena Gardniera.

Wskoczył do taksówki i usiadł wygodnie, pozwalając swoim myślom płynąć swobodnie. Nie zwracał uwagi na odgłosy ruchu ulicznego na mokrych jezdniach.

Nie słuchał monotonnego monologu taksówkarza, skierowanego do wszystkich pieszych i zmotoryzowanych. W szpitalu, zupełnie odruchowo, zapytał, gdzie leży Allison i znalazł się w jej pokoju, zanim jeszcze zdążył otrząsnąć się z myśli o posiedzeniu i skoncentrować tylko na niej.

— Wyglądasz na zdenerwowanego — powiedziała Allison, kiedy pochylił się, by ją ucałować. Leżała na wąskim łóżku i uśmiechała się do niego. — Czy sprawiło to posiedzenie zarządu? Weź mnie za rękę i przestań o tym myśleć. Pomyśl, że zostaniesz ojcem. Ja od kilku godzin staram się myśleć o nas jako o rodzicach i nagle jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie mam zielonego pojęcia, jak być rodzicem. A ty? Czy wierzysz w skuteczność klapsów?

— Nie. — Przysunął krzesło i usiadł obok niej. — Wierzę, że należy poświęcać dzieciom wiele uwagi i nigdy ich nie opuszczać.

— Nawet na wakacje?

— Poradzimy sobie z tym jakoś.

— Prawie o tym nie rozmawialiśmy. Czy to nie dziwne? Zdaje mi się, że spędziliśmy całe dziewięć miesięcy na wybieraniu imion. Wzięła jego dłoń i położyła sobie na piersi. — To był cudowny okres, prawda?

— Najlepszy w moim życiu. Ale się kończy. Teraz wszystko się zmieni.

Uśmiechnęła się.

— Odkąd cię znalazłam, nie chcę, aby cokolwiek się zmieniało. Wszystko wokół, cała rodzina, jest doskonała. — Niespodziewanie Allison jęknęła i wykrzywiła się z bólu. Podciągnęła nogi, jakby starając się uśmierzyć ból. Oddychała płytko i szybko. Ścisnęła rękę Bena z taką siłą, o jaką nigdy jej nie podejrzewał. — Do diabła — jęknęła. — dlaczego... to nie jest... zabawne? Zabawniej jest... robić... dzieci.

Ben uśmiechnął się szeroko.

— Oddychaj. Tak jak na ćwiczeniach, pamiętasz? Wykrzywiła usta.

— To było łatwiejsze, kiedy... nie bolało.

— Będę liczył — powiedział, starając się panować nad głosem. Nie miał pojęcia, jakie to uczucie widzieć cierpienie Allison. — Pamiętaj: głęboko, wolno...

— Dobrze — rzekła z uznaniem pielęgniarka, która pojawiła się obok łóżka. — Wiele kobiet o tym zapomina. Pani Gardner, świetnie daje pani sobie radę. Allison skinęła głową. Oczy nadal miała zamknięte.

— To dzięki mojemu mężowi.

— Doskonale — powiedziała pielęgniarka, mierząc Allison ciśnienie.

— Czy wszystko w porządku? — spytał Ben. Nakazywał sobie, żeby nie zachowywać się jak głupiec. Bywał z Allison na wszystkich zajęciach. Wiedział, czego się spodziewać. Nie powinien się denerwować. Ale co innego rozmawiać i ćwiczyć w grupie ciężarnych kobiet i ich mężów, a co innego siedzieć w szpitalnym pokoju,

patrząc, jak twarz i ciało Allison kurczy się z bólu. — Czy wszystko jest w porządku?!

— Cicho — uspokajała Allison. — Ben, kochanie, nie wrzeszcz na pielęgniarkę. Ona robi to, co do niej należy.

— Wszystko gra — rzekła pielęgniarka. — Proszę nadal oddychać. Jesteście oboje wspaniali.

— Czy ona musi być tak cholernie radosna? — mruknął Ben. Allison wydała dźwięk, który był jednocześnie jękiem i śmiechem.

— Powinieneś patrzeć wyłącznie na mnie, a nie na innych. Po prostu siedź tu blisko, rozmawiaj ze mną i wszystko będzie dobrze... Zostaniemy najszcześniejszą trójką na świecie.

Ben wziął dłoń Allison w swoje ręce. Żadne z nich nie zwróciło uwagi, kiedy pielęgniarka wyszła.

— Jesteś wspaniała — powiedział Ben. — Kocham cię.

— Hej! — zawołała Allison ze śmiechem. — Mówisz to ze zdziwieniem. Nigdy nie powinieneś być zdziwiony, gdy mówisz swojej żonie, że ją kochasz. — Zamknęła oczy. Twoja miłość jest najdoskonalszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła. — Leżała spokojnie, czekając na następny skurcz. — Tak się cieszę, że w domu wszystko już przygotowane. Nawet łóżko dla niani... — Ból narastał. Ben dostrzegł to na jej twarzy. — Zadzwoń do niej później, Ben... Nie zapomnij... Powiedz, że będziemy jej potrzebowali za kilka dni...

— Przestań mówić i oddychaj — rozkazał Ben. — Słuchaj, jak liczę. — Trzymał jej ręce i liczył miarowo, oddychając razem z nią. W tym momencie wszystko inne przestało istnieć. Wrogość Feliksa, nowa posada, pieniądze, Laura, chęć pomszczenia Judda — to wszystko przestało się liczyć. Głaskał naprężony, drżący brzuch Allison. Pochylał się i całował jej pierś przez cienką szpitalną koszulę. Jego blond włosy mieszały się z jej długimi, popielatymi włosami. Ogarniało go silne poczucie bezpieczeństwa. Miał żonę, która go kochała. Miał dom i własną rodzinę. Laura nie odpisała na jego list. Kiedy przestał przeglądać pocztę, szukając wieści od siostry, zdecydował, że poczeka, aż urodzi się dziecko i spróbuje ponownie skontaktować się z Laurą. Ale nawet jeśli nie chciałyby mieć z nim nic wspólnego, to i tak znalazł nowe życie, które dało mu prawie wszystko, o czym marzył: miłość, własne miejsce i przyszłość. Nawet chęć zawładnięcia imperium Salingerów i wyrównania rachunków z Feliksem wyda-

wała się nieistotna, kiedy Ben siedział przy Allison. Wiedział, że to kiedyś powróci, w tej chwili wystarczała mu miłość do żony i pielęgnowanie tego, co wspólnie stworzyli. Przedtem nie spodziewał się, że może czuć się w ten sposób. Nie marzył nawet, że będzie potrafił. Ale teraz liczyła się tylko Allison: jej blada twarz, jej oczy wpatrzone w niego, jej dłoń ściskająca jego rękę tak mocno jak nikt. Kiedyś Laura przytulała się tak do niego po śmierci rodziców. Dziś liczyła się tylko Allison i ich dziecko.

— Kocham cię — powiedział znowu niskim głosem. Miał ochotę płakać i śmiać się zarazem. — Bardziej, niż sądziłem, że będę w stanie kogoś kochać i pragnąć. Ty mnie tego nauczyłaś. Kocham cię Allison i przyrzekam, że będę się tobą opiekował. Zawsze będę przy tobie. Nigdy cię nie opuszczę. Obiecuję, że nie będziesz musiała się nigdy niczego obawiać.

Pocałował ją i trzymał jej rękę, gdy chwyciły ją bóle. Był przy niej nadal, kiedy pielęgniarzka wróciła i wyszła, by znów powrócić po pewnym czasie. Później przychodziła pielęgniarzka z drugiej zmiany. O jedenastej wieczorem Allison miała tak częste skurcze, że w przerwach ledwo starczało jej czasu na zaczerpnięcie oddechu. Oboje mieli wrażenie, że cały świat skurczył się do rozmiarów tego jasnego pokoju i do determinacji Allison, aby oddychać poprawnie, chociaż miała wrażenie, że rozpadnie się na setki cierpiących cząstek. Ben mówił bez przerwy, próbując odciągnąć jej uwagę od bólu. Potem pojawił się lekarz, rozpromieniony, gdyż Allison spisywała się dzielnie, a serce dziecka było silne i rozwiązanie miało nastąpić niebawem.

Godzinę później, zaraz po północy, gdy Ben siedział przy Allison w sali porodowej, nadal trzymając jej rękę i mówiąc, że ją kocha, urodził mu się syn — Judd Gardner.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Druga kradzież miała miejsce w Paryżu. Britt Farley wrócił z tournée po Ameryce, otworzył drzwi swojego apartamentu i zobaczył puste obramowanie kominka, gdzie stały trzy niespotykane rzeźby Remingtona. Niczego więcej nie ruszono. Nie było śladów włamania, ani żadnych poszlak. Dorobione klucze do mieszkania Farleya pasowały doskonale. Clay miał tyle czasu, ile potrzebował. Dowiedział się z kalendarzyka Farleya, jak długo będzie on przebywał w Ameryce i kiedy wróci do Paryża. Clay zostawił apartament dokładnie w takim stanie, w jakim go zastał, zabierając tylko trzy rzeźby. Dostarczył je pośrednikowi, który zlecał mu wszystkie kradzieże na rzecz prywatnych kolekcjonerów, nie mających możliwości zdobycia pewnych dzieł sztuki w żaden inny sposób. Wkrótce Clay leciał concordem z powrotem do Nowego Jorku, ponieważ kończył się weekend. Farley nie mógł udzielić paryskiej policji ani agencji ubezpieczeniowej żadnych informacji. Sprawa została umorzona, zanim jeszcze na dobre rozpoczęto śledztwo.

Farley mieszkał w Paryżu od ponad roku, próbując zerwać z alkoholem i kokainą, podczas gdy jego menager szukał dla niego nowego serialu telewizyjnego. Od dwudziestu pięciu lat Britt Farley

był piosenkarzem i aktorem uwielbianym przez publiczność. Był wiejskim chłopakiem, niewinnym młodym człowiekiem patrzącym szeroko otwartymi oczami na wielki, wspaniały świat. Był naiwnym i niezbyt sprytnym, ale za to przystojnym bohaterem z ujmującym uśmiechem, który sprawiał, że rodzice przypominali sobie swoje dzieci, kiedy były młode i kochane. Kobiety wspominały, jak kiedyś wyobrażały sobie swoich przyszłych mężów. Później jednak zaczął się upadek Farleya i wkrótce ciążyła na nim reputacja alkoholika, narkomana i kobieciarza.

— Nie obiecują nam niczego — powiedział jego menager podczas jednej z wizyt w Los Angeles. — Ani serialu telewizyjnego, ani nawet koncertów, jeśli nie udowodnisz, że potrafisz pozostać czysty przez pewien czas — powiedzmy przez rok. Chyba że — przekrzywił głowę. — Mam pewien pomysł. Co ty na to? Nowy Britt Farley rozpoczyna tournée, by zebrać pieniądze dla biednych i głodnych ludzi na świecie.

— To już było — rzekł Farley.

— A więc cały świat jest już syty i szczęśliwy? — Menager nazywał się Louie i szczyił się tym, że potrafi radzić sobie z geniuszami pełnymi temperamentu. — Dookoła jest wystarczająco dużo biedy, żeby zatrudnić tysiące piosenkarzy przez następne tysiąc lat. Gdzie znajdziesz lepszą publiczność? Udowodnij, że wróciłeś. Jedyne Britt Farley — piosenkarz, aktor, filantrop. Masz lepszy pomysł? Farley wzruszył ramionami. Zorganizowano tournée z udziałem głównego zespołu i mniej znanych grup. Stało się to sensacją roku. Nagłówki gazet w całym kraju obwieszczały: FARLEY WALCZY Z GŁODEM! Specjalne reportaże telewizyjne prezentowały obozy uchodźców, slumsy i wychudzone dzieci wpatrujące się w kamery. Sponsorzy ustawiali się w kolejce, żeby pokrywać koszty tournée. Negocjowano wydawanie zezwoleń na nagrania wiodącej piosenki i taśmy video z koncertu finałowego, który miał się odbyć na promenadzie w Waszyngtonie. Sprzedaż biletów pobiła wszelkie rekordy. BRITT POWRACA! — głosił Newsweek, a także People i Time, ale zastanawiano się również, ile pieniędzy rzeczywiście dotrze do potrzebujących.

— Wszystkie — zapewnił Farley w porannej audycji radiowej z udziałem radiosłuchaczy. — No, oczywiście niezupełnie wszystkie. Ponosimy pewne koszty, ale cała reszta jest przeznaczona dla

potrzebujących. Ratujemy życie, a nie wzbogacamy się. Możecie nam wierzyć. Oczywiście czerpiemy z tego — znalazł odpowiedni fragment scenariusza — prawdziwą satysfakcję. Naprawdę cieszymy się każdą chwilą tych koncertów! GORĄCZKA FARLEYA! — obwieszczały nagłówki w New York Daily News. Wkrótce wszyscy uwierzyli, że Farleyowi się udało. Jeszcze nie tak dawno temu wydawało się, że jest skończony i uzależniony od narkotyków, skompromitowany, bezrobotny i załamany. Teraz znowu był uwielbiany, na nowo stanął w świetle reflektorów. Publiczność poddała się jego magnetyzmowi, który przyciągał widzów przez dwadzieścia pięć lat. Wystarczyło, że znaleźli powód, aby pokochać go od nowa.

Podczas pierwszych czterech koncertów zebrano ponad dwa miliony dolarów ze sprzedaży biletów i dobrowolnych datków. Następnie zespół miał dwa tygodnie urlopu przed rozpoczęciem następnej tury koncertów. Farley wrócił do Paryża i zastał okradzione mieszkanie.

Kilka dni później kronika towarzyska w dzienniku Los Angeles doniosła, że Britt Farley powrócił na arenę przyjęć towarzyskich i po dwóch miesiącach wzorowego zachowania, wdał się w bójkę w paryskim nocnym klubie. Jego menager negocjował w tym czasie udział Farleya w nowym serialu. Teraz wszystkie te plany stały pod znakiem zapytania.

— Zaprzepaścił sprawę — rzekł Larry Gould, podając Paulowi gazetę. — Będzie miał szczęście, jeśli sponsorzy nadal zechcą finansować tournée. To była dla niego najlepsza okazja od wielu lat. Gdyby tylko pozostał czysty. Trudno uwierzyć, że ktokolwiek teraz mu pomoże.

Paul przejrzał kolumnę.

— Chciałbym zrobić o nim film — powiedział zamyślony. — Wzlot i upadek bohatera Ameryki. Oczywiście, jeśli zgodzi się współpracować.

Larry przymrużył oczy, zastanawiając się nad tym.

— To jest pomysł. — Spojrzeli na siebie poprzez zagracone biurko Paula i propozycja zaczęła im się podobać.

— W tym zawiera się wszystko — powiedział Paul z rosnącym zaangażowaniem.

— Marzenia każdego człowieka o tym, żeby osiągnąć sukces i obawa przed klęską.

— To prawdziwy gwiazdor — rzekł Larry, podnosząc głos. — Ludzie go znają, identyfikują się z nim. — Larry odchylił głowę i popatrzył na sufit. Chyba że jest zbyt dużym nieudacznikiem. Wtedy publiczność będzie trzymać się z dala.

Paul pokręcił głową. Nie będzie, jeśli zrobimy dobry film. To najstarszy pomysł świata i nigdy nie przestaje fascynować ludzi.

— Co? Klęska?

— Nie taka zwyczajna klęska. Widowiskowa klęska. Upadek idola. Klęska króla. Miliarder, który traci wszystko. Czy ludzie przestają czytać o Agamemnonie, bo poniósł porażkę? Albo o Edypie czy Lirze? Można tak wymieniać, aż do facetów takich jak Stan Kenton i John Belushi...

— Przekonałeś mnie. Masz rację. Nigdy nie myślałem o Farleyu w kategoriach antycznego fatum, ale coś w tym jest. To rodzaj tragedii, zejść tak wysoko, a potem spaść... — Sięgnął po gazetę

i ponownie przeczytał fragment z kroniki towarzyskiej. — A co będzie, jeśli się pomyliłem i on nie zaprzepaścił wszystkiego. Jeśli ktoś się nim zajmie i Britt szybko podniesie się z kolan?

Paul uśmiechnął się szeroko.

— Wtedy zrobimy film o upadku i wzlocie bohatera Ameryki i będziemy mieli doskonałe zakończenie.

Roześmiali się.

— Tak czy inaczej, podoba mi się ten pomysł — powiedział Larry. — Nie chodzi tu o jednego bohatera. Dotyczy to każdego bohatera,

— I nas wszystkich: publiczności, która pomaga znakomitościom wkroczyć na tron, a potem odwraca się i pozwala im runąć, kiedy okazują się zwykłymi ludźmi.

— To brzmi coraz lepiej. — Larry usiadł wygodnie i oparł nogi na biurku. — Więc sfilmowałbyś tournee, śledziłbyś go z kamerą, podpatrywał w jego pokojach hotelowych, garderobach i restauracjach, czekając, aż poniesie klęskę.

— Nie chcę stawiać problemu na ostrzu noża — odparł Paul zamyślony. Jego wizje rwały do przodu. Film nabierał kształtów. Widział już przeplatające się sceny, różne głosy, obrazy i trasę koncertową zmierzającą do punktu kulminacyjnego. — Poza tym — dodał powoli — Britt musi zgodzić się współpracować.

— Dlaczego miałyby się nie zgodzić? Nie ma żadnych innych

ofert. Jest trochę pesymistycznie usposobiony. Będzie zadowolony z odrobiny rozgłosu. Znasz go? Ja go kiedyś spotkałem, ale nie sądzę, żeby pamiętał.

Zadzwoń jutro do jego menagera. Może będziesz chciał polecieć do Paryża, żeby z nim porozmawiać. Czy Emily nie będzie miała nic przeciwko temu?

— Robią zdjęcia do następnej kolekcji Moda Naszych Czasów — odrzekł Paul automatycznie. — Prawie nie zauważy, że mnie nie ma.

— Więc może omówimy założenia. Mogę poświęcić ci jeszcze trochę mojego niezwykle cennego czasu, ale niezbyt wiele. Boże, szkoda, że nie mogę się zająć tym tematem, zamiast tworzyć trzydziestosekundową historyjkę o doskonałym detergencie, który uratował małżeństwo. Ja będę pracował nad lśniącobiałymi kołnierzykami, a tobie dostanie się mit o bohaterze Ameryki. Cholera, ty będziesz się świetnie bawił. Dobra, mam jeszcze godzinę. Co wiesz o Farleyu oprócz tego, że pije, bierze narkotyki i szczeka?

— Nie wiedziałem, że szczeka.

— Robi to od kilku lat, gdy go coś napadnie. Słyszałem, że wiernie naśladuje szacownego setera irlandzkiego. A może dal-matyńczyka? Ktoś opowiadał, że kiedyś odstawił numer w hotelu. W Nowym Jorku czy Chicago, nie wiem dokładnie. Było to ponad rok temu i właściwie nie wspomniano o tym często. Nie sądzę, aby pozwolił ci coś takiego sfilmować.

— Nie na ostrzu noża — przypomniał mu Paul. — Wolałbym raczej, żeby widzom było go żal. Wplątał się w coś i teraz nie wie, jak z tego wybrnąć.

— Nawet gdyby wiedział, wystarczy jedno potknięcie, by znowu znalazł się na dnie. On nigdy nie naprawi swojej reputacji.

— Mógłby to zrobić, gdyby wystarczająco dużo ludzi mu pomogło.

— Nawet i wtedy mu się nie uda. Przeszłość ciągnie się za nami jak wielki bagaż, który jest tym cięższy, im ludzie są starsi.

Paul milczał.

— No, to od czego zaczniesz? Może od Paryża. Samotny facet w rozświetlonym mieście. Sądzisz, że jest z nim jakaś dziewczyna?

— Nie mam pojęcia.

— Miejmy nadzieję, że nie. Samotny brzmi lepiej. A potem tournée. Próba wydobywania się z kryzysu. Poszukiwanie uwagi, miłości i władzy nad publicznością...

— Przebitki pokazujące jego publiczność — powiedział Paul. — Widziałem je. To morze zachwyconych twarzy. Potem znowu on w taksówce, w drodze do hotelu, całkiem sam... a może nigdy nie jest samotny? Może zawsze ma dziewczyny?

— Może w Europie jest inny. Jeśli jednak ma dziewczynę, to moglibyśmy ją przekupić, żeby poszła do domu i zostawiła go samego. Dlaczego ja bardziej lubię scenariusze od prawdziwego życia?

— Bo możesz kontrolować zakończenie.

— I początek. Oraz wszystko inne między początkiem a końcem. Roześmiali się, a potem Paul powiedział:

— Chciałbym teraz zadzwonić do menagera Farleya. Mogę dzisiaj opracować wstępny scenariusz i omówić go z nim jutro.

Larry uśmiechnął się.

— Podoba mi się ten entuzjazm. Rób, jak uważasz. A ja mam jeszcze jeden pomysł. Mój znajomy pracuje w telewizji publicznej. Kiedy dasz mi egzemplarz scenariusza, spróbuję mu go wcisnąć. Jeśli oni zgodzą się pomóc w stworzeniu tego filmu, to będziesz miał niezły budżet. — Larry wstał. — Gdybyś mnie potrzebował, to jestem w moim gabinecie.

Menager Farleya, Louie Glass, wahał się.

— Odlatuję jutro do Paryża concordem — powiedział. — Chce pan się ze mną spotkać? Niczego nie obiecuję, ale możemy porozmawiać w samolocie.

Zgodzi się, pomyślał Paul. Mimo woli jego głos brzmiał entuzjastycznie. O Farleyu krążyły złe wieści i Glass potrzebował nowych propozycji.

Paul usiadł wygodnie i wrócił do scen, które wyobrażał sobie podczas rozmowy z Larrym. Obrazy były tak żywe, jakby widział je naprawdę. Wszystko wydawało się takie dynamiczne. To było dla Paula zadziwiające odkrycie. Po wielu latach posługiwania się aparatem fotograficznym, odkrył radosną wolność ruchu i dźwięku, możliwość pokazania jednoczesnych wydarzeń. Bez względu na to, ile uczucia wkładał w swoje najlepsze fotografie, nie mogły się one równać z dramatyзмом filmu. Czuł się tak, jakby opuścił wielki dom i miał przed sobą ogrom całego świata, w którym może tworzyć.

Pierwszy film spółki Gould-Janssen Productions został zakończony półtora roku po założeniu przedsiębiorstwa. Przeszedł bez echa. Był prezentowany w kilku kinach i wspomniano o nim kilku

recenzentów. Obejrzało go niewielu ludzi, którzy po wyjściu z kina nie rozmawiali o doskonałości filmu ani nawet o jego niedociągnięciach, ale o tym, gdzie pójda na drinka i w którym łóżku będą się kochać.

Miesiąc później Paul i Larry oglądali film ponownie w pokoju projekcyjnym, w domu Larry'ego.

— Widzowie mieli rację — mruknął Larry. — Ja też wolałbym rozmawiać o tym, w którym łóżku pobaraszkować.

Paul nie uśmiechnął się. Nie był przyzwyczajony do porażek i złościł się na siebie.

— Dlaczego, do cholery, puściliśmy to w obieg?

— Byliśmy zahipnotyzowani swoją błyskotliwością — parsknął Larry. — Często mi się to zdarzało, kiedy byłem sprytnym geniuszem, rozpoczynającym pracę w reklamie. Cholera, nawet teraz zdarza mi się to od czasu do czasu. Jednak dziwię się, że przytrafiło się to nam obu. Zdaje się, że przynajmniej jeden z nas powinien zauważyć, że to będzie niewypał. — Film się skończył i rozbłysły światła.

Rozmyślali w ciszy. — Spójrzmy na to w ten sposób: to nie była całkowita strata.

Odbyłeś swoją praktykę, wiele się nauczyłeś... do diabła, nauczyłeś się pracować.

Jak na faceta, który nigdy wcześniej nie podejmował żadnej pracy, spisałeś się całkiem dobrze. Nie widzę przeszkód, żeby zlecić ci następny film, a sam zajmę się tymi bzdurami, które pozwalają nam płacić rachunki. Oczywiście będę ci pomagał, ile tylko będę mógł. — Chcesz piwo? — Wyciągnął butelkę i otwieracz.

— Dzięki. — Paul rozprostował nogi. — Nauczyłem się jednej rzeczy. Muszę trochę zawęzić pole widzenia. Nieruchoma fotografia ma jednak swoje zalety.

— To znaczy?

— To znaczy, że kiedy robię zdjęcie, to staram się zrobić zbliżenie, żeby móc spojrzeć, co uczyni fotografią wyjątkową. Tak samo chcę postąpić w przypadku filmu. Zrobić zbliżenie i pokazać, co jest niespotykane. Tak wiele się dzieje wokół nas. Nie można zrobić filmu z chaosu.

— Taki jest świat, przyjacielu. Większość z nas uczy się radzić sobie z nim.

— Ja też zazwyczaj się tego uczę.

— Więc co chcesz zrobić?

— Profile. Chciałbym osnuć każdy film wokół jednej osoby i posłużyć się jej albo jego historią, by opowiedzieć o mieście,

zawodzie lub czymkolwiek innym, nawet o kraju. Takie potraktowanie tematu pozwoli mi się na czymś skupić, a publiczność obejrzy kogoś, z kim może się identyfikować albo kogo może nienawidzić. Larry zamyślił się.

— Spróbujmy.

Im dłużej o tym rozmawiali, tym bardziej podobał im się ten pomysł. Rozmawiali o nim także tego dnia, gdy przeczytali artykuł o Farleyu. To wzbudziło ich większy zapal. Opowieść o Farleyu mogła być parabolą o wzlotach i upadkach bohaterów, którzy próbują podnieść się na nowo.

Nazajutrz po rozmowie z Glassem, Paul poleciał z nim do Nowego Jorku, a potem concordem do Paryża. Poświęcili ten czas na zapoznanie się. Louie mówił o Farleyu, o jego przygnębieniu po włamaniu do mieszkania, choć teraz już wziął się w garść. Następnie przejrzyli scenariusz Paula. Nim dolecieli do Paryża, Louie zaakceptował pomysł filmu i większość scenariusza.

Gdy dotarli do apartamentu Farleya, Britt już na nich czekał. Louie rozmawiał z nim dzień wcześniej przez telefon i powiedział mu o filmie.

— Chodzi o film dokumentalny, tak? — zapytał, prowadząc ich do salonu. Jego głos był głęboki i aksamitny.

Jedna z jego żon powiedziała, że słuchanie jego głosu jest tak samo przyjemne, jak kochanie się z nim. Po rozwodzie stwierdziła, że słuchanie było lepsze. Młoda dziewczyna z wystraszonymi oczyma siedziała skulona na fotelu w kącie salonu.

Farley nie przedstawił jej. Milczała przez cały czas ich wizyty.

— Film dokumentalny — powtórzył Britt. — Przerabialiśmy to w szkole. Związki zawodowe, jak zbudować katedrę, miśki polarne kopulujące na śniegu. Stawia mnie pan na równi z niedźwiedziami polarnymi?

— Stawiamy pana na równi ze sławnymi ludźmi — odparł Paul. — Publiczność lubi poznawać wewnętrzne przeżycia swoich ulubionych gwiazd.

— Publiczność jest zbyt głupia, żeby poznać wnętrze od zewnątrz — rzekł od niechcienia Farley.

— Tego pan nie słyszał — powiedział Louie Glass.

Farley spojrzał w jego stronę, ale nie odezwał się. Zawsze liczył na swojego menagera, który wyciągał go z każdego kłopotu, w jaki się pakował z powodu ostrego języka.

— Przyjemne mieszkanie — powiedział Paul, patrząc na długi pokój przepelniony wyścielanymi meblami. Przez duże, otwarte okna dolatywała świeżość czerwcowego poranka. Paul dojrzał korony drzew przy ulicy Focha trzy piętra poniżej. — Trudno uwierzyć, że ktoś się tu włamał. Dość wysoko.

— Nie wlaźł tędy — mruknął Farley. — Ten łajdak wszedł frontowymi drzwiami, tak jakby tu mieszkał. Niczego, nie otworzył siłą, niczego nie porzrzucał, niczego nie poprzesuwał. Musiał mieć klucz. Wszedł sobie jak do własnego mieszkania... do miejsca, w którym mieszkam! Wtargnął do mojego domu, w którym... — przerwał nagle.

W którym się ukrywasz, pomyślał Paul. Kiedy to zrobił, poczuł się zagrożony. Zabrakło ci kryjówki. Więc znowu zaczęłaś wciągać kokainę i pić. Od włamania minęło pięć dni. Louie powiedział, że Britt wziął się już w garść, ale to nie była prawda.

Paul napotkał wzrok Louie'ego i prawdopodobnie zrozumieli się doskonale. Farley nie osiągnął całkowitej równowagi emocjonalnej, ale był w dobrej formie przed pierwszymi czterema koncertami narodowego tournée. Louie i jego personel prawdopodobnie potrafiliby utrzymać go w tej formie przez resztę trasy koncertowej i wystarczająco długo, żeby Paul mógł skończyć swój film.

— Porozmawiajmy o filmie — powiedział Paul, jakby nie zauważył wybuchu Farleya. — Chcielibyśmy przedstawić pana codzienne życie, pokazać, jak pan pracuje, odpoczywa, rozmawia z przyjaciółmi, piosenkarzami, aktorami i innymi znajomymi. Chcemy dowiedzieć się, skąd pan czerpie pomysły i jak pan tworzy. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zamierzamy śledzić pana z kamerą i filmować na spotkaniach, próbach, w nocnych klubach... — widząc lęk w oczach Farleya, Paul poprawił się: — ...w restauracjach, za kulisami. Szybko przestanie pan zdawać sobie sprawę, że jesteśmy obok. Jako podkład wykorzystamy klipy z pana występów telewizyjnych. Przeprowadzimy wywiady z ludźmi, którzy znają pana od lat. Czy pan się zgadza?

— Przepraszam — powiedział nagle Farley i wybiegł do łazienki. Louie wyciągnął rękę, żeby go zatrzymać, ale potem opuścił ją i wzruszył lekko ramionami.

— Dolegliwości żołądkowe. Zjadł coś nieodpowiedniego — powiedział do Paula. Siedzieli w milczeniu, aż do powrotu Farleya.

— Przepraszam. Nie lubię opuszczać gości, ale kiedy trzeba, to trzeba. — Jego nozdrza były różowe. — Mówił pan...

— Mówiłem o wywiadach z ludźmi, którzy...

— Ach, tak. Wywiady. — Skinął głową, uśmiechając się szeroko. — Nie ma problemu, jeśli tylko będzie rozmawiał pan z ludźmi, którzy mnie lubią. Nie ma mowy o wywiadach z kimś, kto nie czuje do mnie sympatii.

Paul skinął głową i Farley potraktował to jako zgodę. Zaczęli rozmawiać o tournée, które miało rozpocząć się za kilka dni. Paul i Louie próbowali nakłonić Farleya, żeby trzymał się tematu, podczas gdy on przytaczał wspomnienia lub anegdoty. To tak, jakbym był psem pasterskim, pomyślał Paul, chronię Farleya przed zagubieniem się w chaosie jego myśli. Zajęło to kolejne dwie godziny, ale wreszcie Farley, Louie i Paul spisali wstępną, nieoficjalną umowę, a potem wstali i uścisnęli sobie ręce.

— Zobaczmy się jutro z samego rana — powiedział Paul.

— Jak długo to potrwa? — spytał Farley. Jego głos był chrapliwy, a oczy mu się świeciły.

Paul usiłował sobie przypomnieć, czy Britt wracał do łazienki dwa czy trzy razy podczas ich rozmowy, ale nie pamiętał.

— Tak długo, jak długo będzie pan miał ochotę opowiadać — odparł Paul. — Ja jestem cierpliwym słuchaczem. Mamy do omówienia pięćdziesiąt lat pańskiego życia.

— Czterdzieści siedem — poprawił Farley automatycznie. Zapadła chwila ciszy. — Jeszcze jedno — oświadczył radośnie. Chętnie opowiadam o sobie. Nigdy nie miałem z tym kłopotu. Jestem tematem bliskim memu sercu. Oczywiście moje życie jest niezwykle bogate, więc będzie o czym rozmawiać: to prawdziwa odyseja. I zbliżające się tournée! Największa impreza charytatywna od wielu lat. Będzie pan miał dość materiału na dwudziestogodzinny minise-rial. Opowiem wszystko. Moje credo to całkowita szczerść. — Posłał Paulowi znany na całym świecie uśmiech.

— Wszyscy inni mają motto, a ja mam credo i trzymam się go w stu procentach. Jeśli tylko mam jakieś wzmocnienie od czasu do czasu — dodał, puszczając oko. W taksówce Paul robił notatki, żeby nie uleciały słowa, zanim wszystkie zapisze. Nie można mu ufać, myślał. Pamiętał, że Farley nie życzy sobie wywiadów z osobami, które go nie lubią. On chce mieć laurkę, a nie film dokumentalny.

Mimo to Paul był rozbawiony, a nie zdenerwowany. Farley nie był pierwszym ani ostatnim człowiekiem pragnącym ukryć swoje wady przed publicznością. Sam znajdzie mnóstwo ludzi, z którymi przeprowadzę wywiad, zdecydował Paul. Nie będzie polegał jedynie na nazwiskach, które dadzą mu Louie i Farley.

Myśląc o tym i robiąc notatki, Paul czuł ogarniające go podniecenie. Podjął pracę i zmierzał do określonego celu. Było to dla niego nadal nowe uczucie—ta radość angażowania się, łączenia pomysłów i wizji, by stworzyć pełny obraz: dobro i zło, fantazja i rzeczywistość, to co zwykłe i to co niespotykane. Ta praca stymulowała i dawała mu taką satysfakcję, jakiej nie odczuwał nigdy w życiu. Tego właśnie chciał. Ożywiać ludzi na ekranie. Pokazywać twarze i sceny kryjące się za tym, co oni sami pokazują światu. Chciał opowiadać ich prawdziwe losy.

Podczas następnych dni film rysował się coraz wyraźniej w umyśle Paula, w miarę jak przeprowadzał kolejne wywiady z Farleyem. Siadywali w jego salonie. Operator filmował cichutko w kącie pokoju. Wywiady trwały całymi dniami. Przed powrotem do Kalifornii Paul miał o wiele pełniejszy scenariusz filmu, z pustymi miejscami zostawionymi na nieoczekiwane pomysły. Wszystko było zapisane na luźnych kartkach notesu wraz z notatkami i listą nazwisk ludzi, z którymi miał przeprowadzić wywiady. Kiedy dwa tygodnie później, w Nashville, zaczęli zdjęcia, notes Paula spęczniał, miał pozaginane rogi. W miarę upływu miesięcy notes rozrastał się jeszcze bardziej. Gdy skończono kręcenie filmu, żywot notesu również się skończył. Stanowił on kompletną kronikę filmu, przypieczętowaną plamami z musztardy i kawy po lunchach jadanych w biegu.

Larry wziął sobie urlop, żeby pojechać do Nashville razem z Paulem.

— Musieliśmy odłożyć reklamę o detergentach — powiedział, gdy jechali z lotniska do hotelu. — Zachorował pięciolatek, który miał patrzeć, jak jego zazwyczaj skłóceni rodzice gruchają niczym gołąbki po odkryciu rewelacyjnego środka wybielającego kołnierzyki. Zdaje się, że dzieciak ma wietrzną ospę, więc musimy poczekać, aż wyzdrowieje, albo znajdą jakieś zdrowsze dziecko. W każdym razie mam kilka dni urlopu. Emily nie protestowała, że znowu wyjeżdżasz?

— Jest bardzo zajęta — odparł wymijająco Paul. Potem przypomniał sobie, że mieszkał w Los Angeles, gdzie wszyscy rozmawiali niby szczerze, zarówno przyjaciele, jak i wspólnicy w interesach.

Dodał więc: — Wyjedziemy na parę tygodni, kiedy skończymy kręcić film. Stęskniliśmy się już za sobą.

— To miłe — mruknął Larry. — Ciągłe myślę, że powinienem się ożenić, ale nie mam nikogo, za kim mógłbym tęsknić.

— Przecież mieszkasz z Bonnie — zauważył Paul.

— I lubię ją. Ale nie tęsknię za nią, więc dlaczego miałbym się z nią żenić?

Paul milczał. Jediną kobietą, za którą naprawdę tęsknił, nawet teraz, była Laura.

— Możemy dzisiaj świętować — rzekł Larry. — Nie miałem okazji wypić z tobą drinka od czasu, gdy dostaliśmy wiadomość z telewizji publicznej, że będą nas sponsorować. To dla ciebie dobra nowina. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Oni robią to raz na sto lat.

— To znaczy, że będą chcieli nadać ten film jak najszybciej — odparł Paul. — To dla mnie najważniejsze. Chwycił swój notes, gdy dojechali do hotelu. — Czas wziąć się do roboty. Mam nadzieję, że nasz gwiazdor zachowuje się przyzwoicie. Jeśli nie, to będziemy mieli niezłą orkę.

Jak się wkrótce przekonali, nie tylko Farley mógł przysporzyć im kłopotów. Były też całe tłumy wielbicieli, którzy podążali za nim, gdziekolwiek się ruszył.

Wszystko zaczęło się podczas pierwszych czterech koncertów. Zanim tournee przeniosło się do Nashville, a potem do Dallas i Salt Lake City, publiczność zaczęła żyć własnym życiem. Farley był zawsze otoczony tłumem ludzi. Fani wyciągali kartki papieru, prosząc o autograf. Wołali: „Britt, zaczekaj!” Szli jego śladem.

Tłumy ciekawskich kłębiły się na ulicy przed hotelem i otaczały go, kiedy się pojawiał. Wyciągano ręce, żeby oberwać strzęp jego koszuli lub chustki. (Farley przestał nosić takie ozdoby po tym, jak o mało co nie został uduszony przez kogoś, kto chciał ściągnąć mu chustkę z szyi). Rozbrzmiewały krzyki i wrzaski. Ktoś zawsze śpiewał, myśląc może, że to dobra okazja do przesłuchania. Wszędzie sprzedawano koszulki z napisem BRITT POWRÓCIŁ. Ktoś przedsiębiorczy wymyślił jojo ozdobione z jednej strony napisem „Niech zginie głód”, a z drugiej napisem „W górę serca”. Ktoś rzucił w Farleya różą, kiedy kłaniał się nisko wywołany na scenę w Dallas. Z jego czoła popłynęła strużka krwi. To z kolei wywołało nagłówki

prasowe głoszące: BRITT PRZELEWA KREW ZA BIEDNYCH. Młoda dziewczyna została przewrócona w rozszalałym tłumie widzów w Denver. Czujny agent prasowy wniósł ją na scenę, gdzie Farley trzymał ją za ręce i śpiewał dla niej miłosną piosenkę. Na drugi dzień pojawiło się to na pierwszych stronach gazet. Wszystko, co robił Farley, stanowiło ciekawostkę przekazywaną albo lokalnie, albo przez telewizję publiczną. Tournée stawało się najważniejszym wydarzeniem w miastach, w których się pojawiał. Farley był w centrum zainteresowania. Uśmiechał się, machał, śpiewał, posyłał całusy do publiczności i organizował przyjęcia, na których go głośkano, przymilano się do niego i całowano go.

— Oni mnie kochają — powiedział do Paula. — Nigdy nie przestali. Zawsze kochali i kochają Britta. — Zabierał nieznajomych do restauracji i zamawiał stolik dla dwudziestu czterech lub trzydziestu sześciu osób. Każdej nocy miał partnerkę w łóżku, a następnego dnia dawał jej perfumy i czekoladki. — Kochają mnie — mówił, mrugając do Paula. Lubię przelecieć jakąś od czasu do czasu. Oczywiście tego nie słyszałeś. Jestem po prostu najwspanialszym kochankiem na Zachodzie.

— Skąd bierzesz na to pieniądze? — spytał Paul.

— Jakoś sobie radzę — odparł Farley wymijająco.

— Skąd się biorą pieniądze na przyjęcia, perfumy i kolacje? — zapytał Paul Louie'ego Glassa.

— Britt jest bogatym facetem — odparł natychmiast Louie. — Dużo zaoszczędził, gdy był na topie.

— Teraz jestem na topie — rzekł Farley, wchodząc do pokoju hotelowego, w którym rozmawiali. — Nigdy nie byłem wyżej. — Spojrzał na Paula. — Tak właśnie czuje się król. Znowu jestem królem — oznajmił, wracając do swojej kryjówki z kokainą i ginem.

— Hej, kolego, masz dzisiaj występ — powiedział łagodnie Louie. — Może darujesz sobie tym razem?

— Darowałem sobie poprzednim razem.

— Kiedy?

— Pięć minut temu.

— Bardzo zabawne. — Położył rękę na ramieniu Farleya. — Odłóż to do końca występu.

— Zabierz łapę. Louie opuścił rękę.

— Nie lubię, żeby mi mówiono, co mam robić, wiesz o tym, Louie. Jestem dużym chłopcem. Właśnie obchodziłem czterdzieste siódme urodziny — wyjaśnił Paulowi.

— Jestem dostatecznie dorosły, żeby zatroszczyć się o siebie.

Paul wziął swoją marynarkę.

— Idę na kolację. Chodź, Britt, kupię ci stek.

— Nie jestem głodny. Zostanę.

— Nigdy nie jadasz, kiedy jesteś na prochach — powiedział uszczypliwie Louie.

Paul zerknął na niego.

— Mimo to chodź — rzekł do Farleya. — Nie lubię jadać samotnie.

— Po prostu próbujesz nakłonić mnie do jedzenia. Zabierzesz mnie do restauracji i rzucisz we mnie stekiem.

— Możliwe. Jeśli złapiesz, będzie twój. Farley zachichotał.

— Lubię cię Janssen. Nie okłamujesz mnie.

— Chodź. Ja zgłodniałem, nawet jeśli ty nie. Możesz opowiedzieć mi o tym, jak w szkole średniej byłeś gwiazdorem w przedstawieniu.

— Byłem gwiazdorem. Skąd o tym wiesz?

— Powiedział mi twój szkolny wychowawca. Ale chciałbym usłyszeć o tym od ciebie.

— Dobra. Mogę o tym opowiadać. To były dobre czasy. — Odwrócił się i wyszedł z pokoju do holu.

— Czy możesz wcisnąć w niego trochę jedzenia? — zapytał Louie ściszym głosem.

— O to właśnie chodzi.

Każdy dzień był grą. Należało nakłaniać Farleya do jedzenia i do spania, gdy mówił, że jest wypoczęty i pełen energii. Trzeba było utrzymać go w odpowiedniej formie podczas koncertów. Wszyscy nad tym pracowali. Louie, Paul i cała ekipa. Ubierali go i rozbierali. Próbowali powstrzymać go od zbyt osobistych komentarzy w miejscach publicznych. Towarzyszyli mu w drodze do samolotu i z samolotu na scenę, gdzie miał występować. Paul większość filmował. Bez względu na to jak mętne były myśli Farleya, nigdy nie zapominał, że Paul kręci o nim film. Przez osiem, dziesięć lub piętnaście godzin na dobę był przy nim Paul i operator. Kiedy tylko Paul dawał dyskretny sygnał, kamerzysta zaczynał

pracę: Farley na próbie, Farley rozmawiający z innymi muzykami o zbliżającym się koncercie. Farley snujący wspomnienia z Louiem, Farley siedzący samotnie przy fortepianie, nucąc, śpiewając, by upewnić się, że jego głos brzmi dobrze. Od czasu do czasu kazał wyłączać kamerę, mówiąc, że potrzebuje trochę prywatności. Jednak najczęściej chciał mieć operatora obok siebie. Każdego dnia zaczynał żyć dla kamery.

Wreszcie, kiedy wszyscy doszli do wniosku, że nie przebrną przez kolejny dzień, zrobili sobie tygodniowy odpoczynek i Paul wrócił do Los Angeles.

— Emily? — zawołał, gdy otworzył frontowe drzwi. Ogarnęła go chłodna cisza pustego domu. Pokonywał po dwa stopnie, zdążając na górę do oszklonego salonu. Wyszedł na taras. Stał przez dłuższą chwilę, spoglądając na rozciągające się w oddali Los Angeles. Miasto było blade i zamglone w promieniach chylącego się ku zachodowi lipcowego słońca, które z trudem przebijało się przez smog. Powoli Paul zaczął się odprężać. Wypełniała go cisza, a napięcie, jakie wywoływał Farley, mijało.

Krążył po tarasie, podziwiając wspaniale utrzymane przez mieszkańców klomby pełne różnobarwnych kwiatów, których nazw Paul nigdy się nie nauczył. Emily też ich nie zna, pomyślał i zdał sobie sprawę, że zawsze mają świetnie urządzone, nieskazitelnie utrzymane mieszkanie, ale nie zachowują się jak domownicy, lecz tak, jakby mieszkali w hotelu.

— Wróciłeś! — powiedziała Emily ze zdziwieniem. Stała w drzwiach ubrana w lekką koszulę i sandały. Jej blond włosy były artystycznie potargane do zdjęć. Jasnobłękitne oczy kryły radość. — Nie dzwoniłeś.

Paul podszedł i wziął ją w ramiona.

— Dzwoniłem wczoraj wieczorem. Wyglądasz ślicznie, ale nie jestem zachwycony fryzurą.

Roześmiała się.

— Pozowałam w długim sobolowym futrze, chodząc bosą po plaży, a moje włosy miały wyglądać, jakbym właśnie wstała z łóżka. To czyjś zwariowany pomysł.

Uważasz, że nie mogę sprzedawać futer z takim wyglądem?

— Myślę, że potrafisz sprzedać wszystko. Pocałował ją, ale po chwili odsunęła się.

— Wczoraj wieczorem wyszłam z Barrym Markenem. Był krótko w mieście, więc kiedy mnie zaprosił, zgodziłam się. Wróciłam do domu przed dziesiątą.

— Nie prosiłem, żebyś się tłumaczyła—powiedział łagodnie Paul.

— Masz prawo wiedzieć, gdzie wychodzę, gdy cię nie ma. Masz prawo życzyć sobie, żebym więcej nie spotykała się z Barrym na kolacji.

— Nie mam prawa i nie zrobiłbym tego. Nie jestem twoim strażnikiem i nie pochlebia mi, że tak o mnie myślisz.

— Jesteś zły. Przepraszam. Miałam okropny dzień. Sama nie wiem, co mówię.

— Może napijesz się drinka i opowiesz mi o tym?

— Dobrze. Poproszę wódkę z lodem. — Stała w bezruchu, czekając, aż Paul wróci z drinkami. — Nie ma wiele do opowiadania. Wiesz, że pozowanie jest nudne. A może nie wiesz? Nikt o tym nie wie, dopóki się tym nie zajmie. To nie ma nic wspólnego z talentem, inteligencją lub nawet interesującą osobowością. Trzeba po prostu być w odpowiednim miejscu, kiedy nastaje nowa moda.

Paul słyszał drzenie w jej głosie.

— A czy teraz nastaje nowa moda? Roześmiała się lekko.

— Nigdy się o tym nie mówi. Ale dzisiejszego ranka reżyser stwierdził, że mam za szerokie biodra.

— Mówiłaś, że zawsze robią takie uwagi.

— Tym razem brzmiało to inaczej. — Przysiadła na kamiennym murku między kwietnikami. Zachodzące słońce oświetlało ją z tyłu i jej twarz była w cieniu. — Nie ma w tym wszystkim żadnego ładu. Nie można niczego zaplanować. Nie wiadomo, czego zażyczą sobie następnym razem.

— Raczej jakiej modelki zażyczą sobie następnym razem.

— Jakiego rodzaju modelki. Oczywiście nie martwię się. To mnie nie dotyczy, ale to bardzo nudne uczestniczyć w czymś, co jest takie nieuporządkowane i mało twórcze.

Paul wiedział, że Emily musi znać zasady, bo w przeciwnym razie nie wie, jak dostosować swoje zachowanie do sytuacji.

— Czy to aż tak się zmieniło? Kilka lat temu nie uważałaś, że coś jest nie w porządku. Chciałaś się tym zajmować, bardziej niż czymkolwiek na świecie. Wzruszyła ramionami.

— Teraz wiem o tym więcej niż wtedy.

Nagle Paulowi przyszło do głowy, że Emily nie pozostanie długo modelką. Pomyślał, że sytuacja w ich życiu dziwnie się odwróciła. Gdy się poznali, Emily wiedziała dokładnie, czego chce. Chciała zostać modelką i wyjść za mąż. On zaś włóczył się po Europie niespokojny i zniechęcony. Teraz natomiast on wiedział, czego chce, przynajmniej w życiu zawodowym, a ona błędziła. Nie opodal zaśpiewał ptak, a drugi mu zawtórował. Było spokojne letnie popołudnie. Usłyszeli brzęk kieliszków z mieszkania poniżej.

— Nie zapytałaś o moją podróż — powiedział Paul.

— Jak było?

— W porządku.

Zlekceważyła oschłość w jego głosie.

— To dobrze. Skończyłeś już?

— Filmować tournée? Chyba ci mówiłem, że to potrwa jeszcze cztery tygodnie.

— Pamiętam, że coś o tym wspominałeś, ale nie mogę zrozumieć, dlaczego musisz jeździć na wszystkie koncerty. Prawdopodobnie wyglądają jednakowo. I on z pewnością jest taki sam, bez względu na to gdzie się znajduje. A ja nie lubię, kiedy wyjeżdżasz.

— Ja też nie lubię wyjeżdżać, ale muszę to robić.

— Lubisz to robić. Uwielbiasz to. Uwielbiasz robić filmy. Spojrzał w jej rozgniewane oczy.

— Sądziłem, że to rozumiesz. Mówiłem ci, jakie to dla mnie uczucie.

— Nigdy do niczego nie żywiłeś takiego uczucia. No, może do mnie.

— Nadal żywię do ciebie uczucie — powiedział prawie w zadumie.

— Ale nigdy nie myślałeś w ten sposób o pracy.

— Chciałem tak myśleć. — Zastanawiał się, ile jej powiedzieć. Prawie nigdy nie rozmawiali o jego filmach. Ona była najbardziej zainteresowana swoją karierą. — Zawsze chciałem, żeby trafiło się coś, na czym będzie mi zależało. Nie przyszło mi do głowy, że powinienem tego szukać, że takie rzeczy nie spadają z nieba. — Uśmiechnął się ponuro. — To zadziwiające, jak wiele czasu potrzebowałem, żeby się o tym przekonać. To przez wychowanie w bogatej rodzinie.

— Bzdura. Wszystko nadchodzi, jeśli jest się cierpliwym. **To** Larry zaoferował ci tę pracę. Ty jej nie szukałeś.

Paul zamilkł na chwilę.

— Masz rację — przyznał. — Ale to przedsięwzięcie umarłoby śmiercią naturalną jak mnóstwo innych pomysłów, gdybym nie poświęcił mu wiele czasu, ucząc się i naśladować Larry'ego, tak jak dziecko uczące się chodzić. Może to po prostu było konieczne. Potrzebowałem czegoś, na czym mi zależy.

— W porządku, jeśli tylko nie potrzebujesz kogoś, na kim ci zależy — odparła wesoło. Ale potem dodała smutno: — Żałuję, że nie czuję do swojej pracy tego samego co ty. — Patrzyła na panoramę Los Angeles i nie widziała zdziwionego wzroku Paula. — Mam nadzieję, że kiedyś będę coś takiego odczuwać. Chyba dla każdego przychodzi taka chwila, prawda? — Zapadła cisza. — Jak długo będziesz jeszcze pracował nad filmem?

— Cztery do sześciu miesięcy. Obiecuję, że potem oderwiemy się od tego wszystkiego. Pojedziemy na długą wycieczkę, a później...

— Co będziesz robił później?

— Jaki film? Kiwnęła głową.

— Nie wiem. Wybierzemy temat, który nas zainteresuje.

— A może ja byłabym dobrym tematem. Interesujesz się mną, a Larry uważa, że mam fascynującą twarz. Tak mi powiedział. Mógłbyś zrobić film o mnie.

Paul na moment zmarszczył brwi.

— Mógłbym. Może kiedyś zrobię. Chyba się jeszcze napiję. A ty chcesz następnego drinka?

— Tak. — Weszła za nim do salonu. — To mogłoby mi bardzo pomóc, Paul.

— Film? Jak mógłby ci pomóc? — Uśmiechnął się do niej. — Jesteś jedną z czołowych modelek w kraju. Film dokumentalny o blaskach i cieniach zawodu modelki nie wydaje mi się pomocny.

— Nie musisz filmować ciemnej strony tego zawodu.

— Należy filmować wszystko. Tym właśnie film dokumentalny różni się od fikcji.

— Objął ją ramieniem. — W jaki sposób to mogłoby ci pomóc?

— Każdy występ jest korzystny.

To była wymijająca odpowiedź. Paul zwrócił jej głowę w swoją stronę.

— Nie to miałaś na myśli. O co ci chodzi?

Przyłgnęła do niego, przytulając twarz do jego koszuli.

— Po prostu nie jestem szczęśliwa. Ja chcę...

Paul przytulił ją mocniej. „Ja chcę”. Zdał sobie sprawę, jak wiele wypowiedzi Emili zaczynało się od tych słów.

— Czego? — zapytał.

— Chcę być szczęśliwa. Paul poczuł się bezradny.

— Myślałem, że jesteś szczęśliwa.

— Czasami jestem. Staram się. Nie zawsze mi to wychodzi. Przytulał ją, nie wiedząc, co powiedzieć. Zastanawiał się, czego ona, do diabła, chce i ile on może dla niej zrobić.

— Chciałabym pokazać, że jestem inna niż wszyscy, bardziej interesująca; żeby cenili mnie nie tylko z powodu wyglądu...

Paul znowu usłyszał, jak drży jej głos i zastanowił się, jakie byłoby jego życie, gdyby musiał polegać tylko na swojej twarzy.

— Pomyślę o filmie — powiedział łagodnie. — Ale niczego nie mogę obiecać.

Emili obróciła się i przyciągnęła jego głowę niżej, żeby go pocałować.

— Dziękuję, kochanie. Wiem, że zrobisz dla mnie wszystko, co będziesz mógł. Bardzo ci ufam.

A potem będziemy żyli długo i szczęśliwie, pomyślał Paul gorzko. Jednak ta myśl szybko umknęła. Emili trzymała jego głowę i całowała go znowu. Jej mały język tańczył w jego ustach jak płomień.

— Tęsknię za tobą — mruzczała. Przyłgnęła do niego, stając na palcach i wciskając nogę między jego uda.

Paul czuł pod palcami jej delikatne i uległe ciało. Przez cienką koszulę wyczuwał ciepło jej skóry. Przytulił ją mocniej.

— Tęsknię — szepnęła znowu, przyciągając do siebie jego głowę. Jedną ręką pieściła jego szyję i ześlizgnęła się do odpiętego kołnierzyka. Emili zgrabnie odpięła koszulę, zagłębiając ciepłe palce w ciemnym owłosieniu jego torsu, a potem pogłaskała gładką skórę poniżej pasa. — Każdej nocy — szeptała. Rytmicznie poruszała nogą między jego udami. Kiedy Paul podniósł jej koszulę i zaczął pieścić jej piersi, odwróciła się i poprowadziła go do sypialni.

Zawsze potrafiła maskować swój egocentryzm żarem ich złączonych ciał.

— A wiec — spyta! Larry, kiedy lecieli samolotem do Minneapolis — czy to był miodowy miesiąc?

— To zawsze jest miodowy miesiąc — odparł Paul.

Nigdy nie rozumiał tej męskiej potrzeby podsumowywania swoich przeżyć seksualnych, chyba że noc albo weekend był tak nieudany, że można było o nim zapomnieć tylko dzięki kłamstwu. Prawdę mówiąc, ten tydzień spędzony z Emili nie wyglądał jak miodowy miesiąc, z wyjątkiem czasu spędzonego w łóżku. Nie mieli dość tematów do rozmowy, a kiedy już rozmawiali, wydawało się, że mówią o różnych rzeczach. Po dwóch dniach Emili chętnie pracowała, robiła zakupy albo spotykała się z przyjaciółmi na lunchu. Paul z ociąganiem przyznał, że jeśli oczekiwała go jakaś impreza związana z tournée Farleya, to z radością wsiadał w samolot.

— Wykonałem też trochę pracy — dodał.

— To dobrze. Ja też. — Podał Paulowi broszurę. — Zarys życia Farleya.

Paul zachichotał i wręczył Larry'emu swoją broszurę.

— Zarys filmu. Piąty notes.

— Niech cię diabli. Brawo. No, popatrzmy.

Czytali w ciszy. Potem przez resztę podróży pracowali nad listą ludzi, z którymi mają przeprowadzić wywiady. Omawiali, jakie widoki i jakie sceny z Farleyem będą filmować.

— Gdzie był w tym tygodniu? — zapytał Paul.

— W Nowym Jorku i Los Angeles. Rozmawiał z handlarzami sztuki na temat zakupu nowych rzeźb Remingtona. Uparł się na kowbojów. Są jego modelowymi postaciami czy coś w tym stylu. Rozmawiał też z inspektorem agencji ubezpieczeniowej, który bada sprawę kradzieży. Dzwoniłem wczoraj do Britta. Czuł się dobrze. Był na prochach, ale nikt by chyba nie zauważył, gdyby nie wiedział, czego ma szukać. Sądzę, że zależy mu na tournée i na zrobieniu filmu, więc jakoś się kontroluje. Po skończeniu filmu niech robi, co chce.

Larry został na występie w Minneapolis, a potem wyjechał.

— Spróbuję wrócić na koncert finałowy w Nowym Jorku — powiedział, gdy wraz z Paulem jadł śniadanie przed wyjazdem. — To powinno być rewelacyjne. Sprzedali miejsca siedzące za dwa tysiące dolarów od osoby i spodziewają się jeszcze zebrać ćwierć miliona na

całej promenadzie. Oczywiście tam miejsca są darmowe, ale wpływają też pieniądze za transmisje telewizyjne na żywo... — Pokręcił głową. — Zaczęli od zera, a zrobili doskonale przedstawienie.

— Kto wie, może uda się nawet przeznaczyć część tych pieniędzy dla biednych — rzekł Paul oschle.

— Dla kogo? Roześmiali się ponuro.

— Nikt oprócz głodnych nie pamięta po co zorganizowano to tournee — powiedział Paul. — Jak myślisz, ile pieniędzy dostaną?

Larry wzruszył ramionami.

— Dziesięć centów z dolara? Nie zastanawiałem się nad tym. Z całą pewnością dostaną niewiele. Muszę iść. Mam nadzieję, że zobaczymy się na koncercie finałowym. Powodzenia w rozmowach z Farleyem.

Trasa koncertowa wiodła przez Detroit, Buffalo i Pittsburgh. Występ w Buffalo okazał się niemal tragedią. Farley miał zły wieczór. Zapominał słów piosenek, zaczynał się, opowiadał nieskończenie długi dowcip, który nie miał żadnej puenty.

— Niech to szlag! — wybuchnął potem Louie. — Zapominasz,

0 czym ci mówiłem. Twoje życie zależy od tego tournee! Masz zamiar wszystko spieprzyć z powodu paskudnego nałogu, z którym mógłbyś skończyć, gdybyś tylko chciał?!

— Wiem — powiedział pokornie Farley. — Wiem, Louie. Będzie dobrze. Na chwilę wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Wezmę się w garść.

— Idź do łóżka — polecił Louie. — Odpocznij. Zastanów się nad sobą. Potrzebujesz kilku dni, żeby nabrać formy przed następnym koncertem.

Farley pokręcił głową.

— Potrzebuję towarzystwa. Nie znoszę samotności.

Tej nocy i następnej odbywały się przyjęcia, tak jak wcześniej w innych miastach.

Były kolacje dla tłumu wielbicieli i prezenty dla kobiet, które dzieliły łoże z Farleyem. „Wszystko będzie dobrze” — mruczał, kiedy Louie go strofował, ale nie był w stanie dotrzeć do końca koncertu w Pittsburghu. Wyszedł przed utworem finałowym

i inni muzycy wystąpili zamiast niego.

— Wszystko szło dobrze — mówił Farley do Paula następnego dnia. Siedzieli w pokoju hotelowym w Waszyngtonie i oglądali

reklamę finałowego koncertu tournée, który miał się odbyć na promenadzie ciągnącej się od Kapitolu do pomnika Waszyngtona. Britt był zdenerwowany. — Do ostatnich dwóch koncertów wszystko szło dobrze, prawda? Naprawdę dobrze. To nie była jakaś chała przyciągająca garstkę widzów, bo pierwszy lepszy dupek widnieje na plakacie. My sprzedawaliśmy bilety! I zebraliśmy pieniądze, prawda? My mieliśmy publiczność! Wszystko dzięki nazwisku Britt Farley i talentowi. Zgadza się?

— Zgadza się. — W kącie dyskretnie filmował operator. Paul zastanawiał się, czy Farley zdaje sobie z tego sprawę.

— Ale to jeszcze nic. Pomyśl, czym właściwie jest Salt Lake City. Po prostu ziarenkiem piasku na pustyni. — Przerwał na moment. — Zapomnij, że to powiedziałem. To wspaniałe miasto. Ale iłu sławnych ludzi występowało dla trzystu tysięcy widzów na promenadzie w Waszyngtonie — stolicy naszego kraju? Niesamowite, co? Niesamowita odpowiedzialność. Tak mówi mój agent. Powiedz temu facetowi, żeby wyłączył kamerę.

Paul dał znak operatorowi.

— Może sobie zrobić kawę.

Paul znowu skinął głową i kamerzysta wyszedł z pokoju. Farley otworzył szufladę.

— Mam tu moje skarby, jeśli ich nie zgarnął jakiś gremlin... — Długo ukrywał to przed Paulem. — Teraz jesteś dla mnie jak rodzina — powiedział. — Moja kokaina jest twoją kokainą, jeśli tylko za nią zapłacisz i nie posuniesz się za daleko.

Ostrożnie wysypał biały proszek cienką strużką na biurko, a potem słomką wciągnął wszystko głęboko do nosa.

— Trzysta tysięcy ludzi — powtórzył. — Znowu jestem królem. — Napotkał wzrok Paula. — Przepraszam, zachowuję się po chamsku. Chcesz trochę? Przystawka przed obiadem.

— Nie, dziękuję. Zastanawiałem się...

— Nie musisz być taki uprzejmy. Mam tego mnóstwo i lubię cię. — Wyciągnął rękę, ale Paul uśmiechnął się i pokręcił głową. — Zawsze mi odmawiasz. Do cholery, czyja opowiadam moją historię Mary Poppins? Na co masz ochotę? Zdobędę to dla ciebie. Mogę zdobyć, co tylko zechcesz. Nie, zaraz. Zapomnij, że to powiedziałem. Cholera, powiedz mi, co bierzesz?!

Żaden z nich nie lubi być tym jednym jedynym, pomyślał Paul. Muszą wierzyć, że wszyscy inni robią to samo.

— Nigdy o tym nie rozmawiam.

— Możesz mi zaufać!

— Z pewnością, ale to takie przyzwyczajenie. Po prostu o tym nie rozmawiam.

— Ja też mogę ci ufać, prawda?

Paul spojrział czujnie, słysząc nową nutę w głosie Farleya.

— Mam nadzieję, że mi ufasz. Czy mówimy o czymś szczególnym?

— To nic wielkiego. — Zamilkł na chwilę. — Chodzi o małą pożyczkę.

Paul zachował spokój.

— Ile?

— Kilka tysięcy. Trzy, jeśli masz.

— Nie przy sobie, ale mogę zdobyć. Kiedy potrzebujesz?

— Wkrótce. Tego popołudnia.

Paul zawahał się, a potem powiedział bardzo ostrożnie:

— Zastanawiałem się nad tymi przyjęciami i prezentami. Na to przeznaczasz pieniądze?

Farley wzruszył ramionami.

— Król ma wydatki. Zwrócę ci.

— Nie jestem pewien, czy będziesz w stanie.

— Jasne, że będę. Mam swoje sposoby. Coś wymyślę! — Kiedy Paul zamilkł, Britt pochylił się w jego stronę. — Posłuchaj, ten biały proszek otwiera mi umysł.

Potrafię rozwiązywać problemy, mam nowe pomysły. Powiedz tylko, co mam zrobić, a ja to zrobię. Wszystko jest cholernie łatwe i proste! Nie ma żadnych barier.

To właśnie zawdzięczam mojemu białemu przyjacielowi. Tylko ten przyjaciel to potrafi. Masz żonę? Ja miałem żonę, całą zgraję żon, ale one są do niczego. Ten proszek jest doskonały! Nie odgryza się, nie opuszcza cię i nie stara się być

mądrzejszy. Nie przepadam za mądrymi kobietami. Ty lubisz mądre kobiety?

— Lubię, gdy są tak mądre jak ja.

— Tak, to jest w porządku. Ale przeważnie sądzą, że są mądrzejsze i mogą kierować twoim życiem — Zamyślił się. — Jest tylko jedna kobieta, którą kocham całym sercem. Powiedziałem jej to, ale ona twierdzi, że nie chce się z nikim wiązać. Kiedyś bardzo brzydko się zachowałem. Omal nie zepsułem przyjęcia, które

zorganizowała. To nie było miłe. A ona wyprowadziła mnie stamtąd i namówiła, żebym poszedł spać. Ale nie wyrzuciła mnie z hotelu. Następnego dnia ta zachwycająca kobieta siedziała ze mną przy stole. Była delikatna i przyjazna. Nie zgrywała mądrali i nie tłumaczyła mi, jak mam żyć. Pomyślałem sobie wtedy: „Cholera, to prawdziwa dama”. Potrafi być miła dla ludzi. Mówię jej to zawsze, kiedy ją spotykam. Mówię: „Lauro, kocham cię. Będę zawsze zatrzymywał się w twoich hotelach i nigdy już nie będę czekał, bo jesteś miłą, uroczą kobietą i sprawiasz, że czuję się wspaniale”. Ale ona jest jedyna, wiesz? Wszystkie inne czegoś ode mnie chcą. A tego z całą pewnością nie lubię. Tak jak mówiłem. O co ty mnie pytałeś?

Paul wpatrywał się w okno. Farley podążył za jego wzrokiem, ciekawy, co przykuło uwagę Paula, ale zobaczył tylko budynek po drugiej stronie ulicy.

— Hej, przyjacielu, słyszałeś, co mówiłem? Paul spojrział na niego.

— Myślałem o tej kobiecie z hotelu.

— O Laurze. Spodobałaby ci się. Jest mądra, ale delikatna. Jest mądrzejsza ode mnie, ale to nie ma znaczenia. Jest taka... subtelna.

— Jak ma na nazwisko? — zapytał Paul.

— Fairchild. Fair child — dziecko bez skazy. Ładnie brzmi, co? Pasuje do niej.

Wiesz co? Spotkasz ją! Wydaję przyjęcie po zakończeniu tournée, żeby uczcić te wspaniałe rzeczy, których dokonaliśmy. Zaproszę Laurę, więc ją poznasz. Ale najpierw załatwimy tę jedną rzecz. Pożyczysz mi pieniądze, tak?

— Tak.

— Dzięki, przyjacielu. Wiedziałem, że mogę na tobie polegać.

— Niedługo wrócę — powiedział Paul. Wyszedł i poszedł do pokoju Louie'ego Glassa, piętro niżej. — Jak bardzo spłukany jest Farley? — zapytał.

— Nie jest spłukany. Mówiłem ci, że jest bogaty.

— Kiedyś może był, ale teraz nie jest. Prosi mnie o pieniądze. — Paul widział, jak pogłębiają się zmarszczki na twarzy Louie'ego. — Pytałem cię wcześniej, Louie: „Skąd on brał pieniądze przez te wszystkie tygodnie”?

— Nie wiem, Paul. Zastanawiałem się nad tym, tak samo jak ty, ale nie wiem.

— Bzdura. Nie ma takiej rzeczy, której byś o nim nie wiedział.

Twoim obowiązkiem jest wiedzieć wszystko. Skąd biorą się te pieniądze, Louie?

— Posłuchaj, zajmij się kamerą i rób swój film. To ciebie nie dotyczy.

— To dotyczy Farleya, a właśnie o nim jest mój film. Louie pokręcił głową.

— Nie o tej sprawie. Pewne rzeczy pozostają tajemnicą.

Paul przysiadł na parapecie okiennym i obserwował, jak Louie chodzi po pokoju.

— Bierze pieniądze z tournée, prawda? Korzysta z pieniędzy pochodzących ze sprzedaży biletów i z napływających czeków...

— Daj spokój! To nie twoja sprawa, skąd on bierze pieniądze! Co się, do cholery, z tobą dzieje? Prowadzisz krucjatę, czy co? Do ciebie należy tylko nakręcenie filmu o piosenkarzu, a cała reszta... nie ma z tym związku. Nigdy nie zadałeś ani jednego pytania o to, jak przygotowuje się tournée. Nigdy cię nie obchodziło...

— Ale teraz zaczyna mnie obchodzić. To tournée jest dobrym, światowym wydarzeniem, w którym dzieje się zbyt mało dobrych rzeczy albo uczestniczy zbyt mało dobrych ludzi. Chcę wiedzieć, co się dzieje. I ty mi to powiesz.

— Nie ja. Być może księgowy jest niedokładny. Sprawdzimy to. Ale niczego nie jestem absolutnie pewny.

~— To kłamstwo.

Louie wzruszył ramionami.

Paul wyszedł, trzasnął drzwiami i udał się do swojego pokoju. Zadzwoił do nowojorskiego biura Farleya pod nazwą „Muzyka dla głodnych”.

— Potrzebuję kilku liczb przed finałowym koncertem — powiedział do księgowego łagodnym głosem. Chcę je przedstawić w tle filmu. Czy możesz mi podać liczbę sprzedanych biletów, całkowity dochód i ogólne koszty tournée?

— Nie mogę — odparł księgowy. — W każdym razie nie teraz. Ciągle coś się dzieje. Nie przydzielono mi asystenta. Jest bałagan. Tyle spraw należy załatwić od razu. Nikt nie panuje nad sytuacją.

— Od czego ty tam jesteś? — spytał ostro Paul. — Przecież to ty masz obowiązek panować nad sytuacją.

— Do cholery, to nie moja wina! — obruszył się księgowy, podnosząc głos. — Nie mów mi, jakie mam obowiązki. Wiem, co

mam robić! Uszczęśliwić tego ćpuna! Tak powiedział Louie: „Dbaj, żeby czuł się szczęśliwy! Płać jego rachunki, posyłaj mu pieniądze kiedy...” — przerwał. — To znaczy...

— Rozumiem, co to znaczy — odrzekł Paul. — Czy ktoś jeszcze o tym wie?

— Słuchaj, chyba nie wykorzystasz tego w swoim filmie?

— Czy ktoś jeszcze o tym wie?

— Louie.

— A oprócz Louie'ego?

— Chyba nikt. Boże, mam nadzieję, że nikt. Posłuchaj, czy masz zamiar...

— Ile Farley zdefraudował?

— Nie muszę ci mówić...

— Nie masz wyboru. Louie i tak już twierdzi, że jesteś niestaranny w księgowaniu.

— Tak powiedział? Ten łajdak powiedział...

— Ile?

— Drań. Kilkaset tysięcy dolarów. Dokładnie dwieście dwadzieścia tysięcy pięćset sześćdziesiąt jeden dolarów. Ale nie mogłem mu odmówić! Louie kazał mi dbać, żeby Britt był szczęśliwy i Britt obiecał, że wszystko zwróci! Nie wyciągniesz tego w swoim filmie, prawda? Muszę troszczyć się o swoją pracę. Mam rodzinę. To nie była moja wina! Wykonywałem polecenia! Chyba nie chcesz przy okazji zniszczyć Farleya? Nawet jeśli on ci się nie podoba, to są jeszcze ci wszyscy ludzie, którzy mają nadzieję, że dostaną pieniądze, żywność czy coś w tym stylu... Jeśli cokolwiek ujawnisz, będzie to ze szkodą dla sprawy i dla tych ludzi, no nie?

To prawda, pomyślał Paul. Co za głupi łajdak. Miał szansę zrobienia czegoś przyzwoitego i podniesienia się z dna.

— Jeszcze nie wiem, co zamierzam zrobić — odpowiedział księgowemu. — Porozmawiamy później. — Odwiesił słuchawkę.

Głupi łajdak. Nie dba o to, kogo niszczy. Łącznie z sobą samym.

W ciągu ośmiu tygodni ze sprzedaży biletów i płatnych relacji telewizyjnych zebrano pięć milionów dolarów. Spodziewano się uzyskać dwa razy tyle podczas koncertu finałowego na promenadzie, połączonego z największą zbiórką pieniędzy. Dwieście tysięcy było więc kroplą w morzu, ale nie na tym polegał problem. Jeśli wyjdzie na jaw, że jakieś pieniądze szły do kieszeni Farleya, władze anulują

zwolnienie od podatku, telewizja nie będzie sponsorować przedsięwzięcia i cofnięta zostanie zgoda na wykorzystanie promenady. Poza tym, tysiące ludzi zaczną domagać się zwrotu swoich pieniędzy.

Paul nigdy nie dał się zwieść pozorom, że Farley troszczy się o biednych i głodnych ludzi z całego świata, lecz jak powiedział Louie, nie zwracał na to uwagi. To nie była jego sprawa. Miał tylko kręcić film. Ale w ciągu minionych miesięcy, pomimo widowiskowej atmosfery i nagłośnienia całego przedsięwzięcia, zaangażował się w to. W samą porę, żeby dowiedzieć się, że ten głupi drań zrobił coś takiego, co może wszystko zaprzepaścić.

Koncert na promenadzie odbędzie się za dwa dni albo zostanie odwołany.

Farley rozwalony w fotelu w swoim pokoju oglądał w telewizji jakąś operę mydlaną, ale poderwał się, gdy wszedł Paul.

— Masz? Wiedziałem, że przyniesiesz. Może drinka? Jaka jest twoja ulubiona trucizna? Ile udało ci się zdobyć? — Wyciągnął rękę.

— Nie mam nic.

— Nie masz...! O Boże, chłopie, bawisz się w kotka i myszkę? Obiecałeś!

Paul wziął krzesło i usiadł.

— Zastanawiałem się, jak zwrócisz pożyczkę.

— Dam sobie radę! Britt Farley to honorowy facet! Zwrócę!

— Przed czy po tym, jak oddasz dwieście dwadzieścia tysięcy, które przywłaszczyłeś sobie podczas tournée?

— O czym ty, do cholery, mówisz? Przywłaszczyłem? Niczego nie przywłaszczyłem! — Paul milczał. — Wysłałem tylko rachunki do Nowego Jorku. O to ci chodzi? Cholera, to było tylko kilkaset kawałków. To nie... — Poruszył głową, jakby uciskał go kołnierzyk. — Rozmawiałeś z tym parszywym szczurem, księgowym? Obiecywał, że nikomu nie powie. To kłamca. — Paul siedział spokojnie. — Do cholery, to nie ma znaczenia. Zakończymy imprezę w Waszyngtonie, zdobędziemy kilka milionów i nikt nie zauważy, że brakuje kilku nędznych dolarów.

Nagle odwrócił się i spojrzał na Paula. Oczy mu błyszczały.

— Zapomniałem o jednej rzeczy. Mam jeszcze dużo czasu, żeby to zwrócić.

Wszyscy ci ludzie muszą jakoś udokumentować to, że są biedni, prawda? Chłopcy z urzędu finansowego będą decydować, kto dostanie pieniądze i dopiero potem przekażą te fundusze. To

może potrwać cały rok. Do tego czasu będę występował w serialach i zarobię dużo forsy. Wtedy wszystko zwrócę. Nikt nie będzie o tym wiedział. Oprócz ciebie, ale ty należysz do rodziny, więc wszystko będzie w porządku. I — rozejrzył się — nikt tego nie filmuje. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Louie.

— On dzwonił do Urzędu Finansowego! — wybuchnął, zwracając się do Paula. — Załatwiłeś nas na całego! Ten dureń mówi, że nie chce być kozłem ofiarnym. Zadzwonił do nich i przyjadą tu jutro sprawdzać księgi rachunkowe. Będą sprawdzać księgi! Jutro! Słyszałeś!

Farley spoglądał to na Paula, to na Louie'ego.

— Co to wszystko ma znaczyć?

— Ten przeklęty księgowy! — wrzeszczał Louie — twierdzi, że powiedzieliśmy wszystko Paulowi i nie ma do nas zaufania, więc nasłał na nas chłopców z Urzędu Finansowego! Jesteśmy załatwieni!

— Nie — odparł przytomnie Farley. — Wszyscy wiedzą, że oni zajmują się takimi sprawami całe wieki. Będą się tu kręcić miesiącami i liczyć cyferki. Mamy mnóstwo czasu.

— Ty żaloszny głupcze — zirytował się Paul. — Jediną rzeczą, która urzeczywistnia to tournee, jest zaufanie ludzi. Kiedy tylko rozejdzie się wieść, że kontroluje was Urząd Finansowy, stracisz to zaufanie. Koniec z tournee i twoim powrotem na estradę, jeśli to w ogóle można tak nazwać. Nie masz...

— Nie chcę tego słuchać! — krzyknął Louie. — Nic się jeszcze nie skończyło! Coś wymyślimy! Mam pewne kontakty. Porozmawiam z ludźmi w Urzędzie Finansowym. Wstrzymam tę kontrolę.

— Możesz być pewien, że ludzie i tak będą o tym mówić — stwierdził Paul.

— Chwileczkę — powiedział Farley. — Zwariowaliście, czy co? Moi fani mnie kochają. Przyjadą, choćby nie wiem co się stało. Nie obchodzą ich jakieś tam kontrole. Chcą siedzieć na promenadzie i kochać Britta! Niema problemu!

Wszystko będzie w porządku. — Macał ręką za plecami. Dotknął szuflady i otworzył ją, patrząc cały czas na Paula i Louie'ego. — Trzymajcie się mnie, a wszystko będzie...

— Zostaw to paskudztwo — powiedział Paul.

— Po tym lepiej się koncentruję. Rozumiałbyś to, gdybyś nie zgrywał cholernej Mary Poppins.

— Jeśli nie mogę wykorzystać swoich kontaktów, to co mam zrobić? — powiedział Louie prawie do siebie.

Paul chwycił rękę Farleya.

— Zostaw to. A teraz posłuchaj. Nie pozwolę, żeby to wszystko skończyło się fiaskiem.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytał Louie.

— Pomyślę nad tym, ale najpierw muszę mieć pewność, że Britt jest w stanie występować.

— Oczywiście, że jestem w stanie wystąpić! Mówiłem ci, że moi fani mnie kochają bez względu na to, co robię. Nie muszę być absolutnie fascynujący. Mógłbym wyć jak hiena i siusiać na nich, a oni i tak by krzyczeli i mówili, że jestem niesamowity. Oczywiście, że mogę wystąpić... Nie ma wątpliwości!

— Nie to miałem na myśli — warknął Paul. — Wystąpisz w tym koncercie i nie będziesz wył ani siusiał. Nie będziesz robił niczego poza śpiewaniem. Najlepiej, jak tylko potrafisz. Rozumiesz? Będę przy tobie przez cały czas od tej chwili, aż do momentu twojego wyjścia na scenę. Będziesz tak czysty, jak to tylko możliwe.

Farley zaszczekał. Odchylił głowę do tyłu i wydał z siebie serię dźwięków przypominających skowyt psa. Jego twarz poczerwieniała. Paul przeczekał to. Jego ręka cały czas spoczywała na dłoni Farleya, aż wreszcie skowyt ucichł.

— A kiedy będziesz czysty — dokończył Paul cicho — dasz swój koncert i zakończysz tournée. A potem porozmawiamy o filmie.

— O Boże! — krzyknął Farley chrapliwie. — Nie mogę funkcjonować, kiedy jestem czysty! Czy jesteś tak cholernie głupi, że tego nie rozumiesz? Muszę coś zażyć, bo inaczej rozlecę się na kawałki. Nie będę mógł śpiewać ani mówić. Nie wydam z siebie głosu. I co wtedy, przyjacielu?

Paul milczał. Nie wiedział, czy to prawda, czy nie.

— To i tak nie ma znaczenia, skoro Urząd Finansowy przerwie naszą działalność.

— Coś ci powiem — mówił dalej Farley. — Louie może ze mną zostać. Dzięki niemu kilka razy rzucałem. To zdaje egzamin tylko wtedy, kiedy go poproszę. Udało się w Salt Lake. Pamiętasz, jaki dobry tam byłem? Nie musisz się przejmować. Będziesz miał swój koncert. Film też zrobimy. Louie zajmie się sprawą pieniędzy i kontroli. Ma odpowiednie kontakty. Mną też się zajmie. Ktoś musi się mną opiekować. Wiesz, że nie znoszę samotności. Ale posłuchaj, nie mam teraz z czego zwrócić tych

pieniędzy i nie wiem, kiedy będę miał. Nigdy nie wiadomo, jak długo potrwa serial. Będziesz miał cholernie dobry występ w Waszyngtonie, ale nie mogę teraz zdobyć pieniędzy. Nie dam rady.

Paul przyglądał mu się. Nasz amerykański bohater, pomyślał złośliwie.

Przestraszony chłopczyk, słaby i staczający się w dół.

— Ja się tym zajmę — powiedział wreszcie. — Wpłacę pieniądze, jeśli dasz mi słowo...

— Jakie pieniądze? Gdzie wpłacisz?

— Przepraszam, nie wyraziłem się jasno. Wpłacę na fundusz tournée dwieście dwadzieścia tysięcy dolarów. Niczego nie będzie brakowało, kiedy księgi będą sprawdzane.

Louie wydał zduszony dźwięk. Wpatrywał się w Paula z wybałuszonymi oczami.

— Gdzie zdobędziesz tyle pieniędzy? — spytał Farley.

— Zdobędę — odparł krótko Paul. — Ty masz pamiętać, żeby nikomu o tym nie mówić. Czy potrafisz trzymać język za zębami, żeby cała ta sprawa nie uderzyła prosto w ciebie?

— Hej, stary, rozmawiasz przecież z Brittem Farleyem.

— Nie słyszałem obietnicy — powiedział Paul głosem zimnym jak stal.

Farley poczerwieniał.

— Cholera. Dobra. Zachowam to w tajemnicy.

— Dasz mi na to słowo honoru.

Farley patrzył na Paula przez dłuższą chwilę.

— Nie wiem, ile jest warte — powiedział w przychylnym szczerości. — Ale daję słowo.

Paul wstał i położył na moment rękę na ramieniu Farleya. Czuł do niego dziwną sympatię. Była to częściowo litość, a częściowo żal, że Farley zmarnował to wszystko, kim był i kim mógł stać się na nowo. — Muszę zadzwonić. Do zobaczenia później.

— Jasne. Hej, przyjacielu. Jeśli będziesz kogoś prosił o pieniądze, to poproś naprawdę ładnie.

Paul uśmiechnął się lekko.

— Dzięki za radę.

— Zaczekaj — powiedział Louie. — Odprowadzę cię do windy. Zaraz wracam — rzucił w stronę Farleya i podążył za Paulem na korytarz.

— Naprawdę zdobędziesz pieniądze?

— Tak.

— Dlaczego? Wpędzisz się w długi dla koncertu?

Paul roześmiał się. Louie był taki prostacki, że to niemal robiło wrażenie.

— Sądziłem, że robisz to dla wielu głodnych ludzi — powiedział. Louie wtulił głowę w ramiona.

— Chyba myślisz sobie, że jestem jakimś potworem.

— Nie. Myślę sobie, że jesteś przestraszony, tak jak nasz grzesznik tam, w pokoju. Wracaj do niego, Louie. Wiesz, co masz robić. Dwa dni. Pilnuj go tak dobrze, jak tylko potrafisz. Idź. Zobaczymy się na obiedzie.

Z pokoju Paul zadzwonił do swojego maklera w Bostonie i powiedział mu, co ma zrobić.

— Dwieście dwadzieścia tysięcy — powtórzył makler. — Przelewem na pańskie osobiste konto?

— Nie, przesłać bezpośrednio do mnie. — Podał adres hotelu. — Załatw to jeszcze dzisiaj. — Paul postanowił nazajutrz wysłać pieniądze do biura „Muzyka dla biednych” z nazwiskiem Britta Farleya. Zostanie to zapisane w księgach jako zwrot zaliczki.

Jak tylko odłożył słuchawkę, szedł do baru. Znalazł pusty stolik w kącie i usiadł tam, popijając szkocką i obserwując ludzi. Każdy z nich miał jakąś historię. Każdy mógłby stanowić część powieści albo filmu. Farley nie uwierzyłby w to. Sądził, że jest wyjątkowy.

Tymczasem jest taki jak wielu innych, pomyślał Paul. Emily, Louie i Britt — zapatrzeni w siebie, mający zbyt mało czasu i energii dla reszty świata. Kiedy tak myślał, zdał sobie sprawę, że on też kiedyś taki był. Poszukiwał tylko własnej satysfakcji i wygody. Nie chciał angażować się w niczyje problemy, ale coś się zmieniło. „Zaczyna mnie obchodzić” — powiedział do Louie'ego dzisiejszego popołudnia. W pewnym sensie było to radykalne stwierdzenie jak na Paula Janssen, którego Owen zawsze strofował i nazywał playboyem.

Może Britt jest jednak wyjątkowy. Sprawił, że w coś się zaangażował.

Zamówił następną szkocką. A może to nie ma nic wspólnego z Farleyem? Może po prostu Paul Janssen wydorósł? Uśmiechnął się do siebie. Tak właśnie powiedziałaby Allison. Wydorósł,

przynajmniej na tyle, żeby poczuć się odpowiedzialnym i chronić człowieka, który narobił mnóstwo głupstw, ale zasługuje na choćby jeszcze jedną szansę. Stawka była duża. Warto było to ocalić.

Poczuł się nieswojo i wypił szkocką. Odpowiedzialność. Ochrona. Ocalenie.

To było dużo więcej niż zrobił dla Laury. Wtedy też stawka była bardzo duża. Ale on to zlekceważył. Nie starał się jej zrozumieć, chronić, wyjaśnić wszystkiego, żeby mogli zacząć od nowa.

Poddał się i zaczął myśleć o Laurze. Powstrzymywał się od tego, odkąd Farley o niej wspomniał, ale nie mógł już dłużej. Przywołał w pamięci jej obraz. Wyobraził ją sobie, jak siedzi w restauracji z Farleyem i mówi coś, co sprawia, że Farley czuje się wspaniale. „Jesteś miłą, uroczą kobietą”.

Laura. Szepnął jej imię. Nie robił tego całe lata. Czuł jej obecność. Przypominał sobie zapach jej włosów, barwę jej głosu, radość w jej oczach. Laura.

„Wydaję przyjęcie na zakończenie tournée. Zaproszę Laure, więc ją poznasz”.

— Pan Paul Janssen? — Paul podniósł głowę. Jeden z recepcjonistów stał przy nim i włączał telefon. — Jest do pana telefon z Bostonu. Widziałem, jak pan tu wchodzi, więc pozwoliłem sobie...

— Dziękuję. — Podniósł słuchawkę. — Paul Janssen.

— Paul, tu Allison. Nie przeszkadzam? Nie mogłam się doczekać, żeby z tobą porozmawiać. Posłuchaj, Ben właśnie mi powiedział, że Laura kupiła wszystkie hotele dziadka! Wszystkie cztery! Wyobrażasz sobie? Bardzo dziwnie się czuję.

Właściwie nie wiem, co myśleć. Wszyscy byliśmy na nią bardzo rozgniewani, ale w zasadzie należy ją podziwiać, prawda? Kupiła je! To niesamowite. Oczywiście tata nie chce nawet o tym wspominać. Jest wściekły, ale nie mógł na to nic poradzić...

Paul już prawie nie słuchał. Lauro, powiedział do niej w myślach, uśmiechając się szeroko. Brawo.

„Zaproszę Laure, więc ją spotkasz”.

Rozdział dwudziesty drugi

Judd Gardner. Feliks stał obok lozeczka. To imię paliło go jak piętno. Dziecko spało. Miało jasne, kręcone włoski i buźkę jak różowy kwiatusek.

— Tata stoi jak zahipnotyzowany — powiedziała z zastanowieniem Allison do Bena. — Nigdy wcześniej nie lubił dzieci. — Ben skinął głową, bacznie obserwując Feliksa.

Po dłuższej chwili Feliks odwrócił się i spojrzał Benowi w oczy z taką wściekłością, że ten odruchowo cofnął się o krok. Syn Judda. Jak mógł tego nie wiedzieć? Jakaż słabość, jakie zaślepienie nie pozwoliło mu rozpoznać Bena Gardnera przy pierwszym spotkaniu? Co prawda, Ben nie jest kopią ojca, Feliks oddał sobie w duchu sprawiedliwość. Były jednak pewne podobieństwa i powinien je dostrzec. Szczycił się tym, że wiedział, co dzieje się wokół, gdy inni jeszcze nie orientowali się w sytuacji. Tym razem wiedział tylko tyle, że nienawidzi typu urody, jaki reprezentował Ben i że nienawidzi Bena Gardnera.

Leni zaszlochała, kiedy usłyszała imię dziecka.

— Wiedziałaś? — zapytał Feliks, kiedy opuszczali Beacon Hill po pierwszych odwiedzinach u dziecka. Chłopczyk miał dopiero dwa dni. Allison i Ben dopiero co przywieźli go do domu. — Rozpoznałaś go?

— Tak. — Leni patrzyła przez okno po swojej stronie samochodu. — Ale nie chcę o tym mówić. Nikt nie będzie o tym mówił. Allison jest szczęśliwa. To dobre małżeństwo. Stanowią uroczą rodzinę i zostawimy ich w spokoju.

— Ty zrobisz, jak uważasz. Ja usuwam go z przedsiębiorstwa. Usunę go też z naszej rodziny bez względu na to, jak długo to potrwa. Ten uśmiechnięty łajdak przybył tu, żeby mnie zniszczyć. Nie ma żadnego innego powodu.

— On kocha Allison i ty nie...

— Bzdura. Wykorzystał ją, żeby dobrać się do mnie. Czy nadal jesteś taką naiwną romantyczką, że nie potrafisz tego zrozumieć?

— Nie tkniesz go, Feliksie. Co im powiesz? Że spałam z jego ojcem i ty nie chcesz, żeby ci o tym przypominał? — Przerwała, ale Feliks milczał. — Czy to właśnie powiesz swemu zarządowi? Czy oświadczysz, że twój zięć, człowiek, któremu powierzyłeś kierowanie ochroną i którego kilka miesięcy temu mianowałeś wiceprezesem do spraw rozwoju, nagle zasługuje na to, żeby wyrzucić go z przedsiębiorstwa? Z jakiego powodu? — Czekwała na odpowiedź. — Zadałam ci pytanie — przypomniła mu spokojnie.

— *Jeszcze* nie wiem — odparł wściekle. — Coś wymyślę. On na pewno nie zostanie w przedsiębiorstwie.

— On jest członkiem naszej rodziny — rzekła zdecydowanie Leni. — Dzięki niemu Allison jest szczęśliwa. Jego zachowanie absolutnie nie wskazuje na to, że chciałby nas skrzywdzić; więc będziesz milczał i zostawisz ich w spokoju.

Odwrócił się do niej.

— A jeśli nie? Czym mi grozisz?

Leni spoglądała na niego przez dłuższą chwilę.

— Nie grozę, Feliksie. Jeśli zdecyduję się coś zrobić, zrobię to bez ostrzeżenia. To właśnie było groźbą. To zawsze było groźbą. I on zawsze o tym wiedział.

— Płakałaś — powiedział gwałtownie. — Gdy usłyszałaś jego imię, płakałaś. Nadal o nim pamiętasz.

— Zawsze będę o nim pamiętać. — Leni spojrzała na Feliksa. — I ty również.

— Nigdy wcześniej nie był taki uparty — tłumaczył Laurze agent nieruchomości z Filadelfii, gdy zadzwonił do niej do Chicago, aby poinformować, że Feliks odrzucił jej ofertę zakupu hotelu Filadelfia Salinger. — Próbowałem nakłonić go, by zmienił zdanie, lecz nie chciał ustąpić.

— Ale dlaczego? Przecież nalegał, aby pan sprzedał ten hotel?

— Zgadza się. Myślałem, że od razu przystanie na tę propozycję. Nie mam pojęcia, dlaczego się wycofał. Powiedział, że chce przejrzeć inne oferty.

Laura automatycznie przesuwiała na biurku cztery ołówki.

— Mówił pan, że nie ma żadnych innych ofert.

— Żadnych, które mógłbym traktować poważnie. Trudno mi go rozgryźć. Może przyjmie którąś z nich. Proponuję, żeby podniosła pani swoją ofertę o jakieś ćwierć miliona albo o pół miliona...

— Jeszcze nie teraz.

— Ale proszę o tym pomyśleć.

— Dam panu znać.

Rozgniewana, rzuciła ołówki do skórzanego futerału, który dostała od Claya z okazji otwarcia Chicago Beacon Hill. On nie może się wycofać. Nasz oferta jest korzystna. To jedyna przyzwoita oferta, jaką dostał. Wcześniej sprzedał nam Nowy Jork Salinger bez kłopotu. O co mu chodzi tym razem? Do diabła! On nie może tego zrobić. Wszystko sobie zaplanowałam.

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Curriera w Nowym Jorku.

— Wes, mówiłeś, że znasz kogoś w zarządzie Hotelu Salinger.

— Znam Cole'a Hattona. Zajmowałem się kiedyś jego interesami.

— Czy mógłbyś z nim porozmawiać i dowiedzieć się, dlaczego Feliks odrzucił naszą ofertę kupna hotelu w Filadelfii?

— Odrzucił? Sądziłem, że jest gotów ją przyjąć.

— Ja też tak sądziłam.

— Porozmawiam z Cole'em. Po godzinie Wes oddzwonił.

— Wygląda na to, że masz niesamowity wpływ na poczynania Feliksa, nawet po tylu latach. Dowiedział się, że jesteś głównym udziałowcem OWL Development i wstrzymał wszystkie działania. Nie sprzeda ci tego hotelu. Na posiedzeniu zarządu stoczono prawdziwą batalię, a tydzień później drugą, omawiając ten problem.

Cole powiedział, że za drugim razem Feliks był jeszcze bardziej wściekły, tak jakby w tym czasie stało się jeszcze coś, o czym nie wiedzieli. Zapał się i na razie wygrał. Musisz przeczekać.

— Nie mogę ryzykować. Chcę mieć ten hotel.

— Moja droga, nie możesz go zmusić do sprzedaży. Porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu, kiedy tu przyjedziesz. Moja sekretarka znalazła kilka mieszkań, które możesz obejrzeć. Zrobimy to, a potem zastanowimy się, jak postąpić z Feliksem.

— Dobrze — zgodziła się Laura, ale już intensywnie o tym myślała.

Potrzebowała odprężenia. Zawsze sprawniej myślała, gdy była na powietrzu i spacerowała. Ale w holu spotkała Ginny Starrett.

— Przyszłam zabrać cię na zakupy — rzekła Ginny. — Pewien francuski projektant organizuje pokaz kufereków u Elizabeth Arden, a ty pracowałeś tak ciężko.

— Nie dzisiaj, Ginny. Muszę się trochę przejść. Idę na spacer. Może pójdziesz ze mną?

— Dobrze wiesz, że chodzę tylko na takie spacerki, które prowadzą wzdłuż alei sklepowych — odparła Ginny, — Może zjemy razem lunch? Wrócisz do tej pory.

— Na pewno. Spotkamy się o pierwszej.

Ginny pocałowała Laurę w policzek i wyszła. Laura spoglądała za nią. Elegancka, mądra kobieta w średnim wieku, która nosiła stroje zaprojektowane specjalnie dla niej i podróżowała z kraju do kraju bardziej swobodnie niż inni z jednego krańca miasta na drugi. Interesowała się prawie wszystkim i uwielbiała okazywać Laurze matczyne uczucia. A ponieważ nigdy nie miała córki, była przede wszystkim dobrą przyjaciółką, która dawała mnóstwo rad.

To szczęście, że ją mam, pomyślała Laura, idąc w stronę jeziora. Z Kelly rozmawiała co tydzień przez telefon. Wychodziła na kolację prawie każdego wieczora, ale ociągała się z zawieraniem nowych przyjaciół. Kiedy Ginny przebywała w Chicago, Laura czuła się najpewniej. Lunch z Ginny, uśmiechnęła się do tej myśli. Oczekiwała go z niecierpliwością.

Był ciepły, majowy poranek. Na plaży i w parku było tłoczno. Ludzie opalali się, jeździli na rowerach, biegali. Przy brzegu siedzieli wędkarze, mocząc kije i wymieniając opowieści. Żaglówki wyglądały jak półksiężycy na tle srebrzystego jeziora, na którym lekka bryza

zostawiała drobne fale. Laura znalazła ustronne miejsce, żeby zdjąć buty, pończochy i żakiet. Miała ochotę przebiec się po piasku, ale nie mogła tego zrobić w wąskiej spódnicy.

Planowała, że do lata będzie już miała wszystkie cztery hotele. Planowała, że nim zacznie się lato, ona będzie zarządzała swoim małym imperium.

Usiadła na jednym z ogromnych kamieni leżących wzdłuż brzegu. Feliks nie może jej powstrzymać teraz, kiedy zaszła już tak daleko. Musi być jakiś sposób, żeby skłonić go do zmiany decyzji. Jest przecież biznesmenem. Z pewnością wie doskonale, że zrobi dobry interes, jeśli szybko sprzeda hotele, nawet OWL Development. Trzeba go jakoś podejść, wykorzystując to, co o nim wiedziała. A wiedziała sporo. Był uparty, mściwy i zachłanny. Dobry biznesmen, ale nie tak dobry, jak mógłby być, ponieważ nigdy nikomu nie ufał i zawsze próbował udowodnić, że jest lepszy od swojego ojca. Szczycił się zdolnością podejmowania szybkich decyzji bez konsultacji.

Szybkie decyzje podejmowane bez konsultacji.

Musiała tylko znaleźć coś, co skłoni go do podjęcia takiej szybkiej decyzji.

Słońce jasno świeciło. Wiatr ucichł. Nianie zabierały dzieci do domu na obiad i drzemkę. Właściciele jachtów szykowali się na popołudniowy rejs po jeziorze.

Zbliżała się pora spotkania z Ginny. Laura włożyła buty i wróciła do hotelu.

— Rozwiązałaś swój problem? — spytała Ginny, gdy usiadły przy narożnym stoliku w restauracji Beacon Hill.

— Prawie rozwiązałam — odparła Laura. — Jak się domyśliłaś, że mam jakiś problem?

— Ciemniej ci oczy i gdy patrzysz na ludzi, myślami jesteś gdzieś indziej. Jaki masz kłopot?

Laura opowiedziała jej wszystko.

— Muszę coś wymyślić, żeby szybko sprzedał hotel, chcąc ocalić zainwestowane w niego pieniądze.

— Czyli musi być przekonany, że nikt inny nie kupi tego budynku?

— W każdym razie nie za cenę zbliżoną do naszej. Powinien mieć świadomość, że może nie dostać nawet tego, jeśli się nie pośpieszy.

Ginny popijała zupę.

— Gdybyś wiedziała, że z hotelem jest coś nie w porządku i dzieje się coś tak strasznego, jak w Filadelfii, gdzie ludzie umierali na chorobę legionistów, to Feliks sprzedałby budynek od razu.

Laura roześmiała się.

— Tak, ale na razie nikt nie umiera.

— Szkoda. A gdyby Feliks dowiedział się, że hotel się rozpada? Nieodpowiedni gips lub coś innego, co nie da się nigdy naprawić. Kto by to wtedy kupił?

— Nikt. Nawet ja bym nie kupiła. Chwileczkę. — Odłożyła łyżkę i spoglądała przez okno. Potem odwróciła się z powrotem do Ginny. — A gdyby okazało się, że nikt nie ma prawa zburzyć ani wyremontować tego budynku?

— Wtedy ten hotel nie byłby wiele wart dla nikogo. Stare budynki są lokatą kapitału tylko wtedy, gdy można je doprowadzić do rewelacyjnego wyglądu. Ale ten pomysł na nic ci się nie przyda. Każdy może zrobić z tym budynkiem, co tylko zechce.

— Chyba, że hotel okazałby się punktem orientacyjnym. Ginny zmarszczyła brwi.

— Ale nie jest punktem orientacyjnym.

— A gdyby zarząd miasta tak zdecydował? Wtedy nie można by było zmienić fasady ani zburzyć hotelu. Wnętrze można by odnowić, ale zewnętrznej części nie. Co w takim przypadku stałoby się z ceną hotelu?

— Spadłaby prawie do zera. Czy ktoś kiedykolwiek wspominał, że hotel ma być punktem orientacyjnym?

— Znajdował się na liście rozpatrywanej przez Komisję do spraw Punktów Orientacyjnych. Zdecydowali, że się nie kwalifikuje. Architektonicznie jest dobry, ale nie ma wartości historycznej. Nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby Feliks sądził, że komisja zamierza zmienić zdanie.

— Dlaczego miałyby w to uwierzyć, jeśli to nieprawda? Aha. — Spojrzały na siebie i oczy im zabłyśły, jak dwóm przyjaciółkom mającym wspólną tajemnicę. — Ktoś mu to zasugeruje.

— Ktoś godny zaufania powie mu, że to może być prawdą. A skoro Feliks jest zwolennikiem szybkich decyzji, bez jakichkolwiek konsultacji...

Ginny uśmiechnęła się szeroko.

— Podoba mi się ten plan. Jest niesamowicie przebiegły. Kto go natchnie tą myślą?

— Jeszcze nie wiem. Znasz kogoś w urzędzie miasta w Filadelfii?

— Nikogo. Znam tylko przedstawicieli towarzystw okręgowych, ale oni nie mogą pomóc. Architekci? Przedsiębiorcy?

Laura potrząsnęła głową.

— To musi być ktoś, kto wie, co dzieje się na zebraniach komisji. Może ktoś, kto je relacjonuje... — Zamilkła. — Yank Bosworth — mruknęła.

— Słucham?

— Reporter z Bostonu. Poznałam go dawno temu.

— Potrzebujesz kogoś z Filadelfii, a nie z Bostonu.

— Możliwe, że on zna kogoś z Filadelfii. Ginny, wybacz mi. Muszę do niego zadzwonić. Nie mogę czekać. Zaraz wracam.

Od czasu procesu nie wiedziała się z Yankiem ani nie miała od niego wiadomości, ale tego ranka, gdy odczytano decyzję sądu, ścisłał mocno jej rękę i uśmiechał się do niej. Chciał dać jej znać, że ma w nim przyjaciela: „Gdyby pani kiedykolwiek mnie potrzebowała, to wie pani, gdzie mnie szukać”.

— Bosworth przy telefonie — powiedział, gdy Laura zadzwoniła.

— Yank, tu Laura Fairchild. Wiem, że bardzo długo...

— Laura! Mój Boże! Jak się masz, do diabła? Gdzie jesteś? Co porabiasz?

— Jestem w Chicago i mam mały kłopot. Czy znajdziesz czas, aby wysłuchać niedługiej historii?

— Historie to mój zawód. Wal śmiało. — Słuchał, pukając ołówkiem w zęby i rzucając komentarze podczas opowiadania Laury. Nagle usiadł prosto. — Co za łajdak! Nie chce sprzedać dlatego, że to ty kupujesz? Nadal jest taki zawzięty? Po tylu latach...

— Nie wiem, ale...

— Ale to nie ma znaczenia. Jasne. Trzeba coś zrobić, żeby zmienił swoją śpiewkę. Myślisz, że pogłoski pomogą?

— Możliwe, ale to nie może brzmieć jak pogłoska, Yank. To musi brzmieć wiarygodnie.

— Dobra. Chcesz wiedzieć, czy znam w Filadelfii kogoś, kto mógłby załatwić tę sprawę? Zaczekaj. Nie potrzebujemy nikogo z Filadelfii. Lauro, ja chcę to zrobić sam. Zgadzasz się?

— Ty nie pisujesz na temat Filadelfii i nie piszesz o architekturze.

— Pisuję o wszystkim, co dotyczy miast. Jestem reporterem miejskim, o ile sobie przypominasz. Słuchaj, mogę to zrobić. Przez to poczuję się lepiej. Ten drań od początku mi się nie podobał, więc czy znajdziesz lepszego kandydata. Nie zainkasuję też żadnej opłaty. Możesz najwyżej postawić mi drinka, kiedy będziesz w Bostonie.

— Postawię ci drinka w Nowym Jorku. Przeprowadzam się tam w przyszłym miesiącu.

— Nie żartuj! Trzymam cię za słowo. Zaraz do niego zadzwonię, dobra? A potem zadzwonię znów do ciebie.

— Nie wiem, Yank. Skoro nie jesteś teraz w Filadelfii...

— Lepiej, że jestem w Bostonie. Zaufaj mi. Nie zawiodę cię. Zadzwonię jeszcze dzisiaj.

Zatarł ręce, gdy już odwiesił słuchawkę. Jediną wadą zawodu reportera było to, że opisywał marzenia, zamiast wcielać je w życie. Teraz ma szansę wcielić w życie jedno marzenie. To rycerskie zadanie. Ciekawiło go, jak bardzo Laura się zmieniła w ciągu tych czterech lat. Pamiętał jej spojrzenie, jej zimne palce w swoich dłoniach, jej kamienną twarz. Miał ochotę ją przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale dżentelmen nie zabiera do łóżka kobiety pogrążonej w rozpacz. Poza tym miał żonę i synka, za którymi przepadał. Ale tyle może zrobić dla Laury. Odplącenie Feliksowi Salingerowi małym oszustwem było ze wszech miar szlachetne.

No to do dzieła, zagrzeł się do boju i podniósł słuchawkę.

— Mówi Yank Bosworth z bostońskiego Globe — rzekł wesoło do sekretarki, a później do Feliksa. — Zbieram informacje do serii artykułów na temat architektury lat osiemdziesiątych, a szczególnie na temat rozdźwięku między klasycznymi obiektami a efektywnym wykorzystaniem powierzchni budowlanej. W związku z tym chciałbym pana poprosić o komentarz na temat statusu punktu orientacyjnego dla hotelu Filadelfia Salinger.

— Nie ma takiego statusu. Odrzucono tę propozycję.

— Tak, zgadza się. Jednak, o ile mi wiadomo, odbywają się obrady dotyczące rozszerzenia statusu punktu orientacyjnego, żeby utrzymać równowagę w mieście. Innymi słowy, doskonałość architektoniczna nie musi być jedynym...

— Gdzie pan o tym usłyszał?

— Właśnie przed chwilą rozmawiałem z potencjalnym nabywcą

starego budynku. To osoba zdająca sobie sprawę z wagi problemu dotyczącego punktów orientacyjnych. Uważa, że projekt należy traktować poważnie. — Yank nabrał tempa i trajkotał dalej. — Oczywiście zbadam całą sprawę dokładnie i jeśli pan zechce zadzwonię znów do pana za kilka tygodni, ale miałem nadzieję, że uzyskam pański komentarz dzisiaj. Nigdy nie wiadomo, jak szybko przegłosowane zostaną poszczególne obiekty, zwłaszcza że należy się liczyć z oporem ze strony właścicieli. Opór ten jest, rzecz jasna, zrozumiały, ale komisje do spraw punktów orientacyjnych, jako ciała niezależne, mają często inny pogląd na tę sprawę. Oczywiście trzeba pamiętać, że Filadelfia to bardzo szczególne miasto, świadome swej historycznej spuścizny. Pamiętamy o założycielach miasta, Deklaracji Niepodległości, trzynastu koloniach...

— Nie mam nic do powiedzenia — warknął Feliks i rzucił słuchawkę. Oddychał ciężko. Niemożliwe. Ale właśnie takie rzeczy robią te durne zarządy miasta, kiedy chcą się przypodobać prasie. Potencjalny nabywca niepokoi się statusem punktu orientacyjnego. Opór ze strony właścicieli. Historyczna spuścizna Filadelfii. Czekał zbyt długo. Teraz nie będzie mógł otrzymać przyzwoitej ceny za ten budynek. Będzie musiał opuścić cenę do...

Ale zaoferowano mu za niego dziewięć milionów.

Na ustach Feliksa pojawił się uśmiech. Zapłaci mu dziewięć milionów i dostanie hotel, z którym nie będzie mogła nic zrobić. Zapłaci mu dziewięć milionów za przywilej posiadania śmietnika, którego nikt nie chce. Niech go sobie weźmie, pomyślał. Byłby nawet skłonny jej go podarować.

Zadzwonił do swojego pośrednika w Filadelfii.

— Czy OWL wycofała swoją ofertę?

— Nie — odparł pośrednik zdziwionym głosem. — Ale powiedziałem im, że pan ją odrzucił, a oni nie podwyższą ceny.

— Czy wiedzą, że Komisja do spraw Punktów Orientacyjnych ma wydać decyzję w sprawie hotelu?

Pośrednik otworzył usta, ale szybko je zamknął. Ktoś rozpuszcza pogłoski. Zawsze ktoś rozpuszcza jakieś pogłoski, ale ta właśnie była istnym cudem. Sprzedaż nieruchomości w tym miesiącu była znikoma. Gdyby teraz udało mu się sprzedać hotel Salingera, to mógłby zabrać żonę na wyspy Bahama, o czym marzyli od trzech lat.

— Nie orientuję się, co oni wiedzą — odrzekł szczerze.

— Chcę, żeby to zostało ustalone jeszcze dzisiaj. Jeśli będziesz musiał, to jedź do Chicago. Załatw to. Wieczorem oczekuję wiadomości na ten temat. Zadzwoń do mnie do domu. Jasne?

— Oczywiście. Pozwolę sobie pogratulować panu, panie Salinger. To bardzo mądre posunięcie.

— Tak — odparł Feliks. Odwiesił słuchawkę. Jego twarz promieniała tryumfem. Hotel Filadelfia Salinger został sprzedany.

— To była wyśmienita kolacja — rzekła Laura do Gerarda Lyona, szefa kuchni w hotelu Waszyngton Salinger. — Przyjemnie tu. Restauracja jest chyba jedynym przepelnionym miejscem w tym hotelu,

— To prawda — zgodził się Lyon. — Hotel przeżywa ciężki okres. Tylko moja restauracja prosperuje.

— Można by sądzić — powiedziała Laura ostrożnie — że w jednym z głównych miast tak dobrze usytuowany hotel powinien przynosić zyski.

Lyon rozłożył ręce w geście rezygnacji.

— Jest, można by rzec, niezbyt dobrze zarządzany. Słyszymy również, że właściciel chce go sprzedać, ale cena jest wysoka. Tymczasem hotel jest traktowany po macoszemu. Poświęca mu się mało uwagi. Ja, oczywiście, nie mam z tym nic wspólnego. Restauracja i pewne sprawy osobiste pochłaniają cały mój czas.

— Sprawy osobiste? — powtórzyła Laura. — Może porozmawiamy. Wypije pan ze mną kawę?

Lyon rozejrzał się po restauracji. Była prawie północ. Podawano desery i kawę nielicznym już gościom.

— Z przyjemnością — odparł i usiadł w fotelu naprzeciwko niej. Natychmiast podszedł do nich starszy kelner.

— Kawa dla *madame* Fairchild. I dwa likiery morelowe. Jeśli pani pozwoli. Skinęła głową.

— Dziękuję. Pan doskonale mówi po angielsku. Od dawna pan przebywa w Stanach?

— Od siedmiu lat. Ale uczyłem się angielskiego w szkole. To bardzo ważne, żeby kucharz światowej klasy znał angielski.

Laura uśmiechnęła się.

— Chciał pan zostać kucharzem już jako dziecko?

— Nie chciałem — poprawił ponuro. — Wiedziałem, że takie jest moje przeznaczenie. Wiec się przygotowałem.

Laura zerknęła na ogromną salę zbyt jaskrawo udekorowaną jak na jej gust.

— I wszystko ułożyło się tak, jak pan chciał?

— Wiele rzeczy, *madame*. Życie nie daje nam wszystkiego. Gdyby tak było, moglibyśmy stać się dumni i bogowie ukaraliby nas za to, że jesteśmy tacy jak oni. Roześmiali się. Kelner przyniósł kawę i likier. Lyon spojrzął na pękate kieliszki.

— To nie jest likier morelowy — rzekł ostro. Kelner wyglądał na zdziwionego.

— Nie, proszę pana. To likier brzoskwiniowy.

— Widzę. A dlaczego przyniosłeś brzoskwiniowy?

— Ponieważ starszy kelner dał mi ten, mówiąc, że pan go zamówił.

— Zamówiłem morelowy! Czy tu pracują sami durnie? Zabierz to i przynieś to, co zamówiłem! — Zwrócił się do Laury. — Bardzo przepraszam. Powinienem panować nad sobą. O czym to mówiliśmy?

— O tym, że życie nie daje nam wszystkiego. Które z pańskich marzeń się nie spełniło?

— Ach. — Zawahał się, ale ona zapytała znowu, pochylając się w jego stronę i po chwili Lyon zdał sobie sprawę, że rozmawia z nią tak, jak nie rozmawiał nigdy z żadnymi nieznajomymi, a zwłaszcza kobietami. Uważał bowiem, że kobiety są bardziej zajęte sobą niż swymi rozmówcami. Ale ta kobieta wydawała się inna. Oprócz tego, że była piękna, słuchała. Siedziała spokojnie, nie wierciła się i nie przekładała nogi na nogę. Nie wyjmowała nagle lusterka, żeby sprawdzić makijaż. Patrzyła na niego i nie drżały jej usta w oczekiwaniu na odpowiedni moment, żeby zabrać głos. Więc mówił.

Lyon popijał kawę i likier, już ten właściwy, opowiadając Laurze o dzieciństwie spędzonym na południu Francji, o pracy w legendarnej Roger Verge i przyjeździe do Ameryki.

— To, oczywiście, nie wszystko, czego oczekiwałem. Zawsze marzyłem o własnej restauracji, którą prowadziłaby moja żona. Nie o tym, co pani tu widzi. Sala w krzykliwych barwach, których nie

lubię, starszy kelner nie potrafiący odróżnić moreli od brzoskwiń i zarządzający, których nigdy nie widuję. Są daleko, w Bostonie.

— Więc dlaczego pan tu nadal tkwi? — spytała Laura łagodnie. Lyon miał wrażenie, że czekała, by to powiedzieć. — Z pewnością dostaje pan wiele ofert z różnych miejsc.

— To prawda. — Ale nasz syn ma... kłopoty z nauką. To dobry chłopak, dobry syn, ale ma kłopoty w szkole. Tu znalazł dobrą szkołę i jest szczęśliwy. Daje sobie radę. Moja żona mówi, że nie możemy ciągle przenosić się z jednego miejsca do drugiego. Więc wciąż jesteśmy tutaj.

— Ale przecież są inne szkoły. W każdym mieście są szkoły specjalne. Wzruszył ramionami.

— Ja też tak sędzę, ale moja żona nie chce nic zmieniać, skoro on jest szczęśliwy i dobrze sobie radzi.

Zamilkli. Sala opustoszała. Kelnerzy cicho sprząтали ze stołów i nakrywali na następny dzień. Starszy kelner nadzorował ich, unikając wzroku Lyona. Laura trzymała swój kieliszek likieru. Wdychała zapach moreli i popijała trunek, który uderzał do głowy, rozgrzewał, wywołując na jej twarzy rumieniec. Potem postawiła kieliszek i splotła dłonie na stole.

— Ostatnio kupiłam dwa hotele. Jeden w Filadelfii i jeden w Nowym Jorku. Są stare i zaniedbane, ale mam zamiar uczynić je tak eleganckimi jak za czasów ich świetności. Zrobiłam to już z hotelem w Chicago. Hotel w Nowym Jorku ma tylko kawiarnię i bar. Planuję stworzyć tam najwspanialszą restaurację w mieście. Delikatne kolory, w tle muzyka z pianina lub harfy, starszy kelner, który zna wszystkie odmiany likierów i najslawniejszy szef kuchni, który będzie miał udział w dochodach z restauracji i wolną rękę w dobieraniu nowych potraw i jadłospisów. Jego żona mogłaby zarządzać restauracją, jeśli miałyby ochotę. — Laura przerwała. Lyon wpatrywał się w nią jak urzeczony. — Oczywiście w miarę możliwości pomogłabym szefowi kuchni i jego rodzinie znaleźć mieszkanie i szkołę dla syna. Opłacałabym również dodatkowe lekcje syna przez pierwszy rok. — Znowu przerwała. — Jedyne warunki to natychmiastowe rozpoczęcie pracy u mnie i pomoc w projektowaniu restauracji, kuchni, nowej kawiarni i innych miejsc.

Zaczęłyby otrzymywać pensje z chwilą przyjazdu do Nowego Jorku, nawet jeśli restauracja zostanie otwarta dopiero po roku i nawet jeśli weźmie miesiąc urlopu na przeprowadzkę i urządzenie się w nowym domu. — Uśmiechnęła się do Lyona. — Bardzo bym chciała, żeby pan pracował dla mnie w Nowym Jorku, *monsieur*.

— *Madame* — westchnął Lyon. — Jestem oszołomiony. Mam tworzyć restaurację! W Nowym Jorku! To marzenie każdego doskonałego szefa kuchni. Pomówię o tym z moją żoną, ale osobiście nie widzę żadnych przeszkód, zwłaszcza jeśli pomoże pani znaleźć szkołę dla naszego syna. Widzę w tym samo szczęście. W ciągu miesiąca uprzedzę wszystkich o moim odejściu i...

— Być może niezbyt jasno się wyraziłam — rzekła Laura. — Potrzebuję pana od zaraz.

— Ale *madame*, nie można tak nagle zniknąć z miejsca pracy. Trzeba o tym uprzedzić, być może pomóc nowemu szefowi zacząć...

Laura kręciła głową.

— Stawiam sprawę jasno. — Lyon zauważył, że jej głos stał się bardziej stanowczy. Wszystko w niej było nagle bardziej urzędowe. Była tak samo piękna, ale wyglądała tak, jakby siedziała za biurkiem. — Chcę, żeby był pan w Nowym Jorku w przyszłym tygodniu. Opłacę pański pobyt w hotelu na czas poszukiwania mieszkania. Opłacę pańską podróż tutaj, aby mógł pan sprowadzić żonę i dziecko. Jak najszybciej znajdziemy szkołę dla pańskiego syna, żebyście mogli być wszyscy razem, ale musi pan się zgodzić zacząć pracować dla mnie od poniedziałku.

— To za cztery dni od dzisiaj — mruknął Lyon. Spojrzał na swoje dłonie. Rozejrzał się po sali. Powtórzył w myślach jej słowa: „Udział w zyskach, wolna ręka, żona zarządzająca restauracją”. Spojrzał jej w oczy. Czekala na decyzję. Mam nadzieję, że zawsze będę po jej stronie, pomyślał. Jest godnym podziwu przeciwnikiem. Skinął głową. — Będę w hotelu w Nowym Jorku w poniedziałek rano.

Laura uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

— Bardzo się cieszę. Będzie nam się razem dobrze pracowało. Lyon uściśnął jej dłoń i również się uśmiechnął.

— To prawda — powiedział.

Trzy tygodnie później, gdy liczba zajętych pokoi sięgała zaledwie trzydziestu pięciu procent, a restaurację zamknięto z powodu niespodziewanego odejścia szefa kuchni, Feliks nie był w stanie podjąć żadnej walki. Zarząd zdecydował o sprzedaży hotelu Waszyngton Salinger korporacji OWL Development za dziesięć milionów dolarów. Następnego wieczora Laura jadła kolację w towarzystwie Ginny i Curriera w Windows on the World z widokiem na Manhattan, New Jersey, Brooklyn i Queens. — Ostatnim razem, gdy świętowaliśmy zakup — rzekł Currier — martwiłaś się o pieniądze.

— Nadal się martwię — odparła Laura. — Ale nie w tej chwili. Teraz nie chcę rozmawiać o pieniądzach, zmartwieniach, a nawet pracy. — Trzymając kieliszek szampana, spojrzała przez okno. Sto pięter poniżej, Central Park wyglądał jak pasmo zieleni w centrum ciasno usianych budynków Manhattanu, usytuowanych na niesamowicie małej przestrzeni, ograniczonej dwiema rzekami. To miejsce tajemnic, ukrytych skarbów, matni i pułapek. Miejsce, które, jak kiedyś powiedział Wes, Laura uczyni swoim własnym.

Cztery hotele Owena, pomyślała. Moje hotele. Ginny, Clay, Kelly i Wes cieszą się wraz ze mną. To prawie rodzina. Moja rodzina.

Bąbelki szampana muskały jej wargę, gdy piła. Uderzał do głowy tak jak likier, kiedy namawiała Lyona do pracy w Nowym Jorku. Wszystko, co ostatnio robiła, uderzało jej do głowy jak likier i szampan.

Był to zawrót głowy tak upajający, że Laurze wydało się, że ma już wszystko, czego pragnęła. Nie potrzebowała takiej rodziny, do jakiej kiedyś tęskniła. Nie potrzebowała dzieci. Nie potrzebowała niczego ponad to, co miała teraz: pracę, przyjaźń, świadomość, że może obudzić się każdego ranka i robić, co zechce, pokonać każdą przeszkodę, osiągnąć każdy cel.

Kiedy niebo za oknami ściemniało, światła w restauracji stopniowo przygasały, sprawiając, że latarnie i neony na Manhattanie pojaśniały. Tego właśnie potrzebuję, powiedziała do siebie, wznosząc milczący toast do migoczących w dole świateł miasta. To wszystko, czego kiedykolwiek będę potrzebować: świadomość, że mogę zmierzyć się z każdym przeciwnikiem i wygrać.

Ben zbadał sprawę nadania hotelowi Filadelfia Salinger statusu punktu orientacyjnego i poinformował zarząd, że nie znalazł żadnego potwierdzenia takiej decyzji.

— Rozmawiałem również z reporterem Globe — powiedział Ben na spotkaniu zarządu. — On twierdzi, że prosił tylko o ogólną wypowiedź na temat statusu punktu orientacyjnego i ewentualny wpływ tego statusu na hotel w Filadelfii, jeśli komisja zmieniałaby zdanie. Nie mam pojęcia, dlaczego sądził, że komisja może tak postąpić, ale jeśli miał powody tak sądzić, to postawił właścicielowi hotelu logiczne pytanie.

— Mam to gdzieś — rzekł Cole Hatton — czy facet tak twierdził, czy nie. Ciekawsze, co sobie myśli Feliks. Problem polega na tym, że podejmuje różne decyzje, nie pytając nas nawet, czy je akceptujemy. Rozumiesz, o co mi chodzi, Feliksie?

Miesiąc później, gdy zarząd zebrał się ponownie, sprzedaż hotelu Waszyngton Salinger zaakceptowano w ciągu piętnastu minut. — Nie obchodzi mnie, co o niej myślisz — oznajmił Hatton Feliksowi tuż przed głosowaniem. — Jej pieniądze są w porządku i ona zawsze składa ofertę w najodpowiedniejszym momencie. Chciałbym ją poznać. Wydaje się, że jest silną i mądrą kobietą. Dziesięć milionów to przyzwoita suma za hotel, w którym już absolutnie nic nie działa. Czy ktoś wie, co się stało z szefem kuchni?

Nikt nie wiedział. Feliks się domyślał. Starszy kelner opisał mu kobietę, która jadła samotnie kolację, a potem rozmawiała z Lyonem do późna w nocy. Jednak Feliks nic nie powiedział. Z kamienną twarzą przegłosował wraz z innymi sprzedaż hotelu Waszyngton Salinger, ale w głębi jego duszy wrzała wściekłość i gniew. Nie powstrzymał jej. W jakiś sposób zdołała postawić na swoim. Po miesiącu nastąpiła kulminacja złej passy Feliksa, gdy dowiedział się, kim naprawdę jest Ben Gardner. Nic dziwnego, że czuł się sfrustrowany i przemęczony. Czułby się tak każdy człowiek otoczony przez wrogów.

Będzie musiał pomyśleć i zaplanować coś, co zniszczy ich oboje. Bez względu na to, ile czasu mu to zajmie.

Ben obserwował Feliksa. Zauważył, że teść nigdy nie patrzy mu w oczy i nie zwraca się do niego bezpośrednio. Kiedy Asa przedstawił nowy budżet i zarząd podjął dyskusję, Ben zaczął rozmyślać. Silna i mądra kobieta, o której mówił Hatton, to jego

siostra. Starał się dopasować wizerunek rozumnej kobiety interesu do wizerunku młodej dziewczyny, którą słyszał ostatni raz, kiedy szlochała przez telefon, ponieważ myślała, że ją zdradził. Jak mogła być to jedna i ta sama osoba? Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak ona teraz wygląda. Oczami wyobraźni widział tylko swoją ładną siostrzyczkę, jedną z najbardziej utalentowanych złodziejek, która spoglądała na niego ogromnymi oczami i uważała, że jest cudowny. To były dobre czasy, westchnął, przewracając stronę, żeby wszyscy myśleli, że przysłuchuje się dyskusji. Dobre, pełne miłości czasy, aż wreszcie wszystko się rozwiało.

I jak to scalić? Teraz miał więcej wątpliwości niż kiedykolwiek przedtem. Nawet gdyby w jakiś sposób skontaktował się z Laurą, to jak, do diabła, miałby ją teraz przedstawić swej nowej rodzinie jako siostrę? Czy mógłby się spodziewać, że wszyscy przywitają ją serdecznie? Po tym jak odebrała większość swojego dziedzictwa na przekór Feliksowi, który robił wszystko, co w jego mocy, żeby do tego nie dopuścić. Ben domyślał się, jak wyglądałaby jego pozycja w rodzinie, gdyby wyszło na jaw, że Laura jest z nim spokrewniona. Wiedział, jak zareagowali, gdy dowiedzieli się, że Laura ich okłamała. Wyobrażał sobie, co pomyśleliby o nim. Przedstawić Laurę jako swoją siostrę to tak, jakby wsadzić kij w mrowisko.

Mógłby powiedzieć Allison. Myślał o tym tego wieczoru, gdy otwierał frontowe drzwi do Beacon Hill. Myślał o tym wiele razy, ale za każdym razem wydawało mu się to tak skomplikowane, że się wycofywał. Laura była szczęśliwa. Zdobyła to, co chciała. On również. Lepiej niech zostanie tak, jak jest.

— Pani Gardner jest w ogrodzie — powiedział lokaj, gdy Ben zapytał o żonę. Przeszedł przez dom do tylnego wyjścia. Kiedy otworzył drzwi, zatrzymał się na chwilę, obserwując Allison, zanim ona go zauważyła. Siedziała na niskim krześle między klombami róż i karmiła Judda. Jej pierś była bielsza od białej rozpiętej bluzki. Oboje byli skąpani w promieniach zachodzącego, złocistego słońca. W górze śpiewał ptak, a jego trel słodko płynął przez ogród.

Ben wstrzymał oddech. Bał się poruszyć. Ta scena była tak doskonała jak obraz raj. Chciał go na zawsze zapamiętać. Ale wtedy właśnie Allison podniosła głowę, a jej twarz się rozpromieniła.

— Tak się cieszę, że już jesteś. Czy wiesz, że twój syn ma wielki apetyt?

— Ma apetyt, bo docenia swą wspaniałą mamę. — Ben podszedł i pocałował Allison, stając się jednocześnie częścią tego raję. Usiadł na trawie obok żony i oboje patrzyli na syna, którego małeńkie usta ssały, mimo że on już dawno zasnął.

— On rośnie — powiedział Ben. — Za kilka miesięcy zacznę chodzić.

Allison roześmiała się.

— Mając sześć miesięcy? Jesteś ignorantem w tej dziedzinie.

— Ty i Judd będziecie musieli mnie wiele nauczyć — przyznał z uśmiechem. Czuł się odprężony i zadowolony. — Co dzisiaj robiłaś?

— Spacerowałam z Molly, szukając odpowiedniej galerii. Zmarszczył brwi.

— Nadal chcesz się tym zająć?

— Sądzę, że tak. Naprawdę chciałabym zająć się czymś poza domem. Czymś pożytecznym i śmiałym. Znam się na sztuce. W każdym razie dobrze znam sztukę dwudziestego wieku. Molly zna się na sztuce dziewiętnastowiecznej, więc stanowimy dobrany zespół... — Ben milczał, więc Allison powiedziała: — Mam czas i pieniądze, a tobie i Juddowi będę poświęcała tyle samo uwagi, co teraz... Nie masz chyba nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie. Nawet nie powinnaś pytać. Jak sama powiedziałaś — masz na to pieniądze.

— Ben, nie rób tego.

— Czego?

— Nie mów w ten sposób, takim tonem. Od dawna nie martwimy się o pieniądze.

— Ty nigdy nie martwisz się o pieniądze.

— Ja o nich myślę, nie martwię się o nie. Dlaczego ty nie możesz postępować tak samo? Mam pieniądze, ale przez to nie czuję się gorsza i ty też nie powinieneś.

Żyjemy z twojej pensji.

— A cała reszta? Wakacje, przemeblowanie mieszkania, przyjęcia na jachcie twojego ojca, samochód, który dałaś mi na urodziny...

— Dobrze — powiedziała Allison zdenerwowana i rozgniewana. Jeśli to ma być taki problem, to nie otworzę tej galerii. Tylko proszę, nie psuj wszystkiego. Jest tak cudownie...

— Przepraszam. — Ben objął Allison. — Nie chcę niczego zepsuć. Masz rację. Jest cudownie. Będziesz miała swoją galerię.

Myślę, że to świetny pomysł. Pomogę, ci jak potrafię. Może nawet kupię coś od ciebie.

— Będę zostawiać dla ciebie najlepsze eksponaty, jeśli pozwolisz, dam ci zniżkę.

— Spodziewam się zniżki. Czyż nie będę ulubionym klientem? Uśmiechnęła się.

— Zawsze jesteś na pierwszym miejscu. Tak dobrze, że wróciłeś. Nie lubię, kiedy podróżujesz. Dom wydaje się dwa razy większy i pięć razy bardziej pusty. Dlaczego nie może jeździć ktoś inny?

— Twój ojciec chce, żebym ja jeździł. To cena, jaką płacę za stanowisko wiceprezesa do spraw rozwoju. Feliks ma nadzieję, że coś mi się nie uda, pomyślał Ben. Europejski rynek jest dość kłopotliwy dla Amerykanina, więc szanse, że powiniem mi się noga, są większe niż tutaj. — Ale to nie potrwa długo — rzekła do Allison. — Wkrótce załatwię wszystko tak, że nie będę musiał jeździć.

— Jeśli tego nie załatwisz, to pojedę z tobą — ostrzegła Allison. — Judd, niania, pojedziemy razem.

Ben zachichotał,

— Nic nie zrobi na Europejczykach większego wrażenia niż biznesmen w towarzystwie swojej rodziny. — Pochylił się i pocałował Allison, nadal obejmując ją ramieniem, a dłonią dotykając główki dziecka. Siedzieli tak razem, rozmawiając cicho, aż słońce zaszło i niania przysłała po Judda. Kiedy wchodzili do domu, Ben zatrzymał się w drzwiach, spoglądając na bujne krzewy róż i blade niebo z różowoszarzym odcieniem. Przypomniawszy sobie słowa Allison.

Mój dom, pomyślał. Moja żona. Mój syn. Allison ma rację. To jest cudowne.

Choć byłoby jeszcze wspanialej, gdyby mógł powiedzieć: moje przedsiębiorstwo.

Clay siedział po turecku na wodnym łóżku, spoglądając na swój nowy dom. Za oknami widać było odnowione magazyny w SoHo i drapacze chmur na Manhattanie. Na gołej podłodze poddasza zgromadzone były jakieś dziwne meble. Klimatyzator szumiał. Obok Claya spała młoda dziewczyna. Pod dłonią czuł jej gładkie, chłodne pośladki.

Był wczesny ranek. Clay właśnie się przebudził. W tym nieznanym pokoju, o godzinie, kiedy zazwyczaj jeszcze śpi, poczuł zawrót głowy i strach: nie wiedział, gdzie jest. Nie znał nawet imienia dziewczyny leżącej obok. Myrna była nadal w Chicago, dając mu czas, żeby stęsknił się za nią tak bardzo, by zadzwonić i poprosić ją o rękę. Clay naprawdę za nią tęsknił. Może nawet do niej zadzwoni. Żenili się wszyscy jego znajomi z Chicago. To była brawura, epidemia, zbiorowa hipnoza, więc może i on zadzwoni wreszcie do Myrny. Jest mu wierna od bardzo dawna. Ale najpierw musi się dowiedzieć, gdzie właściwie jest.

Siedział bardzo spokojnie. Dziewczyna spała. To było wyjątkowo proste. Przebywał na poddaszu wynajętym od muzyka, który wyjechał na trasę. Miał mieszkanie na kilka miesięcy, dopóki nie znajdzie stałego apartamentu. Miał też meble, choć ich tapicerka pozostawiała wiele do życzenia. Miał towarzystwo w postaci dziewczyny śpiącej obok, która pozowała w biustonoszach do katalogów Bloomingdale'a i miała słabość do blondynów z wąsami. Miał też nową pracę.

Clay Fairchild, pomyślał z dumą. Wiceprezes firmy OWL Development do spraw kontroli standardu. Mieszkaniec Nowego Jorku podróżujący po świecie w interesach i dla przyjemności. Niezrównany gracz w pokera. Miłośnik kobiet. Uśmiechnął się szeroko. To nieźle jak na chłopaka, który niespełna dziesięć lat temu ograbiał kieszenie przechodniów. Oczywiście zdobył to wszystko dzięki temu, że miał dość oleju w głowie, żeby trzymać się Laury. Nie przeszkadzało mu to, że jej zawdzięcza swoją pozycję. Wspaniała kobieta. Ma rozum i świetny wygląd. Bez Laury nie zaszedłby daleko. Ginny Starrett ciąglemu to powtarza, ale on sam o tym dobrze wiedział. Bez Laury straciłby kilka lat, włączając się za Benem i dokonując włamań, aż do spotkania z Allison Salinger. Wtedy wszystko by się skończyło. Ten podstępny łajdak nie wpisałby młodszego brata w ten układ. Chciałby zgarnąć śmietankę dla siebie. Tak więc, Clay zawdzięczał wszystko Laurze. No, prawie wszystko. Miał też własne talenty i dobrze je wykorzystywał. Prowadził nową korwetę, miał sprzęt stereo, którego moc mogłaby powalić Empire State Building. Zaś podczas ostatniej podróży do Europy, w celu wypróbowania w hotelach pewnych pomysłów Laury, kupił sobie dwa garnitury u Rudolfa, w których

wyglądał jak wpływowy dyrektor, jakim w swoim mniemaniu właśnie był. Podniósł się z łóżka. Dziewczyna wydała z siebie jęk protestu, ponieważ fale wywołane ruchem Claya rzucały ją w przód i w tył. Spała jednak nadal, gdy Clay brał prysznic. Ubrał się i wyszedł do swojego nowego gabinetu na najwyższym piętrze hotelu New York Beacon Hill.

W momencie gdy otworzył drzwi, zobaczył istne piekło. Wszystko odbywało się jednocześnie. Burzono ściany. Zrywano podłogę, aż do gołego betonu. Stare toalety i wanny piętrzyły się w kątach. U sufitów dyndały żarówki, a tumany kurzu unosiły się nad tym dziełem zniszczenia. W pół godziny zniknął połysk z garnituru Claya. Jego ręce były brudne, nos go swędział, a oczy łzawiły. Jednak Clay uśmiechał się, bo uwielbiał patrzeć, jak wszystko zmienia się na jego oczach. Dziś nie był w stanie przewidzieć, co zobaczy jutro. Wszędzie kryły się jakieś tajemnice. Co znajduje się za ścianą, która jest właśnie burzona, pod ściągniętym dywanem lub w otwartej siłą szafie?

Wspaniale! Clay z niechęcią i ociąganiem ruszał do gabinetu. Był on największym śmietnikiem, jaki kiedykolwiek widział. Wiedział, że to tylko prowizorka i pewnego dnia otrzyma jakieś przyzwoite miejsce.

Słyszał pracowników przez cały dzień, podczas gdy on, Laura i niewielki personel planowali nowy wystrój hoteli w Filadelfii i Waszyngtonie. New York Beacon Hill zamierzali otworzyć przed końcem roku. Od czasu do czasu Clay nie mógł się powstrzymać od namówienia Laury na inspekcję. Kontrolowali dwu- i trzy-pokojowe apartamenty przerobione z pojedynczych pokoi. W każdym apartamencie znajdowały się dwie łazienki z białą armaturą, wyłożone szmaragdowym marmurem. W holu głównym wisiał żyrandol uratowany z jakiegoś zrujnowanego zamku w Anglii. Wiktoriańskie kinkiety, znalezione pośród bałaganu na strychu, zostały wypolerowane i zainstalowane w korytarzach, gdzie znajdowały się sześćdziesiąt lat wcześniej, gdy Owen wybudował hotel. Kończyli swoją inspekcję, wracając na najwyższe piętro, które było przekształcane w restaurację — zaciszne, pastelowe gniazdko, francuski ogród w środku miasta.

Ale Laura miała coraz to nowe pomysły. Wykraczały one

daleko poza ramy tego, co opracowywała z Owenem, siedząc naprzeciw niego przy biurku Chippendale'a. Realizowano wszystko, co planował Owen. Ale Laurze to już nie wystarczało. Podczas weekendów podróżowała tu i tam, zatrzymując się w różnych hotelach i obserwując je. Czytała czasopisma na temat hotelarstwa. Marzyła o nowych pomysłach, które mogłyby urzeczywistnić w swoich hotelach. W miarę mijających tygodni przybывało coraz więcej luksusowych wnętrz. Mnożyły się również koszty. Laura się śpieszyła. To jeszcze podwyższało ceny. Nieważne. Oszalałymi sukces Chicago Beacon Hill i wizja innych hoteli przesłaniały wszystko. Jak dotąd Laura otrzymywała pieniądze, kiedy tylko chciała. Wykorzystała je z wielkim sukcesem w Chicago Beacon Hill i wykorzysta je doskonale w pozostałych hotelach. A jeśli będzie potrzebowała więcej funduszy, to je znajdzie.

Zaczynała wierzyć, że źródło nigdy nie wyschnie.

— Melduję się na służbie — rzekł Clay, wchodząc do gabinetu punktualnie o dziewiątej. Wiedział, że Laura przychodzi do pracy o siódmej, a czasem nawet wcześniej, ale nigdy nie prosiła go, żeby pojawiał się o wschodzie słońca, więc tego nie robił. Pomyślał, że gdyby nie dawał sobie rady z wykonaniem pracy w ciągu dnia, to powinien dostać asystentkę. — Wyglądasz pięknie i jesteś pogrążona w myślach.

Uśmiechnęła się do niego, gdy ją całował.

— Jak podobał ci się wczorajszy film?

— Dobry. Powinnaś go obejrzeć.

— Kiedyś obejrzę.

— Nie wychodzisz zbyt często. — Usiadł na rogu jej biurka. — Siedzenie w domu i rozmyślanie nie jest najlepszą rozrywką.

— Ja nie rozmyślam. Ja pracuję.

— Zbyt dużo pracujesz. Gdzie się teraz podziewa Wes?

— Jest w podróży. Zobaczę się z nim, kiedy wróci.

— Czy to jeszcze trwa?

— Co masz na myśli?

— No przecież nie spotykasz się z nikim innym.

— Spotykam się, tylko nie mówię o tym.

— Wiem, co robisz. Spotykasz się na kolacyjkach i przyjęciach dobroczynnych.

Mam na myśli prawdziwe randki — kolacja w nocnym klubie, a potem łóżko. Ile takich randek zaliczyłaś?

— Kolacje w nocnym klubie, od czasu do czasu.

— I to wszystko?

— To wszystko.

— O to właśnie mi chodzi. Nie chodzisz na randki. Nadal spotykasz się z Wesem, gdy jest w mieście. Jesteście sobie tacy... bliscy, kiedy on przychodzi do biura. A więc masz zamiar wkrótce wyjść za niego?

— Nie. Ale jesteśmy sobie bliscy. Jesteśmy razem już od dawna i miło jest mieć kogoś, z kim można gdzieś wyjść. I z kim można spędzić noc od czasu do czasu, choć mówiłam, że już tego nie chcę. Z kim można porozmawiać i podzielić się swoimi zmartwieniami. A co z Myrną?

, — Jeszcze nie zdecydowałam. Jeżeli czułabyś się samotna i potrzebowałabyś mojego rozweselającego towarzystwa częściej niż raz w tygodniu, to możesz do mnie zadzwonić. Nie podoba mi się, że jesteś ciągle samotna.

— Nie jestem ciągle samotna, ale dziękuję ci, Clay. Masz własne życie. Spotkanie z siostrą raz w tygodniu w zupełności wystarczy.

— Po prostu daj mi znać. Jeśli tylko zechcesz, jestem twój. — Wstał. — Mam ochotę na kawę. Jest coś do jedzenia w tej twojej lodówce?

— Słodkie bułeczki i owoce. Poczęstuj się. Czy mógłbyś później sprawdzić te raporty zakupów? Nadeszły właśnie z Chicago. Wygląda na to, że Henry wykorzystuje nowych dostawców. Może będziesz musiał tam pojechać i porozmawiać z nim. — Przysunęła do siebie kalendarz. Chcę też, abyś był na spotkaniu z elektrykami o trzeciej. Mamy problem z wyborem oświetlenia do sali konferencyjnej. O piątej spotykamy się z Gerardem w sprawie stolików i krzeseł do jadalni. Mówiłeś coś?

— Właśnie miałem skomentować pomysł spotkania o piątej, ale chyba nie chcesz tego słuchać.

Uśmiechnęła się.

— Raczej nie. I chciałabym, żebyś pojechał w czwartek do Filadelfii porozmawiać z naszymi dostawcami. Oto lista. Upewnij się, czy dostarczyli wszystko, co zamówiliśmy. To nie powinno zabrać ci więcej niż kilka dni.

— Wspomniałaś pomysł. I tak o tym myślałem. Dzwonił architekt

w sprawie drobnych zmian. Trzeba rzucić na nie okiem. Potem mogę jechać do Chicago. Weekend spędzę z Myrną. Później, w poniedziałek i wtorek, jest konferencja poświęcona kontroli standardu w Denver. Mógłbym tam pojechać z Chicago.

— Nie widzę przeszkód.

— To dobrze. — Clay uśmiechnął się szeroko. — Nie będziemy się widzieli przez cały tydzień, ale zadzwonię do ciebie.

— Chwileczkę, Clay. Jeszcze jedna sprawa. Zwolniłeś wczoraj ochroniarza?

— Cholera. Czyżbym zapomniał ci o tym powiedzieć? Tak, zwolniłem go. Nie podobał mi się sposób, w jaki pracował. Nie znał się na wykonywaniu poleceń, więc kazałem mu odejść. Kiedy będę w Chicago, porozmawiam z personelem ochrony i przywiozę tu jednego z chłopców w przyszłym tygodniu. Zgadzasz się?

— Uzgodniliśmy chyba, że nie będziesz zwalniał nikogo bez konsultacji ze mną.

— Tak, zgadza się. Powinienem był cię powiadomić. On naprawdę mnie wkurzył. Przepraszam, Lauro. To się już więcej nie powtórzy. Obiecuję. Wiem, dla kogo pracuję: dla wspaniałej kobiety, która jest wyrozumiała, tolerancyjna i bardzo kocha swojego brata. Powinnaś ją kiedyś poznać. Polubiłabyś ją.

Laura uśmiechnęła się.

— Nie chcę, żeby to się jeszcze kiedykolwiek zdarzyło, Clay.

— Dobra. Czy mogę teraz zjeść śniadanie?

— Clay, na miłość boską! Nie musisz pytać o pozwolenie zjedzenia śniadania.

Masz. Nie zapomnij o raportach.

Clay wykonał gest salutowania, wziął jedzenie z lodówki i wyszedł. Laura oparła głowę na dłoni i spoglądała przez okno. Nie powinna była tak zareagować na jego żart o śniadaniu, ale Clay sprawił, że poczuła się sfrustrowana i niecierpliwa, właśnie kiedy chciała na nim polegać. W jednej chwili był mężczyzną dającym sobie radę ze skomplikowaną pracą, która stanie się jeszcze trudniejsza, zwłaszcza że trzy hotele są odnawiane jednocześnie, zaś w następnej chłopcem, który z radością wykorzystuje szansę wyrwania się z biura na cały tydzień. Inteligentny, ale leniwy i nie chciał dorosnąć. To był jeden z powodów, dla których Laura nie miała do niego pełnego zaufania. Gdy jedli razem kolację, Clay opowiadał jej o dziewczynach, o swoim poddaszu, nawet o grze

w karty, bo Laura przestała go za to krytykować. Zadawał niewiele pytań na jej temat i nie pytał o stan finansów w przedsiębiorstwie, które ona prowadziła, a w którym on pracował.

Laura wiedziała, że Clay nie chce słyszeć o szczegółach. Nie chciał się martwić ani wiedzieć, że ona się czymś niepokoi. W pewnym sensie nadal chciał być jej młodszym braciszkiem. Albo synem, pomyślała Laura. Dzieci nie chcą wiedzieć, czy rodzice mają jakieś kłopoty.

Ale może to także jej wina? O ile Clay chciał czuć się jak braciszek albo syn, o tyle ona chciała być dla niego starszą siostrą, a nawet matką. To sprawiało, że miała coś jak życie rodzinne. Nawet gdyby Clay zapytał o pieniądze, prawdopodobnie i tak niewiele by mu powiedziała. W sprawie pieniędzy zwierzała się tylko Wesowi, nawet nie Ginny, choć wiedziała, że może na nią liczyć.

Ginny nie zadawała pytań o pieniądze. Rozmawiała z Laurą o wszystkim innym. Uważała, że jeśli Laura zechce porozmawiać z nią o pieniądzach, zrobi to sama. Może nawet poprosi mnie, żebym zainwestowała w OWL Development, pomyślała Ginny, gdy szła do hotelu po Laurę. To prawdopodobnie korzystna inwestycja, ale przyjaźń i pieniądze rzadko chodzą w parze, więc na razie niech zostanie tak, jak jest.

— Właśnie wpadłam na pewien pomysł — powiedziała Laura, siadając obok Ginny w limuzynie. — Powiedz mi, co o nim sądzisz.

Był gorący, lipcowy dzień, ale klimatyzacja sprawiała, że w pokrytej szarym aksamitem, luksusowej limuzynie panował miły chłód. Jechały z hotelu Laury do Greenwich Village. Ginny sięgnęła do barku i napełniła kieliszki winem. Podała jeden Laurze, spostrzegając iskierki w jej oczach.

— Ty zawsze masz jakiś pomysł — powiedziała. — Albo tuzin. O co chodzi tym razem?

— Mam kilka pomysłów. Czy zostawić najlepszy na koniec? — Uśmiechała się szelmowsko i tajemniczo.

Była zadowolona z siebie i ze świata. Ginny odpowiedziała uśmiechem. Nikt nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu, gdy Laura tak wyglądała. W zasadzie Ginny nigdy nie spotkała kogoś, kto tak zarażałby swoim entuzjazmem. Laura opowiadała o wystroju apartamentów w hotelu i o starodawnych szafach na korytarzach.

Znajdowałyby się tam, pościel i środki czystości, a pokojówki nie musiałyby popychać przed sobą tych niewygodnych i nieestetycznych wózków. Laura była tak podekscytowana tym, co mówiła, że z jej twarzy zniknęła chłodna rezerwa, natomiast policzki płonęły z radości. Cholera, zakłęła w duchu Ginny, to mężczyzna powinien tak na nią działać, a nie hotel. Oczywiście chodziło o coś więcej niż hotel. To była praca Laury, jej marzenie, prawie całe jej życie.

— Jesteś gotowa na najlepszy pomysł? — spytała Laura z radosnym uśmiechem. — Chcę usłyszeć twoją opinię na ten temat.

— Powiedziałaś mi już, że to jest najlepszy pomysł — mruknęła Ginny. Laura roześmiała się.

— Chcę uczynić Nowy Jork Beacon Hill tak ekskluzywnym hotelem, że nikt nie będzie mógł się w nim zatrzymać bez rekomendacji poprzednich gości.

Zapadła cisza. Ginny przyglądała się Laurze.

— Bardzo śmiała. Bardzo ryzykowne. Bardzo inteligentne. Jest jeden hotel w Londynie, który to praktykuje i muszę przyznać, że nawet dla twardej mieszkanki Teksasu, która potrafi znieść wszystko, to duży komfort wiedzieć, że śpi w łóżku, w którym wcześniej mógł spać jedynie ktoś, kogo zna albo o kim słyszała.

— Liczę na to, że inni również będą się tak czuli — rzekła Laura. Pochyliła się do przodu z nerwową energią, jakby chciała przyspieszyć limuzynę, która z trudem przedzierała się przez tłok na Seventh Avenue. Szofer przejechał zgrabnie między samochodem a ciężarówką dostawczą, minął taksówkę zabierającą pasażera i po chwili jechał Madison Square Garden, by znaleźć się na Chelsea, gdzie ruch uliczny się zmniejszył i można było przyspieszyć.

Obserwując Laurę kipiącą energią, Ginny pokręciła głową.

— Co zamierzasz robić, kiedy już wykończysz swoje hotele?

— Może kupię jeszcze jeden? Albo lepiej... — Zawahała się przez chwilę, jakby nie była pewna siebie. — Myślałam o tym przez ostatnie kilka tygodni. Jeszcze nikomu o tym nie mówiłam, nawet Wesowi. Tak naprawdę, po uruchomieniu hoteli chciałabym... wykupić udziały w Sieci Hoteli Salingerów.

Ginny wpatrywała się w Laurę. Nadal chce wyrównać rachunki, pomyślała. Chce być tak potężna, jak jej to sugerował Owen. Kiedy, do diabła, Laura zacznie żyć tylko dla siebie? Opowiedziała

Ginny historie o Salingerach, wkrótce po otwarciu Chicago Beacon Hill, gdy Ginny spędzała wiele czasu w Chicago, starając się zatroszczyć się o Laure jakmatka. Laura nie wdawała się w szczegóły, ale Ginny wszystko rozumiała. Kryło się w tym wiele emocji, nawet po tylu latach. Zwłaszcza w stosunku do Paula. Laura wspominała o nim nawet zwięźlej niż o jego rodzinie, co utwierdziło Ginny w przekonaniu, że Laura nadal go kocha. Opowieści stają się długie, gdy nabieramy dystansu do tematu. Ale żeby próbować wykupić udziały w rodzinnym przedsiębiorstwie...? to chyba trochę za wiele.

— Po co? — zapytała stanowczo. — Człabyś się niesamowicie nieswojo, zasiadając w tym zarządzie, ze swoimi kilkoma głosami przeciwko reszcie.

— Byłabym częścią przedsiębiorstwa, tak jak miało to się stać. Głosowałabym tak, jak głosowałby Owen.

— A gdybyś nie miała pojęcia, jak on by zagłosował?

— Głosowałabym według własnego rozeznania.

— To przynajmniej brzmi rozsądnie. — Ginny zamyśliła się na chwilę. — Wysoko mierzysz, kochanie.

— Nie powiedziałam, że uda mi się to zrobić. Powiedziałam tylko, że chcę spróbować.

— Jak do tej pory zrealizowałaś wszystko, co chciałaś. Ale nawet jeśli znalazłabyś kogoś, kto zechciałby ci sprzedać udziały, musiałabyś mieć furę pieniędzy.

— To jeszcze daleka droga, Ginny. Po prostu rozważam taką możliwość.

— Wygląda na to, że rozważasz wiele rzeczy. Informuj mnie o swoich rozważaniach.

— Dobrze. — Znowu pochyliła się do przodu, zerkając przez szyby limuzyny. — Jesteśmy prawie na miejscu. Mam nadzieję, że ci się spodoba. To jedyne miejsce, w którym naprawdę chciałabym mieszkać.

— Więc co cię obchodzi, czy mi się spodoba, czy nie? — spytała Ginny.

— Potrzebuję twojego krytycznego spojrzenia. Komorne jest bardzo niskie, więc może z mieszkaniem jest coś nie w porządku, a ja nie potrafię tego zauważyć.

— Czy Wes nie oglądał tego mieszkania? Laura skinęła głową.

— Mówi, że powinnam je wziąć, ale chcę poznać twoją opinię.

Szofer zaparkował przy Grove Street, a Ginny i Laura przeszły przez wąski pasaż między blokami, do małego brukowanego podwórza, wokół którego stały rzędy solidnych, wąskich, dwupiętrowych domków z cegły. Białe okiennice otwierały się na powyginane drzewa zamieszkałe przez śpiewające ptaki.

— Mój Boże — westchnęła Ginny. — Kto by pomyślał?

— Wes znalazł to miejsce — powiedziała Laura. Otworzyła drzwi. — Dom jest pusty. Właściciel wyjechał na dwa lata do Europy. Jeśli nie wynajmę domku do wieczora, muszę zwrócić klucze.

— Albo dom zamieni się w dynię—mruknęła Ginny. Podążyła za Laurą, która biegła po schodach, pokazując szczegóły konstrukcyjne zachowane z 1830 roku. Jej twarz znowu jaśniała z podniecenia. Szpilki Ginny stuknęły delikatnie w sosnowe deski podłogi, a jej bystre oko oceniało nową kuchnię, cztery kominki, dużą sypialnię na drugim piętrze i taras — ogród na dachu, zaniedbany, ale przygotowany do posadzenia nowych kwiatów i drzewek.

— Jedno miejsce na milion — oświadczyła, gdy wróciły do salonu na pierwszym piętrze. — Tyle mniej więcej by kosztował. Jaki jest czynsz?

— Dwa tysiące za miesiąc — odparła Laura.

— Niemożliwe. Mogliby dostać trzy razy tyle.

— To właśnie ci mówiłam. Czynsz jest zbyt niski.

Ginny przysiadła na parapecie. Dom jest mały. Salon, jadalnia, biblioteka, kuchnia, sypialnia. Ale kuchnia i łazienki były nowe, było też umeblowane poddasze i te cztery kominki oraz taras ogrodowy. Oprócz tego zaciszna lokalizacja przy Grove Court.

Currier też zaaprobował ten domek. To właśnie była odpowiedź, uświadomiła sobie nagle Ginny. Bardzo prawdopodobne, że wizyta Curriera wpłynęła na różnicę między ceną, jakiej zwykle domaga się właściciel, a stawką, którą ma płacić Laura. Oczywiście nie mogę być tego całkowicie pewna, pomyślała Ginny. Laura też nie wie tego na pewno, choć może się nad tym zastanawiać. Domysły zachowa dla siebie, postanowiła.

Od pierwszej chwili Ginny wiedziała, że to jest miejsce, w którym Laura powinna zamieszkać. Przypominało ono opisywaną przez Laurę posiadłość na Cape Cod. Było też odzwierciedleniem wąskich, zacienionych uliczek Beacon Hill i DePaul w Chicago, gdzie przedtem mieszkała. Laura żyje w twardym świecie interesów,

rozważała dalej Ginny. A już Nowy Jork to dżungla, ale zawsze czuje się najszcześniejsza w małych, ustronnych miejscach: małe miasta, grono rodzinne, bliscy sąsiedzi. Tego właśnie jej potrzeba. Własnego miejsca. Potrzebowała Grove Court.

— To nie takie znowu dziwne — rzekła do Laury. — Bywają tacy właściciele, którzy biorą niższą opłatę, jeśli wiedzą, że zyskali lokatora, któremu mogą zaufać, kogoś; kto będzie dbał o ich dom jak o swój własny.

Laura powoli skinęła głową.

— Ale możliwe, że Wes...

— Bardzo w to wątpię — odparła śpiesznie Ginny. — Sądzę, że to dom dla ciebie i powinnaś go wziąć.

Laura przeszła przez salon i dostrzegła przez okno przelatującego przez podwórze kardynała. Obok przeszła niania pilnująca dzieciaka pedałuującego w drewnianym samochodziku. Za nimi pojawił się spaniel, a za spanielem starsza pani. Miała smycz przewieszoną przez ramię. Czytała, idąc spacerkiem. Dom. Na tak długo, jak to będzie możliwe.

— Dziękuję — powiedziała, odwracając się od okna. Jej twarz znów była rozpromieniona. Objęła Ginny i pocałowała. — Uwielbiam, kiedy dajesz mi dobre rady. I kocham cię. Czy zgodzisz się być moim pierwszym gościem na kolacji? Oczywiście, jak tylko kupię jakieś meble.

— Będę zaszczycona. Pozwól, że pomogę ci wybrać meble. Oprócz wydawania własnych pieniędzy uwielbiam wydawać czyjeś. Będzie ci tu potrzebna długa kanapa i stolik do kawy. Do diabła — spojrzała zakłopotana na Laurę. — Zachowuję się jak Wes, prawda? Próbuję zająć się tym, co tak naprawdę należy do ciebie. Już nie będę. Nie powiem ani słowa.

— Niezupelnie jak Wes — roześmiała się Laura. — On tak łatwo nie rezygnuje. Ale chciałabym, żebyś mi pomogła. Czy masz czas w tym tygodniu? Chcę się przeprowadzić jak najszybciej.

— Mam czas nawet jutro. O dziesiątej? Przyjadę po ciebie. Jednak nastąpiła niewielka zwłoka. Następnego dnia, gdy Ginny przyjechała o dziesiątej, na biurku Laury zadzwonił telefon.

— Jeszcze chwilę — powiedziała Laura i podniosła słuchawkę.

— Cześć, skarbie. Jak się masz? Mówi Britt. Dzwonię, żeby zaprosić cię na moje przyjęcie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Trzecia kradzież miała miejsce w Palm Springs, pierwszego września. Clay powiedział Laurze, że będzie spędzał weekend przed Dniem Pracy u znajomych w Los

Angeles. Z miasta z łatwością można było dojechać do Palm Springs, gdzie znajdowała się duża posiadłość otoczona drzewami i wypielegnowanymi krzewami. Clay bez obaw wszedł do salonu, a potem do sypialni. Była dziewiąta trzydzieści wieczorem. O tej porze mieszkańcy Palm Springs oddawali się rozrywce.

Potwierdzenie tego faktu znalazł w kalendarzu w torebce Amelii Laughton. Zmrok ukrył Claya przemykającego po mieszkaniu i delikatnie zdejmującego obrazy ze ścian rękoma odzianymi w rękawiczki. Gwizdał cicho, ustawiając obrazy obok drzwi. Następnie, ponieważ był w doskonałym nastroju, dołożył kilka rycin Durera, które postanowił zachować dla siebie. Gdy zrobił swoje, ruszył spokojnie przez zabudowane ulice, wesoło salutując szoferowi z czarnego mercedesa, który z nudów gapił się w niebo.

Trzy tygodnie później, na przyjęciu w posiadłości Britta Farleya, którą Britt wynajął na Manhattanie specjalnie na tę okazję, Sid i Amelia Laughton opowiadali wszystkim o włamaniu.

— Jeden Picasso — mówiła Amelia do Emily Janssen i innych,

którzy słuchali. — Jeden Miró, trzy późne obrazy Braque'a i ryciny Durera. To oburzające.

— Nie ma śladów włamania — odpowiedział Sid na zadane pytanie. — Mieli klucz oraz kod systemu alarmowego.

— I wiedzieli, że nie będzie nas przez tydzień — dodała Amelia, sięgając po krewetkę, gdy kelner z tacą pojawił się w pobliżu.

— Mogli też obserwować dom — powiedział Sid. — Trudno to ustalić. Nie ma żadnych śladów. W każdym razie wiedzieli, po co przyszli. Od razu dobrali się do obrazów. Nie ruszyli nic innego.

— Jedynym pocieszeniem jest to — wtrąciła Amelia — że nie tylko policja prowadzi śledztwo w tej sprawie. Agencja ubezpieczeniowa sprowadziła swojego najlepszego człowieka: bardzo doświadczony, bardzo zaangażowany i bardzo zdecydowany w działaniu. Rozmawialiśmy z nim dwa razy. Zrobił na nas wrażenie. Jeśli ktokolwiek jest w stanie wysledzić tych złodziei, to tylko on.

Powstało zamieszanie przy drzwiach. Przyjechał Britt Farley.

— Spóźnił się na swoje własne przyjęcie — mruknęła Amelia. — Ale za to ma rewelacyjne wejście, prawda?

Ubrany w biały smoking, czerwony krawat i pas oraz białą pelerynę z czerwonym brzegiem, gdy stanął w drzwiach, spoglądając na swoich gości, wyglądał jak władca mitycznego królestwa oczekujący na ukłony swoich poddanych.

— No cóż, czemu nie? — powiedziała Amelia i złożyła mu głęboki, dworski ukłon. Pokój wypełnił się śmiechem. Britt posłał Amelii całusa, a goście stłoczyli się wokół niego. Składali mu gratulacje z okazji odbytego tournée, mówili jak świetnie wyglądał, pytali o dalsze plany. Zapomniano o włamaniu u Laughtonów i o wielu innych plotkach. Zainteresowanie skupiało się na Farleyu. Goście szeptali między sobą, że Britt nie wygląda najlepiej. Stracił na wadze, jego twarz wychudła, a oczy miał świecące i nieruchome. Był na prochach. Nikt jednak nie powiedział tego głośno. Przeciwnie. Wszyscy poklepywali go, głaskali i sprawiali, że czuł się jak gwiazda.

Po drugiej stronie udekorowanego jedwabiem salonu, przy barze, samotnie stał Paul. Obserwował. Tournée skończyło się cztery tygodnie temu. Zebrano rekordową sumę pieniędzy dla głodujących. Ponad połowa funduszy pochodziła z ogromnie udanego koncertu w Waszyngtonie. Farley zyskał spory rozgłos, ale

nie otrzymał żadnego telefonu z propozycją obsadzenia go w nowym serialu telewizyjnym. Powoli malały jego wielkie nadzieje i popadał w zubożenie. Całe przyjęcie zorganizował Louie.

— Chciałem je odwołać — zwierzył się Paulowi — ale Britt mi nie pozwolił. Raz jest pełen energii, a za chwilę popada w depresję. Kiedy jest ożywiony, chce odgrywać rolę gwiazdy, tak jak na tym przyjęciu, więc nie miał zamiaru z niego rezygnować.

Dobrze, że film już prawie skończony, pomyślał Paul. Do kilku pozostałych wywiadów i zmontowania całości Britt nie jest potrzebny.

Pomimo zmiennych nastrojów Farleya jego przyjęcie zapowiadało się ciekawie, ponieważ wszyscy tego chcieli. Nowojorczyki bardzo umiejętnie dostosowywali przyjęcia do swoich własnych potrzeb. Poklepywali i chwalili Farleya, zwracali na siebie jego uwagę, trzymali się blisko niego, aby sprawiać wrażenie, że są jego najbliższymi przyjaciółmi. Cokolwiek miało potem nastąpić — tryumfalny powrót światowej gwiazdy czy koniec kariery — goście mogliby o tym mówić jako świadkowie zdarzenia. Dlatego właśnie tu przyszli.

A dlaczego ja tu jestem? — zastanawiał się Paul. Ponieważ Britt i Louie go zapraszali. Ponieważ Emily chciała przyjść. Ponieważ dwóch operatorów filmowało przyjęcie na wypadek, gdyby działo się coś, co mogliby wykorzystać. Ale głównie jest tu z powodu...

I wtedy ją ujrzał.

Była w białej sukni. Miała odsłonięte ramiona. Jej kasztanowe włosy, krótko obcięte, błyszczały w jasnym świetle. Paul nigdy nie wyobrażał jej sobie z krótkimi włosami. Kształt zgrabnej fryzury podkreślał jej urodę, jej ogromne oczy i pełne usta; czynił ją starszą i bardziej dystygowaną. Ależ ona jest starsza i bardziej dystygowana, uświadomił sobie Paul. Minęło sześć lat...

Wpatrywał się w nią. Próbował dopasować jej obecny wizerunek do wspomnień. Przeszłość była zamglona i ulotna, a ta olśniewająca kobieta przy drzwiach coraz bardziej wydawała się nieznajoma.

Paul zobaczył, jak ktoś ją wita i przedstawia przyjaciela. Laura uśmiechnęła się.

Wraz z tym uśmiechem wróciły do Paula uczucia z przeszłości i nagle Paul ruszył w jej stronę, przepychając się przez tłum gości. Otaczali go. Gawędzili, pili, śmiali się. Błyszczące

suknie i letnie smokingi mieszały się w tłumie. Od czasu do czasu długie palce wyciągały się w stronę tac z przekąskami, które zdawały się płynąć wśród gości. Kelnerzy, trzymając je wysoko w górze, z trudem torowali sobie drogę poprzez ścisk. Wszyscy byli w nieustannym ruchu. Utrudniali Paulowi przejście.

Kiedy dotarł do drzwi, Laury już nie było. Po chwili odnalazł ją wzrokiem. Witła się z Farleyem, który ją obejmował.

— Boże! Lauro, tak się cieszę, że przyszłaś! — zagrzemiał Farley. — Spóźniłaś się.

— Nie mogłam wyrwać się wcześniej. Britt, co się z tobą dzieje? Spojrzał na nią, nadal trzymając ją w objęciach.

— Co masz na myśli?

— Wyglądasz na zmęczonego. I schudłeś. Dlaczego tak się cieszysz, że mnie widzisz?

— Bo jesteś mądrą, piękną kobietą, która lubi mnie, nawet kiedy jestem niegrzecznym chłopcem. — Zamknął oczy na moment. — Oczywiście masz rację, skarbie. Straciłem na wadze i jestem zmęczony, ale nic złego się nie dzieje!

Wszystko w porządku! Pracowałem jak pszczołka. Nie uwierzyłabyś. Tournee i film... Wiedziałaś, że kręciłem film? To znaczy nie ja kręciłem, tylko to jest film o mnie. Co ty na to?

— To cudownie, Britt.

— Chciałbym, żebyś poznała geniusza, który to wymyślił. Jest gdzieś tutaj. — Błyszczące oczy Britta błędziły w tłumie, szukając Paula.

— Hej, przyjacielu, oto moja słodka Laura, dama, o której ci opowiadałem. — Ruszył w stronę Paula, prowadząc ze sobą Laurę. — Lauro, to jest geniusz, który nakręcił o mnie film.

Laura otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Zatłoczony salon zakołysał się, jak obrazek poruszony podmuchem przeciągu. Zachwiała się i oparła o ramię Farleya. Nie zauważył tego.

— Wy dwoje jesteście jedynymi osobami, które mnie nie obmawiają. To wiele dla mnie znaczy. Wielu ludzi zachowuje się tak, jakbym był głuchy. Wy nie, i to mi się podoba. Więc powinniście zostać przyjaciółmi. Paul, czy chcesz postawić tej damie drinka?

Paul stał tuż obok, wyciągnął rękę.

— Będzie mi bardzo miło postawić drinka pannie Fairchild.

Laura uścisnęła jego dłoń.

— Świetnie — rzucił Farley i odszedł, ktoś inny odciągnął jego uwagę.

Gwar narastał. Paul i Laura jakby skamienieli w geście powitania.

Wygląda o wiele starzej, pomyślała, linie na jego twarzy trochę się pogłębiły, zwięzając ją i zaostrozając rysy. Był przystojniejszy, niż pamiętała. I wyższy. Jego włosy były jeszcze bardziej niesforne, skóra ciemniejsza. A ręce — długie, mocne palce trzymające jej dłoń — były tak znajome jak jej własne.

— Napijesz się drinka? — zapytał. Pokręciła głową.

— Więc znajźmy jakieś ciche miejsce. Uwolniła dłoń z jego uścisku.

— Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

— A ja jestem tego pewien. — Położył dłoń na jej ramieniu. — Lauro, proszę.

Na dźwięk jego głosu wymawiającego jej imię Laura zaczęła drżeć. To nie w porządku; wszystko było dobrze. Zapomniałam już o nim. Mimowolnie uśmiechnęła się.

— O co chodzi? — spytał Paul. Laura przypomniała sobie, że zawsze zadawał to pytanie, gdy chciał wiedzieć, dlaczego ona się uśmiecha.

— Myślałam, że o tobie zapomniałam. To absurd. Ścisnął jej ramię.

— Możemy iść na górę. Kolację podadzą dopiero za godzinę. Poszukał wzrokiem Emily. Była zadowolona i otoczona tłumem

swoich wielbicieli. Paul wiedział, że nie będzie jej go brakowało. Wciąż trzymając rękę na ramieniu Laury, torował drogę i razem przeciskali się przez tłum gości.

Laura prawie zapomniała o przyjęciu. Jej ramię płonęło od uścisku Paula. Ich ciała przyciskały się do siebie w tłumie ludzi. Wreszcie byli na schodach, uwolnieni od tłoku. Jednak, gdy dotarli do jadalni, która zajmowała prawie całe drugie piętro posiadłości, zobaczyli, że trwają tam przygotowania do kolacji na czterysta osób.

— Jeszcze wyżej — powiedział Paul. Weszli po następnych, pokrytych dywanem schodach, do sali balowej. Było tam zupełnie cicho. Stanowiska i krzesła czekały na muzyków. Ukwiecone

drzewka rzucały cienie w przytłumionym świetle. Paul poprowadził Laurę w stronę kanapy przy ścianie. Usiadła w rogu i podwinęła nogi, jak dziewczynka.

Paul usiadł w drugim rogu- Milczeli.

— Przepraszam — powiedział wreszcie. — Przez całe lata myślałem o tym, jak wiele chciałbym ci powiedzieć i nie mogę znaleźć żadnych innych słów poza... przepraszam. Zachowałem się źle wobec ciebie. Wszyscy się tak zachowaliśmy. Zawsze chciałem ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że to wszystko się wydarzyło.

— Dziękuję. Znowu zamilkli.

— Chciałem ci też pogratulować — dodał Paul. — To wspaniale, że kupiłaś te wszystkie hotele. Słyszałem, że hotel w Chicago jest doskonały. Ben mówił Allison, że jest to...

Laura gwałtownie podniosła głowę.

— Ben? — powtórzyła.

— Ach, prawda, ty go nie znasz. Ben Gardner. Mąż Allison. Tak wiele się wydarzyło... Mój Boże, tyle lat. Ben jest dobrym człowiekiem. Lubię go, choć z jakiejś przyczyny nie jesteśmy tak zżyci ze sobą, jak bym sobie życzył. Ben jest wiceprezesem przedsiębiorstwa, a Allison przekazuje mi wieści od niego, gdy uważa, że mogłyby mnie zainteresować. Ben twierdzi, że twój hotel w Chicago jest jednym z najlepszych w kraju.

— Ma rację — odparła chłodno. Znowu drżała. Ben rozmawia o niej z tą rodziną. Westchnęła głęboko i rozejrzała się po sali, unikając wzroku Paula.

— A ty jesteś żonaty — powiedziała wreszcie,

— Tak. Nie sądziłem, że o tym wiesz.

— Ginny Starrett jest moją przyjaciółką.

— Nie znam jej — rzekł Paul.

— Ona zna Leni.

Wszystkie te zdarzenia nie były ich wspólnymi przeżyciami. Byli sobie obcy. Nieznajomi.

— Jesteś bardzo piękna — powiedział Paul, próbując znaleźć drogę wstecz. — Zawsze byłaś urocza, ale teraz jesteś bardziej... — Chciał powiedzieć, że teraz jest bardziej wytworna, odległa i chłodna, ale nie potrafił, prawie bezradnie dokończył:

— Obcięłaś włosy.

Uśmiechnęła się lekko, słysząc tę oczywistą uwagę.

— Już dawno. Chciałam wyglądać inaczej.

— I tak jest. Wyglądasz...

— Chciałam być kimś innym.

— Czas zmienia ludzi. Skinęła głową.

— Nie wiedziałam o tym, gdy ścinałam włosy. Opuszczałam Boston, a wszyscy, których kochałam, odwrócili się ode mnie. Nie chciałam być sobą. To za bardzo bolało.

— Mój Boże. — Paul pochylił się w jej kierunku i wyciągnął rękę. Chciał wziąć ją w ramiona i przytulić. To nie było pożądanie, jeszcze nie. Chciał po prostu pocieszyć ją i złagodzić ból kryjący się w jej opanowanym głosie. Niemal czuł jej ciało w swoich ramionach. Chęć przytulenia jej była tak silna. Ale ona zlekceważyła jego wyciągniętą rękę.

— Britt mówi, że zrobiłeś o nim film. Nigdy nie sądziłam, że interesujesz się... — Przerwała. Nie chciała odnosić się do ich wspólnie spędzonych lat. — Tym się teraz zajmujesz? Koniec z fotografowaniem?

— Być może wrócę kiedyś do fotografii, ale teraz fascynuje mnie film. Jest w nim wolność i pełnia życia, której wcześniej nie znałam. To sposób tworzenia świata na małej przestrzeni i tworzenia życia... — Patrzyła na niego, a on przypomniał sobie, jak dobrze było dawno temu powierzać jej swoje myśli i wiedzieć, że ona rozumie.

— Tworzenie życia, Lauro, to niezwykła rzecz. Ruch i bezruch, dialog i cisza. To nie takie oczywiste. Przynajmniej dla mnie nie było to oczywiste, dopóki się tego nie nauczyłem: — wykorzystania przeciwieństw do ukazania różnych aspektów czyjegoś charakteru lub jakiegoś wydarzenia. To wspaniała, zwariowana logika, którą tworzą ludzie. Irracjonalny sposób ich postępowania, kiedy nie wiedzą, czy coś, co głęboko ich wzrusza, jest prawdą czy fałszem...

Zapadła dłuższa chwila ciszy. Laura patrzyła na Paula ze zdziwieniem. Była zaskoczona zapalem w jego głosie, pasją, której nigdy wcześniej u niego nie dostrzegła. Owenowi by się to podobało, pomyślała. „Miałem rację co do tego chłopca. Po prostu potrzebował trochę czasu”. Potem usłyszała echo ostatnich słów Paula. Zawisły w powietrzu między nimi. Wygląda na to, że nie

mogą uciec od przeszłości. Powracała do nich bez względu na to, o czym rozmawiali.

— Opowiedz mi o swoich hotelach — poprosił. — Jak je kupiłeś?

— Za pieniądze innych ludzi.

— To jedna z pierwszych lekcji Owena. Lubisz to?

— Czy lubię być w długach? Paul zachichotał.

— Posiadać hotele i zarządzać nimi.

Laura odpowiedziała na jego uśmiech. Szybko spojrzała w inną stronę, a potem, ze spokojną już twarzą, odwróciła się, mówiąc: — Uwielbiam. Czuję się tak, jakbym miała cztery wspaniałe domy. Nie wszystkie są jeszcze wspaniałe, ale wkrótce będą.

— Odnawiasz każdy hotel?

— Muszę. Niewiele dało się ocalić oprócz części zewnętrznej wspaniałego holu głównego i korytarzy. Są one o wiele wspanialsze od tych, które buduje się obecnie. A cała reszta... Owen miał wiele planów, wiesz, pracowaliśmy nad nimi całe lata...

— Wiem — odparł cicho.

— To wspaniałe plany. Trochę je rozszerzyłam. — Roześmiała się krótko. —

Właściwie bardzo rozszerzyłam, ale ta fascynująca praca popycha mnie do działania.

— Jak rozszerzyłaś te plany?

Zacząła opowiadać. Mówiła o ludziach, których wynajęła i jak razem pracowali. To nie miało znaczenia, że Paul jest członkiem rodziny Salingerów i że personel, o którym opowiadała, obsługiwał hotele należące kiedyś częściowo do Paula. Zdała sobie sprawę, że może mówić swobodnie, nawet o Gerardzie Lyonie i szkole specjalnej, którą znalazła dla jego syna w Nowym Jorku. Odpowiadając na inne pytanie, wspomniała o małym domku w Grove Court.

— Lubisz Nowy Jork?

— Myślę, że polubię. Już mnie zmienił. — Uśmiechnęła się do niego i ujrzał przebłysk tego szelmowskiego uśmiechu, który nadal pamiętała. — Chodzę szybciej, mówię szybciej i nawet oddycham szybciej. Mknę skrajem chodnika, żeby mijać ludzi, zwłaszcza w południe, kiedy wszyscy wychodzą na lunch. Czasem myślę, że

jeśli coś nie wydarzyło się w Nowym Jorku, to nie wydarzyło się wcale. Kropka. Wtedy znajduję powód, żeby jechać do Chicago na kilka dni.

Ich śmiech rozbrzmiewał w ogromnej, pustej sali i przez moment ich łączył.

Potem Laura znowu patrzyła w bok, aż, tak jak wcześniej, przybrała spokojny wyraz twarzy.

— Nie miałam okazji przekonać się, czy lubię to miasto, czy nie. Nie miałam czasu go poznać. Wychowałam się tutaj. — W jej głosie słychać było wyzwanie i bunt, których on zdawał się nie dostrzegać. — Ale teraz wszystko jest takie odmienne, że czuję się tak, jakbym nigdy przedtem tutaj nie była. Kiedyś znajdę czas, aby zwiedzić to miasto. Teraz pochłania mnie praca.

— Czy to jest to, czego się spodziewałaś, gdy Owen uczył cię hotelarstwa? Czy to wszystko, o czym marzyłaś?

— O wiele więcej. Jest w tym coś szczególnego, Paul. Mam uczucie, że to są moje domy, po prostu prowadzę dom otwarty. Obserwuję, jak ludzie się tym cieszą. Wiem, że mogę zapewnić im wygodę i radość. Mogę dać im to, co lubią i co będą pamiętali. Potem widzę, jak wracają, bo rzeczywiście mnie pamiętają i chcą przyjeżdżać... — W zakłopotaniu przyłożyła dłoń do policzka. — Chyba powinniśmy wracać na dół.

— Czy ktoś na ciebie czeka?

— Nie. — Potem, nie chcąc, by wiedział, jak bardzo była samotna, dodała: — Nie dzisiaj. Jest ktoś, z kim widuję się bardzo często. W tym tygodniu nie ma go w mieście... Ale twoja żona może się potrzebować.

— Z pewnością nie przed kolacją.

Laura spojrzała na niego z kamienną twarzą.

— Czym ona się zajmuje?

— Jest modelką. Bardzo dobrą modelką. Pozuje przeważnie do czasopism.

— Prawdopodobnie widziałam ją, nie wiedząc, kim jest. Jakie to dziwne. Macie dzieci?

— Nie. Emily nie chce... — Zamilkł. Nie chciał sprawiać wrażenia, że narzeka. — Przez kilka lat chce się koncentrować na swojej karierze. Sądziłem, że to dobry pomysł. Lauro, jest tyle rzeczy, o których chciałbym powiedzieć...

— Opowiedz mi więcej o swoich filmach — poprosiła. — Czy z kimś nad nimi pracujesz?

Zrobił niecierpliwy gest.

— Mam partnera. To Larry Gould.

— Gould? Czy to nie ten, z którym przyjaźniłeś się na studiach?

— Tak. Zdziwiająca, że to pamiętasz.

— Opowiedz mi o nim.

— Zajmuje się produkcją reklam telewizyjnych, ale wspólnie utworzyliśmy oddzielną spółkę produkującą filmy dokumentalne... — Zaczął od pierwszej rozmowy z Larrym. Powiedział o wycofaniu się z fotografowania socjety Nowego Jorku, wspomniał o pierwszym nieudanym filmie i o pomysłach nakręcenia filmu na temat Britta Farleya. — On doskonale się nadaje do tego, co chcę zrobić. Chcę pokazać twarz ukrytą za publicznym wizerunkiem i ukrytą scenę poza tą, którą widzą wszyscy...

Paul mówił. Laura zadawała pytania i oboje pochylali się ku sobie na kanapie, wzajemnie sobą zaabsorbowani.

— A Los Angeles? Podoba ci się tam?

— Nie wiem. Mam do tego miasta taki stosunek jak ty do Nowego Jorku. Nie miałem dość czasu, żeby je poznać. Jest jednocześnie piękne, brzydkie i przeciętne. Jest z pewnością fascynujące i należy je zwiedzić, ale nie zrobiłem tego, bo byłem zbyt zajęty, a Emily to nie interesuje. Wiele myślałem o tym, jak kiedyś ty i ja zwiedzaliśmy razem Cape. Chciałbym to powtórzyć w Los Angeles.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Laura ujrzała zdziwienie w jego oczach. Nie miał zamiaru tego powiedzieć. Ale powiedział, a ona cofnęła się.

— To chyba niemożliwe, prawda? A może to w porządku jeździć tu i tam ze złodziejką i łowczynią fortuny teraz, gdy jesteś bezpiecznie ożeniony?

— Do diabła! — wykrzyknął. — Kiedy tu usiedliśmy, powiedziałem: „przepraszam”.

— Ale nie powiedziałeś, że się myliłeś.

— Nie wiem, czy się myliłem. Powiedziałaś mi...

— Więc za co, do cholery, mnie przepraszałeś, jeśli ty i cała twoja rodzina nie potraficie przyznać, że się myliliście?

— Powiedziałaś mi, że Feliks ma rację! A może tego nie

pamiętasz? Zapytałem cię, czy to, co mówi, jest prawdą, a ty odpowiedziałaś, że tak. Nigdy tego nie zapomniałem. To bardzo wygodne, jeśli masz...

— Nie zapomniałam — przerwała mu lodowatym głosem. — Ale ty nie czekałeś, żeby się dowiedzieć, co to oznacza. Właśnie powiedziałeś mi, że chcesz szukać twarzy ukrytej za publicznym wizerunkiem i ukrytych scen... A może również ukrytych historii? Chyba że nie dotyczy to ludzi, których znasz. Nie wierzyłeś, że to miało znaczenie w moim przypadku. Uwierzyłeś w historię przedstawioną przez Feliksa i pomogłeś rodzinie wyrzucić mnie z mojego domu.

Milcząc, Paul wpatrywał się w pustą przestrzeń sali balowej.

— Masz rację. Nie próbowałem. — Roześmiał się gorzko. — Czułem się urażony. Myślałem, że byłem kochany dla mojej fortuny, nie dla mnie samego.

— Nie mogłeś tak myśleć. Nie po tym, co było między nami.

— Nie chciałem tak myśleć, ale ty nie dałaś mi powodu, bym wierzył, że jest inaczej.

— Czy nie wystarczyło ci, że cię kochałam i byłam twoja przez dwa lata? Ile razy miałam to udowadniać?

— Tylko raz — powiedział chłodno. — Ale byłaś zbyt arogancka. Przybyłaś do nas, żeby nas okraść i Bóg wie, co jeszcze miałaś zamiar zrobić, a potem oczekiwałaś, że uznamy to za nieistotne. Nic nie jest istotne, tylko Laura Fairchild mówiąca, że nas kocha! Czy nie przyszło ci do głowy, że mogłaś nam opowiedzieć swoją historię, zamiast oczekiwać, że będziemy cię o to błagać? Moja rodzina kochała cię. Dała ci dom i wykształcenie. Opiekowaliśmy się tobą i daliśmy ci przyjaźń... Ja ofiarowałem ci moją miłość, ale ty mi nie ufałaś.

— I miałam rację! Nie mogłam ufać żadnemu z was!

— Nie upewniłaś się. Wyszłaś. Nie zawracałaś sobie głowy wyjaśnieniami. Nie chciałaś nam pomóc, gdy byliśmy zakłopotani i czuliśmy się zdradzeni.

— Tylko ja byłam oskarżona — powiedziała gniewnie Laura. — Nie możesz uważać swojej rodziny za poszkodowaną.

— W pewnym sensie była, tak samo jak ty. Zostałaś o coś oskarżona. I co z tego? Wielu ludzi jest oskarżonych o taką czy inną rzecz. Większość z nich broni się, ale nie Laura Fairchild!

Dlaczego? Byłaś na to za dobra? Mieliśmy wierzyć ci na słowo i nigdy w ciebie nie wątpić, tylko dlatego, że ty to ty? Bez żadnego innego powodu? Kochałem cię! Czy nie zasługiwałem na jakieś wyjaśnienia?

— Chcesz powiedzieć, że miałeś do tego prawo?

— My wszyscy, łącznie z tobą, mieliśmy prawo zrozumieć to, co nam się przydarzyło.

— I to było ważniejsze od zaufania? Jeśli nie mogłeś mi ufać, to na co zdałyby się moje wyjaśnienia? Nadal nie masz do mnie zaufania. Nadal nie wierzysz, że twoja rodzina myliła się i była niesprawiedliwa.

— Oni są miłą rodziną, Lauro. Nie mogę nazywać ich kłamcami.

— Ja miałam zostać twoją żoną. Tak mnie nazywałeś. Zamilkł.

— Uwierzyłbym ci, gdybyś mi powiedziała, że się mylę.

— Zaufanie — powiedziała z wściekłością Laura. — Zaufanie, pamiętasz? Nie spodziewałam się, że mój przyszły mąż... — Przerwała nagle. — Nieważne. To było tak dawno temu. Teraz to się nie liczy. Oboje odnaleźliśmy własne życie. Pozwólmy przeszłości odejść w zapomnienie. — Wstała. — Idę na dół...

— Nie, zaczekaj chwilę. Lauro, przepraszam. Żałuję, że to wszystko się wydarzyło. Powinniśmy sobie ufać. Ty mnie, a ja tobie. Może byliśmy zbyt młodzi. Bóg świadkiem, że oboje byliśmy młodzi, ale to nie powinno się teraz liczyć. To nie powinno powstrzymać nas od rozmowy i przekonania się, co do siebie czujemy.

— Ja nie chcę wiedzieć! Cóż dobrego mogłoby z tego wyniknąć? Nigdy nie pozbędziemy się przeszłości. Ty masz żonę, a ja jestem bardzo zajęta. Stworzyłam sobie nowe życie. Mam przyjaciół, brata i mężczyznę, który chce się ze mną ożenić. Ja też mam rodzinę!

Przygryzła wargę. Trzęsła się, a jej głos był nierówny. Paul też wstał i patrzył jej w oczy, a ona czuła, że jej ciało pochyła się w jego stronę, pragnie go. Czuła jego ramiona oplatające jej ciało, czuła jego usta na swoich. Pamiętała spojrzenie jego ciemnych oczu, które sprawiały, że czuła się bezpieczna. Na zawsze. To fałsz! To niemądre! Bezpieczeństwo dawały jej tylko własne osiągnięcia. Uczucia nie miały tu nic do rzeczy. Mogła się nauczyć, jak nad nimi panować. Wstydziała się swojej słabości do Paula. Powinna całkowicie

kontrolować swoje emocje i swoje życie. Zrobiła taki dobry początek. To potrwa tylko trochę dłużej, niż sobie wyobrażała. Wyciągnęła rękę.

— Do widzenia — powiedziała. Jej głos załamał się tylko odrobinę. — Życzę ci sukcesów w pracy nad filmem i we wszystkim, czego się podejmiesz.

Paul uściskał jej dłoń i trzymał ją. Nie był pewien, czy chce uwolnić się od przeszłości. Czuł się tak, jakby ktoś spletał mu niesamowitego figła. Przeszłość stała między nimi, ale to były ich wspólne chwile, o których nie chciał zapomnieć. „Moja droga...” — zaczął, ale przerwał. Chciał powiedzieć, że są sobie winni wyjaśnienie, co nadal do siebie czują, ale nie przychodziły mu do głowy żadne słowa. Nie rozumiał jej ani jako dziewczyny, którą kiedyś była, ani jako kobiety, którą się stała. Nie widział drogi powrotnej. Był żonaty i nie mógłby jej prosić o przyjaźń na próbę, żeby przekonać się, czy mogą sobie ufać. Był pewien, że ona by się na to nie zgodziła, nawet gdyby w swej bezczelności o to poprosił. Bez względu na to, co czuł do Laury, nie mógłby odejść od Emily. Ożenił się z nią. Stała się częścią jego życia i nie porzuciłby jej tylko dlatego, że sądzi, iż jest zakochany w kimś ze swojej przeszłości lub po prostu ogarnęły go wspomnienia, poczucie winy i tęsknota za prostszym, młodzieńczym życiem.

Laura patrzyła na niego z lekkim, smutnym uśmiechem.

— Nic nie jest takie proste, jak nam się wydawało.

Przez moment Paul cieszył się harmonią ich myśli. Przypomniawszy sobie radość, jaką zawsze czuł z tego powodu. Odpowiedział uśmiechem.

— Wszystko byłoby proste, gdybyśmy wiedzieli, czego chcemy i gdybyśmy się tego trzymali.

— To już nie ma znaczenia — odparła łagodnie. — Już za późno.

Odruchowo, zanim zdołała się powstrzymać, przysunęła się do niego, a on bez chwili namysłu wziął ją w ramiona ze świadomością, że bardzo jej pragnie. Ale Laura zachowała dystans. Położyła dłoń na jego twarzy. Połykała gorycz skrywanych łez, których nie mogła uronić. Czuła pustkę i świadomość, że stracili siebie na zawsze. Dotykała znajomych linii jego twarzy, wystających kości policzkowych, skóry, której ciepło ogrzewało jej palce, ciemnych włosów

ze śladami siwizny, której wcześniej nie zauważyła. Zatrzymała to wszystko w pamięci. Przez dłuższą chwilę stali tak razem na pustym parkiecie, jak para gotowa do walca, nim Laura delikatnie wysunęła się z jego ramion.

— Do widzenia, Paul — powiedziała. — Nie zobaczymy się na dole. Wracam do domu. Nie chcę cię więcej widzieć.

Jak niczego dotąd, pragnął podejść do niej, pocałować ją, przytulić i powiedzieć, że nic więcej się nie liczy ponad to, że są razem. Smutek w jej oczach wypełnił jego serce. Chciał przywrócić tym pięknym oczom blask i radość, ale zbyt wiele stało na przeszkodzie. Zmusił się do pozostania na miejscu, z opuszczonymi rękami.

— Przepraszam — powiedział i zrobił bezradny gest. — To takie bezbarwne słowo dla wyrażenia wszystkiego, co chciałbym ci powiedzieć. Szkoda, że nie potrafię znaleźć innego. Ale wygląda na to, że jest więcej okazji do przeprosin niż do radości. Życzę ci powodzenia w prowadzeniu hoteli.

— Dziękuję. Obejrzę film o Farleyu.

Gdy odwróciła się, żeby odejść, Paul zdobył się na szczerość:

— Wiesz, że bardzo cię kocham. Nigdy nie przestałem. To nie ma nic wspólnego z innymi sprawami, które nas dzielą.

Laura stała bez ruchu przez dłuższą chwilę, a potem pokręciła głową, jakby chciała otrząsnąć się z tych słów.

— Żegnaj. — Nie patrząc na niego, ruszyła w kierunku drzwi.

— Chciałbym wiedzieć, czy ty też wciąż czujesz do mnie to samo — zatrzymał ją w pół drogi. — Nie mam prawa pytać, ale chciałbym usłyszeć, że już mnie nie kochasz. Albo, że kochasz.

Odwróciła się powoli i spojrzała na niego poprzez pustą salę, która jeszcze dźwięczała echem głosów i śmiechu. Lekko wyciągnęła ku niemu rękę.

— Kocham cię całym sercem — powiedziała, a potem prędko wyszła.

Rozdział dwudziesty czwarty

Zaproszenia docierały co dzień. Laura brała udział w kolacjach i przyjęciach dobroczynnych, odkąd przeprowadziła się do Nowego Jorku. Ale po przyjęciu u Farleya, wraz z nadejściem jesieni, stała się prawdziwą atrakcją. Społeczność Manhattanu bezustannie poszukuje nowych osobowości, które zyskują rozgłos. Nieważne, w złym czy dobrym sensie, jeśli tylko przyciągają uwagę środków masowego przekazu. Z chwilą gdy artykuły o Laurze i jej hotelach zaczęły się pojawiać w *The Wall Street Journal*, *The New York Times*, *Newsweek*, *Vogue* i kiedy zaproponowano jej udział w programach telewizyjnych „talk show”, drzwi w całym mieście stały przed nią otworem. Jej niewątpliwą zaletą była uroda, młodość i niezależność, a jeszcze większą kontakty z Wesem Currierem i Ginny Starrett. Najważniejsze było jednak to, że emanowała z niej tajemniczość i że nie chciała opowiadać o przeszłości. Tak więc Laura tonęła w zaproszeniach. Pracowała w swoim gabinecie w hotelu od siódmej rano do siódmej wieczorem. Wracała do *Grove Court*, żeby się wykapać i przebrać, a potem wychodziła na kolację, bal albo na dwa lub trzy przyjęcia w ciągu jednego wieczora. Gdy wracała do domu, ledwie

starczało jej energii, żeby zdjąć ubranie i wślizgnąć się do łóżka. Po pięciu godzinach snu zaczęła nowy dzień.

— Nie masz nawet czasu na myślenie — powiedziała Ginny, gdy w sobotnie październikowe popołudnie siedziały na tarasie ogrodowym u Laury. — Sądziłam, że prowadzę szaleńcze życie towarzyskie, ale twoje to istna karuzela.

— Czas na myślenie mam w pracy — odparła Laura.

— Ale to jest myślenie o pracy.

— Tylko o tym chcę myśleć.

— Każdy przez to przechodzi — stwierdziła Ginny w zamyśleniu. — Ja za każdym razem, kiedy Wylie'emu wymknęło się przez przypadek lub celowo, że sypia z kimś nowym. Aż wreszcie, pewnego dnia, z jakiejś przyczyny, prawdopodobnie dlatego, że kobiety są bardzo odporne, zaczynasz czuć się lepiej i możesz myśleć, o czym tylko zechcesz, bo tamto już nie boli. A kiedy tak się stanie, zdasz sobie sprawę, że jesteś przepracowaną kobietą, której potrzebny jest urlop.

— Kiedy tak się stanie, wezmę urlop.

— Może w marcu? — podchwyciła natychmiast Ginny. — Wybieram się na kilka tygodni do Paryża i chcę, żebyś ze mną pojechała. Jeśli nadal będziesz tak aktywna i tak zapracowana, że nie masz siły na zakupy, to do marca będziesz wyglądała okropnie i będziesz potrzebowała nowych ubrań, nie mówiąc już o jakiejś rozrywce.

— Dziękuję, Ginny. Pomyślę o tym.

— Nie. Nie pomyślisz. Zapomnisz o tym, bo jesteś tak przywiązana do swoich hoteli, że nawet nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, jak może wyglądać Paryż. W marcu jest tam czasami chłodno, nawet zimno i deszczowo, ale spokojnie. Żadnych turystów, pełne sklepy, puste muzea. Wszyscy traktują cię prawie jak rodaczkę. To doskonałe miejsce na relaks. Chciałabym teraz usłyszeć odpowiedź „tak”.

— Tak — odparła Laura niespodziewanie. — To brzmi cudownie.

Zdziwiona Ginny powiedziała:

— Mój Boże. Czy mogę dostać to na piśmie?

Laura roześmiała się i sięgnęła po papier. Napisała coś i podała Ginny.

Ginny zerknęła na kartkę.

— Dlaczego tu jest napisane: „nie więcej niż dwa tygodnie“?

— Bo tylko na tyle mogę sobie pozwolić. W maju otwieramy hotel w Filadelfii i kiedy dopiluję, żeby działał sprawnie, chcę obmyślić sposób zdobycia udziałów w Sieci Hoteli Salingerów.

— Nie zapomniałaś o tym.

— Nie zapominam o tym, co związane jest z Salingerami — powiedziała lekko Laura, ale Ginny wiedziała, jak bardzo poważne było to oświadczenie. — W zasadzie tyle się teraz dzieje, że nie powinnam wcale wyjeżdżać, ale...

— Ale ja mam dar przekonywania, a ty nie chcesz mieć wolnego czasu na myślenie. Oczywiście do tej pory będziesz już miała za sobą tę tragedię i z entuzjazmem... — Ujrzała napięcie na twarzy Laury. — Do licha, przepraszam, kochanie. Ta uwaga była niedelikatna. Wiem, że przeżywasz trudne chwile. Nie miałam zamiaru tego lekceważyć. Co to za drzewko?

— To śliwa. A te inne to dzika jabłoń, czereśnia i miniaturowe drzewka pomarańczy. Uwielbiam je. W kwietniu każda gałązka będzie pokryta różowymi, liliowymi lub białymi kwiatami. Będzie tu tak kolorowo jak powinno być na wiosnę.

— Szkoda, że nie zakwitną na przyjęcie w twoim nowym mieszkaniu.

— Więc może powinniśmy je odwołać? Ginny uśmiechnęła się.

— Nie wywiniesz się tak łatwo. Wiem, że nie chcesz wydawać tego przyjęcia.

Nawet to rozumiem. Ale musisz mi uwierzyć, to przyjęcie to dobry pomysł. Nowy dom nie jest naprawdę twoim, dopóki nie powitasz ludzi przed drzwiami, nie nakarmisz i nie usadowisz w swoich fotelach. W każdym razie wszystko jest zaplanowane, więc przyjęcie musi się odbyć. Dom jest gotowy.

— I piękny. To najpiękniejszy dom w Nowym Jorku. Dzięki tobie.

— To ty wszystko wybrałaś. Ja tylko wytargowałam przyzwoite ceny. Dobra praca zespołowa.

Laura położyła rękę na dłoni Ginny i obie siedziały w milczeniu, podziwiając zespołowe dzieło. Taras z zakurzonej pustki został przeistoczony w zieloną oazę z białymi, ażurowymi krzesłami. Obok stał podobny, okrągły stolik z parasolem i staromodna

bujana ńawa. Przy ceglanym murze rosły drzewka z purpurowo--zielonymi lińciami, a w kwietnikach bujnie kwitły chryzantemy, astry i dalie. Było teŹ miejsce na krzewy róz i rośliny jednoroczne, które Laura miała zamiar posadzić na wiosnę.

Laura, jak kilka tysięcy innych nowojorczyków, mających miejsce i pieniądze, zagarnęła dla siebie odrobinę natury. W krainie murów, hałaśliwego ruchu ulicznego, warkotu młotów pneumatycznych i stert śmieci przy eleganckich budynkach, na tarasach i płaskich dachach bloków kiełkowały drzewka i zakwitały kwiaty. Powstawały wspañiałe ogrody unoszące się jak pachnący raj nad betonowym światem.

W każdym razie stanie się moim rajem, pomyślała Laura, kiedy będę spędzała w nim więcej niż godzinę tygodniowo.

Cały dom był rajem nawet teraz, kiedy korzystała przeważnie z sypialni i garderoby. Pewnego dnia, snuła marzenia, gdy będę miała więcej spokojnych chwil, wykorzystam cały dom tak, jak powinien być wykorzystywany. Pokoje były oszczędnie umeblowane, ale promieniały kolorami i ciepłem. Antyki stwarzały przytulną atmosferę. Nic nie było tu lśniące i nowe. Wszystko było zadomowione, jakby stało tu od lat, wprawiając rodzinę w dobry nastrój. Meble były wykonane z ręcznie polerowanego drewna. Na oknach wisały jasne muślinowe firanki. Obicia na krzesłach i sofach miały drobny, kwiatowy deseń. Błękitne dywaniki jaśniały na sosnowej podłodze. Mosiężne przyrządy stały przy kominkach w salonie, bibliotece, jadalni i sypialni. Do nowo urządzonej kuchni Laura rzadko wchodziła. Jadała poza domem, nawet kiedy umawiała się na cotygodniową kolację z Clayem. Była zbyt zajęta, Źeby stać się kucharką. Nie była tym teŹ zbyt zainteresowana. Ale w sobotni wieczór, pod koniec listopada kuchnia była zajęta przez dostawcę i jego personel przygotowujący przyjęcie Laury. Przyjechali, gdy ona była jeszcze w pracy i błyskawicznie się zainstalowali. Urządzili bar w salonie i na tarasie. Ustawili stoliki cztero- i sześćoosobowe. Znaleźli tace w kredensie Laury i ułożyli na nich przekąski. Przygotowali teŹ drewno w kominkach, choć wieczór był ciepły. Unosiła się jesienna mgiełka, która sprawiała, Źe księżyc w pełni wydawał się daleki, choć jego blask oświeślał przybywających gości.

— Wyglądasz czarująco — powiedziała do Laury Flavia Guarnen, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

— Ty też, Wes — zaakceptowała wygląd Curriera, który stał u boku Laury. Potem Flavia znowu odwróciła się do Laury. — Za każdym razem, kiedy cię spotykam, jesteś lepiej ubrana. Albo szybko się uczysz, albo hotele odnoszą duże sukcesy.

— Prawdą jest jedno i drugie — odparła spokojnie Laura, uśmiechając się w odpowiedzi na brak taktu ze strony Flavii.

Ubrana była w suknię bez ramiączek, uszytą z błękitnego jedwabiu kolorem dopasowanego do koloru jej oczu. Suknia podkreślała jej zgrabne kształty, nieskazitelną cerę i kasztanowe włosy. Stała prosto, dumna, z wysoko podniesioną głową. Prezentowała gościom spokojny wyraz twarzy i uprzejmy uśmiech. Nikt nie mógł odgadnąć, o czym Laura myśli.

Currier zatrzymał się, żeby z kimś porozmawiać, a ona weszła na górę do salonu, by zająć się gośćmi. Poczowała ulgę, że Wesa nie ma przy jej boku. Ginny miała rację. To przyjęcie uczyniło dom naprawdę jej własnością. Drażniło ją, że Currier zaczął odgrywać rolę gospodarza od momentu przyjścia, choć nie widzieli się cały miesiąc. On ciągle zmienia definicję przyjaźni, pomyślała Laura zdumiona jego wytrwałością. Musi z nim o tym porozmawiać.

— Czy podać ci coś, Roso? — zapytała, pochylając się nad fotelem, w którym siedziała Rosa. — Coś do jedzenia, picia, czy może wolisz kogoś, z kim można pogadać?

— Jestem bardzo szczęśliwa — rzekła Rosa, poklepując Laurę po policzku. — Cieszę się, że tu jestem. Zawsze czuję się świetnie, gdy ludzie, na których mi zależy, nie zapominają o mnie, mimo że jestem już za stara *i* za słaba, by się na coś przydać.

— Laura roześmiała się, a Rosa uśmiechnęła się szeroko. — Co prawda, nie czuję się jeszcze tak staro, ale ostatnio częściej myślę o przeszłości niż o przyszłości, a to oznaka podeszłego wieku. Właśnie przypominałam sobie inne przyjęcie, które wydawałaś w domu pana Owena z okazji zaręczyn Allison z tym Thadem.

Oczywiście większość czasu spędziłam w kuchni, ale pamiętam, jakie dziwne towarzystwo tam zgromadziłaś. Oczywiście wstąpił też pan Owen, prawda? I Paul. Laura skinęła głową.

— Dziś również jest bardzo różnorodne towarzystwo — stwierdziła Rosa. — Ta młoda para, która prowadzi restaurację na tej ulicy i ogrodnik, który zaprojektował wystrój twojego tarasu,

a obok hrabina Flavia Guarneri, która nosi na szyi chyba połowę klejnotów tego świata, nie mówiąc już o Carlosie Serrano. Wygląda tak, jakby wyobrażał sobie łóżkowe harce z każdą kobietą, z którą rozmawia.

— Roso!

— Wiem, wiem. Zazwyczaj nie wygłaszam takich uwag, ale to jeszcze jedna oznaka wieku. Im jestem starsza, tym częściej mówię sobie: „czemu nie”. Rozmawiałam z twoją przyjaciółką, Ginny. To miło, że pamiętała kolację, którą Kelly i ja przygotowałyśmy w hotelu Chicago Beacon Hill. Rozmawiałas ostatnio z Kelly?

— Nie. Byłam bardzo zajęta, a ona nie dzwoniła od kilku miesięcy. Zaprosiłam ją, powinna dzisiaj tu być.

— O, tam — powiedziała Rosa, wskazując ręką. — Za tym mimem gości wchodzących na górę.

Kelly zmierzała w ich stronę. Po chwili obejmowała Laureę.

— Czarujący dom. Nigdy nie sądziłam, że tak może wyglądać dom w Nowym Jorku.

— Gdzie John? — spytała Laura, rozglądając się.

— Nie ma go tutaj. Opowiem ci o tym, kiedy nie będziesz zajęta pełnieniem roli gospodyni.

Laura rozpoznała szczególny ton w jej głosie. Podniosła lewą rękę Kelly i spojrzała na palec bez obrączki.

— Kiedy to się stało?

— Miesiąc temu. Wszystko ci opowiem. Może jutro zjemy razem lunch?

— Oczywiście. Kto prowadzi Darnton?

— Sprzedaliśmy ośrodek. Naprawdę chcesz teraz tego słuchać?

— Oczywiście, że chcę.

— Najkrócej mówiąc, ktoś przedstawił ofertę, której nie mogliśmy odrzucić. Wiesz, od jak dawna John chciał sprzedać pensjonat. Więc dostaliśmy mnóstwo forsy i wyruszyliśmy w podróż po świecie. Potem się rozstaliśmy. Po prostu nic z tego nie wychodziło. John chce się zabawiać przez resztę życia, a ja muszę coś robić. Pomyślałam sobie, że przyjdę w poniedziałek do ciebie do hotelu i zapytam, czy znajdziesz dla mnie jakąś pracę.

Wymieniły spojrzenia, przypominając sobie dzień, gdy sześć lat temu Laura przyjechała do Darnton w poszukiwaniu pracy.

— Oczywiście, że znajdę. Nie wiem jeszcze jaką, ale znajdziemy

coś, co będzie dla ciebie najlepsze. — Laura odwróciła się, czując rękę na swoim ramieniu i spojrzała w uwodzicielskie czarne oczy Carlosa Serrano.

— Piękna damo, czy zjesz ze mną kolację podczas mojego pobytu w mieście? Zadzwoń i umówimy się. Mam do dyspozycji tylko dwa tygodnie. Muszę też ci powiedzieć, że przyjechałem dziś rano z twojego hotelu w Chicago. Jest doskonały. Gratuluję.

Laura uśmiechnęła się. Trudno było się oprzeć czarowi Carlosa, tak u niego naturalnemu, jak oddychanie.

— Cieszę się, że byłeś zadowolony. Na szczęście znaleźliśmy wspaniałego dyrektora... — przerwała. Przechyliła głowę, jakby słuchając swoich własnych słów. — Przepraszam na chwilę... Laura odwróciła się do Kelly, która rozmawiała z Rosą. — Czy chciałabyś mieszkać w Waszyngtonie? — zapytała.

— Nie mam pojęcia. Dlaczego pytasz?

— Mam tam hotel i potrzebuję dyrektora, zastępcy, a nawet szefa kuchni.

— Dyrektora i szefa kuchni — powtórzyła Kelly. Jej twarz pojaśniała. — Mam szefa kuchni. W każdym razie mogę mieć. Ten, którego mieliśmy w Darnton, nie jest zadowolony z nowych właścicieli i powiedział mi, że gdybym kiedykolwiek miała ochotę wrócić do hotelu, to chciałby ze mną pracować. Waszyngton to ciekawe miasto.

Uśmiechnęły się do siebie, uradowane, że wszystko zaczyna się układać.

— Spotykamy się jutro na lunchu — powiedziała Laura. — Porozmawiamy o tym. Potrzebuję cię od zaraz.

— Jestem gotowa zacząć od zaraz. Laura pocałowała Kelly w policzek.

— Będziemy się częściej widywać. Będziemy prawie sąsiadkami.

— I będziemy znów razem pracować. To mi się podoba. Nadszedł Clay i uściskał Kelly.

— Wspaniale cię znowu widzieć. Gdzie jest John?

— Nie mógł przyjechać. Wyglądasz na człowieka sukcesu. Wysoki przystojny blondyn. Wąsy. Elegancki garnitur. Piękna dziewczyna u boku. Czy to ten sam chłopak, który chciał spędzać czas, wożąc gości staroświeckimi samochodami po wyspie?

Clay mrugnął.

— Zdolny dzieciak. Podrósł i nauczył się używać własnego pojazdu, zamiast jeździć cudzym. Kelly, pozwolisz, że zabiorę Laureę na chwilę?

— Proszę bardzo. Ale mam nadzieję, że nie będziesz omawiał interesów podczas przyjęcia.

— Nigdy w życiu. — Pocałował Kelly i wziął Laureę pod rękę. — Przepraszam. Pomyślałem sobie, że muszę ci o tym powiedzieć... — Przeszli kilka kroków i stanęli w kącie pokoju. — Dziś po południu dowiedziałem się, że ten ochroniarz, którego wyrzuciłem kilka miesięcy temu, pracuje dla Salingerów.

— I co z tego?

— To niedobrze. On wie wszystko o rodzajach zamków, jakich używamy, o monitorach na korytarzach, o sejfach w pokojach...

— Nie rozumiem. Sądzisz, że włamie się do naszych hoteli?

— Czemu nie? Bardzo dużo o nas wie.

— Clay, to nie wojna. Nie mamy armii i szpiegów. Nie będziemy niszczyć się nawzajem.

— Feliks może do tego dążyć. Albo Ben. Co z Benem?

— Ben? Ma swoją rodzinę. Ma żonę. Z pewnością jest szczęśliwy i nie wierzę, że mógłby nas skrzywdzić. W każdym razie, jestem pewna, że już nie kradnie. Należy do zamożnej rodziny. Po co miałby ryzykować?

— Może potrzebuje pieniędzy?

— Na pewno ma tyle pieniędzy, ile potrzebuje. A gdyby nawet kradł, to na pewno nie wybrałby nas.

— Zrobiłby to, gdyby miał korzystne informacje.

— Dostyc tego! Nie chcę o tym mówić! Ben nie kradnie. Jestem o tym przekonana. Poza tym nie mieliśmy jak dotąd ani jednej kradzieży! To niedorzeczne, że się tym przejmujesz. Kim jest ta dziewczyna, która z tobą przyszła?

— To Rosemary. Uważa, że potrzebuję opieki.

— Możliwe, że potrzebujesz.

— To właśnie zawsze powtarzała Myrna. Przez jakiś czas mi się to podobało, ale potem stało się nieco uciążliwe, jak więzienie. Żadnej wolności, żadnego ryzyka, żadnego podniecenia.

— Tylko miłość, przynależność i ktoś, kto troszczy się o ciebie. Jakie to okropne.

Spojrzał na nią ostro.

— To dlaczego nie wychodzisz za Wesa, skoro uważasz, że to takie ważne?

— Bo nie kocham Wesa. Gdybym go kochała, to bym za niego wyszła. Naprawdę sędzę, że małżeństwo to ważna sprawa. Mogłoby ci pomóc... — przerwała.

— Wydorosnąć, tak? Sądzisz, że powinienem wydorosnąć?

— Czasami tak sędzę.

Currier pojawił się przy niej i położył dłoń na jej ramieniu.

— Nie zwracasz uwagi na swoich gości. Poczula złość, ale stłumiła to uczucie.

— Masz rację. Do zobaczenia, Clay. Baw się dobrze.

— Dziękuję. — Uśmiechnął się do niej. — To rewelacyjne przyjęcie. Kocham cię i jeśli uważasz, że powinienem zadzwonić do Myrny, zrobię to.

Laura pocałowała go w policzek.

— Ja też cię kocham i uważam, że powinienes robić to, co cię uszczęśliwia.

Idąc po schodach na taras, Currier powiedział:

— Psujesz go. Zmarszczyła brwi.

— Jak?

— Nie mówisz mu, jak powinien postępować. Mogłabyś skłonić go do posłuszeństwa, cięższej pracy i ustatkowania się.

— Mam go traktować jak dziecko? — Stali na szczycie schodów. — Nie rozumiesz Claya, Wes. Od śmierci rodziców szuka kogoś, kto mógłby się nim zająć. Liczył na Bena, ale Ben go zawiódł, więc zaczął liczyć na mnie. Oczywiście mogłabym mówić mu, jak ma postępować. Niewykluczone, że byłby mi posłuszny. Ale to nie pomoże mu wydorosnąć i wziąć odpowiedzialność za swoje życie. W każdym razie ja nie chcę kierować jego życiem. Mam dość kłopotów ze swoim własnym.

— Zaofiarowałem ci pomoc.

Nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi na werandę i natychmiast otoczył ją tłum znajomych. Po pięciu godzinach wyszedł ostatni gość. Laura i Wes zostali sami.

Dostawca wraz ze swoim personelem krzątał się jeszcze w kuchni, myjąc kieliszki i talerzyki deserowe, które porozstawiano po wszystkich zakamarkach domu. Laura

i Currier siedzieli w salonie, w fotelach przy oknie. Włączona była tylko jedna lampa.

— Wspaniałe przyjęcie — wyraził uznanie Wes. — Potrafisz sprawiać, że każdy zaproszony czuje się kimś szczególnym.

— Dziękuję. — Jej głos był prawie niesłyszalny. Po chwili Currier powiedział:

— Widzę, że coś cię dręczy. Powiesz mi, o co chodzi? Usiadła prosto. Jej twarz okrył cień.

— Nie chcę, żebyśmy byli razem, Wes.

Obserwował ją spokojnie. Panował nad swoim ciałem i siedział bez ruchu.

— Sądziłem, że zgodziliśmy się nie mieszkać razem, ale pozostać przyjaciółmi.

Laura uczyniła niecierpliwy gest.

— Przyjaciele. To bardzo pojemne słowo. Oznacza, że widzimy się, czasami śpimy ze sobą, a teraz usprawiedliwia, że zachowujesz się jak gospodarz na moim przyjęciu. W sumie, mimo że nie masz zamiaru się ze mną ożenić, w pewnym sensie cały czas będziesz moim mężem. Wspólne będzie wszystko oprócz adresu. — Roześmiała się krótko. — Rozumiem, dlaczego odnosisz sukcesy w interesach. Nie poddajesz się. Wywierasz presję tak długo, aż inni przyjmą najkorzystniejsze dla ciebie warunki.

Wes uśmiechnął się.

— Ale ty wiesz o tym od dawna. Przez cały czas z radością dzieliłaś ze mną życie. Jeśli kogoś poznałaś, potrafię to zrozumieć, ale to nie znaczy, że nasza przyjaźń musi się skończyć.

— Nie poznałam nikogo nowego. — Zawahała się. — Widziałam się z Paulem kilka tygodni temu, gdy cię nie było.

Twarcz Curriera przybrała inny wyraz. Był absolutnie przekonany o swoich zdolnościach pokonywania przeciwników, których mógł zobaczyć i ocenić, ale te zdolności stawały się słabe i bezużyteczne w stosunku do jakiejś tajemniczej postaci, której nigdy nie spotkał, a która należała do przeszłości Laury.

— Chcesz do niego wrócić?

— Nie, oczywiście, że nie. Chociażby dlatego, że on jest żonaty.

— Żonaty? Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Uśmiechnęła się lekko.

— Z pewnością jest wiele rzeczy, o których ci nie powiedziałam,

Wes. — Siedzieli w milczeniu. Z kuchni dochodził brzęk naczyń i stłumione rozmowy. — Liczy się fakt, że go kocham, a to nie w porządku wobec ciebie. Nie mogę dalej żyć z tobą, licząc, że kiedyś może cię pokocham. Nie pokocham cię, Wes. Jeśli do tej pory tak się nie stało, to już się nie stanie. Trudno mi uwierzyć, że przez tyle czasu nie chciałeś się z tym pogodzić. Po prostu było ci ze mną dobrze, więc lekceważyłeś to, o czym dobrze wiedziałeś. Lubię cię. Lubię twoje towarzystwo i lubię z tobą pracować, ale to wszystko. Nie powinieneś spędzać ze mną tak wiele czasu, skoro możesz znaleźć kogoś, kto da ci to, czego pragniesz. — Nie chodzi tylko o to, że było mi z tobą dobrze — powiedział Wes chrapliwym głosem. — Do diabła, nigdy nie przestałem cię pragnąć. Żyję w wielkim pośpiechu. Chcę mieć dom, odrobinę stabilizacji i czułości. Ty dajesz mi to wszystko, jeśli nawet mnie nie kochasz. Czy to takie irracjonalne? W takim razie, ja też jestem niemądry. A teraz, gdy już masz swoje mieszkanie... — Płacisz część czynszu za ten dom? — spytała nagle. — Nie. — Jedną z najwspanialszych umiejętności Wesa była zdolność swobodnego przechodzenia od jednej myśli do drugiej. — Oczywiście, że nie. Najpierw porozmawiałbym z tobą na ten temat. Laura lekko skłoniła głowę. — Dziękuję. A więc jaką rolę odegrałeś w ustaleniu wysokości czynszu? Roześmiał się krótko. — Miałem nadzieję, że uznasz to za szczęśliwy przypadek. Przekonałem właściciela, żeby obniżył cenę. To była drobna przysługa. Tylko tyle zrobiłem. Nie składałem żadnych przysług w twoim imieniu, z wyjątkiem jednego. Obiecałem, że nie poniosą cię emocje i nie zdemolujesz tego miejsca w chwili zerwania ze swoim kochankiem. Usłyszała ból w jego głosie. — To więcej niż drobna przysługa, Wes. Dziękuję ci. Czy to nie zadziwiające, że po tylu latach nadal ci za coś dziękuję? Można by pomyśleć, że do tej pory powinnam się już nauczyć stać na własnych nogach. — Zarządzasz korporacją posiadającą cztery hotele. Stoisz bardzo mocno na własnych nogach, moja droga.

Laura zadrżała, żalując, że nie potrafi go kochać. — Wszystko byłoby o wiele prostsze. Nie doszłabym do tego bez twojej pomocy. I nadal pomagasz mi piąć się w górę. Nie możesz tego robić w nieskończoność.

— Dlaczego nie? — Pochylił się w jej stronę. — Lauro, kocham cię. Kocham cię od tak dawna, że zacząłem liczyć na to uczucie. — Przerwał na chwilę. Laura wiedziała, że to wyznanie przyszło mu z trudem. — Kiedy wracam z podróży, chcę wiedzieć, że wracam do ciebie. Od dawna wracam ze świadomością, że będziesz na mnie czekała... Do diabła, Lauro, boję się ciebie stracić! Nie możesz tego zrozumieć?

— Wes, przestań. Proszę, przestań. Nie mówisz tego poważnie.

— Cholera! Oczywiście, że mówię poważnie! Jak myślisz, ilu kobietom kiedykolwiek to powiedziałem? Musisz to zrozumieć. Chcę być pewien, że mogę na tobie polegać.

— Nie — odparła cicho Laura. — Chcesz mieć pewność, że możesz mnie posiadać.

— To to samo. Nie kręć głową. Mówię ci, że to znaczy to samo. Należałaś do mnie przez pięć lat. Byłaś zawsze wtedy, gdy cię potrzebowałem. Dawałaś mi to, czego pragnąłem. Brałaś ode mnie to, co ci ofiarowywałem. Liczyłem na ciebie, a ty mogłaś liczyć na mnie. Nadal możesz. — Przysunął się i ujął jej dłoń, choć była obojętna. — Posłuchaj. To, co czujesz do mnie, jest jakimś rodzajem miłości. Nie mogłabyś być dla mnie taką, jaką byłaś, gdybyś nie odczuwała czegoś bardzo prawdziwego. Wiesz o tym. Nie możesz temu zaprzeczyć. — Zapadła chwila ciszy.

— Prawda? Czułaś coś!

— Oczywiście — odparła cicho. — Ale to nie było coś, co moglibyśmy nazwać...

— Nie mów mi, jak ja bym to nazwał! Jeśli zechcę nazywać to miłością, to tak właśnie to nazwę! W każdym razie, cokolwiek to jest, odczuwasz to nadal. Takie uczucia łatwo nie wygasają. — Dostrzegł zmianę na jej twarzy. — Dobrze o tym wiesz. A skoro nadal to czujesz, a ja nadal chcę się tobą opiekować, moglibyśmy żyć razem tak jak dotychczas. Moglibyśmy...

— Nie mów tak! — Wyrwała rękę z jego uścisku i spojrzała gniewnie. — Poniżasz się. Dlaczego chcesz tak żyć? Zaslugujesz na kogoś lepszego niż ja. Potrzebujesz kobiety, która cię pokocha i doceni twoją opiekę, nawet jeśli to będzie oznaczało podejmowanie

za nią decyzji... To powinien być ktoś, kto poświęci ci wiele uwagi, kiedy tylko będziesz chciał. Dlaczego wciąż jesteś ze mną? Kobieta, która nie była posłuszna twoim planom? Może o to chodzi?

— Jestem przy tobie, bo cię kocham — odpowiedział szorstko. — I dlatego, że nawet jeśli mnie nie kochałaś i nie byłaś posłuszna moim planom, jak to określasz, dałaś mi więcej niż którakolwiek kobieta w moim życiu.

— Co takiego ci dałam, Wes? Co było takie szczególne?

— Mój Boże, nie wiesz tego nawet teraz? Miałem towarzystwo niezależnej kobiety, która dąży do swego celu i myśli samodzielnie, a jednak pozwala, by mężczyzna jej pomógł. Nawet poprosiłaś mnie o pomoc. Nie byłaś tak wyniosła, by łaskawie ją wykorzystać. Obdarzałaś mnie uczuciem, niezależnie od tego, jak je nazywałaś. Byliśmy partnerami w pełnym znaczeniu tego słowa. Nadal tego pragnę i sądzę, że ty też. Nie chcesz chyba sama podejmować najważniejszych decyzji?

— Dlaczego miałabym to robić? Przecież mam współnika. Zaskoczony, roześmiał się niechętnie.

— Mam to, na co zasłużyłem. Oczywiście, nadal jesteśmy współnikami.

— Mam nadzieję, że zawsze będziemy — powiedziała Laura. — Ale jeśli chodzi o inne sprawy, to mówiłam poważnie. Tylko w taki sposób mogę pozostać szczerą. — Wstała i podeszła do drzwi. — Chcę, żebyś już poszedł, Wes. Proszę.

Currier nie drgnął.

— Będziesz żyła wspomnieniami o jakimś nieosiągalnym mężczyźnie. Czy to też nazwiesz szczerością?

— Będę sobą i nie będę udawać. To dla mnie wystarczająco szczerze. A kiedy spotkam cię w biurze, kiedy będziemy razem pracować, lubić się i szanować, to będzie również szczerze. Chcę ci ofiarować serdeczną przyjaźń. Mam nadzieję, że możesz się nią zadowolić, Wes. To więcej niż wielu ludzi posiada.

Przez moment poczuł się zawstydzony. Przez wiele lat sądził, że jest mądrzejszy i bardziej wytrwały od Laury. Teraz był zakłopotany, że gdzieś po drodze Laura wyprzedziła go i przewyższyła. Wstał i podeszedł do niej.

— Zadzwoń do ciebie za parę dni. Nie przejrzelśmy jeszcze kwartalnych raportów.

— Ach tak. — Była zaskoczona jego nagłą akceptacją. Czyżby poczuła urazę, że w końcu przestał o nią walczyć?

Odrzuciła tę myśl. Niedorzeczna. Była zadowolona, przynajmniej tego wieczora. Za tydzień, dwa, za dwa miesiące, leżąc w pustym łóżku lub siedząc samotnie w restauracji, może za nim zateśkni, ale teraz czuła się wyzwolona.

— Do widzenia, mój drogi. I dziękuję za... tak wiele. Za wszystko.

Wes pocałował ją lekko w usta.

— Porozmawiamy wkrótce. — Zszedł po schodach do wyjścia, przeszedł przez podwórze i zniknął na ulicy.

Laura słuchała oddalających się kroków. Potem odwróciła się. Pracownicy obsługi ładowali naczynia i dodatkowe krzesła na wózek, by przewieźć je przez podwórze. Laura pożegnała się z nimi. Zamieniła kilka słów z dostawcą, po czym zamknęła za nim drzwi.

Jej dom był czysty i cichy. Z centrum wielkiego miasta nie dochodził żaden hałas. Przeszła przez swoje ładne, spowite mrokiem pokoje. Stała na tarasie, docierały do niej odgłosy ruchu ulicznego, przypominając jej, że jest w Nowym Jorku, gdzie ma dużo pracy i gdzie postanowiła zbudować swoje imperium. Następnie zeszła na dół do sypialni. W kominku leniwie tańczyły ostatnie płomyki. Laura usiadła i wpatrywała się w ogień.

Zaczynam od początku. Sama. Zaczynam nowy rozdział w moim życiu. Czy to nie zadziwiające? — pytała, choć nie było nikogo, kto mógłby jej odpowiedzieć. Jak wiele razy w życiu człowiek zaczyna wszystko od nowa?

Część 5

Rozdział dwudziesty piąty

Czwartej kradzieży dokonano w mieszkaniu Carlosa Serrano, obok plaży w Acapulco. Było powszechnie wiadome, że Carlos zgromadził jedną z najpiękniejszych światowych kolekcji obrazów meksykańskich impresjonistów. Gdy w listopadzie wrócił od przyjaciół z Nowego Jorku, Miami i Palm Beach, przekonał się, że sześć malowideł precyzyjnie wycięto z ram i skradziono. Policja nie stwierdziła śladów włamania. Nie znaleziono żadnych śladów. Przesłuchano Carlosa Serrano, jego służbę, wszystkich pracowników budynku i sprzedawców, którzy dostarczali towary zamożnym mieszkańcom. Na szczęście policja nie była już osamotniona w poszukiwaniach. Kilka miesięcy wcześniej, po włamaniu do Britta Farleya, sprowadzono wybitnego inspektora zajmującego się kradzieżami dzieł sztuki.

Sam Colby przeszedł na emeryturę cztery lata wcześniej, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Od dawna był rozwiedziony. Gdy dzieci dorosły, Sam przeprowadził się do Feniks, gdzie mieszkało wielu emerytów spragnionych słońca i towarzystwa. Jednak bardzo się nudził i z każdym mijającym miesiącem czuł się o rok starszy. Zaczął nawet mówić do siebie. Męczyło go towarzystwo wyłącznie

starszych ludzi. Wrzała w nim stłumiona energia. Zazdrościł wszystkim, którzy jeździli po świecie i zajmowali się różnymi rzeczami. Ludzie z branży ubezpieczeniowej wciąż mówili o jego legendarnej karierze, wspominając czasy, gdy odnajdywał skradzione dzieła sztuki i ratował agencje od wypłacania milionowych odszkodowań. Sam zadzwonił do swojego byłego zastępcy, a obecnie szefa i poprosił o przydzielenie mu jakiejś sprawy od czasu do czasu, żeby nie zmarnieć i nie rozlecieć się jak wyschnięty grzyb. Niebawem otrzymał telefon od dyrektora konsorcjum agencji ubezpieczeniowych z prośbą o przyjazd do Nowego Jorku.

Gdy już tam dotarł, wręczono mu dwie kartoteki. Jedną na temat trzech obrazów Toulouse-Lautreca skradzionych Flavii Guarneri z mieszkania w Nowym Jorku i drugą na temat kradzieży rzeźb Remingtona, dokonanej rok później, w paryskim mieszkaniu Britta Farleya.

— Chyba pan żartuje — rzekł Colby, przeglądając raporty. — Dwie kradzieże w odstępie roku, w dwóch różnych miejscach, oddzielonych oceanem. Tu obrazy, tam rzeźby. Na czym ja mam się oprzeć, do cholery?

— Nie dysponuje pan niczym oprócz metody - powiedział dyrektor.

— Metody? Pan ma na myśli to, że oni nie zostawiają żadnych śladów? To cwaniaczki, które znają się na rzeczy.

— Możliwe. Ale skoro jesteśmy na tyle głupi, że płacimy panu za zajęcie się tą sprawą, to chyba nie wystawi nas pan do wiatru?

Colby uśmiechnął się szeroko i zasalutował.

— Niedługo się odezwę.

Był niski i przygarbiony. Jego palce powykrzywiał artretyzm, a twarz pokryła siatka zmarszczek, jednak czarne oczy nadal patrzyły bystro, z przekonaniem, że świat jest pełen potencjalnych przestępców, których uczciwość wynika tylko ze strachu przed ludźmi takimi jak on. Każdego wieczoru modlił się, żeby ta sprawa nie zakończyła się fiaskiem, żeby okazała się poważna i zajmowała go bez reszty. Marzył o tym, by ją rozwikłać tak genialnie, jak za najlepszych swoich lat i dzięki temu otrzymywać inne sprawy. Chciał mieć zajęcie do końca życia.

Przesłuchał Flavię Guarneri, pokojówkę i lokaja, których zwolniła, a następnie próbował przesłuchać Britta Farleya, ale

Farley był zajęty występami i filmem, więc Colby czekał, aż to wszystko się zakończy. Podczas tego oczekiwania otrzymał kolejny telefon z Nowego Jorku. Malowidła z początków dwudziestego wieku skradziono w Palm Springs z mieszkania Sida i Amelii Laughtonów. Metoda była taka sama.

Wtedy po raz pierwszy Sam Colby poczuł znajomy dreszcz emocji na myśl o polowaniu. Coś w tym może być. Paryż, Nowy Jork, Palm Springs. To nie stanowi problemu dla prawdziwych profesjonalistów. O wiele bardziej interesujące były daty. Kradzieży u Farleya dokonano w czerwcu, a u Laughtonów we wrześniu. Upłynęły cztery miesiące, a nie półtora roku. Ktokolwiek to zrobił — grupa, para czy nawet jeden człowiek — to jest on próżny albo rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy. A dla detektywa był to moment przełomowy.

Dwa miesiące później okradziono mieszkanie Carlosa Serrano w Acapulco. Dla Sama Colby'ego było to błogosławieństwo. Z początku sądził, że zmarnieje, nie mając żadnego zajęcia, a tymczasem powierzono mu do rozwikłania być może jedną z najpoważniejszych afer dotyczących dzieł sztuki i może najważniejszą sprawę jego życia.

To miał być urlop tylko dla nich obojga, ale w ostatniej chwili Judd się przeziębził i Allison postanowiła z nim zostać, więc Ben pojechał do Nowego Jorku sam. Tak często podróżował, że nie było to dla niego nowością, ale tym razem cieszył się z wyjazdu. Mógł spokojnie zrobić zakupy i wybrać prezent gwiazdkowy dla Allison. Chciał też odwiedzić pracownie pewnych młodych artystów, o których słyszał. Sztuka stała się pasją Bena. Zaczął kupować obrazy wkrótce po ślubie z Allison, kiedy patrzył, jak ona kupuje malowidła dla przyjemności lub jako lokatę kapitału. Gdy zdecydowała się otworzyć galerię w Bostonie, Ben kupował jeszcze więcej obrazów. Częściowo dlatego, żeby podzielać zainteresowania żony, ale także dlatego, że chciał mieć coś, co kupuje tylko dla przyjemności. Całe życie Ben musiał troszczyć się o swoje podstawowe potrzeby, ale nigdy dotąd nie kupował czegoś, co dawało mu radość.

Był dobrym kupcem. Zdał sobie sprawę, że instynkt podpowiada

mu, którzy artyści przetrwają. Kupował ostrożnie i bez emocji. Okazało się, że pewni malarze, których obrazy kupił rok lub dwa lata wcześniej za skromne sumy, zostali nagle „odkryci” przez właścicieli galerii i krytyków sztuki. Kolekcja Bena była obecnie o wiele więcej warta niż wtedy, gdy zaczynał. Tak właśnie musiało być, jeśli kiedykolwiek miał coś znaczyć w tej rodzinie.

Ben w Nowym Jorku robił świąteczne zakupy. Wstąpił do Fortunoff i kupił dla Allison elegancki, diamentowy naszyjnik z szafirowym sercem. Potem u Ruth Blumka znalazł kryształowy dzbanek dla Leni. Kiedy wypełniał formularz pocztowy, aby prezent został przesłany do domu w Beacon Hill, ogarnęła go dziwna melancholia. Chciał, żeby Leni go kochała lub przynajmniej akceptowała, a z tego, co mógł wywnioskować, nie zanosilo się ani na jedno, ani na drugie. Przez cały ten czas odkąd stał się członkiem rodziny Salingerów, Leni była dla niego przyjazna, pamiętała o prezencie gwiazdkowym i o jego urodzinach. Interesowała się jego pracą, ciekawiły ją jego opinie, gdy rodzina rozmawiała przy kolacji... Ale Ben nigdy nie pozbył się wrażenia, że Leni bacznie go obserwuje. Wmawiał sobie, że to niedorzeczne, ale jednak wyglądało to tak, jakby Leni oczekiwała, że Ben powie lub zrobi coś, co pozwoli jej się dowiedzieć, dlaczego właściwie się tu znalazł. Teraz nie przejmował się tym tak bardzo jak przed rokiem, kiedy oczekiwał jakiejś niemiłej niespodzianki, ale jednak nadal go to niepokoiło.

Po pracy i zakupach Ben zrobił sobie spacer po mieście. Było dość ciepło, jak na grudzień. Świeciło słońce. Ben z przyjemnością przechadzał się po ulicach, które kiedyś obserwował przed dokonaniem włamania, szukając też kryjówek przed ewentualnym pościgiem. Teraz spacerował po nich lekkim krokiem. Wiedział, co robi. Osiągnął większość z tego, o czym marzył. Nowy Jork nie był już dla niego groźny. Nadal było to jego ulubione miasto i czuł się tu swojsko.

Dochodziła piąta, gdy skręcił w Pięćdziesiątą Ósmą i ujrzał białą markizę, której wcześniej nie widział. Przyjrzał się mosiężnej płytce obok wejścia. Widział na niej napis „Beacon Hill”. Nowy Jork Beacon Hill, pomyślał. Pamiętał go jako Nowy Jork Salinger. Był wtedy pokrytym sadzą, wąskim budynkiem, nie różniącym się wiele od tysięcy innych gmachów w mieście. Teraz ceglana fasada lśniła łagodną czerwienią. Od strony ulicy budynek wykończono

szkłem i białym, idealnie wypolerowanym marmurem. Biała markiza osłaniała wysokie wejście, obramowane mosiądzem.

Pod wpływem impulsu Ben wszedł do holu i stanął pod kryształowym żyrandolem, pośród gości wracających z zakupów i spacerów. Niektórzy zatrzymywali się przy biurku recepcjonisty, aby odebrać wiadomość lub bilety do teatru czy na koncert. W holu było spokojnie i cicho. Dominowały szarość, fiolet i zieleń z motywem lilii na dywanach i motywem irysa na obiciach mebli. Po jednej stronie holu znajdowała się kawiarnia. Wszystkie stoliki były zajęte. W głębi widać było niewielką orkiestrę smyczkową, dobiegały łagodne tony wiedeńskich walców. Koło drzwi wiodących do kawiarni stała młoda kobieta pakująca prezenty gwiazdkowe gości.

Chciałbym się tu zatrzymać, pomyślał Ben. Gdy ta myśl do niego dotarła, wiedział, że właśnie skierował do Laury największy komplement.

Zastanawiał się, czy ona tutaj jest. Z łatwością mógł się dowiedzieć. Mógł nawet się z nią spotkać. Ale nie był w stanie tego zrobić. Nie był gotów powiedzieć o niej Salingerom. Jeśli Laura jeszcze nim nie pogardzała, to stałoby się tak, gdyby powiedział jej, że, przynajmniej na razie, nie może przedstawić jej swojej rodzinie. Po prostu nie może ryzykować zniszczenia wszystkiego, co ma. Nie czuje się wystarczająco pewny, by wyrzucić z siebie swoje tajemnice, zwłaszcza tę o Laurze. Ufa Allison, ale...

Ale nie wiedział, jak bardzo może jej ufać. Nie wiedział też, czy ona ufa mu na tyle, żeby stawić czoło jego sekretom.

Pomyśle o tym, powiedział do siebie. Coś wymyśle. Musi być jakiś sposób, aby zbudować most poprzez lata milczenia. Czy może jest już za późno, by połączyć znów całą rodzinę? Nie wiedział. Nie wiedział nawet, czy Laura tego chce.

Odwrócił się, żeby wyjść. Przystanął tylko na chwilę i zerknął w głąb kawiarni.

Rozpoznał wielu gości. Senator, który często zatrzymywał się w Boston Salinger, właściciel słynnego ośrodka narciarskiego oraz bogacz z Hawajów — Daniel Inouti, z którym Ben rozmawiał na temat budowy hotelu Salingera w Honolulu. Inouti zawsze zatrzymywał się w Carlyle. Jeśli zmienił hotel, to wielka wygrana Laury.

Inouti dostrzegł Bena i pomachał w jego stronę. Ben odpowiedział na pozdrowienie, ale nie podszedł do nich. Opuścił hotel. Teraz hałas uliczny wydał się nagle o wiele

głośniejszy po wyjściu. Beacon Hill. Po raz pierwszy Ben zrozumiał znaczenie tej nazwy. Wielki hotel staje się domem dla osoby, która go tworzy. Laura nazwała swoje hotele imieniem domu, który najbardziej kochała i prawdopodobnie nadal uważa za swój. Jeśli to prawda, to Ben zabrał jej dom, a to oznacza, że połączenie rodziny będzie jeszcze trudniejsze albo wręcz niemożliwe. Odszedł, zostawiając coraz dalej za sobą ten uroczy hotel. Kilka przecznic od Beacon Hill skręcił i wszedł do hotelu Plaża. Zostały mu dwie godziny do kolacji z architektem, podczas której mieli omówić budowę nowego hotelu Salingerów. Miał czas, by spokojnie wypić drinka i wrócić do mieszkania Leni i Feliksa, w którym się zatrzymał, wziąć prysznic i się przebrać. Lecz przechodząc przez hol, stanął jak wryty. Nie opodał ujrzał Leni Salinger, która czekała na windę.

Co to ma znaczyć, do diabła, zastanawiał się Ben. — Feliks powiedział, że Leni jedzie w odwiedziny do znajomych w Virginii. I co ona robi w hotelu Plaża, skoro ma swoje mieszkanie przy Pięćdziesiątej Pierwszej? Ben ruszył w jej kierunku, lecz nagle znowu przystanął. Leni nie była sama.

Może nie dla wszystkich było to oczywiste, ale Ben dostrzegł, że wysoki młody mężczyzna, stojący krok za nią, niewątpliwie jej towarzyszy. Nie odrywał od niej wzroku. Trzymał rękę obok jej łokcia i stał tak blisko niej, jakby ktoś go ku niej popchnął. Leni patrzyła prosto przed siebie, ale odchyłała się lekko do tyłu. Była ubrana w ciemną suknię. Na ramionach miała futro z norek. Trzymała torbę podróżną.

Drzwi windy otworzyły się. Leni i młody człowiek odstąpili na bok, czekając, aż wszyscy wyjdą. Bez chwili namysłu Ben podszedł i położył rękę na ramieniu Leni. Odwróciła się gwałtownie, gotowa odprawić nieznanego, który śmiał jej dotknąć i ujrzała, kto nim jest. Zamknęła oczy na krótką, bolesną chwilę.

— Ben — powiedziała bez wahania. — Nie wiedziałam, że jesteś w mieście.

— Feliks powiedział, że mogę skorzystać z waszego mieszkania. Mówił, że wyjechałaś do Virginii.

Kiwnęła głową.

— Zmieniłam plany.

Ben spoglądał ostro na młodego człowieka, który stał z boku, przepuszczając ludzi wsiadających do windy. Dla nich trojga czas zatrzymał się na chwilę, aż Leni z gestem rezygnacji przedstawiła ich sobie:

— Will Baker, Ben Gardner — powiedziała. Ben nie uścisnął wyciągniętej ręki młodzieńca.

— Jeśli pan pozwoli, to zabiorę moją teściową na herbatę.

— Ach tak, — Mężczyzna speszył się. — Jasne. Ja... jestem umówiony, więc... jasne. Bawcie się dobrze. — Zakłopotany i trochę przestraszony młody człowiek zniknął w tłumie.

Leni uwolniła ramię od uścisku Bena.

— Wolałabym raczej drinka.

— To dobrze. Ja też.

Bez słowa weszli do Oak Room. Kiedy usiedli przy barze, Leni rozejrzała się po sali, jakby nie widziała jej nigdy wcześniej. Ben podziwiał jej elegancję, sposób, w który panowała nad emocjami. Jediną ich oznaką był rumieniec na jej policzkach. Zastanawiał się, czy było to zakłopotanie, czy złość?

— Wódka z tonikiem? — zapytał.

Uśmiechnęła się lekko, zdziwiona, że Ben pamięta jej upodobania.

— Dziękuję.

Zamilkli, a kiedy drinki stały już przed nimi, Leni powiedziała:

— Pewnie wydaje ci się, że zrobiłeś dobry uczynek.

— Nie wiem — odparł szczerze. — Nie zastanawiałem się nad tym.

— To się zastanów.

— Dobrze. — Patrzył na nią uważnie. — Podejrzewam, że to nie był pierwszy raz. Chcesz, żebym się nad tym zastanowił? To nie zajmie mi wiele czasu. Myślę, że to wielka szkoda, że kobieta z taką klasą użyczała swojego ciała jak...

Leni rozlała swój drink na kontuar.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Za kogo się uważasz? Nic nie wiesz o...

— Wiem, że jesteś matką Allison. Ona cię kocha, myśli, że jesteś doskonała i...

— Przestań. Nie mów tak. Nie jestem doskonała. — Uśmiechnęła się lekko. — Nie chcę taka być. To byłby okropny ciężar.

— Nie musisz się tym przejmować. Nie jesteś obciążona tym ciężarem.

Przyjrzała mu się z zastanowieniem. Był wściekły i z tą swoją złością wydawał się bardzo młody.

— Jest tyle rzeczy, których nie rozumiesz — powiedziała.

— Jak mogę zrozumieć? Nie rozmawiasz ze mną. Prawie cię nie znam, mimo że minęło tyle czasu. Dlaczego, do diabła, tak ze sobą postępujesz? Mój Boże, pomyśleć, że ty... ile pokoi hotelowych... ile łóżek... ilu facetów obłapiało cię, jak tanią...

— Przestań! — wykrzyknęła. — Mówisz jak... — Roześmiała się nerwowo. — Jak kochanek.

— A może jak zięć? — odparł gniewnie. — A może po prostu jak ktoś z twojej rodziny, komu na tobie zależy. Jak często to robisz?

— Kiedy tylko mam na to ochotę — rzuciła ostro. — Kiedy tylko sprawia mi to przyjemność.

— Dlaczego? Dlaczego, do cholery...

— Nie wiem — odpowiedziała, zaskoczona swoją odpowiedzią. — Ale to nie powinno mieć dla ciebie znaczenia. Skoro jestem usatysfakcjonowana...

— A jesteś? Usatysfakcjonowana, szczęśliwa, dumna? Wszystko jest wspaniałe w twoim życiu?

— Powiedziałam ci, że to nie twoja sprawa!

— Nieprawda. Zależy mi na tobie. To wystarczający powód, żebym traktował to jak swoją sprawę. — Odwrócił się gwałtownie, gdy nadszedł kelner. — To samo dla nas obojga. — Spojrzał na Leni. — Odkąd cię poznałem, coś mi w tobie o czymś przypomina, nawet nie wiem o czym, ale jesteś dla mnie ważna. I jesteś ważna dla mojej żony. Jeśli myślisz, że pozwolę ci włóczyć się, jak panience na telefon...

— Ben, na miłość boską, przestań. — Leni pokręciła głową. — To krepujące, ale to nie tragedia grecka. Jestem tą samą osobą, którą znasz od ślubu z Allison. Przykro mi, jeśli cię rozczarowałam, ale musisz się z tym pogodzić. Nie jesteśmy rodziną świętych ani bogów. Nie wymagaj od nas zbyt wiele.

Ben wpatrywał się w swojego drinka. Kiedyś wszystkich ich nienawidził. Nazwisko Salinger sprawiało, że trząsł się z wściekłości. Teraz byli jego rodziną i chciał, żeby zachowywali się tak, jak powinna zachowywać się rodzina. Tylko Feliks był inny.

Feliks do

nich nie pasował. Ale pozostali członkowie rodziny powinni być doskonali.

— Poza tym — mówiła Leni. — Czy ty jesteś tak nieskazitelny, że wymagasz od nas doskonałości? Czy zawsze jesteś uczciwy? Czy ty nie robisz nic godnego krytyki?

Podniósł głowę. Leni patrzyła mu w oczy. Spojrzał w bok.

— Chce, żebyś uczyniła mnie częścią waszej rodziny. Ale ty tego nie robisz.

Obserwujesz mnie, jakbyś sądziła, że mam zamiar cię zaatakować lub coś ci zabrać.

Czy nie wystarczy, że kocham Allison? Czy nie wystarczy, że chcę się zbliżyć do ciebie? Chcę mieć całą rodzinę, a nie tylko jej część. Ale ty mnie nie lubisz. Wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego Feliks mnie nie akceptuje, ale dlaczego również i ty?

— Dlaczego tu jesteś?

— Tutaj?

— Dlaczego poślubiłaś Allison?

— Bo ją kocham. Jest moją żoną. Mamy syna. Cóż to za pytanie?

— Jak poznałaś Allison? Ben odparł ostrożnie:

— Opowiadała ci, jak się poznaliśmy.

— Nie zaaranżowałaś tego spotkania?

— Zaaranżowałem? Co to ma znaczyć, do diabła? Mówisz tak, jakbym wiedział, kim ona jest. Skąd mogłem wiedzieć, kim jest? — Przerwał myśląc, że za mocno protestuje. — Czy zadawałaś takie pytania jej pierwszemu mężowi?

— Nie. I okazało się, że ożenił się z nią dla pieniędzy.

— Sądzisz, że ja zrobiłem tak samo.

— Nie wiem. Nie wiem, czego od nas chcesz.

— Miłości. Rodziny. Ludzi, którym na mnie zależy i na których mnie zależy.

— Tylko o to ci chodzi od samego początku?

— Od samego początku — odparł. Nie przejmował się, że kłamie. Zakochał się w Allison. Nie spodziewał się tego, ale tak się stało i tylko to się teraz liczyło. Nie kłamałby na temat dwóch lat spędzonych z Allison, ale nie wahał się kłamać o wszystkim, co było wcześniej.

Leni pokręciła głową.

— Przykro mi, Ben, ale nie wierzę w to. Było w tobie coś szczególnego, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się na lotnisku. Nie wyglądałeś tak, jakbyś był zakochany w Allison. O wiele bardziej interesowałeś się nami wszystkimi. Wydawałeś się... ostrożny i uważny, tak jakbyś chciał nas sobie zapamiętać i domyślić się, kto stanie po twojej stronie. Jakbyś przygotowywał się do walki.

— To nieprawda! Cholera, nie mam pojęcia, jak wyglądałem, ale spotkałem was po raz pierwszy w życiu i byłem zdenerwowany. Każdy byłby spięty na moim miejscu. Kto dał ci prawo do oskarżania mnie, skoro to ty udajesz. Udajesz kochającą żonę, kochającą matkę, damę, a wymykasz się z pokoi hotelowych...

— Jesteś bardzo podobny do swojego ojca — rzekła dobitnie Lem. — Pełen ognistego temperamentu.

— Do mojego ojca?

— I wyglądasz tak jak on. Próbowалам sobie wmawiać, że nie jesteś do niego podobny, ale oczywiście jesteś.

— Mój ojciec? Co ty, do diabła, wiesz o moim ojcu?

— Byliśmy kochankami. Miałam wtedy dziewiętnaście lat, a on miał...

— Co? Chwileczkę. Ty i mój ojciec byliście... Czy to jakiś idiotyczny żart?

— Wiem, że to brzmi jak...

— Znałaś mego ojca i byliście kochankami? Bzdura. A co z moją matką i ze mną? Gdzie my byliśmy?

— Twoja matka porzuciła Judda, ponieważ pił. Mieszkałaś z nią. Miałeś wtedy osiem lat. Prawie dziewięć. Spotkałam Judda i zakochałam się w nim. Żyliśmy ze sobą przez rok. Kochałam go — głos jej się załamał. Po chwili dokończyła: — Bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Ben nie mógł tego pojąć.

— Znałaś mojego ojca? I nie powiedziałaś mi o tym?

— Czekałam. Sądziłam, że odszukałeś nas ze względu na Judda. Nie wiedziałam dlaczego, ale nie wyobrażałam sobie żadnej innej przyczyny takiego niewiarygodnego zbiegu okoliczności. Nie miałam pojęcia, jak mogłabym z tobą o nim porozmawiać. Nigdy z nikim o nim nie rozmawiałam. Nie znałam nikogo, kto potrafiłby zrozumieć, jak to jest być z nim i kochać go, mimo tylu przeciwności losu. — Spojrzała na Bena. — Twoje włosy układają się w ten sam

sposób. Masz prawie taki sam profil i tę linię między brwiami i ten uśmiech... On był okropnie nieszczęśliwy, ale przez pewien czas przeżywaliśmy wspaniałe chwile.

Przez moment cieszyliśmy się miłością... i nadzieją...

Ben spoglądał na swoje ręce, przypominając sobie upiorne oczy ojca w ostatnich miesiącach jego życia. „Jakkolwiek długo byliśmy kochani, to stanowczo za krótko” — szepnął.

— Co? Co powiedziałaś?

— To wiersz, który mój ojciec lubił. Mówił, że to wiersz opisujący sen, jaki mu się kiedyś przyśnił o dziewczynie z delikatnymi... — Zamilkł na chwilę i w osłupieniu wpatrywał się w Leni. — Z delikatnymi dłońmi i miłością, która nie wygaśnie. To byłaś ty. To byłaś ty. Nie do wiary... Mieszkałaś z nim w tej dziurze w Village, gdzie stały połamane krzesła...

— A na podłodze leżał materac. — Uśmiechnęła się ponuro. — To była moja jedyna próba buntu. Judd mówił, że nie wytrwam i być może miał rację. Chciałabym wiedzieć na pewno, czy byłam prawdziwą buntownicą, czy tylko udawałam. Ale on mnie odesłał. Wróciłam do rodziców i spałam w zwyczajnym łóżku, jadłam zwykłe posiłki o zwykłych porach, a potem wyszłam za odpowiedniego człowieka. Nigdy nie byłam bardzo odważna, Ben.

Ben zrobił szybki gest. Chciałby o tym porozmawiać, ale nie teraz.

— Jaki on był? Nie mówił wiele o sobie, a ja sporo zapomniałem.

Leni opowiedziała Benowi wszystko, co wiedziała o Juddzie. Odtworzyła małe, zniszczone mieszkanie, momenty pełne słodyczy, które rozjaśniały to miejsce i nieszczęśliwe chwile, gdy wydawało się ciemnym, zagraconym więzieniem Judda, a Leni starała się być aniołem, który go uwolni. Starła się opisać Judda tak prawdziwie, jakby siedział z nimi przy stole. Przypomniła jego klasyczną urodę, zniszczoną przez alkohol i nienawiść. Wspominała jego czułość, jej uwielbienie, ich śmiech podczas dni, a nawet tygodni, gdy potrafił przewyciężyć zżerającą go złość. Opowiadała o poezji, którą recytował, a którą wciąż pamiętała. Opisała ich marzenia o podróży do Europy i nowym życiu, które, jak oboje dobrze wiedzieli, nie miało się nigdy rozpocząć. Mówiła o książkach, które razem czytali, wspólnych żartach i kłótniach wszczynanych przez

Judda, gdy wypił za dużo. Wspominała też o namiętności, której Judd nauczył ją na tym starym materacu. Wreszcie opowiedziała o tym, jak przerażał ją i siebie, kiedy wzbierała w nim wyniszczająca nienawiść.

— Opowiadał mi o tym — rzekł w zadumie Ben. Zapomniał, gdzie się znajduje, słuchając wspomnień Leni.

Przypominał sobie ojca. Zazdrościł Leni, że znała Judda lepiej niż on. Ogarnęło go znów uczucie bezsilnej złości i okropnej straty, jaką czuł, kiedy Judd wyprowadził się z domu i widywali się tylko raz lub dwa razy na tydzień. A potem nawet to utracił. Miał trzynaście lat, gdy Judd zmarł. Pamiętał ten dzień. Poszedł do ojca z książką, którą ukradł z ulicznego straganu, bo były urodziny Judda. Znalazł go na materacu, leżącego na brzuchu i bardzo zimnego. Próbował zamknąć mu oczy, ale nie chciały się zamknąć. Nadal czuł delikatne powieki ojca. Pamiętał smak łez, gdy szlochał nad jego ciałem. Przypominając sobie to wszystko, zapomniał o ostrożności.

— Opowiadał mi o niszczącej go złości. Wiedział, że jest chory. Mówił, że prawdopodobnie nigdy nie będzie miał szansy odzyskać tego, co stracił i ja muszę zrobić to za niego. Muszę zemścić się na człowieku, który ukradł... — Ben wstrzymał oddech z przeciągłym świstem. Nastrój przysł.

— Co się stało — spytała Leni.

Ben spojrział na nią przymrużonymi oczami.

— Nie wiesz?

— Wiem, że ktoś zabrał Juddowi jego przedsiębiorstwo. Dlatego zaczął pić. Stracił firmę i wszystkie pieniądze, które w nią zainwestował. Potem stracił swoją rodzinę. Stracił wszystko. On i Feliks rozmawiali o tym tego dnia, kiedy... — tym razem Leni przerwała.

— Feliks tam był? — spytał Ben. — Ale oni nie widzieli się po;.. Nie mówiłaś mi, że Feliks tam był.

Leni dała znak kelnerowi i zaczęła, aż napelni kieliszki.

— To inna historia.

— Chciałbym ją usłyszeć. — Spojrział na zegarek. — Odwołam kolację. Czy ty musisz do kogoś zadzwonić?

Pokręciła głową.

— Odwołałeś już moje spotkanie.

Uśmiechnął się lekko i poprosił kelnera o przyniesienie telefonu.

Leni obserwowała, jak Ben rozmawia przez telefon. Miał blond włosy tak jak Judd, niebieskie oczy, wysokie kości policzkowe i szerokie usta. Lecz za okularami w rogowej oprawie kryły się oczy bardziej wyraziste od oczu Judda. Ben był pewny siebie. Nie mogła tego powiedzieć o jego ojcu. Może Judd był pewny siebie, zanim go poznała. Zastanawiała się, jak układa mu się z Allison. Ciekawiło ją, czy jest tak czuły jak Judd, tak porywczy i tak nieuchwytny, że Leni nigdy nie wiedziała, jak bardzo ją kocha i ile może z nią dzielić.

Niewiele, pomyślała smutno. Przecież w końcu kazał jej odejść.

— Chcę o tym usłyszeć — powiedział znowu Ben, kiedy odłożył słuchawkę. — Jak poznałaś Feliksa?

Leni opowiedziała mu. Nie oszczędziła siebie, Judda ani Feliksa.

— Ubili coś w rodzaju interesu. Nie zrozumiałam, o co im chodziło. Nie zwracałam na to uwagi. Wiedziałam tylko, że Judd kaze mi odejść i myślałam, że umrę z żalu. Mówili o tym, że mieszkali w jednym pokoju w coUege'u. Judd powiedział, że nie pamięta wiele z przeszłości. To nie była prawda. Wiedziałam, że dużo pamiętał, ale tamtego wieczoru nic nie miało sensu. Martwiłam się tylko tym, że Judd nie pozwala mi zostać. Powiedział do mnie: —jej głos stał się łagodny — „nie mogę ci nic ofiarować, a ty zasługujesz na królestwo". Od lat słyszę, jak to powtarza. Był o tym przekonany. Jestem tego pewna. Dlatego wziął pieniądze od Feliksa. Nie wiem, dlaczego Feliks mu je zaproponował, ale wiem, dlaczego Judd je wziął: żeby nie mogła powiedzieć, że potrzebuje mojego wsparcia. Wziął to, co Feliks mu zaoferował, a potem mnie odesłał.

Ben potrząsnął głową. Było zbyt wiele do przemyślenia.

— Nigdy ci nie powiedział, kto ukradł mu przedsiębiorstwo?

— Mówił, że mi powie, jeśli będzie musiał. Wspominał, że opowiedział wszystko swojemu synowi i syn go pomści... — Raz jeszcze słowa utknęły jej w gardle.

Spojrzała Benowi głęboko w oczy. Zbladła. —To był Feliks, prawda? Oczywiście, że to Feliks. Gdybym tylko uważniej słuchała... gdybym myślała... To dlatego Feliks mu zapłacił. Żeby Judd nic mi nie mówił. Mój Boże, przez te wszystkie lata żyłam z Feliksem, nie wiedząc, że to on zniszczył Judda. — Oparła głowę na dłoni. Po chwili wyprostowała się gwałtownie. — I to dlatego ożeniłeś się z Allison. Żeby zemścić się na Feliksie.

Ben siedział bardzo spokojnie. Nie było innych ludzi. Byli tylko oni dwoje.
— Myślałem o tym — powiedział ostrożnie. Leni zeszywniała i odsunęła stół. —
Zaczekaj proszę, posłuchaj. Nie zaplanowałem spotkania z Allison. Prawdę
mówiąc, zapomniałem o zemście. Był taki czas — potrząsnął głową na samo
wspomnienie — kiedy chciałem włożyć pająki do waszego samochodu. To była
jedyna rzecz, jaką potrafiłem wymyślić, żeby Feliks pożałował, tego co zrobił. Ale
potem dorosłem i to wszystko wydało się takie odległe. Byłem w Europie. Miałem
pracę, którą lubiłem... Ale potem spotkałem Allison i oczywiście o wszystkim sobie
przypomniałem. Imiona, które wymieniała—Owen, Feliks, Asa — to były imiona,
których nauczył mnie ojciec. Miałaś raq'ę. Kiedy przylecieliśmy do Bostonu na ślub,
nie kochałem Allison. Chciałem po prostu stać się członkiem waszej rodziny. Ale
teraz ją kocham. Teraz bardzo ją kocham.

Zamilkł, tak jakby to było całe wyjaśnienie. Leni patrzyła na niego lodowatym
wzrokiem.

— Jakie to wygodne. Teraz, kiedy już stałeś się częścią rodziny i przedsiębiorstwa,
zdecydowałeś się pokochać swoją żonę.

— To nieprawda. — Spoglądał na nią ze złością, że jego proste wyjaśnienie nie było
dla niej wystarczające. — Żyłbym nadal z Allison, nie kochając jej i uczyniłbym ją
tak szczęśliwą, jak tylko bym potrafił, bo potrzebowałem jej, aby stać się członkiem
przedsiębiorstwa Feliksa. Ale zakochałem się w niej. Nie wiem, kiedy to się stało.
Wiem tylko, że kiedy siedziałem przy niej w szpitalu, gdy urodził się Judd,
wiedziałem, że ją kocham, że ona jest całym moim życiem.

— To bardzo ładnie powiedziane — przyznała Leni. Jej stół nadal był odsunięty
od kontuaru. — Ale dlaczego ktokolwiek z nas miałby w to uwierzyć?

— Bo to prawda — odparł ostro Ben. Leni znowu pomyślała, że Ben zachowuje się
jak młodzieniec. — I dlatego, że jestem jej wierny. Nie puszczam się w pokojach
hotelowych.

— O mój Boże — westchnęła Leni.

— Nie podoba ci się, że o tym mówię? A mnie nie podoba się, jak mówisz, że nie
kocham swojej żony. Posłuchaj, nie mogę cię zmusić, żebyś wierzyła, że kocham
Allison, ale dobrze wiesz, że ona w to wierzy. Nie wie nic o przeszłości, ale zna
teraźniejszość. Wie,

że ona i Judd są całym moim światem. Chciałbym, żebyś ty też w to uwierzyła i pozwoliła mi pozostać członkiem waszej rodziny. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

— Nie wątpię w to. — Leni przysunęła swój stółek do kontuaru. Patrzyła, jak na prośbę Bena kelner podaje nowe drinki. — Piję dziś o wiele za dużo.

— Odprowadzę cię do domu — rzekł Ben oficjalnie. — A jeśli nie zechcesz, żebym przenocował w pokoju gościnnym, to wrócę do hotelu.

Wybuchnęła śmiechem i nagle napięcie zniknęło.

— Oczywiście, że przenocujesz. Kupiliśmy ten dom, żeby wszyscy członkowie rodziny mogli z niego korzystać. — Zamilkła. — My — mruknęła. — Feliks i ja. Wiesz, jesteśmy małżeństwem od dwudziestu ośmiu lat. Poślubiłam go pięć miesięcy po tym, jak Judd kazał mi odejść. Nie miałam pojęcia, co innego mogę zrobić. Moi rodzice uważali, że to małżeństwo pomoże mi uratować honor, a wtedy to wydawało się takie ważne... — Obróciła szklanekę w dłoni. — Będę musiała pomyśleć o Feliksie i o tym, co zrobię.

— Nie zaznałaś z nim wiele szczęścia — powiedział Ben. — Czy to dlatego... — przerwał — ... potrzebowałaś innych?

Uśmiechnęła się lekko, słysząc jego ostrożne pytanie.

— Potrzebowałam innych, bo nie sypiam z Feliksem i brakuje mi namiętności.

Młodzi mężczyźni dostarczają mi przyjemności

i sprawiają, że czuję się młoda. To chciałeś wiedzieć, prawda?

— Przepraszam — mruknął Ben. — Oni sprawiają, że czujesz się znowu jak dziewiętnastolatka? I wyobrażasz sobie, że jesteś znów z moim ojcem?

Leni patrzyła na Bena.

— Nie wiem. To albo bardzo mądre, albo bardzo prawdziwe. Nie wiem.

— Ale może o to właśnie chodziło. Może ja czułam to samo. Gdybym mógł zemścić się na Feliksie, czułbym się tak, jakbym znowu był z moim ojcem. Oboje wpadliśmy w pułapkę przeszłości. — Wpatrywał się w swoje dłonie. — Może przetrwamy, jeśli będziemy sobie wierzyć.

Siedzieli zadumani.

— Cieszę się, że kochałaś mojego ojca — powiedział nagle Ben. — Jestem pewien, że i on cię kochał. Jestem pewien, bo pamiętam, jak o tobie mówił.

Leni uśmiechnęła się.

— Dziękuję ci. — Czuła się zmęczona i stara, a Ben wyglądał tak młodo. —

Dziękuję ci, mój drogi. I dziękuję, że mnie dzisiaj zatrzymałeś. To trwało o wiele za długo, zaczynało być absurdalne i trudne do wytrzymania.

— Tak jak samotność — powiedział Ben.

Leni spoglądała na niego. W jednej chwili twardy i nieustępliwy, a w innej czuły i delikatny.

— Chyba wolę żyć z tą samotnością — powiedziała. Ben wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— Pomożemy ci w tym, jeśli nam pozwolisz.

Leni położyła swoją dłoń na jego dłoni. Jest bardzo silny, pomyślała.

— Oczywiście, że ci pozwolę. Tak się cieszę, że jesteś w naszej rodzinie.

Przez moment siedzieli w bezruchu. Bar był prawie pusty. Potem Ben uśmiechnął się szeroko.

— Skoro oboje mamy wolny wieczór, to może zjesz ze mną kolację. Nagle poczułem się bardzo głodny.

Louie odebrał telefon, gdy zadzwonił Sam Colby.

— Będzie pan mógł porozmawiać z panem Farleyem za kilka tygodni — powiedział. — Jesteśmy teraz w trakcie negocjacji na temat nowego serialu telewizyjnego, a on bywa zdenerwowany, gdy ktoś mu przeszkadza, kiedy sytuacja jest jeszcze nie wyjaśniona. Jestem pewien, że pan to rozumie.

— Ja również mam w zanadrzu kilka nie wyjaśnionych spraw — mruknął Colby, ale nie naciskał. Było wielu innych ludzi, z którymi musiał porozmawiać. —

Zadzwoń za dwa tygodnie i ustalimy termin. Mam nadzieję, że pan Farley będzie w kraju.

— Do marca. Potem jedzie na tydzień do Paryża. Nakręcony o nim film będzie tam wyświetlany na festiwalu.

— Aha, słyszałem o tym filmie. Reżyser wszędzie towarzyszył Farley owi.

— Paul Janssen. Pracuje w Los Angeles. Oczywiście słyszał pan o nim.

Colby nie słyszał, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać.

Nie przepadał za filmami dokumentalnymi. Wolał filmy o Jamesie Bondzie, westerny i od czasu do czasu coś o podróżach kosmicznych.

— A więc jedzie do Paryża, żeby zobaczyć się na ekranie?

— Powiedzmy.

— Nie widział jeszcze filmu?

— Nie. Wedle umowy z Janssenem nie może oglądać filmu do czasu oficjalnego pokazu. Czy to ma jakieś znaczenie dla sprawy kradzieży w mieszkaniu pana Farleya?

— Wszystko ma znaczenie. — Colby oparł się na krzesło gotów do udzielenia wyjaśnień. — W śledztwie każda informacja jest jak ziarenko. Niektóre z nich kielkują, niektóre nie, ale dobry detektyw nie odrzuca żadnego z nich, bo nie wie, które wyrośnie i...

— Dobrze, w porządku — rzekł Louie. — Proszę zadzwonić za dwa, trzy tygodnie. Udzielimy wszelkich informacji.

Colby powoli odłożył słuchawkę. Powinien był wiedzieć, że menagerowie to zapracowani ludzie i nie mają czasu słuchać opowieści o wykrywaniu przestępstw. Prawdopodobnie nawet ich to nie obchodzi. Dla większości ludzi nie jest to ciekawe. Kłopot Colby'ego polegał na tym, że nie miał z kim porozmawiać. Wszyscy koledzy, z którymi wcześniej pracował, przeszli na emeryturę lub zmarli. Młodzi ludzie z agencji ubezpieczeniowych woleli wrócić do domu, do swoich żon i dzieci, niż siedzieć w barze z Samem Colbym, żeby jakoś przeczekać wieczór, aż przyjdzie pora położyć się spać. Najgorzej było trzy tygodnie temu, gdy musiał samotnie spędzić święta i Nowy Rok. Teraz wieczory wydawały mu się jeszcze dłuższe niż rok temu. Stawały się tym dłuższe, im on był starszy. Co prawda, zawsze mógł iść do pokoju hotelowego i oglądać telewizję, ale tam pokazywano programy o rodzinach, co sprawiało, że czuł się jeszcze bardziej samotny. Były też filmy o detektywach, ale oglądał je z lekceważeniem, bo wiedział

o tej robocie więcej niż oni wszyscy razem wzięci.

Przesłucham kogoś, pomyślał. W końcu po to tu jestem i nie mam nic przeciwko pracy późnym wieczorem. Długotrwała praca nie zraża dobrego detektywa.

Wkrótce dowiedział się jednak, że Flavia Guarneri będzie przebywać we Włoszech aż do lutego. Sid

i Amelia Laughtonowie wyjechali na tydzień do Palm Springs. Carlos Serrano do Meksyku, a Britt Farley był oczywiście podenerwowany z powodu nie wyjaśnionych spraw.

A więc ten Paul Janssen, powiedział głośno Colby. On praw-

dopodobnie może powiedzieć mi więcej o Farleyu niż sam Farley. Ale Paul był w Los Angeles.

— Więc może ja przyjadę do pana — zasugerował Colby przez telefon, gdy Paul powiedział, że nie będzie go w Nowym Jorku przez kilka tygodni. — Wylecę dziś wieczorem i mogę spotkać się z panem rano.

— Nie wiem, jak będę mógł panu pomóc. Nie wiem też, ile czasu będę w stanie panu poświęcić. Przygotowuję film do projekcji i muszę dotrzymać terminu. Wie pan co? Jeśli pan będzie w podróży całą noc, to proszę przyjść do mnie na śniadanie. — Podał Colby'emu adres. Sam odłożył słuchawkę, podśpiewując wesoło. Miał dużo do zrobienia. To będzie pracowity czas.

Zjawił się w domu Paula następnego ranka o siódmej. Paul był ubrany i siedział na balkonie. O tej porze powietrze było rześkie. Colby stał, podziwiając widoki.

— Człowiek cieszy się, że jest człowiekiem, a nie ptakiem. One to wszystko widzą, ale nie doceniają tak jak my.

Paul uśmiechnął się.

— Kawy? I proszę się częstować całą resztą.

Były bułeczki cynamonowe i rogaliki oraz miska wypełniona po brzegi owocami. Jest tu wszystko, oprócz pani Janssen, myślał Colby i napełniając swój talerzyk, zastanawiał się, czy w ogóle jest jakaś pani Janssen.

— W czym mogę panu pomóc? — spytał Paul.

— Ach. — Colby rozsiadł się wygodnie, gotowy do długiej pogawędki. —

Interesuje mnie Britt Farley. Mówiono mi, że towarzyszył mu pan, rozmawiając z nim i obserwując go. Przyszło mi do głowy, że będzie pan mógł powiedzieć mi jedną rzecz, a mianowicie, czy on jest tak splukany, jak mówią?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie — odparł krótko Paul. — Proszę o to zapytać Farley a.

— To nie zawsze da się zrobić. Jestem detektywem agencji ubezpieczeniowych, panie Janssen i zastanawiam się, czy, pana zdaniem, istnieje prawdopodobieństwo, że Farley upozorował kradzież swoich rzeźb.

— Dla zdobycia odszkodowania — domyślił się Paul.

Colby przytaknął, rozpromieniony, że został tak szybko zrozumiany.

— Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Wydawał się wściekły z powodu kradzieży, a zwłaszcza dlatego, że ktoś obcy wtargnął do jego domu i to nie włamując się. Farley sądził, że jego mieszkanie jest bezpieczne.

Colby skinął głową.

— Ale to wcale nie wyklucza możliwości upozorowania, prawda? Widzi pan — skończył bułkę cynamonową, ukradkiem oblizał palce i sięgnął po następną — zawsze musimy traktować taką ewentualność bardzo poważnie. Nie lubię być cyniczny w stosunku do ludzi. Bóg wie, że chcę kochać swoich bliźnich i być miłosierny dla ich słabości, ale w moim zawodzie to niełatwe. Jestem oczywiście miłosierny. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ale jestem także cyniczny, bo w przeciwnym razie dawno straciłbym tę pracę, zamiast stać się najlepszym w tym fachu.

— Jest pan najlepszy? — spytał Paul, rozbawiony.

— Najlepszy — oświadczył Colby. — Niech pan spyta, kogo pan zechce. Powiedzą panu. Mam nagrody i listy gratulacyjne. Kiedyś nawet ktoś napisał o mnie w książce na temat fałszerstw. Wspaniale jest przeczytać swoje nazwisko w książce. To nieśmiertelność. *Jeśli* nie sądzi pan, że bluźnię.

— Wcale nie — odrzekł Paul i ponownie napelnił filiżankę Colby'ego.

— Więc dlatego właśnie pytam: czy mógł upozorować kradzież? Czy potrzebował to robić? Czy był na to wystarczająco sprytny?

— Nie sądzę, żeby Britt upozorował tę kradzież.

— A pozostałe pytania? — podpowiedział Colby.

— Powinien pan jego zapytać.

— Czy jest wystarczająco sprytny?

— Gdybym powiedział, że tak, pomyślałby pan, że coś sugeruję.

— Cwany z pana gość. — Colby uśmiechnął się. — Smaczne bułeczki. Pańska żona upiekła?

Paul zachichotał na myśl o Emily w kuchni.

— Nie. Wyjechała. — Spojrzał na zegarek. — Czy chciałby pan jeszcze o coś zapytać?

Colby zdał sobie sprawę z grożącego mu beczynnego poranka.

— Jest jeszcze wiele spraw. Czy mógłby mi pan powiedzieć... — Zadawał wszystkie pytanie, na które, jak mu się zdawało, Paul chciałby odpowiedzieć. Pytał o plan zajęć Farleya, gdy przebywa

w Paryżu i gdy jest na trasie koncertowej. Pytał o ludzi, którzy najczęściej go odwiedzali i o tych, którzy pozostawali dłużej. Był ciekaw, czy Louiema dostęp do mieszkania Farleya i do jego pokoi hotelowych podczas podróży. Interesowały go przyjęcia wydawane przez Britta w czasie trwania tournée. Chciał wiedzieć, ile pieniędzy zebrano dla biednych i jakie wynagrodzenie Farley dostał za koncerty.

— Żadnego — odpowiedział Paul na ostatnie pytanie. — Wstał. — Miło mi się z panem rozmawiało, ale od godziny powinienem być w studiu.

— Czy mógłbym pójść z panem. Nigdy nie widziałem, jak się tworzy film.

Paul pokręcił głową.

— Nie, przykro mi. Tylko mój wspólnik i kierownictwo BPS, które finansuje film, mogą zobaczyć go przed publiczną projekcją.

— Będzie pokazany na festiwalu filmowym? Louie Glass o tym wspominał. To coś takiego jak Academy Awards?

— Niezupełnie. Festiwal Cinéma du Réel dotyczy filmów dokumentalnych. — Wyciągnął dłoń. — Miło było mi pana poznać.

— Może zjemy razem kolację? Wracam nocnym samolotem, więc mam mnóstwo czasu. Byłbym zadowolony, gdybym mógł postawić panu kolację i posłuchać o filmowym biznesie. Skoro pańska żona wyjechała, może chciałby pan mieć towarzystwo?

Paul uśmiechnął się mimowolnie, ale gdy Colby się zarumienił, zrobiło mu się go żal.

— Z przyjemnością zjem z panem kolację. Niech pan wpadnie do studia o siódmej. Pójdziemy prosto stamtąd. — Wziął kartkę papieru. — Tu jest adres. Do zobaczenia. Opowie mi pan, jak wygląda praca detektywa z agencji ubezpieczeniowych.

— Zrobię to. To zawsze pomaga, jeśli człowiek może się wygadać. Może pan jeszcze coś sobie przypomni.

— Powiedziałem panu o Farleyu tyle, ile mogłem.

— Jasne, jasne. Ale ja mówię o czymś innym. Widzi pan, pracuję nie tylko nad sprawą pana Farleya. Mam na głowie jeszcze trzy inne. Bardzo podobne. Bardzo, bardzo podobne. Szukam jakiegoś punktu zaczepienia. Może żadnego nie ma. Nie możemy zakładać... — Paul odchodził i Colby podążył za nim. — Nie można zmarnować całego ranka. Obaj mamy dużo pracy. Poroz-

mawiamy wieczorem. A nuż pomoże mi pan znaleźć mój punkt zaczepienia, bo, na Boga, jest jakiś związek między tymi wszystkimi kradzieżami, choć dokonano ich w różnych częściach świata. Nie wspominałem o tym, ale istnieje jakiś związek. Podpowiada mi to moje pięćdziesięcioletnie doświadczenie i, przysięgam, znajdę ten związek.

Paul przeszedł przez salon, po czym zszedł po schodach do garażu, Colby za nim, ciągle mówiąc:

— Ludzie nie doceniają Sama Colby'ego przy pierwszym spotkaniu, ale po pewnym czasie przekonują się, że są w błędzie. To część mojego sukcesu. O tym też opowiem panu wieczorem.

Paul otworzył drzwi samochodu. Colby skierował się do wynajętego wozu.

— Najważniejsze jest to, że trzymam się sprawy. Nie popuszczam. Jeśli jest tu jakieś powiązanie, to je znajdę i dowiem się, kto za tym stoi. Może pan być tego pewien.

Odjeżdżając, Paul pomachał. Uśmiechał się do siebie. Znajdzie to powiązanie, pomyślał. Prawdopodobnie potrafi znaleźć wszystko, o czym tylko sobie zamarzy. Imponujący człowiek. Za tą jego gadatliwością i rozpaczliwym poszukiwaniem towarzystwa jawił się zawodowy tropiciel: wyszkolony, przebiegły i niezastąpiony. Był to zarazem samotny emeryt, który wykorzysta do tej sprawy wszystkie swoje umiejętności, bo rozwiązywanie zagadek to dla niego jedyny sposób, by wiedzieć, że jeszcze żyje.

Nie chciałbym, żeby to mnie tropił. Zdał sobie sprawę, że z niecierpliwością oczekuje kolacji. Chciał dowiedzieć się więcej o Samie Colbym i o mrocznych interesach związanych z kradzieżami dzieł sztuki: kto ich dokonuje i jak. Gdzie podziwiają się potem ukradzione eksponaty. Jak często udaje się je odzyskać. Jak często udaje się schwytać przestępcę...

Zaczaj ogarniać go entuzjazm. Barwna postać gadatliwego staruszka z fascynującą życiową karierą. Świat sztuki, pieniędzy i powiązań międzynarodowych. Rozwikłanie skomplikowanej sprawy czterech kradzieży...

Paul miał już swój następny film.

Rozdział dwudziesty szósty

Rynek przed Centrem Pompidou łagodnie schodzi w dół, formując rodzaj amfiteatru przed muzeum. W tym miejscu w promieniach paryskiego słońca występowali żonglerzy, zespoły jazzowe, klauni i artyści teatrów ulicznych. Ginny i Laura przystały, by popatrzeć na grupę cyrkowców wykonujących akrobacje. Potem podeszły do połykacza ognia, który zaciekał grupę dzieciaków.

— W Teksasie kazalibyśmy mu wykonać ten numer z żelazem do wypalania piętna — mruknęła Ginny, gdy ruszyły dalej. — Co chciałabyś teraz robić?

Zarezerwowałam lunch, ale możemy go sobie darować i iść do muzeum albo w inne miejsce, którego nie widziałas.

— Czy jest jeszcze coś, czego nie widziałam? — spytała Laura ze śmiechem. — Ciagle tylko zwiedzamy.

— Ale jutro wyjeżdżamy, więc powinnyśmy się pośpieszyć. Im dłużej chodzisz po Paryżu, tym większy się wydaje. Zauważyłaś? Wrócimy tu innym razem. Skoro namówiłam cię na jedne wakacje, to przypuszczam, że nie oprzesz się i drugim.

— Jesteś dla mnie bardzo dobra, Ginny. Czy już ci mówiłam, jak bardzo jestem ci wdzięczna?

— Mówiłaś. O, jesteśmy przy l'Escargot, więc chyba zjemy lunch. Zgadzasz się?

— Tak. Jestem głodna i muszę usiąść na chwilę.

— Ja również.

Restauracja została wybudowana w 1832 roku. Laura przechyliła głowę do tyłu, by podziwiać kunsztownie zdobiony sufit, podczas gdy Ginny rozmawiała z kelnerką po francusku, z teksaskim akcentem. W jednym z wielkich luster Laura zobaczyła siebie i Ginny, jak na obrazie. Dwie Amerykanki, podobnie ubrane w pięknie skrojone wełniane garsonki i jedwabne bluzki. Miały eleganckie, skórzane buty i torby na ramię. Wyglądały nobliwie. Laura dostrzegła przede wszystkim serdeczne uczucia, jakie je łączyły. Ginny zrezygnowała już z matczynego podejścia do Laury, co sprawiło, że zaprzyjaźniły się jeszcze bardziej. Były sobie bliskie i dobrze się czuły, będąc razem.

Mam wiele szczęścia, pomyślała Laura, gdy Ginny złożyła zamówienie i odwróciła się do niej, przechodząc na angielski z teksaskim akcentem. — O czym to mówiłyśmy?

— Mówiłam ci, jak bardzo jestem wdzięczna za to, co dla mnie robisz.

— Rzeczywiście. Mówiłaś. A ja powiem, że też jestem ci wdzięczna. Uwielbiam oprowadzać ludzi po Paryżu, bo wtedy staje się jakby moim miastem. Ale najbardziej lubię robić coś dla ciebie, bo nie jesteś przesadnie wdzięczna. Zawsze miałam więcej pieniędzy niż pomysłów na ich spożytkowanie. Nawet zanim oskubałam Wylie'ego. Była to, co prawda, mizerna forma zemsty za te wszystkie poniżenia, ale walczy się taką bronią, jaką się posiada. Zauważyłam, że gdy ktoś jest bogaty, inni ludzie zaczynają być niedorzecznie uniżeni za drobnostki. Nie przestają dziękować i mówić, że nadałam ich życiu sens, że jestem niemal świętą. Nie trzeba być genialnym, żeby domyślić się, że chodzi im bardziej o moje pieniądze niż towarzystwo; więc spodziewają się, że będę dawać więcej. To bzdura i nie cierpię tego. Ale ty nie jesteś taka. Mówisz szczerze i nie mówisz zbyt dużo. Dlatego świetnie się bawię i mogę się nawet czegoś nauczyć. Jak często, będąc w Paryżu, zwiedzałam hotele, zaglądając nawet do szaf z pościelą? Ile razy ograniczałam moje zakupy, żeby oglądać materiały na obicia? Ani razu. No, a jedzenie kolacji w trójgwiazdkowym hotelu z myślą o nowych jadłospisach w twoich hotelach...? Przez cały tydzień nie przestałaś pracować.

— Właśnie, że przestałam. To była zabawa, nie praca. Praca zaczyna się, gdy wracam do domu i próbuję wprowadzać w życie to, czego się nauczyłam.

— Więc podczas ostatniego dnia musimy się szczególnie zabawić. Kolacja w Ledoyen. Tam jest wspaniale. Aksamit, koronki kandelabry i doskonałe jedzenie. Potem posłuchamy jazzu w New Morning. To miejsce, które należy odwiedzić. Po obiedzie proponuję Pompidou, skoro jesteśmy w sąsiedztwie. Chyba że masz już dosyć sztuki.

— Nie, to wszystko jest urocze. Ginny kiwnęła głową z satysfakcją.

— Naprawdę cenię sobie podróżowanie z kimś, kto akceptuje moje plany. Gdy trzeba ciągle iść na kompromis, to staje się to bardzo trudne.

Laura roześmiała się i nie powiedziała, że następnym razem, gdy przyjedzie do Paryża, będzie miała swój własny plan pobytu. Ten tydzień należał do Ginny. Był jak ogromna taca przekąsek, pozwalających jej zasmakować różnorodności tego wspaniałego miasta. Chciała wchłonąć to wszystko po swojemu i w swoim czasie.

Paryż wydawał jej się szczególny. Wiedziała, że tu wróci. Prawdopodobnie sama. Odkryła, że nie ma nic przeciwko samotnym podróżom. Często brakowało jej kogoś, do kogo mogła się przytulić i powiedzieć: „Zobacz, jakie to piękne” — ale poza tym była zadowolona, że może być sama, ucząc się świata po swojemu.

Jednak ta wycieczka to pomysł Ginny i po lunchu Laura pozwoliła się zaprowadzić do muzeum Pompidou przepełnionego zarówno zwiedzającymi, jak i eksponatami.

— To muzeum to istny misz-masz — stwierdziła Ginny. — Uwielbiam je, bo jest tak chaotyczne, jak cały świat. Obrazy, rzeźby, telewizja, film, radio połączone w jednym...

— Laura! — zagrział znajomy baryton. — Przecież to dama mego serca w samym sercu Paryża! — Ludzie odwrócili się, by popatrzeć, jak Britt Farley obejmuje Laurę, a potem Ginny. — Dwie urocze kobiety w Paryżu? Co wy tu robicie? Jaki mały jest ten świat! Hej, to najszcześniejszy zbieg okoliczności. Zjawiliście się w samą porę! Czy uwierzycie, że na dole odbywa się festiwal filmów dokumentalnych Cinéma du Réel — powiedział, kalecząc język francuski. — To wielka impreza. Zajęliśmy pierwsze miejsce. Co wy

na to? Tak naprawdę to Paul wygrał. Nie widziałem jeszcze tego filmu, ale na pewno mi się spodoba, bo wygrał. Wy też go obejrzyjecie. Jesteście tu w samą porę.

Projekcja będzie po południu. Czy to nie szczęśliwy przypadek? Lauro, usiądziesz przy mnie i będziesz trzymała mnie za rękę, jeśli będę zdenerwowany. Nie powiesz nie, prawda?

— Nie mogę nic powiedzieć — roześmiała się Laura, uwalniając się z jego uścisku. Paul jest tutaj. Musi tu być. Przecież to jego film. Oczywiście, że tu jest. — Chyba nie przyjdę, Britt.

Od tego wieczora na przyjęciu nie pozwalała sobie myśleć o Paulu, czasem tylko łamała ten zakaz. Teraz była w rozterce. Nie mogę się z nim spotkać; to byłoby szaleństwo, cóż dobrego mogłoby z tego wyniknąć?

— Ginny ma inne plany — odparła. — Przykro mi, ale naprawdę nie możemy.

— Ależ oczywiście, że możecie! To potrwa tylko godzinę. To jedna, krótka godzina twojego urlopu. Ginny, powiedz jej, że przyjdiesz.

— Wszystko zależy od Laury — stwierdziła Ginny.

— Cholera, Lauro, jak często będą robić o mnie film? Chciałbym, żebyś siedziała obok mnie. Zgódź się!

Britt trzymał ją za rękę i przyciągnął ją do siebie. Mogłabym zostać i obejrzeć ten film, powiedziała sobie w duchu. Ciekawa jestem, jakie filmy on robi.

Obserwując twarz Laury, Ginny podjęła decyzję. Laura opowiadała jej o Paulu.

Niedużo, ale wystarczająco, by Ginny mogła się domyślać, co ona teraz czuje. Boi się pójść i pragnie tam pójść.

— Czemu nie — rzekła śpiesznie. — Jeśli tylko będziemy mogli wyjść przed szóstą. Mamy zaplanowaną kolację.

— Nie, nie, zjecie z nami. Ja się tym zajmę. Chodźcie, chodźcie. Do diabła, czy to nie wspaniały zbieg okoliczności...?

My, Paul i... kto jeszcze?

— Naszpikowany kokainą po sam czubek głowy — mruzczała Ginny, kiedy podążały za Brittem w kierunku zewnętrznych, oszklonych, ruchomych schodów, z których można było podziwiać panoramę Marais. — Ale chyba panuje nad sobą. — Ginny zerknęła na Laurę. — A jak twoje samopoczucie? Zostaniemy, jeśli wolisz tam nie iść.

Chcę zostać. Chcę pójść. Do diabła, jaki mały jest ten świat. Od lat nie widuję ludzi, których kiedyś znałam. Dlaczego ja i Paul ciągle się o siebie potykamy?

Paul i ja. Jej serce zatopiło się w słodczy tych słów.

Jeszcze jeden raz nie ma żadnego znaczenia.

— Wszystko w porządku — powiedziała, gdy podeszli do schodów. — To na pewno będzie interesujące.

— Interesujące — powtórzyła Ginny. — Co za słowo! Dotarli do sali projekcyjnej. Britt uroczyście poprowadził je do miejsc zarezerwowanych dla jego towarzystwa.

— Paul — zagrzmiał nad rzędem siedzących tam ludzi. — Spójrz, kogo tu spotkałem! Czy to nie fantastyczne?

Paul wstał. Napotkał wzrokiem oczy Laury. Gdy minęło zaskoczenie, szybko spuścił wzrok i spojrzał na kobietę obok siebie. Laura podążyła za jego spojrzeniem. Kobieta była śliczną blondynką

o doskonałej cerze. Laura tysiące razy widziała jej zdjęcia na okładkach czasopism i w artykułach na temat mody. Emily. Patrzyła na Laurę ze zdziwieniem, zastanawiając się, kto tak podekscytował Britta.

Obok Emily siedzieli Thomas i Barbara Janssenowie oraz całkowicie zaskoczona Leni.

Przejście za Laurą wypełnione było ludźmi szukającymi swoich miejsc. Nie było któreśdy uciec. Nie była nawet pewna, czy tego chce. Drżała na myśl o tym wyzwaniu. Nie była tą samą osobą, co kiedyś. Teraz mogła się z nimi równać. Jeśli nie życzą sobie jej towarzystwa, niech jej o tym powiedzą.

Ale Leni zachowała się doskonale.

— Lauro, moja droga, jak to miło. O mały włos, bym cię nie poznała. Jesteś taka urocza. Usiądź. Możemy pogawędzić, nim zacznie się film.

Britt uniósł rękę, chcąc dokonać prezentacji, ale gdy Thomas i Barbara Janssen również przywitali Laurę, poczuł się zakłopotany.

— Wy się już znacie. Do diabła, jaki ten świat mały. Ginny, znasz wszystkich? — Nie czekając na odpowiedź, przedstawił przyjaciół. — Teraz proszę mi wybaczyć — powiedział. — Sprawa nie cierpiąca zwłoki. Zaraz wracam.

Przeszedł z powrotem między rzędami krzeseł. Paul pochylił się w stronę Laury. — Cieszę się, że Britt cię spotkał. Masz urlop?

Wspaniale, że tu jesteś. — Chrząknął, zastanawiając się, dlaczego zachowuje się jak dorastający młodzieniec.

— Moje gratulacje. — Laura spojrzała mu w oczy. — Britt mówił mi o nagrodzie.

— Dziękuję. — Po chwili Paul powiedział: — Chciałbym, żebyś poznała moją żonę. Emily Janssen, Laura Fairchild.

— Witam — mruknęła Emily i lekko zmarszczyła brwi.

— Miło mi panią poznać — powiedziała Laura i wyciągnęła rękę.

Emily uniosła brwi, wstała i nieco niezdarnie wyciągnęła rękę nad Thomasem, Barbarą i Leni. Uścisnęły sobie dłonie.

— Podziwiam panią od lat — rzekła Laura. — Ma pani doskonały styl.

Emily uśmiechnęła się. Nie rozumiała, skąd oni wszyscy znali Laurę i co jej **nagle** pojawienie się dla nich oznaczało, ale potrafiła rozpoznać szczere wyrazy podziwu, a to zawsze Emily wystarczało.

— To bardzo miłe z pani strony... — odparła i usiadła, a po chwili Paul usiadł obok niej, oddzielony od Laury innymi osobami. Thomas i Barbara Janssen pochylili się w stronę Laury, pozdrawiając ją.

— Wyglądasz cudownie — rzekł Thomas.

— Cudownie — powtórzyła Barbara.

— Dziękuję — uśmiechnęła się chłodno, a potem zapadła cisza. Janssenowie usiedli wygodnie i zaczęli czytać program festiwalu. Leni i Laura spojrzały na siebie.

— To ty masz doskonały styl — szepnęła Leni. Gdy Laura nie odpowiedziała, Leni spytała: — Ile to lat minęło?

— Siedem — odparła spokojnie Laura. — Od procesu sześć. Leni przyjrzała się Laurze. Wyglądała zbyt poważnie, jak na

swoje dwadzieścia osiem lat. Była w tym samym wieku co Allison, ale jej twarz odzwierciedlała więcej doświadczenia, więcej bólu i więcej opanowania. Ale kto by pomyślał, że okaże się tak zachwycająca i elegancka? Nosi garsonkę, której projektanta Leni rozpoznawała. I nosi ją tak, jak należy — wyprostowana, z dumnie podniesioną głową.

— Radzisz sobie świetnie. Oczywiście często o tobie słyszymy. Szczerze ci gratuluję twoich hoteli.

— Dziękuję. — Laura odwróciła się i spojrzała prosto przed

siebie, na ogromny ekran. Nic się nie zmieniło. Nadal kochała Leni, nadal chciała, żeby Leni ją kochała, nadal pragnęła być taka jak ona: opanowana, spokojna, nie zdradzająca namiętności ani przelotnych upodobań. Dlaczego nie potrafię myśleć o tych ludziach jak o kimś z mojej przeszłości.

— Opowiedz mi o swoich hotelach — poprosiła Leni. — Wydaje się to dziwne, że są twoje, ale chcę, żebyś wiedziała, że cieszę się z tego. Przeżyliśmy okropne chwile, moja droga, i nikt z nas nie zachował się właściwie, zwłaszcza ci z nas, którzy milczeli. Zawsze zadziwia mnie to, jak łatwo zapominamy, że milczenie jest formą zgody. Chciałabym cię przeprosić i powiedzieć, że być może oceniliśmy cię zbyt pochopnie... — Zrobiła drobny gest swoją delikatną dłonią. — Co prawda, to nie miejsce i pora, ale...

— Jak się miewa Allison?

— Bardzo dobrze. Jest ogromnie szczęśliwa. Wyszła za mąż za wspianego młodego człowieka o nazwisku Ben Gardner. Z początku nic bym go pewna, ale teraz wiem, że to świetny chłopak. Bardzo bezpośredni, szczery i bardzo zakochany w Allison. Polubiłabyś go. Jesteście do siebie bardzo podobni. Ten sam sposób trzymania głowy i patrzenia na ludzi, tak jakbyście bacznie ich obserwowali... — Leni roześmiała się. — To dziwne. Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale ty i Ben jesteście do siebie w pewnym sensie podobni. On i Allison mają ślicznego synka. W maju skończy roczek. Allison prowadzi galerię wraz z przyjaciółką. Chciała tu dzisiaj przyjechać, ale nie mogła się wyrwać. Będzie żałowała, kiedy jej powiem, że cię spotkałam. Sądzę, że nadal jej ciebie brakuje. Wiem, że zgodziłaby się ze mną, że powinniśmy zostawić te przykre czasy za sobą.

— Feliks też by się zgodził? — spytała spokojnie Laura. — On też chce zapomnieć o przeszłości?

— Nie — odparła Leni. — Ale Feliks i ja... — przerwała. — Proszę, opowiedz mi o sobie. Trudno mi uwierzyć w to wszystko, co słyszałam o twoich hotelach i twojej korporacji. To zadziwiające. Wygląda na to, że dokonałaś zaskakujących rzeczy w niewiarygodnie krótkim czasie.

Laura patrzyła na Leni w milczeniu. Zadziwiające. Niewiarygodne. Zaskakujące. Biedna Leni. Jak trudno było jej pojąć, że złodziejka i pomoc kuchenna może zrobić to, co robi Laura

Fairchild. I miała czelność przeproszać za to, że wszyscy być może zbyt pochopnie ją w przeszłości ocenili! Nadal myślała, że prawdopodobnie nie mylili się co do Laury Fairchild: kłamliwa złodziejka, łowczyni fortuny, która nakłoniła Paula do oświadczeń, a potem manipulowała i terroryzowała umierającego człowieka, żeby wymienił ją w testamencie.

— A może sama się o tym przekonasz? — spytała Laura lodowatym tonem. — Czy to nie najlepszy sposób, żeby się przekonać, jak zadziwiające są moje hotele? Powiedz mi, kiedy chciałabyś przyjechać, a ja zarezerwuję dla ciebie apartament w Nowy Jork Beacon Hill. Zatrzymasz się tam tak długo, jak będziesz chciała. Byłoby nam bardzo miło przyjąć cię tam jako naszego gościa.

Leni drgnęła, widząc gniew Laury, ale czuła też dla niej podziw. Zaproszenie było odważne i mądre. Udowadniało, że Laura potrafi się kontrolować i przejść do ofensywy. Nic dziwnego, że określano ją mianem świetnej kierowniczkini. To zaproszenie było intrygujące. Dlaczego nie miałabym zatrzymać się w jej hotelu? — pomyślała Leni. To oczywiście rozwścieczy Feliksa, jeśli się o tym dowie, ale to było już nieistotne.

— Sądzę... — zaczęła właśnie, kiedy światła na sali przygasły, a w blasku reflektora, na scenie pojawił się prowadzący.

Gdy powitał wszystkich i zaczął mówić o filmie Paula Janssena, zwycięzcy w tej kategorii, Farley i młoda dziewczyna usiedli na skrajnych krzesłach. Światła zgasły i zaczął się film.

Był zatytułowany „Amerykański bohater”. Laura usłyszała pełne triumfu westchnienie Farleya, kiedy te słowa pojawiły się na tle zatłoczonej promenady w Waszyngtonie z Brittem na estradzie. Gdy film się rozpoczął, Laura zapomniała, gdzie się znajduje. Zapomniała o swojej złości na Leni, nie myślała o bliskości Paula, jego żony i rodziców. Zainteresowała ją fabuła.

Film zaczął się jak powieść. Niewidoczny narrator wraz z kamerą towarzyszył Farleyowi od początku jego kariery w telewizji aż do tournée, które zakończyło się zaledwie osiem miesięcy temu. Słysząc było westchnienia na widowni, gdy na ekranie pojawił się młody Britt. Wszyscy przypomnieli sobie jego czarujący wygląd, chłopięcy uśmiech i lekkość barytonu, gdy śpiewał i mówił na przemian, opowiadając jakąś historię w piosence. Ludzie, którzy dobrze go

znali, snuli wspomnienia. Pokazano fotografie ze starych albumów oraz strony z magazynów People i Esquire. Zaprezentowano fragmenty wieczornych talk shows. W tle słyhać było muzykę piosenek, które Farley śpiewał jako dwudziestolatek. Następnie, niepostrzeżenie rytm melodii stał się mocniejszy i przypomniano piosenki z seriali telewizyjnych, gdy Farley łączył aktorstwo ze śpiewem. Wreszcie, przy jeszcze mocniejszym rytmie, muzyka zaczęła rozbrzmiewać ponurym tonem, a na ekranie zapanował półmrok.

To był upadek bohatera. Najpierw scena z katastrofalnej próby, która doprowadziła do nagłego przerwania serialu telewizyjnego. Następnie manifestacja gniewu, prezentacja jego zmiennych, kapryśnych nastrojów podczas konferencji prasowych, wreszcie długie zmagania i wysiłek, aby przetrwać tournée na rzecz głodujących. Próba wydzwignięcia się z dna, na które się stoczył. W finałowej scenie, na promenadzie w Waszyngtonie, Farley stał na podwyższonej scenie, otoczony setkami tysięcy wielbicieli, którzy nie zapomnieli tego, którego uwielbiali. Farley przyłgnał do mikrofonu, wpatrując się w horyzont ponad masą twarzy i śpiewał piosenki, które pamiętali. Jego głos był momentami silny, a chwilami zmieniał się w ponury szept. Nagle obok niego pojawił się drugi Britt Farley. W podwójnej ekspozycji, młody, pełen zapału, przystojny piosenkarz śpiewał jednocześnie z dzisiejszym piosenkarzem. Następnie młody Farley zniknął i ekran wypełniała wynędzniała twarz obecnego Britta Farleya i jego wystraszone oczy. Pozostało zawieszona pytanie o jego przyszłość, na które nikt nie znał odpowiedzi. Obraz zastygł i pojawiły się napisy końcowe. Na widowni zagrzmiały oklaski. Wielu ludzi miało łzy w oczach.

— Mój Boże — westchnęła Ginny. — Ten człowiek jest geniuszem. — Aplauz trwał nadal, gdy zapalono światła, a prowadzący skinął na Paula, który wyszedł na scenę. Leni i Laura popatrzyły na siebie, klaszcząc i uśmiechając się. Przez tę jedną doskonałą chwilę obie kochały Paula i cieszyły się razem z nim. A potem ta chwila minęła. Laura przestała klaskać i położyła ręce na kolanach.

Publiczność wstała z miejsc, ciągle oklaskując Paula i kiedy Laura również wstała, ujrzała puste miejsce Britta. Młoda dziewczyna nadal tam była, uśmiechając się do każdego, kto spoglądał w jej stronę, ale Farleya nie było i nie słyszał krótkiej wypowiedzi

Paula, który dziękował wszystkim współpracującym z nim ludziom, ale najbardziej Brittowi Farleyowi za odważną i szczerą współpracę.

Thomas mówił o uroczystej kolacji. Emily dołączyła do Paula na scenie, przyjmując gratulacje od wszystkich, którzy ich otoczyli. Leni odpowiadała na pytanie Barbary. Laura wiedziała, że musi stąd odejść. Siedziała razem z tą rodziną, ale wszystko ich dzieliło, a nic nie łączyło. Na pewno nie mogła dzielić z nimi tryumfu Paula. To ich wieczór, nie mój, pomyślała. Ginny i ja idziemy na naszą kolację.

— Proszę, pogratuluj Paulowi w moim imieniu — powiedziała do Leni, przekrzykując hałas na widowni. — To wspaniały film. Nie możemy dłużej zostać. Powiesz mu, że uważam go za doskonałego reżysera?

— Oczywiście — odparła Leni. Zamieniła kilka słów z Ginny, podczas gdy Laura żegnała się z Janssenami. Potem Leni zwróciła się raz jeszcze do Laury: — Może jeszcze się spotkamy.

Laura spoglądała na nią przez dłuższą chwilę.

— Mam nadzieję, że wkrótce. Przecież zaprosiłam cię do mojego hotelu.

— Zaprosiłaś. — Leni nie zapomniała. Po prostu nie zdążyła się namyślić. Teraz podjęła decyzję. Z uśmiechem wyciągnęła rękę i Laura automatycznie ją uścisnęła.

— Z radością przyjmuję twoje zaproszenie. Nie mogę się już doczekać, kiedy będę gościem w hotelu Beacon Hill.

W maju Kobiety Zarząd Szpitala w Filadelfii zorganizował swój doroczny, charytatywny pokaz mody i lunch w restauracji Beacon Hill. Była to pierwsza impreza w hotelu na dzień przed jego oficjalnym otwarciem. Laura oprowadziła po hotelu trzysta kobiet, które same lub z mężami kierowały różnymi instytucjami w mieście. Ich nazwiska wpisano do księgi gości, więc mogły otrzymać rezerwacje w każdym hotelu Beacon Hill bez potrzeby rekomendacji od poprzednich gości. Lunch był w każdym calu francuski, z łagodnym winem Montrachet. Na każdym stoliku stały różowe róże, idealnie dobrane do koloru obrusa i serwetek. Wybieg do pokazu mody zaplanowano tak, żeby każdy mógł wszystko doskonale widzieć, nie ruszając się z miejsca. Muzyka nie była tak

ogłuszająca jak na wielu innych pokazach mody. Imprezę zapamiętano jako doskonale popołudnie, podczas którego zebrano milion dolarów dla szpitala, a suknie balowe, stroje sportowe i bielizna o wartości blisko dwóch milionów zostały sprzedane przez projektantów, którzy uczestniczyli w pokazie. W odpowiedzi na sugestię Laury, zgodzili się oni przeznaczyć dla szpitala dziesięć procent swojego dochodu.

Laura bawiła w Filadelfii jeszcze przez tydzień po otwarciu hotelu, dopilnowując mnóstwa różnych drobnych spraw. Clay wyjechał na południe w sprawach zawodowych. Tak więc tylko dyrektor hotelu New York Beacon Hill przywitał Leni Salinger, gdy przyjechała w środowe, ciepłe popołudnie. Usiadła w holu, przy zabytkowym biurku recepcjonisty, który wpisał jej nazwisko do księgi i przydzielił apartament na poddaszu.

— Gdyby pani czegoś potrzebowała — powiedział, podając jej plastikową kartę magnetyczną, która zastępowała klucz w hotelach Beacon Hill — to proszę tylko zadzwonić. Cały czas jestem tu ja lub któryś z moich asystentów. Jeden z nich odprowadzi panią teraz na górę.

Gdy Leni odwróciła się, żeby odejść, do biurka podszedł smagły mężczyzna z cudownym uśmiechem. Uśmiech i żywe spojrzenie było skierowane na Leni. Wiedziała, że to typ mężczyzny, który zawsze zwraca uwagę na atrakcyjne kobiety. Owróciła się i odeszła, przystając, by rzucić okiem na hol.

— Ach, pan Serrano — usłyszała głos recepcjonisty. — Oto wiadomości zostawione dla pana. Przed chwilą był też telefon. Pan Sam Colby chciałby się z panem spotkać dziś wieczorem. Prosił, żeby pan do niego zadzwonił. Oto jego numer... chwileczkę... — Recepcjonista napisał numer na kartce i podał Serrano.

— Dziś wieczorem to niemożliwe. Proszę zadzwonić do niego w moim imieniu i powiedzieć, że w przyszłym tygodniu postaram się...

Leni nie usłyszała nic więcej, gdyż asystent recepcjonisty prowadził ją do windy w tylnej części holu. Były tam cztery windy wyłożone mahoniową boazerią i dekoracyjną tkaniną. Leni pamiętała to drewno. Owen kiedyś powiedział, że to była jego ulubiona ekstrawagancja przy budowie tego hotelu. Tkanina była nowa. Wspaniały pomysł. Leni zauważyła, że Laura zachowała wszystko

co najlepsze. Z uznaniem dostrzegła to również na górze, w szerokich korytarzach, jasno oświetlonych zabytkowymi kinkietami i wyłożonych nowymi dywanami z motywem irysa, zachowującymi jednak atmosferę minionych lat. Na ścianach, w odnowionych, ozdobnych ramach wisiały malowidła przedstawiające pejzaże z ubiegłego wieku.

Leni przeszła za asystentem recepcjonisty do końca korytarza, po czym weszła do apartamentu. Dwa pokoje w kolorze miętowej zieleni i kości słoniowej — w jej ulubionych kolorach. Na francuskim stolyczku stały orchidee — jej ulubione kwiaty. Obok nich ustawiono serwis do herbaty. Z czajniczka unosiła się para, a na srebrnej tacy, na porcelanowych talerzykach leżały kanapeczki i ciasteczka.

0 wazon oparta była odręcznie napisana karteczka ozdobiona irysem: „Mam nadzieję, że będziesz zadowolona z pobytu. Laura”.

Ktoś dyskretnie zapukał.

— To pani pokojówka — powiedział asystent, idąc otworzyć drzwi. Jeśli będzie pani jeszcze kogoś potrzebowała, to proszę zadzwonić. — Odszedł, zanim Leni zdążyła dać mu napiwek.

Leni wiedziała, że personel hotelowy oczekuje tego raczej przy okazji opuszczania hotelu.

Stała przy oknie z widokiem na Pięćdziesiątą ósmą, tymczasem pokojówka rozpakowywała jej bagaż, wieszała sukienki i bluzki w szafie oraz układała bieliznę i swetry w zabytkowej komodzie. Odłożyła jedną suknię i dwie bluzki.

— Każę to wyprasować i przyniosę za chwilę, proszę pani — powiedziała i szybko wyszła.

Leni przechadzała się po pokojach, biorąc do ręki tomiki poezji, powieści. Były też krzyżówki, jeśli miałyby na nie ochotę. W wysokim kredensie znalazła telewizor oraz sprzęt hi fi. W dolnej części znajdowała się lodówka wypełniona jedzeniem i winem. Była nawet ulubiona potrawa Leni — pasztet z kaczki z koniakiem. Gdy otworzyła zabytkowe biurko, ujrzała komputer i drukarkę. W każdej z dwóch marmurowych łazienek wisiały męskie i damskie welurowe szlafroki z monogramem irysa, takim samym jak na kartce. W lśniącym różanym pudełku były szampony, przybory do golenia

1 różne mydła. W broszurce leżącej na biurku informowano, że można zorganizować przyjęcie w swoim apartamencie lub w prywatnej restauracji na tym samym piętrze. Przyjęcie zawsze

przygotowuje szef kuchni restauracji Beacon Hill — Gerard Lyon. Gdyby zaistniała potrzeba zorganizowania większego przyjęcia, hotel zawarł umowę z kilkoma trzygwiazdkowymi restauracjami, które zapewnią pierwszeństwo gościom Beacon Hill. Stenotypistki, fryzjerki, krawcowe, krawcy i pokojówki mogą stawić się w apartamencie gościa na każde życzenie. Każdego ranka dostarczane są gościom wybrane gazety. Można korzystać z hotelowej limuzyny w drodze z lotniska. Można było też zarezerwować ją na wieczorne kolacje i teatr... Lista usług ciągnęła się w nieskończoność. Leni czytała ją kilka razy.

Gdzie ona się tego nauczyła? Nie od nas, bo nie praktykujemy tego w swoich hotelach. Z taką atencją przyjmujemy gości w naszych domach, ale nigdy... I to była odpowiedź. Laura kupiła hotele Owena i stworzyła w każdym z nich — Leni przypuszczała, że wszystkie są takie same — dom, jaki pamiętała.

Sprawiło to niesamowite wrażenie. Gdy tak stała w luksusowym salonie, spoglądając przez drzwi sypialni na szerokie łóżko z satynową kołdrą, Leni poczuła się tak rozpieszczona, jak w swoim własnym domu z własnymi meblami i służbą. Leni Salinger, podróżująca po całym świecie, nie czuła się tak w żadnym innym hotelu, nawet w tych, które nosiły jej nazwisko.

Zaplanowała sobie, że poświęci trzy dni, aby przekonać się, jaki hotel prowadzi Laura. Gdy się kąpała, używając płynu do kąpieli Hermes, który znalazła w różanym pudełku, pomyślała, że mogłaby tu zostać cały miesiąc, odrywając się od wszystkich problemów domowych. Byłaby po prostu turystką na Manhattanie i rozpieszczanym gościem hotelu Beacon Hill.

Ona powinna pracować dla nas, pomyślała Leni.

O czwartej była umówiona w komitecie dobroczynnym w Rockefeller Center. O trzeciej trzydzięci zjechała windą do holu. Zatrzymała się przy biurku recepcjonisty, żeby zamówić na wieczór bilety do teatru. Zamierzała zaprosić jedną ze swoich przyjaciółek.

Recepcjonista odpowiadał na pytanie niskiego, dobrze zbudowanego mężczyzny z dużą głową. Leni czekała, rozglądając się po holu. Rozpoznała Daniela Inouti, hawajskiego biznesmena, z którym Feliks chciał kiedyś współpracować.

Właściciela jednej z najznakomitszych winnic. Kolumbijskiego miliardera, który często zatrzymywał się w Boston Salinger oraz europejską parę monarszą,

czasowo pozbawioną tronu. No cóż, pomyślała Leni z rozbawieniem, któż inny może pozwolić sobie na ceny Laury?

— Przepraszam — powiedział mężczyzna stojący przed nią. Odwrócił się do niej i odstąpił na bok. — Nie zauważyłem pani.

— Nie śpieszy mi się. Mogę poczekać — odparła spokojnie Leni. — Niech pan załatwi swoją sprawę.

Uśmiechnął się.

— To sprawa hotelu. Potrzebowałem tylko informacji. Proszę. — Był przynajmniej trzy cale niższy od Leni, ale aura władzy sprawiała, że wydawał się wyższy. Jego garnitur był umiejętnie skrojony, tak aby zmniejszyć dysproporcję między jego niskim wzrostem a szerokimi ramionami. Miał gęste siwe włosy, duży nos, podkreślający jego lwią urodę, i czarujący, światowy uśmiech. Leni odpowiedziała na ten uśmiech. Mężczyzna spodobał jej się. Była ciekawa, jaką funkcję pełni on w hotelu Laury i dlaczego prosi recepcjonistę o informacje.

Ale on odstąpił na bok, więc Leni poprosiła o rezerwację biletu.

— Oczywiście, *madame* Salinger — odparł recepcjonista. Kątem oka Leni uchwyciła ożywienie mężczyzny stojącego obok.

— Przepraszam — powiedział. - To pani jest Leni Salinger?

— Tak.

— Wes Currier. — Wyciągnął do niej dłoń. — Miło mi panią widzieć w Beacon Hill. Mam nadzieję, że jest pani zadowolona.

— Podała mu swoją dłoń.

— Czy interesuje się pan funkcjonowaniem tego hotelu?

— Tak, jako inwestor. Lubię zadawać pytania i pozdrawiać gości, gdy jestem w mieście. — Uśmiechnął się znowu. — Na szczęście nikt nic nie ma przeciwko temu. Jego nazwisko było dziwnie znajome. Feliks prawdopodobnie by je pamiętał, pomyślała Leni. Ale ona nie zapamiętywała zamożnych mężczyzn, chyba że znajdowali się na liście osób, z którymi miała się skontaktować w sprawie akcji dobroczynnych.

— To wspaniały hotel — powiedziała. — Teraz może pan zadać swoje pytania. Pożegnaj już pana. Wychodzę na spotkanie.

— Moglibyśmy pojechać razem — zaproponował Wes. — Za pół godziny muszę być w centrum.

— Nie, pójdę piechotą. Miło mi było z panem porozmawiać.,.

— A więc odprowadzę panią. Jeśli można...

Leni napotkała jego wzrok. Poważne, zdecydowane, pełne zainteresowania oczy. Mężczyzna starszy ode mnie, pomyślała z rozbawieniem. Co za nowość.

— Doskonale — odparła i razem wyszli z hotelu.

Currier wziął ją pod rękę, kiedy przeciskali się między samochodami na skrzyżowaniu.

— Długo pani zostanie w Nowym Jorku?

— Będę w hotelu przez trzy dni — odparła. Przeprowadził ją obok rozłożonego na chodniku koca z szalikami i portfelami na sprzedaż.

— A jak długo będzie pani w Nowym Jorku? Roześmiała się, podziwiając jego refleks.

— Mieszkam w Nowym Jorku.

— Myślałem, że Salingerowie mieszkają w Bostonie.

— Teraz spędzam większość czasu tutaj.

— Ale nie w hotelach.

— Nie. Mam mieszkanie na East Side. Pan też tu mieszka?

— Mam tu mieszkanie, z którego rzadko korzystam. Dlaczego zatrzymała się pani w Beacon Hill?

— Pochodzę z hotelarskiej rodziny. Chciałam zobaczyć, jaki jest ten hotel. Nie ma lepszego sposobu, niż w nim zamieszkać.

Huk młotów pneumatycznych zagłuszył ich słowa. Zaczekali, aż odejdą trochę dalej.

— I jaki jest ten hotel? — spytał Wes.

— Jak dom. Mój dom, pański dom i każdy inny dom, stworzony przez ludzi, którzy dbają o piękno, wygodę i mają doskonały gust. Laura zrobiła na mnie wrażenie.

Mówiono mi, że jej hotel w Chicago jest równie wspaniały.

— To prawda. Ma szczególnie zmysł.

— I dlatego zainwestował pan w jej korporację? Zastanawiałam się, skąd wzięła pieniądze na to wszystko, czego dokonała. Od dawna ją pan zna?

— Inwestorów było wielu. Wszyscy mamy do niej zaufanie. Jak się mieszka na Manhattanie?

— Nie jest to dla mnie nowość. Przyjeżdżam tutaj od wielu lat. Dlaczego rzadko używa pan swego mieszkania?

— Na ogół podróżuję.

Przeszli obok tłumu obserwującego mężczyznę grającego w trzy

kubki na rozkładanym stoliku. Następnie minęli przyczepę z hot-dogami i chłopaka jedzącego z odchylną do tyłu głową.

— Wygląda jak połykacz ognia — roześmiała się Leni. — Przypuszczam, że jedzenie hot-doga jest jednak o wiele przyjemniejsze.

— I lepiej smakuje.

— Podróżuje pan w interesach czy dla przyjemności? — zapytała.

— W interesach. Chętnie dodałbym i przyjemność, ale to mi się jeszcze nigdy nie przytrafiło. To zadziwiające, jak trudno jest zaplanować wszystko tak, jakbyśmy chcieli, nawet jeśli jest się wystarczająco dorosłym, żeby dokonać wyboru możliwości i wystarczająco bogatym, żeby za nie zapłacić.

Leni przystanąła.

— Podoba mi się to, co pan powiedział. I zgadzam się z tym, niestety. — Spojrzała w górę. Stali przed jednym z budynków Rockefeller Center. — Tu właśnie mam spotkanie. To był przyjemny spacer.

— O której skończy się spotkanie? — zapytał Currier.

— Prawdopodobnie o szóstej.

— Czy zechce pani spotkać się ze mną na górze, w Rainbow Room. Wypijemy drinka i zdecydujemy, gdzie pójść na kolację.

— Tak — odparła bez wahania. — O szóstej.

Currier obserwował, jak Leni wchodzi do budynku, a potem zatrzymał taksówkę, żeby pojechać do centrum. Leni zrobiła na nim takie wrażenie, że musiał poświęcić chwilę na uporządkowanie odczuć. Nie wiedział, czego oczekiwał po tym, co opowiedziała mu Laura, ale nie spodziewał się takiego spokoju i łagodnego głosu oraz kontrastującego z tym niepewnego spojrzenia, tak jakby zaczynała coś nowego i nie miała pojęcia, czego oczekiwać lub jak się zachować.

„Teraz spędzam większość czasu w Nowym Jorku”.

To mogło znaczyć, że była wolna. Currier wiedział, że mógłby to sprawdzić. Miał ludzi w Bostonie, którzy znali wszystkie plotki i powiedzieliby mu, co się dzieje, ale nie chciał tego robić. Chciał, żeby Leni Salinger powiedziała mu o tym sama.

Patrząc przez okno taksówki, przypominał sobie jej uśmiech i czuł ten powab, który sprawił, że chciał ją poznać, nie znając jeszcze jej nazwiska. Ostrzegał sam siebie, żeby nie zachowywać się jak nastolatek, tylko działać powoli.

Ale działał powoli, odkąd rozstał się z Laurą siedem miesięcy temu. Spotykał się z kobietami, spał z kilkoma z nich, ale nie starał się ich bliżej poznać i polubić.

Przeżywał podobne chwile po swoich rozwodach, ale po latach spędzonych z Laurą pragnął o wiele więcej i nie chciał czekać. Był samotny, pozbawiony drogiej osoby i rozgniewany, że przy wszystkich jego wpływach i środkach, nie może cieszyć się najprostszą formą związku między dwojgiem ludzi. Choć wiedział, że małżeństwo nie jest rzeczą prostą.

Więc dlaczego miałby postępować powoli z Leni Salinger? Bardzo mu się podobała i on jej też. Chciał spędzać z nią czas i dowiedzieć się o niej wszystkiego. Chciał się z nią kochać. Miała w oczach tę niepewność, która podpowiadała mu, że pragnęła nowego mężczyzny tak samo, jak on nowej kobiety. Tak samo gotowa zacząć wszystko od początku i jeszcze raz zaryzykować. Nie miało nawet znaczenia to, jak wyglądał obecnie jej związek z Feliksem. Jeśli nadal byli małżeństwem, to nie było ono szczęśliwe, a Currier nigdy nie martwił się długo zerwanymi związkami. Można było nawiązać nowe, jeśli się bardzo tego chciało.

Taksówka minęła Bleecker Street i Wes pomyślał o Laurze, której mieszkanie znajdowało się przy Grove Court, tylko kilka przecznic dalej. Miał zamiar dziś do niej zadzwonić, żeby porozmawiać o wydatkach. Koszty odnowy hoteli stawały się wyższe, niż się spodziewali. Ale to mogło poczekać. Pozwolił sobie na chwilę zadumy nad latami, które razem spędzili i nad jego uporczywą nadzieją, podtrzymywaną sztucznie przez to, że nie potrafił zaakceptować porażki. Sztuczna nadzieja, pomyślał. Tak sztuczna jak jej przekonanie, że może zbudować nowe życie wolne od bagażu przeszłości.

Zaduma minęła, tak jak mija sen po przebudzeniu. Laura była współniczką w interesach i przyjaciółką. On musiał myśleć teraz o innych sprawach. Dotarł do Wall Street i odbył spotkanie ze swoimi klientami. Po niespełna dwóch godzinach przyjechał do Rainbow Room i usiadł przy oknie, skąd mógł obserwować drzwi. Po chwili Leni Salinger szła w jego stronę, a on wstał, przytrzymując dla niej krzesło. Gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się.

Rozdział dwudziesty siódmy

Piątej kradzieży dokonano tuż przed świtem. To był upalny czerwcowy dzień. Jedna z sąsiadek przygotowywała się do porannego biegu. Widziała Claya z tyłu, ale nie wzbudził jej zainteresowania, ponieważ używał klucza do otworzenia frontowych drzwi, a wiadomym było, że Feliks i Leni pozwalają członkom rodziny korzystać z domu, kiedy nie ma ich w mieście.

Nikt inny nie widział i nie słyszał, jak Clay cicho wślizgnął się do środka. Przy drzwiach był system alarmowy. Ręką ubraną w rękawiczkę Clay nacisnął guziki i wyłączył alarm, a potem rozejrzał się w słabym świetle ulicznych latarni.

Znajdował się w małym przedpokoju. Po prawej stronie był pokój gościnny i łazienka. Przed nim znajdowały się schody prowadzące na górę, a obok wąski hol wiodący do jadalni, kuchni i ogrodu. Clay przeskakiwał po dwa schodki i po chwili znalazł się w salonie pogrążonym w absolutnych ciemnościach. Jedyne odrobina srebrzystego światła przedzierała się przez ozdobione frędzlami pluszowe zasłony. Zaświecił małą latarkę i skontrolował pluszowe kanapy i okrągły, rzeźbiony stolik na środku pokoju. Obrazy wisiały na ścianie pokrytej tapetą z drobnym wzorem. Posh,

pomyślał. To za dobre dla starego Feliksa. Szukał dalej. Przeszedł do biblioteki. Oświetlił latarką wyłożony boazerią pokój i odetchnął z ulgą. Trzy obrazy Rouaulta wisiały we wgłębieniu nad pluszową kanapą. Ustawił latarkę na stole, zdjął obrazy ze ściany i włożył do skórzanej torby, którą przyniósł pod marynarką. Potem obrócił się w miejscu i znów obejrzał pokój, świecąc latarką. Był tam jeszcze jeden obraz, a za nim sejf w ścianie. Clay wyjął z kieszeni kartkę papieru i otwierał zgodnie z zapisaną na niej kombinacją, którą znalazł w torebce Leni obok kodu alarmu. Otworzył sejf i zaczął szperać wewnątrz. Nie było w nim nic oprócz dokumentów dotyczących zakupu domu. Co do cholery, pomyślał ze złością. Po co mu sejf, skoro nic w nim nie przechowuje? Nie ma tu dla mnie ani jednej rzeczy. Zdegustowany, zamknął sejf, automatycznie prostując obraz, który go zakrywał. Nagle zamarł w bezruchu, gdy ostry dźwięk przerwał ciszę.

Dźwięk pochodził z zewnątrz. Z tylnego podwórza domu, a może z sąsiedztwa. Brzmiał tak, jakby ktoś trzasnął drzwiami. Może to zewnętrzne drzwi. Clay czekał. Absolutna cisza. Tak jak wtedy, gdy wchodził. Przez pięć minut stał w bezruchu, prawie nie oddychając. To okno, pomyślał. Ktoś w pobliskim domu otworzył okno i trzasnął nim. Stąd ten przenikliwy dźwięk.

To nie w tym domu. Wszystko w porządku. Niepotrzebnie panikuje. Ale Ben zawsze go uczył, żeby nie być niczego pewnym. „Nigdy nie wiesz, kiedy czyha prawdziwe niebezpieczeństwo”. Tego go nauczył. I pomyśleć, jak daleko mnie to zaprowadziło.

Czas się wynosić. Podniósł torbę. Po chwili przystanął, żeby zerknąć na biurko. Dlaczego nie? Na dworze było jeszcze ciemno. Miał czas na krótkie oględziny. Może znajdzie trochę forsy.

Biurko było ogromne. Dwoje ludzi mogło jednocześnie pracować przy nim naprzeciwko siebie. Po każdej stronie była szafka i szuflady po obu stronach wolnej przestrzeni na nogi. Clay otwierał je i sprawnie przetrząsał, z pewnością siebie, wynikającą z doświadczenia. Ale i tu nie znalazł żadnych pieniędzy. Tylko dokumenty i listy, w większości należące do Leni.

Górna szuflada po drugiej stronie była bardziej wypełniona niż inne. Między dokumentami i kopertami leżał portfel ze skóry węża. Zawierał karty kredytowe na nazwisko Leni i dziewięćdziesiąt pięć

dolarów. Parsknął, rzucił go na biurko i zaczął wyciągać koperty, zaglądając do każdej z nich. Nic, nic, do cholery...

Coś utknęło w tylnej części szuflady. Pociągnął za to. Nie chciało wyjść. Cholera, co się dzieje? Znowu szarpnął papier, który wyczuł palcami. Nagle pomyślał o skrytce. To jest to, pomyślał podniecony. Cóż by innego? To stare biurko. Wygląda jak to w gabinecie Owena. Dawno temu robili w meblach wiele skrytek.

Wysunął szufladę i postawił ją na podłodze. Z tyłu była szczelina. Utknęła tam koperta. Wyjął ją i zastanawiał się, jak odszukać skrytkę. Otworzył drzwiczki szafek i poświecił latarką do wewnątrz. W tylnej ścianie jednej z nich była ruchoma deseczka przymocowana czterema śrubami.

Przez okno zobaczył, że mrok rozjaśnia się i nadchodzi świt. Z bijącym sercem odkręcił śruby śrubokrętem, który zawsze nosił przy sobie i usunął deskę. Ale nie było tam skrytki. Deseczka po prostu ułatwiała dostęp przy reperaturze biurka. Jedna koperta leżała w wąskim otworze. Nic więcej. Cholera! Stracił tylko czas, pomyślał. Już miał przykręcać z powrotem deseczkę, kiedy zobaczył nazwisko na kopercie. Laura Fairchild.

Chwycił kopertę. Był to jakiś gruby, długi dokument. Nazwisko Laury napisane było pochyłym charakterem pisma. Clay rozpoznał pismo Owena. To jest biurko Owena, pomyślał. A to jest list, który on do niej napisał, a którego ona nie mogła znaleźć. Musiał utknąć w szczelinie szuflady i pozostał ukryty od dnia śmierci Owena.

W pokoju zaczęło robić się jasno. Serce dudniło Clayowi w uszach. Nienawidził świtu. Za długo tu tkwił. Wcisnął list do wewnętrznej kieszeni marynarki, przykręcił śruby, wrzucił koperty i portfel do szuflady i wsunął ją na miejsce. Szybko ogarnął wzrokiem pokój. Wszystko było na swoim miejscu. Trzymając w ręku skórzaną torbę, zbiegł po schodach do wyjścia, ostrożnie nastawił alarm i wyszedł przez frontowe drzwi, zamykając je za sobą na klucz.

Przejechał samochód. Clay przylgnął do drzwi i zaczekał, aż auto odjedzie. Popatrzył na prawo i lewo, a potem ruszył w stronę Lexington, mijając uśpione jeszcze domy. Na rogu zobaczył nadjeżdżającą taksówkę. Zatrzymał ją od niechcienia, wsiadł i odjechał.

Gdy w początkach lipca rodzina wyjechała do letniej posiadłości na Cape, Leni również zgodziła się przyjechać. Feliks nalegał, rozgniewany na nią i zaniepokojony. Allison robiła smutne uwagi o tym, jak rzadko wszyscy ją teraz widują i że Leni spędza większość czasu w Nowym Jorku. Więc zgodziła się przyjechać. Wiedziała, że musi kiedyś porozmawiać z Feliksem. Unikała go od rozmowy z Benem w hotelu Plaża sześć miesięcy temu.

Przez sześć miesięcy widywała go tak rzadko, jak to tylko było możliwe, a od ponad roku odmawiała współżycia z nim. Już dawno przestała wymyślać powody. Po prostu mówiła, że jej to nie interesuje. Zastanawiała się, jak długo będzie skrywał całą wściekłość, jaką odczuwał. Trawiło go przedsiębiorstwo. Miał problemy z zarządem, który wywierał na niego nacisk, żeby sprzedać niektóre hotele i zwiększyć kapitał. Przez pewien czas za bardzo poszerzali inwestycje. Co ważniejsze, Feliks był zmuszony skrywać swoją nienawiść do Bena od czasu narodzin Judda. Był pewien, że Ben go przechytrzył i zniszczy go, jeśli on pierwszy nie zniszczy Bena. Tymczasem co dzień musieli razem pracować nad budową dwóch nowych hoteli, wymieniając między sobą tylko tyle słów, ile było konieczne. Oczywiście Feliks nic Leni o tym nie powiedział. Dowiedziała się od Bena i Thomasa. Feliks nie mówił jej prawie nic, a ona jemu jeszcze mniej. Jeśli nawet dostrzegł zmianę w zachowaniu Leni, odkąd zaczęła spędzać tyle samo czasu w mieszkaniu Wesa Curriera co we własnym domu na Manhattanie, nic nie powiedział. Wątpiła, czy cokolwiek zauważył. Od bardzo dawna już jej nie dostrzegał. Leni była przekonana, że nadal widzi kobietę, którą odebrał Juddowi.

— Zapomniałam już, jak tu jest pięknie — powiedziała do Allison podczas śniadania. Był to weekend czwartego lipca i Cape było tak zatłoczone, że mieszkańcy Osterville zostali w domu, dostarczając sobie nawzajem rozrywki. Ubrane w szorty i koszulki polo, Allison i Leni przyniosły kawę i bułeczki na trawnik za dużą kuchnią domu Leni. Usiadły tam, patrząc jak Judd zaczyna dreptać między ławką a kolanami Allison.

— Brakowało mi Cape, a nie wiedziałam o tym.

— Byłaś bardzo zajęta w Nowym Jorku. Leni westchnęła.

— Ironicznie wypowiadająca się córka może sprawić, że matka czuje się jak nieudacznica.

Allison roześmiała się.

— Nic mówisz tego poważnie. Uważasz, że wszystko ułożyło się pomyślnie. Przepraszam, że byłam ironiczna. Po prostu bardzo mi ciebie brakowało. Zakochałaś się w Nowym Jorku, czy chciałaś oderwać się od Bostonu?

— Jedno i drugie.

Allison spojrzała na nią z zainteresowaniem.

— Dobrze się bawisz?

— Tak. W Paryżu też było uroczo. Nie opowiedziałam ci zbyt wiele o Paryżu.

— Opowiedziałaś nam wszystko. Czy coś pominęłaś?

— To, o czym rozmawiałam z Laurą.

Instynktownie Allison spojrzała w stronę kuchni, gdzie poprzednio pracowała Laura. Ogarnęły ją wspomnienia i mieszane uczucia miłości, straty i złości. Odwróciła się i chwyciła Judda, który z odgłosami triumfu wylądował w jej ramionach. Pocałowała go, tuląc jego delikatne ciało, po czym z powrotem postawiła go na nogi. Wzięła swój kubek z kawą.

— Mówiłaś, że rozmawiałaś z nią o jej hotelach i powiedziałaś jej, że sądzisz, iż być może oceniliśmy ją zbyt pochopnie. Wspominałaś, że jest bardzo piękna i nadal na nas zła.

— Zaprosiła mnie do jednego z jej hoteli, żebym zobaczyła, jak jest urządzone. Przyjęłam to zaproszenie.

Allison wpatrywała się w matkę.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? Masz zamiar zatrzymać się w jej hotelu? Może pojedę z tobą?

— Już to zrobiłam. Zatrzymałam się tam kilka miesięcy temu. Nie mówiłam ci, ponieważ nie chciałam, żeby to wyglądało jak zaproszenie dla Salingerów. Chciałam pojechać sama.

— I jakie odniosłaś wrażenie? — zapytał Ben. Obie gwałtownie podniosły głowy, osłaniając rękoma oczy przed słońcem.

— Mój bezszelestnie chodzący mąż — powiedziała wesoło Allison. — Nie słyszałyśmy cię.

— To przez te tenisówki — powiedział, pochylając się, żeby ją pocałować. Potem pocałował Leni w policzek. — Rozegrałem poranny mecz z Thomasem.

Wyjeżdżam do miasta, jak tylko się przebiorę, ale najpierw chcę usłyszeć opowieść Leni.

— Słyszałeś, że mama zatrzymała się w jednym z hoteli Laury?

— Tak. W którym?

— W Nowym Jorku — odparła Leni. — Ben, to niezwykle miejsce.

— Opowiedz o nim. — Usiadł i nalał sobie kawy z termosu, który stał obok Allison. Potem wyciągnął rękę i Judd podszedł do nich.

— Mój Boże, spójrzcie! Niedługo będzie biegał. — Przytulił Judda do siebie, ocierając policzek o delikatne jasne włoski syna. — Jak się ma mój chłopiec? — zapytał łagodnie. — Jak widzę, dobrze trzymasz się na nogach. Tego będziesz potrzebował przez całe życie. Judd, musisz mocno trzymać się na nogach. Pamiętaj. — Ben postawił go i znowu zwrócił się do Leni. — Opowiedz o tym — powtórzył. Leni opisała pokoje, obsługę, indywidualne podejście. Jednego wieczora wydała przyjęcie — Currier na nim był, ale nie wspomniała o nim — i miała wiele próśb i życzeń podczas trzydniowego pobytu. Wszystkie zostały spełnione bez zarzutu.

— Albo ten personel, jest lepiej wyszkolony niż w każdym innym hotelu, albo cała obsługa została zahipnotyzowana. Ale to coś więcej niż miła obsługa. To atmosfera. Choć, jak sądzę, personel odgrywa w tym wszystkim znaczną rolę.

Ben skinął głową. Czuł, że jest dumny z Laury, a jednocześnie był zazdrosny. Leni nigdy nie zachwycała się hotelami Salingerów. Nawet wtedy, gdy on zaczął pracować dla przedsiębiorstwa i, jak wierzył, ulepszał je. Przyszło mu do głowy, że to najodpowiedniejsza pora, żeby powiedzieć im prawdę o Laurze. Właśnie wtedy, gdy ją podziwiała, a Leni przypominała sobie ich rozmawę w Paryżu.

— Szkoda, że ona nie pracuje dla nas — ciągnęła Leni. — To znaczy z nami. To śmieszne przypuszczać, że ona jeszcze kiedykolwiek pracowałaby dla nas. Lub dla kogokolwiek. Napisałam do niej po opuszczeniu hotelu, dziękując jej i zapewniając, że wspaniale spędziłam czas. Zasugerowałam też, że być może kiedyś będziemy razem pracowały, ale nie odpisała. Jestem pewna, że ona nadal nas nienawidzi. Oczywiście my nadal nie wiemy, co o niej sądzić, prawda? Feliks nie chce nawet wymieniać jej nazwiska. To wszystko jest bardzo zagmatwane, nawet po tych wszystkich latach. Szkoda, że tak trudno jest zapomnieć o przeszłości...

Ben wstał. To nie była odpowiednia pora na prawdę. Nie był już pewien, czy taka pora kiedykolwiek nadejdzie. Zbyt długo na nią czekał. Teraz musiałby tłumaczyć się również ze swojego milczenia.

— Idę pod prysznic — powiedział, podrzucając do góry swego

syna. — Do zobaczenia wkrótce, miody człowieku. Opiekuj się mamą. Jest wyjątkowa. Kocham cię. — Raz jeszcze pochylił się do Allison. — I ciebie kocham. — Usadowił Judda na kolanach Allison i wszedł przez taras do domu. Leni i Allison popatrzyły na siebie.

— Chronić to — powiedziała Leni łagodnie. — To, co istnieje między tobą a Benem, jest cudowne... Chciałabym mieć dla ciebie lepszą radę, ale nie mam. Po prostu zrozum, jakie to wspaniałe, żebyś mogła to chronić i utrzymać.

— Szkoda, że ty nie przeżywasz czegoś takiego — powiedziała odważnie Allison. Nigdy nie pytała matki o jej małżeństwo.

— Ja też żałuję. — Było gorąco i bezwietrznie. Leni w prześwitach między drzewami widziała ocean. Ciemnoblękitna przestrzeń upstrzona była białymi żaglami i kolorowymi deskami surfingowymi. Leni czuła się zadowolona i odprężona, bardziej jak przyjaciółka niż matka. Może dlatego, że obie z Allison były teraz matkami, a może dlatego, że teraz Allison była bardziej pewna siebie i spokojniejsza niż poprzednio. Była wystarczająco szczęśliwa, żeby cieszyć się przyjaciółką, którą miała całe życie. Cokolwiek to sprawiło, Leni zdała sobie sprawę, że teraz może rozmawiać z Allison bez obawy, jaką żywiła wcześniej, że jeśli córka dowie się, jak nieszczęśliwe jest małżeństwo matki, może się śmiertelnie przestraszyć i już nigdy nie założy szczęśliwej rodziny. — Wyszłam za mąż z niewłaściwych powodów — powiedziała. — I pozostałam mężatką z niewłaściwych powodów. Bo była to jedyna rzecz, jaką mogłam zrobić, bo nie potrafiłam wymyślić żadnej alternatywy, bo się bałam. A Feliks tak bardzo tego chciał.

— Czego chciał?

— Małżeństwa. Małżeństwa ze mną.

— A nie po prostu... ciebie? Nie chciał cię dla samej ciebie. Leni uśmiechnęła się lekko.

— Wątpię, czy rozumiałby to pytanie. Chciał mnie, bo coś dla niego oznaczałam. Jakaś ideę lub styl, który on uważał za ważny. Chciał mnie, ponieważ dla niego Uczyło się posiadanie czegoś, co inni mężczyźni podziwiali, a ja byłam często podziwiana. Chciał mnie mieć, bo kochałam kogoś, kim on pogardzał i kogo, jak sądzę, w pewnym sensie się obawiał.

— Kochałaś? Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Kto to był?

— Och, to było tak dawno temu. Wszyscy zakochują się za

młodu, a potem poślubiają kogoś innego. Allison, czy sprawiłoby ci to wielką przykrość, gdybym rozwiodła się z Feliksem?

— To nie zrobiłoby wielkiej różnicy, prawda? Prawie już go opuściłaś. Właściwie z nim nie mieszkasz. Nie rozmawiałaś jeszcze z ojcem?

— Nie. Ciągłe to odkładam. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Nawet nie chcę starać się o rozwód. Po prostu chcę być rozwiedziona, ale nie chcę przez to wszystko przechodzić. Jestem w stanie nawet udawać, byle tylko nie musieć trwać u jego boku...

— Ale przecież żyłaś z nim tak długo. Co się stało, że nagle nie chcesz mieć z nim nic wspólnego? On się nie zmienił, prawda? Mnie wydaje się taki sam. Może bardziej zajęty interesami, ale to wszystko.

Leni zmagala się ze słowami, które czekały na to, by zostały wypowiedziane. Ale nie mogła ich wypowiedzieć. Nie ma powodu, aby Allison kiedykolwiek dowiedziała się o Juddzie i o tym, co Feliks mu zrobił.

— Może po prostu czuję, że wreszcie poznałam go w taki sposób, w jaki nigdy wcześniej go nie znałam. A może jestem zła na siebie, że pozwoliłam na to, żeby przeminęło tyle lat i nic nie zrobiłam. Wiesz, moja droga... — Judd przydreptał tym razem do niej. Wzięła go w ramiona, bliskiego, ciepłego, pachnącego świeżą trawą i latem. Czując jego jedwabistą skórę pod swoim policzkiem, chciała szlochać za tym, co przepadło.

— Co? — spytała Allison.

Leni postawiła Judda na trawie, ale on pokręcił głową. Miał dosyć chodzenia. Usiadł naprzeciw niej i podniósł drewnianą zabawkę usiłując pogryźć ją na kawałki.

— Coś takiego dzieje się w małżeństwie — powiedziała powoli. — Nie zawsze, ale w przypadku wielu kobiet... że po pewnym czasie zaczynają patrzeć poza małżeństwo i szukać szczęścia, które jeszcze mogą przeżyć. To tak jakby ich małżeństwo stało się życiowym faktem, jak krótkowzroczność lub brak słuchu, który trzeba przecierpieć i przyzwyczać się do niego. To nie ułomność, ale uniemożliwia wiele rzeczy mogących się wydarzyć. Kobiety akceptują to. Wiedzą, że to, co posiadają, nie jest najlepsze, nie jest być może nawet bardzo dobre, ale jest ich częścią. Przyzwyczyły się już do przechodzenia nad tym do porządku dziennego. Nigdy nie nauczono ich myśleć o życiu bez małżeństwa. Lata mijają...

— A co mogłoby to zmienić? — zapytała łagodnie Allison, czując, że jest bliska matce tak jak nigdy przedtem.

— Czasami nic. Ale czasami jakaś iskra wzbudza płomień i małżeństwo, ten życiowy fakt, staje się nie do wytrzymania.

— I ona odchodzi.

— Zazwyczaj.

— Ale jeśli była taka iskra i wyrósł między wami mur, to ojciec na pewno zdaje sobie z tego sprawę. Czy wy... gdy jesteście razem... czy wy...

— Czy śpimy razem? Nie. Nie potrafię. Oczywiście Feliks orientuje się, że jest gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Sądzę jednak, że on również unika rozmowy na ten temat, żeby powstrzymać całkowity rozpad małżeństwa.

— Biedny tata — rzekła zamyślona Allison, a Leni drgnęła, czując ukłucie zazdrości, jakie zawsze czuje rodzic, kiedy dziecko okazuje miłość lub współczucie dla drugiego rodzica. — Myślę, że on próbował, ale nigdy nie wiedział, jak kochać nas w sposób, w jaki chcieliśmy być kochane.

— Być może. — Siedziały w ciszy, obserwując zabawę Judda.

— Leni! — Ben stał w drzwiach. Obie kobiety odwróciły się. Ben miał dziwny wyraz twarzy.

— O co chodzi?! — krzyknęła Allison. — Co się stało?!

— Dzwoniła policja. Zeszłej nocy obrabowano twój dom. Oni...

— Nie! — wykrzyknęła Allison. — Nie wierzę!

— O Boże. — Leni zamknęła oczy. — Nienawidzę tego. Nienawidzę, nie znoszę...

— Spojrzała na Bena. — Czy wiedzą, co skradziono?

— Obrazy Rouaulta z biblioteki. Chcą, żebyś sprawdziła, czy jeszcze czegoś nie brakuje. Dzięki Bogu, że cię tam nie było. To najważniejsze. Nie ma znaczenia, co ukradziono. Grunt, że tobie nic się nie stało.

Leni zmarszczyła brwi.

— Kimkolwiek są złodzieje, znają się na sztuce. To były najcenniejsze rzeczy w mieszkaniu. Ale jak się tam dostali? Co z systemem alarmowym?

— Nikt nie wie. Na policję zadzwoniła gospodyni. Alarm był włączony, gdy przyjechała dziś rano. Sprawdzone go i okazało się, że działa.

— Niemożliwe—powiedziała Leni. —Każdy, kto przechodziłby koło schodów, musiałby uruchomić alarm.

— Wiem. Jedziesz do Nowego Jorku?

— Wygląda na to, że muszę. — Wstała, spoglądając ze smutkiem na Allison. — Już przez to przechodziliśmy, prawda?

— To niesprawiedliwe — wybuchnęła Allison. — Złodzieje powinni sporządzić listę i przekazywać ją sobie, żeby wiedzieli kogo już obrabowali i kto ma być nową ofiarą. To okropne! — wykrzyknęła, patrząc na Judda i wyobrażając go sobie śpiącego i bezbronnego. — Włamać się do czyjegoś domu...

— Jak się włamali?

— Policja sądzi, że się nie włamali. Nie ma śladów włamania.

— To znaczy, że mieli klucz?

— Coś w tym rodzaju.

— Nie wierzę. Nikt z nas nigdy nie zgubił klucza. — Westchnęła. — Przykro mi, Allison. Tak miło nam się rozmawiało. Postaram się jutro wrócić.

Ale Leni powróciła na Cape dopiero po tygodniu. Przeszukała pokoje w całym domu, mnóstwo szuflad i szafy. Patrzyła, jak policja zbiera odciski palców i szuka śladów w ogrodzie. Przerwała przesłuchanie gospodyni, która była bliska obłędu. Potem wypytała ją sama, delikatnie i, jak sądziła, równie wyczerpująco. Nie miała powodu jej podejrzewać. Po dokładnych oględzinach mieszkania stwierdziła, że nie brakowało niczego oprócz trzech obrazów Rouaulta. Biurko Owena wyglądało tak, jakby ktoś w nim szperał, ale niczego nie zabrano. Jej portfel wraz z pieniędzmi leżał tam nadal. Sejf również pozostał nietknięty. Oczywiście nic w nim nie przechowywano, ale dobrze było wiedzieć, że go nie otwierano.

Niczego nie otwierano siłą. Dom wyglądał spokojnie i bezpiecznie. Mimo to Leni porozmawiała z sąsiadami i wspólnie wynajęli strażnika do patrolowania domów po tej stronie ulicy, od ósmej wieczorem do szóstej rano. Currier był w Europie. Leni zadzwoniła do niego, żeby powiedzieć mu co się stało i co teraz robi.

— Zaryglowuję drzwi — powiedziała z grymasem na twarzy. — Ale lepiej się czuję, gdy strażnik jest w pobliżu.

— Ja również. Czy agencja dostarczyła ci jego referencje?

— Tak. Wygląda na to, że jest w porządku.

— Gdybyś chciała sprawdzić referencje, zadzwoń do mojego asystenta. On może to załatwić. Upewnij się, czy agencja powiado-

mila policję. Czasami zwlekają z tym tydzień, albo dwa. Oczywiście sąsiedzi po drugiej stronie ulicy też muszą być powiadomieni.

— Tak, powinni być. Dziękuję. Nie pomyślałam o tym. — Uśmiechnęła się. On prawie zawsze znajdował sposób na to, aby angażować się w sprawy Leni i odgrywać w nich dominującą rolę, podejmując decyzje i zgłaszając sugestie, których nie mogła zlekceważyć. Ale nie miała mu tego za złe. Prawdę mówiąc, zaczęła na to liczyć. Przez ponad połowę swego życia była związana z człowiekiem, którego nie obchodziło, co ona robi lub co myśli, byle tylko była w pobliżu, kiedy jej potrzebował. Cóż to za odmiana, pomyślała, spotkać mężczyznę, który chce się mną zaopiekować. W moim wieku zasługuję na to.

Zastanawiała się, czy nadejdzie taki moment, kiedy Wes wyda jej się zbyt władczy. Być może. Ale po dwudziestu ośmiu latach z Feliksem minie wiele czasu, nim zacznie myśleć o Currierze w ten sposób.

Widywali się tego lata w domu, który Wes wynajął w Maine, ale większość czasu Leni spędzała na Cape. Było jej to na rękę, gdyż Feliks ugrzązł w Bostonie, a gdy przyjeżdżał na Cape na weekend, Leni wyjeżdżała do Wesa. Nowojorska policja utrzymywała z nimi stały kontakt, ale tylko po to, żeby powiedzieć im, że nie ma żadnych poszlak. Feliks był rozgoryczony.

— Ktoś wziął się na nas. Nikt nie został obrabowany dwa razy.

— Ten pierwszy raz zdarzył się dziesięć lat temu, tato — powiedziała Allison. — Gdyby to był ten sam człowiek, musiałby być bardzo cierpliwy.

— Albo cierpliwa.

Allison obróciła się ku niemu.

— Nie wiemy o tym nic — rzekła gwałtownie. — To zbieg okoliczności, który nikomu z nas się nie podoba, ale nie możemy zrobić nic oprócz zatrudnienia strażnika, a mama już się tym zajęła.

Feliks podjął dalsze kroki. Kazał zmienić wszystkie zamki oraz zainstalować reflektory przed domem i na jego tyłach. Jednak sąsiedzi protestowali przeciwko zakładaniu oślepiających świateł i musiał się z tego wycofać, zadowolając się zamkami i prywatnym strażnikiem. Wkrótce włamanie zeszło na dalszy plan. Nikomu nic się nie stało w przeciwieństwie do pierwszego włamania, kiedy napadnięto Owena. Poza tym obrazy były ubezpieczone. Zadzwoił też detektyw agencji ubezpieczeniowych, badający tę sprawę. Chciał porozmawiać z Salingerami. „Być może uda się odzyskać obrazy”.

Klejnoty, pomyślała Leni, nigdy się nie odnalazły. Z wyjątkiem bransolety. Naszyjnik, który najbardziej pragnęła odzyskać, przepadł bez śladu, choć dała do gazety ogłoszenie o nagrodzie za jego odzyskanie. Nie mogli liczyć na to, że cokolwiek się odnajdzie.

— Zgadza się — rzekł Sam Colby, gdy rozmawiał z nimi tydzień później. Siedzieli na szerokiej werandzie domu Leni. Colby oparł się, wyprostował obie nogi i podziwiał widoki. — Nie można na nic liczyć. Mnóstwo skradzionych rzeczy jest zamawianych przez...

— Zamawianych! — wykrzyknął Ben.

— Tak. Przez prywatnych kolekcjonerów, którzy wiedzą, gdzie znajdują się dzieła sztuki. Chodzą na aukcje i mają w galeriach przyjaciół, którzy informują ich o sprzedaży jakiegoś wartościowego obrazu. Wynajmują złodziei, którzy kradną wskazane dzieła sztuki. Czasami wykorzystują pośredników do znalezienia złodzieja. To oddala ich o jeszcze jeden krok od przestępstwa. W każdym razie dzieła sztuki trafiają do prywatnych kolekcjonerów na całym świecie i nie ogląda ich już nikt więcej, z wyjątkiem oczywiście kolekcjonera.

— Słyszałam o tym — wtrąciła Allison. — Niektórzy klienci z galerii znają ludzi, którym skradziono obrazy. Nigdy nie pojawiły się one na żadnej aukcji i wszyscy przypuszczają, że są zamknięte w czyimś domu.

— Właśnie — promieniał Colby. — Pani Salinger, porozmawiajmy o tych obrazach, które zostały zabrane z pani domu. Gdzie pani je kupiła?

Zapytał Leni o historię obrazów, o bezpieczeństwo systemu alarmowego, o zeznanie gospodyni i o codzienne zajęcia Leni.

— Jak często pani tam bywa?

— Dość często. Oczywiście w lecie rzadziej, ale zazwyczaj spędzam tam kilka dni w tygodniu.

— Ale mieszka pani w Bostonie?

— W Beverly. To przedmieścia Bostonu — poprawiła go delikatnie. — W zasadzie mamy dwa domy. Należę do różnych zarządów w Nowym Jorku — szpitale, muzea i tak dalej. Lubię teatr, koncerty, więc w Nowym Jorku kupiliśmy mieszkanie.

— Wobec tego pani rozkład zajęć w ciągu dnia jest znany innym?

— W zasadzie tak. Ale często podejmuję decyzję w ostatniej chwili. Różnie to bywa.

— Podróżuje pani za granicę?

— Od czasu do czasu.

- Zatrzymuje się pani u przyjaciół czy w hotelach?
- Czasem u przyjaciół, a czasem w hotelach.
- Korzysta pani wtedy z hoteli rodzinnych?
- Zawsze.
- Z jednym wyjątkiem — przypomniała Allison.
- No, tak — powiedziała Leni. — Raz zatrzymałam się w hotelu Beacon Hill. Ale to była wyjątkowa sytuacja.
- Dlaczego pani się tam zatrzymała?
- Żeby się przekonać, jaki to hotel. Jest nowy, a my zawsze szukamy inspirujących pomysłów dla naszych hoteli.
- Gdzie to było?
- W Nowym Jorku. Colby skinął głową.
- A teraz pomówmy o posiedzeniach zarządów. Pani podróże mogą być spontaniczne, ale posiedzenia odbywają się regularnie, zgadza się? Drugi wtorek każdego miesiąca czy coś w tym rodzaju?
- Tak. Z wyjątkiem posiedzeń nadzwyczajnych.
- I ma pani kalendarz, w którym pani to wszystko notuje? Na przykład na lodówce w kuchni albo w holu przy telefonie?
- Leni uśmiechnęła się.
- Obawiam się, że zbyt rzadko zaglądam do kuchni, aby trzymać tam kalendarz, ale mam kalendarze na biurkach w Bostonie i w Nowym Jorku.
- Nic więcej?
- Nie, No, oczywiście mam swój notes.
- Notes. Zapisuje tam pani spotkania, lunche i tym podobne rzeczy?
- Tak.
- Czy coś jeszcze?
- Nie.
- Czy nie zapisała tam pani kodu systemu alarmowego w mieszkaniu?
- Tak, chyba tak. Nie mam pojęcia, dlaczego co roku zapisuję go w nowym kalendarzu. Znam go na pamięć, a mimo to zapisuję.
- Zdziwi się pani, ale większość ludzi tak robi. A może coś jeszcze? Kod automatu do pieniędzy?
- To chyba też zapisałam, ale w mojej książeczce czekowej.
- Więc w notesie nie ma już nic więcej?

— Nie. Ach tak. Jest jeszcze kombinacja do sejfu ściennego, ale to wszystko nie ma znaczenia. Notes i książeczkę czekową trzymam zawsze w torebce.

— I zawsze przy sobie?

— Zawsze.

— Nawet jeśli zmienia pani torebki?

— Oczywiście.

— Zmienia pani ubranie, po czym wyjmuję pani wszystko z jednej torebki — szminkę, grzebień, lusterko, portfel, klucze, notes — i przekłada to pani do drugiej, dopasowanej do stroju?

— Właśnie.

— Ale kiedy wychodzi pani wieczorem, zabiera pani tylko małą torebkę. Nie ma w niej miejsca na klucze, notes i inne rzeczy?

— Tak.

— Wtedy cała służba domu w Bostonie i Nowym Jorku ma dostęp do pani notesu, nie mówiąc już o kluczach.

— Mam całkowite zaufanie do mojej służby.

— Rozumiem, ale ktoś wiedział, że nie będzie pani w domu o czwartej trzydzieści rano, drugiego lipca.

— Jak to? — spytał Ben — Skąd pan zna tę godzinę? Nikt

0 niej nie wspominał.

— Sąsiadka widziała kogoś przy drzwiach o czwartej trzydzieści. Przygotowywała się do porannego biegu i zauważyła go.

— Jego — powtórzył Ben. — Wszyscy mówili raczej o „nich”.

— Mogło być ich wielu, ale sąsiadka widziała tylko jednego człowieka. Mógł mieć współników czekających nie opodal.

Indagacja trwała. Colby pytał i pytał, a im bardziej zagłębiał się w każdy szczegół, tym bardziej nieswojo czuła się Allison. Przeszli przez to wszystko i to było wystarczająco okropne — wszystkie te podejrzenia — ona nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Gdy Colby zaczął wypytywać o robotników zjawiających się w Nowym Jorku

i w domach Beverly; o dostawców, z usług których korzystała Leni; o przyjaciół, którzy ją odwiedzali, Allison przeprosiła, mówiąc, że musi iść do Judda. Nie wierzyła, że ktoś ze służby może być w to zamieszany. Nikt, kogo знаła, nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Powinniśmy dać temu spokój, pomyślała, wchodząc na górę. Jest tyle innych, ważniejszych spraw. Jak tylko Colby wyjdzie, zapomnimy o tym wszystkim, zostawimy to za sobą.

Czwarty hotel Beacon Hill został otwarty na początku października w Waszyngtonie, gdy miasto okryło się barwami jesieni. Laura i Currier wspólnie witali stałych gości i tych nowych, którzy słyszeli

o Beacon Hill i zamówili apartamenty na kilka miesięcy wcześniej, wiedząc, że hotel zostanie otwarty, gdy rozpocznie się sesja Kongresu. To było najbardziej udane otwarcie spośród czterech. Laura знаła już większość czyhających pułapek, a Kelly pracowała tak ciężko jak nikt inny, żeby ich uniknąć.

— A więc zatrzymasz mnie na jakiś czas — powiedziała do Laury, gdy spotkały się na drinka pod koniec dnia. — Nie miałam pojęcia, jak bardzo chciałam wydostać się z tej wyspy, dopóki się z niej nie wydostałam. A może chodziło o to, żeby odejść od Johna

i nie czuć się winną, że lubię ciężko pracować? — Podniosła kieliszek. — Dziękuję. Jestem tak zadowolona jak nigdy w życiu.

Laura dotknęła swoim kieliszkiem kieliszka Kelly.

— Wykonałaś wspaniałą pracę. Nie muszę się o nic martwić.

— Będiesz się martwić, kiedy porozmawiamy o przekroczonych kosztach. Ale mamy rezerwacje aż do Święta Dziękczynienia, więc może nie powinnyśmy się martwić o pieniądze.

— Ja zawsze martwię się o pieniądze. Nie słyszałam wcześniej o przekroczonych kosztach.

— Nie były one tak duże, żeby należało cię zawiadamiać. Zwiększyły się w ostatnich trzech tygodniach, gdy staraliśmy się zdążyć na czas. Jutro przejrzymy księgi. Nie sądzę, abyś była bardzo zaskoczona.

— Nigdy nie jestem zaskoczona, gdy coś kosztuje więcej, niż się spodziewałam — rzekła oschle Laura. — Przejrzymy księgi pojutrze. Jutro będziemy miały dość pracy na benefisie.

Oficjalne otwarcie hotelu Waszyngton Beacon Hill było połączone z benefisem orkiestry symfonicznej. Pięciuset gości ze świata polityki, biznesu i sztuki jadło kolację i tańczyło w sali balowej, otwierając sezon towarzyski w mieście i przyczyniając się do reklamy hotelu. Laura zatańczyła pierwszy taniec z Currierem.

— Wyglądasz szczególnie uroczo — powiedział. — Zawsze najbardziej lubiłem cię w bieli.

Uśmiechnęła się.

— Dziękuję. — Była ubrana w białą, atlasową bluzkę ze skromnym kołnierzykiem i bursztynową spódnicę z tafty, która

wirowała, gdy tańczyli walca. — A ty wyglądasz elegancko i radośnie — powiedziała Laura. — To nowy triumf w interesach czy nowa kobieta? — Czy przeszkadzałoby ci, gdyby to była nowa kobieta? Laura milczała, kiedy robili pełny obrót na parkiecie.

— Troszeczkę, bo byłabym odrobinę zazdrosna. Ale to wszystko. Cieszę się z twojego szczęścia, Wes. Mam nadzieję, że ona jest dla ciebie bardzo dobra. Czy ją znam?

— Tak, ale wolałbym ci nie mówić, kto to jest, dopóki nie upewnię się, co z tego wyniknie. Ona jest mężatką, choć od dłuższego czasu to nie jest prawdziwe małżeństwo. — Currier przytulił Laurę mocniej. — Jesteś uroczą damą, moja droga. Laura zarumieniła się i pocałowała go w policzek.

— Miło słyszeć takie słowa. Dokończyli taniec w milczeniu.

— Jeśli już mowa o partnerstwie, przed wyjazdem chciałbym przejrzeć księgi. Czy odpowiada ci jutro rano? — rzekł Currier, gdy opuszczali parkiet.

— Oczywiście. Rozmawiałam już o tym z Kelly. Będę w jej biurze o dziesiątej... — Przerwała. — Wes, zjawił się Britt Farley.

— Tak? — Wes podążył za jej wzrokiem. — Do diabła. Zajmę się nim. Może trzeba będzie go wyprosić, jeśli zechce narobić kłopotów.

— Nie zanosz się na to. On jest jakiś odmieniony. Wygląda lepiej niż kiedykolwiek. Ja z nim porozmawiam. Zatańczysz z żoną senatora Brookstone'a. Siedzi sama i nie jest jej zbyt wesoło.

— Więc postaram się ją rozweselić. Dziękuję ci za taniec.

— Było cudownie, Wes.

Przeszła drobnym krokiem przez parkiet i podeszła do Farleya, który składał zamówienie u kelnera.

— Dwie wódki z tonikiem i białe wino dla pani. — Dostrzegł Laurę i jego oczy rozbłysły. — Patrzyłem, jak tańczysz. Wyglądasz olśniewająco. Lauro, to moja dobra przyjaciółka, Laura. Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że to moje ulubione kobiece imię.

Laura i młoda dziewczyna uściśniły sobie ręce.

— Przysiądź się do nas — poprosił Farley. — Wiem, że jesteś zajęta, ale usiądź na parę minut.

Usiadła na krzeselku, które dla niej przytrzymał.

— Szukałam cię po filmie w Paryżu. Dokąd poszedłeś?

— Wróciłem do hotelu i płakałem jak dziecko. Ryczałem, rzucałem się i myślałem o samobójstwie. Uwierzyłybyś?

— Tak.

— Wiedziałem. Louie mówi, że przesadzam, ale jego tam nie było, do cholery. Widziałaś ten film: przystojny, wysoki Farley, wyglądający jak jakieś bóstwo, a potem, pod koniec, nędzny, paskudny wrak... Paul jest świetny, wiesz. To geniusz. Zrobił coś, co sprawiło, że na początku wyglądałem nawet lepiej niż w rzeczywistości. No, wiesz, nie jestem najbystrzejszym facetem na świecie, ale myślę, że zrobił jakąś sztuczkę z oświetleniem, kontrastem czy czymś w tym rodzaju i dzięki temu wyglądałem zachwycająco. Dlatego też wyglądałem o wiele gorzej pod koniec. Mogłem myśleć tylko o tym, że niszczyłem siebie przez wiele lat i powiem ci, że to mną wstrząsnęło. Paul tego dokonał. Pokazał mi to, o czym nie mówił mi nikt inny. O Boże, Lauro, dlaczego nikt mi nie powiedział, że tak wyglądam?

— Miałeś lustro.

— Nie patrzyłem w nie. Albo nie widziałem tego, co pokazuje. Tak mówi mój psychoanalityk. Twierdzi, że wszędzie widziałem swój wyidealizowany obraz. Wiesz, co to znaczy?

— Myślę, że tak. Niczego teraz nie zażywasz?

— Piję wódkę z tonikiem — powiedział, gdy kelner postawił przed nim drinka. — Maksymalnie dwa drinki dziennie. Codzienne spotkania z psychoanalitykiem. Codzienne poranne ćwiczenia. Lekcje tenisa po południu. Rozmowa z Louiem raz lub dwa razy dziennie, żeby przekonać go, że jestem gotów do pracy, choć on twierdzi, że jeszcze nie może mnie sprzedać. Nocne igraszki z Laurą — moją nową Laurą. I ci wszyscy ludzie z grupy wsparcia, których spotkał taki sam los jak mnie i którzy też próbują wyprostować swoje życie. Dzwonię do nich, kiedy tylko mam potrzebę pogadania z kimś. Czy to wszystko brzmi nieciekawie?

— To wygląda na ciężką pracę.

— I tak jest. Wiedziałem, że na to wpadniesz. To diabelnie ciężka robota i nie znoszę jej. Ale za każdym razem, gdy myślę, że nie warto się męczyć, oglądam ten cholerny film. Paul dał mi kasetę. To moja bajka na dobranoc. Przypomina mi, żebym był grzecznym chłopcem.

Laura położyła rękę na jego dłoni.

— Naprawdę jesteś wystraszony.

— Śmiertelnie, kochanie. Co będzie jeśli mi się nie uda? Nie chcę umierać, wiesz... Cholera, o czym ja gadam na twoim przyjęciu? Zatańcz ze mną. — Odwrócił się do dziewczyny. — Lauro, nie będziesz miała nic przeciwko temu, prawda? To dobra przyjaciółka.

Dziewczyna pokręciła głową i Farley poprowadził Laureę na parkiet. Tworzyli zadziwiająca parę. Niektórzy otwarcie im się przyglądali.

— Nie martw się o mnie—powiedział Britt. — Każdy się czegoś boi. Słowa psychoanalityka. Wszyscy się boimy i uciekamy od czegoś: od przeszłości, teraźniejszości, przyszłości. Ja jestem taki sam. Aleja boję się o to, żebym nie przestał się bać. Jak myślisz? Uda mi się?

— Myślę, że masz duże szanse. Pewne rzeczy zostają w nas i będziesz musiał wciąż walczyć, ale z czasem to staje się łatwiejsze.

— Jestem w tobie zakochany. Wiedziałaś o tym? — zapytał.

— Tak. — Uśmiechnęła się łagodnie. — Ale masz swoją Laureę, Britt i wygląda na to, że ona za tobą szaleje. Myślę, że mógłbyś ją pokochać, gdybyś pozwolił sobie spróbować.

— Boże, mówisz jak mój psychoanalityk. Mógłbym zrobić to czy tamto, gdybym tylko sobie pozwolił. Więc co mnie powstrzymuje? Powiedz mi. Jeśli wiem, że coś jest dla mnie dobre, to dlaczego tego nie robię?

Laura bezradnie pokręciła głową.

Dlaczego ja nie mogę zapomnieć o Paulu i mojej złości na Salingerów i o przekonaniu, że muszę zdobyć od nich jeszcze więcej? Wiem, że byłoby dla mnie lepiej, gdybym o tym zapomniała, więc dlaczego nie potrafię?

Taniec się skończył.

— Powinnam pomóc Kelly. Dzwoń do mnie, Britt. Chcę wiedzieć, jak się miewasz.

— Zmów za mnie modlitwę — odparł żartobliwie.

— Zrobię to. — Pocałowała go w policzek i zostawiła go przy stoliku z jego Laurą, dwoma drinkami i prywatną wojną, którą toczył z samym sobą.

Pary zatrzymywały ją, gdy przechodziła przez parkiet. Zapraszano ją na bale i kolacje w Chicago, w Filadelfii i w Nowym Jorku. „Przecież masz tam hotele. Na pewno często tam bywasz”. „Tak, ale nigdy nie wiem kiedy” — odpowiadała. „Zadzwoń, będziemy w kontakcie”. „Dziękuję bardzo...” Czasem wydaje mi

się, że świat opiera się na przyjęciach, pomyślała. Gdyby ich zabrakło, co stałoby się z czasem tych wszystkich ludzi? Czym by go wypełnili?

Uśmiechała się do siebie. Nagle wpadła na Claya tańczącego z Myrną.

— O mój Boże. — Przeprosiła ich. — Zaskoczyliście mnie. Clay, myślałam, że jesteś w Nowym Jorku. I nie wiedziałam, że ty i Myrna jesteście znowu razem.

— Właśnie podejmujemy decyzję—powiedziała Myrna. — Clay mówi, że tego chce,

— Tego? — zapytała Laura.

— I Myrna tego chce — dodał Clay. — Namawiam ją, żeby przeprowadziła się do Nowego Jorku i zamieszkała ze mną. Przekonamy się, jak będzie nam się to podobało.

— Mieszkaliśmy razem w Chicago i było nam dobrze — przypomniała Myrna. Clay wzruszył ramionami.

— Chciałbym spróbować. Pewne rzeczy wymykają się spod kontroli i pomyślałem sobie, że byłoby miło mieć cię znowu obok siebie.

— Co to znaczy „wymykają się spod kontroli”?—spytała Laura.

— Tyle rzeczy dzieje się jednocześnie — odparł, gestykulując. — Na przykład w pracy. Jest lepsza, niż się spodziewałem. Większa odpowiedzialność. Większe sumy są zależne od moich decyzji. Niełatwo z tym żyć. Pomyślałem sobie, że byłoby dobrze trochę się odprężyć. Nie chcę ograniczać fascynujących zajęć. Znasz mnie, Lauro. Muszę coś zrobić, bo inaczej zwariuję, ale muszę to jakoś zrównoważyć czymś...

— Spokojniejszym — dokończyła Myrna. — I czymś stałym. Mężczyźni tego potrzebują — powiedziała do Laury. — Bez nas oni po prostu błądzą. Kocham Claya i chcę się nim zająć, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

— Hej, nie musisz prosić Laury o pozwolenie, jeśli chcesz mnie uwieść! — roześmiał się Clay. — Ona nie jest moim strażnikiem. Jest ukochaną siostrą i szefową, ale nie strażnikiem.

Zachowuje się bardzo dziwnie, pomyślała Laura. Będąc świeżo po spotkaniu z Farleyem, zaczęła zastanawiać się, czy Clay nie jest pod wpływem narkotyków. Ale raczej nie. Prawdę mówiąc, za-

chowował się tak jak zawsze. Słodki i czarujący, pałający większą energią, niż mógł w sobie pomieścić, snujący zbyt wiele planów jednocześnie, uzależniony od kobiet. Zdała sobie sprawę, że jest niewiele młodszy od Paula, gdy ten planował swój ślub z Laurą. Ale Paul był mężczyzną, a Clay jest nadal chłopcem obawiającym się dorosnąć. Prawdopodobnie obawiającym się małżeństwa. Ale zadzwonił do Myrny, wiedząc, że ona chce małżeństwa. „Wymyka się spod kontroli”. Chodzi o jego hazardową grę w karty. Będzie musiał dać sobie z tym radę tak samo, jak Britt z narkotykami. Jeśli Myrna może mu pomóc, to dobrze.

— Cokolwiek zdecydujecie, nie mam nic przeciwko temu. Jeśli mogę wam w czymś pomóc, to dajcie mi znać. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie, Clay. Jak to się stało, że jesteś tutaj? Sądziłam, że w tym tygodniu miałeś być w Filadelfii, a dopiero w przyszłym w Waszyngtonie.

— Tak, ale obiecałem Myrnie, że przyjdziemy na to otwarcie. Błyskawicznie wracam do pracy. W Filadelfii będę już jutro przed południem. Hej, Lauro, nie złość się na mnie. Nie mogę tego znieść. Czy stało się coś strasznego, że przyjechaliśmy na przyjęcie, skoro byliśmy tak blisko?

Laura zawahała się.

— Nic się nie stało. Wszystko w porządku. Chyba po prostu lubię wiedzieć, gdzie jesteś. Bawcie się dobrze. Zadzwon do mnie rano przed wyjazdem. Będę w gabinecie Kelly.

— Jasne.

— Dzięki, Lauro — powiedziała Myrna.

Laura nie była pewna, za co Myrna jej dziękuje, ale właśnie Ginny machała do niej z baru po drugiej stronie sali, więc skinęła głową, pocałowała Claya i odeszła. Kiedy odwróciła się w ich stronę, znowu tańczyli, tak zmysłowo jakby się kochali.

Ginny była ubrana w czarną suknię pokrytą cekinami, które odbijały każdy promień światła.

— Co o tym sądzisz? Wyglądam jak symbol seksu czy jak czarownica wieczoru?

— Seks wygrywa — roześmiała się Laura. — Od dawna tutaj jesteś?

— Wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak tańczysz z Brittem. Plotka głosi, że za niego wyjdiesz.

Laura westchnęła.

— Wolalabym, żeby „plotka” głosiła, że hotel Beacon Hill jest najlepszy w Waszyngtonie albo że wszystkie hotele Beacon Hill są najlepsze, niezależnie od tego, gdzie się znajdują, albo że Laura Fairchild zarządza hotelami najlepiej w Ameryce. Dlaczego ludzie zawsze muszą plotkować o tym, kto z kim śpi lub z kim się żeni albo z kim nie śpi i z kim się nie żeni?

— Ludzie wolą seks od interesów, wiesz o tym. Lubią też biznes, zwłaszcza jeśli jest bezwzględny. Aie seks zajmuje pierwsze miejsce. Ty i Wes byliście najdoskonalszą kombinacją. Spaliście ze sobą, pracowaliście razem i razem robiliście pieniądze.

— My nie byliśmy bezwzględni.

— Trzy na cztery to wcale nieźle. — Roześmiały się i Ginny powiedziała. — Napijmy się drinka. Chcę o czymś z tobą porozmawiać.

— O seksie czy interesach?

— O interesach.

— Więc z przyjemnością porozmawiam.

Usiadły przy wiktoriańskim barze, na krzesłach z wysokimi oparciami. Laura uratowała je z rezydencji, która miała być zburzona wtedy, gdy odnawiano hotel.

— Dwa razy armagnac — zamówiła Ginny u barmana, po czym pochyliła się w stronę Laury, żeby nie podnosić głosu, mimo innych rozmów i dźwięków orkiestry.—Przyjęcie nie jest najlepszym miejscem na omawianie interesów, ale kiedy postanowię zrobić coś dobrego, muszę to z siebie wyrzucić, bo inaczej pękne. Słuchaj! Cokolwiek plotka głosi, dla mnie ważne jest to, że twój hotel jest zachwycający. Masz absolutną rąkę. Każdy hotel Beacon Hill jest najlepszy. Żaden hotel nie jest domem, ale ty najbardziej zbliżyłaś się do tego ideału. Imponujesz mi, moja droga, i kocham cię. — Przerwała, by pomachać Danielowi Inouti, który pozdrawiał ją z drugiego końca sali. — On buduje nowe hotele dla Salingerów. Myślę, że przyjechał tu w charakterze szpiega.

— Został zaproszony — powiedziała Laura ze śmiechem. — Dlaczego miałby szpiegować? Wszystko, co robię, zostało i tak opisane w hotelowych czasopismach. Tak czy inaczej, Feliks nie lubi małych hoteli. Woli ogromne i anonimowe gmachy z małymi pokojami za wysoką cenę. Po prostu kwatery na jedną noc.

Oczy Ginny zabłysły.

— To mi się podoba. Nie lubisz Feliksa.

— To nie żaden sekret.

— Chcesz wykupić udziały w jego przedsiębiorstwie?

— Wiesz dlaczego. Opowiadałam ci tę historię.

— Opowiadałaś. — Podano im drinki i Ginny zaczęła popijać swój. — Dobrze.

Zawsze masz w barze to, co najlepsze.

— Ginny, krążysz wokół tematu. O czym chciałaś ze mną pomówić.

— O tobie i Salingerach. Czy nadal chcesz wykupić te udziały?

— Oczywiście. Ale nie znalazłam jeszcze sposobu na zgromadzenie pieniędzy i nie wiem, czy ktokolwiek chciałby sprzedać udziały, nawet gdybym miała pieniądze.

— O tym właśnie chcę porozmawiać. Nigdy nie prosiłaś mnie, żebym zainwestowała w OWL Development. Nigdy nie prosiłaś mnie o pożyczkę. To mi się podoba. Przyjaźni nie należy mieszać z interesami. Zazwyczaj. Jednak widziałam, jak otwierasz i uruchamiasz cztery hotele. Jaką masz frekwencję?

— Ogółem? Pomiedzy 75 a 88 procent.

— To niespotykane w hotelowym biznesie.

Laura skinęła głową. Czekwała w napięciu, bo spodziewała się, co Ginny ma zamiar powiedzieć.

— Właśnie — rzekła Ginny. — Więc jesteś dobra. Wszyscy o tym wiedzą. Chcę się przyczynić do rozwoju twojego interesu. Skonsultowałam się z moimi księgowymi.

Postanowiłam udzielić ci pożyczki na kupno udziałów w Sieci Hoteli Salingera.

Laura objęła Ginny i przytuliła swój policzek do jej policzka. Siedziały tak przez chwilę bez słowa, bez potrzeby mówienia czegokolwiek. Potem Laura wyprostowała się.

— Tak wielu ludzi mi pomogło — szepnęła. Ginny musiała wyteńczyć słuch, żeby usłyszeć jej słowa. — Miałam szczęście spotkać tak wielu wspaniałych ludzi...

— To nie jest szczęśliwy przypadek — zaoponowała Ginny. — Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele ty dajesz ludziom? Słuchasz, jak mówią o swoich kłopotach. Nie oceniasz ich. Zapraszasz ich na swoje przyjęcia. Nie mówisz wiele o sobie, za to innym poświęcasz całą uwagę. Pamiętasz Chicago? Myślałam, że postępujesz głupio, siadając z Brittem przy stoliku nazajutrz po tym szczekaniu, ale myliłam się. Teraz masz w nim przyjaciela na całe życie. Teraz on może zrobić dużo dla ciebie.

— Nigdy w ten sposób nie manipulowałam ludźmi — obruszyła się Laura.

— O to właśnie chodzi! Postępujesz tak, bo zależy ci na ludziach. Wiem, że tak jest. Ty sama przeżyłaś ciężkie chwile. Ale nie wszyscy, którzy takie chwile przeżyli, pamiętają o nich. W żadnym razie — oparła się wygodnie i popijała swój koniak — nie powinnaś się dziwić, że ludzie chcą coś dla ciebie zrobić. Pożyczam ci pieniądze, bo jesteś wspaniałą kobietą interesu i warto ulokować u ciebie kapitał. Co prawda, potrafię być sentymentalna, ale nie wtedy — przynajmniej mam nadzieję, że nie wtedy — gdy pożyczam dziesięć milionów dolarów.

Laura spojrzała na nią oszołomiona. Śmiechy, rozmowy i rytmiczna muzyka zadudniły jej w uszach. Ile?

— Dziesięć milionów. W przybliżeniu.

— Jak to? Czy wiesz o kimś, kto chce już sprzedać udziały? Ginny kiwnęła głową. Przyjaciele przyjaciół. Przedsiębiorstwo przeżywa kryzys. Feliks działa ze zbyt wielkim rozmachem. Czeka ich ciężka praca, jeśli chcą odbudować swoją mocną pozycję. Jeden z członków zarządu chce się wycofać, póki jeszcze cena jest dla niego korzystna. Posiada dwa procent udziałów — warte dziesięć milionów dolarów i tyle ci oferuję, żebyś mogła wykupić te udziały. O procentach i innych warunkach porozmawiamy później. Mogę tylko obiecać, że będą bardzo korzystne, jeśli tylko to ci odpowiada.

„Z trzydziestu procent moich akcji w Sieci Hoteli Salingera pozostawiam dwadzieścia osiem procent do równego podziału dla moich synów Feliksa i Asy Salingerów. Zaś najukochańszej Laurze Fairchild, która wniosła radość i miłość do ostatnich lat mego życia, zapisuję pozostałe dwa procent udziałów...”

Dwa procent.

Owennie, udało się nam.

Laura wzięła rękę Ginny w swoje dłonie i jeszcze raz pochyliła się, by pocałować ją w policzek.

— Najdroższa Ginny — powiedziała — bardzo mi to odpowiada.

Rozdział dwudziesty ósmy

Za szóstym razem skradziono sześć rysunków Matisse'a z hawajskiej posiadłości Daniela Inouti. Kradzieży dokonano, gdy przebywał on w Londynie na zjeździe rodzinnym z okazji Świąt Wielkanocnych. Nic więcej nie zginęło, nie zostawiono żadnych śladów.

Sam Colby był wściekły. Sześć! Sześć różnych miejsc w obrębie dwóch kontynentów. Żadnych śladów, oprócz tego, że sposób kradzieży był zawsze taki sam. Na czym, do diabła, miał oprzeć swoje dochodzenie? Odebrał to jako osobistą zniewagę. Jak tylko zdołał załatwić formalności, poleciał na Hawaje. Inouti właśnie tam wrócił z Londynu.

— Proszę wszystko mi opowiedzieć!

— O czym? — zapytał Inouti.

— O wszystkim. Skąd mam wiedzieć, co okaże się istotne, dopóki tego nie usłyszę?

— Rozmawiali na werandzie z widokiem na ocean. Przed nimi rosły piękne orchidee. Po bezchmurnym niebie szybowwały ptaki. Colby nie zauważał tego piękna. Równie dobrze mógł siedzieć w lochu. — Niech pan zacznie od służby. Na ogół to oni są podejrzani. Ile pan ma domów?

— Cztery.

Colby westchnął i zaczął zadawać pytania.

— Dobrze, a pański harmonogram podróży?

— Nie zna go prawie nikt poza moją sekretarką.

— Ale każdy może do niej zadzwonić i dowiedzieć się, gdzie pan jest.

— Oczywiście. Robienie ze mną interesów byłoby niemożliwe, gdybym był nieosiągalny. Nie mam powodu się ukrywać.

— Naturalnie. Chcę wiedzieć, dokąd pan podróżował w zeszłym roku.

— Dlaczego chce pan to wiedzieć?

— Bo pewien złodziej wiedział, kiedy nie będzie pana na Hawajach, a ja nie chcę, żeby on albo oni byli jedynymi dobrze poinformowanymi osobami.

Inouti sięgnął do kieszeni i wyciągnął gruby, oprawiony w skórę notes.

— Mogę panu przeczytać, gdzie byłem.

— Doskonale. — Gdy Inouti czytał, Colby notował i dopiero wtedy zauważył, że słońce już prawie zaszło. Ktoś mu kiedyś powiedział, że koniecznie musi obejrzeć hawajski zachód słońca, jeśli będzie miał taką okazję. Przegapiłem, pomyślał. Może jutro. — Czy możemy zapalić światło? — zapytał.

Inouti pociągnął za dzwonek. Pojawił się służący, który zapalił górne światło oraz rząd lamp naftowych na skraju werandy. Po godzinie analizowania trasy podróży Inouti zaprosił Colby'ego na kolację.

— Ja nie mam żadnych planów na wieczór, a pan na pewno jest głodny.

— Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie — odparł Colby. Kolacja była wystawna, rozmowa — miła. Colby pozwolił sobie

na odprężenie. Lecz kiedy Inouti wypalił cygaro, Sam odsunął krzesło. Do roboty!

Czuł, że musi nastąpić jakiś przełom. Musi rozwikłać sprawę tych przeklętych kradzieży, bo inaczej będzie musiał wrócić do Feniks i umrzeć z nudów.

Wzięli swoje kieliszki z koniakiem do salonu i Colby znowu otworzył notes.

— Zatrzymaliśmy się w Madrycie. Dokąd pojechał pan potem?

— Przez miesiąc gościłem w San Francisco u mojej zameżnej

córki, potem byłem w Hongkongu z synem i jego rodziną. Stamtąd, w sierpniu, poleciałem do Bangkoku.

— Gdzie się pan zatrzymał?

— W hotelu Bangkok Regency. — Miał pan tam różne spotkania?

— Tak, bardzo wiele.

— A potem?

— Poleciałem do Amsterdamu. Zatrzymałem się w Amsterdam Salinger. Tak, miałem spotkania w swoim apartamencie i, jak sędzę, większość ludzi wiedziała, że następnie wybieram się do Nowego Jorku.

— A w Nowym Jorku?

— Hotel Beacon Hill. Tam, oczywiście, też odbyłem wiele spotkań i jestem pewien, że wspominałem, iż wybieram się do Waszyngtonu. W Waszyngtonie — to był październik — zatrzymałem się w nowo otwartym hotelu Beacon Hill.

Colby pisał, starając się nadażyć za szybką relacją swego rozmówcy, ale jego ręka nagle zatrzymała się.

— Beacon Hill — mruknął.

— Tak. To najznakomitsze hotele, jakie znam. Czy był pan w którymś z nich?

— Jeszcze nie. Proszę dalej. Dobrnęliśmy do października.

— Do lutego tkwiłem tutaj, potem w Genewie, w hotelu Geneva Marquis. Potem poleciałem do Rzymu i mieszkałem u przyjaciół, po czym wybrałem się do Londynu, by spędzić święta z rodziną. To cały rok mojego życia.

— Z kim pan podróżował?

— Panie Colby, to prywatna sprawa. — Colby próbował nalegać dla dobra śledztwa, ale nie naciskał zbyt mocno, ponieważ mimo zmarszczonych brwi i stanowczego głosu, w głębi duszy Sam Colby drżał z podniecenia. Miał już punkt zwrotny, na który czekał. Mógł się założyć o ostatniego dolara, że znalazł już nic, która wiąże sześć różnych kradzieży w sześciu różnych miastach na dwóch kontynentach i na Hawajach.

Mylił się. Kiedy powrócił do Nowego Jorku i ponownie przejrzał swoje notatki, zdał sobie sprawę, że tylko pięć z sześciu kradzieży miało ze sobą coś wspólnego.

Kradzież u Serrano nie pasowała do

reszty, więc Colby musiał jeszcze raz porozmawiać z Serrano. Tym razem Paul postanowił pójść z nim.

— Nie, nie, nie — upierał się Colby. — Mówiłem ci już i powtórzę. Nie ma mowy o przeprowadzeniu przesłuchania w ten sposób. Kto zechce udzielać mi szczerych odpowiedzi przed ter-koczącą kamerą skierowaną na niego?

— One nie terkoczą — sprostował Paul cierpliwym głosem. — A Britt Farley mówił szczerze. Najczęściej zapominał o obecności kamerzysty. Kiedy chciał, żeby operator odszedł, odsyłaliśmy go. Sam, nie mogę zrobić o tobie filmu, jeśli nie będę mógł sfilmować cię przy pracy.

— Już filmowałeś.

— Pomyśl tylko — nalegał Paul — co może uczynić film bardziej wyjątkowym niż śledztwo w toku? Publiczność reaguje najbardziej na dramaturgię prawdziwych wydarzeń. Sam, pozwól mi spróbować. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, nie poproszę cię już więcej. Znajdę inne sposoby.

Colby zawahał się. Wiedział, że doskonale przeprowadzał przesłuchania. Myśl o zachowaniu tego na taśmie filmowej dla potomnych sprawiła, że nie potrafił odmówić.

— Stawiam dwa warunki — ustąpił. — Po pierwsze, wyjdiesz, jeśli Serrano będzie sobie tego życzył. Po drugie, nie powiesz nikomu ani słowa o tym, co usłyszysz podczas przesłuchania. Ani żonie, ani matce, ani nawet swojemu fryzjerowi. Chcę, żebyś to uroczyście przyrzekł.

— Masz na to moje słowo. Możesz mi zaufać, Sam. Wiesz o tym.

— Myślę, że tak jest. Nigdy nie wiem niczego na pewno, jeśli nie mam sterty dowodów. Dobrze. Jutro rano w Acapulco. Lot o ósmej trzydzieści.

Mieszkanie Carlosa Serrano wydawało się unosić nad zatłoczonymi ulicami i plażami Acapulco. Ściany były ze szkła. Z głębokiej kanapy Paul mógł zobaczyć tylko ocean łączący się z bezchmurnym niebem kwietniowego poranka. Szczególny charakter siedzibie Carlosa nadawały obrazy, zawieszona nimi, mieniła się kolorami. Jedna ściana tylko się wyróżniała: była pusta.

— Zostawiłem ją tak — powiedział Serrano — żeby przypominała mi, że zostałem obrabowany i muszę być bardziej czujny.

— Dobrze — kiwnął głową Colby. — Jestem wdzięczny, że zechciał się pan znowu ze mną spotkać. Był pan bardzo cierpliwy, ale mam jeszcze kilka pytań i chciałbym powrócić do kilku pańskich poprzednich odpowiedzi. Przepraszam za tę niedogodność.

— Nic nie szkodzi. Chodzi tu przecież o moje obrazy. Proszę pytać, o co pan zechce, Colby przekartkował swój notes i zapisał kwietniową datę na nowej stronie.

— Chciałbym, żeby pan jeszcze raz przypomniał sobie, gdzie pan był w roku poprzedzającym kradzież, ludzi, z którymi się pan spotykał i gości, których pan tutaj przyjmował.

— Wie pan, jakich ludzi spotykałem. Rozmawialiśmy już o tym.

— Przeprosiłem już pana za to, że niektóre rzeczy będziemy musieli powtórzyć. Sądzę, że to konieczne.

— W takim razie... — Serrano otworzył notes leżący na stoliku. — Widzi pan, inspektorze. Przygotowałem się do rozmowy z panem. — Wyjął stos notatek. — Prawdę mówiąc, przypomniałem sobie kilka rzeczy, o których zapomniałem. Od jakiego momentu chciałby pan zacząć.

— Został pan okradziony rok temu, w listopadzie. Proszę zacząć od początku tego roku.

Kamerzysta sfilmował już ogromny pokój, widok z okna i kolekcję sztuki w dwunastu innych pokojach apartamentu. Teraz stał cichutko w odległym zakątku pokoju z kamerą skierowaną na Serrano. Paul robił notatki na temat oświetlenia, dźwięku, pytań, które ilustrowały mistrzostwo Colby'ego, jego gestów, które wskazywały na to, że był czymś szczególnie zainteresowany. A był zainteresowany spotkaniami w hotelach. Paul zanotował, że musi go o to zapytać.

— Gdzie pan się zatrzymał w Aspen? — spytał Colby.

— Wynająłem dom na Red Mountain, ale to nieistotne. Nie miałem tam żadnych spotkań. Pobyt w Aspen poświęciłem na wypoczynek.

— Dwumiesięczny?

— W Aspen są świetne warunki narciarskie. Kupiłem tam również dwa obrazy w znakomitej galerii Joanne Lyon, więc trochę zajmowałem się interesami, ale nie było żadnych spotkań.

— W porządku. A latem?

Serrano wymienił letnie podróże. Były to podróże z przyjaciółmi.

— We wrześniu byłem w Chicago, aby spotkać się z pośrednikami...

— Nie wspominał pan o Chicago, podczas naszej pierwszej rozmowy — przerwał Colby.

— To jedna z rzeczy, o których zapomniałem. Zatrzymałem się w hotelu Beacon Hill i skorzystałem dwukrotnie z sali konferencyjnej hotelu.

— Jak długo pan tam mieszkał?

— Około pięciu dni.

— A potem?

Serrano mówił dalej, ale Paul przyglądał się twarzy Colby'ego. Zaszła w niej jakaś zmiana. Nie wykazywał już takiego zainteresowania, jak kilka chwil wcześniej.

Usłyszał to, co chciał. Paul przemyślał dotychczasową rozmowę. Aspen. Galeria Joannę Lyon. Mieszkania przyjaciół w Szwajcarii i we Włoszech. Chicago.

Spotkanie z pośrednikami w Beacon Hill.

— Co to było? — zapytał w samolocie, kiedy wracali do Nowego Jorku.

Colby pokręcił głową.

— Na razie nie mogę ci powiedzieć. — Otworzył swój notes, tym samym ucinając dalszą dyskusję.

Musiał myśleć i planować. Musiał wpaść na pomysł, jak utkać sieć na podstawie pięknego faktu wspólnego dla wszystkich sześciu poszkodowanych osób.

Wszystkie zatrzymywały się w hotelu Beacon Hill na kilka miesięcy przed kradzieżą.

Było prawie lato, kiedy Ginny zakupiła dwa procent udziałów w Sieci Hoteli Salinger. Wszystko odbywało się w jej imieniu. Później miała sprzedać udziały Laurze za pieniądze, które jej pożyczyła, ale chciała, żeby wszystko odbyło się formalnie. To ona pojawiła się w czerwcu na spotkaniu zarządu, podczas którego ostatecznie zatwierdzono sprzedaż. Nie było nawet dyskusji. Nazwisko Starrett było znane i głosowano jednomyślnie.

— Dobrze, że przyłączyłaś się do nas — rzekł Cole Hatton. — Znali się z dawnych czasów.

— Wzmacnia pani nasz zarząd — powitał ją oficjalnie Feliks. Znał wcześniej Wylie'ego Starretta. Wylie zawsze wierzył w powiększanie wielkiego interesu, więc Feliks zakładał, że Ginny będzie taka sama, bo kobiety na ogół prowadziły interesy, jak ich mężowie, nawet jeśli się potem z nimi rozwodziły. Ginny będzie jego sprzymierzeńcem w walce o to, by utrzymać nietknięte przedsiębiorstwo, zamiast sprzedawać jego części, w czasie przejściowych trudności.

— Mamy raczej trudności — powiedział do Ginny, gdy pili kawę po zebraniu. — Trudno to nazwać kryzysem. Frekwencja się zmniejszyła, ale to pewna cykliczność w tym interesie. Budujemy dwa nowe hotele, więc koszty wzrosły, ale to też nic nowego.

— Jak zdażyłam się zorientować, część członków zarządu chce sprzedać kilka hoteli — zaczęła Ginny udając, że Hatton i człowiek, który sprzedał jej udziały, nie powiedzieli jej wszystkiego, co należało wiedzieć.

— Kilka osób jest tego zdania — odparł krótko Feliks. — Nie dojdzie do tego. Zmienił temat. Nie było powodu opowiadać jej o innych kłopotach: o podstępny łajdaku, który wkradł się do rodziny; o tym, że Leni spędza większość czasu w Nowym Jorku, a kiedy jest w domu, raczy być ledwie uprzejma, prawie jak obca osoba. Jak zawsze spokojna i elegancka, ale łącząca go z nią wątpliwość poczucia obowiązku zniknęła. Chyba nie było już niczego, cóż mogłoby ich wiązać.

Ale nie wywierał na nią nacisku. Bał się. Nawet ktoś obcy był lepszy niż nikt, a ona wydawała się skłonna nadal być formalnie jego żoną. Zawsze mógł znaleźć kobietę, kiedy tego potrzebował. Nie o to chodziło. Spanie z Leni było o wiele mniej ważne od świadomości, że jest jego żoną i że świat o tym wie.

— Kupiłem bilety na bal w Tanglewood, na przyszły miesiąc — powiedział do niej przy kolacji w czerwcu. Byli u Allison i Bena w Beacon Hill razem z Asą i Carol oraz Thomasem i Barbarą Janssenami. — Pojedziemy z samego rana i obejrzymy okolicę. Od dawna nie miałem żadnego wolnego dnia.

— Nie sądzę, abym miała czas — powiedziała cicho Leni. — Bywaliśmy tam już tyle razy... Może wy się wybieriecie? — zwróciła się do Allison i Bena. — To uroczą impreza.

— Może pojedziemy — rzekła Allison. — Byłoby dobrze dla siostry lub brata Judda, żeby zażyli wielkiego świata od samego początku.

— Allison! — wykrzyknęła Leni, a Allison i Ben wymienili uśmiechy poprzez stół.

— Kiedy się dowiedziałas?

— Dziś rano.

— Kiedy to będzie? Och, jak to cudownie dla was i dla Judda, chociaż prawdopodobnie z początku nie będzie tak uważał. Tak się cieszę waszym szczęściem. Czy to nie cudowne? Dzieje się tyle dobrych rzeczy...

Feliks nic nie powiedział. Pozwolił mówić innym, ukradkiem obserwując Bena z wściekłością. Syn Judda Gardnera siedzi na miejscu Owena, wypełnia dom Owena dziećmi, planuje — Feliks był tego pewien — przejąć przedsiębiorstwo i zagarnąć w nim miejsce Owena. Przebiegły łajdak, podstępna kanalia. Zaprzyjaźnił się z Thomasem Janssenem i Cole'em Hattonem, a nawet z Asą! Feliks nie mógł nic na to poradzić... nic, nic, nic. Przynajmniej nie teraz. Jeszcze się nie poddał. Nigdy się nie poddawał, gdy gra toczyła się o wysoką stawkę. Pozbędzie się tego łajdaka. Wiedział, jak silną kontrolę będzie musiał sprawować nad zarządem w nadchodzących miesiącach, więc pozbycie się Bena Gardnera stawało się celem, który spychał wszystkie inne sprawy na plan dalszy.

Rozmyślał nad tym nawet w samochodzie, w drodze do domu. Asa prowadził, wymieniając od czasu do czasu jakieś uwagi z Carol, a Feliks i Leni siedzieli sztywno na tylnym siedzeniu, nie dotykając się.

— Chcę, żebyś była na tym balu w Tangiewood — powiedział, gdy stanęli przed drzwiami domu w ciepły wieczór, — Kilka osób pytało o przyczyny twojej częstej nieobecności. Nie mogę ich lekceważyć. Zależy mi na tym, co sobie myślą.

— A co sobie myślą? — zapytała Leni.

— Że żyjemy w separacji i tym podobne bzdury.

— Ale my nie jesteśmy razem, Feliksie, Jak może to być bzdurą?

— Jesteś moją żoną. Zawsze dawałem ci wiele wolności, bo to ci odpowiadało.

— I tobie też,

— Odpowiadało to nam obojgu — sprecyzował.

— Odpowiadało ci ignorowanie mnie, dopóki mnie nie po-

trzebowałeś, bo nie chcesz żadnej serdeczności. Potrzebna ci tylko forma. To o wiele łatwiejsze niż obcowanie z prawdziwymi ludźmi i przeżywanie prawdziwych emocji.

— Bzdura. Wiedziałem, czego chcę. Chciałem ciebie. To ty odwróciłaś się ode mnie. Całe życie odnosiłaś się do mnie z rezerwą, tak jak cała twoja rodzina.

Leni włożyła klucz do zamka, ale on położył swą rękę na jej dłoni, powstrzymując ją. Czuł, jak chce się uwolnić z jego uścisku i wtedy wybuchnął, z trudem powściągając wściekłość.

— Nie odejdziesz ode mnie! Zrobisz to, co ci mówię! Niewiele od ciebie wymagam. Chcę, żebyś była na tym balu w Tanglewood i natychmiast powiesz mi, że tam będziesz.

Leni ogarnął strach. Nie mogła znieść jego dotyku. Nie mogła znieść jego bliskości. Ale przecież jestem jego żoną, myślała chaotycznie. Skoro jestem... dlaczego nie miałby sądzić...?

Dlaczego jeszcze tu jest? Ma przecież dom i dobrych przyjaciół w Nowym Jorku. Ma Allison i jej rodzinę, Thomasa i Barbarę, no i Wesa.

Ale oni byli jej znani. Byli częścią jej życia. Wszystko inne było nieznane i przerażające: rozwód, stan wolny, to że nie będzie już żoną. Utraci pozycję towarzyską i stanie się nikim.

Jestem na to za stara, pomyślała.

Ale inne kobiety to robią. Nie jest w tym osamotniona. Tysiące, setki tysięcy kobiet wolą podjąć ryzyko, niż żyć takim życiem... Przypomniała sobie mądre słowa, które skierowała do Allison na temat małżeństwa, tamtego ranka na Cape. Dlaczego nie może postąpić wedle swoich własnych słów i stworzyć sobie innego życia?

— Mówię do ciebie — wysyczał Feliks przez zaciśnięte zęby. Leni nie słyszała tego, co mówił. Jego ręka ścisnęła jej ramię.

Stali na werandzie, bardzo blisko siebie, w białym kręgu światła i wyglądali niemal jak kochankowie.

— Zostaw mnie, Feliks. Puść mnie! — Słyszac swoje własne słowa, wyzwoliła jakąś wewnętrzną siłę. Mogła mówić, mogła działać, mogła przełamać swój strach.

— Zaczęliśmy w ten sposób. Nie kończmy tak samo.

— O czym ty, do diabła, mówisz?

— Zaczęliśmy od tego, że chwyciłeś mnie za ramię i wyprowadziłeś z mieszkania Judda. Nawet mnie uderzyłeś. Nie chcę, żebyśmy kończyli

podobnie. — Wyrwała ramię z jego uścisku. Feliks, zaskoczony, puścił ją. Leni zrećznie otworzyła drzwi i weszła do środka.

Feliks podążył za nią do salonu. W łagodnym blasku lampy sprzęty wydawały się przytulne i zachęcające. Ten pokój powinien być wypełniony miłością. Tymczasem oni stali naprzeciw siebie jak wrogowie.

— Nie ma mowy o kończeniu czegokolwiek — uświadomił jej Feliks chrapliwym głosem. — Nasze małżeństwo jest podobne do wielu innych małżeństw. Skąd, do cholery, biorą się te twoje sentymentalne wizje, że ludzie są szczęśliwi i się kochają. Zostaniesz tutaj. Jest ci lepiej niż wielu innym. Masz swojego kochanka w Nowym Jorku...

— Co?

— Widziano was razem niejedną raz. Ale to nie ma znaczenia. Jeśli tylko będziesz dyskretna i będziesz zachowywać się odpowiednio, będąc tu ze mną, wszystko zostanie tak jak dawniej. Nie ma powodu tego zmieniać. Ja się nie zmienię.

— Ale ja tak. — Jej głos był niski i brzmiał bardziej złowieszczo, niż gdyby na niego krzyczała. — Chcę rozwodu, Feliksie. Pozwoliłam, żeby to trwało. Nie powinnam tego robić. To nie jest małżeństwo, nie jesteśmy małżeństwem. Nie mogę pojąć, dlaczego uważasz inaczej, dlaczego akceptujesz to, co się dzieje, nawet niewierną żonę. Skończmy z tym, Feliksie. Nie zmuszaj mnie, żebym z tobą walczyła. Nie ma już o co walczyć.

— Nie odejdziesz ode mnie. Należysz do mnie i zostaniesz...

— Nie, nie, nie. Raz dałam się na to nabrać. Naprawdę uwierzyłam, że należę do ciebie. Ale drugi raz nie uwierzę. Mam czterdzieści osiem lat i wreszcie chcę żyć pełnią życia.

— Masz tu lepsze życie niż kiedykolwiek przedtem. Wyciągnąłem cię z rynsztoka i dałem ci wszystko.

— Wyciągnąłeś mnie z łóżka człowieka, którego ograbiłeś i zniszczyłeś.

Zapadła nagła cisza.

— Ben — rzekł Feliks, łapiąc oddech. — To on ci powiedział. Drań! Powiedział to, żeby nastawić cię przeciwko mnie. Dlatego tu się zjawił. Ale to kłamca. Cokolwiek ci powiedział...

— On nie kłamał — odparła gniewnie Leni. — Nie powiedział mi o tobie niczego, czego bym wcześniej nie wiedziała.

— Kiedy? Od jak dawna? — Czekał, ale ona milczała. — A więc to Judd. Widziałaś się z nim po tym, jak zostałaś moją żoną i on ci powiedział. To łajdak... wziął moje pieniądze i nie dotrzymał słowa.

— Dotrzymał słowa — powiedziała łagodnie Leni. — Nigdy więcej nie widziałam się z nim.

— Kłamiesz. Skąd mogłabyś się dowiedzieć? To jeden z nich...

— Co za różnica? Gdybym słuchała was uważnie tamtego dnia, zrozumiałabym, o co chodzi i wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale to się już nie liczy. Liczy się tylko to, że nie będę z tobą dłużej żyła. — Zaciśnęła dłonie w pięści, zastanawiając się, dlaczego wypowiedzenie tych słów wydawało jej się takie przerażające. — Nie zostało już nic, co mogłoby mi się w tobie podobać albo robić wrażenie. Robiłaś na mnie wrażenie bardzo długo i myślałam, że to oznacza miłość, podziw albo szacunek. Teraz żadne z tych uczuć nie jest prawdziwe. Nawet już cię nie lubię.

— Więc do diabła z tobą, kłamliwa dziwko! — ryknął. — Łajdaczysz się w Nowym Jorku, a potem wracasz tutaj, jakby tu było twoje miejsce!

— To ty powiedziałeś, że tu jest moje miejsce! Przy tobie! — Zakryła ręką usta, jakby chciała pohamować swoją złość. Leni Salinger powinna być chłodna i opanowana. Nigdy przecież nie krzyczała. — Masz rację. Nie powinnam wracać. Ale dlaczego mi na to pozwalałeś? Dlaczego chcesz mnie teraz? Co z ciebie za mężczyzna, że chcesz kobiety, która nie chce ciebie?

Spojrzał na nią. Jego twarz pobraźniała, gdy przypomniał sobie moment, w którym przestał ją całować, ponieważ się opierała. Ale wtedy był pewny siebie. Pokonał Judda i wiedział, że zdobył Leni dla siebie. Teraz Feliks nie był pewien niczego i po raz pierwszy zaczął wierzyć, że straci swoją żonę. Był przerażony.

— Jesteś mi potrzebna — powiedział ledwo słyszalnym głosem. — Wydarzyło się zbyt wiele niespodziewanych rzeczy. Potrzebuję kogoś, na kogo mogę liczyć. Do diabła, nie mam na kogo liczyć!

Leni spojrzała na niego. Miał sześćdziesiąt jeden lat i przez te wszystkie lata nie zdobył ani jednego przyjaciela, ani jednego bliskiego krewnego, na którego mógłby liczyć. Stał teraz przygarbiony, z posiwiałymi, dłuższymi z tyłu włosami i ciągle jeszcze ciemnymi wąsami, próbując udawać Owena Salingera, którego wszyscy kochali.

— Potrzebuję cię! Słyszysz? Potrzebuję cię!

— Za późno — powiedziała cicho. — Gdybyś powiedział to dwadzieścia lat temu lub dziesięć, mój Boże, nawet pięć... ale gdybyś był zdolny to powiedzieć lub pomyśleć, to byłbyś innym człowiekiem i nie byłoby tego wszystkiego. Teraz jest już za późno.

— Nie jest za późno. — Feliks wyprostował się i przeszedł przez pokój. — Ten głupiec nie jest wart jednej chwili wspomnień, a tym bardziej całego życia. Jego syn jest niewiele lepszy. Jeśli myślisz, że pozwolę ci przedkładać ich ponad to, co nas łączy...

— Nie dotykaj mnie! — Zignorowała jego wyciągniętą rękę i pobiegła do holu. — Czy nie rozumiesz, że nic nas nie łączy? Nie słyszałeś, co powiedziałam? — Zaczęła wchodzić po schodach na pierwsze piętro. — Powtórzę to. Rozwodzę się z tobą, Feliksie. Przepraszam, że nie zrobiłam tego wiele lat wcześniej. Przepraszam, że byłam tchórzem. Ale robię to teraz i nie powstrzymasz mnie. Nie zrobiłbyś tego. Przecież nie chcesz skandalu. Chcesz tylko tego, żeby świat ci zazdrościł.

— Chwileczkę! — Jego twarz pociemniała. Czuł, że za chwilę wybuchnie. — Dokąd idziesz?

— Do swojej sypialni. Powiedzieliśmy już sobie wszystko, co było do powiedzenia. Rano porozmawiam z moim adwokatem...

— Nie spędzisz nocy w tym domu.

— Co?

— To mój dom. Wynoś się!

— Co ty mówisz? To nasz dom.

— Ja go kupiłem. Mieszkałaś tutaj, bo cię tu tolerowałem. Wynoś się!

Leni stała na schodach, niezdecydowana, patrząc na Feliksa. To ona sprawiła, że ten dom stał się tym, czym jest. Wybrała meble, kupiła obrazy, organizowała przyjęcia. Ale robiła to wszystko za pieniądze Feliksa.

— Jeśli tak sobie życzysz — powiedziała wreszcie — mogę przenocować u Allison i Bena. Jutro pojadę do Nowego Jorku...

— Możesz jechać do diabła, ale w tamtym domu, także nie zamieszkaasz.

— To mój dom! Ja go wybrałam i umeblowałam...

— Jest mój. Kupiłem go za swoje pieniądze, utrzymuję go za swoje pieniądze i twoja noga więcej tam nie postanie.

— Feliksie, nie możesz tego zrobić.

— Nie mogę? Nie mogę? Nie masz pojęcia, co potrafię zrobić. Jesteś romantyczną idiotką. Zawsze nią byłaś. Zatrudnię nowego strażnika obok domu w Nowym Jorku i rozkażę mu, żeby cię nie wpuszczał. Możesz mieszkać ze swoim kochankiem.

— Zamieszkać w hotelu Beacon Hill! — odparła ostro.

— Ty przekłeta suko, wynoś się stąd! — Na jego twarzy o lepsze walczyły wściekłość i bezradność.

Wygląda jak dziecko powstrzymujące się od płaczu, pomyślała nagle Leni. Ale wstyd jej było za siebie. To ona zachowywała się jak dziecko, drażniąc go hotelem Laury.

— Przepraszam. Nie powinnam tego powiedzieć. Feliks, proszę cię, byłoby znacznie łatwiej dla nas i dla rodziny, gdybyśmy potrafili współdziałać...

— Współdziałać! — wyrzucił z siebie. — Z niewdzięczną ladacznicą? Podniosłem cię z materaca i uczyniłem szanowaną kobietą. Nigdy mi za to nie podziękowałaś. Nigdy nie powiedziałaś, że wiesz, od czego cię ocaliłem. Nigdy nie podziękowałaś mi za przedsiębiorstwo, które dla ciebie zbudowałem! Współdziałać? Kiedy ty ze mną współdziałałaś? Nie wymagałem, żebyś była tu cały czas. Nie prosiłem, żebyś opowiadała mi o swoich problemach. Nie wypytywałem cię, co robiłaś całymi dniami. Chciałem tylko, żebym dzięki tobie mógł czuć się dumny. Co zrobiłaś, żebym poczuł się dumny? Nic. Musiałem sprawić to sam, wszystko sam. — Westchnął chrapliwie. — Wynoś się z tego domu — powiedział ponurym głosem. — Wynoś się. Nie chcę cię tu widzieć.

Leni patrzyła, jak Feliks siada ciężko na fotelu tyłem do niej. Po raz pierwszy w ciągu ich małżeństwa zrobiło jej się go żal, ale nie miała ochoty go pocieszyć.

— Do widzenia, Feliksie — powiedziała cicho. Wzięła torebkę ze stolika w holu i wyszła. Zawahała się, stojąc przed samochodem. „Kupiony i utrzymywany za moje pieniądze. Trzymaj się od niego z daleka”. Ale nie było innego sposobu, aby dojechać do Bostonu. Feliks nie wybiegł, żeby ją zatrzymać, więc wsiadła, zapaliła silnik

i pojechała z powrotem do miasta, tą samą autostradą, którą jechali zaledwie godzinę temu. Tym razem była sama.

— Prawdę mówiąc mam pewien ślad — powiedział Sam Colby do Paula przy kawie i deserze. Emily poszła spać. Podczas kolacji w Sutton Place Colby opowiadał o starych przyjaciółach, w większości już nieżyjących lub przebywających gdzieś na emeryturze, i o swoich rodzicach, o których pozostało tylko mgliste wspomnienie czyniące ich bardziej kochanymi, niż to sobie wyobrażał za ich życia. Ale kiedy Emily wyszła, Paul rozpoczął rozmowę o kradzieżach dzieł sztuki. — Tak, wpadłem na pewien trop — powtórzył Colby. — To dobre uczucie, po tych bezowocnych miesiącach. Nie znoszę bezowocnej pracy. Jakiś przebiegły złodziejasek robi ze mnie durnia. To frustrujące.

— To oznacza kolejne przesłuchania — powiedział Paul od niechcienia. — Muszę przygotować kamerzystę.

— Nie. Przykro mi, ale nie. Na razie muszę pracować sam. Powiem ci, kiedy będę gotów.

— Posłuchaj, rozmawialiśmy już o tym. Próbuje nakręcić film, a ty powiedziałaś, że mi w tym pomożesz. Mówiłeś też, że podczas przesłuchania Serrano wszystko było w porządku, więc nie ma powodu, abym nie mógł uczestniczyć w następnych. Wiesz dobrze, że dotrzymam tajemnicy. Nie ujawnię niczego, dopóki nie zakończy się śledztwo, ale muszę to sfilmować.

— Chcę, żebyś to robił, Paul, słowo daję, ale... cholera, pozwól mi się zastanowić.

— Kilka dni temu przyszedł mi do głowy nowy pomysł — powiedział Paul. — Powiedz mi, co o nim myślisz. Tak naprawdę chciałbym przedstawić w tym filmie dwa życia. Twoje i obrazu. Prześledziłbym drogę obrazu od momentu stworzenia go przez artystę do zakupienia go przez kolekcjonera i kradzieży przez złodzieja dzieł sztuki.

— Pomiñałeś faceta, który pośredniczy w kradzieży.

— Może takiego nie być.

— Jest ich coraz więcej. Nie ma innego sposobu na pozbycie się bardzo cennego dzieła. Przecież nie zanieziesz van Gogha do sąsiedniego lombardu na Brooklynie. Duże pieniądze pochodzą od kolekcjonerów, którzy gotowi są zapłacić od pięćdziesięciu tysięcy do miliona za obraz, za który musieliby zapłacić trzy, cztery, dziesięć razy tyle, gdyby kupowali w galerii albo którego nie mogliby zdobyć, bo nie jest na sprzedaż. Obiecany muzeum po śmierci właściciela czy coś w tym rodzaju.

Paul skinął głową. Wyjął już długopis i robił notatki.

— Więc kiedy obraz zostaje zakupiony na aukcji lub przez galerię, ktoś pośredniczy w jego kradzieży. Chcę z nim porozmawiać. Albo z nią. Potem ze złodziejem, który dokonuje kradzieży. A potem z tobą.

— Jak znajdziesz faceta, który pośredniczy w kradzieży?

— Myślałem, że podasz mi jakieś nazwiska związane ze słynnymi kradzieżami, które rozwikłałeś albo z tą sprawą, nad którą teraz pracujesz. Wprowadź mnie w nią stopniowo. Nie chodzi tylko o sporadyczne przesłuchania i wyjaśnioną sprawę. Pozwól mi rozmawiać z każdą osobą, z którą ty rozmawiasz.

— Nie mogę ci tego obiecać, ale zrobię co w mojej mocy. To wielka sprawa, wierz mi. Jestem na tropie wielkiej sprawy. Kiedy będę gotowy, usłyszysz o niej pierwszy. W samą porę, żeby nakręcić film, jeśli tylko masz chęć trochę poczekać.

— Jak długo?

— Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Detektywi są jak kochankowie. Nigdy nie wiadomo, ile czasu minie, zanim przekonają się, z czym mają do czynienia i jak jest to dobre. Co to za różnica, jeśli będziesz miał świetny film?

— Ten film jest zamówiony, Sam. Chce go mieć jedna z sieci telewizyjnych. Pomagają go sfinansować i określili ostateczny termin.

Colby wpatrywał się w Paula.

— Telewizja? Sieć telewizyjna?

— Zdobyłem nagrodę na festiwalu w Paryżu — powiedział oschle Paul. — To sprawiło, że natychmiast zostałem uznany za znakomitość w tej dziedzinie. Sieć telewizyjna chciała mieć coś na temat sztuki, odkąd ceny aukcyjne biorą się z sufitu. Historie o detektywach z prawdziwego zdarzenia zawsze zyskują dużą widownię. Chcą mieć film w styczniu.

— W styczniu? Za sześć miesięcy? To mnóstwo czasu.

— Muszę dokończyć filmowania. Nie zawsze mogę zaplanować przesłuchania, kiedy tylko zechcę. Niektóre będę musiał powtórzyć z takich czy innych powodów. Potem muszę odpowiednio zmontować całość. Pół roku to nie tak wiele.

— Rozwiążę sprawę przed upływem tego terminu. Paul milczał.

— Nie możesz popędzać starego człowieka, Paul. Mam swoje

sposoby pracy. Na tym zbudowałem swoją reputację. Obiecuję, że warto będzie czekać.

— W porządku. Będę pracował wokół twojego śledztwa, ale powiesz mi o wszystkim, jak tylko będziesz mógł. I pozwolisz mi wszystko sfilmować?

— Słowo honoru. Nie będziesz tego żałował. Coś ci powiem. Chcesz porozmawiać ze złodziejem? W Seattle mieszka facet, który jest specem od naprawy samochodów. Zajmuje się tym teraz, po wyjściu z pudła. Wysłałem go tam za obrabowanie kilku galerii. Oto nazwisko. Powiedz, że ja cię przysłałem. Zadzwoń, kiedy wrócisz. Może będę miał coś nowego.

Następnego ranka Colby znowu zabrał się do pracy, zbierając wszystkie możliwe informacje na temat hoteli Beacon Hill, nie wstępując do nich. Na to przyjdzie odpowiedni moment. Nie ma powodu nikogo niepokoić, dopóki nie ma całkowitej pewności. Dowiedział się już poprzez agencję zatrudnienia, że ochroniarz z Chicago Beacon Hill został zwolniony przez Claya Fairchilda i zaczął pracować dla Boston Salinger. Colby przesłuchał go, ale facet nie miał wiele do powiedzenia.

Sam analizował informacje. Chicago, Nowy Jork, Filadelfia, Waszyngton. Jak to możliwe? Ktoś mógł umieścić w każdym hotelu zaufaną pokojówkę i płacić jej za to, żeby wchodziła do pokoi podczas nieobecności gości i kradła klucze od ich domów, mieszkań, jachtów lub innych miejsc. Nie, oczywiście nie mogła ich kraść. Nikt nie zgłosił kradzieży kluczy. Chodziło o podrobienie kluczy, a także spisanie kodów alarmowych i kombinacji sejfów.

Colby rozważał wersję o zatrudnieniu takiej pokojówki w każdym hotelu, a potem odrzucił tę ewentualność. To zbyt ryzykowne. Gotów był się założyć, że złodziej czyhał na gości, posiadających szczególne dzieła sztuki, które ktoś chciał kupić. Oznaczało to, że musiałby mieć pokojówkę na każdym piętrze, bo nie był w stanie przewidzieć, jaki pokój dostanie dany gość. To zbyt wiele osób jak na bezpieczną akcję.

A więc kto, jeśli nie pokojówki? Kto mógł wchodzić do pokoi, mieć czas na podrobienie kluczy, przejrzanie notesów i odnalezienie kodów systemów alarmowych? Ludzie z ochrony? Możliwe. Mają dostęp do każdego pokoju. Ale umieścić czterech zaufanych

ochroniarzy w czterech hotelach i nie bać się, że jeden z nich zacznie sypać...
bardzo, bardzo ryzykowne.

To samo dotyczyło recepcjonistów, gońców i ludzi pracujących w restauracji. Gdyby należało zatrudnić czterech ludzi, po jednym w każdym hotelu, to byłoby to diabelnie niebezpieczne.

Pozostało kierownictwo hoteli. Prezes, wiceprezes do spraw kontroli, szef ochrony, szef do spraw technicznych i może jakieś sekretarki. Ale bez sekretarek nie można by się obejść, gdyby wyjechały gdzieś na kilka dni. To musi być ktoś, kto zawodowo podróżuje do wszystkich hoteli. Jeśli jego lub jej nie ma, wszyscy myślą, że przebywa w innym hotelu.

Po prostej eliminacji pozostają: Laura Fairchild, Clay Fairchild i dwaj inni wiceprezesi.

To oznaczało dalsze śledztwo. Sprawdził pochodzenie ich wszystkich i trafił w dziesiątkę.

Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Przeczytał raport o aresztowaniu Laury i Claya Fairchildów pod zarzutem kradzieży w Nowym Jorku. Przeczytał też stenogramy procesu w sprawie testamentu Owena Salingera. Czytał je raz po raz, chichocząc. Czy istniał ktoś, kto miałby tyle szczęścia co Sam Colby? Potem pojechał do Bostonu i zgłębiał przeszłość Salingerów, czytając stare gazety i czasopisma. Tam znowu pojawiło się nazwisko Claya i Laury w związku z przesłuchaniem w sprawie kradzieży biżuterii jedenaście lat temu w rodzinnej posiadłości na Cape Cod.

Colby wyprostował się na krześle w cichej czytelnicy czasopism i westchnął głęboko. Oczywiście, że był szczęściarzem. Wiele należy też zawdzięczać jego geniuszowi, ale niewątpliwie dopisywało mu szczęście. Szczęście Irlandczyka. Zawsze je miał. Nie powinien o tym zapominać w chwilach przygnębienia, kiedy wszystko układało się źle. Zebrał swoje notatki i wyszedł. Był umówiony na spotkanie z Feliksem Salingerem.

— Nie powiedział pan mojej sekretarce, o co panu chodzi — rzekł Feliks, gdy Colby zajął miejsce po drugiej stronie biurka. — Nie mogę udzielić panu żadnych informacji o kradzieży w Nowym Jorku.

— Rozumiem. Chcę pomówić z panem o nieco innej sprawie, choć ma ona bardzo istotny związek ze śledztwem. — Pochylił się do przodu i ściszył głos. — Chcę porozmawiać o sprawie bardzo

delikatnej natury, panie Salinger, i nie zacznę, dopóki nie da mi pan słowa, że nasza rozmowa pozostanie w całkowitej tajemnicy. Będzie ściśle poufna.

— Ja nie plotkuję — odparł chłodno Feliks. Uważał, że kradzież to wina Leni i jej kłopot. To ona korzystała z tego domu. To jej prywatność naruszono. Teraz, gdy dom należał tylko do niego, kiedy zmienił zamki i wynajął nowego strażnika, to śledztwo nic go nie obchodziło.

Nie zgodziłby się nawet na spotkanie z Colbym, gdyby nie to, że lipiec był spokojnym miesiącem i Feliks czuł się znudzony oraz rozgniewany. Obwinił o to Leni. Mężczyzna opuszczony przez żonę ma zbyt wiele wolnego czasu. Nie prowadził nawet posiedzeń zarządu, na które musiałby przygotowywać raporty z działalności przedsiębiorstwa. Odwołał posiedzenia w okresie letnim. Miał dosyć udowadniania, że jego sposób zarządzania jest dobry. Zrealizuje swoje plany i przed posiedzeniem zarządu we wrześniu będzie całkowicie panował nad sytuacją.

Tymczasem był znudzony, a Colby stanowił jakąś odmianę.

— Ja nie mam zwyczaju plotkować — powtórzył. — Zatrzymuję swoje opinie dla siebie.

Colby skinął głową. Lód płynie w żyłach tego człowieka, pomyślał.

— Prowadzę śledztwo w sprawie sześciu kradzieży. Zdarzyło się pięć innych poza tą w pańskim domu. Wszystkie mają uderzająco podobne cechy, co pozwala mi przypuszczać, że zostały popełnione przez tę samą osobę lub osoby.

— Tak?

— Do dalszego śledztwa potrzebuję informacji na temat pewnych ludzi. Dwoje z nich pracowało kiedyś dla pana, w zasadzie mieszkali oni z pańską rodziną i chciałbym zapytać...

Feliks pochylił się gwałtownie do przodu, przewracając podstawkę z długopisami, które rozleciały się w różnych kierunkach.

— Mieszkali z moją rodziną?

— Przez około cztery lata w... — Colby sprawdził w notesie i przeczytał daty. —

Chodzi mi, oczywiście, o Laurę Fairchild i jej brata Claya Fairchilda. Gdyby zechciał pan odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących tych osób...

— Oczywiście. — Feliks wyprostował się na krześle. — Odpowiem na każde pytanie.

No, proszę. Cóż za serdeczna i chętna postawa, zachwycał się w duchu Colby.
— Nie mamy żadnych dowodów — zaczął. — Sam pan rozumie, jakie to ważne.
Tak więc, na razie zbieram tylko informacje i dlatego proszę o dyskrecję. — Feliks kiwnął głową. Czekał w napięciu.

— No, cóż. Bez żadnych dowodów, mam, jak mi się wydaje, element łączący wszystkie ofiary kradzieży... — Opisał Feliksowi całą swoją teorię. Feliks słuchał z wielką uwagą. — Mógłbym oczywiście kazać śledzić tych ludzi, ale kradzieży dokonywano w odstępie około sześciu miesięcy. Co miałbym robić w oczekiwaniu na następną? Siedzieć z założonymi rękami? Nie ma pewności, czy nie przegapilibyśmy kolejnej kradzieży. Śledzący nie zawsze jest doskonały. Musielibyśmy więc czekać kolejne sześć miesięcy lub dłużej. A jeśli myślę się co do Fairchildów czy też ich wiceprezesów, to stracę okazję złapania kogoś innego. Rozumie pan, na czym polega mój dylemat. Muszę zebrać jak najwięcej informacji w jak najkrótszym czasie. Więc cokolwiek mi pan powie...

Feliks mówił. Bez emocji opisał pojawienie się rodzeństwa Fairchildów w posiadłości na Cape Cod. Opowiedział jak Laura wkradła się w łaski Owena. Wspomniał o kradzieży klejnotów Leni, których nigdy nie odzyskano. Oczywiście była to wewnętrzna robota z całą pewnością zaplanowana i przeprowadzona przez Laurę i Claya. Następnie Feliks przypomniał powrót do Bostonu, wraz z Clayem i Laurą, którzy przyłągnęli do rodziny jak pijawki.

— Zareczyła się nawet z moim siostrzeńcem, żeby mieć pewność, że pozostanie w rodzinie na zawsze.

— Kim jest ten siostrzeniec? — spytał Colby, trzymając długopis w pogotowiu.

— To Paul Janssen, filmowiec z Kalifornii.

O Boże, pomyślał Colby, odruchowo zapisując nazwisko Paula w notesie. Co to wszystko ma znaczyć?

— Czy nadal są zaręczeni?

— Broń Boże! Nie. Oczywiście, że nie. Odtrącił ją, jak my wszyscy. Ożenił się z dziewczyną z Bostonu, pochodzącą ze znakomitej rodziny. Nie, to wszystko nie trwało długo.

— Jak długo — spytał Colby?

— Rok. Może dwa.

— Byli narzeczeństwem przez dwa lata? I nie pobrali się?

— Nie. Mój ojciec zmarł i odkryliśmy jej dwulicowość. Kazaliśmy jej i jej bratu się wynosić. Od tej pory ich nie widzieliśmy.

— Widział ich pan na procesie.

— Oczywiście. Zapomniałem.

Colby westchnął. Musiał się zastanowić, jak postąpić wobec Paula. Do diabła, lubił go. Lubił mu się zwierzać. I chciał być w jego filmie. Sieć telewizyjna! Fortuna kołem się toczy, westchnął refleksyjnie.

Otworzył nową stronę w swoim notesie.

— Od pomocy kuchennej w pańskim domu do właścicielki czterech hoteli prowadzi długa droga. Zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc określić, ile to ją mogło kosztować.

— Nie zajmuję się jej finansami. Colby skinął głową.

— Ale kupiła od pana te hotele. Te same, które były częścią testamentu Owena Salingera. — Feliks spojrzał na niego zimno, a Colby śpiesznie dodał: — Więc wie pan, ile za nie zapłaciła. Z pewnością wie pan również, ile mniej więcej kosztuje odnowienie starego budynku. Ponadto dochodzą koszty zatrudnienia personelu obsługującego sto pokoi hotelowych.

— Apartamentów — poprawił chłodno Feliks. — Trzy z tych hoteli posiadają tylko apartamenty. Jedynie Chicago Beacon Hill ma zarówno apartamenty, jak i pojedyncze pokoje.

Śledzi jej poczynania, zanotował Colby.

— Widzi pan, usiłuję się dowiedzieć, czy tkwi w długach po uszy lub coś w tym rodzaju. Gdyby mógł pan mi w tym pomóc...

— Ach, tak. Oczywiście. — Odchylił się do tyłu i zaczął wyliczać. — Zapłaciła po około dziesięć milionów za trzy hotele, a dwadzieścia za New York Salinger. Renowacja każdego mogła pochłonąć dwadzieścia lub trzydzieści milionów. A nawet więcej. Nie byłem w nich, ale czytałem o nich. Sądzę, że w przybliżeniu, dla każdego hotelu, potrzebowałyby jeszcze dziesięciu milionów w gotówce na opłacenie hipoteki i koszty wstępne. W przypadku Nowego Jorku mogłoby to być czternaście milionów. Trzeba wziąć też pod uwagę koszty bieżące... Te koszty mogłyby oscylować między pięćdziesięcioma a stu pięćdziesięcioma tysiącami na pokój.

— Na rok?

— Oczywiście. Colby sumował liczby.

— Czterdzieści cztery miliony tylko po to, żeby otworzyć drzwi hoteli, tak? Trzy za dziesięć milionów i jeden za czternaście. Jeszcze zanim przyjmie pierwszego gościa.

— Mniej więcej.

— Skąd wzięła na to pieniądze? Pracowała w pańskiej kuchni, tak? I opuściła pański dom z niczym? Podczas procesu oświadczyła, że pracuje jako zastępca kierownika ośrodka wypoczynkowego w górach Adirondack. Aż tu nagle, niespodziewanie, pojawia się z czterdziestoma czterema milionami dolarów, kupując hotele na prawo i lewo. Skąd wzięła te pieniądze?

Po raz pierwszy od sześciu tygodni, odkąd Leni go rzuciła, Feliksa ogarnęła prawdziwa radość.

— Musiała je pożyczyć.

— Dobrze, ale w jaki sposób zdołała pożyczyć czterdzieści cztery miliony dolarów, będąc jedynie zastępcą kierownika ośrodka wypoczynkowego.

— Przekonała kogoś, żeby ją poparł — powiedział Feliks szyderczo. — Była w tym niezła. Przedtem owinęła sobie wokół palca dwóch starych mężczyzn.

Prawdopodobnie znalazła trzeciego, a może nie tylko jednego?

— Chciałbym mieć ją po swojej stronie, gdy zabraknie mi pieniędzy — powiedział Colby żartobliwie. Ale Feliks się nie śmiał. — A więc, jak to się mogło odbyć? Feliks wyprostował się i popatrzył w sufit. Kiedy zaczął mówić stał się zasadniczy, logiczny, myślący niemal abstrakcyjnie.

— Potrzeba panu dziesięciu milionów dolarów na hotel w Chicago. Tworzy pan korporację i sprzedaje pan udziały. Połowę swojemu wspólnikowi, za pięć milionów, a drugą połowę sobie, za pięć milionów, które pan od niego pożyczca.

— Więc ktoś zainwestował w korporację dziesięć milionów.

— Tak, ale pańskim poręczeniem jest połowa zysku przedsiębiorstwa. Jeśli nie będzie pan w stanie spłacić wspólnikowi pożyczki i odsetek, to zabiera on całe przedsiębiorstwo.

Colby skinął głową.

— A co z pozostałymi trzema hotelami?

— Nadal pan pożyczca. Dopuszcza pan do spółki nowych

inwestorów i sprzedaje im udziały. To oznacza, że nie jest pan już właścicielem połowy przedsiębiorstwa. Może pan potrzebować tak dużo pieniędzy, że nawet przekazuje pan kontrolę nad firmą. Może pan posiadać jedynie dwadzieścia lub trzydzieści procent udziałów po sprzedaży takiej ilości, by zdobyć potrzebne panu pieniądze. Jeśli pański główny wspólnik jest nadal po pańskiej stronie, razem macie prawdopodobnie wystarczająco dużo udziałów, żeby przegłosować nowych inwestorów. A może i nie. Nie mam pojęcia. Ale głównym problemem jest pański dług. Prawdopodobnie — przerwał na chwilę, po czym zdecydował się podwoić jego przypuszczalną wysokość, żeby sytuacja Laury wyglądała rozpaczliwie — byłby pan winien pół miliona dolarów rocznie w samych odsetkach od pożyczonej sumy.

Colby lekko zagwizdał.

— Czy miałyby to spłacić ze swojej pensji?

— Nie mam pojęcia, skąd mogłaby wziąć pieniądze.

— Musiałyby zarabiać ponad pół miliona dolarów rocznie, żeby się utrzymać i spłacić dług.

— Tak przypuszczam.

— Czy może uzyskiwać takie zarobki z czterech swoich hoteli? Feliks zawahał się.

— Być może — odpowiedział powściągliwie. — To zależy od wynagrodzenia i premii, związanej z dochodami hoteli. Ale to prawie nie możliwe. Musiałyby oznaczać bardzo wysoką frekwencję we wszystkich czterech hotelach i astronomiczne ceny za pokoje i apartamenty.

— Jaka jest stawka za apartament w Nowym Jorku? — spytał Colby.

Feliks znowu zawahał się.

— Tysiąc, do dwóch i pół tysiąca dolarów za dobę. Colby ponownie zagwizdał.

— I ludzie płacą takie sumy?

— Nie wiem, jaką ma frekwencję, ale jestem pewien, że niektórzy ludzie płacą.

— Więc mogłaby temu sprostać, ale to nie byłoby łatwe.

— Zgadza się.

Colby zamyślił się głęboko. Pół miliona rocznie w odsetkach. Prawdopodobnie mogłaby to spłacić za pośrednictwo w kradzieży

obrazów. Popelniano sześć do dziesięciu kradzieży rocznie. Gdyby nadażyła, wyszłyby z długów w mgnieniu oka. Mogłaby też kupić nowy hotel, albo dwa. Cholera, pomyślał. Mogłaby nawet zostać inwestorem i wykupić udziały w innych przedsiębiorstwach, jak na przykład Sieć Hoteli Salingera.

Dosyć, powiedział sobie. Nie powinien wyciągać pochopnych wniosków. To równie dobrze mógł być jej brat albo inne osoby. Ale dla innych Colby nie miał motywu. Westchnął. Czas zagłębić się w ich życie osobiste. Musiał też obmyślić sposób, jak, nie wzbudzając niepokoju, poznać plan podróży podejrzanych osób i przekonać się, czy znajdowali się w pobliżu, gdy dokonano kradzieży.

Oczywiście, myślał, odkładając notes i ściskając dłoń Feliksa, to mógł być ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto żywił urazę do Laury Fairchild i chciał zastawić na nią pułapkę lub ktoś, kto potrzebował dużo pieniędzy i znalazł jakiś sposób, jakieś dojskie, jakiegoś przyjaciela, który wiedział, jak funkcjonują hotele Beacon Hill i mógł zdobyć klucze oraz kody systemów alarmowych. Mógł też istnieć zupełnie inny związek między tymi sześcioma kradzieżami i hotele Beacon Hill mogły nie mieć z tym nic wspólnego.

Nigdy nic nie wiadomo, dumiał, zjeżdżając windą z najwyższego piętra Boston Salinger. Do rozwikłania sprawy jeszcze daleka droga. Ale gdyby miał decydować teraz, dziś, postawiłby na bardzo pomysłową, energiczną i najwyraźniej odnoszącą ogromne sukcesy — Laurę Fairchild.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Po zmroku, gdy sierpniowe słońce już zaszło i poruszył się lekki wiaterek, Laura i Ginny weszły na taras, biorąc ze sobą dokumenty, które Ginny otrzymała od swojego radcy prawnego.

— To wydaje się niezwykle proste — powiedziała.

— Im większe są liczby, tym wszystko staje się prostsze — mruknęła Laura, przeglądając dokumenty. — Zawsze zdumiewa mnie, o ile łatwiej jest wydać dziesięć milionów dolarów niż dziesięć dolarów.

Zaśpiewał ptak, powtarzając raz po raz tę samą, czystą, opadającą nutę. Dzieci bawiły się na podwórzu. Z oddali dochodziły odgłosy ruchu ulicznego na Manhattanie. Siedząc pośród kwitnących krzewów i słodko pachnących róż, Laura podpisała weksel na dziesięć milionów dolarów. Potem obie złożyły podpisy na akcie kupna udziałów Sieci Hoteli Salingera.

— Załatwione — powiedziała Ginny z satysfakcją. — Ale będzie piekielna awantura, kiedy pojawisz się tam w przyszłym tygodniu na wrześniowym posiedzeniu i poprosisz o zatwierdzenie twojego członkostwa w radzie.

— To nie będzie moja pierwsza awantura z Salingerami.

— Chciałabym udzielić ci duchowego wsparcia, ale chyba nie będę mogła pójść z tobą.

— Nie. Według prawa obie nie możemy tam być.

— Więc po prostu pojawisz się na posiedzeniu?

— Tak.

— Bez ostrzeżenia?

— Bez ostrzeżenia.

— Jesteś odważną kobietą. Albo pałasz żądzą zemsty. Laura milczała. Siedziały w ciszy, trzymając wysokie szklanki

mrożonej herbaty i zajadając smaczny deser przygotowany przez Laure.

— Wspaniała kolacja — wyraziła uznanie Ginny. — Jesteś też doskonałą kucharką.

— Rosa była dobrą nauczycielką. Nadal co tydzień przesyła mi nowe przepisy.

Odwiedzi mnie podczas Dnia Pracy, Przyjdź również na kolację. Ona nie wpuszcza mnie do kuchni i nadal jest najlepszą kucharką, jaką w życiu spotkałam. Ja sama bardzo rzadko stoję przy patelniach i rondlach.

— I przypominają ci się szczęśliwe chwile.

— Tak, ale to już nie boli tak, jak kiedyś. Mam jeszcze wiele innych dobrych wspomnień związanych z tobą, Kelly, Clayem i tyle szczęśliwych chwil spędzonych z Wesem. — Uśmiechnęła się smutno. — Czy wiesz, że dziś wspominam tylko nasze szczęśliwe chwile?

— Więc tęsknisz za nim?

— Od czasu do czasu. Prawdę mówiąc, bardzo. Ale głównie dlatego, że nie spotkałam nikogo, kogo lubiłabym w połowie tak jak jego.

— Żadnego spośród mężczyzn, z którymi się umawiasz?

— A ilu ty spotkałaś takich, z którymi chciałabyś się umówić więcej niż raz? Ginny westchnęła.

— Zdecydowanie brakuje atrakcyjnych osobników płci męskiej. Na szczęście niektórzy panowie są nieźli w łóżku.

— Może i tak, ale ci są pewni, że każda kobieta na Manhattanie tak rozpaczliwie pragnie mężczyzny, że nie muszą się silić, by być interesującymi, bo i tak będą mieli, którą zechcą. Wolę raczej zostać w moim pięknym domu, czytać i słuchać muzyki.

— To nieprawda.

— No, nie każdego wieczora. Chciałabym znaleźć kogoś, kto jest atrakcyjny i niewymagający. Zazwyczaj jest wszystko w porządku, ale czasami wracam z przyjęcia i zastanawiam się, dlaczego właściwie zdecydowałam się na nie pójść.

— Bo szukasz mężczyzny, a nie znajdziesz go, siedząc w domu i słuchając muzyki.

— To okropnie brzmi: kobieta w pogoni za mężczyzną. Ginny roześmiała się.

— Znam wiele takich kobiet, ale ty jesteś zbyt spokojna, aby upodobnić się do nich. Spokojna, zdziwiła się Laura, mając świadomość, że złość, tęsknota i ambicje kipiały w niej. Zastanawiała się jak to możliwe, że inni tego nie widzą.

— Ale znajdziesz kogoś prędzej niż one — zapewniła Ginny. — Nie mam co do tego wątpliwości.

— A ja mam. Dobiegam trzydziestki.

— Staruszka — powiedziała Ginny żartobliwie.

— Jakoś się trzymam — przyznała Laura z uśmiechem. — A jeśli nikogo nie znajdę? Co wtedy? Uschnę i rozwieje mnie wiatr? Nie. Nadal będę tutaj i jakoś ułożę sobie życie. Zdobędę więcej przyjaciół — mężczyzn i kobiet, zwłaszcza kobiet. Czasami bardziej lubię spędzać wieczory z nimi niż z mężczyznami. Będę kierować swoimi hotelami i kupować więcej, jak tylko mi się to uda. Będę podróżować, chodzić na koncerty, do teatru, będę grać w tenisa i cieszyć się życiem. Czy to takie okropne?

— To nie jest okropne. Ja prowadzę takie życie i dobrze się bawię. Ale kiedyś miałam męża i dzieci. Tworzyliśmy szczęśliwą rodzinę, przed tym nim się rozpadła. Żyłam tak jak większość kobiet. Czy ty tego nie chcesz? Nie chcesz mieć rodziny? Laura popatrzyła na świecące w oddali okna Manhattanu. Niektóre z nich były oknami biur, a inne były oknami domów, w których mieszkały rodziny albo samotni ludzie. Każdy z tych ludzi miał swoją historię: miłość, stratę, ból, radość. Z podwórza na dole dochodziły do Laury krzyki dzieci i ich śmiech. Jeden z sąsiadów pytał żonę, czy wybierze się z nim i z psem na spacer. Inny sąsiad wołał najmniejsze dziecko do domu.

— Tak, oczywiście, chciałabym mieć rodzinę. — Przerwała. — Ale właściwie mam rodzinę. Ty jesteś dla mnie jak matka. Clay to

mój brat, chociaż czasem mam wrażenie, że dziecko. A Kelly zastępuje mi siostrę. To całkiem spora rodzina. Zawieram też nowe przyjaźnie. Osiągnęłam więcej niż inni.

— Tylko że jest jeszcze wiele pustego miejsca w twoim sercu. Laura znowu spojrzęła na oświetlone wieżowce.

— Nie myślę o tym zbyt wiele. Jest tyle innych rzeczy, o których muszę myśleć. Zastanów się, gdzie byłam jedenaście lat temu. A teraz wszystko układa się tak dobrze i stało się to tak szybko. Czasami ogarnia mnie lęk, że to nie będzie trwać i wszystko się zawali.

— Unikaj przesądów — poradziła Ginny. — Wpływają destrukcyjnie na działania ludzi. Co to? Czy ktoś tu jest?

Na schodkach rozległy się kroki i w drzwiach stanął Clay.

— Drzwi były otwarte, więc weszliśmy. Gdybym był złodziejem, mógłbym wynieść całe mieszkanie, a ty nawet nie zorientowałabyś się, że tu byłem. Cześć, Ginny. — Pochylił się i ucałował policzki Laury. — Pięknie wyglądasz. Masz już dłuższe włosy. Podoba mi się to.

— Troszkę dłuższe. Cześć, Myrna. Siadajcie. Napijcie się mrożonej herbaty?

— Z przyjemnością. Spacerowaliśmy. Jest dziś okropnie gorąco. Tu, na górze, jest trochę chłodniej.

Clay rozsiadł się na krześle, wypił jedną szklanekę i nalał sobie drugą.

— Uratowałaś mi życie. Ledwo zipałem, mijając ostatnie trzy przecznice. Chciałem zatrzymać się w barze, ale Myrna mi nie pozwoliła, choć moje życie wisiało na włosku. To twarda kobieta.

— I... — Myrna zawiesiła głos.

— I pobieramy się — dokończył Clay jednym tchem. — Ta kobieta ciągle mi powtarza, że jej potrzebuję i wreszcie zdecydowałem, że prawdopodobnie ma rację. Laura uśmiechnęła się.

— To cudownie. Tak się cieszę. — Wstała i pocałowała Claya, a potem Myrnę. — Kiedy ślub?

— Jak najszybciej — odparła Myrna. — Clay lubi zmieniać zdanie w ostatniej chwili. Uważa, że to oznaka elastyczności.

— A ona sądzi, że to oznaka niedojrzałości — westchnął Clay. — Czy to małżeństwo ma jakąś szansę?

Myrna uśmiechnęła się spokojnie.

— Ty masz szansę. Zaczynasz dobrze się zapowiadać.

Laura spojrzała na nią ostro. Lubiła Myrnę tak samo jak zawsze. Od dawna myślała, że Myrna jest prawdopodobnie odpowiednią partnerką dla Gaya, ale teraz poczuła się nieswojo. Chciała, żeby Clay miał żonę, a nie kierownika.

Ale Clay był beztroski i spokojny.

— To prawda, dobrze się zapowiadam. Złożyłem już więcej ślubów niż mnisi w klasztorze. Nie masz pojęcia, jak wielu rzeczy się wyrzekłem dla małżeństwa — Z wyjątkiem kilku złych nawyków, żebym nie przestał być sobą. Widzisz, tak to jest. — Pochylił się do przodu i dotknął ręki Laury. — Zrobiłaś dla mnie bardzo dużo. Wiele ci zawdzięczam. Nie wiem, gdzie bym teraz był gdyby nie ty.

Prawdopodobnie tułałbym się po świecie. Z pewnością nie byłoby mnie tutaj i nie miałbym tyle pieniędzy, gdybym nie pracował w hotelach. W twoich hotelach.

Wiem, że troszczysz się o mnie, więc pomyślałem sobie, że pora się ustatkować.

Myrna wyglądała na zadowoloną, ale Laura nie.

— Czy nie lepiej żenić się z miłości, a nie po to, by zrobić przyjemność siostrze? — zapytała złośliwie.

— Masz absolutną rację — odparł stanowczo. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Myrny. — Myrna i ja kochamy się.

— Cieszę się — powiedziała Laura. Nadal jej to nie satysfakcjonowało, ale dała spokój. Ileż to razy mówiła sobie, że nie może kierować życiem Claya? Nie chciała tego robić, nawet gdyby mogła. Wystarczało to, że byli przyjaciółmi, rodziną, że mogli zwrócić się do siebie, kiedy tylko tego potrzebowali. — Teraz posłuchaj mojej nowiny. Właśnie zostałam udziałowcem Sieci Hoteli Salingera.

— Co? — Clay wyglądał na zdezorientowanego. — Sieci Hoteli Salingera? Ty zostałam udziałowcem? Ale przecież to niemożliwe. Firma należy do rodziny. Nie dopuszczają nikogo innego.

— Są tam trzy osoby spoza rodziny. Dawno temu, kiedy Owen budował dwa lub trzy hotele rocznie, potrzebował dodatkowych pieniędzy, więc sprzedał część swoich udziałów przyjaciołom. Jedynym warunkiem...

Clay wydał okrzyk radości.

— Masz udziały w Sieci Hoteli Salingera?! Ty masz udziały? To niesamowite! Zdobyłaś wszystko — hotele i część przedsiębiorstwa, którą ten łajdak ci zabrał... Będziesz siedziała na zebraniach zarządu razem ze staruszką Feliksem i on nie będzie mógł cię

wyrzucić! Do diabła! Trzeba to uczcić! — Nagle spochmurniał. — Warunek? Jaki warunek?

— Regulamin mówi, że żaden z członków rady nie może sprzedać swoich udziałów bez zgody całej rady, chyba że sprzedaje członkowi rodziny Salingerów.

Clay spochmurniał jeszcze bardziej.

— Więc jak możesz kupić jakiegokolwiek udziały? Cholera, Lauro, Feliks nigdy się na to nie zgodzi. Jego dumny brat również. Nikt tego nie zaakceptuje. — Zobaczył jak Laura i Ginny uśmiechają się do siebie. — O co chodzi?

— Powiedziałam, że potrzebna jest zgoda, chyba że sprzedaje się członkowi rodziny Salingerów — przypomniała mu Laura.

— Ale ty nie jesteś członkiem rodziny! Byłabyś, gdybyś poślubiła Paula, ale nie zrobiłaś tego.

— Wiem — odrzekła spokojnie. — Ale jestem szwagierką Allison Salinger.

Clay spojrział na nią w osłupieniu. Potem jego twarz rozpromieniła się.

— Do diabła! Ben!

— Kim jest Ben? — spytała Myrna. Laura i Clay powiedzieli jej.

Pod koniec września Sam Colby miał stertę raportów na temat Claya Fairchilda i dwóch innych wiceprezesów OWL Development, którzy byli również wiceprezesami hoteli Beacon Hill. Dwaj wiceprezesi byli facetami, z którymi Sam chętnie poszedłby na kręgle, ale dla detektywa to były osoby nieciekawe i szybko zapomniane. Za to Clay Fairchild — to zupełnie co innego.

Uprawia hazard, wyczytał Colby w raportach. Gra o wysokie stawki z wysoce wpływowymi ludźmi. Wystawne życie: świetny samochód, eleganckie ubrania, kosztowne mieszkanie w SoHo, wiele dziewcząt — niektóre z nich to całkiem dobrze znane modelki. Wybierały one biżuterię, za którą Clay płacił. Miał też otwarty rachunek u Tiffany'ego, gdzie kupował klejnoty dla swojej siostry. Kasjer znał dobrze ich oboje. Clay nie mógł sobie na to wszystko pozwolić z pensji, którą w przybliżeniu określił Feliks. Albo wygrywał dużo w karty, albo miał inne źródła dochodu.

Nieźła para z tych Fairchildów, rozmyślał Colby. Para. Kto wic, może działają wspólnie? Brat i siostra w zespole! Czy to nie wspaniały temat filmu dla Paula! Można by nawet nakręcić miniserial telewizyjny! A gwiazdą byłby Sam Colby, który wbrew pozorom nie buja się w fotelu i nie marnieje w wiosce emerytów! Tylko... jak, do licha, powie o tym Paulowi?

Może on jej nienawidzi, pocieszył się Colby. W takiej sytuacji nie byłoby problemu. Ale niewykluczone, że ma słabość do dawnego uczucia. Wtedy byłbym posłańcem złych wieści.

— Nie powiem mu. Zaczekam, aż będę miał coś bardziej pewnego, zdecydował i poszedł na spotkanie z Paulem. Byli umówieni na drinka w klubie Paula. Colby próbował przedłużyć rozmowę do kolacji, ale Paul powiedział stanowczo, że on i Emily mają inne plany.

Colby uważał, że Emily nie interesowała się filmami Paula i nie miała zamiaru przeszkadzać im w kolacji, ale jakiegokolwiek by były jej plany, Colby musiał zadowolić się drinkami.

— Jak było w Seattle? — spytał jak tylko usiedli.

— Podobał mi się twój złodziej. Dostarczył mi wiele materiału do tła filmu i zrobił to przed kamerą. Przesyła ci pozdrowienia.

— To dobry człowiek. — Colby oddychał głęboko, chłonąc całym ciałem atmosferę klubu Metropolitan — stonowanego, bogatego i męskiego. Wodził wzrokiem po skórzanych meblach, złoceniach i ornamentach na oknach i sufitach, które jaśniały blaskiem świetności. Rozkoszował się cierpkim aromatem cygar. Zagłębił się w fotelu. Mógłby tak siedzieć w nieskończoność. — Co jeszcze tam robiłeś?

— Odwiedziłem starego przyjaciela ze studiów i żeglowałem. Opowiedz mi o swoim śledztwie. Czy jesteś już bliski rozwikłania tej sprawy? Ile mogę z ciebie wyciągnąć?

Colby roześmiał się.

— Nie można niczego wyciągnąć z Sama Colby. Ale myślę, że mogę przedstawić ci ogólny zarys sytuacji. Nic więcej. Więc nie nalegaj. Sprawa wygląda tak: mam hipotezę, rozumiesz? Nie mam dowodów, ale poważną hipotezę opartą na wnikliwej analizie informacji zebranych w ostatnim okresie.

— Sam, daj spokój tym ogólnikom. Już dawno zrobiłeś na mnie wrażenie. Powiedz mi, co masz.

— Mówię ci. Co byś pomyślał, gdybyś znalazł coś, co robiły wszystkie ofiary kradzieży w obrębie kilku miesięcy od ich dokonania?

— Uznałbym, że warto się tym zająć.

— Słusznie. I to właśnie robię. — Colby rozprostował nogi. Przyjemnie było porozmawiać z inteligentnym człowiekiem, na którym zrobiło się wrażenie. — Oto do czego doszedłem: Ludzie uwikłani w to, co łączy wszystkich poszkodowanych, mają doskonałą sposobność do popełniania tych kradzieży. Podróżują dostatecznie często, aby dotrzeć do okolic, w których dokonano kradzieży i wrócić bez wzbudzania podejrzeń. Prowadzą kosztowny tryb życia i mają za sobą przestępczą przeszłość — kradzieże i szykanowanie.

Gdy Sam przerwał, Paul zmarszczył brwi i zamyślił się.

— Ilu ludzi masz na myśli i jak są oni związani z poszkodowanymi?

— Jest ich dwoje i kierują przedsiębiorstwem, z którym sześcioro poszkodowanych miało do czynienia.

Nadal marszcząc brwi, Paul powtórzył sobie w myśli wszystkie te informacje. Nie był pewien, dlaczego Colby obawiał się ujawnić swoją hipotezę, owijając wszystko w bawełnę. Miał jednak nadzieję, że jeśli dotrzyma mu towarzystwa oraz da mu wystarczająco dużo czasu i whisky, Colby opowie całą historię. Poprosił o następną kolejkę drinków.

— Kierowanie przedsiębiorstwem, podróżowanie, wydawanie mnóstwa pieniędzy i złodziejska przeszłość to jeszcze nie przestępstwo.

— To prawda — rzekł smutno Colby.

— Ale to interesujące okoliczności.

— Tak właśnie sobie pomyślałem.

— I przesłuchałeś tych dyrektorów?

— Nie, nie. Myślałem o tym, ale nie chcę ich zaniepokoić.

— Kazałeś ich śledzić.

— O tym też myślałem, ale to mogłoby trwać miesiącami.

— Przeszukaj ich mieszkania. Może przechowują jakieś skradzione dzieła sztuki.

— Możliwe. Ale jeśli tak nie jest i nie znajdę niczego, to oni domyślą się, że jestem na ich tropie. Przyczają się i to zawiedzie mnie donikąd.

— Albo na fałszywy trop.

— To też możliwe. Ale ufam swemu instynktowi.

Zapadła cisza. Nowy drink pojawił się obok Colby'ego. Sam

podniósł go. Był lekko podchmielony. Nagle poczuł się przygnębiony całą tą sprawą.

— Sam — zapytał Paul. — Kim są ci dyrektorzy? Sam podniósł głowę. — Dlaczego pytasz?

— A dlaczego nie? Czy to wielka tajemnica? Nie będę przecież reklamował twojej teorii. Nie jestem szpiegiem wrogiej armii. Jestem twoim przyjacielem i może mógłbym pomóc ci zdecydować, jak postąpić.

— Jesteś przyjacielem — przyznał Colby, kiwając głową. — Dobrym przyjacielem. Ale nie mogę ci powiedzieć. To zbyt... niebezpieczne.

Paul zmierzył wzrokiem zatroskaną twarz Sama.

— Znam ich — strzelił w ciemno. — Czy o to chodzi? To ktoś, kogo znam i sądzisz, że nie byłbym zachwycony, słysząc twoją hipotezę?

Colby pociągnął długi łyk whisky. Jak przyjemnie jest rozmawiać z mądrym facetem. Prawdopodobnie mógł opowiedzieć Paulowi o wszystkim. Mądrzy faceci rozumieją, jak skomplikowane jest życie.

— Prawie zgadłeś.

— Do diabła, Sam, jeśli są niewinni, to nie ma problemu. Poczekamy, aż znajdziesz winnych. Ale jeśli to naprawdę oni dokonują tych wszystkich kradzieży, chciałbym o tym wiedzieć. Dobrze jest wiedzieć, czy przyjaciele dorabiają sobie jako złodzieje.

— To prawda, ale to o wiele bardziej skomplikowane. Takie jest życie, prawda? W każdym razie nie utrzymujesz już z nimi bliskich stosunków. Wątpię, czy kiedykolwiek ci na nich zależało. To musi być jedna z tych osób, ale jej, jak przypuszczam, już od dawna nie widzisz... — Przerwał, zastanawiając się, czy powinien wdawać się w tę dyskusję.

Ale było już za późno.

— Mój Boże — powiedział Paul blady jak ściana. — Mówisz o Laurze Fairchild.

— I o jej bracie — dodał Colby. Alkohol jakby wyparował.

— Chyba postradałeś zmysły. Ona nigdy by... Boże, czy ty wiesz, co mówisz? Ona jest jedną z najbardziej szanowanych kobiet interesu w Ameryce. Posiada liczącą się sieć hoteli... — Przerwał. — Oni wszyscy zatrzymywali się w Beacon Hill, tak? Na tym polega twoja hipoteza? Na miłość boską, Sam, ci ludzie zatrzymują się we wszystkich hotelach na świecie. Spędzają w hotelach więcej czasu

niż w swoich własnych domach. To nie jest fakt, który by ich szczególnie łączył! Colby poruszył się niespokojnie, a potem wyprostował się w fotelu i spojrzał na Paula.

— Jediną rzeczą, jaka łączy tych ludzi jest to, że wszyscy oni byli w hotelu Beacon Hill na kilka miesięcy przed dokonaniem kradzieży. Ktokolwiek ich obrabował, musiał mieć klucze i kody systemów alarmowych, Jak mógł je zdobyć? Wszedł do pokoju hotelowego, zrobił woskowe odciski kluczy i znalazł kody w notesach, książeczkach czekowych lub innych szalonych miejscach, w których ludzie to zapisują. To wszystko, co musiał zrobić. Potem opuścił pokój. Nic nie ginęło, nikt nic nie podejrzewał. A po paru miesiącach, gdzieś daleko dokonywano kradzieży. Sądzisz, że to taka szalona hipoteza?

Paul milczał.

— To rozsądna hipoteza. Ale ona nie wskazuje na Laurę. Ona nie jest złodziejką, a nawet gdyby nią była, nie okradałaby własnych gości. Nie ryzykowałaby wszystkiego, co zdobyła. Po co miałyby to robić? Dla kilku dolarów?

— Dla setek tysięcy dolarów. Wiesz, co zostało skradzione i wiesz, że ona jest w długach po uszy. Jej brat uprawia hazard i nie jest to gra o niskie stawki. Wydaje sumy równe swoim wygranym i jest odpowiedzialny za kontrolę jakości usług w hotelach, co oznacza, że ciągle je odwiedza. Posłuchaj. — Zawahał się przez chwilę. — Powiedziałeś przed chwilą, że ona nie jest złodziejką. Skąd wiesz? Przecież kiedyś nią była, prawda? I kiedyś nie ufałeś jej tak bardzo. Dlaczego teraz jesteś tak przekonany o jej niewinności?

Paul zerwał się z fotela.

— Rozmawiałeś z Feliksem.

— Oczywiście, że rozmawiałem. Do diabła, Paul, wiedziałem, że tak będzie. Nie podobają ci się dowody, więc oskarżasz mnie. Ja tylko wykonuję swoją robotę! — Ludzie siedzący w cichej sali odwrócili głowy i z oburzeniem spojrzeli na Colby'ego, który, speszony, ściszył głos.

— Czy mógłbyś usiąść i porozmawiać ze mną jak przyjaciel? — Kiedy Paul usiadł z powrotem, powiedział: — Mieszkała z nimi, pracowała dla nich. Dlaczego miałbym nie rozmawiać z Feliksem.

— Ponieważ on nie wie o Laurze nic. Dlaczego nie zapytałeś mnie? Znam ją o wiele lepiej niż on.

— Więc dlaczego nie ożeniłeś się z nią? Paul milczał.

— Bo myślałeś, że jest złodziejką, tak? Że chciała wycisnąć pieniądze z Owena Salinger'a i czyhała na twoje? Więc dlaczego wściekasz się na mnie, jeśli ja myślę tak samo?

— Ponieważ myliłem się. — Paul wypowiedział te słowa po raz pierwszy od tamtego wydarzenia i kiedy to zrobił, był przekonany, że to prawda. Miał uczucie jakby otworzył okno, wpuszczając strumień świeżego powietrza. Poczł się wolny, jakby spadł mu ogromny kamień z serca. Cokolwiek Laura powiedziała tamtego dnia z jakichkolwiek powodów, to nie była złodziejką ani łowczynią fortuny. Kochała Owena i on ją kochał. Mimo że był bardzo chory, dokładnie wiedział, co robi, gdy kazał dopisać kodycyl do testamentu.

I kochała mnie, pomyślał Paul.

— Myliłem się — powtórzył. — Wszyscy się myliliśmy. I ty także się mylisz, do diabła. Tracisz czas.

Colby pokręcił głową.

— Tego nie wiem. Nie mogę tak po prostu odrzucić tej hipotezy tylko z powodu tego co mówisz. Zrobiłbym to, gdybym mógł, słowo daję. Lubię z tobą pracować i rozmawiać. Zrobimy razem wspaniały film. Będziemy mieli film, prawda?

Nagle Paul uświadomił sobie, że zupełnie zapomniał o filmie.

— Nie wiem. Będę musiał się nad tym zastanowić. — Ale znał już odpowiedź. — Cokolwiek zrobimy, nie wykorzystamy tego śledztwa, dopóki nie przedstawiś innej hipotezy.

— Ja nie mam innej. Nie rozumiesz? Wszystko wskazuje na nią lub na jej brata, albo na nich oboje jako na współników. Nie mogę tak po prostu wymyślić czegoś innego. Cholera, wiedziałem, że tak będzie, wiedziałem, wiedziałem. Ale ty nie możesz przerwać filmu. Nakręciłeś już mnóstwo materiału. I telewizja chce go mieć. Pokryła część kosztów! Musisz zrobić ten film! Nie możesz przerwać tej pracy i wszystkich zawieść.

— Nie mów mi, co mogę, a czego nie mogę zrobić, Sam. — Głos Paula był ostry jak nóż. Colby nigdy nie słyszał Paula mówiącego w ten sposób. — Nie masz żadnych dowodów. Powiedziałeś, że to tylko hipoteza. Nie będę filmował, jak polujesz na Laurę albo jak zbierasz pośrednie dowody, żeby zastawić na nią pułapkę. Jeśli będziesz miał nową hipotezę, zadzwoń do mnie. Jeśli

zleca ci jakąś nową sprawę, też zadzwoń. Lubię cię i myślę, zrobilibyśmy razem świetny film, ale to nie będzie ten, nie w takiej postaci do jakiej teraz zmierza.

— Ale telewizja... — zaczął Colby słabym głosem.

— To moje zmartwienie, nie twoje. — Spojrzał na zegarek. — Żona na mnie czeka.

— Odwrócił się i wyszedł z klubu.

Colby czuł się zdemaskowany i niezdarny. Wszystko zrobił nie tak. Zapomniał nawet, że ma zadania do wykonania. Paul powiedział mu, że powinien go zapytać o Laurę. Dlaczego tego nie zrobił? Potrzebował przecież wszystkich dostępnych informacji. Dlaczego, do cholery, nie poprosił o nie Paula?

Spojrzał na zegarek. Została prawie godzina do spotkania Paula z żoną. Może zdąży go złapać i uspokoić. Potem mogliby porozmawiać jak rozsądni ludzie. Zbiegł na dół po marmurowych schodach i zobaczył, jak Paul wychodzi.

— Paul! Mamy jeszcze czas, żeby porozmawiać!

Ale Paul się nie zatrzymał. Colby patrzył, jak skręca w Fifth Avenue i znika w tłumie. Nie usłyszał mnie, pomyślał. Nawet nie zwolnił kroku.

Paul słyszał wołanie Colby'ego, ale nic nie było w stanie skłonić go do powrotu. Szedł zobaczyć się z Laurą. Jej hotel znajdował się nie więcej niż trzy przecznice dalej. Jeśli jest w mieście, jeśli jest w swoim biurze, jeśli będzie chciała ze mną rozmawiać...

Nigdy wcześniej nie był w Beacon Hill. W momencie gdy wszedł do holu, ogarnęło go uczucie ciepła i komfortu, ale nie zatrzymał się, żeby popatrzeć dookoła.

Podszedł do recepcjonisty oznajmiając, że chciałby się widzieć z panią Fairchild.

— To bardzo pilne — powiedział. Wyjął z portfela jedną ze swych wizytówek i na odwrocie napisał: „Proszę”. — Gdyby pan był uprzejmy to przekazać.

— Proszę chwilę poczekać — powiedział recepcjonista i za kilka minut otworzył przed Paulem pobliskie drzwi. — Gabinet pani Fairchild to ostatni pokój po prawej stronie.

Był to duży, jasny pokój. Przy ścianie stała kanapa. Był też stół z czterema krzesłami i owalny stolik z różanego drewna, wypełniony dokumentami i książkami. Nie było biurka. Laura stała obok stolika. Miała na sobie błękitny żakiet i jedwabną bluzkę. Stała z podniesioną wysoko głową, a jej twarz nie zdradzała żadnych

emocji. Paul przystanął w drzwiach. Laura była oszłamiająco piękna i jakby nieprzystępna. Nigdy nie widział jej w miejscu, gdzie władza należała do niej. — Proszę, wejdź — powiedziała. Na dźwięk jej cichego głosu prysnął zły czar. Wszystko się w niej zmieniło, ale nie ten głos, którym kiedyś mówiła, że go kocha. Wskazała na kanapę. Usiedli na niej oboje.

— Mówiłeś recepcjoniście, że to coś pilnego.

— Tak. — Zamilkł i Laura zastanawiała się, dlaczego tak się ociąga z rozpoczęciem rozmowy. Czekała, siedziała wyprostowana na brzegu kanapy, z rękami splecionymi na kolanach. Próbowała przyzwyczać się do widoku Paula Janssena w swoim biurze. To było jedyne miejsce tak odległe od Paula, że mogła spędzać tu długie godziny, nie myśląc o nim. Nigdy nawet nie wyobrażała go sobie w tym pokoju. Teraz patrzyła na niego: wysokiego, zgrabnego mężczyznę w ciemnych spodniach i szarej, sportowej marynarce. Wolałaby, żeby go tu nie było. Wydawało jej się, że wypełnia jej gabinet, zabierając więcej miejsca niż potrzebował.

Wypełniał jej pole widzenia, jej myśli i przywoływał wspomnienia.

— Co ta za pilna sprawa? Pochylił się w jej stronę.

— Pracuję nad filmem o inspektorze agencji ubezpieczeniowych, który specjalizuje się w odnajdywaniu skradzionych dzieł sztuki i pracuje obecnie nad sprawą... — przerwał na chwilę. — Podczas ostatnich trzech lat dokonano sześciu poważnych kradzieży dzieł sztuki. Przeprowadzono je w identyczny sposób, więc przypuszcza się, że dokonała ich jedna i ta sama osoba lub osoby. Poszkodowanymi są Flavia Guarneri, Britt Farley, Sid i Amelia Laughtonowie, Carlos Serrano, Leni i Feliks Salingerowie i Daniel Inouti.

Laura była oszołomiona.

— Znam ich wszystkich. Byli moimi gośćmi. Oczywiście z wyjątkiem Feliksa, ale Leni... Zostali obrabowani? To niewiarygodne.

— Dlatego tutaj jestem. — Szybko i szczerze opowiedział jej o śledztwie Colby'ego.

— Nie ma żadnych dowodów, ale nie wiem co zamierza, więc musiałem ci powiedzieć. Musisz wiedzieć, że podejrzewa ciebie albo Claya, albo was oboje.

Siedziała bardzo spokojnie i wpatrywała się w dal. Rumieńce zniknęły z jej twarzy.

— Nie — powiedziała prawie szeptem. — Nie, nie, nie.

Paul przysunął się do niej, żeby wziąć ją w ramiona i złagodzić jej cierpienie. Zawsze sprawiam jej ból, pomyślał z uczuciem podobnym do rozpacz. Ale potem odsunął się. Wiedział, że nie może tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

— Chciałbym pomóc, jeśli potrafię — powiedział spokojnie. Spojrzała na niego z kamienną twarzą.

— Dlaczego. Kiedyś byłeś przekonany, że jestem winna. Dlaczego teraz miałbyś mi pomagać? Może ten detektyw ma rację. Złodziejka raz na zawsze. Dlaczego miałby się mylić? Może to ja obmyśliłam te kradzieże.

— Nie zrobiłaś tego. Niczego nie obmyśliłaś. Ani teraz, ani wtedy. Wiem to.

— Wiesz to? Teraz, gdy ktoś twierdzi, że popełniłam następne przestępstwo, ty nagle wiesz, że nie dokonałam tego poprzednim razem?

Uśmiechnął się mimo woli.

— To nie brzmi logicznie i nie potrafię tego wytłumaczyć, ale tak właśnie jest.

Wiem to. Powinienem wtedy ci zaufać. Powinienem wierzyć w ciebie na tyle mocno, żeby wiedzieć, że nie mogłabyś mnie okłamać. Teraz w to wierzę. Jestem siedem lat starszy. Czy to wystarczający powód? Myślę, że zmieniłem się w ciągu tych lat. Wiele myślałem o nas i o sobie. Zastanawiałem się, jaki naprawdę jestem, co jest dla mnie ważne i co w przeszłości zrobiłem źle... Do diabła, nie potrafię tego wszystkiego jasno ująć. Czy muszę?

Wpatrywała się w niego.

— Nie wiem. Być może pomogłoby mi to zrozumieć. Myślisz, że powinnam po prostu ci uwierzyć?

— Wina leży po obu stronach — odparł zdecydowanie. — Ty również mi nie ufałaś. Nie powiedziałaś mi nic o swojej przeszłości i o tym, dlaczego ty i Clay chcieliście pracować właśnie w naszej rodzinie. Nie przeciwstawiłaś się Feliksowi, kiedy rozpętał tę awanturę o testament Owena. Gdybyś powiedziała mi prawdę, gdybyś powiedziała nam wszystkim prawdę, gdybyś w nas wierzyła, moglibyśmy wspólnie przez to przebrnąć. Nie stracilibyśmy tych wszystkich lat...

Laura milczała, myśląc o Benie. Nadal nie ujawniła całej prawdy.

— Nie możesz w to uwierzyć? — zapytał Paul smutnym głosem.

— Tak — rzekła cicho. — Powinnam była ci powiedzieć. Nie

wiedziała jak. Tak się bałam cię utracić, bałam się stracić was wszystkich. Nie potrafiłam tego zrobić. — Podniosła ręce i opuściła je z rezygnacją. — Zawsze wydaje się, że istnieje jakiś ważny powód, by zachować dyskrecję. Przepraszam. Powinnam była ci powiedzieć. Żałuję, że tego nie zrobiłam. — Jej ostatnie słowa były ledwo słyszalne. — A jeśli chodzi o wszystko inne — rzekła głośniejszym głosem. — Twoja wiara we mnie... Nie wiem. Nie wiem nawet, jak o tym myśleć. Co mam zrobić po tym, jak powiedziałeś mi o detektywie, który prowadzi dochodzenie? Jeśli masz rację i on ma zamiar mnie oskarżyć...

— Nie jestem pewien, czy ma taki zamiar. Nie wiem, jakie będzie następne posunięcie Sama. Przyznał, że może być na niewłaściwym tropie. Chciałem tylko, żebyś miała się na baczności.

— Nie wiem, co to wszystko ma znaczyć! — To było wołanie o ratunek. Tym razem Paul nie mógł się powstrzymać. Wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Przyłgnęła do niego na chwilę, ale zaraz próbowała się odsunąć.

— Nie, to nie pomoże... to tylko pogarsza sytuację...

— Nie, tak jest dobrze — powiedział i pocałował ją. Przytulił Laurę tak mocno, jakby chciał wchłonąć ją w siebie. Ich języki splótły się. Paul marzył o tym częściej, niż przyznawał przed samym sobą.

Laura uległa. Przyciągnęła go do siebie. Przywarła do Paula blisko, jeszcze bliżej, wprowadzając go w ten uśpiony zakątek jej serca, w tę pustkę, którą był przepełniony od momentu opuszczenia domu Owena. Tęskniła za Paulem, pragnęła go. Teraz przytulała go z całych sił i zdała sobie sprawę, że cokolwiek robiła w swoim życiu, Paul zawsze był i na zawsze pozostanie częścią jej samej. Owen dał jej dumę i pewność siebie. Pozwolił jej dorosnąć i odwrócić się od swojej przeszłości. Paul ofiarował jej miłość, dzięki której poczuła się w pełni kobietą. Teraz była tego pewna. Nie wzdrygała się przed tą myślą i nie zaprzeczała jej. Pragnęła Paula, nawet jeśli to uczucie miałoby trwać tylko przez tę krótką chwilę.

— Kocham cię — szeptał, całując jej twarz. — Najdroższa Lauro, kocham cię.

Tęskniłem za tobą, pragnąłem cię i nigdy nie przestałem cię kochać.

Z westchnieniem wyswobodziła się z jego objęć.

— Ale się ożeniłeś. Stworzyłeś sobie inne życie — mówiła drżącym głosem. Przez całe lata myślałeś, że jestem...

— Myliłem się! Powiedziałem już. Chce, żebyś zrozumiała...

— Nie mogę! — Zaczęła przemierzać biuro energicznym krokiem. Czego się po mnie spodziewasz? Żebym znowu zaczęła myśleć o tobie jak o kochanku? Jak o mężu? Nawet, gdybyś nie miał żony, jak mogłabym to zrobić? Tak po prostu... przestawić swój sposób myślenia. W jednej chwili żyję życiem, które rozumiem i potrafię zaplanować; życiem, które stworzyłam, na które mogę Uczyć i którym mogę się cieszyć — a w następnej chwili mam zmienić to wszystko, bo pojawiłeś się ty i mówisz, że chcesz być częścią mojego życia? Jak możesz stać się jego częścią?

— Stała przy oknie, patrząc na Paula. Jej głos był teraz stanowczy. Mierzyła go wzrokiem. Inne myśli zeszły na plan dalszy. Laura znowu była opanowana. — Nie mam nawet czasu, żeby o tobie pomyśleć. Przyniosłeś mi wieści, nad którymi muszę się zastanowić. Kradzież... i oskarżenia... Przez jedenaście lat starałam się od tego oderwać! A ty chcesz, żebym myślała o miłości?

Patrzył jej w oczy.

— Mógłbym być przyjacielem, jeśli nie kochankiem. Mógłbym ci pomóc, gdybyś mi pozwoliła.

Westchnęła głęboko.

— Co miałaś na myśli, mówiąc, żebym miała się na bacności?

— Wygląda na to, że ktoś chce cię w coś wplątać lub posłużyć się tobą. Sam ma dwoje podejrzanych, nie jednego.

Zapadła chwila ciszy.

— Masz na myśli Claya. Mówisz mi, żebym miała się na bacności przed Clayem!

— Tak, to właśnie chcę ci powiedzieć. On mógł to zrobić. Człowiek na jego stanowisku ma dostęp do każdego miejsca w hotelu. On potrzebuje pieniędzy. Uprawia hazard. Wiedziałaś o tym? Gra o wysokie stawki. Lauro, zbyt wiele okoliczności na niego wskazuje i żaden rozsądny człowiek nie może tego lekceważyć...

— Rozsądny! Za kogo się uważasz, mówiąc mi o rozsądku? Chcesz, żebym uwierzyła ci, że się zmieniłeś i ufasz mi, nawet jeśli to nielogiczne i nie powinnam się spodziewać logiki! Wiec powiem ci — logicznie, rozsądnie i ufnie — że Clay nie jest złodziejem. Nie ukradł żadnych dzieł sztuki. Nie zrobiłby mi tego nawet, gdyby chciał! On mnie kocha i zależy mu na tym, co próbuję tu stworzyć! Stanowi część tego, jest częścią mojego przedsiębiorstwa. Szkodziłby

sobie, gdyby narażał na szwank hotele. On się żeni, wydorósł. To on się zmienił, nie ty!

Mówiąc to, wiedziała, że to nieprawda, ale niepoohamowany potok słów mieszał się z płomieniem miłości i tęsknoty, który w sobie stłumiła, ze złością na siebie za to, że dała się ponieść uczuciom i z wściekłością, którą czuła tak samo, jak w momencie, gdy Paul i jego rodzina po raz pierwszy oskarżyli ją i Claya o kradzież, kłamstwo i zdradę.

— Nie wiesz nic o Clayu! — krzyknęła. — Ani o mnie! Nie wiesz...

— Masz rację, nie wiem. Ale chcę wiedzieć. — Przeszedł przez pokój i stanął blisko niej. — Do diabła, Lauro, kocham cię i chcę nadrobić stracone lata. Chcę cię poznać na nowo. Chcę poznać kobietę, którą się stałaś. Masz rację, nie wiem nic o Clayu, ale jeśli Sam nie myli się co do niego? Czy powinienem udawać, że Sam nigdy ze mną nie rozmawiał, skoro wiem, że może cię skrzywdzić? Zostałaś już skrzywdzona. Wiem, ja byłem tego przyczyną. I niech mnie diabli, jeśli chcę, żebyś znowu cierpiała. Kocham cię. Chcę ci pomóc, ochronić cię, jeśli potrafię, przed każdym, kto ma zamiar cię skrzywdzić...

— Przestań. Proszę, przestań. — Głos Laury był tak cichy, że Paul musiał pochylić się, aby ją usłyszeć. Laura odwróciła się, żeby spojrzeć na ulicę przez wąskie żaluzje. — Wiem, że starasz się mi pomóc, ale nie pomożesz mi, atakując Claya. On jest moim bratem. Był ze mną przez te wszystkie lata i nie pozwolę tobie ani nikomu innemu skłonić mnie, żebym straciła do niego zaufanie. Chciałaś, żebym ufała tobie i twojej rodzinie. A potem mówisz mi, żebym nie ufała Clayowi.

Zapadła długa cisza. Słaby dźwięk klaksonów dobiegał przez okno. W korytarzu za zamkniętymi drzwiami gabinetu Laury męski głos powiedział dobranoc, a kobiecy głos odpowiedział. Paul zerknął na mały zegar na stoliku Laury. Był bardzo spóźniony.

— Przepraszam — powiedział tak samo cicho jak ona. — Oczywiście, masz rację. Powinnaś w niego wierzyć i ufać mu. — Zawahał się. — Sądzę, że ślepa ufność może być równie zła jak brak zaufania, ale ty go znasz, a ja i Sam — nie i może masz rację. Lauro... — Wziął ją za rękę, a ona odwróciła się do niego. Jej oczy były smutne. Nie potrafił odgadnąć, o czym Laura myśli. — Muszę iść. Wolałbym jeszcze zostać, ale jestem już spóźniony...

Skinęła głową.

— Do widzenia, Paul. Dziękuję, że chciałeś pomóc. Przykro mi, że znowu się pokłóciliśmy. Zdaje się, że przychodzi nam to łatwiej niż cokolwiek innego.

— Nie, miłość przychodzi nam łatwiej niż cokolwiek innego. W każdym razie tak by się stało, gdybyśmy sobie pozwolili. Kiedyś tak było. Nie zapomniałem tego. Ty również nie.

— Nigdy tego nie zapomnę — powiedziała łagodnie. — Ale nie możemy wrócić do przeszłości. Zbyt wiele rzeczy wydarzyło się od tamtej pory. — Nagle uśmiechnęła się. — Przez te wszystkie lata starałam się wymazać przeszłość, a teraz mówię o powrocie do niej. Nie ma w tym wiele sensu, prawda?

Odpowiedział jej uśmiechem.

— Jeśli znajdziemy sposób, żeby do niej powrócić, to będzie miało sens. Sens ma to, żebyśmy byli razem.

Laura przyłożyła swoją dłoń do jego policzka.

— Żałuję, że tak nie jest. — Potem podeszła do drzwi i otworzyła je. — Do widzenia, Paul.

— Chcę się znów z tobą zobaczyć — poprosił, podchodząc do Laury.

— Będę musiała o tym pomyśleć. O tylu rzeczach muszę pomyśleć. Zadzwoń do ciebie.

Patrzył badawczo w jej twarz.

— Jeśli nie będę miał od ciebie wiadomości, to będę wydzwania! albo rozbiję namiot przed "twoim hotelem.

— Zadzwoń, kiedy będę miała coś do powiedzenia.

Paul pochylił się i pocałował ją. Ich usta przywarły do siebie na moment, a potem Paul powiedział:

— Do zobaczenia wkrótce. — I wyszedł.

Laura zamknęła za nim drzwi i podeszła do stolika, którego używała zamiast biurka. Tyle pracy, pomyślała, patrząc na sprawozdania, które miała przeczytać podczas ostatniej godziny pracy i na książki, które miała jeszcze przejrzeć przed posiedzeniem zarządu Sieci Hoteli Salingera. Jutro. Posiedzenie ma się odbyć jutro. Musiała jeszcze dać sekretarce wytyczne na następny dzień, gdy ona będzie w Bostonie. Usiadła i wzięła do ręki kartkę od Gerarda Lyona, który prosił o nowy sprzęt do kuchni i nowego kucharza do sosów, bo praca nie przebiega sprawnie. Ale po przeczytaniu kilku linijek odłożyła kartkę i znowu odwróciła się do okna.

„Sądzę, że ślepa ufność może być równie zła, jak brak zaufania”.

Przypomniała sobie Claya z minionych lat. Jego uwielbienie dla Bena, to jak wszędzie za nim chodził i chciał rzucić szkołę tak jak Ben i żyć z kradzieży lub innej dorywczej pracy, tak jak Ben.

Jego zniecierpliwienie w pracy. „Do diabła, Lauro, musisz przyznać, że to tylko praca. Nawet jeśli jest to twój wspaniały hotel, każdy potrzebuje czegoś więcej, ryzyka, wolności, czegoś w tym rodzaju”. Jego zamiłowanie do eleganckich samochodów i ubrań; mieszkanie, które wynajął i sposób, w który je urządził; prezenty, które jej kupował; jego hazard.

„On uprawia hazard. Wiedziałaś o tym? Gra o wysokie stawki”. Skąd Paul o tym wiedział? Prawdopodobnie od tego inspektora. Colby'ego. Ale skąd wiedział Colby? Co to za różnica? — usłyszała swój głos w cichym gabinecie. Upuściła kartkę i oparła głowę na rękach. Nie wierzę w to, co powiedział Paul. To ktoś inny kradnie dzieła sztuki. Istnieje jakieś proste wytłumaczenie dla wszystkiego, co robi Clay. Odwróciła się z powrotem do swojego stolika i ponownie spojrzała na kartkę od Lyona. Ale to nie miało sensu. Odsunęła na bok sprawozdania. Nie może o nich myśleć. Nie może myśleć o pracy. Musi wiedzieć, jakie jest to proste wytłumaczenie.

Spojrzała na swój złoty zegarek. Clay kupił go jej u TitTany'ego. Za kwadrans ósma. O tej porze powinien być w domu. Sięgnęła po słuchawkę.

Tylko po to, by się upewnić.

Emily siedziała z przyjaciółmi w barze Atlantis, gdy Paul przyjechał. Pocałował ją w policzek.

— Przepraszam za spóźnienie. Straciłem poczucie czasu. Przedstawiła go pozostałym.

— Oni dotrzymywali mi towarzystwa — powiedziała pogodnie. — Dobrze, że ich spotkałam. Gdyby nie to, siedziałabym tu sama przez prawie pół godziny.

Paul rozejrzał się dookoła, rozpoznając trzech aktorów telewizyjnych, modelkę i gwiazdę Broadwayu.

— W tym miejscu nigdy nie jesteś sama. Dlatego zawsze tutaj chcesz się ze mną spotykać. Idziemy na kolację?

— Ojej, jesteśmy nie w humorze? — mruknęła, kiedy szli wzdłuż Fifth Avenue. — To przeze mnie, czy miałaś męczący dzień?

— To był męczący dzień, ale nie sędzę, abym był w złym humorze. — Emily milczała. — Rozmawiałaś z Barrym?

— Nie. Przyjmował jakichś ludzi z Rzymu. Jego sekretarka powiedziała, że będzie wolny w poniedziałek. Musi się ze mną wtedy zobaczyć, bo inaczej zrobię okropną awanturę. Wie, że jestem niezadowolona. Nie może tak ciągle mnie zbywać.

— Na pewno cię przyjmie. Jesteś jego ulubiona modelką.

— Jego zachowanie na to nie wskazuje. Zapadła cisza.

— Co robiłaś dzisiaj? — spytał Paul.

— Kupowałam stroje na rajd. Spojrzał na nią.

— Wybierasz się na rajd?

— Cała grupa jedzie do St. Thomas w grudniu. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy z nimi pojechać. Mam nadzieję, że do tego czasu skończysz film?

— Nie jestem tego pewien.

— Mówiłeś mi, że skończysz! Bardzo bym chciała pojechać do St. Thomas, Paul. A może chodzi o twoją rodzinę? Nie moglibyśmy choć raz spędzić świąt bez nich?

— Oczywiście, że moglibyśmy. Nie ich miałem na myśli.

— Więc co?

Dotarli do II Nido. Paul przytrzymał drzwi dla Emily. W wąskim, zatłoczonym przejściu natychmiast pojawił się starszy kelner. Uroda Emily zawsze przyciągała uwagę, nawet na Manhattanie, gdzie od kobiet oczekuje się, by były piękne. Kelner zaprowadził ich do stolika pośrodku restauracji, gdzie byli dobrze widoczni. Paul rozejrzał się po sali. Był to jeden z jego ulubionych lokali. Ściany pokryte chropowatym gipsem, poprzecinane ciemnymi belkami, przypominające dom włoskiego arystokraty. Ciemne lustra odbijały postacie gości. Paul rozpoznał kilku reżyserów, projektantów i aktora filmowego, który wiosną zdobył Oscara. Emily zawsze wybierała miejsca, w których nie była jedyną znakomitością. Małżeństwo z nią nauczyło Paula, że znakomitość najlepiej czuje się w tłumie innych znakomitości, bo to potwierdza jej przynależność do elity.

Paul zamówił butelkę wina, a Emily zapytała znowu:

— Więc co? Jeśli nic masz na myśli swojej rodziny, to co masz na myśli?

— Film. Zmieniam główny wątek, a to trochę opóźni pracę. Jeśli w ogóle skończę ten film.

Przyglądała mu się uważnie.

— Nakręciłeś już ponad połowę. Sieć telewizyjna chce mieć film w styczniu. Nie możesz im tak po prostu powiedzieć, że go nie zrobisz. Mogą odmówić ci dofinansowania przy następnym filmie!

— To ryzyko, które muszę podjąć — powiedział Paul. — Nie podoba mi się to, ku czemu zmierza film i nie zamierzam go nakręcić w ten sposób.

— A co z Samem Colbym?

— Nie zdecydowałem jeszcze co zrobię, Emily. Muszę się nad tym zastanowić. Kelner przyniósł wino i Emily zaczęła, aż napełni ich kieliszki.

— Myślę, że masz rację. Powinieneś zrezygnować z tego filmu.

— Nie to chciałem powiedzieć.

— Ale jesteś skłonny to zrobić. Chcesz nawet zaryzykować to, że sieć telewizyjna zrezygnuje z ciebie. Czy nie mam racji? Wolałbyś zrezygnować z tego filmu i robić coś innego.

— Wolałbym z niego zrezygnować, niż kręcić go w takiej postaci jak teraz. Ale podoba mi się pomysł zrobienia filmu na temat Sama. Gdyby udało mi się namówić go do opracowania wcześniejszych spraw, które rozwikłał, to i tak mógłbym wykorzystać większość materiału, który mam. To nie najlepszy sposób, ale mogłoby się udać.

— Albo nie. Po co ryzykować?

— Ponieważ nic innego mnie na razie nie interesuje.

— A może spróbowałbyś czegoś zupełnie innego? Innego rodzaju filmu?

— Nie chcę filmu innego rodzaju. Po co? Zaczynam czuć się pewnie w dziedzinie filmów dokumentalnych. Wiem, co chcę zrobić i w większości przypadków wiem jak.

— Ale mógłbyś się nauczyć innych rzeczy. — Pochyliła się do przodu, kładąc rękę na jego dłoniach. — Paul, pewna osoba zasugerowała, że powinnam wystąpić w miniseriale. Modelki teraz to robią. Próbują swoich sił w filmie, w telewizji. Myślę, że bardzo by mi się to podobało i wiem, że byłabym w tym dobra. Jest taka książka, którą czytałam, gdy byliśmy na Wybrzeżu. Piękna. Jeden

z moich przyjaciół chce napisać scenariusz, ze mną w roli głównej bohaterki. Jest pewien, że zainteresuje tym kogoś z NBC lub HBO, jeśli tylko będzie miał znanego reżysera.

Paul zmarszczył brwi, widząc ożywienie na jej twarzy.

— Chyba to nie ja miałbym być tym reżyserem?

— Ależ tak. To byłaby dla ciebie cudowna szansa.

— Nieprawda. Emily, co ci przyszło do głowy? Kelner pojawił się przy stole.

— Jeśli państwo pozwolą... specjalności lokalu... — powiedział i zaczął czytać swoją listę. Do czasu, gdy zamówili i kelner odszedł, twarz Emily uspokoiła się.

— Nie mów do mnie tak, jakbym oszalała. Gdy kiedyś ci powiedziałam, że nie sądzę, aby fotograf potrafił robić filmy, odparłeś, że możesz nauczyć się wszystkiego, jeśli tak postanowisz. To najlepszy moment, jeśli jesteś rozczarowany i gotowy zrobić coś nowego.

— Nie powiedziałem, że jestem rozczarowany lub że jestem gotów zrobić coś nowego.

— A powinienes! Co masz z całej tej twojej pracy? Jakąś skromną nagrodę na festiwalu we Francji!

— Jestem bardzo dumny z tej nagrody — powiedział cicho Paul. Emily przygryzła wargę.

— Przepraszam, oczywiście, że jesteś. Ja również. Ale to jest nowa, niesamowita szansa, Paul... Takie szanse nie trafiają się zbyt często!

— Jaka szansa?

— Żebym zagrała w miniserialu.

Paul wypił kieliszek wina i oparł się wygodnie. Kelner momentalnie pojawił się, by go ponownie napełnić. Paul przyglądał się Emily.

— Chcesz, żebym przeobraził się w reżysera filmów telewizyjnych i żebyś ty dzięki temu stała się gwiazdą.

— Ludzie wiele o tobie mówią w Los Angeles. Jesteś tam znany. Ja również i mój przyjaciel, który pisze scenariusze. Nam trojgu musi się udać, Paul. Ja tego potrzebuję.

Zapadła chwila ciszy. Potem Paul kiwnął głową.

— To jest prawdziwa przyczyna, prawda? Nie dostajesz już tak dużo propozycji jak w zeszłym roku.

— Zawsze panują chwilowe mody — powiedziała, bagatelizując sprawę. — Teraz akurat potrzebują wysokich, długonogich dziewczyn, takich całkiem amerykańskich. Ale to przejdzie. Nie martwię

się tym. Po prostu jestem gotowa do czegoś nowego. Z pewnością to zaakceptujesz. Przecież ty zawsze poszukiwałeś czegoś nowego, pamiętasz? Proszę tylko, żebyś wykonywał swoją pracę.

— Jestem reżyserem filmów dokumentalnych. — Patrzył na nią smutnym wzrokiem. — Ale ty chcesz, żebym był kimś innym, kimś, kim wcale nie chcę być.

— Skąd wiesz? Nigdy tego nie próbowałeś!

— Potrzebujesz znanego reżysera, a co ważniejsze potrzebujesz takiego, na którego możesz mieć wpływ. Sądzisz, że takiego właśnie masz — przy stole i w łóżku.

— Co to ma znaczyć?

Podano przystawki, ale nie zwrócili na nie uwagi.

— Chciałaś zostać modelką i prosiłaś mnie, żebym cię fotografował. Wykorzystałaś moje zdjęcia, żeby oczarować Markena. Teraz chcesz posłużyć się mną, żeby zagrać w miniseriale, bo kariera modelki powoli się kończy.

Uniosła wysoko głowę.

— Co złego jest w tym, że żona prosi męża o pomoc?

— Nie byłem twoim mężem, gdy prosiłaś mnie, żebym cię fotografował. —

Uśmiechnął się ponuro. — Wiesz, Emily, siedem lat temu byłem przekonany, że kobieta, którą kocham, jest łowczynią fortuny. Między innymi dlatego odwróciłem się od niej. A okazało się, że i tak ożeniłem się z łowczynią fortuny, prawda?

— O czym ty mówisz?

— Miałaś mnóstwo pieniędzy, więc nigdy nie przyszło mi do głowy, że możesz być łowczynią fortuny, ale ty chciałaś czegoś innego: chciałaś wyjść za mąż, zostać modelką, a teraz chcesz zostać aktorką. Ja natomiast jestem środkiem do osiągnięcia tego, czego chcesz.

— Taka jest rola męża. Nie mogę uwierzyć, że mówisz do mnie w ten sposób. Jestem dobrą żoną. Czytam książki o kręceniu filmów, żebyś miał z kim porozmawiać, czytam gazety, żebyśmy mogli rozmawiać o polityce, jeśli zechcesz. Jestem w domu częściej niż większość kobiet wykonujących mój zawód. Pracuję bardzo ciężko, żeby być w domu tak często jak to tylko możliwe. Zachowuję się odpowiednio, Paul. Robię wszystko, co potrafię, żeby być dobrą żoną.

— To prawda, ale to nie wystarczy, żeby skłonić mnie do rzucenia czegoś, na czym bardzo mi zależy, tylko dlatego, że ty masz jakiś kaprys.

— Wiem, że to nie wystarczy. Wiem, że chcesz mieć dzieci. Teraz moglibyśmy pomyśleć o rodzinie, jeśli to naprawdę dla ciebie takie ważne. Jesteśmy małżeństwem wystarczająco długo...

— Emily — głos Paula był tak delikatny, że przeraziła się. Wołała, żeby krzyczał i żeby ona wiedziała, że obchodzi go to, o czym mówią.

— A wszystkie te przyjęcia — mówiła dalej. — Organizowałam je tak samo dla ciebie, jak dla siebie. Chciałam, żebyś poznał ludzi, którzy mogą ci być przydatni. Zrobiłam bardzo dużo, żeby ci pomóc! Tak naprawdę, to moje fotografie pomogły zarówno mnie, jak i tobie. Rozsławiły cię w Nowym Jorku! Wiedziałam, że tak będzie. Ale ty mówisz o tym tak, jakbym w ogóle o tobie nie myślała. To ty wcale nie myślałeś o mnie. Myślisz tylko o sobie i swoich przeklętych filmach. Nieważne, czego ja chcę, czego potrzebuję. Ważne, co ty chcesz zrobić i kiedy. Jesteś samolubnym człowiekiem, Paul. Nie miałam pojęcia, jak bardzo jesteś samolubny, egoistyczny i uparty...

— Emily, przestań. — Wśród gwaru wesołych rozmów i śmiechu Paul usłyszał nutę hysterii w kulturalnym głosie Emily. Odsunął krzesło i podszedł do niej. — Idziemy do domu. — Dał znak starszemu kelnerowi. — Przepraszam. To nie ma nic wspólnego z pańskim personelem. Wszystko było w porządku, jak zawsze. Proszę zapisać kolację na mój rachunek.

Starszy kelner skłonił się.

— Mam nadzieję, że dolegliwość szybko przejdzie.

Wie, że to nie żadna dolegliwość, pomyślał Paul, Wie, że to była kłótnia.

Prawdopodobnie widział więcej niż powinien.

— Dziękuję — Paul skinął głową i po chwili szli spacerem w stronę Sutton Place.

— Nie chciałam się tak zdenerwować — powiedziała Emily. — Możemy porozmawiać rozsądnie, prawda? Ale nie powinieneś nazywać mnie łowczynią fortuny, kiedy po prostu potrzebuję pomocy. Wszyscy tego potrzebują, zwłaszcza kobiety. My nie rzucamy się, nie rozpychamy, nie postępujemy tak jak mężczyźni. Prawdopodobnie, dlatego żyjemy dłużej. Pozwalamy innym torować dla nas drogę. Wszystkie kobiety tak robią, Paul. Wiesz o tym.

— Nie wszystkie kobiety — zaprzeczył cicho. Pozdrowił odźwiernego, który przytrzymał dla nich drzwi. W milczeniu wjechali windą na górę i milczeli nadal, aż do momentu, kiedy stanęli w mrocznym salonie. Manhattan pobłyskiwał światłami jak bajkowa

kraina strzelistych wież ozdobionych klejnotami. Paula ogarnęła wielka tęsknota, a potem, niespodziewanie, serce zabiło mu radośnie. „Zadzwoń, kiedy będę miała coś do powiedzenia”. Być może nie zadzwoni. Być może nie będzie chciała się z nim widzieć, jeśli on do niej zatelefonuje, ale to, co powiedziała, znaczyło więcej niż cokolwiek przez te wszystkie lata. To wystarczyło, żeby doznał tej chwili radości.

— Emily, chcę, żebyśmy się rozstali. Chcę rozwodu.

— Nie! — Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego. — Sądzę, że nie mówisz tego poważnie, Paul. Wiem, że nie. Przeżywaliśmy różne kłopoty i nie jesteśmy doskonali, ale nie ma sensu, żebyśmy się rozwodzili. Nie musimy razem mieszkać, jeśli sobie tego nie życzysz. Ty możesz mieszkać tutaj, a ja w Bel Air, ale nadal możemy być przyjaciółmi i pomagać sobie nawzajem. Nie jesteś zakochany w innej kobiecie, ani ja w żadnym innym mężczyźnie, więc wszystko powinno ułożyć się doskonale.

— A jeśli któreś z nas zakocha się w kimś innym?

— Wtedy możemy porozmawiać o rozwodzie, jeśli okazałoby się to takie ważne. Ale nie ma pośpiechu.

Paul spojrział przez ogromne okna na oświetlone w dole miasto. Rozciągało się aż po horyzont i było pełne zagrożeń niewidocznych z miejsca, w którym stał.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy o tym teraz — powiedział.

Telefon w mieszkaniu Claya nie odpowiadał. Przez następną godzinę Laura próbowała na zmianę — pracować i dodzwonić się do Claya. Wreszcie postanowiła wrócić do domu. Ale przed hotelem zmieniła zdanie i pojechała taksówką do mieszkania brata. Poczeka tam na niego. Telefon i tak na nic się nie zda. Chciała zobaczyć jego twarz, gdy go zapyta, o to, czego chciała się dowiedzieć. Jeszcze się nad tym nie zastanowiła. Oczywiście Paul się mylił, ale ona i tak chciała jak najszybciej porozmawiać z Clayem, tylko po to, żeby się upewnić.

— Nie ma ich, panno Fairchild — powiedział stróż stojący w holu ogromnego budynku, który został przerobiony ze starej drukarni na kosztowne mieszkania.

— Wiem — odparła Laura. — Poczekam na nich na górze. — Stróż dotknął czapki, gdy Laura mijała go, idąc w stronę windy. Wiedział, że ma własny klucz. Dostała go od Clay'a, kiedy pomagała mu meblować mieszkanie.

Wszystkie lampy były zapalone. Laurę zaskoczył ład i porządek w mieszkaniu. To wpływ Myrny. Laura chodziła niespokojnie po ogromnym pomieszczeniu przedzielonym meblami i wysokimi kwiatami. Usiadła i spojrzała na czasopisma na stoliku. Przeglądała je, słuchała odgłosów ruchu ulicznego na Greene Street i niespiesznych kroków, jakie dochodziły z apartamentu na górze. Potem znowu zaczęła krążyć po mieszkaniu. Nie mogła usiedzieć spokojnie.

Na jednej ścianie umocowano półki z książkami. Jedna garderoba stała otworem i Laura zobaczyła ubrania i starannie poustawiane buty Myrny, druga była nieco uchylona, jakby drzwi zostały tylko lekko popchnięte. Laura dojrzała jeden z eleganckich garniturów Clay'a i stertę butów na podłodze. To dziwne, pomyślała. Clay zawsze bardzo dbał o buty. Otworzyła drzwi garderoby. Buty były stłoczone na małej przestrzeni obok metalowej szafki z szufladami. Laura pokręciła głową. Co to za zwariowane miejsce na szafkę. Miał całe mieszkanie do dyspozycji, a on umieszcza ją w garderobie. Może przechowuje tu swoje listy miłosne i nie chce, żeby Myrna je zobaczyła.

Zamknęła drzwi garderoby i stanęła na brzegu łóżka, żeby spojrzeć na książki ustawione na półce. Wzięła kilka i przejrzała, a potem odłożyła. Wreszcie wybrała jedną i zaniósła do salonu. Usiadła w fotelu, próbując znowu czytać. O północy dała za wygraną. Była zmęczona i zaniepokojona. Czuła, że niepotrzebnie się denerwuje. Doprowadza się do takiego stanu z byle powodu. Zobaczy się z Clay'em jutro w biurze.

Ale nazajutrz miało się odbyć posiedzenie zarządu Sieci Hoteli Salingera. Musi lecieć samolotem o ósmej. Wobec tego przyjdzie tu najpierw na śniadanie i wtedy porozmawia z Clay'em.

Ale kiedy wychodziła, coś ją tknęło i zawróciła. Dlaczego on trzyma tę metalową szafkę w garderobie? To nie miało sensu. Zawsze dbał o swoje buty, pastował je, wypychał papierem, żeby nie straciły kształtu. Dlaczego upchnął obok nich szafkę, skoro miał tyle innych miejsc w mieszkaniu?

Bo tylko garderoba w sypialni miała zamek.

Laura zauważyła to już wtedy, kiedy meblowali mieszkanie. To była jedyna garderoba z zamkiem. Teraz, kiedy nie mieszkał sam, włożył do tej garderoby szafkę. To zbyt wiele trudu jak na przechowywanie listów miłosnych.

Poruszyła się niespokojnie, stojąc pośrodku pokoju. To garderoba Claya. Nie miała prawa tam zaglądać. Powinna pójść do domu. Ale słowa Paula dźwięczały jej w uszach i wydawały się głośniejsze w cichym pokoju. Tylko po to, żeby się przekonać. Tylko dlatego tu jest.

W sypialni ponownie otworzyła garderobę i pociągnęła za górną szufladę szafki. Otworzyła się z łatwością. Laura wybuchnęła śmiechem. Umierała z niepokoju bez powodu... — Rozpoznała swoje pismo. Listy, które pisała do Claya, gdy mieszkał w Filadelfii i później, gdy przebywał w Chicago przed przyjazdem do Nowego Jorku. Zachował je wszystkie, pomyślała. Nie wiedziała o tym. Były też jej fotografie, zdjęcia z Kelly i Johnem Darntonami i zdjęcia wszystkich dziewcząt z którymi chodził od szkoły średniej. To wszystko jest takie niewinne, westchnęła z ulgą. Powinna wiedzieć. Wiedziała. Mówiła Paulowi, że się myli.

Od niechcenia pociągnęła za dolną szufladę, która okazała się zamknięta.

Laura uklękła przed szafką. Wolałaby być w domu. Przykucnęła i spojrzała na zamkniętą szufladę. Metal błyszczał w świetle lampy. Tylko żeby się upewnić, żeby się upewnić, żeby się upewnić. Za pomocą karty kredytowej i pilniczka do paznokci Laura otworzyła zamek szuflady.

Do diabła, nie powinna być w tym tak dobra. Powinna zapomnieć, jak się to robi.

Pociągnęła szufladę. Znajdowała się w niej tylko gruba koperta odwrócona tak, że nie widać było nazwiska i adresu oraz mahoniowe, wypolerowane pudełko. Wyjęła jedwabście gładkie pudełko. Uniosła wieczko. Pudełko było wyściełane błękitnym aksamitem. Na nim, lśniąc swym rubinowo-diaamentowym blaskiem, leżał naszyjnik Leni Salinger.

Rozdział trzydziesty

Clay zaparkował w garażu oddalonym o przecznicę od mieszkania. Przez całą drogę do domu on i Myrna prowadzili spór, który zaczął się na przyjęciu. Ostatnio często im się to zdarzało. Kłótnie zaczynały się banalnie, a potem wybuchały i eksplodowały krzykiem oraz tłuczonymi filiżankami. Potem Clay i Myrna padali na łóżko i Myrna wspinała się na niego lub całowała go tak długo, aż znowu byli nastawieni do siebie przyjaźnie.

— Dlatego, że nie chcę — warknął Clay, gdy przechodzili obok stróża. — Ja nie zmuszam cię...

— Panie Fairchild — powiedział stróż. — Była tu panna Fairchild. Chciała się z panem zobaczyć. Wyszła godzinę temu.

— Była tutaj? Powiedziała, o co chodzi?

— Nie. Czekala przez pewien czas, a potem wyszła.

— Prawdopodobnie zostawiła wiadomość — mruknął Clay. — Pewnie trzeba coś załatwić jutro rano. — W windzie podjął rozmowę, którą przerwali. — Nie chcę już więcej chodzić na te cholerne przyjęcia dobroczynne, bo nie cierpię smokingów, nie znoszę jedzenia, które tam podają i nienawidzę, gdy ci wszyscy ludzie mierzą mnie wzrokiem.

— Mierzą cię wzrokiem, bo im się podobasz. Clay, to są ludzie,

o których czytasz w gazetach! Pewnego dnia w gazetach ukaże się również nasze zdjęcie.

— Nie chcę, żeby moje zdjęcie ukazywało się w gazecie i nie czytam o nich, Ty czytasz. Mnie oni nic nie obchodzą. Kukły, które mają zbyt dużo pieniędzy i myślą, że rządzą całym światem...

Otworzył drzwi.

— Mówię poważnie, Myrna. Możesz zdzierać sobie gardło, ale nie zaciągniesz mnie już na takie przyjęcie. Boże, tylko tego mi potrzeba. Klótlivej, przypierającej do muru żony, szukającej towarzystwa wyższych sfer.

— Ty nie zasługujesz na żadną żonę — odparła ostro. — Próbuję zrobić coś, żebyś stał się lepszy, żebyś obracał się we właściwych kręgach.

— Do cholery, kobieto, nie chcę, żebyś mnie ulepszała. Zostaw mnie w spokoju!

— Może powinnam! Może powinniśmy wszystko odwołać!

— Według mnie to cholernie dobry pomysł!

Odeszła i zniknęła za ścianą szafek w kuchni. Clay przespacerował się po mieszkaniu, szukając kartki od Laury. Nie było. Może powinienem do niej zadzwonić, pomyślał. — Niewykluczone, że to coś ważnego. W przeciwnym razie, po co by tu przyszła? Ale była już druga trzydzieści w nocy. Nie mógł teraz zadzwonić. Zobaczy się z nią w pracy. Zdejmując pas i czarny krawat wszedł do sypialni i rzucił je na łóżko. Jak strój więzienny, mruknął, odpinając koszulę. Gorzej, wszystko wykrochmalone... — Jego ręka zastygła na jednym z odpinanych guzików. Nie zamknął drzwi garderoby? Były lekko uchylone. Mógłby przysiąc, że zamykał.

Przymknął oczy i starał się sobie przypomnieć. Może jednak nie zamknął. Spieszył się. Myrna ponaglała go, mówiąc, że się spóźnią. Popchnął je tylko. Mogły się nie zamknąć. Ale nawet jeśli zostały otwarte, nikt się przecież tu nie kręcił.

Laura tu była. A jeśli coś ją zaciekało...

Otworzył drzwi garderoby i zajrzał do środka. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Nawet para spinek, którą zostawił na metalowej szafce. Pochylił się i pociągnął dolną szufladę. Była zamknięta. Nie ma się czym niepokoić.

A jednak...

Wyjął swój pęk kluczy i otworzył szufladę mosiężnym kluczy-

kiem. Koperta leżała na swoim miejscu. Pudełko też. Sięgnął po nie i uchylił wieczko.

Pudełko było puste.

Zachwiał się i przyklęknął na jedno kolano. Czuł się tak, jakby ktoś roztrzaskał mu głowę. Ukląkł i zaczął drżeć. Znalazła. I zabrała go. Po tych wszystkich latach, kiedy ufała mu i wierzyła w niego, dowiedziała się.

O czym? O czym się dowiedziała? Że to on zrobił ten skok jedenaście lat temu na Cape. Że to on zaatakował Owena w holu, kiedy stary głupiec sięgnął do kontaktu. Tylko tyle wiedziała. Nie wiedziała o żadnych innych kradzieżach. Prawdopodobnie nie miała pojęcia, że dokonano jakichś kradzieży. Jak mogłaby o nich wiedzieć? Miały miejsce daleko stąd. W Acapulco, Palm Springs. Nie mogła się o nich dowiedzieć.

Ale nie będzie mu już więcej ufać. Przystanie go kochać. A jeśli jednak dowiedziała się o tamtych kradzieżach...

Tętniło mu w skroniach. Trząśnięcie całego ciała. Był śmiertelnie przerażony. Musi się stąd wynosić. Ona zadzwoni do niego rano albo będzie czekała na niego w biurze i spojrzy mu w twarz tymi ogromnymi oczami, dając do zrozumienia, że zawiódł jej zaufanie. Nie mógłby tego znieść.

Ona mu już więcej nie pomoże, nie będzie się o niego troszczyć ani nim opiekować. On nie będzie ją już nic obchodził, bo dowiedziała się, że okłamywał ją przez te wszystkie lata. Nawet przekonał ją, że to robota Bena, a ona tak bardzo kochała Bena.

Wyrzuci go z pracy.

Zaczął płakać. Laura była jedyną osobą na świecie, którą kochał i tylko na jej miłości naprawdę mu zależało. Teraz ją stracił.

Powinien sprzedać ten cholerny naszyjnik, ale nigdy nie miał odwagi się go pozbyć. Z początku miał taki zamiar, ale naszyjnik był zbyt cenny i zbyt znany. A potem Clay zdał sobie sprawę, że tak naprawdę, to nie chce go sprzedawać. Ci dranie wyrzucili jego i Laurę. Naszyjnik był symbolem honoru. Clay nienawidził Salingerów. Często sięgał po naszyjnik, przesuwając go wzdłuż dłoni. Wiedział, że oni chcieliby go odzyskać, ale nigdy nie będą go mieli. Zabrali dziedzictwo Laury i wyrzucili ich. Oni obrabowali nas, ja obrabowałem ich, pomyślał z satysfakcją. Jednak po pewnym czasie zupełnie zapomniał o naszyjniku.

Przez ostatnie dwa lata prawie na niego nie spoglądał. Był tak bardzo zajęty innymi sprawami: wyższe stawki, większe ryzyko, najwspanialsze chwile jego życia.

— Clay? — Myrna wołała z kuchni tak, jakby nigdy się nie pokłócili. —

Przygotowałam ser i krakersy. Chcesz trochę?

Próbował odpowiedzieć, ale płakał i wydał z siebie tylko zduszony szept.

— Clay?

— Tak. Zaczekaj.

— Miałam zamiar przygotować grzane, korzenne wino. Chyba że chcesz brandy.

— Brandy.

— To przynieś z barku, dobrze?

— Dobrze, za chwilę.

— Nie śpiesz się. Wiem, co zrobię. Przygotuję grzane wino i zaprawię je koniakiem.

To powinno wprawić mojego chłopca w dobry nastrój, zanim zabiorę go do łóżka.

„Musi stąd uciekać”. Te słowa wracały jak replay. Uciekać stąd, uciekać stąd, uciekać... Nie może spojrzeć w oczy Laurze, nie zniósłby jej nienawiści. Wynosić się, wynosić, wynosić. Cały drżący, ze łzami na twarzy, wyciągnął spod łóżka torbę. Wrzucił do niej spodnie, swetry, koszule, bieliznę i dodatkowe buty. Ściągnął wyjściową koszulę i spodnie od smokingu. Włożył levisy i sweter, skarpety, buty i ciemną czapkę.

Otworzył górną szufladę szafki, wyjął z niej dwie koperty i wsunął je do torby. Z innej przegródki wyjął trzy ulubione zdjęcia Laury i włożył je między koperty, żeby się nie pogniotły.

To wszystko zabrało mu zaledwie pięć minut. Z dolnej szuflady wziął grubą kopertę z nazwiskiem Laury, napisanym ręką Owena. Pewnie jej nie zauważyła. Była tak wstrząśnięta odkryciem naszyjnika, że nie patrzyła na nic innego. Koperta również powędrowała do torby. Nie wiedział jeszcze, co z nią zrobi. Wiedział, że Laura już jej nie potrzebuje. Zdobyła już udziały w hotelach Salingera. Ale może pewnego dnia ta koperta pomoże mu odzyskać miłość Laury.

— Clay? Jesteś już gotowy?

— Zaczekaj.

Zamknął torbę na suwak. Nadal płakał, ale odruchowo prześlizgnął się wzdłuż półek z książkami w ogromnym pokoju, błys-

kawicznie i cicho, jak robił to przez wiele lat. Przy drzwiach wejściowych chwycił swoją skórzaną kurtkę z szafy. Potem, nie oglądając się za siebie, otworzył drzwi, zamknął je bezszelestnie i odszedł.

Podczas lotu do Bostonu burza wstrząsała samolotem lecącym poprzez deszcz i gwałtowny wiatr. Laura nie mogła skoncentrować się na nadchodzącym posiedzeniu zarządu. To Clay, nie Ben. Clay, nie Ben. Przez całą noc te słowa nie pozwalały jej zasnąć. I pozostałe kradzieże — wszystko, o czym mówił Paul — to pewnie prawda, pewnie prawda, pewnie prawda. Jej myśli były tak niespokojne jak burza, która zaczęła się około trzeciej nad ranem i nadal szalała. Laura tak bardzo chciała mieć rodzinę. Pragnęła tego tak rozpaczliwie, że nie zwracała uwagi na widoczne sygnały. Miała wiele wskazówek, ale chciałam w niego wierzyć.

Bardzo wcześnie rano zadzwoniła Myrna i gniewnym głosem powiedziała:

— On odszedł. Wymknął się, kiedy robiłam mu grzane wino. Myślałam, że wróci, ale wydaje mi się, że zniknęły niektóre jego rzeczy. To była tylko głupia kłótnia. Wszystkim się takie zdarzają, ale tym razem on się wyniósł. Sądzę, że jest u ciebie. On zawsze ucieka do ciebie, jakbyś była jego mamuszką. Proszę, pozwól mi z nim porozmawiać.

— Nie widziałam się z nim — odparła Laura.

Wiedziała dlaczego Clay odszedł, ale nigdy nie powiedziałaaby o tym Myrnie. To tylko pogorszyłoby sprawę. Będzie musiała zastanowić się, jak go odnaleźć i... albo zostawi go w spokoju, dopóki sam się z tym nie upora i wróci. Ale teraz nie mogła o tym rozmyślać. Nie miała czasu. Musiała myśleć na temat posiedzenia zarządu Sieci Hoteli Salingera.

Nie zdecydowała jeszcze, jak się zachować. Do poprzedniej nocy planowała, że wejdzie tam i zdemaskuje Bena i przyzna, że jest jego siostrą. Dlaczego miałyby się przejmować, że to poróżni go z Salingerami. Po tym co jej zrobił?

Ale teraz wiedziała, że on nic jej nie zrobił. Nie obrabował Salingerów, nie zaatakował Owena, nie zdradził jej. Mówił prawdę, a ona mu nie wierzyła.

Powiedziała, że nie chce go więcej widzieć. Odprawiła go tak samo okrutnie, jak ją Salingerowie.

Teraz, kiedy to wszystko wiedziała, jak mogłaby narażać na szwank wszystko, co posiadał? Nie miała prawa ingerować w życie, które stworzył i zdradzać jego tajemnic.

Ale jeśli nie powie im kim jest, nie zatwierdzą jej udziałów w przedsiębiorstwie. Nie wiedziała, co zrobi. Nie było powodu lecieć do Bostonu, jeśli nie miała zamiaru domagać się uznania jej prawa do udziałów jako siostra Bena. Ale od tak dawna marzyła o tym by, stanąć z Feliksem twarzą w twarz — niech wie, że odebrała mu to, co jej ukradł — że myśl o zaniechaniu tego przynosiła uczucie pustki. Wiedziała, że nie powinna tego chcieć. Miała już tak wiele i musi myśleć o Benie... Ale jednak chciała tego. To dawało jej energię, która napędzała ją, odkąd Feliks wyrzucił ją z domu.

Nie potrafię teraz zdecydować, mówiła sobie w duchu. Wymyślę coś. Jest jeszcze czas. Nie mogę opuścić tego posiedzenia. Nie mogę tak po prostu z tego zrezygnować i zapomnieć o tym. Musi być jakieś wyjście...

Kiedy samolot wylądował w Bostonie i gdy jechała taksówką przez znajomy tunel do centrum, miała mdłości i zawroty głowy. Nieistotne, czy spowodował to meczący lot, czy długie, bezsenne godziny po opuszczeniu mieszkania Clay a, czy też lęk przed tym, co ją czeka. Przed Feliksem. I Benem.

W hotelu Boston Salinger nic się nie zmieniło, a jednocześnie wszystko było inne; stał w całym swym majestacie, nie opodal Public Gardens. Hol zdominowali biznesmeni w szarych i brązowych garniturach, niosący identyczne teczki. W kącie, przy biurku siedział nieskazitelny, ani o moment nie postarzały Jules LeClair. Rozdawał klucze i dobre rady. Ale hol nie był tak ogromny, jak Laura pamiętała. Jules nie wydawał się tak straszny, a żyrandol nad głową był z całą pewnością mniejszy i mniej błyszczący niż w jej pamięci. Niektóre popielniczki należałoby wyczyścić. Pamiętała ten hol jako lśniące pomieszczenie bez skazy. Mimo swoich niespokojnych myśli uśmiechnęła się. Zmieniła się tylko Laura Fairchild.

Była spóźniona z powodu burzy. Podeszła szybko do windy, nim Jules mógł ją zobaczyć. Wjechała na najwyższe piętro. Ogarnięta wspomnieniami, nie myślała o niczym innym, kiedy przeszła obok recepcjonisty przy sali konferencyjnej i otworzyła drzwi. Weszła do środka i zaczekała, aż zauważą ją mężczyźni siedzący przy długim stole.

Ben zobaczył ją pierwszy. Podniósł głowę znad dokumentów, które przeglądał, rozgniewany, że się przeszkadza w posiedzeniu, a potem spojrział ze zdziwieniem, bo ujrzał kogoś, kogo, jak mu się zdawało, znał... Potem otworzył szeroko oczy ze zdumienia i odsunął krzesło. Lecz zanim zdołał coś powiedzieć, Feliks zerwał się na równe nogi.

— Co ty tu robisz, do diabła? Wynoś się!

— Dzień dobry, Feliksie — powiedziała Laura. Wewnętrznie była niespokojna, ale wyglądała na tak opanowaną i chłodną, jak jej błękitny żakiet. — Dzień dobry panom. — Podeszła do stołu i wyciągnęła rękę do mężczyzny siedzącego najbliżej.

— Laura Fairchild.

Mężczyzna uniósł brwi.

— Cole Hatton. — Wstał i uścisnął jej dłoń.

Po przeciwnej stronie stołu siedział Thomas Janssen. Laura zwróciła się do niego, podając rękę.

— Miło mi znowu cię widzieć.

— Mój Boże, Laura — powiedział tylko i uścisnął jej dłoń.

— To posiedzenie zarządu — warknął Feliks. — Jeśli nie wyjdiesz, każę cię wyrzucić.

Laura wyciągnęła dłoń do Asy. Spojrział na nią, ale nie mógł jej uścisnąć. Był zmieszany i wodził oczami po pokoju. Skinął tylko głową i odwrócił się.

Laura zawahała się przez chwilę, zarumieniła się i przedstawiła kolejnym mężczyznom, których nie знаła. Obaj wstali i uścisnęli jej dłoń. Następnie Laura wyciągnęła rękę do Bena.

— Dzień dobry.

Przez dłuższą chwilę spoglądali sobie w oczy. Laurze wydawało się, że trwa to wieczność. Po chwili Ben uścisnął jej dłoń.

— Dzień dobry. Bardzo mi miło. Odsunął się, zwalniając krzesło. Proszę usiąść.

— Ona nie usiądzie. — Feliks zacisnął usta. — To zamknięte posiedzenie!

Wtrącił się Cole Hatton.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego panna Fairchild się tu znalazła. Laura usiadła obok Bena i wyjęła z teczki akt kupna, który podpisała wraz z Ginny.

— Virginia Starrett sprzedała mi swoje udziały w Sieci Hoteli

Salingera. Jako że zakup ten musi być zatwierdzony przez radę, pomyślałam, że stosownie będzie przybyć osobiście...

— Stosownie! — Twarz Feliksa pociemniała. Krew pulsowała mu w skroniach. — Bzdura! Przyszedł tu, żeby narobić kłopotów! Dobrze wiesz, że zarząd nie zatwierdzi tego zakupu...

— Feliksie — przerwał mu Hatton. — Nie przedyskutowaliśmy tego. Nie mam pojęcia, jak głosowałbym nad zakupem udziałów panny Fairchild.

— To nie ma znaczenia — warknął Feliks. — To nie zostanie zatwierdzone. Ta kobieta...

— Nie lubię, kiedy ktoś twierdzi, że moje poglądy są bez znaczenia — powiedział dobitnie Hatton, rumieniąc się coraz bardziej.

— Ta kobieta nie ma za grosz charakteru i moralności. Nie nadaje się do tego, aby posiadać choćby część tego przedsięwzięcia.

— Już to kiedyś mówiłeś — rzekł łagodnie Thomas Janssen. Spojrzał na Laurę. Siedziała wyprostowana obok Bena, który patrzył na nią dziwnie zaskoczonym i zdziwionym wzrokiem od momentu, w którym się pojawiła. Trzymają głowy w ten sam sposób, pomyślał Thomas. Nawet wyglądają nieco podobnie. Mają coś takiego w oczach... — Ale sądzę, że powinniśmy wysłuchać Laury. Minęło dużo czasu, wiele się zmieniło. Być może moglibyśmy skorzystać z jej obserwacji.

— Ta sprawa nie należy do dzisiejszego porządku dziennego — protestował Feliks.

— Będzie musiała...

— Od czego minęło wiele czasu? — spytał jeden z członków rady.

— Co ma moralność do interesów? — zapytał dość cynicznie mężczyzna obok.

— Hotele tej kobiety podlegają śledztwu z powodu działalności przestępczej — Feliks wytoczył ciężkie działo.

— Przestępczej? — powtórzył Thomas.

— Kradzieże dzieł sztuki na wielką skalę.

— Hotele zajmują się kradzieżami dzieł sztuki? — dopytywał się Hatton. — To bardzo nietypowa działalność jak na hotele. Panno Fairchild, niech pani nam powie, czy jest pani w konflikcie z prawem?

— Nie — odparła.

— Czy policja przesłuchiwała panią w sprawie kradzieży dzieł sztuki?

— Nie.

— Czy policja przesłuchiwała panią w jakiegokolwiek sprawie?

— Nie.

— To mi wystarczy. Panna Fairchild jest jedną z najlepszych kobiet interesu. Nie wiem, o jakim śledztwie mówisz, Feliksie, ale dla mnie jest to bez znaczenia. Jeśli panna Fairchild posiada akt kupna od Virginii Starrett, to twierdzę, że powinniśmy to przegłosować i dalej prowadzić posiedzenie. To proste głosowanie i zgłaszam taki wniosek.

— Możesz to zrobić, jeśli chcesz. W zasadzie popieram go. I głosuję przeciw. Asa? Asa patrzył w stół.

— Przeciw — mruknął.

— I sprawa załatwiona — rzekł Feliks. — Zatwierdzenie wymaga poparcia trzech czwartych rady. Ja i Asa stanowimy jedną trzecią. Nie będziemy kontynuować posiedzenia, dopóki — wskazał w kierunku Laury, niezdolny wymówić jej imienia — nie wyjdzie. Nastąpiła chwila ciszy. Laura wpatrywała się w swoje ręce zaciśnięte na brzegu stołu. — Czekam.

— Oczywiście obaj możecie zablokować głosowanie — rzekł Thomas — ale chciałbym dokładnie przedyskutować tę sprawę. Mogę zgłosić formalny wniosek, jeśli sobie życzysz. Nie mam ochoty myśleć, że po raz drugi zachowamy się zbyt pochopnie w stosunku do Laury. Jeśli jest to sprzedaż w dobrej wierze, to wydaje mi się, że Laura ma prawo do swoich udziałów. Zapłaciła za nie mnóstwo pieniędzy, co jest dla mnie zdumiewające.

— Tak, wszyscy jesteśmy zdumieni — podchwycił Feliks ironicznie. —

Głosowanie się odbyło. Nowego wniosku nie ma. — Ale skoro poruszyłeś tę sprawę, to wiedz, że jeśli pieniądze zostały skradzione, a prawdopodobnie tak się stało, to sprzedaż będzie unieważniona choćby na tej podstawie.

— Nie zostały skradzione — powiedziała dobitnie Laura. Wstała, podeszła do okien i odwróciła się do zebranych. — Sądziłam, że większość członków zarządu przegłosuje bez uprzedzeń sprawę zatwierdzenia moich udziałów. Miałam nadzieję, że zwłaszcza Asa... Liczyłam na to, że Asa będzie tak głosował. To jest sprzedaż w dobrej wierze. Thomas, jeśli chcesz spytać o to Ginny, dam ci jej

numer telefonu. Miałaś rację, że moje obserwacje mogą się przydać. Popielniczki na dole są nie wyczyszczone.

Ze stłumionym przekleństwem na ustach Feliks odsunął krzesło i prawie podbiegł do drzwi.

— Posiedzenie zostaje odroczone! Odroczone! — Otworzył drzwi. — Dopóki nie zaczniecie zachowywać się jak należy... Przerwał i przyjął sztywną pozę. — Dopóki zarząd nie zacznie zachowywać się poważnie.

— Chwileczkę! — Ben podniósł się od stołu i podszedł do Feliksa. — Nie słyszałem wniosku o odroczenie posiedzenia. Spojrzał na członków rady. — Czy ktoś zgłasza taki wniosek?

— Ja zgłosiłem wniosek o odroczenie posiedzenia! — wybuchnął Feliks. — Słyszałeś przecież.

— Nie usłyszałem poparcia wniosku. — Ben spojrzał na Asę ostrzegawczo i Asa nagle poczuł, że nie jest pewien, po której stronie znajduje się władza, i milczał.

Wszyscy milczeli. — Nikt nie poparł wniosku. Lauro, masz głos.

Czekał, kiedy Laura przedstawi się jako jego siostra. Nie wiedział, dlaczego tak długo z tym zwlekała. Nie mogła uzyskać aprobaty dla swoich udziałów w żaden inny sposób. Czuł dziwny rodzaj ulgi i strachu. Nie wiedział co się stanie, ale od momentu gdy ujrzał tę olśniewająco piękną kobietę, wezbrała w nim cała miłość dla niej i wiedział, że cokolwiek się stanie, już nigdy się siebie nie wyprą. Ona jest moją siostrą, myślał z miłością i dumą. Czekał, kiedy Laura powie im, kim jest.

Ale ona milczała.

— Lauro — powtórzył znowu. — Chciałaś coś powiedzieć... Spojrzała mu w oczy. Wiedziała, że nie może tego zrobić. Sądziła,

że zdobywając część imperium Salingerów, będzie miała wszystko, czego pragnęła, Teraz, kiedy było to w zasięgu jej ręki, zrozumiała, że liczy się coś więcej. Ben. Kochała go i wyrzuciła mu okropną krzywdę. Nie miała zamiaru robić tego po raz drugi. Powie prawdę, kiedy sam o tym zadecyduje. Może nie powie wcale. To jego sprawa. Nie będzie go do tego zmuszać. Winna mu jest przynajmniej milczenie, ponieważ myliła się nie tylko w stosunku do Claya, ale również w stosunku do Bena. Paul, przepraszam cię. Miałaś więcej racji, niż przypuszczasz.

Zamknęła oczy. Czuję się zmęczona ciągłym przeproszaniem, pomyślała, ale to tylko moja wina.

— Lauro — nalegał gorączkowo Ben. — Czekamy. Otworzyła oczy. Wszyscy na nią patrzyli. Spojrzała na Bena i pokręciła głową.

— O co tu chodzi? Na co czekamy?

Ben odetchnął głęboko. Do diabła, pomyślał, to musi się kiedyś stać. Szkoda, że nie miał odwagi zrobić tego o wiele wcześniej. Szkoda, że teraz czuje się, jakby stał na skraju przepaści.

— Nie będziemy dłużej czekać — powiedział cicho. — Zatwierdzimy sprzedaż udziałów pani Virginii Starrett na rzecz Laury Fairchild. Chciałbym przedstawić ją panom jeszcze raz. Tym razem odpowiednio. — Zerknął na Feliksa, który stał bez ruchu przy drzwiach, wyczuwając, że stanie się coś okropnego. Ben wyciągnął rękę do Laury, a ona podeszła z szeroko otwartymi oczyma i uśmiechem drżącym na ustach. — Z radością przedstawiam moją siostrę — powiedział głośno Ben. Objął ją ramieniem i stali tak razem naprzeciw członków zarządu Sieci Hoteli Salingera. Jej trzy pokoje były dokładnie takie same, opromienione blaskiem słońca, które przebiło się przez chmury, gdy burza ucichła.

— Są zbyt piękne, by je zmieniać — powiedział Ben do Laury, gdy przechadzała się po nich w milczeniu.

Starła się zatrzymać wspomnienia, które ją ogarnęły: radość i miłość, które czuła przez te wszystkie lata, gdy tu mieszkała, fascynację tworzeniem nowego, wspaniałego życia.

— Na pewien czas umieściliśmy tu Judda, a teraz traktujemy je jako pokoje gościnne. Allison chciałaby je przeznaczyć dla siostry Judda, gdy ta dorośnie.

— Skąd wiesz, że to będzie siostra. — Laura zdziwiła się, jak naturalnie brzmi jej głos.

— Allison ma takie przeczucie.

Laura stanęła przed kominkiem, spoglądając na fotografię Faula przedstawiającą dzieci budujące zamek z piasku.

— Zawsze myślałam o nich jak o nas trojgu. Ty i Clay chcecie zawiesić fi agę piracką, ja marzę o wstążkach i swoim pokoju.

— To wspaniałe zdjęcie — powiedział Ben. — Czy widzisz go jeszcze?

— Od czasu do czasu.

Usłyszał zmianę w jej głosie.

— Nadal go kochasz?

— Byłam taka zajęta — odparła niejasno — że nie miałam czasu zakochać się w nikim innym.

Ben chciał powiedzieć, że zadał poważne pytanie, ale nie mógł wymagać od niej, aby mu się zwierzała. Nie tak prędko. Najpierw muszą się przyzwycząić do tego, że są znowu razem. A to było takie trudne, takie zadziwiające. Zastanawiał się, czy wygląda na tak oszołomionego, jakim nadal się czuł. To wszystko stało się tak nagle; zmieniało się z minuty na minutę, a on starał się dotrzymać kroku wydarzeniom.

— Czy ty jesteś w stanie za tym wszystkim nadążyć — zapytał.

— Prawie — odparła z uśmiechem. — Byłam przygotowana. Wiedziałam, że przyjdę na posiedzenie. Jednak mimo wszystko zobaczyć ciebie i być z tobą... Ben, mamy sobie tyle do powiedzenia.

— Może chcesz najpierw obejrzeć resztę domu?

— Nie teraz. Najbardziej chciałam zobaczyć pokoje Owena i moje. Przygotuję coś na lunch i możemy porozmawiać w sa... Do diabła — Laura zarumieniła się. — Przepraszam, zachowuję się, jakbym była u siebie, Ben objął ją.

— To był twój dom. Chciałbym, żeby znalazł się jakiś sposób...

— Nie, oczywiście, że nie. — Przytuliła go, a potem się odsunęła. — Mam wspaniały dom w Nowym Jorku i tam pracuję. Nie mogłabym tu mieszkać, nawet gdybyś sprezentował mi ten dom.

— Czy wiesz, że Leni też mieszka w Nowym Jorku. Odeszła od Feliksa.

— Niebawem. Trudno uwierzyć. Wiedziałam, że ja się zmieniam i lata mijają, ale kiedy tylko pomyślałam o Salingerach, wydawało mi się, że trwają niezmienni.

— Nikt nie pozostał taki sam. Zaczekaj, aż zobaczysz Allison. Powinna tu być około piątej. Kiedy idzie na zakupy, zazwyczaj zabiera jej to całe popołudnie.

Przypuszczam, że Judd jest teraz w parku, skoro burza się skończyła. Niania zawsze przyprowadza go między czwartą a piątą. Kucharka ma dzień wolny. Przygotujemy razem lunch. Zgadzasz się?

— Z przyjemnością.

W kuchni Rosy nowa kucharka poprzestawiała przybory ku-

chenne i naczynia. Laura poczuła się dotknięta. Co jej się nie podobało w sposobie, w jaki ona i Rosa przechowywały to wszystko?

— Wędzony kurczak — wymieniał Ben, wyjmując paczuski z lodówki. —

Pomidory. Bagietki. Kawa czy herbata?

— Proszę herbatę.

W milczeniu układali jedzenie na tacach. Tyle mieli sobie do powiedzenia, ale nie wiedzieli, jak zacząć. A dla Laury była to pierwsza spokojna chwila od rozmowy z Paulem poprzedniego dnia. Nie do wiary, że to było zaledwie wczoraj, pomyślała. Pozwoliła, żeby ogarnęła ją cisza i złagodziła jej wewnętrzny niepokój. Czowała, że ta cisza to przysłowiowa cisza przed burzą, ale to jej nie przeszkadzało. Cokolwiek czekało ją po powrocie, łącznie ze śledztwem Colby'ego, teraz czuła się bezpieczna w ukochanym domu i z Benem.

Zanieśli tace do salonu i usiedli na pluszowej kanapie, którą Allison kazała przesunąć do okna z widokiem na brukowaną ulicę Mount Vernon, wysadzaną drzewami, których liście mieniły się wszystkimi barwami jesieni.

— Dlaczego nie powiedziałaś im, kim jesteś — zapytał Ben, nalewając herbatę. — Oczekiwałem, że to zrobisz.

— Nie chciałam poróżnić cię z twoją rodziną. Wiem jak to jest, kiedy tajemnica wychodzi na jaw. Nie mogłam ci tego zrobić.

— Nadal nie rozumiem. — Podał jej filiżankę. — Myślałem, że mnie nienawidzisz od momentu kradzieży na Cape.

— Tak było, ale myliłam się, Ben. Wczoraj wieczorem dowiedziałam się... Clay to zrobił. To on ukradł klejnoty Leni.

Ręka Bena zastygła w pół ruchu. Potem ostrożnie przełamał bagietkę i posmarował masłem.

— Tak myślałem. Nawet mówiłem ci, żebyś go zapytała, pamiętasz? Clay nigdy nie potrafił oprzeć się pokusie. Jak się o tym dowiedziałas?

— Nadal ma naszyjnik. Właściwie miał. Znalazłam go i zabrałam. — Laura opowiedziała Benowi o poszukiwaniach w mieszkaniu Claya.

Ben westchnął.

— Dureń. Dlaczego, do cholery, nie pozbył się naszyjnika...

— Nie mogę go o to zapytać. Zniknął. Ale cieszę się, że nie sprzedał naszyjnika.

Teraz mogę go oddać Leni. Przywiozłam go ze sobą. Pomyślałam, że poproszę cię, abyś go jej zwrócił.

— Teraz możesz zrobić to sama. Jak to zniknął?

— Myrna, dziewczyna, z którą on mieszka, dzwoniła dziś rano. Powiedziała, że Clay zniknął, zabierając część swoich ubrań. Przypuszczam, że stróż powiedział mi o mojej wizycie. Clay sięgnął po naszyjnik i zrozumiał, że ja go mam. Potem uciekł. Nigdy nie lubił, jak go strofowałam. On... — Coś ścisnęło ją w gardle i przerwała.

— Niepokoiłam się o niego — powiedziała cicho. — On zachowywał się, jak mały chłopiec, który udaje dorosłego mężczyznę, ale był dla mnie taki serdeczny. Chciałam, żeby odniósł sukces, żeby był szczęśliwy i żeby wreszcie wydorósł. Ale to nie wszystko, Ben. Wydaje mi się, że jest coś jeszcze.

Laura pokrótce opowiedziała Benowi o filmie Paula i o Samie Colbym.

— Nie wiem, czy Clay ma z tym coś wspólnego. Trudno mi uwierzyć, że mógł stworzyć takie zagrożenie dla pozycji hoteli.

— Prawdopodobnie sądził, że nikt nie wpadnie na ślad. Nie mógł oprzeć się pokusie, z którą miał do czynienia każdego dnia, każdego miesiąca. Czy jesteś w stanie wskazać jakiegoś innego pracownika hotelu, który mógł to zrobić?

— Nie. No, ja mogłam. Tak przynajmniej sądzi Sam Colby.

— Jeśli tak uważa, to jest skończonym osłem. Nikt, kto zrobił z tymi hotelami to co ty, nie narażałby ich w ten sposób. Clay, owszem, bo on nigdy nie był w stanie przewidzieć konsekwencji. Ty to potrafisz. Gdybyś nie potrafiła, nie osiągnęłabyś tego, co masz.

— Skąd Sam Colby ma o tym wiedzieć?

— Powiemy mu.

— I oskarżymy Claya?

— Jeśli nie mamy innego wyjścia. Mój Boże, Lauro, Clay nie martwił się o ciebie, kiedy pakował cię w najgorsze kłopoty.

— Tego nie wiemy.

— Wiemy to, ponieważ znamy Claya. Laura splatała i rozplatała ręce.

— Nie zajęłam się nim, jak należy, prawda?

— Mówisz tak, jakbyś była jego matką. Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za Claya. Jeśli już ktoś, to ja, bo ja nauczyłem go kraść.

Laura odwróciła się do niego.

— Co robiłeś po kradzieży na Cape?

— Chcesz wiedzieć, czy dalej trzymałem się swoich starych metod? — Pokręcił głową. — Nikogo więcej nie okradłem. Myślałem o tym. Przecież była to moja jedyna umiejętność. Ale to wszystko było złe. Potrzeba było dwudziestu sześciu lat, żebym doszedł do tego wniosku. — Zamilkł na chwilę. — Nie mogę w to uwierzyć. Nie wiem, co o tym myśleć. Jesteś tutaj i rozmawiamy, jakby to było coś najzwyczajszego na świecie. Ale nie jest. To niesłychany cud. Boże, jak ja za tobą tęskniłem. Nie masz pojęcia, jak mi cię brakowało i jak bardzo chciałem cię zobaczyć. Byłem wściekły na ciebie, że mi nie wierzysz. Czy dostałaś mój ostatni list?

— Tak. Nienawidziłam cię za to, że zamieszkałeś w tym domu.

— Wiedziałem, że tak będzie. Po wysłaniu tego listu pomyślałem sobie, że to najbardziej niefortunna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Powinienem do ciebie zadzwonić. Nie mogłem. Czy to nie szalone?

— Ja też nie potrafiłam. Wiele razy o tym myślałam, ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam wciąż taka rozgniewana i czułam się skrzywdzona. Jakim marnotrawstwem jest gniew... A potem pomyślałam, że oddaliliśmy się od siebie tak bardzo, że to już nie ma znaczenia, że już nam na sobie nie zależy. Ale nigdy nie oddaliliśmy się aż tak bardzo, prawda?

— Mam nadzieję, że nie. Przynajmniej nie wtedy, kiedy naprawdę kochamy.

Myślisz o Paulu?

Uśmiechnęła się.

— Myślę o Paulu bardzo często.

— Bardzo się zmieniłaś, wiesz? Jesteś teraz taka opanowana i pewna siebie.

Roześmiała się.

— To na użytek otoczenia. Wewnątrz mnie wrze istny kocioł. Ty też jesteś inny: delikatniejszy, spokojniejszy, ufny... Jesteś przystojny i dystyngowany w tych okularach. Jak dyplomata, który ma pogodzić zwaśnione narody.

— Teraz chcę tylko naszej zgody.

— Już się to stało, prawda? W pierwszych chwilach czułam się dziwnie niezręcznie, ale to minęło. Po prostu wyjechałeś na pewien czas. Chcę usłyszeć o tobie wszystko. Wszystko, o czym nie napisałeś mi w swoich listach. Ale... — Laura nałożyła sobie trochę jedzenia. — Rosa powiedziała, że najważniejszą rzeczą jest odżywianie. Wtedy ze wszystkim można sobie dać radę.

— Mądra kobieta.

— Wspaniała kobieta. Ben, przepraszam cię za to co powiedziałam. — Odłożyła widelec i pochyliła się w jego stronę. — Za te wszystkie okropne rzeczy, które powiedziałam ci na Cape. Wiem, że byłam młoda, ale powinnam ci wierzyć. Powinnam ci zaufać, przynajmniej powinnam pomyśleć przez chwilę, zanim cię oskarżyłam. Tak mi przykro, że cię skrzywdziłam i kazałam ci odejść, że nie widziałam tego, co powinnam zauważyć...

— Lauro, nie ma o czym mówić. Wiem o tym. Wtedy też wiedziałem.

— Nie. Wydawałeś się taki urażony i rozgniewany, ale też zraniony. Mój Boże, tyle gniewu i krzywdy. Kochałam cię, ale myślałam, że ty mnie nie kochasz.

— Tu zazwyczaj zaczyna się problem — stwierdził Ben. Objął Laureę, a ona oparła głowę na jego ramieniu. — Wszystko przemawiało przeciwko mnie, a ty kochałaś Owena i potrzebowałaś go bardziej niż mnie.

— Właśnie, tylko o tym myślałam. O sobie i o tym, czego ja chcę. Nie o tobie ani nawet o Clayu. Nie próbowałam nawet wyobrazić sobie, kto dokonał kradzieży, jeśli nie ty. Za bardzo martwiłam się o siebie i o to, że stracę to, co chcę osiągnąć.

— Hej — przerwał jej łagodnie Ben. — Odprawiasz przesadną pokutę. Przyjmuję wszystkie przeprosiny. Teraz moja kolej, żeby przepraszać.

Laura wybuchnęła śmiechem.

— Kochany Ben. Jak to cudownie mieć cię z powrotem. — Podniosła głowę i pocałowała go w policzek. Wtedy właśnie do salonu weszły Allison i Leni.

— Mój Boże — jęknęła Allison. — Ben? Co się tu, do diabła, dzieje?

Laura i Ben odwrócili się gwałtownie, ale zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem, którego nie mogli powstrzymać.

Allison, w szóstym miesiącu ciąży, zarumieniona z irytacji, stała pośrodku salonu.

— To ma być śmieszne? — zapytała wściekle. — Czy ktoś wreszcie może mnie wtajemniczyć...

— Allison — powiedziała Leni z napięciem. — To Laura.

— Co? Laura? Laura? Na miłość boską, jak ty to zrobiłaś? — Wybuchnęła płaczem.

— Do diabła, czy nie możesz zostawić mężczyzn w tej rodzinie w spokoju? Śmiech ucichł. Ben poderwał się z kanapy podbiegł do Allison i przytulił ją.

— Nie jest tak, jak myślisz. Allison, najdroższa Allison, posłuchaj. Proszę.

— Śmiałaś się — odparła oskarżycielskim tonem.

— Tak, ale tylko dlatego... O Boże, to takie skomplikowane.

— Nie, to bardzo proste. Ja jestem bardzo łatwowierna. Nigdy nie podejrzewałam. Nigdy nawet nie pomyślałam...

— Allison, jestem siostrą Bena — powiedziała Laura. Jej cichy, lecz dobitny głos przerwał wyrzuty Allison.

Zapadła chwila ciszy, a potem Allison wyrwała się z objęć Bena.

— Siostra! Mój Boże! Najtańszy wykręt na świecie! Siostra! Nie mogłaś wymyślić czegoś bardziej oryginalnego. Zawsze byłaś taka mądra. Myślisz, że ja jestem głupia?

— Nie jesteś — odparła szybko Laura, zanim Ben zdołał coś powiedzieć. Podeszła i stanęła obok niego. — Pomogłaś mi stać się tym, kim jestem. Nauczyłaś mnie zbyt wiele, żebym stosowała tanie wykręty, w które nikt nie wierzy. Mówię prawdę. Jestem siostrą Bena.

— Nie chcę tego słuchać!

— Do diabła, Allison, uspokój się. Próbuję ci powiedzieć...

— Nie przeklinaj! Siedzisz tutaj z moim mężem i okłamujesz mnie!

— Ona nie kłamie! — wykrzyknął Ben. — Gdybyś tylko chciała posłuchać...

— Dlaczego mam słuchać?

— Bo ja cię o to proszę! Laura mówi prawdę i gdybyś na chwilę zamilkła, może przebrnęlibyśmy przez tę idiotyczną scenę... — Czekał, jakby chciał się przekonać czy to, co z trudem zbudował, nie runie.

Ale tym razem Allison milczała, a Laura powiedziała cicho:

— Okłamałam cię bardzo dawno temu, gdy mieszkałam w tym domu. Żałuję, że tak postąpiłam. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo tego żałuję. Wszyscy skrzywdziliśmy się nawzajem i szkoda, że nie można tego odwrócić. Ben jest moim bratem, przyrodnim bratem. Clay i ja urodziliśmy się z drugiego małżeństwa naszej matki.

Ukryliśmy to przed wami, bo... —wzięła głęboki oddech —... Clay i ja myśleliśmy, że to on dokonał kradzieży na Cape tego lata, gdy u was pracowaliśmy. Po tym wydarzeniu nie chciałam go więcej widzieć. Wybrałam was. Nie widzieliśmy się od tamtej pory. Przez jedenaście lat... Oboje postąpiliśmy źle, trzymając to w sekrecie i żałuję, że tak się stało. Żałuję wielu rzeczy, ale ty musisz mi uwierzyć... — Mimowolnie uśmiechnęła się. — To nie romans. To pojednanie.

Tym razem cisza trwała dłużej.

— To niedorzeczne — stwierdziła Allison.

— Rzeczywiście — zgodziła się Leni. — A jednak... — Spoglądała to na Laurę, to na Bena.

— Chciałem ci powiedzieć, Allison, ale im dłużej z tym zwlekałem, tym było mi trudniej — tłumaczył Ben.

— Okłamywałeś mnie. Przez cały czas naszej znajomości. Ben spojrzał na Leni.

— Proszę, pomóż nam. Laura powtórzyła to samo.

— Proszę. Jeśli pozwolisz... nam... Chcemy położyć kres kłamstwom. Chcemy opowiedzieć wam wszystko.

Leni podeszła do Laury. Przez dłuższą chwilę obie kobiety patrzyły sobie w oczy, jakby chciały odnaleźć miniony czas. Wreszcie Leni kiwnęła głową.

— Chciałabym to usłyszeć. — Podeszła do kanapy, zdjęła kapelusz i zakiet i usiadła. Zajrzała do czajnika. — Jak to dobrze. Wystarczy dla wszystkich. Allison, chodź, usiądź obok mnie. Ben, przynieś krzesła dla siebie i dla Laury. Napijemy się herbaty. — Zaczekała, aż Ben przysunął dwa fotele do stolika i usiadł wraz z Laurą. Nalała herbaty. — A teraz — powiedziała — słuchamy.

Laura nie pamiętała, żeby Leni kiedykolwiek była taka władcza. Przez moment zastanowiła się, czy to opuszczenie Feliksa pomogło jej osiągnąć taką pewność siebie. Ben zaczął mówić, a ona słuchała go, nie zważając na to, że herbata stygnie.

— To była moja wina. Ja zaplanowałem obrabowanie domu na Cape. Zemsta dziecka. — Za Judda. Nie powiedziałem ci o tym podczas naszej poprzedniej rozmowy.

Leni przyglądała mu się uważnie.

— Posłużyłeś się Laurą i Clayem?

— Tak — odparł chrapliwym głosem. — Posłużyłem się nimi. I nigdy sobie tego nie wybaczyłem.

— Za Judda? — powtórzyła zdumiona Allison.

— Nie chodzi o naszego Judda — wyjaśnił Ben. — Chodzi o mojego ojca.

Opowiedział wszystko, poczynając od dnia, w którym jego matka oświadczyła ojcu, że odchodzi, że ma dość błędnego koła rozpacz i picia, w jakim obracał się po utracie przedsiębiorstwa. Ben już bez emocji opowiedział Allison i Laurze historię Feliksa i Judda. Laura nigdy wcześniej o tym nie słyszała. Wspomnił o przyrzeczeniu zemsty, które kierowało wszystkimi poczynaniami młodego Bena Gardnera po śmierci ojca.

Gdy jego opowieść dobiegła do momentu przybycia Laury i Claya do domu w Osterville, włączyła się Laura.

Na zmianę mówiąc, dotarli do końca, do porannego posiedzenia zarządu. Nie wspominali o śledztwie Colby'ego. To była inna historia na inny dzień.

Zapadł zmrok.

Allison płakała.

— Gdybyś mi powiedziała, gdybyś tylko mi powiedziała—mówiła do Laury. — Tak bardzo cię kochałam i chciałam ci wierzyć... Ale tata zarzucił ci te wszystkie, okropne rzeczy, a ty nie zaprzeczyłaś. Mój Boże, twoja twarz była taka obojętna! Patrzyłaś na nas tak, jakbyś nas nie знаła.

— Nie znała nas. Staliśmy się jej obcy. — Leni pochyliła się do przodu i wzięła Laurę za rękę. — Przykro mi, moja droga. Tak bardzo mi przykro. Daliśmy ci miłość i dom, a potem zabraliśmy. To chyba najgorsze, co można wyrządzić drugiemu człowiekowi.

— Można kłamać — odparła Laura. — **1** my to zrobiliśmy. — Smutny uśmiech pojawił się na jej twarzy. Od bardzo dawna chciałam was przeprosić, ale kiedy mieszkałam z wami, bardzo się tego bałam, a później poczułam się pokrzywdzona i rozgniewana.

Przez moment siedzieli w milczeniu. Leni przez chwilę walczyła sama ze sobą, zastanawiając się, czy powiedzieć Laurze i Allison, jaką rolę odegrała w tej historii. Ale milczała. To nie miało żadnego związku z tym, co działo się w tym pokoju — z odzyskaniem utraconej miłości — i nie przyczyniłoby się do lepszego zrozumienia minionych jedenastu lat. Niech to zostanie między nią a Benem.

Zawsze będą istnieć jakieś sekrety, pomyślała, dlatego właśnie potrzebujemy zaufania, zrozumienia i miłości.

— Ale skoro już wyzbyłaś się złości — na moment Allison się zawahała — możemy czuć do siebie to co dawniej, prawda?

— Tak — odparła Laura. Jej serce łomotało. To wydawało się nieprawdopodobne, że ona i Allison mogą znowu być przyjaciółkami,

— Jeśli tylko uczucia wystarczą — powiedziała nagle Allison z powątpiewaniem. Spojrzała na matkę. — Czy możemy po prostu o wszystkim zapomnieć? Wszyscy? Czy też zawsze będziemy się zastanawiać: a może jest więcej tajemnic i kłamstw? Leni wiedziała, że ona mówi o swoim mężu, nie o Laurze.

— Nie wyobrażam sobie, byśmy kiedykolwiek mogli zapomnieć. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że nie zapomnimy. Gdybyśmy zapominali o przeszłości, to nigdy nie wiedzielibyśmy, jak daleko zaszliśmy. A uczucia... Nie, nie uważam, że uczucia wystarczą. Trzeba zrozumieć, co się stało i naprawdę uwierzyć, że potrafimy to przezwyciężyć. Warto bronić miłości, przyjaźni i dobrego małżeństwa.

Allison skinęła głową.

— Mówiłaś mi to latem na Cape.

Patrzyli na nią, jak marszczyła brwi, rozmyślając. Laura siedziała zadumana. Jeśli Allison potrafi zaakceptować wszystko to, co usłyszała i kochać ją i Bena... Wtedy wszyscy będą mogli pokonać przeszłość; będą mogli sobie przebaczyć i znowu stać się rodziną. Z wyjątkiem Claya. Ale tyle rzeczy się zmieni, będzie tak wspaniale...

— Zawsze chciałam mieć siostrę — wyznała nagle Allison. — Pamiętasz, Lauro, jak udawałyśmy, że jesteśmy siostrami? Teraz naprawdę jesteśmy. Czy to nie zadziwiające?

Laura odetchnęła z ulgą.

— Tak. — Wyciągnęła rękę, a Allison ją uścisnęła. — Zadziwiające — powtórzyła i uśmiechnęły się do siebie.

Ben chrząknął głośno.

— Czy mąż jeszcze się liczy? Allison roześmiała się.

— Chyba tak. — Spojrzała na niego, gdy przysiadł na oparciu kanapy obok niej. — Kocham cię. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Ben pochylił się i pocałował ją. Laura odwróciła się, próbując

ukryć zazdrość. Spojrzała w oczy Leni. Leni wiedziała, o czym myśli Laura.

— Och — powiedziała Laura. — O mało nie zapomniałam... — Otworzyła swoją torebkę i wyjęła naszyjnik Leni. — Przyniosłam to dla ciebie. Miałam zamiar prosić Bena o przekazanie, ale tak jest o wiele lepiej. Przepraszam, że zaplanowaliśmy to wszystko...

Leni trzymała naszyjnik na dłoni.

— Ale gdybyście tego nie zaplanowali, nie byłibyście teraz częścią naszej rodziny.

— Uśmiechnęła się do Laury tak otwarcie

i serdecznie, że Laura wstrzymała oddech. Czuła się tak, jakby tamte lata zniknęły.

— Witaj z powrotem, najdroższa Lauro. Brakowało nam ciebie. Zostaniesz dziś z nami, prawda? Możesz chyba wrócić jutro? Ja też jutro wyjeżdżam. Polecimy razem. Mamy sobie tak wiele do opowiedzenia. Zbyt wiele, by wystarczyć na to jeden wieczór. — Wstała i wyciągnęła ramiona.

Laura podeszła do niej, oszołomiona tym, co się stało.

— Bardzo chciałabym zostać — potwierdziła.

Leni przytuliła ją jak małą dziewczynkę i uśmiechnęła się.

— Co za ulga — szepnęła. — To wielka ulga wiedzieć, że nie myliliśmy się w naszej miłości. Warto czekać, żeby się o tym przekonać.

Jak zdobyła pieniądze?

Po raz drugi wystawiła go na pośmiewisko. Najpierw przed ojcem, a teraz przed radą nadzorczą. Tym razem znajdzie sposób, żeby ją zniszczyć. Zrobi to za pomocą pieniędzy. Wszystko sprowadza się do pieniędzy. Pieniądze utrzymują świat w ruchu. Każde działanie człowieka jest rezultatem rozmyślenia o pieniądzach.

Dopadnie ją za pomocą pieniędzy.

Więc zastanówmy się. Jak tak podstępna wiedźma, która nie ma ani centa przy duszy, zdobyła pieniądze na zakup czterech hoteli i dwóch procent akcji jednej z najpotężniejszych korporacji w Ameryce? Kradnie je, fałszuje чеки, drukuje pieniądze w swoim mieszkaniu? Na miłość boską, nie czas na żarty! Naciąga jakiegoś starego głupca na łożu śmierci, który woli ją od swojej rodziny...

Ale to nie przestępstwo. Z tego powodu nie można jej dopaść.

Chyba że to oszustwo. To musi być oszustwo! Nie ma sposobu, żeby otrzymała te pieniądze legalnie.

Mogła to być kradzież. Klejnotów. Albo dzieł sztuki. Colby sądzi, że ona to robi. Nie starał się ukrywać tego, co myśli. Ale to za mało. Nie mogłaby zdobyć tyle pieniędzy, ile potrzebowała... A może? Nie spytał Colby¹ego, które obrazy zostały skradzione. Malowidła Rouaulta warte były majątek na aukcji, ale ile ktoś mógłby za nie dostać u pasera? Drobną częścią ich wartości.

Chyba że zostały skradzione dla kogoś, kto gotów był za nie zapłacić. Wtedy mogłaby dostać pół miliona za trzy obrazy. Ale żeby kupić hotele i udziały potrzebowała przynajmniej dwudziestu milionów w gotówce.

Może to było wszystko razem. Oszustwo, kradzież, naciąganie mężczyzn.

Oszustwo, kradzież, podstęp — wszystkie chwytaki dozwolone.

Musiał sprawdzić, jak przedstawiają się jej finanse. Miał na to sposoby. Sporo kosztowało, ale robił to już kilka razy z ludźmi, którzy stawali mu na drodze i nie żalowali swoich pieniędzy.

Czekał trzy dni. Jego informatorzy mieli się dowiedzieć, z usług których banków korzystała i znaleźć ludzi, którzy chcieli sprzedać informacje. Wszystko odbyło się szybko i sprawnie. Była w długach po uszy.

Uśmiech wykrzywił usta Feliksa. Przesadził, mówiąc Colby'emu, że spłata odsetek mogłaby wynosić pół miliona dolarów rocznie. Ale pomylił się mniej, niż sądził. Ta spłata wynosiła około trzystu pięćdziesięciu tysięcy. Musi uzyskać ją z dochodów z czterech hoteli i z pensji, która powinna być na tyle wysoka, by można było się utrzymać w Nowym Jorku.

Musi mieć niesłychanie wysoką frekwencję, żeby zarobić tyle pieniędzy. To oznaczało stworzenie i utrzymanie niezachwianego zaufania klientów.

A co pomyśleliby sobie klienci, gdyby usłyszeli, że prowadzone jest przeciwko niej śledztwo w sprawie serii kradzieży?

Wystarczyło tylko napomknąć o kłopotach, żeby zaniepokoić ludzi, którzy płacą tysiąc dolarów za dobę w apartamencie.

Była teraz tak bezbronna, jak królik otoczony przez lisy. Feliks musiał tylko zastanowić się, jak nagłośnić tę sprawę i jednocześnie zabezpieczyć siebie.

Następnego popołudnia, w ostatnim dniu września, który okazał się najgorętszym dniem w historii Bostonu, Feliks Salinger zwołał

konferencję prasową w swym klimatyzowanym gabinecie na najwyższym piętrze hotelu Boston Salinger. Miał na sobie czarny garnitur. Wyglądał poważnie i wzbudzał szacunek. Był uosobieniem starego Bostonu. Odpowiadał na pytania reporterów z Advertising Age, Business Week, korespondentów The Wall Street Journal, The New York Times i The Chicago Tribune oraz reportera z Associated Press. Nie byli to najlepsi dziennikarze. Tego się nie spodziewał. Ale byli wystarczająco dobrzy.

Zrobili to, czego od nich oczekiwał. Następnego dnia w gazetach i tygodnikach pojawiły się artykuły cytujące słowa Feliksa stojącego w obronie Laury Fairchild. „Feliks Salinger, właściciel Sieci Hoteli Salingera, wiceprezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Hoteli, oświadczył wczoraj, że nieprawdziwe są pogłoski, jakoby Laura Fairchild, właścicielka prestiżowych hoteli Beacon Hill, wykorzystywała je do przeprowadzania kradzieży bezcennych dzieł sztuki.

Pan Salinger twierdzi, że takie nieodpowiedzialne wypowiedzi uderzają w cały przemysł hotelarski, sprawiając, że klienci tracą zaufanie w zdolność zapewnienia im bezpieczeństwa.

Pan Salinger odwołał się do kilku kradzieży znakomitych dzieł sztuki u znanych kolekcjonerów, którzy przebywali w jednym z czterech hoteli Beacon Hill na krótko przed tym, jak obrabowano ich mieszkania. Nigdy wcześniej nie podano do publicznej wiadomości, że sześć poważnych kradzieży na dwóch kontynentach może mieć ze sobą jakiś związek. Pan Salinger na zakończenie wyraził głębokie przekonanie, że jeśli jakiś fakt rzeczywiście łączy te kradzieże, to nie jest on związany z pobytem wszystkich poszkodowanych w hotelach Beacon Hill.

Obecnie prowadzone jest śledztwo w sprawie wspomnianych kradzieży dzieł sztuki".

Bomba zaczęła tykać.

Następnego dnia na biurku Laury rozdzwoniły się telefony, a do wszystkich jej hoteli napływały odwołania rezerwacji.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Materiał stał się powszechnie znany w prasie i telewizji jako „Bzdura Feliksa”. W rzeczywistości ta „obrona”, stała się ciosem w plecy Laury Fairchild. Błyskotliwi wiedzieli to od razu, kiedy przeczytali artykuły w gazetach. Rozmawiali o Feliksie z pogardą, ale równocześnie z niechętnym podziwem: „Tego łajdaka nawet nie można zaskarżyć o zniesławienie. Oświadczył, że ona tego nie zrobiła”. Dziennikarze wiedzieli, że Feliks oddał im przysługę, dostarczając świetnego materiału o wielkich pieniądzach, międzynarodowych sferach, kradzieżach, pięknej młodej kobiecie i eleganckich hotelach. Tak więc kuli żelazo póki gorące i wydzwaniali do Laury. Sekretarka jak automat powtarzała: „Przykro mi, pani Fairchild jest na zebraniu i nie wolno jej niepokoić. Nie czytała jeszcze artykułu, ale gdy tylko przeczyta, z pewnością będzie miała dla państwa oświadczenie. Powiadomimy państwa”. Laura widziała i czytała artykuł sto razy, ale nikt nie oskarżał sekretarki o kłamstwo. Dziennikarze po prostu pojawili się w New York Beacon Hill i okupowali hol. — Lauro — powiedziała sekretarka przez interkom. — Dzwoni Sam Colby. Pomyślałam, że ten telefon będziesz chciała odebrać.

— Dziękuję. — Wymieniła krótkie spojrzenie z Ginny, która siedziała na kanapie, po czym podniosła słuchawkę: — Słucham, panie Colby.

— Chciałbym się z panią zobaczyć, panno Fairchild. Przykro mi, że nie zadzwoniłem wcześniej.

— Mnie również. Mógł pan być na tyle uprzejmy, żeby porozmawiać najpierw ze mną.

— Powiedziałem, że jest mi przykro! — Sam Colby był wściekły. Wybuchnął. — Prowadziłem poważne śledztwo — po cichu, żeby chronić wszystkich zamieszanych w tę sprawę — i nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się, żeby ktoś chyłkiem przemycił mój materiał do prasy, dostosowując go do swoich... — Przerwał w pół słowa. — Proszę mi wybaczyć. Miałem cię źli ranek.

— Doprawdy? — rzekła oschle Laura. — Nie mogę się dziś z panem spotkać, panie Colby. Może jutro albo pojutrze. Przełączę pana do mojej sekretarki. Ona ustali termin.

— Wolałbym dzisiaj, panno Fairchild.

— Ale ja nie. Ja również miałam ciężki ranek. — Przełączyła go do sekretarki i odłożyła słuchawkę. — Należało z nim dziś porozmawiać, prawda? — zapytała Ginny.

— Och, co to za różnica? — Ginny sięgnęła po dzbanek z kawą. — Chcesz jeszcze? — Tak, dziękuję. — Zadrzała. — To dopiero początek października. Dlaczego jest tak zimno? Powinnam włożyć sweter.

— Szkoda, że nie otrułaś Feliksa, kiedy gotowałaś dla jego rodziny. Drżysz, bo denerwujesz się i martwisz, kochanie. To nie ma nic wspólnego z pogodą. Poczujesz się lepiej, kiedy odnajdziesz tego twojego braciszka, a on złoży zeznania i zdejmie z ciebie oskarżenia.

— Nie wiem, kiedy go znajdziemy. I może się okazać, że wcale nie dokonał tych kradzieży.

— Ucieszę się, jak to usłyszę. Sądzę, że wkrótce go znajdziecie, skoro Ben wynajął detektywa.

Laura znowu zadrzała.

— Nienawidzę tego. Wysłać detektywa, żeby wysledził Claya...

— Kochanie, on nie był dobry dla ciebie. Laura spojrzała na swoje dłonie.

— Wiem.

Tęskniła za Paulem.

Leni i Allison powiedziały jej, że jest w Londynie. Zadzwoiła do niego z domu Beacon Hill tego wieczora, kiedy została na noc. Siedziała już na górze, w swoim dawnym salonie, jeszcze raz analizując mijający dzień. Widziała, że musi to zrobić. Sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do hotelu London Salinger. Ale Paula nie było. „Prosił o pozostawienie wiadomości. Wyjechał na parę dni na kontynent” — rzekł recepcjonista. Była taka rozczarowana, że nie wiedziała, co ma dalej robić. Ale cóż innego mogła zrobić, niż zostawić wiadomość z prośbą, żeby zadzwonił do niej do Nowego Jorku. To było pięć dni temu i nic, cisza.

Sekretarka zameldowała:

— Dzwoni Ben Gardner, Lauro. Mówi, że jest krewnym i że z całą pewnością z nim porozmawiasz.

Laura roześmiała się.

— Ma rację.

— Chcę, żebyś wiedziała, że będę u ciebie po południu — oznajmił Ben. — Dzwonił detektyw. Jeszcze nic nie wie, ale szuka dalej. Allison przesyła pozdrowienia.

Wyciągając do mnie rękę, pomyślała Laura. Rodzina podtrzymuje ją na duchu w trudnych chwilach. Jej rodzina.

— Ben, to wspaniale, że dzwonisz, ale nie musisz się fatygować. Nie ma takiej potrzeby. Powiem coś reporterom, jeszcze raz porozmawiam z Myrną, a potem zastanowię się z Ginny, jak wstrzymać odwoływanie rezerwacji. Jeśli uda nam się przekonać ludzi, że są tutaj bezpieczni, wszystko będzie w porządku.

Ben nie powiedział jej, jak ciężko będzie to osiągnąć bez rozwikłania sprawy kradzieży. I bez tego dobrze o tym wiedziała.

— Zadzwoisz do mnie, jeśli będziesz mnie potrzebowała?

— Oczywiście. Wspaniale jest wiedzieć, że mogę to zrobić. Zadzwoię nawet wtedy, gdy nie będę cię potrzebowała.

Zachichotał.

— Porozmawiamy po południu.

Gdy Laura odłożyła słuchawkę, zaczęła przechadzać się po pokoju.

— Co ja mam powiedzieć dziennikarzom?

— Że jesteś czysta jak łąza i kiedy tylko odnajdziesz Claya, będziesz miała dla nich materiał, a do tego czasu mają zabrać stąd swoje tyłki i zostawić cię w spokoju.

Laura pokręciła głową.

— Nie mogę powiedzieć im o Clayu, dopóki nie mam pewności. Nie mam żadnych dowodów. Nie ma ich także Colby. Ale mogłabym im powiedzieć, że dowiedzieliśmy się, kto jest złodziejem i ta osoba nie jest już związana z hotelami. To jest zgodne z prawdą i ludzie powinni poczuć się bezpiecznie.

— Jeśli w to uwierzą.

Laura spojrzała na listę odwołanych rezerwacji.

— Niektórzy z nich być może uwierzą.

Telefon znowu zadzwonił. Tym razem był to Currier.

— Próbowałam się do ciebie dodzwonić, Wes. Twoja sekretarka powiedziała, że nie ma cię w mieście.

— Jestem w Dallas. Będę w Nowym Jorku przed drugą, a o trzeciej mamy spotkanie z inwestorami.

— Mamy spotkanie?

— Zwołali je. Życzyli sobie, aby się odbyło. Niepokoją się o swoje pieniądze, Lauro. Nie możesz mieć im tego za złe.

— Wes, ten artykuł ukazał się dopiero wczoraj. Mogliby dać mi trochę czasu, żebym wyjaśniła sprawę.

— Mam zamiar im to zaproponować. Myślę, że to przetrwasz. Inne hotele też przeżywały kryzysy, a nie były tak dobre jak Beacon Hill. Jednak moje zaufanie nie oznacza, że inni też mają zaufanie. Chcą znać twoje plany. Wykupili do tego prawo. Zapadła chwila ciszy.

— Oczywiście. Gdzie odbędzie się spotkanie?

— U mnie. Pomyślałem sobie, że poczujesz się lepiej na znajomym terytorium.

— Dziękuję, Wes. Przyjadę. Ginny obserwowała ją w zamyśleniu.

— Twoi sponsorzy? Laura kiwnęła głową.

— Martwią się o swoje pieniądze.

— Wyglądasz bardzo spokojnie, jak na kobietę, która idzie do jaskini lwa.

Laura uśmiechnęła się lekko.

— Muszę być opanowana. Nie chcę, żeby mieli przeświadczenie, że powierzyli pieniądze słabej kobiecie. Ale znam ich całkiem

dobrze. Są rozsądnymi ludźmi i od początku mieli do mnie zaufanie. Nie obawiam się spotkania z nimi.

— Skarbie, mówisz tak tylko z mojego powodu. Nie chcesz, żebym martwiła się o swoje miliony. Posłuchaj mnie uważnie. Byłabym skończoną idiotką, gdybym tego nie robiła, ale to nie jest teraz największym zmartwieniem i mogę z tym żyć. Nie mam zamiaru zażądać zwrotu pieniędzy. Wręcz przeciwnie. Możesz mi nie płacić... no, powiedzmy przez pół roku. To obniży twoje miesięczne wydatki i da ci trochę wytchnienia do czasu, kiedy znowu zapełnimy twoje hotele. Napiszę ci pismo. Mój księgowy lubi mieć wszystko na piśmie.

— Dziękuję, Ginny — powiedziała Laura ochryłym głosem. — Mam nadzieję, że to nie potrwa pół roku.

— Ja też mam taką nadzieję, ale nie umrę z głodu, jeśli tak się stało. Co masz zamiar powiedzieć sponsorom?

— Prawdopodobnie to samo co powiem dziennikarzom. Tyle prawdy, ile mogę. Chcę postawić sprawę tak jasno jak tylko to możliwe.

Ale kiedy spotkała się z nimi w biurze Wesa, to inwestorzy użyli tych słów.

— Stawiamy sprawę jasno, Lauro — zaczął Tim Alcott w imieniu trzech inwestorów, których Currier znalazł, gdy Laura chciała kupić New York Salinger. Currier sprzeciwiał się wtedy temu pomysłowi, ponieważ nowi inwestorzy byłiby w stanie przegłosować jego i Laurę i przejąć kontrolę nad OWL Development. Ona jednak tak bardzo chciała kupić hotel, że Wes dał za wygraną. Nigdy wcześniej nie było żadnych kłopotów, aż do chwili, kiedy Laura usiadła z nimi przy okrągłym granitowym stole w gabinecie Curriera i Tim Alcott powiedział: „Stawiamy sprawę jasno”. Alcott był właścicielem Alcott Foods — największej wytwórni mrożonek na świecie. Lubił powtarzać, że doszedł tak daleko tylko dlatego, że jest twardy i zimny, jak jego produkty.

— Musimy się upewnić, że mamy kontrolę nad OWL Development.

Zainwestowaliśmy w to przedsiębiorstwo znaczne sumy i chcemy mieć duże poczucie bezpieczeństwa, a w obecnej chwili tego nie mamy. Odwołania rezerwacji napływają ze wszystkich stron. Jeśli ten proces nie zostanie wkrótce odwrócony, to pozostaniemy

z czterema bardzo pięknymi i bardzo opustoszałymi budynkami. Jesteśmy więc ciekawi, jak masz zamiar odwrócić ten proces.

Jak dotąd zawsze uśmiechali się podczas takich spotkań. Laura nie zdawała sobie sprawy, że traktowała te uśmiechy jak rzecz oczywistą. Teraz za stołem widziała tylko badawcze spojrzenia mężczyzn, którzy oceniali zakupiony towar, zastanawiając się, czy dokonali dobrego zakupu. Żałowała, że nie ma na sobie żakietu zamiast jedwabnej sukienki. Żałowała, że zapuściła włosy. Wolałaby wyglądać jak mężczyzna.

Splatając ręce na stole, usiadła prosto i odczekała chwilę.

— Faktycznie, był złodziej w hotelach Beacon Hill. Sądzymy, że go zidentyfikowaliśmy. To ktoś, kto należał do przedsiębiorstwa i najprawdopodobniej wykorzystał swoją pozycję, by zdobyć dostęp do domów naszych gości. Ta osoba już dla nas nie pracuje. Ponadto powiększamy personel ochrony. Wszystkie informacje na ten temat będą w liście, który wysyłam do każdego, kto kiedykolwiek przebywał w hotelu Beacon Hill. Za dzień lub dwa spotkam się z Samem Colbym — inspektorem agencji ubezpieczeniowych, badającym sprawę kradzieży. Mam nadzieję, że niedługo będziemy mogli oświadczyć, że sprawa jest całkowicie wyjaśniona.

— Jak długo to potrwa? — Kto jest złodziejem?

— Gdzie on teraz jest?

— Sądysz, że go zidentyfikowałaś? Trzej mężczyźni mówili jednocześnie.

— Myślę, że powinniśmy pozwolić Laurze mówić — rzekł Currier.

— Nie mogę powiedzieć wam, kto to jest — odparła cicho — dopóki nie będę miała dowodów i dopóki nie zostanie oskarżony...

— Nie masz dowodów?

— Jeszcze nie. Pracujemy nad tym.

— Więc co ty właściwie wiesz? Czy on coś powiedział? Kto go przesłuchuje?

— Ważne jest to — powiedziała Laura — że utrzymujemy kontakt z naszymi gośćmi. Oprócz listów, które wysyłamy, będę razem z Virginią Starrett dzwoniła do wszystkich osób, które odwołały rezerwację i do prawie setki innych, z zapewnieniem, iż tylko jedna osoba była odpowiedzialna za kradzieże i już dla nas

nie pracuje. Jestem pewna, że wiele osób odnowi rezerwacje, a kiedy przyjadą i przekonają się, że wszystko jest w porządku...

— Na miłość boską! — wybuchnął Alcott. — Nic nie jest w porządku! Te hotele są obciążone skandalem! Opowiadasz nam tu o standardowych procedurach, ale nie tego nam potrzeba. Potrzeba nam działania! I to szybkiego! I dla odmiany dobrej reklamy! Kim jest ten złodziej, którego ukrywasz? Pytam cię, młoda damo: kim on jest?

— Nie mogę tego powiedzieć. Nie oskarżę nikogo publicznie, dopóki nie będę wiedziała na pewno, że jest winny.

— To nie jest forum publiczne, do diabła. To zamknięte posiedzenie!

— Rozpowiedziałbyś to, Tim. Chcesz dobrej reklamy. Nie podejmę takiego ryzyka.

— Do jasnej cholery! — Jego twarz spąsowiała. — Za kogo ty się masz, żeby mówić mi, co bym zrobił? Jakim prawem się stawiasz? Posłuchaj mnie: natychmiast powiesz nam, kto jest tym złodziejem! Wszyscy zapłaciliśmy po dziewięć milionów dolarów, żeby mieć prawo wiedzieć co się tu, do diabła, dzieje i żeby zmienić to, co nam się nie podoba. Mówię ci, że nie ma innego sposobu na przywrócenie hotelom dobrego imienia, jak tylko ujawnić złodzieja i ja chcę wiedzieć kto nim jest.

— Nie. Przykro mi, Tim.

— Dobrze. Chcesz grać ostro, to zagramy ostro. Nie chcesz nam powiedzieć, kto jest tym złodziejem, bo to ty nim jesteś. Zawsze torowałaś sobie drogę przez życie, włamując się do cudzych mieszkań. Wszyscy o tym wiedzą.

— To niedorzeczne — powiedział Currier. — Postradałeś zmysły, Tim? Laura nigdy by...

— Doprawdy? Posiada mnóstwo forsy. Ty wiesz, jak dużo, Wes. Miała te wszystkie ptaszyny pod swoim dachem, gotowe do oskubania i zrobiła to! Robiła to w ciągu trzech lat. Czy nie mam racji?

— Nie! Oczywiście, że nie! — Oczy Laury pociemniały z gniewu. — Nie masz absolutnie żadnych podstaw, aby tak twierdzić! Jesteś związany z tymi hotelami prawie od początku. Widziałeś, co w nich stworzyłam. Uczyniłam jej tym, czym są obecnie i za nic w świecie nie narażałabym ich. Z całą pewnością nie kradłabym...

— Coś ci powiem, młoda damo. Mam przyjaciela w Daily News, który powiedział mi, że w jutrzejszych porannych gazetach ukażą się artykuły, o tym, że już kiedyś zostałaś oskarżona o kradzież i o tym, że istniał konflikt w sprawie dziedzictwa, które chytrze na kimś wymogłaś. Nie znam szczegółów i nic mnie to w tej chwili nie obchodzi, ale z pewnością nie świadczy to o nieskazitelnej reputacji! Wszyscy trzej zainwestowaliśmy po dziewięć milionów dolarów, bo Wes Currier powiedział nam, że to dobry interes, a teraz okazuje się, że poparliśmy złodziejkę!

Laura spojrzała w oczy Wesa i ujrzała w nich taką samą grozę, jaka z pewnością malowała się w jej oczach. Potem spojrzała na ogromny obraz wiszący nad biurkiem Wesa. Abstrakcyjne dzieło w odcieniach błękitu, szarości i czerni. Nigdy wcześniej nie zauważyła, jak ponury jest ten obraz. Jak zbiór cieni.

Zewsząd otaczały ją cienie. Wciąż na nowo przecinały jej drogę. Bez względu na to, jak szybko biegła, nie mogła ich przegonić.

Currier spojrzał na Laurę, dając jej szansę, by coś powiedziała. Nie mogła. Po chwili Wes zabrał głos.

— Nie wierzysz w to, że Laura jest złodziejką, Tim. Dobrze wiem, że w to nie wierzysz. To tylko pretekst, aby się jej pozbyć.

— Masz rację, Wes — przytaknął Alcott. — Pozbywamy się jej. Nie wiem, czy coś ukradła, czy nie. Nie interesuje mnie to. Wiem tylko, że ona musi odejść. Te hotele nie mogą czekać, aż zostanie ujawniony jakiś tajemniczy złodziej albo ta dama zdecyduje się przyznać i sama odejść. Jedynym sposobem, w jaki możemy przekonać gości, że mogą czuć się bezpiecznie, jest mianowanie nowego szefa.

Currier ponownie spojrzał na Laurę, błagając ją oczyma, żeby się broniła, ale ona siedziała niemal bez tchu, wpatrzona w małe usta Alcotta.

— My trzej mamy dwadzieścia siedem milionów dolarów w tym przedsiębiorstwie, Wes. Sądzisz, że będziemy czekać z założonymi rękami, podczas gdy Laura będzie słodko namawiała ludzi do wydawania pieniędzy w miejscach, do których nie mają zaufania? Nie jesteś chyba tak naiwny. Więc postanawiam przywrócić porządek na tym posiedzeniu i zgłaszam wniosek, żeby usunąć Laurę Fairchild ze stanowiska prezesa korporacji OWL Development.

Oni nie mogą tego zrobić.

— Kto popiera wniosek?

To moje przedsiębiorstwo. Nie mogą mi go odebrać.

— Popieram — powiedział stanowczo inwestor z prawej strony. Nie pozwolę, żeby to stało się znowu. Przynajmniej nie bez walki.

— Kto jest za wnioskiem...

— Według regulaminu przed głosowaniem musi odbyć się dyskusja! — Ostry głos Laury przeszył ciszę. Odsunęła krzesło i wstała. — Jeśli nikt inny nie ma nic do powiedzenia, to ja mam. — Spojrzała z góry na Tima Alcotta i na dwóch mężczyzn siedzących po obu jego stronach. — Macie swe miliony ulokowane w tym przedsiębiorstwie od dwóch lat i byliście całkowicie usatysfakcjonowani, dopóki wartość inwestycji rosła, a ja spłacałam odsetki od długu na czas. Nie troszczyliście się o nic więcej. Mogłam równie dobrze prowadzić burdel albo melinę. Nigdy nawet nie przyszliście popatrzeć. Nie interesowało was, kim jestem. Nie sprawdzaliście mojego życiorysu od dnia, w którym się poznaliśmy. W momencie kiedy Wes nas sobie przedstawił, interesował was tylko przyrost kapitału w Chicago Beacon Hill. Przeglądaliście tylko nasze księgi.

— Marnujesz nasz czas — powiedział inwestor po prawej stronie i spojrzał na zegarek.

— To jest mój czas! — odparła wściekle Laura. Potem z trudem przełknęła ślinę. Nie zaprzepaść wszystkiego. Nie wrzeszcz na nich. Nazwą cię histeryczką. Splotła ręce przed sobą. — Byłabym wdzięczna, gdybyście mnie wysłuchali. To nie jest drobnostka, a ja proszę tylko o kilka minut.

Inwestor po lewej stronie spojrzał na nią uważnie.

— Słusznie. Mów.

Od tej chwili Laura zwracała się do niego.

— Kiedy miałam piętnaście lat, złapano mnie, gdy opuszczałam mieszkanie, które okradłam. Zostałam skazana na rok z zawieszeniem. Od tamtej pory nigdy nikogo nie okradłam ani nie popełniłam żadnego innego przestępstwa. Skończyłam szkołę średnią i studia. Ciężko zapracowałam na to, co osiągnęłam. Wszyscy mamy w swojej przeszłości wydarzenia, o których chcemy zapomnieć. Tim, ty się rozwiodłeś, a twoja druga żona popełniła samobójstwo...

— Cholera! Za kogo ty się...

— To powszechnie wiadome — łagodził Currier, usiłując ukryć złośliwy uśmiech.

— Siadaj i słuchaj. Laura ma głos.

Laura posiała mu krótkie, pełne wdzięczności spojrzenie, a potem mówiła dalej tak, jakby nikt jej nie przeszkodził.

— To nie jest nieskazitelna reputacja do zaoferowania kobiecie, którą chciałbyś poślubić. Ale przypuszczam, że powiedziałbyś, że nie powinna osądzać cię na podstawie przeszłości albo karać cię za postępowanie twoich poprzednich żon lub tych ludzi, którzy pracują w twoim przedsiębiorstwie. — Jej głos był cichy i stanowczy. W pokoju panowało milczenie. Laura popatrzyła na inwestorów. — Czy za dziesięć lat macie zamiar karać swoje kilkunastoletnie dzieci za to, że próbowały marihuany, piły za dużo piwa lub popełniały drobne kradzieże w sklepach? Tylko o to was teraz proszę. Oceniajcie mnie na podstawie tego, czego dokonałam. Z zadowoleniem pozwoliliście mi pomnażać wasze pieniądze. Nigdy na tym nie straciliście i nie mieliście powodu sądzić, że tak się stanie. Uważam, że i teraz nie stracie. Potrafię zarządzać tymi hotelami lepiej niż ktokolwiek inny.

— Boże — parsknął Alcott. — Szef Hiltona, Marriotta lub Coca-Coli mógłby zarządzać tym przedsiębiorstwem. To jest biznes, wiesz? A może zapomniałaś już o tym po swoim wykładzie o nastolatkach.

— Nie zapomniałam. Masz rację. Ktoś inny mógłby kierować OWL Development, ale hotele Beacon Hill nie byłyby już takie same. Nie masz pojęcia, co robię, by różniły się od wszystkich innych luksusowych hoteli na świecie. Nikt o tym nie wie, bo nie rozgłaszam tego. Szef Coca-Coli nie nawiązałby takiej więzi z gośćmi hotelowymi, jak ja to zrobiłam w ciągu ostatnich lat. Nie wiedziałby o listach, które piszę do nich przed ich przyjazdem i po ich wyjeździe. Nie miałby pojęcia, jak szkolę mój personel, żeby zapewnić najlepszą obsługę. Nie odgadłby, ile mojego osobistego zaangażowania czyni te hotele szczególnymi. To nie jest taka zwykła grupa budynków. To są hotele Laury Fairchild. Nikt inny nie mógłby tam wejść i prowadzić ich w ten sam sposób. Po tygodniu stałyby się zupełnie inne.

— Zupełnie inne jest to, czego my chcemy — powiedział inwestor po prawej stronie. — Dlaczego, do cholery, mielibyśmy chcieć, żeby pozostały takie same, skoro wszyscy myślą, że to raj dla złodziei.

— Chcesz powiedzieć, że ludzie zmieniają zdanie tylko dlatego,

że sprowadzicie nowego szefa? — spytała Laura. — Co się zmieni? Człowiek w kierownictwie. Czy to przekona gości, że złodziej już nie grasuje po korytarzach? Powiem wam, o czym będą przekonani: że nie macie zaufania do kierownictwa hoteli, które lubili i polecali swoim znajomym. Będą przekonani, że mylili się za każdym razem, wygłaszając pochlebne opinie pod adresem hotelu Beacon Hill i teraz mają rację, skoro obawiają się tam wrócić. A jeśli jednak się na to zdecydują, przekonają się, że Beacon Hill nie jest już takim hotelem, jaki pamiętali. Doprowadzicie do sytuacji znacznie gorszej niż teraz. Ale jeśli pozostanę na swoim stanowisku, możemy razem przekonywać naszych gości, że choć Beacon Hill przeżywa trudne chwile — a wskażcie mi choćby jedno przedsiębiorstwo, które tego nie przeżyło w którymś momencie swego istnienia — to ich ocena jest słuszna: hotele są tak samo solidne i świetnie prowadzone, jak zawsze sądzili. — Wzięła głęboki oddech. — Nie mam zamiaru po cichu odejść z tego przedsiębiorstwa. Przeżyliśmy niepowodzenie. Wiem, że jest ono straszne, ale nie jest nieodwracalne, jeśli będziemy pracować razem, żeby utrzymać reputację hoteli Beacon Hill na takim poziomie, jakim cieszyły się od samego początku. Nasi goście chcą mi ufać. Jeśli damy im do tego powody, to zachowają zaufanie. Są wystarczająco rozumni, żeby wiedzieć, że zazwyczaj trzeba pokonać niejednego problem, aby zbudować solidne przedsiębiorstwo. Zwłaszcza, że problem zostanie rozwiązany. Macie na to moje słowo. — Spojrzała jeszcze raz na każdego z nich. Bogaci, wpływowi mężczyźni, którzy chcą mieć pewność, że popierają człowieka sukcesu. — Do diabła, zaufaliście mi raz. Zbudowaliśmy sieć hoteli w ciągu kilku lat! Daję wam moje słowo, że zrobię wszystko, co w mojej mocy żeby...

— Zachować władzę — wszedł jej w słowa Alcott. — Skończyłaś już?

Laura spojrzała na niego uważnie.

— Żeby utrzymać hotele i OWL Development tak silnymi i rentownymi, jak zakładaliśmy to sobie na początku. Teraz skończyłam, Tim.

— Więc chciałbym, abyśmy przegłosowali mój wniosek o usunięcie Laury Fairchild ze stanowiska prezesa OWL Development. Głosuję za wnioskiem. — Ostentacyjnie, by pokazać, że postępuje

zgodnie z zasadami, zapisał swój głos na kartce i zwrócił się do mężczyzny po prawej, czekając na jego głos.

— Tak.

Alcott z satysfakcją kiwnął głową i zapisał głos.

— Lauro?

— Nie. — Jej usta były suche. Po latach marzeń i ciężkiej pracy doszło do takiej sytuacji. Decyduje o niej grupa ludzi, z których każdy powie jedno słowo.

Alcott zapisał jej głos.

— Wes?

— Nie.

— Oczywiście. — Zapisał głos i z uśmiechem odwrócił się do mężczyzny po lewej.

— Nie.

Nastąpiła chwila zdumionej ciszy. Laurę ogarnęła fala radości. Promiennymi oczami spojrzała w oczy mężczyzny, którego „nie” pozwoliło jej nadal kierować przedsiębiorstwem OWL Development.

— Masz rację. Bez ciebie hotele stracą swój czar — powiedział, — A to byłoby w efekcie fatalne posunięcie.

Inwestor po prawej stronie z pomrukiem odsunął krzesło.

— Chwileczkę — powiedział spiesźnie Alcott. — Sądzę, że zanim wyjdziemy, musimy zająć się jeszcze jedną kwestią. Chyba wszyscy zgodzimy się z tym, że potrzebne są nam jakieś gwarancje. Mamy cholernie mało informacji, a to mnie zawsze denerwuje. Więc stawiam następny wniosek, żeby dać Laurze trzydzieści dni na wyjaśnienie tej sprawy. Jeśli za trzydzieści dni sytuacja się nie poprawi, to Laura musi odejść, a my znajdziemy kogoś, kto uratuje przedsiębiorstwo. Być może miesiąc to nawet zbyt długo. Kto wie? Na pewno nie chciałbym, żeby to trwało dłużej. Musimy orientować się w sytuacji! Zgoda? — Rozejrzał się dookoła.

Mężczyzna po prawej kiwnął głową.

— Popieram wniosek.

— Czy to wymaga dyskusji? — spytał Alcott, spoglądając na Laurę.

Ale pierwszy przemówił Currier.

— Sądzę, że trzydziestodniowy termin jest w porządku, ale nie zgadzam się z automatycznym odwołaniem Laury. Jeśli Tim

pozwoli, wniosę poprawkę, że po upływie trzydziestu dni rozpatrzemy sprawę jeszcze raz i podejmiemy ponowne głosowanie.

Alcott zerknął na mężczyznę z lewej i zrozumiał, że on znowu głosowałby przeciwko niemu. Wzruszył ramionami.

— Niech tak będzie. Wszyscy głosowali za wnioskiem.

— Trzydzieści dni — powiedział Alcott do Laury, gdy wstali. — Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby to nie trwało aż tak długo.

— Zgadzam się — powiedziała i wyciągnęła rękę.

— Informuj nas na bieżąco — powiedział i uściśnął jej dłoń. Stała przy stole, patrząc jak wychodzą. Nagle poczuła się

bardzo wyczerpana. Trzydzieści dni. Miesiąc. Kiedy była małą dziewczynką, wydawało jej się, że to tak dużo czasu.

Następnego dnia w Daily News ukazała się relacja ze spotkania w biurze Curriera.

Artykuł opisywał też przeszłość Laury, prezentował ofiary kradzieży i przytaczał jedyne słowa, jakie dziennikarzowi udało się wydobyć z Sama Colby'ego.

„Posuwamy się naprzód. Spodziewamy się rychłego aresztowania złodzieja”.

Ten artykuł skłonił szefa sieci telewizyjnej do zastanowienia, dlaczego Paul Janssen jest w Europie, chociaż powinien kręcić dla nich film o Samie Colbym, który węszył po Nowym Jorku.

— Przylatuję za kilka dni — powiedział Paul, kiedy szef sieci telewizyjnej zadzwonił do niego. Paul niecierpliwił się. Wrócił właśnie do hotelu i odebrał wiadomość od Laury. Trzymał kartkę z jej imieniem i chciał jak najszybciej do niej zadzwonić. — Muszę do kogoś zatelefonować. Skontaktuję się z tobą za kilka minut.

— Zaczekaj. Dlaczego siedzisz w Europie, skoro masz cholernie ciekawy temat na własnym podwórku?

Paul wziął głęboki oddech.

— Mówiłem ci, że wykorzystuję inne śledztwo dla zilustrowania pracy Colby'ego.

Mamy dobry materiał na temat policji i poszkodowanych...

— Inne śledztwo? Mamy tu świeżą historię z pierwszych stron gazet. Wszyscy są nią zainteresowani, a ty masz do niej najlepszy dostęp. Dlaczego, do cholery, miałbyś korzystać z innego śledztwa?

— Świeżą historię? O czym ty mówisz?

— Cholera, ty nawet nie wiesz... Zaczekaj. Przeczytam ci. — Wyciągnął artykuły z teczki dotyczącej Colby'ego. Przeczytał oświadczenie Feliksa i fragmenty następnych artykułów z Daily News. — Zapytam Colby'ego, czy mogę przysłać operatora, żeby sfilmował następne przesłuchanie panienki Fairchild. W ten sposób nie przegapisz tej okazji. Jeśli opracujesz to po mistrzowsku, jak tylko Colby skończy, to mamy film. Wypuścimy go jak najszybciej, dopóki sprawa jest jeszcze ciepła. Później możemy wykorzystać go ponownie. Wybij sobie z głowy pomysły o innym materiale. Nas interesuje właśnie ten.

— Tego nie zrealizuję — odparł Paul. Dlatego do mnie dzwoniła. — Dwa tygodnie temu zostawiłem ci wiadomość na ten temat, informując, że zamierzam użyć innego materiału i przedstawię ci go, jak tylko będę wiedział, co to jest.

— Wiadomość? Żadnej nie dostałem. A może dostałem. Nie wiem. Nieważne. Ważne, że sprawa wybuchła zaledwie pięć dni temu i tylko to się liczy. Słuchaj, chcemy filmu o śledztwie Colby'ego w sprawie sześciu kradzieży związanych z hotelami Beacon Hill. O Boże, weź pod uwagę oglądalność! Kto mógł przewidzieć rozwój wydarzeń, gdy zaczynałeś?

— Nie zrobię filmu na temat hoteli Beacon Hill — powiedział Paul. — Już dawno rozmawiałem na ten temat z Samem. Być może nie chodzi tu wcale o hotele. On nie ma żadnej pewności. Nikt nie ma pewności. Chcę wykorzystać jakieś kompletne, zakończone śledztwo. Sam wszystko mi zrelacjonuje i nie będę musiał się martwić, że w ostatniej chwili zostanę z materiałem o śledztwie, które utknęło w ślepym zaułku. Dostarczę ci ten film tak szybko, jak będę mógł.

— To mnie nie interesuje. Chcę mieć ten film, o którym mówię. Nie wiem, jakie są prawdziwe powody tego, że nie chcesz go kręcić. Ale to my finansujemy znaczną część twojego filmu i, do cholery, mamy prawo mówić ci, jak masz go zrobić.

— Nikt nie ma takiego prawa, rozumiesz? Sądziś, że sponsorowanie tego filmu czyni cię jego producentem i cenzorem? To jest mój film od samego początku. Zrealizuję go tak, jak uważam, albo nie zrealizuję wcale. Przynajmniej nie dla was.

— To nie rób go dla nas, do cholery! Nie podoba mi się twoje zachowanie, Paul. Kłopot polega na tym, że tacy bogaci faceci jak

ty nigdy nie zaznali prawdziwego głodu. Nie tracą wiele, gdy coś się nie powiedzie. Traktujesz to jak hobby, więc myślisz, że nie musisz przyjmować poleceń. A więc posłuchaj: jeśli nie dostarczysz filmu na czas, w takiej postaci, jakiej oczekujemy, to nigdy nie pokażemy żadnego twojego filmu, a tym bardziej nie damy ci żadnych pieniędzy. Czy to cię skłoni do ustępstw?

— Nie. Nie poddam się szantażom.

— To obrzydliwe słowo, Paul. Nie mów tak. To tylko negocjacje. Nakręcisz film z tego materiału, który zgromadziłeś do tej pory, dodasz fragmenty o hotelach, paniencie Fairchild i jej gangu — jeśli go ma — dokonującym kradzieży..,

— Nie — powiedział Paul z odrazą. — To moje ostatnie słowo. Odłożył słuchawkę i natychmiast podniósł ją znowu, żeby zadzwonić do Laury. Ale nie było jej. Sekretarka powiedziała, że Laura jest na spotkaniu i tego dnia już nie wróci.

— Proszę jej powtórzyć, że dzwonił Paul Janssen. Proszę powiedzieć, że wracam do domu.

W tym samym czasie, kiedy Paul odłożył słuchawkę, Clay przystanął przy kiosku z gazetami na Perea Street, w centrum Mexico City i kupił New York Daily News, żeby przeczytać, co dzieje się w rodzinnym mieście. Usiadł w kawiarni, zamówił kawę i otworzył gazetę. Na drugiej stronie widniało duże zdjęcie Laury.

Gorączkowo przeczytał cały artykuł poniżej. Podejrzewano ją o złodziejstwo. Jej hotele i pozycja były zagrożone.

Wpatrywał się w artykuł i czytał go raz po raz w ciągu całego dnia i wieczora. Nie mógł w to uwierzyć. Ale to była prawda. Miał to przed sobą czarno na białym. Zaczaj nad tym rozmyślać. Gryzło go jeszcze coś więcej. Uciekł zaledwie dwa tygodnie temu, a już nie mógł wytrzymać pobytu z dala od Nowego Jorku. Do szaleństwa doprowadzała go myśl, że Laura już go nie kocha i że prawdopodobnie już więcej jej nie zobaczy. O Boże, pomyślał, jak oni to wszystko skojarzyli? Był tak pewny, że to im się nie uda. Nigdy nie jeździł dwukrotnie w to samo miejsce. Nigdzie nie zostawił odcisków palców. Zawsze sprzedawał towar pośrednikowi, który nawet nie znał jego nazwiska i nie miał pojęcia o hotelach Beacon Hill, więc nie mógł niczego zdradzić.

Wszystko było przemyślane i genialne, więc jak, do cholery, oni dobrali się do hoteli?

O wszystko obwiniają Laureę. Clay siedział w czytelni uniwersyteckiej Mexico City i przeglądał poprzednie numery New York Daily News. O nim nie było prawie żadnej wzmianki. Do diabła, dlaczego nie wpadli na to, że on był wystarczająco przebiegły, żeby to wszystko obmyślić? Dlaczego sądzą, że zrobiła to Laura? Nikt nigdy go nie doceniał. Najsprytniejszy był zawsze Ben, potem Laura. Cholera, to przecież ja obmyśliłem kradzież na Cape. To ja przez trzy lata kradłem wartościowe dzieła sztuki. Nikt nie był równie przebiegły. Wszystko szło doskonale, dopóki Laura nie znalazła tego cholernego naszyjnika, a teraz jeszcze ta cała historia. Boże, to nie mogło się zdarzyć w gorszym momencie...

„Och, Clay, ty zawsze myślisz tylko o sobie”. Głos Laury zabrzmiał tak wyraźnie, że Clay przerażony rozejrzał się dookoła, żeby zobaczyć, gdzie ona jest. „Czy choć raz nie mógłbyś pomyśleć o kimś innym? Wszyscy mamy kłopoty, nie tylko ty jeden...” Mówiła tak, kiedy narzekał, że musi dzielić się sekretarką z księgowym, którego zatrudniła Laura. Clay nie chciał się niczym dzielić. Był wiceprezesem do spraw kontroli standardu i zasługiwał na osobistą sekretarkę. „Zatrudnię nową sekretarkę, jak tylko będę mogła. Staram się ograniczyć wydatki. Jestem pewna, że potrafisz to zrozumieć”.

„Jasne” — odpowiedział i pocałował ją, bo nie chciał, żeby się na niego złościła.

Tego wieczora przyniósł jej kwiaty i butelkę wina. Przygotowali razem kolację w jej mieszkaniu i wszystko było w porządku. Nadal go kochała.

Ale teraz już nie będzie. Wpakował ją w okropne kłopoty i ona już nigdy nie będzie go kochać. Będzie przekonana, że on nigdy nie myślał o nikim innym poza sobą.

Opuścił czytelnię i poszedł do baru przy Madero Street. Ulice tutaj były bardziej zatłoczone niż w Nowym Jorku, ale Clay nie czuł się swojsko. Wszyscy mówili po hiszpańsku, a on był tu obcy. Zamówił whisky i zaczął rozmyślać nad sobą. Musiał. Jeśli on tego nie zrobi, to kto? Nikt się o niego nie troszczył.

Laura troszczyła się o niego. Bardzo długo. Ale już nie będzie.

Nie mógł nawet wrócić. Nie było już tam dla niego miejsca. Nie miał pracy, siostry, nikogo, kto by się o niego troszczył.

Cholera, jeśli nie może wrócić, to dlaczego nie miałby im przynajmniej powiedzieć, że to on wykonał te skoki? Wtedy przestaliby obwiniać Laurę. Dla niego nie ma to już znaczenia. Jest tu bezpieczny. Nikt nie wie, co się z nim dzieje. Mógłby zadzwonić i powiedzieć im. To nie przeszkadzałoby mu w wykonywaniu następnych skoków, jeśli potrzebowałby pieniędzy i emocji.

Wypił swojego drinka. Kłopot polegał na tym, że potrzebny był jakiś dowód, bo w przeciwnym razie mogliby pomyśleć, że kłamie, aby osłonić siostrę. Ale przecież miał dowody. Mógł im je wysłać. Nie będzie dzwonił. Napisze do tego faceta — Sama Colby'ego, przedstawi całą tę historię i wyśle jedną z kopert, którą zabrał ze sobą z metalowej szafki. Były w niej dwie oryginalne ryciny Diirera, które zabrał z mieszkania Laughtonów, bo mu się podobały, a nie dlatego, że pośrednik chciał je kupić. Clay miał też sześć podrobionych kluczy wykonanych z woskowych odcisków, które zrobił w pokojach hotelowych podczas nieobecności gości. Każdy klucz był opatrzony nazwiskiem: Guarneri, Laughton, Farley, Serrano... To chyba znakomity dowód. Wyśle to wszystko Colby'emu. Tyle może zrobić.

Może to zrobić dla Laury. Wtedy nie będzie mogła powiedzieć, że myśli tylko o sobie.

„Jeszcze raz to samo”, powiedział do barmana i za chwilę pojawił się przed nim następny drink. A jeśli to nie wystarczy? Jeśli te świetne dowody nie sprowadzą ludzi z powrotem do hoteli Laury? A jeśli minie kilka miesięcy, a nawet rok zanim w hotelach na nowo pojawią się goście? Laura nie będzie miała żadnych dochodów. Jego przyznanie się do winy nic jej nie pomoże. Ona potrzebuje pieniędzy na spłatę długu, na utrzymanie hotelu i pensje dla personelu. To wymaga tysięcy dolarów miesięcznie.

Ma przecież udziały w Sieci Hoteli Salingera. Może je sprzedać i wykorzystać pieniądze do spłacenia długu. Ale to niczego by nie rozwiązało. Jednak nie powinna sprzedawać tych udziałów. Dopiero niedawno je wykupiła i tak się cieszyła, że wreszcie zdobyła to, co powinna otrzymać na samym początku, gdy Owen zapisał jej to w...

— Jasny gwint! To również mogę załatwić! — krzyknął, zapominając, gdzie jest. Ludzie spojrzeli na niego. Ponad godzinę siedział przygarbiony

przy barze i z ponurym wyrazem twarzy opróżniał szklaneczki. Teraz wyprostował się, a jego twarz promieniała. To doskonale! To fantastyczne!

Wyśle Colby'emu list Owena razem z rycinami Durera i kluczami. Czytał go ze sto razy. List dowodził, że Owen był w pełni władz umysłowych, gdy zdecydował się zapisać Laurze hotele, dom i dwa procent akcji przedsiębiorstwa. Laura kupiła hotele i zdobyła udziały. Może nie zechce już mieszkać w domu Beacon Hill, ale może zechce otrzymać następne dwa procent akcji warte dziesięć milionów dolarów. Z całą pewnością mogłaby z tego skorzystać.

Chyba że list napisano zbyt dawno, żeby na coś się przydał. Potrzebny mi adwokat, pomyślał Clay. Roześmiał się. To wydało mu się bardzo zabawne.

Jednak następnego ranka spoważniał. Znalazł sposób, by mieć adwokata. Poszedł na uniwersytet do wykładowcy prawa.

— Jestem studentem z Los Angeles — powiedział z przekonaniem. — Jestem na wakacjach. Zabrałem ze sobą trochę pracy i potrzebuję kilku informacji. Gdyby mógł mi pan pomóc...

— Nie znam prawa wszystkich waszych stanów — odparł profesor.

— To ogólny problem. Czy werdykt ławy przysięgłych może być unieważniony po wielu latach, jeśli znajdzie się dokument, który dowodzi, że werdykt był błędny?

— To wiem. Nie może. Jeśli zapadnie orzeczenie sądu, a apelacja nie zostanie natychmiast wniesiona, to werdykt jest ostateczny i nie można go zmienić.

— Ale jeśli był błędny?

— Nawet wtedy. Z wyjątkiem spraw dotyczących życia i śmierci, nowe dowody nie mogą niczego zmienić.

— Cholera — mruknął Clay.

— Oczywiście, jeśli przekonasz się, że nowe dowody były umyślnie ukryte przed ławą przysięgłych, to oznaczałoby, że popełniono oszustwo. Gdybyś był w stanie to udowodnić, mógłbyś zaskarżyć kogoś za oszustwo, jeśli o to właśnie ci chodzi.

Clay powoli podniósł głowę.

— Oszustwo?

— Jeśli właśnie to chcesz udowodnić. Zdaje się, że to nie jest związane ze studiami. To sprawa osobista?

- Nie! W pewnym sensie, tak. Zbieram informacje dla przyjaciela.
- Rozumiem. Czy chciałbyś wiedzieć coś jeszcze? Clay pokręcił głową.
- Bardzo mi pan pomógł. Dziękuję.

Feliks w więzieniu za oszustwo. To była wspaniała wizja. Przeszedł przez dziedziniec i pojechał autobusem do centrum. Feliks za kratkami za oszustwo. Dobiorą się do Feliksa za to, co zrobił Laurze. Jeśli on poprosi ich o zachowanie listu w sekrecie, żeby uniknąć więzienia, to mogliby go teraz przyskrzynić. W zamian za dziesięć milionów, czyli za wartość akcji Sieci Hoteli Salingera przeznaczonych dla Laury. A może są więcej warte?

To wspaniałe. Ten łajdak będzie się miotał.

Tylko że Clay nie wiedział, jak to zrealizować. Jeśli wyśle list Laurze, to kto jej uwierzy, że Feliks go schował? Nawet jeśli napisze do Colby'ego lub kogoś innego i zapewni, że zabrał list z biurka Feliksa, to kto mu uwierzy? Najlepiej byłoby, żeby Feliks nadal miał list i żeby inni to zobaczyli.

Clay wstąpił do Cafe Cordova na lunch. Kiedy powoli wlewał piwo do szklanki, przyszła mu do głowy pewna myśl. Przypomniał sobie prawie pusty sejf w nowojorskim mieszkaniu na Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Gdyby list znajdował się w sejfie Feliksa, a on by o tym nie wiedział i otworzyłby go przy świadkach, to w żaden sposób nie mógłby nikogo przekonać, że nie ukrył listu, żeby uniemożliwić Laurze otrzymanie jej dziedzictwa.

Do diabła, ucieszył się Clay, wpatrując się w swoje piwo. To pomogłoby Laurze i załatwiłoby Feliksa.

Uśmiechnął się, czując jak ogarniają go emocje. Oczywiście, że zrobi to dla Laury i tylko dla niej, ale jednocześnie jest to fantastyczne, naprawdę odmienne i niebezpieczne. Po raz pierwszy w życiu postanowił włamać się do mieszkania nie po to, by coś zabrać, ale po to, by coś tam zanieść.

Rozdział trzydziesty drugi

Gdy Paul przyjechał do hotelu, Laura rozmawiała z recepcjonistą. W pierwszej chwili nie zauważyła Paula.

— Wszystko musi być tak jak zawsze — mówiła. — Mamy puste pokoje, ale to nie znaczy, że obsługa ma się zmienić.

— Zgadzam się, panno Fairchild. Powiedziałem mojemu asystentowi, żeby wziął urlop teraz. W tym tygodniu mogę się bez niego obejść, ale wkrótce, kiedy sprawa się wyjaśni i goście powrócą, będę potrzebował go znowu.

Laura uśmiechnęła się.

— Doskonale — mruknęła.

— Powiedziałem też... przepraszam. — Oderwał wzrok od Laury. — W czym mogę panu pomóc?

— Zaczekam, aż panna Fairchild będzie wolna.

Laura odwróciła się i prawie znalazła się w jego ramionach. Ich oczy spotkały się.

Laura podniosła dłoń, która spotkała się z jego dłonią. Ich palce splotły się.

— Witaj w domu — powiedziała łagodnie i zarumieniła się. Uśmiechnął się do niej.

Laura poczuła, jak minione lata znikają
bezpowrotnie.

Odwróciła się, nadal trzymając Paula za rękę, i szybko zakończyła rozmowę z recepcjonistą.

— Resztą spraw zajmiemy się jutro. Chyba że ma pan jakieś pytania.

— Nie, proszę pani. Wszystko jest w porządku.

— Tak — mruknęła Laura. — Teraz chyba tak. — Spojrzała na Paula. — Dokąd chciałbyś pójść?

— Chciałbym zobaczyć twój dom. Uśmiechnęła się do niego.

— A ja chciałabym, żebyś się tam znalazł. — Bez słowa przeszli przez hol, trzymając się za ręce. Prawie nie rozmawiali ze sobą w taksówce. Zbyt wiele mieli sobie do powiedzenia. Wystarczyło im, że siedzieli obok siebie ze splecionymi rękoma, czując bliskość swoich ciał i uśmiechając się do siebie, podczas gdy kierowca lawirował w ruchu ulicznym i komentował audycję radiową.

W domu Laura zamknęła drzwi i powiedziała:

— Bardzo bym chciała cię pocałować. Paul roześmiał się.

— Moja najdroższa... — Wziął ją w ramiona i całowali się przez długą chwilę. — Wybrałem najgorszą porę na wyjazd.

— Ale wybrałeś też wspaniałą porę na powrót. Tak bardzo tego chciałam przez ostatnie kilka dni...

Pocałował ją znowu, obejmując ją i odkrywając na nowo, że jej ciało pasuje do jego ciała.

— Czy wiesz, jak często o tym marzyłem? Ułożyłem sobie w głowie tyle rozmów z tobą, że będziesz ich słuchać przez następne pięćdziesiąt lat. Czy wiesz, ile rzeczy chciałbym zrobić dla ciebie? Czy masz pojęcie, jak bardzo cię kocham?

— Paul, o czym ty mówisz? — Odsunęła się i spojrzała na niego. — A co z Emily? Przecież nie mogę udawać, że ona nie istnieje.

— Mój Boże, ty nic nie wiesz. No, oczywiście. Skąd miałabyś wiedzieć? Emily jest w Kalifornii. Rozwodzimy się. Nie jestem pewien, kiedy to nastąpi, ale wkrótce.

Opowiem ci o tym później. Nie teraz.

— Nie, nie teraz. — Oczy Laury zabłysły. Była taka ciepła. Rozchyliła usta pod naporem jego ust. — Chcę się z tobą kochać — Uśmiechnęła się przekornie. — To okropne, kiedy kobieta musi

sama o wszystkim myśleć, Paul. Ty nawet o tym nie wspomniałeś. Czy to znaczy, że nie jesteś pewien, kiedy to ma nastąpić? Roześmiał się.

— Jestem pewien miłości. I przyjemności. — Wyciągnął do niej rękę, a ona podała mu swoją, kiedy wchodzili na górę. — Twój dom urzeka. Wygląda jak pokoje, które urządziłaś w domu Owena. Jest przepiękny wspaniałym blaskiem i ciepłem.

— To dzieło miłości — rzekła Laura. — Potrzebowałam miejsca, które dodaje otuchy.

W sypialni w bladym świetle bursztynowych lamp za oknami Paul wziął Laureę w ramiona.

— Gdziekolwiek się znajdziemy i cokolwiek będziemy robili, jeśli będziesz potrzebowała otuchy, moja najdroższa, to właśnie tu ją znajdziesz. Przysięgam ci to. Żadnych więcej pytań i wątpliwości. Tu jest twoje miejsce.

Laura patrzyła mu w oczy.

— I obiecuję ci, że będę cię kochał, ufał ci i chronił cię, jak tylko potrafię... Mój Boże! — wykrzyknął. — Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo i od jak dawna chciałem powiedzieć te słowa. — Ich usta znowu spotkały się i pocałowali się tak, jakby był to ich pierwszy pocałunek i jakby nigdy się nie rozstawali. — Pamiętasz tamten pokój? — zapytał Paul. — Wszystko było białe: zasłony, światło księżycy a ty byłaś w bieli. I kochałem cię.

— Czekaleś cały rok, żeby mi o tym powiedzieć — przypomniała z uśmiechem.

— Cóż, byłem głupcem. — Zdjął żakiet z jej ramion i wsunął ręce pod kaszmirowy sweter, obejmując talię Laury. Przesuwał dłonie po ciepłej skórze, aż dotknął pełnych piersi. — Tyle mamy do nadrobienia — szepnął.

— Nie. Nie do nadrobienia. Zaczynamy wszystko od nowa. — Jej ciało przylgnęło do niego. Czuła, jak topnieje w jego objęciach i nagle świadomość: Ben! Nie powiedziała jeszcze wszystkiego. Nie mogła kochać się z Paulem, nie mogła zaczynać wszystkiego od nowa, dopóki nie będzie już między nimi żadnych sekretów.

— Paul — zaczęła ochryplym głosem, odsuwając się od niego. Spojrzał jej głęboko w oczy.

— Mów — powiedział.

Usiedli na kanapie, przy oknie. Blask księżycy przedzierał się przez gałęzie drzew i drżał, gdy wiatr poruszał ostatnimi liśćmi.

— Jest coś jeszcze, o czym chciałam ci powiedzieć i nie mogę czekać. Chcę, żebyś dowiedział się o tym teraz, ponieważ cię kocham i cokolwiek się stanie, chcę, żebyś znał całą prawdę. Nie może być już więcej kłamstw.

Słuchał, przyglądając się jej uważnie.

— Nigdy nie powiedziałam ci, że mam jeszcze jednego brata. To brat przyrodni, więc nosimy różne nazwiska, ale kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy. Potem pokłóciliśmy się i on wyjechał do Europy. Od tamtej pory nie widzieliśmy się. Ale teraz odnaleźliśmy się na nowo i chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego nie mówiłam o nim ani tobie, ani nikomu innemu i dlaczego on nie mówił o mnie... — Zawahała się, a potem spojrzała Paulowi prosto w oczy. — To Ben.

Zapadła cisza.

— Przypuszczam, że masz na myśli Bena Gardnera. Stała się spięta na dźwięk stanowczości w jego głosie.

— Tak. Spotkałam się z nim w zeszłym tygodniu w Bostonie. Jeśli zechcesz posłuchać przez chwilę... — Spieszenie, prawie jednym tchem opowiedziała mu pokrótce tę samą historię, którą opowiadali Allison i Leni. A potem wzięła oddech i dodała: — Jest jeszcze jedno. Przypuszczam, że miałeś rację co do Claya. Nie jestem pewna. Muszę jeszcze z nim porozmawiać, ale tamtego dnia przekonałam się, że to on ukradł klejnoty Leni na Cape. To nie oznacza, że jest tym złodziejem, którego szuka Sam Colby... Nadal trudno mi w to uwierzyć. Na razie nic nie wiemy, ale za to też winna ci jestem przeprosiny. — Teraz było jej łatwiej. Wyrzuciła z siebie to wszystko i zaczęła mówić spokojnym głosem: — Wygląda na to, że myliłam się w wielu ważnych sprawach. Zawsze myślałam, że jestem już taka dorosła, a zachowywałam się jak wystraszone dziecko i dlatego tak trudno jest...

— Nie ty jedna — powiedział cicho Paul. — Moja biedna, kochana Lauro. Martwisz się o wszystkie swoje pomyłki... Myślisz, że tylko ty?

Na dźwięk miłości w jego głosie, Laura wydała z siebie drżące

westchnienie ulgi. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była spięta, aż do momentu, kiedy jej wszystkie mięśnie rozluźniły się i zobaczyła, że jej zaciśnięte dłonie stały się wilgotne.

— Wszyscy byliśmy wystraszonymi dziećmi — powiedział Paul. Objął ją i przytulił, a ona położyła głowę na jego ramieniu. — Wystraszeni, że zostaliśmy oszukani, wykorzystani, pozbawieni czegoś. Przerażeni tym, że się myliliśmy i zbyt przestraszeni, żeby się do tego przyznać. Aleja byłem najgorszy. Gdy się przeraziłem, zapomniałem o wszystkim, co w tobie znałem i kochałem. Odwróciłem się od ciebie, gdy najbardziej mnie potrzebowałaś i unie-szczęśliwiłem cię.

— Ben nazywa to przesadną pokutą — mruknęła Laura. Wzbierała w niej radość. Już dobrze, już wszystko dobrze. Powiedziała to i teraz wszystko jest w porządku.

— Przesadna pokuta — powtórzył Paul. Zachichotał. — Wyolbrzymiam ją? Sprawia mi to przyjemność?

— Chyba trochę tak. Mnie i Benowi też. Im więcej i lepiej przepraszamy, tym szybciej możemy wymazać przeszłość.

— Ja nie chcę jej wymazać. Chcę się z niej uczyć. — Odwrócił ją ku sobie i pocałował z gwałtownością, która była zarazem obietnicą. Nareszcie Laura poddała się namiętności. Nie było już żadnych barier.

Ściągali z siebie ubrania, pomagając sobie nawzajem, aż stali znowu w swoich objęciach. Ich ciała dopasowały się do siebie tak, jak kiedyś. Delikatność i męskość stały się jednością.

— Tęskniłem za tobą, pragnąłem cię... — mówił Paul, a jego ręce błądziły po ciele Laury, rozpoznawały zapamiętane kształty. Laura wsunęła dłoń pomiędzy ich ciała i oplotła palcami jego męskość. Słyszając westchnienie, które wyrwało się z ust Paula, ucieszyła się, że potrafi je wywołać. Teraz palce Paula ześlizgnęły się między jej uda, a Laura zadrżała.

— Marzyłam o tobie, marzyłam o tym, marzyłam o nas... — powiedziała, ocierając się o jego ciało. Wiedziała, że niepokój, który tyle lat nosiła w sobie, wreszcie przestanie ją dręczyć.

— Lauro — szepnął Paul, a ton jego głosu naglił. Namiętność przysłoniła im świat. Objęci, podeszli do łóżka. Gdy poczuła na sobie ciężar jego ciała, instynktownie rozchyliła nogi, a Paul w nią wszedł.

— To lepsze — westchnęła. — To o wiele lepsze... odmarzeń. — Gdy poruszali się w odwiecznym rytmie, na ścianie obok łóżka pojawił się jeden cień.

Byli doskonałą jednością.

Laura spała, a kiedy się przebudziła, księżyc przesunął się za oknem. Otworzyła oczy i zobaczyła Paula, który jej się przyglądał. Uśmiechnęła się sennie.

— O tym także marzyłam. O tym, by obudzić się i ujrzeć cię tutaj. Długo spałam? Objął ją ramieniem i przytulił.

— Około godziny. Wystarczająco długo, żebym zaczął wierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

— Było mi tak dobrze. Niewiele spałam przez ostatni tydzień. — Laura znowu zamknęła oczy. Zaczęła obsypywać drobnymi pocałunkami jego tors i szyję. Miłość do Paula dawała jej siłę, spełnienie i uczucie, że jest kochana, a nie zniewalana. Ta miłość wiązała ją z przeszłością, w której był Owen. Cofnęła się do źródła.

Paul oparł się na łokciu i pochylił się nad nią, by całować jej oczy, usta, piersi.

Powoli wodził po nich językiem, podczas gdy jego ręka równie wolno i lekko gładziła delikatną skórę jej ud. Laura leżała na poduszkach, poddając się ogarniającej ją fali rozkoszy, która unosiła ją i pozwalała jej płynąć...

Kochali się powoli, rozbudzając się nawzajem, upajając się sobą i ucząc na nowo wspólnego języka miłości; gestów, które tylko kochanek zna, strzeże i pamięta.

Laura zapaliła lampę obok łóżka. Cienie zatańczyły na ścianie.

— Przyjazne cienie. — Westchnęła. — Kiedyś było tak wiele tych, których się bałam.

— Już nigdy nie będziesz się bała — obiecał Paul cicho. — Bądź tu, gdy wrócę — polecił surowo, ale oczy mu się śmiały. Wyślizgnął się z łóżka i przeszedł przez pokój.

Laura obserwowała go. Wysoki, zgrabny, pełen wdzięku, jak sportowiec lub tancerz. Jego napięte mięśnie emanowały skumulowaną energią. Oboje jesteście tacy, pomyślała, niecierpliwi, dynamiczni, skłonni tworzyć, zdobywać i wygrywać. Ale kiedyś Paul był inny. Przypomniała sobie ich rozmowę przy kolacji, w kuchni

Owena, gdy mówili o pracy i o tym, jakie ma ona dla każdego z nich znaczenie. Paul był wtedy nonszalancki. Nie wyobrażał sobie, że mogłoby mu zależeć na pracy. Ona, poważna i zdecydowana, martwiła się dzielącymi ich różnicami. Jak bardzo on się zmienił. A jednak młody mężczyzna, w którym się zakochała, też był tu przy niej. Wciąż czuła na sobie ciężar jego ciała, jego spojrzenie i radość w jego głosie. „Jakby latarnia oświetlała nam drogę przez te wszystkie lata i zawsze ogarniała nas jasność”. Owen powiedział tak o Iris. Teraz my odnaleźliśmy naszą latarnię, pomyślała Laura, patrząc, jak Paul wraca do niej. Oświetlimy naszą drogę. Mój ukochany, moja pierwsza miłość, moja jedyna miłość. Nigdy się nie skończyła. Uśmiechnęła się.

— O co chodzi? — zapytał, kładąc się do łóżka obok niej.

— Kocham cię. Objął ją ramieniem.

— I ja cię kocham, moja droga. Choć muszę przyznać, że teraz myślę również intensywnie o jedzeniu.

Laura roześmiała się.

— Mój biedny skarbie. Nie jadłeś przecież, odkąd wysiadłeś z samolotu.

— I w samolocie też niewiele. Czy mam przygotować ucztę i podać ci ją do łóżka?

— Nie. Ja zapaściłam tu już korzenie. Przygotujmy coś razem i zjedzmy w kuchni, jak rodzina.

— Moglibyśmy tu mieszkać, jeśli chcesz, ale musiałbym gdzieś urządzić ciemnię. Czy masz pokój gościnny, który mógłbym wykorzystać?

— Tak, ale nie chciałabym z niego rezygnować. Jest przeznaczony dla Rosy, kiedy mnie odwiedza. Musimy znaleźć coś większego. — Przerwała. — Robiliśmy to już kiedyś. Na Cape. Zaczęliśmy rozmawiać, jaki dom będziemy mieli, zanim w ogóle zaczęliśmy mówić o małżeństwie. Paul, ty i Emily nadal jesteście małżeństwem.

— Zmienimy to jak najszybciej. Ona nie sprzeciwia się rozwodowi. Nadal jesteśmy przyjaciółmi. Zwłaszcza jeśli znajdę jej kogoś, kto pomoże jej w karierze filmowej. Nie mówiłem ci o tym. Opowiem. Jest tyle rzeczy, o których nie rozmawialiśmy. Masz dla mnie jakiś szlafrok?

— Nic co by na ciebie pasowało.

— Nie było tu żadnych mężczyzn? Czy może sami mali? Uśmiechnęła się.

— Żadnych mężczyzn. — Włożyła satynową podomkę w kolorze kości słoniowej i czekała na niego.

Z westchnieniem Paul włożył spodnie i koszulę.

— Czy wymagasz butów przy stole?

— Nie, jeśli jest to nieoficjalne przyjęcie. Roześmiała się i boszo zeszli na dół.

Była prawie północ. Na podwórzu cicho, a w kuchni — jasno i przytulnie. Laura wyjęła z lodówki składniki do sałatki i jajka.

— Jeśli zrobisz sałatkę, to ja zrobię omlety. Jest też francuskie pieczywo. Możemy zrobić grzanki. Mam również wino.

Pracowali przez chwilę w ciszy.

— Przeszłość jest już za nami, Paul — odezwała się nagle Laura, jakby głośno myśląc. — Chcę cię kochać, być kochaną i dzielić z tobą życie, zamiast prowadzić jakieś zawody, zdobywać punkty i zastanawiać się, ile jeszcze jesteśmy sobie winni i czy zrobiliśmy już wystarczająco wiele... — Spojrzała na niego i lekko zmarszczyła brwi. — Czy jest coś złego w tym, co mówię?

— Nic. Ja również tego chcę. Ale musisz zrozumieć, że nie staram się odepchnąć przeszłości. Jest tyle rzeczy, których żałuję...

— Och, żale. — Laura westchnęła i położyła palec na jego ustach. — Oboje mamy ich więcej, niż potrzeba. Ale pozbadźmy się ich teraz. Nie będziemy o tym mówić. Chcę ci opowiedzieć o Benie i Clayu. O tym, jak się razem wychowywaliśmy, jak kochaliśmy się, przeżywaliśmy dobre chwile, a potem nadeszły te złe... O tylu rzeczach chciałam ci powiedzieć, kiedy byliśmy razem. Ciągle myślałam, jakie to niesprawiedliwe, że ty możesz mówić mi, co tylko zechcesz, a ja muszę być taka ostrożna. Teraz już nie muszę. Czuję się tak, jakbym po raz pierwszy była wolna. Nie potrzebuję mieć się na baczności, gdy z tobą rozmawiam. — Jej oczy posmutniały. — Clay nie może się tak czuć. Nigdy nie potrafił być szczerzy i otwarty, nawet w stosunku do mnie.

Laura opowiadała o ich dzieciństwie i o tym, jacy byli sobie bliscy, gdy myśleli, że nie mają niczego. Paul zaczął rozumieć, jak urok Claya zaślepił Laurę i innych, którzy nie dostrzegali, jaki jest naprawdę.

— Ciągłe próbowaliśmy udowodnić, jak dorośli i pewni jesteśmy, ale to nie była prawda. Wszyscy szukaliśmy miłości i domu. Ben to odnalazł, a ja usiłowałam przekonać Claya, że odnajdzie to przy mnie. Ale on nigdy w to nie wierzył, albo nigdy mu to nie wystarczało. Nie potrafił pokonać swej przeszłości. — Zamilkła na chwilę. — Sądzę, że był najszcześniejszy, gdy prowadził limuzyny w Darnton. Wspaniałe zabawki, niczego od niego nie wymagały, były na tyle luksusowe, żeby czuł się bogaty i był w centrum zainteresowania, prowadząc je. Dały mu wszystko, czego chciał. Gdybyśmy pozostali w Darnton, może nigdy więcej nie zaczęłyby znowu kraść.

— Ale już wtedy uprawiał hazard, prawda? — Laura kiwnęła głową, a Paul powiedział:

— To nie stało się z twojego powodu, musisz w to uwierzyć. To nie dlatego, że opuściliście Darnton, że byłaś zajęta swoimi hotelami lub że on nie czuł się tak szczęśliwy, jak pragnął. Założę się, że on po prostu nigdy nie przestał być dzieckiem, które chce wszystkich zadziwić. Nie mogłaś nic na to poradzić, kochanie. Wierzysz w to?

Uśmiechnęła się lekko.

— Czasami. Zamilkli na chwilę.

— A przy okazji — powiedział Paul, żeby rozwiać jej smutne myśli.

— Rozmawiałem wczoraj z moimi rodzicami przed wyjazdem z Londynu. Wiesz już, że Leni ponownie wychodzi za mąż, jak tylko zakończy się sprawa rozwodowa?

— To cudownie! Nie wspominała o tym, kiedy spotkałyśmy się w zeszłym tygodniu. — Wlała jajka na patelnię. — Czy to ktoś kogo znam?

— Ja nigdy go nie spotkałem, ale ty tak. To Wes Currier. Moja matka... Co się stało? Laura przez chwilę wyglądała na zdumioną, a potem wybuchnęła śmiechem.

— Mówisz poważnie?

— O czym? O Currierze. Oczywiście. Dlaczego nie miałbym mówić poważnie?

Moja matka twierdzi, że są ze sobą bardzo szczęśliwi. On jest niezwykle opiekuńczy w stosunku do Leni. Wygląda na to, że chce jej rzucić cały świat do stóp, by ją tylko uszczęśliwić. Myślę, że to dobrze. Dlaczego cię to śmieszy?

— Wiesz, że Wes był pierwszym inwestorem w moim przedsiębiorstwie?
— Tak, ojciec mówił mi o tym. Pomyślałem sobie, że to świadczy o jego rozsądku.
— Ale to wszystko, co wiesz. — Obracała patelnię i nie patrzyła na niego.
— Czy jest coś jeszcze?

Zawahała się tylko przez ułamek sekundy. Żadnych więcej tajemnic, żadnych kłamstw.

— Przez długi czas byliśmy kochankami. Chciał się ze mną ożenić. Dużo o tym myślałam, ale nie mogłam tego zrobić. Chodziło nie tyle o Wesa, co o mnie. Nie potrafiłam pogodzić się z myślą, że mogę spotkać kogoś innego po drugiej stronie tęczy. — Zsunęła omlet na talerz. — Zjedz od razu, a ja zrobię drugi.

Paul wziął z jej ręki patelnię i odstawił. Ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował ją.
— Najpierw wzniesiemy toast. — Podał jej kieliszek wina. — Za tęczę, kochanie, i za złoto, które znaleźliśmy po drugiej stronie.

Wypili wino, a potem rozmarzona Laura zrobiła następny omlet. Jedli powoli, siedząc przy małym stoliku. Byli przepelnieni ciepłem i miłością. Rozmawiali o swoich losach, poznając się na nowo. Późną nocą, kiedy wrócili do sypialni, Paul objął Laurę i przytulił do siebie.

— Jeszcze jedno — powiedział. — Zamierzam znaleźć Claya. Porozumiem się z Benem i wynajmę, kogo będzie trzeba. Zrobię wszystko, żeby go sprowadzić z powrotem i raz na zawsze położyć kres tym kłopotom, w jakie cię wpakował.

Rozdział trzydziesty trzeci

Klucz już nie pasował. Clay się tego spodziewał. Wszyscy zmieniają zamki po włamaniach, ale warto było spróbować. Kod alarmowy prawdopodobnie również został zmieniony. Poza tym był strażnik, co oznaczało, że z drzwi frontowych nie będzie można skorzystać. Ukryty po drugiej stronie ulicy, Clay obserwował, jak o północy strażnicy zmieniają się. Było cicho i spokojnie. Usadowił się wygodnie. O pierwszej trzydzieści strażnik wyszedł z domu i ruszył wzdłuż ulicy. Dureń, pomyślał Clay z pogardą. Tak się nie wykonuje roboty. Ale nie narzekał. Miał ułatwione zadanie. Gdy strażnik zniknął za rogiem, Clay dotknął klucza. Tego właśnie nie wysłał do Colby'ego z rycinami Durera i pięcioma innymi kluczami. O pierwszej czterdzieści pięć strażnik wrócił, niosąc paczki z delikatesów i z monopolowego. Piętnaście minut, stwierdził Clay. To niewiele, ale chyba wystarczy.

Ruszył w stronę trzeciego domu od skrzyżowania. Wybrał go, ponieważ był całkowicie osłonięty od chodnika i ulicy przez zwisające gałęzie drzewa. Kilka minut przed drugą chwycił rynnę i zaczął wdrapywać się po ścianie.

Spojrzał na zegarek. Trzy i pół minuty. Nieźle jak na trzy piętra.

Naciągnął mocniej czapkę, zanim poprawił linę owiniętą pod kątem na klatce piersiowej, po czym po cichu i sprawnie ruszył poprzez dachy do mieszkania Leni i Feliksa. Wiał lekki wiaterek. Pomarańczowe i rudobrazowe liście spadały na dachy i na ulicę. Sodowe lampy oświetlały chodniki jaskrawym, pomarańczowym światłem, ale dachy kryła ciemność, tak właśnie jak chciał Clay.

Dotarł do budynku, który go interesował i wychylił się, by popatrzeć na okienko poddasza na środku tylnej ściany. Niczego nie było w jego pobliżu — ani rynny, ani bluszczu, ani gipsowej dekoracji. Clay wydedukował więc, że prawdopodobnie to okno nie jest podłączone do systemu alarmowego.

Zsunął linę przez głowę i przywiązał jeden koniec do komina, niedaleko od skraju dachu. Ostrożnie położył linę obok komina, przeszedł do frontowej strony dachu, skąd widać było ulicę, usiadł i czekał. Przypuszczał, że za godzinę strażnik znowu przespaceruje się do Lexington, Byłoby dużo łatwiej, gdyby facet miał taki zwyczaj. Wyciągnął nogi, oparł się wygodnie i zaczął myśleć o Laurze. Nie podobałoby jej się to, co robi. Nie miałoby dla niej znaczenia to, że chce coś podłożyć, a nie ukraść. Powiedziałyby, że to nie w porządku. Prawdopodobnie nie kochałaby go nawet za to, że zrobił to dla niej. Uważałyby, że powinien znaleźć inny sposób. Zadrżał. Nawet gdyby istniał jakiś inny sposób, nie byłby tak zabawny i podniecający. Ale ona by tego nie zrozumiała. Pewnie nie byłaby zadowolona, że ją w to wtajemnicza. Gdyby wiedziała, co zrobił, czułaby się jak współsprawca.

Lepiej będzie, jeśli się nie dowie — pomyślał i westchnął. Po prostu powie jej, że list był tam przez cały czas. Wtedy nie będzie miała do niego pretensji za włamanie i nie będzie w to zamieszana. Po prostu podziękuje mu za pomoc.

Kiwnął głową, zadowolony z siebie. Zawsze było jakieś wyjście. Zawsze potrafił je znaleźć. Nucił sobie cichutko i czekał. Kilka minut przed trzecią usłyszał, jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają. Wychylił się i zobaczył, że strażnik idzie ulicą długimi, powolnymi krokami. Dureń, pomyślał znowu Clay i uśmiechnął się.

Szybko przeszedł na tył dachu. Chwycił wolny koniec liny rękami odzianymi w rękawiczki, spuścił ją i zaczął schodzić

Czuł się tak wspaniale, że mógłby nawet wydać okrzyk radości.

To było właśnie to. Zaangażował się w prawdziwe niebezpieczeństwo. Wszystko miało sens. Był tak pełen życia jak nigdy. Serce biło mu mocno, a jego oddech był szybki i płytki. Uśmiechał się do siebie w ciemności, kiedy schodził po kamiennej ścianie do okna na poddaszu. Wisząc na linie i opierając się stopami o ścianę, spojrzął na okno, oświetlając wewnętrzną futrynę małą latarką. Nie było widać żadnych przewodów. To więcej niż pięćdziesiąt procent szans, że wszystko się uda. Otworzył okno i uniósł je trochę, wstrzymując oddech i czekając na przeszywający dźwięk alarmu. Nie zadzwieczał. Przez kilka sekund Clay wsłuchiwał się w piękną, wspaniałą ciszę. Potem podniósł okno i wślizgnął się do środka.

Wystarczyła minuta, żeby znalazł się w bibliotece. Nowe obrazy nad kanapą — zauważył w przelocie. Szkoda, że nie mam ich w co włożyć. Odsunął obraz, za którym znajdował się sejf i wykręcił kombinację, której użył poprzednio. No i proszę, zachwycał się. Staruszek Feliks nie pomyślał o tym, aby zmienić kombinację. Sejf nadal nie zawierał nic oprócz pliku dokumentów dotyczących zakupu domu. Clay wyjął kopertę z listem Owena z kieszeni koszuli i wsunął ją jak najdalej pod dokumenty. Następnie zamknął sejf, wyrównał obraz i wrócił po schodach na poddasze. Cóż prostsze?

Ale nadal było niebezpiecznie. Serce Claya nadal biło mocno. Trzymając koniec liny wspinał się przez okno, zamknął je jedną ręką i wszedł po ścianie, podciągając się na Unie. Na dachu odwiązał linę i przeszedł z nią z powrotem przez dachy. W cieniu drzewa, zaczął schodzić po tej samej rynnie co przedtem.

Usłyszał strażnika. Za późno. To samo drzewo, które osłaniało jego zejście z dachu, zasłaniało też częściowo strażnika, który właśnie wracał.

— Hej! Co jest, do cholery...! — krzyknął strażnik. Clay zamarł w bezruchu.

Ale tylko na moment. Skoczył na ziemię i zaczął uciekać. Strażnik widział go w pomarańczowym świetle ulicznej lampy.

— Hej! — krzyknął znowu, ale Clay nadal biegł.

Czarny cień rwał przed siebie po chodniku. Ale strażnik był równie szybki. Został wyszkolony, by reagować szybko, więc wyciągnął pistolet i strzelił. Wszystko skończyło się tak błyskawicznie, jak się zaczęło. Czarna postać skręciła za rogiem i zniknęła.

Zapaliły się światła. Otworzono drzwi.

— Co się dzieje? — zapyta! ktoś.

— Ktoś próbował się włamać — wyjaśnił strażnik. — Już go nie ma, ale trzeba zawiadomić policję. Ja się tym zajmę. Proszę wracać do łóżek. Wszystko jest w porządku.

Muszę wymyślić jakiś powód wyjścia z domu, myślał strażnik, idąc ulicą i wchodząc do domu Feliksa. Powiem, że usłyszałem hałas, poszedłem to sprawdzić, zobaczyłem złodzieja wdrapującego się po rynnie i strzeliłem nad jego głowę, żeby go wypłoszyć. Naprawdę strzelałem nad jego głowę. Z wyjątkiem tego ostatniego strzału, ale on nie chciał się zatrzymać. Mogłem go trafić. Strażnik wzruszył ramionami. Najważniejsze, że to nie w tym domu, pocieszył się, podnosząc słuchawkę, żeby zadzwonić na policję. Tutaj nic się nie wydarzyło.

Laura pierwsza usłyszała ten dźwięk. Jakieś drapanie na dole. Ben spał w pokoju gościnnym. Przyjechał na weekend, natomiast Paul pojechał do Los Angeles porozmawiać z Emily. Laura nie czekała, aż Ben pójdzie to sprawdzić. Włożyła szlafroczek, zeszła na dół do holu i spojrzała na podwórze. Było puste. Nikogo tu nie było o czwartej nad ranem. Ale drapanie się powtórzyło. Dobiegało od strony frontowych drzwi.

— Co się dzieje? — spytał Ben. Nadchodził z gościnnego pokoju, zawiązując szlafrok. — Przypomina drapanie psa.

— Nie wiem, co to jest — rzekła Laura. — Nic nie widzę. — Nagle oboje usłyszeli cicho wypowiedziane kilka razy imię Laury. — To głos Claya! — wykrzyknęła i podbiegła do drzwi.

Gdy je otworzyła, czarna postać upadła jej pod nogi. Laura wydała przeraźliwy krzyk.

— Ben!

Ben był tuż za nią. Zapalił światło i ukląkł.

— Mój Boże, to Clay. Jest zakrwawiony... Clay! Gdzie jesteś ranny?

— Czy to Ben? — zapytał Clay. Leżał na podłodze z nachmurzoną miną. — Ty draniu... Co, do cholery, robisz w Nowym Jorku? Chcę tylko Laury. Ty łaj...

— Clay, jestem tutaj — powiedziała Laura. — Ben, czy powinniśmy go ruszać? Możemy zanieść go na kanapę w bibliotecę?

— Za dużo krwi — powiedział Clay. Jego oddech był krótki

i nierówny. — Jedna mała kulka. Próbowałem zatamować koszulę, ale ciągle krwawię i krwawię... O Boże, to boli, boli.

— Musimy wezwać karetkę — powiedziała Laura.

— Ja zadzwonię. Ty zostań z nim. — Ben podszedł do biurka w bibliotece i wykręcił 911. Laura słyszała jego niski głos i urywany oddech Claya.

— Co Ben tutaj robi? — zapytał Clay. — Nawet nie wiedziałem, że się z nim spotykasz...

Laura zdejmowała mu czarną czapkę i buty. Cały był ubrany na czarno. Próbowała o tym nie myśleć. Po prostu stało się. Tyle rzeczy już się stało...

— Clay, nie powinienes uciekać... Ben znowu klęczał przy nich.

— Gdzie to się stało? — zapytał Claya szorstko.

— W dzielnicy willowej. Ben spojrzał na Laure.

— Skoro przeszedł taki kawał, to prawdopodobnie nic się nie stanie, jeśli przeniesiemy go na kanapę. Możesz wziąć go za nogi?

— Mogę przejść. — Clay próbował usiąść.

— Zamknij się i leż spokojnie. — Zanieśli go do biblioteki i położyli na kanapie. — Potrzebuję nożyczek — powiedział Ben.

Laura podała mu nożyczki z biurka. Ben rozciął sweter Claya od góry do dołu.

Koszula przesiąknięta krwią przylgnęła do jego ciała po jednej stronie. Laura przyniosła ręczniki z łazienki. Ben złożył jeden z nich i przycisnął do rany. — Nie mam pojęcia o ranach od kul. Nie wiem, czy uszkodzone są jakieś organy, czy tylko traci za dużo krwi. A może jedno i drugie.

— Czy przyślą karetkę? Kiedy tu będzie?

— Powiedzieli, że za parę minut.

— Karetka! — krzyknął Clay. — Nie, do diabła, tylko nie karetka... poliq" a się dowie... nie dzwoń...

— Już to zrobiłem — powiedział krótko Ben. — Myślisz, że będziemy siedzieć tutaj i patrzeć, jak wykrwawiasz się na śmierć?

— Niech cię szlag! Cholera, Lauro, boli, tak bardzo boli...

— Ben, pomóż mi — powiedziała. — Chcę go przytulić. Ben podniósł Claya odrobinę, a Laura usiadła na końcu kanapy, objęła go ramionami i przytuliła.

— Clay, musimy zabrać cię do szpitala.

Pokręcił głową.

— Zostanę tutaj. — Zamknął oczy. — Jestem taki śpiący. Tak mi dobrze. Może... się zdrzemnę. Pocałujesz mnie? Proszę.

Pochyliła się. Pocałowała jego czoło i zamknięte oczy. Gładziła ręką jego włosy.

— Gdzie byłeś, Clay?

Chciała dowiedzieć się, dokąd pojechał, gdy uciekł dwa tygodnie wcześniej, ale on jej nie rozumiał. Otworzył oczy i zaczął opowiadać jej o wielkiej wyprawie do domu Feliksa, ale nagle przypomniał sobie, że miał o tym nie mówić. Zmarszczył brwi. Tak trudno było zapamiętać wszystko, ale wiedział, że nie powinien jej mówić. Z jakiegoś powodu zdecydował, że nie powie.

— Szedłem się pożegnać. Pocałować cię na pożegnanie. Chciałem wyjechać. Do Meksyku, Europy, nie zdecydowałem jeszcze.

Ben przysunął podnózek tuż do kanapy.

— O czwartej nad ranem nie szedłeś spotkać się z Laurą. Robiłeś jakiś skok.

— Nie! Niczego nie ukradłem. Nie kradłem. Chodziłem i rozmyślałem.

— Więc jak cię postrzelono?

— Napadli mnie. Ktoś obrabował mnie. Co ty na to? Walczyłem z nim i... on strzelił.

— W plecy — powiedział oschle Ben.

— Zobaczyłem spluwę i uciekałem. — Clay uśmiechnął się fałszywie. — Ty zrobiłbyś tak samo, prawda, stary? Para sprytnych braci. Wiedzą, kiedy uciekać.

— Tak — odparł Ben, czując jak reaguje na urok Claya nawet w takiej chwili. — Ale nie wierzę ci.

— Na miłość boską! — wrzasnął Clay i skrzywił się z bólu.

— Ben, daj spokój — powiedziała Laura. — Co to za różnica?

— Dobrze — rzekł Clay. — Wziął kilka krótkich oddechów. — Słuchaj, muszę ci powiedzieć... Boże, Lauro, jestem śpiący. Wiesz? Oczy mi się zamykają. To śmieszne. Nigdy wcześniej nie miałem kłopotów z przesiadywaniem do późna.

Słuchaj, chciałem ci powiedzieć... Czy mogę dostać coś do picia? Strasznie chce mi się pić.

— Ja przyniosę — powiedział Ben. Poszedł do jadalni, a potem do kuchni.

Clay znowu zamknął oczy.

— Przepraszam. Przyszedłem, żeby to powiedzieć. Przepraszam za to, co zrobiłem. Naprawdę wszystko zepsułem... Wpakowałem cię w kłopoty. Nie chciałem.

Przepraszam... — To słowo było jednocześnie westchnieniem. — Próbowałem z tego zrezygnować, ale... nie potrafiłem.

— Clay — powiedziała Laura, biorąc szklanekę od Bena. — Czy możesz to wypić? Przyłożyła szklanekę do jego ust, a on wypił łączywie.

— Dobrze. To dobre. — Na chwilę otworzył oczy, ale ciężkie powieki opadły z powrotem. — Dobry, stary Ben. Jak się masz, chłopie. Nie widzieliśmy się całe wieki, prawda? Teraz odejź. Chcę porozmawiać z moją siostrą. Lauro? Wiesz, że cię kocham? Nie chcę, żebyś myślała... — Słowa ucichły. — Próbowałem z tym skończyć. Z pokerem, kradzieżami, ze wszystkim. Ale to było jak śmierć, rozumiesz? Cholera, nie rozumiesz, nie rozumiesz...

Próbował się podnieść, ale Laura przytrzymała go.

— Cicho, Clay, rozumiem. Nie wstawaj, jestem tutaj.

— Posłuchaj! Słuchasz? Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić! — Otworzył oczy. Były lśniące z emocji. Zaczął mówić szybciej. — Musisz zrozumieć. Nigdy nie myślałem, że ktoś to odkryje. Myślałem, że ty będziesz bezpieczna. Nie zrobiłbym tego, gdybym domyślał się... że ciebie w to wplączę. Najgorsza część. — Zaczął się śmiać, wykrzywiając się przy tym z bólu. — Najgorsza część. Chciałem ci o tym powiedzieć. Jakie to było wspaniałe. Zbyt dobre, żeby przepuścić okazję. Ale nie kochałabyś mnie, gdybyś wiedziała, prawda? Biedna Laura. Tak bardzo chciałaś mieć rodzinę, że postawiłaś na Claya. Zły wybór, ale, do diabła, kochałem cię za to. Byłaś ze mną, dobrze o mnie myślałaś. Czasem to musiało być trudne. — Uśmiechnął się smutno. Podniósł rękę, wykonując niejasne ruchy, aż Laura chwyciła ją w swoje dłonie — Ja też chciałem mieć rodzinę, ale... chyba nie dość mocno. Słuchaj, Lauro, musisz to zrozumieć, próbowałem z tym skończyć! Ale nie potrafiłem tego zrobić. Stałbym się pusty, wiesz? Tak jakby wszystko we mnie wyszło. Pusty, martwy, już nie byłbym sobą. A potem zaplanowałem nową robotę i wszystko nabrało barw. Było niebezpieczeństwo, emocje. Znowu ożyłem. To Fantastyczne! Tam, na jego dachu... Król...

— Na czym dachu? — zapyta! ostro Ben?

— Po prostu... na którymś dachu. Król świata. Pamiętasz, kiedy byliśmy dziećmi, wspinaliśmy się wysoko i czuliśmy się... — Clay znowu zaczął się śmiać. — Przesadziłem, co Lauro? Chciałem czuć, że żyję, ale może umrę. Lauro? Myślisz, że umrę?

— Nie, nie możesz. Zacznieś wszystko od nowa... — Laura płakała. Po raz pierwszy od momentu, gdy Feliks rozkazał jej opuścić dom pozwoliła sobie na łzy. Ben siedział na oparciu kanapy, a ona oparła głowę na jego kolanie i płakała, bo Clay tak bardzo chciał żyć.

— Hej, nie płacz — powiedział Clay. — Nie mogę tego znieść. Powinnaś być szczęśliwa, a nie płakać. Nie mogę znieść myśli, że doprowadziłem cię do płaczu. Prawdopodobnie nie umrę. Mam zbyt dużo szczęścia. Tylko trochę się prześpię...taki jestem śpiący...

Leżał spokojnie. Słysząc było jedynie szloch Laury.

— Chwileczkę — powiedział nagle Clay. — Cholera, o mało nie zapomniałem. Posłuchaj, dobierz się do Feliksa. Skłoń go, żeby otworzył swój sejf. Przy ludziach, dobrze?

— O czym ty mówisz?

— Tam jest list Owena.

— List Owena? W sejfie Feliksa? Ale to niemożliwe. Clay, skąd o tym wiesz? Jak się tam dostał? Czy ty...? Mój Boże, czy ty miałeś z tym coś wspólnego?

— Nie, nie, nie, nie tak. — Zaczął oddychać szybciej i wymachiwać rękami w powietrzu. — Widziałem go w sejfie, kiedy kradłem obrazy Rouaulta. — Poczuję, jak Laura sztywnieje. — Przepraszam, przepraszam. To już nieważne. Sejf? Do diabła, posłuchaj! Próbuję ci powiedzieć. To ważne. Skłoń Feliksa, żeby go otworzył przy ludziach, dobrze?

Laura spojrzała na Bena.

— Nie wiem, na co mógłby się teraz przydać. Owen napisał go wiele lat temu.

— Prawnik — powiedział Clay rozpaczliwie. — Weź prawnika. Nie mogę ci powiedzieć dlaczego... jestem zbyt senny. Cholernie celny strzał. Prawie mi się udało, ale nie całkiem... Feliks! Przymknij, że to zrobisz! Przymknij!

— Przymknę — powiedziała Laura. — Nie martw się, Clay. Przymknę.

Westchnął.

— To dobrze. — Na jego bladych ustach pojawił się uśmiech. — Miałem zamiar napisać. Powiedzieć ci o wszystkim. Nie sądziłem, że znajdę się na twoich kolanach. Jestem szalony, prawda? Kocham cię, Lauro. Chciałem, żebyś mnie kochała... i była... dumna ze mnie... — Słowa urywały się, w miarę jak oddech stawał się coraz krótszy, aż wreszcie zaniknął.

— Clay! — krzyknęła Laura przez łzy, które znowu zaczęły płynąć. Wypełniały jej oczy i ciekły strumieniem po policzkach. — Clay, wszystko będzie dobrze! Zajmiemy się tobą. Wyzdrowiejesz i zaczniesz wszystko od nowa. Zaczniesz. Każdy może zacząć od początku! Jest w tobie tyle dobra. Wiem, że jest! Clay, zaczniesz od nowa i tym razem...

Słowa utonęły we łzach. Opłakiwała wszystkie ich nadzieje i marzenia, trudne koleje losu i piękno wokół nich, które było tak kruche, że mogło się rozsypać, jeśli nie będą go pielęgnować i chronić. Opłakiwała Claya, którego kochała i którym starała się opiekować, ale którego nigdy naprawdę nie знаła. Drżała od szlochów. Na tyle rzeczy było za późno i nie było już czasu na wiele innych.

— Lauro — powiedział Ben cicho. — Pomogę ci wstać. Pokręciła głową.

— Nie chcę. Chcę go trzymać. — Ale po chwili spojrzała na Claya i zrozumiała, o co chodzi Benowi. — Nie! Nie, nie... — krzyknęła ze zgrozą. We łzach całowała policzki i czoło Claya i przyłożyła palce do jego ust. — Biedny, kochany, Clay — szepnęła. — Zawsze byłeś z siebie taki dumny. Taki szczęśliwy i zafascynowany, kiedy... kiedy myślałeś, że jesteś wielkim człowiekiem... O Boże, tak mi przykro — szlochała. — Myślałam, że wszystko będzie dobrze. Myślałam, że masz mnóstwo czasu, żeby dorosnąć, a teraz już nigdy... On nie może umrzeć! — krzyknęła do Bena. — Nie może! Jest taki młody!

Ben miał łzy w oczach. Przytulił głowę Laury.

— On był bardzo młody — powiedział delikatnie. Laura położyła głowę na jego kolanach i szlochała. Tak właśnie zastał ich sanitariusz. Wszyscy troje byli znowu razem, po raz pierwszy od momentu, kiedy jedli kolację na Cape jednaście lat temu.

Rozdział trzydziesty czwarty

Colby czekał przed domem Laury, gdy wracali z cmentarza. Najpierw zobaczył Paula, który obejmował Laurę ramieniem. Więc to dlatego zmienił swój film, domyślił się. Laura spojrzała na niego zdziwionymi oczyma.

— Przepraszam, że niepokoję, panno Fairchild...

— Do cholery, Sam — powiedział wściekły Paul. — Nie mógłbyś poczekać dzień lub dwa? Laura nie jest tą osobą, której szukasz. Później wszystko ci opowiemy. Wierz mi. To nie Laura.

— Wiem o tym — odparł spokojnie Colby. — Uspokój się. Nie niepokoiłbym nikogo bez ważnego powodu. Chciałbym porozmawiać z panną Fairchild, gdybyśmy mogli wejść do środka.

— Nie teraz, do diabła. Jesteśmy umówieni na lunch u przyjaciółki i możesz równie dobrze poczekać do jutra.

Laura położyła dłoń na jego dłoni.

— W porządku, Paul. Ginny nie będzie miała nam za złe, że trochę się spóźnimy. — Odwróciła się, otworzyła drzwi i wszyscy troje weszli do biblioteki. — O co chodzi, panie Colby?

Nadal stojąc, ponieważ nikt nie zaproponował mu, żeby usiadł, Colby powiedział:

— Najpierw proszę przyjąć moje kondolencje, panno Fairchild.

Wiem, że brat był pani bardzo bliski i pracowaliście razem. To dla pani wielka strata. Przykro mi. To wszystko stało się w straszny sposób. Nieczęsto się zdarza, że ktoś zostaje postrzelony podczas napadu i pobicia, ale jeśli tak się stanie, to prawdziwa tragedia.

Laura milczała i jeśli Colby oczekiwał, że opowie na nowo historię o postrzeleniu Claya, którą przedstawiła policji, to się rozczarował.

— Ale przede wszystkim przyszedłem pani powiedzieć, że pani brat do mnie napisał.

Laura spojrzała w osłupieniu.

— Co?

— Wczoraj po południu dostałem od niego list. Został wysłany na Manhattanie, ale przyszedł na moje nazwisko do Daily News, więc trochę to potrwało, zanim go otrzymałem. Chciałbym z panią o tym porozmawiać, a potem poprosić o przysługę. Mimowolnie Laura zerknęła na kanapę przykrytą wełnianą narzutą, żeby ukryć ślady krwi. Zadrżała i odwróciła się do Colby'ego.

— Przepraszam, proszę usiąść.

Usiadł na skraj fotela. Laura i Paul usiedli blisko siebie, na kanapie. Paul obejmował Laurę ramieniem.

— Pani brat przysłał mi klucze do pięciu domów. Nie wiem, gdzie jest szósty klucz, ten od domu Salingerów przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, ale wszystkie inne są opatrzone nazwiskami pięciorga ludzi, u których dokonano kradzieży dzieł sztuki. Zna pani te nazwiska. — Laura wpatrywała się w niego uważnie. Zmarszczyła brwi, gdy wspomniał o Salingerach. Ale to wszystko. — W liście opisał mi, jak podrobił klucze, jak zdobył kody systemów alarmowych i plany podróży gości, kiedy przebywali w pani hotelach oraz jak wchodził do ich domów, wiedząc, że właściciele są nieobecni. Przesłał mi również dwie piętnastowieczne ryciny, które zatrzymał dla siebie, gdyż jak twierdzi, podobały mu się. Napisał, że wszystkie inne rzeczy kradł dla pośrednika, który sprzedawał dzieła sztuki swoim klientom.

Laura pokręciła głową.

— Dla pośrednika? Jak go spotkał? Wygląda na to, że wszystko było dokładnie przemyślane, profesjonalne. Clay zawsze wydawał się taki niedbały.

— Podczas dokonywania tych kradzieży nie był niedbały. Był mądry, ostrożny i przebiegły.

Laura wydała z siebie ni to śmiech, ni to szloch.

— Ucieszyłby się, słysząc, że pan to mówi.

Colby wzruszył ramionami, potem opanował się. Nie powinien zachowywać się niedbale, gdy ktoś umarł. Nie wydawała się pogrążona w skrajnej rozpacz, ale miała czerwone oczy i patrzyła nieprzytomnym wzrokiem. Próbowwała trzymać się dzielnie, chodząc, rozmawiając i robiąc wszystko normalnie, ale jakby automatycznie. To wszystko jeszcze do niej nie dotarło, pomyślał Colby. Jeszcze wielu rzeczy nie pojęła. Bezwiednie ściszył głos i dalej mówił łagodnym, nienaturalnym dla siebie głosem:

— Na podstawie kluczy, rycin i listu pani brata, jestem całkowicie przekonany, że to on kryje się za tymi wszystkimi kradzieżami. Nie mam dowodów na to, że pani z nim współdziałała, ale ufam swemu instynktowi, który podpowiada mi, że nie wiedziała pani o niczym. Jest pani oczyszczona z zarzutów, a ja przepraszam za wszelkie kłopoty, na jakie panią naraziłem. Oczywiście nie miałem nic wspólnego z dostarczeniem materiału do prasy i problemami, które powstały w pani hotelach. Mam nadzieję, że wszystko się wkrótce odmieni. Mam nadzieję, że będę mógł pani w tym pomóc.

Paul spojrział na niego ostro.

— Jak? Nie jesteś przecież gotowy pójść do prasy z tymi nowymi wiadomościami.

— Zgadza się. Nie jestem gotowy. Ale jeśli sobie przypominasz, chciałem prosić o przysługę. Nie mogę jeszcze opublikować tego w prasie, ponieważ nie zakończyłem jeszcze swego śledztwa. Znalezienie złodzieja nie było moim głównym celem.

Pracuję dla agencji ubezpieczeniowych, a smutna prawda polega na tym, że nie tyle obchodzą ich złodzieje, co odzyskanie skradzionych przedmiotów. Na tym w zasadzie polega moja praca. Jeśli nie odzyskam tych przedmiotów, to moi szefowie będą musieli zapłacić ogromne odszkodowania, a tego raczej woleliby nie robić.

Więc nadal pracuję nad tą sprawą. Będę przeszukiwał mieszkanie pani brata w SoHo, ale najpierw prosiłbym, aby pozwoliła mi pani sprawdzić ubranie, które miał na sobie, kiedy tu przyszedł.

Laura zmarszczyła brwi.

— Szuka pan nazwiska tego pośrednika.

— Zgadza się. — Colby był rozpromieniony. Wspaniale jest

rozmawiać z kimś, kto go rozumie. — Napisał, że miał do czynienia z pośrednikiem, ale nie podał mi nazwiska. Przypuszczam, że chciał współpracować z nim w przyszłości... — Zauważył, jak twarz Laury skamieniała. — Nie będziemy tego rozważać, ale muszę mieć to nazwisko. Mógłbym wtedy zakończyć sprawę w kilka dni. Nie jestem tego całkowicie pewien, ale to bardzo możliwe. Wtedy, oczywiście, przekażę prasie informacje, które mogą bardzo zainteresować pani gości hotelowych.

— Prasa — mruknęła Laura, wyobrażając sobie nazwisko Gaya w gazetach i w telewizji.

— To i tak stanie się prędzej czy później — powiedział Colby tak łagodnie, jak potrafił. — Tak czy inaczej, wyjdzie to na jaw. Sądzę, że sama by to pani zrobiła, żeby przekonać ludzi, że pani hotelom nic już nie zagraża. Jeśli ogłoszę nazwisko pośrednika, to właśnie jego mogą ludzie najlepiej zapamiętać. Jestem pewien, że pani brat nauczył się na pamięć nazwiska i numeru telefonu, ale być może w pewnym momencie gdzieś to zapisał i schował. To moja nadzieja i jedyny trop. To bardzo ważne i byłbym ogromnie wdzięczny...

— Zaraz wracam — powiedziała Laura i wyszła z biblioteki. Colby spojrzął na Paula.

— Ona ma szczęście, że w ciężkich chwilach jest przy niej taki dobry przyjaciel. Paul uśmiechnął się.

— Sam, chcesz wyciągać informacje. To nie ma nic wspólnego z twoim śledztwem.

— To prawda, ale to może wpłynąć na mój film. Jeśli będziesz nią zbyt zajęty, to kiedy przedstawiś mnie w telewizji?

— Jeszcze nie wiem. To na pewno nie będzie państwowa sieć telewizyjna. To już przesądzone. Ale mam zamiar dokończyć ten film i sprzedać go telewizji kablowej albo rozprowadzić w kinach. Nie martw się, będziesz jeszcze sławny, Sam.

— To nie dla mnie — powiedział szczerze Colby. — To dla moich wnuków. Będą miały z tego wielką uciechę.

Paul roześmiał się.

— Oczywiście, że tak.

Usłyszeli kroki Laury na schodach.

— Clay nie miał przy sobie niczego, oprócz portfela — powie-

działa, wchodząc do pokoju. — Policja go przejrzała i znalazła tylko kluczyk do szafki na lotnisku. Była tam torba i bilet powrotny do Mexico City. Nie wiedzieliśmy nawet, że tam był... — Pokręciła lekko głową. — Zabrali torbę. Będę miała ją jutro, jeśli się panu przyda.

— Nie będę wiedział, dopóki nie zerknę na portfel. — Wyciągnął rękę.

— Jeśli zechce go pan obejrzyć tutaj. Nie może pan go zabrać.

— W porządku. A przy okazji, jeśli coś znajdę, czy mógłbym prosić, aby zachowała pani wszystko w tajemnicy, dopóki nie uczynię następnego kroku? Innymi słowy — żadnych konferencji prasowych, żadnych odpowiedzi na pytania reporterów, dopóki się z panią nie skontaktuję. Może pani to zrobić?

— Jak długo to potrwa?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że nie więcej niż kilka dni. Kiwnęła głową.

— Kilka dni mogę poczekać,

— Dziękuję — powiedział i odruchowo odwrócił się, by obejrzyć portfel. Obok notatek, zdjęcia Laury i pięciuset dolarów znalazł złożoną karteczkę z numerami telefonów.

Nowy Jork, Genewa, Paryż, Rzym, Londyn. W myślach zmówił modlitwę: „Nie opuszczaj mnie, Boże. Przez tyle lat mnie nie zawiodłeś. Jeśli trafię w jeden z tych numerów, to jesteśmy w domu”.

Włożył do portfela wszystko oprócz złożonej kartki i podał go Laurze.

— Dziękuję, panno Fairchild.

— Zatrzymał pan kartkę papieru. Czy mogę na nią spojrzeć? Colby podał jej kartkę.

— Da mi pan znać, czy coś z tego wyniknęło? — zapytała.

— Jak tylko będę coś wiedział — odparł, biorąc z powrotem kartkę. — Może pani na mnie liczyć. Pozwolą państwo, że już pójdę. Dziękuję za pomoc. Paul, porozmawiamy wkrótce, dobrze?

— Na pewno — odparł Paul z uśmiechem. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Colby, zamykając za sobą drzwi, była twarz Laury zwrócona do Paula.

Szczęściarz, pomyślał Sam z zazdrością. Szczęściarz. W taksówce gorączkowo analizował numery telefonów. Następnego ranka zaczął dzwonić. Przez cztery godziny wykreślał kolejne

numery. Pięć z nich odłączono, w trzech przypadkach nikt nie odbierał, cztery zostały zmienione i należały do sklepów w Genewie i Rzymie. Przy dwóch następnych włączyła się automatyczna sekretarka podając kolejne dwa numery w Rzymie i Mediolanie, które okazały się błędne. Cholerne, włoskie linie telefoniczne, zaklął Colby w myślach i wykręcił numery po raz drugi. Znowu usłyszał, że numery są błędne. To niemożliwe! Mógł pomylić się przy jednym numerze, ale nie przy dwóch. Przyjrzał się numerom. Oba zaczynały się na trzydzieści dziewięć, a kończyły na dziewięćdziesiąt trzy. Ach, westchnął Colby, sprytnie. Kierunkowy numer do Włoch to trzydzieści dziewięć. Wykręcił numery od tyłu i po kilku minutach rozmawiał z człowiekiem, którego poznał po głosie. Bogaty lekko-duch, kolekcjonujący rzadko spotykane monety i piękne kobiety. Był także znanym hazardzistą: konie, ruletka, poker. Prawdopodobnie w ten sposób poznał Fairchilda, pomyślał Colby.

Znowu poprosił o wsparcie moce niebiańskie i zadzwonił do Interpolu w Rzymie. Oparł się na krzesło. Trochę potrwa, zanim do niego oddzwonią. Pomyślał znów o twarzy Laury Fairchild, gdy odwracała się do Paula. Paul z całą pewnością jest szczęściarzem. Ale jeszcze większym szczęściarzem jest Sam Colby, przed którym rysowała się perspektywa długich, ciekawych lat. Dzięki Clayowi Fairchildowi. Sam uchylił przed Clayem wyimaginowanego kapelusza. W jakiś zadziwiający sposób ten dzieciak, który zawsze myślał tylko o sobie, w końcu zdobył się na prawdziwie dobry uczynek. Wysłał zeznanie i mnóstwo dowodów do jednej jedynej osoby, która mogła z nich zrobić należyty użytek. Zaoszczędził siostrze wielu kłopotów, a także pozwolił Samowi Colby'emu wyrwać się ze śmiertelnej nudy i wrócić do akcji.

To prawdopodobnie jedyny dobry uczynek, jakiego dokonał w swym samolubnym życiu, ale to był niezwykle uczynek. Clay naprawdę zasługiwał na uchylenie kapelusza.

Tydzień przed śmiercią Claya Laura wysłała list z odręcznym podpisem do wszystkich gości, którzy kiedykolwiek przebywali w hotelach Beacon Hill, z zapewnieniem, że hotele są bezpieczne. Pisała już drugą serię listów, gdy zaczęła otrzymywać odpowiedzi

na pierwszą. Zadzwoiła Flavia Guarneri. „Chciałabym przyjechać, moja droga, ale powstrzymuje mnie lekkie poczucie niebezpieczeństwa. Oczywiście nie chodzi o ciebie. Jestem pewna, że mogę ci zaufać, ale niepokoi mnie trochę twój personel. Naprawdę ci współczuję. Czy to nie tragiczne, jak trudno dziś o rzetelną pomoc? W chwili, gdy będziesz mogła nam powiedzieć, że sprawa jest wyjaśniona, wszystko się zmieni”.

Zadzwoił też Carlos Serrano: „Jak tylko będę w Nowym Jorku, przyrzekam ci, że zatrzymam się w twoim czarującym hotelu. Do diabła, zawsze powtarzam, że trzeba żyć niebezpiecznie. Mogę powiedzieć prasie i wszystkim, że Carlosa nie przeraża odrobina niebezpieczeństwa”!

Niedźwiedzia przysługa, pomyślała Laura, ale głośno podziękowała.

Laughtonowie nie dzwonili. Po prostu pojawili się w Waszyngton Beacon Hill.

Zatrzymali się na trzy dni, a potem wyjechali. Nadesłali Laurze list, pisząc, że hotel jest tak doskonały jak zawsze, a Kelly Darnton jest najwspanialszym dyrektorem.

Ale nikt z ich przyjaciół nie chce zatrzymywać się w hotelu Beacon Hill, dopóki nie przekonają się, że hotel jest absolutnie bezpieczny.

Nic nie jest absolutnie bezpieczne, pomyślała Laura i dołączyła list do innych.

Bitt Farley był w Europie. Przysłał telegram, że nie będzie go w Stanach przez długi czas.

Daniel Inouti nie odpowiedział. Nie odpowiedział nikt więcej spośród setek osób, do których wysłane zostały listy.

Śmierć Claya na nowo rozbudziła zainteresowanie reporterów, którzy na kilka dni zostawili Laurę w spokoju. Teraz zaczęli wydzwaniać znowu, a niektórzy z nich zajęli swoje dawne pozycje w holu. Laura nie chciała z nimi rozmawiać, a sekretarka niezmordowanie powtarzała informację o okolicznościach śmierci Claya. Tylko reporter Daily News wiedział, że Sam Colby otrzymał przesyłkę od Claya Fairchilda, ale nie ujawniał tej informacji. Colby obiecał mu pierwszeństwo w opublikowaniu całej tej historii i reporter nie miał zamiaru nikomu zdradzać, że coś się szykuje. Cała reszta dziennikarzy spekulowała i przypominała historię Laury oraz hoteli Beacon Hill, ale wobec braku jakichkolwiek nowych informacji, skoncentrowali się na innych wiadomościach.

Wszyscy reporterzy opuścili już hol, kiedy Laura wyszła z gabi-

netu. Była umówiona na kolację z Paułem i jego rodzicami. Przy jednym ze stolików w eleganckiej, dyskretnej restauracji Chanterelle, opowiedzieli Thomasowi i Barbarze historię, którą wkrótce mieli poznać wszyscy.

— Nie jesteśmy pewni — zakończył Paul — dlaczego to takie ważne, żeby Feliks otworzył sejf przy świadkach i wyjął list, ale najprawdopodobniej chodzi o to, żeby nie mógł zaprzeczyć, że cały czas go miał.

Thomas Janssen lekko zmarszczył brwi.

— Czy to ma znaczenie po tylu latach? Laura odzyskała prawie wszystko to, co zapisał jej Owen.

— Clay uważał, że to ważne. I obiecałam mu, że to zrobię. I tak bym to zrobiła. Chcę mieć ten list, choćby dla siebie. Znajdę sposób, żeby go zdobyć.

— Razem znajdziemy sposób — poprawił ją łagodnie Paul. — Zwrócił się do ojca.

— Czy moglibyśmy wymyślić pretekst do spotkania wszystkich udziałowców w Nowym Jorku, w domu Feliksa? Większość z nas albo tutaj mieszka, albo spędza tu mnóstwo czasu. Jeśli udałoby się to zrealizować, zgromadzilibyśmy dwadzieścia osób. Musi być coś takiego, co warto byłoby przedyskutować, nie sądzisz? Jeśli miałyby się okazać, że otwarcie sejfu przez Feliksa w obecności nas wszystkich nie będzie miało znaczenia, to nie stanie się nic złego oprócz tego, że się z nim spotkamy. — Paul uśmiechnął się do Thomasa. — Myślałem, że mógłbyś porozmawiać o tym z Feliksem.

— Niezbyt miłe zadanie. — Potem wpatrując się w swoją filiżankę kawy, powiedział: — Rozmawiałem z Cole'em o zwolnieniu Feliksa z funkcji prezesa korporacji. Od dawna czujemy, że coś niedobrego dzieje się z przedsiębiorstwem. Nie zamierzaliśmy działać tak szybko, ale być może...

Tak więc Thomas Janssen zadzwonił do Feliksa i poinformował go, że rodzina życzy sobie zwołania nadzwyczajnego posiedzenia wszystkich udziałowców.

— Chcielibyśmy, żeby to się odbyło w Nowym Jorku — powiedział. — Wiem, że będziesz tam przez kilka tygodni i my również. Wielu z nas tam mieszka. Tak będzie dogodniej dla nas wszystkich.

— To nie jest dogodne — odparł Feliks oschle. — Nasze coroczne posiedzenie odbędzie się w marcu. Zaczekamy do marca.

— Wielu z nas wolałoby spotkać się teraz — powiedział Thomas głosem tak obojętnym jak głos Feliksa. — Niepokoi nas sposób zarządzania korporacją, Feliksie. Budowa hotelu w Nowym Jorku jest opóźniona o pół roku, a wydatki o wiele większe, niż przypuszczaliśmy. W wielu hotelach interes idzie źle i mamy nieprzychylną reklamę. Jesteśmy niezadowoleni i nie mamy zamiaru czekać do wiosny, żeby o tym porozmawiać. Gdybym nie sądził, że to ważne, nie poruszałbym tej sprawy.

Zapadła cisza.

— Powiedziałeś, że wielu z was chce tego spotkania. Kto konkretnie?

— Nie mogę wypowiadać się za nich. Wszyscy będziemy mieli szanse zabrać głos na zebraniu.

— Pomyślę o zwołaniu tego posiedzenia, ale nie odbędzie się w Nowym Jorku. Nie mamy tu miejsca na takie spotkanie.

— Mielibyśmy, gdyby hotel został ukończony według planu. Proponuję, żebyśmy spotkali się w twoim domu. To tylko dwadzieścia osób. Z łatwością pomieścimy się w twojej bibliotece.

— W moim domu? Chyba zwariowałeś. — Feliks kipiał. — Leni była udziałowcem, podobnie jak ta Fairchild. Ich noga nie postanie w jego domu. — Nigdy nie zwołam spotkania udziałowców w moim domu.

— Więc możemy wynająć salę konferencyjną w hotelu. Wtedy, oczywiście istnieje większe prawdopodobieństwo, że dowiedzą się o tym reporterzy, a nie sądzę, abyśmy tego chcieli.

— Reporterzy? O czym ty mówisz?

— Ostatnio nieco rozślawiłeś nazwisko Salingerów, Feliksie. Mogą pomyśleć, że nadal będziesz im dostarczał sensacyjnych wieści.

Feliks znowu milczał. Nikt w rodzinie nie wspomniał o konferencji prasowej i artykułach, które się po niej ukazały. Nawet Asa nic nie powiedział. W głębi duszy Feliks nazywał ich wszystkich głupcami. Tylko głupcy obawiają się zrobić to, co konieczne i obawiają się rozgłosu. Lecz teraz Feliks poczuł dreszcz niepokoju. Nigdy nie zadawał sobie trudu, żeby dowiedzieć się, jakie są ich odczucia, a w tym momencie zdał sobie sprawę, że wszystko może się wymknąć spod kontroli. Jak Thomas wciągnął go w tę rozmowę o zwołaniu posiedzenia w Nowym Jorku, skoro powiedział, że nie chce go tam zwoływać?

— Pomyślę o zwołaniu posiedzenia w Bostonie — rzekł stanowczo. — Za miesiąc lub dwa, jeśli wystarczająca liczba udziałowców wyrazi takie życzenie. Do tego czasu nie ma o czym rozmawiać.

— Myślę, że jest o czym rozmawiać — poprawił go Thomas. Zaczynał dobrze się bawić. Zawsze odgrywał rolę łagodnego krewnego Salingerów. Szansa aktywnego włączenia się w sprawy przedsiębiorstwa, mając Feliksa za przeciwnika, wydawała mu się pokrzepiająca. Gdyby Feliks był miłszy, pomyślał, to nie miałbym takiego dobrego samopoczucia. — Będziemy mieli posiedzenie za tydzień od jutra, o trzeciej po południu. Mam nadzieję, że przyjedziesz. Jeśli nie, będziemy zmuszeni zacząć bez ciebie.

— Nie możecie tego zrobić.

— Wiesz, że możemy, Feliksie. Asy nie ma w mieście, ale wróci na czas. Jest wiceprezesem. Może przewodniczyć w posiedzeniu.

Tym razem Feliks nie milczał. Wiedział, że nie może opuścić tego posiedzenia.

— Przyjadę. Ale nie odbędzie się to w moim domu.

— Zrobię co będę mógł, żeby znaleźć odpowiednie miejsce, ale jeśli dziennikarze dowiedzą się, że chcemy zmienić kierownictwo przedsiębiorstwa...

— Co?

— Z pewnością zrozumiałeś, co miałem na myśli, mówiąc, że jesteśmy zaniepokojeni sposobem zarządzania korporacją.

Feliks nie odpowiedział. Oczywiście, że zrozumiał, ale dlaczego miałby się do tego przyznawać?

— Jeśli dowie się o tym prasa — ciągnął Thomas — to będą mieli niezły materiał. A skoro pamiętają, że dostarczyłeś im już jednej sensacji...

— Zgoda. — Miał rację. Wszystko wymykało się spod kontroli. Musi porozmawiać z Asą. Asy nie ma w mieście. Ale można go odnaleźć i wpłynąć na niego. Feliks zawsze to potrafił. A jeśli Asa go poprze, to mogą zablokować każdy wniosek. Porozmawia z Asą. To załatwi sprawę. — Spotkamy się w moim domu. Ten jeden raz.

— A więc do zobaczenia w przyszłym tygodniu — pożegnał się Thomas. Natychmiast zadzwonił do Paula.

— Musimy się naradzić. Możemy spotkać się jutro na lunchu?

Przyprowadzę Cole'a. Potem zadzwonię do Asy. On się ukrywa w obawie, że Feliksowi uda się przekabacić go na swoją stronę. Musimy podtrzymywać go na duchu przez następny tydzień.

— Chyba nam się uda — powiedział Paul i po odłożeniu słuchawki zrelacjonował Laurze, co postanowiono.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową, ale jej uwaga była rozproszona. Minęło już piętnaście dni z czasu, który dano jej na wyjaśnienie sprawy. Zadzwoniła do Curriera i Leni, żeby im pogratulować. Wes wspomniał o pieniądzach, które jest mu winna. Wcześniej pozwolił jej wstrzymać spłaty, aż do czasu gdy wszystko się wyjaśni.

— Nic więcej nie mogę zrobić. Nie mogę pożyczyć ci więcej, Lauro.

— Nie proszę o więcej, Wes.

— Nie prosisz, ale ja o tym myślałem.

— Dziękuję, ale to nie rozwiązuje problemu. Wiemy o tym oboje. Czy masz jakieś wiadomości od tego detektywa?

— Nie. Jeszcze nie.

Ginny też mówiła o pieniądzach.

— Bardzo bym chciała zainwestować następne dziesięć milionów, ale to jest jak patroszenie kurczaka. Kiedy już to zrobisz, nie możesz tego powtórzyć.

Laura roześmiała się i pocałowała ją.

— Nie przyjąłabym tych pieniędzy, nawet gdybyś mogła je ofiarować. Dziękuję, Ginny. Kocham cię.

— Co masz zamiar zrobić?

— Spłacić odsetki za ten miesiąc. To jeszcze mogę zrobić. A potem chyba zacznę telefonować. Nic się nie zmieni, dopóki nie przekonam ludzi, że powinni wrócić. Ktoś musi być pierwszy. Wydaje mi się, że Laughtonowie nie wystarczą.

— Powiesz im o Clayu?

— Sam Colby poprosił mnie, żebym niczego nie zdradzała, więc nie zrobię tego jeszcze przez jakiś czas. Powiem, jak będę musiała.

Ale dwa dni później zadzwonił Colby. Zastał Laureę w domu, zanim jeszcze zdążyła wyjść do pracy. Paul nalewał kawę. Przez otwarte okna wpadały promienie słońca, a Laura przeglądała gazetę, gdy zadzwonił telefon. Odruchowo podniosła słuchawkę, lecz nagle wyprostowała się.

— Co? — zapytała.

— Powiedziałem, że zwołuję konferencje prasową. Zaprosiłbym panią, ale to mnie chcą wypytywać. Dla pani mogłoby to być trochę bolesne.

— Nie, nie chcę tam być. Ale proszę mi wszystko opowiedzieć. Laura odsunęła słuchawkę od ucha, a Paul pochylił się, żeby również usłyszeć nowiny Colby'ego.

— Wszystko jest jasne i oczywiste. Znaleźliśmy pośrednika. Nadal miał obrazy z ostatniego skoku Clay'a. Podał nam nazwiska klientów, którzy kupili resztę. Razem z Interpolem przeprowadziliśmy jednoczesne akcje w kilku miastach, w domach szanowanych milionerów, i odzyskaliśmy wszystkie dzieła sztuki. Czuję się jak James Bond. A więc podaję to wszystko do publicznej wiadomości. Nazwiska, daty i miejsca. Powiem również, że pani nie miała z tym absolutnie nic wspólnego. To powinno pomóc, prawda?

— Tak. Tak, tak, tak, to pomoże. — Znow zaczęła płakać, przypomniawszy sobie Clay'a. Gdyby tylko istniał jakiś inny sposób... Ale nie było innego wyjścia. Clay spowodował jej kłopoty i Clay będzie musiał ją z tego wyciągnąć.

- Sam, jeszcze jedno — wtrącił się Paul do rozmowy. — Czy możesz wspomnieć, że Laura zwolniła Clay'a z pracy, jak tylko odkryła, czym on się zajmuje?

— Nie ma problemu. To powinno pomóc jeszcze bardziej. Coś jeszcze?

— Lauro? — zapytał Paul. Pokręciła głową.

— Daj nam znać, jak poszło — powiedział Paul. — Będziemy w hotelu.

— Dowiedcie się, jak poszło — powiedział Sam ponuro. — Będziecie zbombardowani pytaniami. Lepiej zapiszcie sobie, co jedliście na śniadanie. Będą chcieli wiedzieć o was wszystko. Ja podaję wiadomości, ale panna Fairchild jest o wiele piękniejsza ode mnie, więc poświęcą jej więcej miejsca. Ale potem zrobisz o mnie film, tak?

— Prawdopodobnie — odparł Paul ze śmiechem. Rozmawiał z Colbym jeszcze parę minut, a potem odłożył słuchawkę. — Może zostanę dzisiaj z tobą? — zapytał Laurę.

— Nie skontaktowałem się jeszcze z kilkoma kuzynami, którzy są udziałowcami. Mogę zadzwonić do nich z twojego gabinetu.

— Tak, chciałabym, żebyś był ze mną.

Paul nie odstępował Laury przez cały ten dzień i jeszcze przez następny. Jego obecność dodawała jej sił przy nieuniknionych spotkaniach z dziennikarzami. Na pytania o to, co czuła do swojego brata, odpowiadała krótko: „Jestem nieszczęśliwa i brak mi go”.

— Nie będą opisywać mojej rozpaczki w wieczornych gazetach — powiedziała gniewnie do Paula po popołudniowej konfrontacji z reporterami i ich mikrofonami. Telewizja nie była zbyt zainteresowana, ponieważ Laura przeżywała swą tragedię bez dramatycznych gestów i szlochów. Powaga i smutek są mało widowiskowe. Na trzeci dzień po oświadczeniu Colby'ego Paul znów siedział z Laurą w jej gabinecie, gdy rozdzwoniły się telefony. Kelly zadzwoniła w południe: liczba rezerwacji zaczęła wzrastać. Dyrektorzy z Chicago i Filadelfii zadzwonili o piątej z taką samą informacją, a pół godziny później zadzwoniła Flavia Guarneri.

— Lauro, moja droga — powiedziała głosem słodkim jak miód. — Czuję się prawie tak, jakby po kwarantannie pozwolono mi wrócić do domu.

Rozdział trzydziesty piąty

Feliks usadowił się za biurkiem Owena i w milczeniu, z kamienną twarzą czekał, aż dwadzieścioro udziałowców zbierze się w bibliotece. Spojrzał w przeciwnym kierunku, kiedy pojawili się Laura z Paulem. Co ona, do cholery, robi tu z Paulem? Odwrócił się ponownie, gdy kilka minut później weszła Leni w futrze, którego nie rozpoznawał. Jako ostatni nadeszli Asa i Carol Salingerowie. Asa unikał wzroku brata Feliks wstał.

— Chciałbym porozmawiać z tobą kilka minut, zanim zaczniemy.

— N-n-n-nie sędę... — Asa wodził oczami po pokoju i zatrzymał je na Thomasie Janssenie.

— Nie ma powodu zwlekać — uznał Thomas. — Jesteśmy w komplecie i wszyscy są gotowi.

— Chwileczkę — warknął Feliks. — Asa. — Wskazał na drzwi. Zastraszony Asa wyszedł, za nim podążył Feliks.

Kiedy wyszli, zapadło krępujące milczenie. Ben i Paul rozmawiali cicho. Siedzieli na krzesłach przy ścianie, a Leni, Allison i Laura usiadły obok nich, na kanapie pod nowymi obrazami, które zastąpiły skradzione dzieła Rouaulta. Pozostali członkowie rodziny stali nieco na uboczu. Przywitali Laurę z rezerwą, a potem wycofali się na z góry upatrzone pozycje, czekając na rozwój sytuacji. Co prawda,

Laura siedziała obok Allison i Leni, ale trudno zapomnieć, że gdy ostatnim razem rodzina zebrała się w bibliotece i odczytano testament Owena, Laura została zdemaskowana, okryta hańbą i wypędzona.

Zbyt dużo wstrząsów wydarzyło się ostatnio w rodzinie. Te wszystkie spotkania i dyskusje na temat zdjęcia Feliksa ze stanowiska; rozwód Leni i Feliksa; pojawienie się Laury; Laura i Ben okazali się siostrą i bratem; coś znowu łączy Laurę i Paula. Emily wyjechała do Kalifornii i, o ile wszyscy się orientowali, ma zamiar tam pozostać. Leni i Allison rozmawiają z Laurą. To chyba oznacza, że jej wybaczyły, ale nikt nie był tego pewien. Nikt nie wiedział, co ma sądzić. Czekali więc, z nadzieją, że dostaną jakiś sygnał, który pozwoli im odpowiednio się zachować.

— Chciałam, żeby Wes tu był — powiedziała Leni do Laury. Allison rozmawiała z jedną z kuzynek, a Laura czuła się tak, jakby była tu sama z Leni, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu. — Ale wiedzieliśmy, że to rozwścieczyłoby Feliksa, więc zrezygnowaliśmy z tego pomysłu.

— Wyglądasz na bardzo szczęśliwą — stwierdziła Laura.

— Jestem szczęśliwa. Czy to nie zadziwiające, jak swobodnie rozmawiam z tobą o Wesie? To tak, jakby wszystko to, co robiłyśmy, zanim opuściłam Feliksa, nie miało nic wspólnego z tym, co dzieje się teraz. Prawie tak, jakbyśmy były zupełnie innymi ludźmi.

Laura bez słowa skinęła głową. Jeśli Leni chciała wierzyć, że przeszłość znika tak łatwo i bezpowrotnie, to czemu ona miałaby się temu sprzeciwiać?

— Wes bardzo różni się od Feliksa — powiedziała.

— Nie tak bardzo jak ci się wydaje. — Leni uśmiechnęła się z czułością i rozbawieniem. — Prawdę mówiąc, jest bardzo podobny do Feliksa. Jest tym, kim Feliks mógłby się stać, gdyby był dobrym człowiekiem. Wes chce dominować i kontrolować wszystko. Chce być zawsze w centrum zainteresowania. Nie toleruje ludzi, którzy są głupi lub bardziej powolni od niego. Ale Wes wierzy w miłość i intymność, a Feliks nie. Wes jest skłonny ustąpić komuś, kogo kocha i nawet nauczyć się czegoś. Feliks tego nie potrafi. Jest w nim zbyt wiele złości. On musi rządzić ludźmi, a gdy mu się to nie udaje, próbuje ich pokonać. Jeśli zaś nie może wygrać lub okazuje się to trudniejsze, niż mu się wydawało, zionie nienawiścią, która zabiera mu tyle energii, że nie starcza mu jej na miłość i rodzinę.

Laura kiwała głową. To chyba prawda. Leni znała obu mężczyzn, mogła dostrzec to wszystko wyraźniej niż ktokolwiek inny.

— Ale w najważniejszych sprawach bardzo się różnią. Leni uśmiechnęła się.

— Dlatego wychodzę za Wesa. Nie mam nic przeciwko temu, że chce się mną opiekować. Wolę być kochana niż posiadana. Zamilkła i zamyśliła się. — Dawno temu, zanim poznałam Feliksa, byłam w kimś zakochana, a kiedy kazał mi odejść, powiedział: „Znajdź kogoś silnego i potężnego; kogoś kto może cieszyć się twoją siłą. Wtedy będziesz szczęśliwa”. Zabrało mi to ponad dwadzieścia osiem lat, ale wreszcie to zrobiłam. — Znowu zamilkła na chwilę. — Odwiedzicie nas z Paułem?

— Oczywiście. Chciałabym, żebyśmy wszyscy zostali przyjaciółmi. Rozmawiały cicho. Allison przyłączyła się do ich rozmowy.

Siedziały blisko siebie i to właśnie zobaczył Feliks, zanim jeszcze zdążył odwrócić głowę, gdy wchodził z powrotem do biblioteki. Przeszedł przez pokój, a Asa szedł kilka kroków za nim. Paul próbował coś wyczytać z jego twarzy, ale nie potrafił. Jego nachmurzona mina mogła odzwierciedlać gniew, wstyd lub zastraszenie. Paul spojrział na ojca, potem na Hattona. Jednak niemogli liczyć na Asę. Za bardzo się bał.

Cała rodzina żyje w strachu, pomyślał Paul. Każdy się boi, że ktoś mu coś zabierze. Gdybyśmy mieli mniej pieniędzy, może nie balibyśmy się tak bardzo. Zastanawiał się, w którym miejscu jest punkt zwrotny. Ludzie są szczęśliwi, mając zapewniony byt, ale jeśli się wzbogacą, choćby o dolara, barykadują się i żyją w strachu, że reszta świata może za bardzo się do nich zbliżyć. Musimy nauczyć nasze dzieci, żeby były szczerze, myślał. Muszą wierzyć w siebie, nie bać się ryzyka i rozumieć, że prawdziwą tragedią nie jest utrata pieniędzy, a utrata zaufania i miłości.

Wziął Laurę za rękę. Słuchała, co mówi Allison, ale odwzajemniła jego uścisk, zanim odwróciła się i spojrzała na niego swymi pięknymi, łagodnymi oczami, z uśmiechem tak szczerym jak wtedy, gdy pierwszy raz się kochali. Skupiony i pełen rezerwy wyraz jej twarzy zniknął bezpowrotnie. W tym momencie Feliks chrząknął. Stojąc za biurkiem Owena, powiódł wzrokiem po pokoju, nad głowami zgromadzonych, jakby przywoływał wszystkich do porządku.

— Thomas, ty życzyłeś sobie tego posiedzenia. Powiedziałeś, że masz jakieś pytania na temat Sieci Hoteli Salingera.

— Mam. Ale najpierw — Paul poczuł, jak dłoń Laury zaciska

się na jego dłoni. — Potrzebne nam będą pewne dokumenty, które, jak przypuszczam, znajdują się w twoim sejfie. Feliks spojrział na niego w osłupieniu. — W moim sejfie? O czym ty mówisz? Tam nie ma nic, co mogłoby kogokolwiek z was zainteresować.

— A ja sędzę, że jest — odparł nie zrażony Thomas.

Feliks przymrużył oczy. Zauważył, że Paul, Ben i Hatton obserwują go w napięciu, a inni po prostu patrzą z zaciekawieniem. Oni coś uknuli, pomyślał i znowu ogarnął go niepokój. Miał w garści Aseę, ale mimo to wszystko wskazywało na jakiś spisek.

— Jeśli masz coś do powiedzenia, Thomas, to oddaję ci głos. Jeśli chcesz grać na zwłokę, żeby zatuszować fakt, że nie macie wystarczająco dużo głosów, by czegokolwiek dokonać, to możemy zaraz odroczyć to posiedzenie.

Cole Hatton rzekł od niechcienia:

— Jeśli w tym sejfie jest coś, co powinniśmy zobaczyć, to ja jestem pierwszym, który chce to zobaczyć.

— Ja również — powiedziała Barbara Janssen.

— Nie ma chyba żadnych przeszkód, żeby go otworzyć — dodał Paul.

Feliks poczuł się osaczony. To nie było przypadkowe. Oni to wszystko uknuli.

— Dlaczego nie — rzekł jeden z kuzynów. — Przynajmniej wtedy będziemy mogli kontynuować posiedzenie.

— Przecież Feliks wie, co ma w swoim sejfie — zaprotestował inny kuzyn.

Ktoś inny wzruszył ramionami.

— Co z tego? Moglibyśmy jednak go otworzyć. W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

— Jasne — rzucił inny krewny. — Czemu nie, Feliksie? Jeśli oni nie mają racji, to w okamgnieniu się o tym przekonamy. Nic z tego nie rozumiem, ale co ci szkodzi? Otoczony wzrastającym gwarem Feliks powiedział z gniewem:

— W tym sejfie niczego nie ma. Ale jeśli upieracie się przy tej maskaradzie... — Podszedł do ściany i odsunął wielki obraz. Wykręcił kombinację i z rozmachem otworzył drzwi, nie trudząc się, żeby zajrzeć do środka. — Jak widzicie, oprócz kilku dokumentów dotyczących zakupu tego domu...

— A co to za koperta? — zapytał Thomas. Stał i patrzył prosto do wnętrza sejfu.

— Która? — zapytał Feliks.

— Jest tam sporej grubości koperta. Z tyłu, za dokumentami. Powiedziałbym, że to więcej niż tylko kilka dokumentów.

Bez chwili namysłu Feliks otworzył szerzej drzwi sejfu, sięgnął głębiej i wyciągnął pękatą kopertę. Ci, którzy siedzieli blisko niego, zobaczyli na kopercie imię i nazwisko Laury napisane pochyłym pismem.

Feliks rozpoznał kopertę. Wpatrywał się w nią, jakby mogła go ugryźć.

— Jej tam nie było. Została wyrzucona ze śmieciami wiele lat temu... — Przerwał nagle.

— Najwyraźniej nie — rzekł Thomas.

— To pismo dziadka! — wykrzyknęła Allison. — Koperta jest zaadresowana do Laury! — W osłupieniu patrzyła na kopertę w ręku ojca. — Skąd masz list adresowany do Laury?

Leni patrzyła na Feliksa z oburzeniem, a jednocześnie sięgnęła pamięcią wstecz.

— Laura mówiła nam o liście Owena wiele lat temu. Poszła go przynieść, żeby go nam pokazać, ale nie mogła go znaleźć. — Leni powiodła chmurnym wzrokiem po zebranych.

— Czy to ten list? — spytała Barbara Janssen. Laura wyciągnęła rękę.

— Czy mogę go zobaczyć?

Feliks czuł się tak, jakby żelazna obręcz ścisnęła jego głowę. Oddychał z trudem. W jego własnym domu działy się rzeczy, o których nie miał pojęcia. Koperta wypadła mu z ręki. Nie mógł sobie wyobrazić, jak przywędrowała z gabinetu Owena do tego zamkniętego sejfu.

— Proszę — powtórzyła Laura.

Feliks spojrział na nią z przygnębieniem, tak dla niego nietypowym, że wszystkich obserwujących go krewnych ogarnęło przerażenie i konsternacja. W zalegającej pokój ciszy Thomas poniósł kopertę z podłogi. Przeszedł przez pokój i podał ją Laurze.

Zamknęła oczy i pogładziła dłonią grubą kopertę, przypominając sobie, że Owen nie znosił wiotkiej papeterii. Jeden róg był lekko naderwany. Dla Laury to był cud, że znów trzymała w rękach tę kopertę, tak jak siedem lat temu, kiedy prosiła Owena, żeby ją dla niej przechował. Poczowała łzy pod powiekami. Otworzyła oczy

i zobaczyła, że Paul podaje jej chusteczkę. Uśmiechnęła się do niego, biorąc ją, a do wszystkich powiedziała:

— Proszę mi wybaczyć...

Zobaczyła, że koperta była otwarta. Ktoś czytał ten list. Wszyscy spoglądali na Laurę. Tylko Feliks utkwił wzrok w podłodze. Laura wyjęła wielostronicowy list, gęsto zapisany pochyłym pismem Owena, i przeciągnęła po lum drżącymi palcami. Mogła sobie niemal wyobrazić, że Owen jest tutaj, siedzi przy swoim biurku, podnosi głowę i uśmiecha się do niej, wypełniając kartki słowami.

— Może przeczytasz nam ten list — zasugerował Paul.

— Jest bardzo długi — odparła Laura i, jak sędzę, w większości dotyczy renowacji hoteli.

— To przeczytaj nam fragmenty — powiedziała Allison z płaczem. — Tak mi wstyd. Tak wstyd. Nie wierzyłam w to. Sądziłam, że to wymyśliłaś. Nie wiem, czy kiedykolwiek będziesz mogła nam wybaczyć. Byliśmy dla ciebie tacy okrutni. Przecież nie jesteśmy tacy na co dzień. Jak mogliśmy ci coś takiego zrobić?

— Bo was okłamałam — odpowiedziała łagodnie Laura.

— Później będzie czas na przeprosiny — rzekła Leni. — Teraz chciałabym usłyszeć choćby fragmenty listu. Chyba że uważasz go za zbyt poufny, moja droga.

— Nie wiem. Nigdy go nie czytałam. — Spojrzała na zwrot powitania. — Ale nie mam nic przeciwko przeczytaniu go teraz.

— Prosimy — powiedział Paul i Laura zaczęła czytać.

„Najdroższa Lauro

Jest wspaniały dzień. Tak samo wspaniale ja się czuję. Jednak w moim wieku rozsądny człowiek musi zdawać sobie sprawę ze swojej śmiertelności i przewidywać, że może nie mieć szansy, by dokończyć pewne sprawy. Tak więc dzisiaj, gdy mam jeszcze jasny umysł, silną rękę, a serce spokojniejsze niż kiedykolwiek, piszę ten list, żeby przedstawić w skróconej formie plany, które wspólnie opracowaliśmy dla moich hoteli. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, co one dla mnie znaczą. Przedtem jednak chcę cię zawiadomić, że mam zamiar zmienić testament i zapisać ci małą część przedsiębiorstwa rodzinnego..."

W bibliotece podniósł się gwar.

— Feliksie, kiedy to przeczytałeś? — zapytała stanowczo Barbara Janssen.

Feliks nie odpowiedział. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w list Owena.

— Czytaj dalej — powiedział Paul.

„...małą część przedsiębiorstwa rodzinnego, ten dom i całą moją korporację. To oznacza, że gdy umrę, hotele będą należały do ciebie i to ty musisz dopilnować ich ponownego rozkwitu, jeśli ja nie będę mógł”.

— I tego właśnie dokonałaś — zwróciła się do Laury Leni. — Tak wspaniale. Miał rację, że ci zaufała.

Laura przeglądała list.

— To jest streszczenie naszych planów. Zapamiętałam większość z nich. Ach, chciał zmienić zewnętrzne oświetlenie. Zapomniałam o tym. — W pokoju panowała cisza. Nikt nie chciał przerywać. Nagle Laura gwałtownie wstrzymała oddech.

— O co chodzi? — zapytał Paul. Laura spojrzała na niego.

— On wiedział...

Pochyliła głowę i przeczytała ostatnią stronę cichym głosem.

„Szanowałem twoje tajemnice, najdroższa Lauro, choć muszę przyznać, że czasami bywało to dla mnie trudne. Od dość dawna wiem o grzeszkach twojej wczesnej młodości, łącznie z wyrokiem w zawieszeniu za włamanie. Sądziłem, że znasz mnie na tyle dobrze, moja droga, że wiesz, iż nie przepadam za tajemnicami. Lubię żyć w świecie, w którym znam odpowiedzi na swoje pytania. Zasięgnąłem informacji w Departamencie Policji w Nowym Jorku, gdzie dawno nie aktualizowano kartotek, i poznałem twój sekret. Przykro mi, że w tej sprawie nie potrafisz mi zaufać nawet teraz, po tylu latach spędzonych razem. Widzę również, jak ogromny jest strach, który powstrzymuje cię od wyjawienia prawdy i pogodzenia się z przeszłością.

Mam nadzieję, że kiedy przeżyjesz swoje tryumfy jako mądra, silna i urocza kobieta, będziesz potrafiła uporać się z przeszłością i uczynić ją częścią swojej przyszłości. Obawiam się, że nie będę miał okazji tego zobaczyć, ale jestem pewien, że tak się stanie. Jestem z ciebie taki dumny, najdroższa Lauro. Przez długi czas myślałem o tobie jak o córce, której ja i Iris nigdy nie mieliśmy. Tak więc zostawiam ci coś więcej niż zapis w testamencie. Zostawiam ci moją dumę z ciebie i moją miłość, którą będziesz nosić w swoim sercu, gdy mnie już zabraknie”.

Ostatnie słowa były stłumione. Laura płakała. Paul objął ją ramieniem.

Owen był wspaniałym człowiekiem. Pewnego dnia, jeśli będę się bardzo starał, może uda mi się mu dorównać, pomyślał.

W pokoju zapanowała cisza. Nie tylko zemsty pragnęłam, uświadomiła sobie Laura, ocierając łzy. Nie chodziło o to, by stawić czoło każdemu przeciwnikowi. Chodziło o to, abym pokazała, że jestem warta miłości Owena, jego zaufania i wiary we mnie. Wiedziałam, że chcę spełnić jego marzenie, ale nie wiedziałam, jak bardzo pragnę być warta jego miłości.

— Nie rozumiem — powiedziała Carol, żona Asy. — Skoro Feliks miał ten list, kiedy Laura go szukała, to dlaczego nam go nie pokazał? Dlaczego, Feliksie?

— Bo nie chciał — rzekł z niecierpliwością jeden z kuzynów.

— Czy to prawda, Feliksie? — Zapytał inny kuzyn. — Nie chciałeś, żeby Laura dziedziczyła?

— To okropne, co mówisz — przeciwstawił się trzeci kuzyn. — To by oznaczało... co by to oznaczało?

— Oszustwo — powiedział cicho Thomas Janssen.

Feliks gwałtownie uniósł głowę. Patrzył, jakby dopiero co się obudził. Utkwił wzrok w Thomasie.

— Co takiego?

— Oszustwo — powtórzył Thomas. — Zatajenie dokumentu mającego związek ze sprawą sądową. Ława przysięgłych nigdy nie wydałaby werdyktu na twoją korzyść, gdyby wiedziała, że masz ten list.

— Ja go nie ukryłem. Nigdy go nie widziałem.

— Sam powiedziałaś, że został wyrzucony ze śmieciami — przypomniał Cole Hatton. — Skąd mogłeś o tym wiedzieć?

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Feliks wzruszył ramionami.

— Widziałem go wcześniej. Leżał na biurku mojego ojca.

— Na tym? — zapytał Thomas. Feliks znowu wzruszył ramionami.

— Co to za różnica? Był w szufladzie. Szukałem czegoś i znalazłem go. Gdy wróciłem tam później, już go nie było. Kiedy — wskazał w stronę Laury — nie pokazała go rodzinie, pomyślałem, że został wyrzucony ze śmieciami. Najwyraźniej ktoś inny go zabrał i schował do mojego sejfu. Podkładanie dowodów i oskarżanie kogoś to też przestępstwo.

— Byłoby, gdybyś potrafił to udowodnić — rzekł Hatton. — Potrafisz?

— Czy to śledztwo? Ten list został podłożony! Ktoś chciał, żeby wyglądało na to, że miałem ten list przez tyle lat. Nie miałem go i to wszystko!

— Powiedz mi jedną rzecz—zaczął Thomas.—Jeśli widziałeś ten list w biurku Owena, dlaczego nie potwierdziłeś tego, kiedy Laura mówiła, że istnieje taki list? Pamiętam, że wszyscy czekaliśmy w bibliotece Owena, podczas gdy Laura poszła go szukać. Dlaczego więc nic nie mówiłeś? A później dlaczego nie powiedziałeś o tym w sądzie? Właściwie, dlaczego w ogóle poszedłeś do sądu? Z listu wiedziałeś, że Owen był całkowicie zdrowy, gdy zdecydował się zmienić testament, ale nie powiedziałeś o tym podczas odczytania testamentu i wniosłeś sprawę o unieważnienie zapisu wiedząc, że Owen chciał, aby otrzymała spadek. Myślę, że należy nam się w tej sprawie wyjaśnienie. Wciągnąłeś nas w przykrą sprawę sądową, której nadano duży rozgłos. Skłoniłeś nas, byśmy uwierzyli, że zostaliśmy oszukani przez kogoś, kto był nam bliski. Wywarłeś na nas wpływ i należą nam się wyjaśnienia.

— Tato? — zapytała Allison, patrząc lśnącymi oczyma — Ukryłeś ten list? Okłamałeś nas?

— Cholera — powiedział jeden z kuzynów do drugiego. — Nigdy bym w to nie uwierzył.

A inny kuzyn zawołał:

— Dlaczego to zrobiłeś, Feliksie? Przecież ona nie zabierała ci tak wiele.

— Tato, popełniłeś kradzież. Oskarżyłeś Laurę o kradzież, ale to ty ukradłeś jej dziedzictwo! Zrujnowałeś to, co stworzyliśmy. Byliśmy tacy szczęśliwi. Dlaczego to zrobiłeś?

Feliks spojrzał na nich wszystkich.

— Nie muszę się tłumaczyć. Dokument umieszczono w sejfie nielegalnie. Ona to zrobiła! — ryknął, wskazując na Laurę. — Wkradła się tutaj. Zawsze była złodziejką. Wkradła się i podłożyła list, a teraz siedzi tu, uśmiechając się głupio i próbuje zrobić ze mnie idiotę. Nie mogę uwierzyć, że traktujecie ją poważnie!

— Jestem całkowicie przekonany, że Laura nic podobnego nie zrobiła — powiedział Thomas. — Prawdę mówiąc, nie ma znaczenia, jak dokument się tu znalazł. Jeśli o mnie chodzi mógł równie dobrze sam przyfrunąć do twojego sejfu. Ważne jest to, że przyznajesz, iż widziałeś list i zataiłeś ten fakt. W najlepszym przypadku oznacza to,

że powstrzymałeś się od ujawnienia dowodów. W najgorszym —to oszustwo i Laura może cię zaskarżyć, biorąc nas wszystkich na świadków. To byłoby niepomysłne dla hoteli, a więc niepomysłne dla nas wszystkich. Czy zaskarżysz go, Lauro? Pokręciła głową.

— Nie wiem. Czy mogę to zrobić po tylu latach?

— Oczywiście. Nie ma przedawnienia w przypadku oszustwa. Twarz Feliksa wykrzywiła się.

— Nie będzie żadnego procesu. To przedsiębiorstwo ma dość kłopotów bez... — wziął gwałtowny oddech. — Nikt nikogo nie pozwie. Możemy wszyscy... pracować... razem. — Słowa przychodziły mu z trudem.

— Lauro? — zapytał Hatton.

— Jeszcze nie wiem. Muszę się nad tym zastanowić. To właśnie wiedział Clay. W ten sposób wykiwał Feliksa. Może wrócił właśnie dlatego, żeby powiedzieć mi, że wie o liście w sejfie.

— Nawet jeśli Laura niczego nie zrobi—zawahała się na moment Carol, spoglądając na Ase i Thomasa — stało się coś niedobrego, prawda? Czy nie powinniśmy zareagować, jeśli coś jest nie w porządku?

— Chcesz powiedzieć, że ktoś powinien zostać ukarany? — spytał Thomas. Powoli, rozumiejąc, kiwnął głową. — Nie do nas należy karanie Feliksa — powiedział — ale cała ta sprawa skłania mnie do zastanowienia, czy życzę sobie, żeby nadal kierował korporacją.

— Zgadzam się — powiedział Hatton. — To nie jest mądre kierownictwo. To właśnie niepokoi nas od dłuższego czasu, mimo że nie znaliśmy jeszcze tej afery z ukrywaniem dowodów.

— Dlatego właśnie zwołane zostało to posiedzenie — dodał Thomas. — Feliksie, od pewnego czasu jesteśmy zgodni co do tego, że powinieneś zrezygnować z funkcji prezesa korporacji i przewodniczącego zarządu.

— Nie zrezygnuję — odparł natychmiast Feliks. — Chcecie wykorzystać ten nielegalny manewr...

— Być może nie wyraziłem się jasno. Od pewnego czasu jesteśmy zgodni co do tego, że powinieneś zrezygnować. Przedsiębiorstwo przeżywa wiele poważnych problemów. Sam to przed chwilą przyznałeś. Nie sądzimy, abyś potrafił je rozwiązać.

— Nie będę dziś nad tym dyskutował. To nie było ujęte w porządku obrad. Nie ustalono żadnego porządku obrad. Działacie z zaskoczenia.

— Pamiętasz? Powiedziałem ci, że będziemy omawiać twoją pozycję w przedsiębiorstwie, gdy powiadamiałem cię o posiedzeniu.

— Nie pamiętam. Tak czy inaczej, to nie ma znaczenia. Nie możecie tego przeforsować. Macie zbyt mało głosów.

— Mógłbym zgłosić wniosek — rzekł Hatton — ale sądzę, że powinniśmy zapytać wszystkich udziałowców, co na ten temat sądzą. Wszyscy znamy problemy, które przeżywa przedsiębiorstwo. Rozmawiamy o tym od kilku tygodni, a nawet miesięcy. Teraz, gdy znaleziony został list Owena, mamy dodatkowe informacje. Więc chciałbym usłyszeć opinie wszystkich udziałowców na temat wniosku. Zgłaszam Thomasa Janssena na przewodniczącego zarządu, a Bena Gardnera na prezesa korporacji...

— Ty łajdaku! Nigdy tego nie zrobisz! Ty i ta twoja banda jesteście w mniejszości, do cholery! Nie macie wystarczającej ilości głosów!

— A właśnie, że mamy — powiedział Asa głośno i wyraźnie. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Asa nie jękał się.

W bibliotece zapadła grobowa cisza. Feliks zbladł.

— Zanim poproszę wszystkich o opinię, chciałbym dodać, że dyskutujemy również nad połączeniem dwóch sieci hoteli. — Ponownie zabrał głos Hatton. — Jeśli — i tylko w takim przypadku — gdy Ben zostanie wybrany na prezesa, a Thomas na przewodniczącego zarządu, Laura zgodzi się rozważyć połączenie Sieci Hoteli Salinger i Korporacji Beacon Hill. Zachowają swoją odrębność i pozostanie nazwa Beacon Hill, ale będziemy jednym przedsiębiorstwem.

— Syn Judda i przybrana córka Owena — mruknęła Leni. — Odzyskują to, co zostało im skradzione.

Feliks usłyszał, co powiedziała. Powoli zwrócił twarz w stronę Bena. Długo patrzyli sobie w oczy. Feliks odwrócił się pierwszy. Powiódł wzrokiem po twarzach.

Wszyscy byli przeciwko niemu. Jego ojciec również. Kiedy Owen zmarł, Feliks był taki pewny, że wreszcie uwolnił się od jego długiego cienia. Ale Owen był nieśmiertelny.

Tak samo jak Judd, pomyślał mimo woli Feliks. Wydawało się, że Judd wrócił, żeby zniszczyć Feliksa Salingera.

Hatton pytał wszystkich zgromadzonych, czy poprą Thomasa Janssena i Bena Gardnera na kierowniczych stanowiskach w przedsiębiorstwie. Feliks nie zwracał na to uwagi. Jego myśli kłębiły się jak wir. Wciągały go. Gdybym nie obalał jego testamentu, nic by się nie zdarzyło. Nie, to nie testament. Chodzi o coś wcześniejszego. Gdybym powiedział im o liście... Nie, to coś jeszcze wcześniejszego. Gdybym

pozwolił Juddowi zatrzymać tę jego fabryczkę... Ale była tam, gotowa do zagarnięcia. Nie mogłem jej zlekceważyć. To nie była fabryczka. To było rozrastające się przedsiębiorstwo. Nadal robi dla nas pieniądze. On i tak nie miał do niej prawa. Nie był silny ani sprytny.

To nie ma już znaczenia. Nic nie ma znaczenia. To już się stało. Nie wierzę w oglądanie się za siebie. Przeszłość jest nieistotna. Muszę wziąć się w garść i pomyśleć, co robić dalej.

Nie rozumiał sensu słów, które słyszał, ale widział syna Judda obejmującego ramieniem córkę Feliksa. Była w ciąży z drugim dzieckiem. Ben Gardner, prezes Sieci Hoteli Salingera, w przyszłości głowa rodziny Salingerów... Ta myśl paliła jak ogień. Oderwał wzrok od Allison i Bena i zanim zdołał się powstrzymać, spojrzął w oczy Laury. Widząc ich wyraz, zaczerwienił się z wściekłości. Litość! Ta łajdaczka, która pojawiła się nie wiadomo skąd, podstępnie kradła, kłamała i wkradła się do jego domu, litowała się nad nim.

Musi wyjść z tego pokoju. Nie potrafi zebrać myśli. Musi stąd wyjść i nie patrzeć na nich wszystkich. Potem będzie mógł zdecydować, co robić dalej.

Nie odwracając się za siebie, bez słowa wyszedł z biblioteki, zszedł po schodach i wyszedł z domu. Pojedzie do Bostonu, tam jest jego miejsce. Tam się zastanowi, co dalej robić.

Po wyjściu Feliksa rozmowy w bibliotece ucichły. Zapanowała konsternacja. Przyzwyczajali się do Feliksa. Kierował przedsiębiorstwem, odkąd pamiętali, ale naprawdę nadszedł czas na zmianę i dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby Feliks to ułatwił, zamiast wszczynać rodzinny spór.

Po chwili Paul rzekł w zamyśleniu:

— Ostatnim razem, gdy zebraliśmy się, by odczytać testament, Laura opuściła dom. Tym razem zrobił to Feliks. Jest w tym logika i sprawiedliwość.

— Ale myślę, że my powinniśmy też wyjść — powiedziała Laura. — Czy moglibyśmy kontynuować posiedzenie w innym miejscu?

— Możemy przenieść się do mojego mieszkania — zaproponował Paul. — Jeśli Ben się na to zgodzi.

Ben uśmiechnął się do niego.

— Jeszcze nie zostałem wybrany. Zapytajmy Thomasa. Thomas pokręcił głową.

— Mnie też jeszcze nikt nie wybrał. Asa? Czy jako wiceprezydent zgadzasz się, żebyśmy przenieśli posiedzenie do Sutton Place?

— Uważam, że do was należy decyzja — zaczął Asa ochrypłym głosem i chrząknął.
— Ja nie chcę się wtrącać. Należę raczej do przeszłości. Przez te wszystkie lata stałem u boku Feliksa. Oczywiście on zawsze mnie przerażał. Wiedzieliście o tym dobrze. Nigdy nie byłem pewien, dlaczego to robił. To niedobrze nie lubić własnego brata. To zgubne dla rodziny. Zatrulo mi to życie. Czułem się nikim. Chciałbym przejść na emeryturę. Może Carol i ja poznamy was na nowo, gdy będziemy z dala od przedsiębiorstwa. Sądzę, że tak właśnie chciałbym postąpić. Więc nie mogę zdecydować o odroczeniu posiedzenia.

— Ależ możesz — powiedział łagodnie Paul. Nikt nigdy nie słyszał Asy mówiącego tak wyraźnie i bez zająknięcia i wszyscy uśmiechali się do niego, zadowoleni z jego tryumfu. — Potrzebujemy cię. I rada nie zaakceptowała jeszcze twojej rezygnacji. Więc Asa podjął decyzję o odłożeniu posiedzenia na pół godziny, aby mogło ono być wznowione w mieszkaniu Paula. Wszyscy wstali, zbierając swoje osobiste drobiazgi. Po kolei podchodzili do Laury i przepraszali. Kiedy przystawali obok niej, po drodze do wyjścia, wyglądało to tak, jakby Laura i Paul pozdrawiali Salin-gerów i byli serdecznie witani w rodzinie.

Ben i Allison pocałowali Laurę i wyszli z pokoju. Leni objęła ich.

— To dobra rodzina, prawda? Nawet ze swoimi kłopotami. Tak się cieszę, że wszyscy do niej należymy.

Laura i Paul zostali sami w bibliotece. Paul objął ją, a ona mocno się przytuliła. Ogarnęło ją uczucie spełnienia, usuwając ostatnie ślady strachu, jakie czuła od dzieciństwa. Nie jestem już obca, pomyślała. Teraz mam swoje miejsce. Obok niej w świetle małej lampki połyskiwało biurko Owena. Jego list trzymała w dłoni. „Mam nadzieję, że kiedy przeżyjesz swoje tryumfy jako mądra, silna i urocza kobieta, będziesz potrafiła uporać się z przeszłością i uczynić ją częścią swojej przyszłości”.

Przypomniała sobie miłość w jego oczach, kiedy na nią patrzył. Czuła jego dłoń na swoich włosach. I zobaczyła jego szeroki uśmiech.

„Wiedziałem, że ci się to uda” — powiedział.